BIBLIOTEKA OSSOLIŃSKICH.

PISMO HISTORYI, LITERATURZE, UMIEJĘTNOŚCIOM
I RZECZOM NARODOWYM POŚWIĘCONE.

POCZET NOWY.

Tom dziesiąty.



LWÓW.
W DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH.
1868.



Spis przedmiotów.

Historya.

Literatura.

Umiejętności.

Krytyka.

Kronika zakładu.

LISTY
PIOTRA DES NOYERS,
SEKRETARZA KRÓLOWEJ MARYI KAZIMIRY,
Z LAT 1680—1683,
RZECZY POLSKICH DOTYCZĄCE.

Biblioteka cesarska rękopismów w Paryżu posiada liczne materyały do dziejów Polski trzech ostatnich wieków. Do ważniejszych pomiędzy nimi należy ciekawa korespondencya Piotra des Noyers z Izmaelem Bouillaud, bibliotekarzem królewskim w Paryżu, trzy tomy obejmująca. Tom pierwszy zawiera wypadki z lat 1655, 1656 i 1657; tom drugi z roku 1658 i 1659. Sama data lat wskazuje na okres w dziejach krajowych bardzo ważny, wojnę szwedzką i moskiewską obejmujący. Autor tych listów był wówczas sekretarzem królowej Maryi Ludwiki, małżonki Jana Kazimierza. Jest to w ogóle człowiek światły, wnika głębiej niż którykolwiek z cudzoziemców w ducha polskiego, a pomimo wad narodowych, które jasno widzi i śmiało wytyka, Polakom szczerze przychylny. Stanowisko sekretarza królowej a razem powiernika najskrytszych jej zamysłów, nadaje listom jego szczególną wagę. Zawiadomiony dokładnie o wszystkiem co się wówczas działo, w wielu razach sam osobiście do ważnych poleceń przez nią używa-

ny, dobrze zatem świadomy wszelkich intryg i tajemnych sprężyn, jakie królowa w sprawach publicznych owej epoki poruszała: stanowi Des Noyers, wraz z Kochowskim i Rudawskim, jedno z najcenniejszych źródeł do powyższego okresu dziejów naszych. Może on osobliwie posłużyć do sprostowania we wielu punktach historyi Rudawskiego, który często mylnie informowany o tajnych sprężynach polityki tak polskiego jak i postronnych dworów, duchowi polskiemu w ogóle przeciwny, mniej wiernie przedstawia czas i wypadki będące przedmiotem jego pióra.

Dwa pierwsze tomy pomienionego rękopismu wydała Biblioteka polska w Paryżu, kilka lat temu, pod przewodnictwem i kierunkiem Karola Sienkiewicza, wypisując z nich to tylko, co wyłącznie do rzeczy polskich należy [1]). Ale śmierć zaskoczyła w połowie pracy, zasłużonego na polu historycznem badacza; i temu to podobno należy przypisać, że mianowicie druga połowa tego dzieła mniej starannie została wydaną. Daje się osobliwie czuć w niem brak wiadomości o autorze listów, toż jakikolwiek wstępny zarys, wiążący osnowę tych listów z ogólnym tokiem dziejów narodowych. Przekład polski tak ważnego źródła historycznego, objaśniony należycie i opatrzony przypiskami, z oceną autora w stosunku do in-

---

[1]) *Lettres de Pierre des Noyers, secrétaire de la reine de Pologne Marie-Louise de Gonzague, princesse de Mantoue et de Nevers. Pour servir à l'histoire de Pologne et de Suède de 1655 à 1659.* Na tytule umieszczono: Berlin. B. Behr (E. Beck); rzeczywiście zaś dzieło drukowane w Paryżu, u Martineta 1859 roku.

nych dziejopisarzy tej samej epoki, domowych i obcych, byłby przeto w historycznem pismiennictwie polskiem rzeczą pożądaną[1]).

Na lat kilkanaście przed tem ogłoszeniem listów, korzystał już był z tej części rękopismu Ludwik Jastrzębski do dzieła swojego: *Portofolio królowej Maryi Ludwiki* itd. Poznań 1844 roku. Ale wydawca dzieła hr. Edward Raczyński, dopuścił się w niem według swego zwyczaju osobliwszych zmian i poprawek, o których, wspominając tu nawiasem o tej pracy Jastrzębskiego, zamilczeć niepodobna. Oto na dowód dwa celniejsze przykłady.

Znany jest zbrodniczy udział niektórych panów polskich i litewskich w najściu na Polskę Szwedów w roku 1655. Najgłośniejsze nazwiska historyczne były wspólnikami tej bezprzykładnej do owych czasów zbrodni. Janusz i Bogusław Radziwiłłowie, dwaj Koniecpolscy Jan i Alexander, Krysztof i Łukasz Opalińscy, Wiśniowiecki i wielu innych, jużto albo wprost nieprzyjaciela w granice rzeczypospolitej wprowadzali, lub się z nim łączyli. Na widok nieszczęść kraju rychło jednak upamiętali się niektórzy z chwilowo obłąkanych, a między tymi był i Stanisław Potocki, hetman wielki koronny. W liście pisanym

---

[1]) Dziennik literacki z roku 1859 umieścił obszerny artykuł p. n. *Wojna szwedzka od zawiązania się konfederacyi tyszowieckiej do zawarcia traktatu w Oliwie, objaśniona listami Piotra des Noyers.* Możeby więc było stosownie, ażeby autor tego artykułu, pan Władysław Zawadzki, postarał się o wydanie osobne przekładu będącego w mowie, kiedy większa część pracy została już przezeń dokonaną.

do króla dnia 17 grudnia 1655 roku z Sokala, uniewinnia się on z tego postępku, wyznaje że pogwałcił wierność rzeczypospolitej i królowi powinną, a razem oświadcza, że winę swoją nawet śmiercią w obronie kraju i ojczyzny zmyć jest gotów. Otoż właśnie ten punkt najważniejszy: uznanie winy i gotowość zmazania jej ofiarą własnego życia, wypuścił Raczyński, lubo cały prawie list Potockiego umieścił. (Portofolio tom I str. 206. *Lettres de Pierre des Noyers* str. 30).

Drugi przykład dotyczy samego Jana Kazimierza i osób najbliższe jego towarzystwo składających. O lekkości obyczajów króla i dworu jego, wiadomo w ogóle ze świadectw ówczesnych; najdobitniejszy atoli obraz usposobienia Jana Kazimierza i całej nicości jego charakteru, skreślił Des Noyers w liście z obozu pod Toruniem, z dnia 1 października 1658 roku. Nadmieniwszy, że się król niczem poważnem zająć nie może; że zmienny, płochy, lekkomyślny, bawi się tylko małpami i karłami, pieski i ptaszki chowa, kobietami jedynie myśl ma zaprzątnioną itd., dodaje w końcu Des Noyers: „w jego pokoju mowa tylko o wszeteczeństwach... *on ne parle dans sa chambre que de luxure...*“ Otoż to miejsce tak wydawca odmienił: „w jego pokoju nie rozmawiają o niczem, jak o pismie świętem!“ (Portofolio t. II str. 181—183 i *Lettres* str. 440). Nowy i ciekawy przykład oczyszczania dzieł *ad usum Delphini!*

Cożkolwiekbądź, lubo jedno z tych dzieł tak rażące mieści zmiany, a drugie mniej starannie zostało wydane; dwa pierwsze tomy pomienionej korespon-

dencyi weszły wszelako przez ich ogłoszenie w zakres użytku publicznego. Tom trzeci, ile mnie wiadomo, nie był jeszcze dotąd przez nikogo na korzyść historyczną użyty; a jednak obejmuje on okres dziejowy bardzo ważny: kilkoletnie, mozolne zabiegi i usiłowania Sobieskiego do zawarcia ligi chrześciańskiej przeciw Turkom, uwieńczonej w końcu zwycięstwem pod Wiedniem. Zdaje się wszakże, jakoby ten świetny czyn polskiego oręża, zająwszy wyłącznie uwagę powszechną, podał w niepamięć wszystko co go poprzedzało; kiedy bowiem znane są najdrobniejsze szczegóły odnoszące się do samego wypadku wojennego; mało kto wie dzisiaj, z jakiemi przeciwnościami miał do walczenia Sobieski, aby dzieło swoje przywieść do skutku. Te przeciwności były jednak wielorakie i liczne, od swoich i postronnych pochodzące; poznawszy je dokładnie, rośnie cześć dla króla-bohatyra, że się im oprzeć zdołał, i sam czyn wojenny świetny sam przez się, podwójnej ztąd nabiera wartości. Des Noyers był w owym czasie sekretarzem królowej Maryi Kazimiry, zajmował więc stanowisko równie ważne jak przedtem, aby o wszystkiem co się działo, należycie być zawiadomionym.

Jakich trudności doznawał Sobieski od własnych spółrodaków, o tem dają dostateczną wiadomość listy niniejsze. Ciekawe jest pod tym względem wyrażenie użyte w liście z 8 marca 1680 roku, gdzie mówiąc o zamysłach Sobieskiego co do wspólnego działania z Moskwą przeciw Turkom, wystawia Des Noyers wielką trudność w Polsce „nastrojenia tylu piszczałek do jednego akordu“ w sprawie publicznej.

Trudności z zewnątrz pochodzące tworzyła głównie polityka dworu francuskiego. Traktat zwycięski zawarty w Nimedze roku 1679 postawił Ludwika XIV u szczytu potęgi. Zmusiwszy do neutralności lub do zawarcia przymierza w widokach własnego gabinetu wszystkie po kolei państwa, Hollandyą, Hiszpanią, Niemcy, Danią i Prusy,—usiłował on wciągnąć i Polskę do nieprzyjaznych zamysłów swoich przeciw Austryi, a nie mogąc dopiąć tego przez namowy i obietnice wszelkiego rodzaju, postanowił bądź cobądź rozbić tworzącą się ligę z cesarzem: ku temu celowi zmierzały więc nieprzestannie wszystkie zabiegi tajemne i jawne posłów dworu francuskiego w Polsce. Coż to za energii charakteru, jakiej wytrwałości a razem i oględności wszechstronnej było potrzeba Sobieskiemu, ażeby rozerwać a przynajmniej mniej szkodliwą uczynić, tę sieć zgubnych wpływów, w którą cała prawie Polska była z tego powodu uwikłaną!

Co o tej polityce sądził Des Noyers, wiedzieć z pewnością nie można. Należy się domyślać po jego sumienności, że jej nie podzielał; ale nie śmiejąc zapewne ganić jej otwarcie a pochwalać nie mogąc, całkiem ją milczeniem pomija. W jednym wszelako razie usiłuje bronić ją wcale niesłusznie. O zerwaniu sejmu roku 1681 rozeszła się była pogłoska, że to uczyniono z poduszczenia dworu wersalskiego i za pieniądze francuskie. W liście z 23 maja 1681 roku uniewinnia on z tego zarzutu margrabiego de Béthune, który już przeszło od pół roku z Polski był wyjechał. Ale miałżeby Des Noyers w samej rzeczy nie

wiedzieć, kiedy list pisał, że sprawcą tego zerwania był Forbin-Janson, biskup belowacki?...

Z wyjątkiem tego jednego punktu cokolwiek wątpliwego, i pominąwszy co z samej natury rzeczy wypływa: że piszący powtarza się czasem, lub zapisuje pogłoski niepewne, które w listach następnych musi prostować, albo je nawet bez sprostowania zostawia; wszystko inne co korespondencya obejmuje, zaleca się zdrowym sądem o rzeczach, często nawet wyższym poglądem na czas i wypadki. Des Noyers jest w ogóle człowiekiem postępowym; bacznym dostrzegaczem wszystkiego, co się w koło niego dzieje i o wszystkiem przyjacielowi swojemu w Paryżu wiernie donosi. W jednem z najważniejszych dzieł do tej epoki, w Listach Jana Sobieskiego, które przed kilku laty A. Z. Helcel, znakomity i wielce naukom ojczystym zasłużony pisarz pomnożył, objaśnił i wydał w Krakowie, nie ma właśnie żadnej korespondencyi pod rokiem 1680, bo królestwo ichmość rok ten wspólnie przebywali; trzydzieści i cztery listów, które tu z tegoż roku umieszczamy, są więc tem ważniejsze, bo stanowią jedyny znany dotąd zabytek z tego ze wszech miar ciekawego okresu dziejów naszych.

Nadmieniłem już o szczerej życzliwości, jaką ma Des Noyers dla Polaków; nieumiarkowana niczem wolność, a raczej samowolność szlachty i niesforność ich domowa jest mu jednak wcale nie do smaku. Powstaje on przy każdej sposobności na tę zastarzałą wadę polską; widzi nieszczęśliwe skutki, jakie ztąd na kraj nieodzownie spaść muszą, a wiedziony

życzliwością podaje tu i owdzie środki dla ich uniknienia, jakie ku temu celowi za najstosowniejsze uważa.

W listach tej trzeciej części mają echo główniejsze wydarzenia z odległych nawet krajów. Niektóre z nich, ważniejsze, podaję w ciągu niniejszej pracy w skróceniu lub treści. Co zaś odnosi się w czemkolwiek do wypadków publicznych w Polsce, do spraw i narad sejmowych, do umów z ościennymi dworami itd., lub co rzuca światło na epokę pod względem obyczajów, stosunków rodzinnych itd., wszystko to zamieszczam w całej rozciągłości w przekładzie wiernym. Nie chciałem pominąć z tego ostatniego wydziału najdrobniejszych nawet szczegółów, noszących barwę miejscową; bo choć historycznie mniej ważne, charakteryzują one czas i kraj, do którego należą, i tylko w pismach tego rodzaju mogą być podane. Usprawiedliwia je tok całkiem poufny listów i sprawia, że są tu na swojem miejscu.

Gdańsk, dnia 6 stycznia 1680 roku.

Des Noyers uskarza się w tym liście na brak furmanów w Gdańsku. Nie znalazł ani jednego coby go zawiózł do Warszawy: wszyscy porozjeżdżali się na jarmarki do Lipska, do Frankfurtu nad Odrą, lub do Torunia. Donosi, że odwiedzał tu znakomitego uczonego Heweliusza [1]), wylicza oraz wielkie straty po-

---

[1]) Jan Heweliusz, a raczej Hewelcke, gdańszczanin, był jednym z najsławniejszych uczonych swojego czasu. Naukom matematycznym i astronomii szczególnie się poświęcając, wieloletnią ciągłą pracą tę naukę wydoskonalił, objaśnił i nowemi odkryciami zbogacił; obserwatoryum w domu swoim założył i sam sobie narzędzia astrono-

niesione przezeń w pożarze, który przed trzema miesiącami pochłonął jego dom wraz z obserwatoryum, a w końcu pisze:

---

miczne sporządził. Pierwsze prace swoje poświęcił Heweliusz rozpoznaniu plam w słońcu, których rycinę wraz z opisem Gassendemu przesłał. Sześć lat następnych strawił na rozpoznawaniu różnych odmian xiężycowych: owocem tej pracy było wyborne dzieło p. n. *Selenographia*, które w całej Europie powszechne uczyniło wrażenie i największą autorowi zjednało sławę. Ogół prac swoich poświęconych badaniu zaćmień słońca i xiężyca, tudzież rozpoznaniu postaci, przyrodzenia i obrotów komet itd. opisał Heweliusz w dziele p. n. *Machina coelestis*, które tak powszechną wzbudziła ciekawość między uczonymi, że sławny Halley z polecenia towowarzystwa królewsko-londyńskiego nauk, umyślnie zjechał do Gdańska dla przypatrzenia się zbiorom i pracom Heweliusza Część druga tego dzieła jest dziś niezmiernie rzadką, ponieważ tego samego roku kiedy z druku wyszło, wszystkie prawie jego exemplarze razem z domem, obserwato, ryum, księgarnią i sprzętami astronomicznemi w Gdańsku ogniem spłonęły: i ten to jest właśnie pożar, o którym Des Noyers pisze, wybuchły dnia 26 września 1679 roku. — Po tak znacznéj stracie, Heweliusz, wsparty darami wielu uczonych, jako też królów Jana III i Ludwika XIV, dom swój i obserwatoryum daleko obszerniejsze i dokładniejsze wystawił, i aż do śmierci w roku 1687 przypadłej, ulubionym naukom poświęcał się. Żył z górą lat 76, urodził się bowiem w Gdańsku 28 stycznia 1611 roku. — Jan Kazimierz w roku 1660 i Jan III w roku 1678 odwiedzili jego obserwatoryum i znakomitemi go udarowali upominkami. Pobierał pensyę od dworu francuskiego, po śmierci zaś jego zakupił astronom Delisle pozostałe po nim manuskrypta, które obserwatoryum paryskie dotąd starannie przechowuje

Ten sam Heweliusz, odkrywszy ośm gwiazd blisko ogona Orła, w tym jakoś czasie kiedy Sobieski odniósł nad Turkami sławne zwycięstwo pod Chocimem, (11 lutego 1673 roku), nazwał tę nową konstellacyę tarczą Sobieskiego; nazwa ta w nomenklaturze astronomicznej jednomyślnie została przyjętą i tak pomnik sławie polskiej poświęcony, zajaśniał poraz pierwszy śród znaków niebieskich. Do tego podwójnego wypadku odnosi się piękny medal wybity cokolwiek poźniej, przedstawiający z jednej strony: Głowę Jana III w wieńcu lauwrowym, z napisem *Joannes III rex Poloniæ*; z drugiej widok z daleka oblężenia Chocima i wojska doń szturmującego, rzeki Dniestru, a w górze w obłokach, tarczy Janina i gwiazd kilku na niej, z napisem: *Ingentibus ausis quo vis monstrat iter;* to jest: Do niezmiernych przedsięwzięć gdzie chcesz wskazuje drogę. (Gabinet medalów polskich T. II. nr. 256).

... „Co do wiadomości z Polski, mam tylko następujące doniesienia: Margrabia d' Arquien [1]) bardzo był chory: królowa jejmość miała zabawić na Rusi dopóki margrabia nie przyjdzie do zdrowia; król zaś jegomość spodziewany w Warszawie, gdzie ma złożyć walną radę dla postanowienia: czy należy utrzymać pokój z Turkiem, lub wydać mu wojnę, której król mocno sobie życzy. — Dania, Anglia i Holandya wymawiają się od dania posiłków. Szwedzi przyrzekają dostarczyć dziesięć tysięcy wojska; ale to przyrzeczenie uważane tu jest za płonne, bo sami nie mają czem obsadzić twierdz pomorskich, które Duńczycy dotąd trzymają. Sądzę więc, że byłoby najlepiej dać na teraz pokój Turkom, jeżeli nas oni w pokoju zostawią."

Warszawa, dnia 26 stycznia 1680 roku.

Donosi o swojem przybyciu do Warszawy, gdzie stanął dnia 19 stycznia; użala się, że przez całe Pomorze noclegi odbywał na słomie, razem z prosiętami, kurami i gęsiami i że od Amsterdamu aż do samej Warszawy, śród ciężkiej zimy, jechać musiał odkrytym wozem. W Gdańsku bawił przez dni 19 czekając na powrót furmanów. Potem pisze o rzeczach polskich co następuje:

... „Królestwo ichmość przybyli do Warszawy w dobrem zdrowiu. Niektórzy utrzymują, że po walnej radzie która się właśnie odbywa, dwór nasz wyjedzie do Prus królewskich, na połóg królowej. — Cesarz jegomość chrześciański stara się u naszego dworu o zawarcie ligi odpornej przeciw Turkom, lęka się bowiem ich napadu od strony Węgier, do czego są nie małe pozory, jeżeli z naszej strony nie zrobimy silnej dywersyi; tę jednak, aby była stanowczą, moglibyśmy tylko uczynić z pomocą xiążąt chrześciańskich. — Senatorowie nasi przysięgli na dochowanie ścisłej tajemnicy we wszystkiem, co na walnej radzie będzie przedstawione i traktowane, a co w tym kraju (t. j. dochowanie tajemnicy) nie jest rzeczą zwyczajną. Może jednak potrzeba i niebezpieczeństwo zmuszą ich do większej w tym względzie ostrożności."

---

[1]) Jak wiadomo, ojciec królowej, bawiący przeszło od roku na dworze polskim.

Warszawa, dnia 9 lutego 1680 roku.

Korespondent zajmuje się jeszcze Heweliuszem, a o rzeczach polskich tak mówi:

... „Walna rada, o której pisałem, została ukończona, ale jak słychać, nic na niej pewnego nie postanowiono. Mówią, że król jegomość chce wprzód wyrozumieć intencye dworu moskiewskiego, co do wspólnej wojny przeciw Turkom, a razem przekonać się, o ile można polegać na propozycyach dworu wiedeńskiego względem ligi odpornej.

„Papież oświadczył na koniec, że da pięćkroć stotysięcy tutejszą monetą, co wynosi tylko około dwakroć pięćdziesiąt tysięcy franków; na wypadek zaś dłuższego trwania wojny, czyni nadzieję, że nałoży na duchowieństwo włoskie pobór dziesiątego grosza. Posiłki, jakich się od xiążąt chrześ iańskich spodziewać można, będą zapewne bardzo szczupłe i do tego tak poźne, że wedle wszelkiego podobieństwa, nic się w nadziei ich uzyskania nieda przedsięwziąć. U nas tu tymczasem trwają bez przerwy uczty, biesiady i wesela. Niewiadomo jeszcze, gdzie królowa połóg odbędzie: czy tu, czy w Prusiech królewskich, czy na Rusi?"

Warszawa, dnia 1 marca 1680 roku.

„Poczmistrze kurfirszta jegomości brandeburskiego przytrzymali pięć naszych paczek z listami, wysłanych, jak się domyślamy, z Hamburga na Szczecin. Chcą oni koniecznie aby wszystkie tego rodzaju przesyłki szły na Berlin, choć drogą daleko dłuższą; oprócz tego wymagają, aby nie posyłano z Gdańska do Hamburga, ani z Hamburga do Gdańska paczek pieczętowanych, lecz żeby je tylko po prostu przewiązywano, ażeby tym sposobem każdy list mógł być oddzielnie widziany i oceniony. Ta zmiana ma przynieść kurfirsztowi jegomości sześćdziesiąt tysięcy rocznego dochodu, zamiast trzydziestu tysięcy które miał dotąd z poczty listowej. Gdańsk silnie się temu opiera, Mówią, że będzie w tym celu wyznaczona komisya; ale zapewne stanie się zadość żądaniu kurfirszta jegomości, bo spory tego rodzaju między panującymi kończą się zwykle kosztem publiczności. Colbert pisał do Hewe-

liusza zawiadamiając go, że król francuski posłał mu 6000 franków; co się zaś tycze pensyi tysiąca dwustu franków, którą mu dwór francuski dawniej był wyznaczył, tej mu już od ośmiu lat nie wypłacają.

„Wiadomość o upowszechniającem się coraz bardziej zadawaniu trucizny [1]) temi czasy w Paryżu, doszła nas tu zeszłego tygodnia przez Berlin, z okropnymi szczegółami. Słysząc o tem Polacy na tutejszym dworze, mocno się oburzają na Francuzów w ogóle, zbrodnie pojedyńczych osób przypisując niesłusznie całemu narodowi.

„Ponieważ xiążęta chrześciańscy nie wielki pokazują zapał do krucyaty przeciw Turkom i z przesyłaniem na ten cel posiłków nie bardzo się kwapią, zdaje się według wszelkiego podobieństwa że wójna ta odłożoną zostanie do przyszłego roku. Co się zaś tycze dziesięcin, o których papież nadmienił, są to rzeczy niepewne a przynajmniej w bardzo dalekiem polu.

„Zdaje się, że cesarz jegomość obawia się napadu Turków od strony Węgier, bo proponuje tutejszemu dworowi zawarcie przeciw nim przymierza odpornego, któreby z czasem można za-

---

[1]) Jest tu mowa o niesłychanych zbrodniach, które właśnie w tym czasie powszechne zgorszenie i postrach budziły, tak dla przerażających szczegółów o jakich rozchodziły się wieści, jak dla wielkiej liczby najznakomitszych osób w te zbrodnie uwikłanych. Upływało właśnie lat cztery (od roku 1676), jak margrabina de Brinvilliers za otrucie własnego ojca, braci i siostry, ściętą i spaloną została na placu winowajców (*place de grève*) w Paryżu, a zadawanie trucizny nazywanej proszkiem sukcesyjnym, tak weszło w zwyczaj między ludźmi wielkiego świata, że przestrach ogarnął wszystkich. Ludwik XIV chcąc złemu tamę położyć, ustanowił osobny trybunał do sądzenia obwinionych o te zbrodnie, a razem o zamawiania, czary i wróżby. Przed ten trybunał pozwano tedy wdowę de Montvoisin, zwaną powszechnie *la Voisin*, panią Vigouroux i xiędza Lesage. Ale śledztwo pokazało niebawem, że najpierwsze imiona, jak xiążę Luxembourg, hrabina de Soissons, xiężna de Tingri, pani Polignac itd., wmieszane były w te sprawy. Dostojność osób obwinionych, wielka ich liczba, (było ich bowiem do 240 z których większa część w więzieniu życie dokonała nie doczekawszy się sądu) i 34 wyroków na śmierć które trybunał wydał, usprawiedliwiały dostatecznie głębokie wstrząśnienie jakie ten proces we Francyi i za granicą sprawił.

mienić w związek ogólny i zaczepny; ponieważ zaś potrzeba do tego złożenia sejmu, więc ta rzecz nie zaraz jeszcze przyjdzie do skutku. Dwór nasz przepędza karnawał na zabawach, grach loteryjnych i wydawaniu panien dworskich za bogatych panów.

„Został tu wzięty w areszt niejaki Picinardi, poeta włoski satyryczny, za listy pisane do cesarza, w których bardzo źle mówił o królu jegomości polskim. Zapytany na śledztwie, dlaczego wynajduje i rozszerza takie kłamstwa, oświadczył: że czyni to w celu, aby zwrócić na siebie uwagę króla jegomości i otrzymać od dworu pensyę, której mu do życia koniecznie potrzeba; a opowiedział to pięknie ułożonym wierszem, dodając wszakże, iż jego królewskiej mości dobrze wiadomo, że wierszopisowie używają fikcyj i że przeto nie należy wiele na to uważać co mówią i piszą; poczem ofiarował się opiewać pochwały króla jegomości byle tylko dostąpił czego pragnie. Mają go tu powszechnie za uszczypliwego półwaryata, a razem za oszusta i wykpigrosza.“

Warszawa, dnia 8 marca 1680 roku.

...„Słychać tu, że wojsko francuskie wynoszące do czterech tysięcy, ubiegło Casal, i że król jegomość arcychrześciański zamianował xięcia mantuańskiego jenerałem wojsk swoich we Włoszech. U was tam najlepiej wiadomo, co o tem sądzić, i czy Hiszpanie pospieszą swoim na ratunek pod Charlemont, czy pod Casal; to wszelako pewna, że ich sprawy chylą się widocznie do upadku i że ich potęga usuwa się z Europy, a do Ameryki się chroni.

„Co do zamysłów, jakie ma król jegomość polski względem wspólnego działania z Moskwą przeciw Turkom, te postępują tak powolnym i niepewnym krokiem, że dziś o ich skutku nic jeszcze wyrzec nie można. Bo jak tu nastroić do jednego akordu tyle piszczałek, w narodzie jak tutejszy o wolność swoją niesłychanie drażliwym, niemogącym nic przedsięwziąć bez pomocy obcej, zwłaszcza kiedy na nią dla niezgody między wszystkiemi w Europie państwami liczyć wcale nie można?—Moskal udaje, że chce popierać wojnę, a tymczasem umawia się ciągle o pokój z Turkiem, który sam jeden jest w stanie rozpocząć ją kiedy zechce.

„Od strony Węgier więcej się zanosi na wojnę jak na pokój. Cesarz jegomość zdaje się niby czynić ustępstwa rokoszanom węgierskim[1]), ale ci niezupełnie ufają jego przyrzeczeniom; słychać, że z tego powodu przyszło nawet między nimi do nieporozumień.

„Karnawał zeszedł u nas na ucztach i weselach. Jeden z nowożeńców postanowił był po śmierci pierwszej swojej żony, że w związek małżeński powtórnie nie wejdzie, ślubując zostać xiędzem. Ale zmienił swoje postanowienie, i gdy mu to niektórzy naganiali, tłómaczył się, że ślub jego był uczyniony *in petto*, to jest w myśli tylko, a więc do spełnienia jego nie czuje się być obowiązanym. Inny znowu żył bardzo źle z żoną, która wolała wstąpić do klasztoru, niż dłużej z nim mieszkać: nuncyusz papieski słusznie przeto utrzymuje, że nowego małżeństwa zawierać nie może. Ale żadne z nich na to nie zważało: oboje pozawierali nowe związki małżeńskie, będąc w przekonaniu, że ludziom tak wolnym jak oni wszystko powinno być pozwolone.

„Mieliśmy tu także tego karnawału komedye francuskie i wło-

---

[1]) Powstanie rokoszan węgierskich, o którem nieraz będzie wzmianka w ciągu tych listów, trwało już od roku 1672. W początkach przez lat kilka utrzymywało się słabo i z niewielkiem powodzeniem. W roku 1677 otrzymawszy zachęcenie od dworu francuskiego i znaczne posiłki pieniężne, wzmocnione oraz licznym oddziałem wojska zaciągnionego na pograniczu Polski, wzmaga się do znacznej siły, poraża w kilku potyczkach wojsko cesarskie, siejąc postrach aż pod sam Wiedeń. Aby odwrócić niebezpieczeństwo z tej strony, musiał cesarz odwołać z nad Renu część wojska, o co właśnie królowi francuzkiemu głównie chodziło. Nieregularne dosyłanie zasiłków pieniężnych z Francyi i co szło za tem, niewypłacanie żołdu, spowodowało w roku 1678 rozpierzchnienie wojska zaciężnego; a ponieważ król francuski, upewniony o pokoju z Hollandyą i Hiszpanią, spodziewał się, że niebawem i z cesarzem pokój zawrze, więc nie potrzebując już dywersyi od strony Węgier, wypłatę posiłków całkiem wstrzymał. Pod koniec roku 1679 pomyślał on jednak znowu o wspieraniu rokoszan; bo choć pokój z cesarzem w samej rzeczy nastąpił, nieprzyjaźń przez to między dwoma zapaśnikami nie ustała. Roger Akakia, używany od dawna do różnych ważnych poleceń, wysłany został do Siedmiogrodu dla utrzymywania stosunków z rokoszanami, i z jego to korespondencyi czerpie Des Noyers wiadomości, które dalej posyła.

skie, a nawet małą operę z wielką pociechą dworu, który ma tu jeszcze zabawić przez cały post, czekając na połóg królowej. De Bohan, były dowódzca wojska francuskiego na Węgrzech, wyjeżdża do Francyi w interesach prywatnych; z nim jedzie także de Gnénegaud, były pułkownik w temże wojsku.“—List kończy się postrzeżeniami meteorologicznemi.

Warszawa, dnia 15 marca 1680 roku.

Na początku listu zawiadamia Des Noyers, że cesarz jegomość bawi w Pradze, donosi o niektórych nowinach z dworu cesarskiego, a razem o pobycie wielkiego wezyra w Białogrodzie, gdzie Turcy zwykli zakładać wielkie magazyny, kiedy się gotują do wojny, czy to w stronę Polski, czy ku Węgrom: słusznie przeto (mówi korespondent) zwraca cesarz uwagę swoją w tę stronę, zkąd i Polska powinna się mieć dobrze na baczności. Dalej tak pisze:

...„Krąży tu także pogłoska, bardzo smutna jeżeliby się miała sprawdzić: że szesnaście tysięcy rodzin tatarskich przybyło z Krymu dla osiedlenia się w okolicach Baru, samem sercu Podola. To zaś pewna, że kiedy rzeczpospolita polska zmuszoną była do odstąpienia tej części kraju Turkom, nie miała wcale zamiaru pozwolić, aby tam osadzono Tatarów; w dawniejszych bowiem traktatach warowano sobie wyraźnie, że nie mogą nawet zamieszkać miejsc pustemi polami zwanych. Skoroby pozwolono Tatarom osiadać na Podolu, wnetby ich tam naszło tyle, żeby ich już niepodobna było ztamtąd ruszyć; ba, już i teraz, ktoby to chciał przywieść do skutku, musiałby sobie wstępnym bojem poczynać z Turkiem, który utrzymuje niewzruszenie, że mu ten kraj na trwałą oddano posiadłość; ztąd, że ma prawo rządzić się tam samowładnie. Mamy tu posła tatarskiego, co u nas rzecz dość zwyczajna: przybywają oni tu po nagrodę za usługi rzeczypospolitej oddane i otrzymują przytem podarunki. Spodziewany także poseł moskiewski.

„Z Szwecyi słychać o jakichś niepokojach i że król idzie do Sztokholmu w pięć czy sześć tysięcy wojska.“

Warszawa, dnia 22 marca 1680 roku.

Po przedmiotach obcych Polsce i uwiadomieniu, że w Warszawie otrzymano ugodę xięcia luxemburskiego zawartą z dyabłem tak mówi dalej:

„Oczekujemy tu wielkiego posła moskiewskiego. Gdyby ci ludzie byli szczerzy; gdyby można ufać ich słowu i połączyć ich propozycye z propozycyami cesarza jegomości co do ligi odpornej przeciw Turkom; gdyby, mówię, te dwa mocarstwa chciały się szczerze sprzymierzyć z Polską, możnaby z pewnością zatrwożyć Turka. Ale na nieszczęście, niepodobna już w tych czasach spuścić się na słowo panujących; nikt już teraz nie zawiera przymierza w interesie dobra powszechnego: każdy ma swój interes prywatny na celu, a ci, którym się na tem polu udaje, uważani są za najzręczniejszych.

„Xiążę Radziwiłł, którego król jegomość wyprawił zeszłego roku w poselstwie do Rzymu, miał szczególną wytrwałość wytrzymać całe lato na pograniczu Włoch, nie mogąc niktórędy dostać się w głąb kraju, dla grasującego wszędzie morowego powietrza. Nareszcie wszedł do lazaretu weneckiego dla odbycia tam kwarantanny, którą wysiedziawszy, jest już zapewne w tej chwili w drodze do Rzymu, dla umówienia się z papieżem o środki, jakimiby Turka za Dniestr można wyrzucić. Byłoby to rzeczą wielce pożądaną tak dla Moskwy, jako też dla Polski i dla Niemiec, bo kraj ten całkiem jest odkryty od ściany tureckiej.“

Warszawa, dnia 29 marca 1680 roku.

„Nadmieniłem już, że oczekujemy tu wielkiego posła moskiewskiego. Nazywają go wielkim, dla odróżnienia go od posłów zwyczajnych; tak zaś jedni jak drudzy mają ogólną nazwę posłanników, *legati*. Car wyprawił go, aby naglił króla o zawarcie ligi przeciw Turkom. Cesarz niemiecki chce wejść do tej ligi, ale tylko w celu odpornym, bo się boi o Węgry. Jest on znowu w nieporozumieniu z rokoszanami węgierskimi. Sprawy tamtejsze miały się ku ugodzie, cesarz był im już nawet powyznaczał stanowiska wojskowe, które w części pozajmowali; ale widząc, że je-

nerał Strasoldo chciał wojskiem swojem poobsadzać pasy, któreby im mogły posłużyć do odwrotu, taką powzięli ku niemu nieufność, że porozumiawszy się wszyscy na koń wsiedli i odjechali. Arcybiskup Strygoński, będący pośrednikiem do zgody, wysłał za nimi namawiając ich do powrotu, a razem zaręczając, że Strasoldo będzie za to od cesarza naganionym. Ale oni utrzymują przeciwnie, że jeżeli go cesarz nagani, to jedynie dla tego, że mu się jego zamiar nie udał; gdyby zaś był mógł odciąć im odwrót, byłby niezawodnie otrzymał za to pochwałę: nie chcą przeto słyszeć o żadnej ugodzie. Może być, że pobyt wielkiego wezyra w Białogrodzie, daje im nadzieję otrzymania posiłków. — U nas tu wielka skłonność do wojny, to jednak pewna, że potrzeba choć jakich takich posiłków byle rzeczywistych, aby ją korzystnie prowadzić.

„Gazety niemieckie głoszą pod rubryką z Paryża, że wywieziono z bastylli mnóstwo trumien; niewiadomo wszelako, jakie to były exekucye.“

Warszawa, dnia 5 kwietnia 1680 roku.

... „Słychać tu ciągle o rozruchach w Szwecyi z powodu zamiarów króla, który, jak powiadają, chce zaprowadzić rząd absolutny na wzór Danii, będącej dziś w większem poważaniu, niż kiedy była elekcyjną. W ogóle biorąc, rząd monarchiczny doskonalszy jest od demokracyi albo arystokracyi; śród wolności niczem nieograniczonej człowiek bardzo łatwo skłania się ku złemu, od czego nawet aniołowie w niebie nie byli wyjęci.

„Wojna z Turkiem liczy u nas nie mało zwolenników; i papież jak słychać, ma powiększyć swoję ofiarę więcej jak o połowę, przyrzekając nadto znaczną pomoc z dziesięcin. Aby się o wszystko stanowczo umówić, oczekiwany tu poseł moskiewski, który jedynie w tym celu przybywa. Słychać, że już i cesarz chce przystąpić do ligi odpornej i zaczepnej, byle tylko była ogólną; tak przynajmniej mówią tu o tem. Co to jednak za niewygoda z takim rządem jak tutejszy, gdzie nic nie można postanowić bez zwołania sejmu, nie tylko co do nakładu na koszta wojenne, ale i co do wyrozumienia zdań w ogole, przyczem tajemnica nie mo-

że być w żaden sposób zachowana. Jeśliby Turek wtargnął tu w wielkiej sile, nie może się utrzymać długo dla braku dostatecznej żywności, a zmuszony rozpuszczać zagony po krajn, straci wojsko bez korzyści; gdyby zaś wkroczył w małej sile, będzie pobity. Wcale inaczej ma się rzecz na Węgrach, w kraju obfitym gdzie Dunajem sprowadzać można żywność dla wojska i dla fortec pobliskich: ku tej więc stronie zmierzają wszystkie zabiegi Turków, kiedy mają zamiar obrócić się na Włochy i dla tego to więcej oni sobie ważą nabycie jednej twierdzy na Węgrach niż posiadanie całej prowincyi w Polsce; Polaków zaś starają się ścisnąć zewsząd aby im nie przeszkadzali w ich zamysłach."

Warszawa, dnia 12 kwietnia 1680 roku.

..."Co się tycze zarzutów, o których gazeta francuska wspomina, że je biskup poznański [1]) królowi uczynił, te są prawdziwe; ale to u nas rzecz cale nie nowa. Senatorowie i posłowie mają prawo czynić je na sejmach królom swoim i zawsze im je czynili ile razy choć najmniejsze mieli podejrzenie, że ci przeciw ustawom narodowym postępują, lub że mają jakie skryte zamiary. Dopełniają tego zwykle z głębokiem uszanowaniem, przedstawiając królom, że to co czynią jest przeciw prawom i domagają się o sejm exorbitancyj; ci zaś odpowiadają, że zarzut nie zgadza się z prawdą i na sejm gdzieby prawa z karbów wyszłe mogły być naprawione nigdy nie pozwalają. Takie przymawianie królom stanowi u Polaków część ich wolności. W obecnym wypadku biskup poznański przeprosił króla i na tem się skończyło.

"Podług ostatnich wiadomości, był jeszcze xiążę Radziwiłł w lazarecie weneckim, odbywając kwarantannę, poczem ma się udać w dalszą podróż do Rzymu. Xiądz Koryciński [2]), poseł do Hi-

---

[1]) Biskupem poznańskim w latach 1666—1687 był Stefan Wierzbowski.

[2]) Ksiądz Koryciński, nominat chełmiński, proboszcz miechowski, powracając z poselstwa zachorował w Paryżu, a nie mogąc się wyleczyć, mocno już słaby przyjechał do Torunia i umarł tam tegoż samego roku 1680. Zdaje się że to ten sam Piotr Koryciński, co był starostą rabsztyńskim nim przeszedł do stanu duchownego a bę-

szpanii, który przejeżdżał przez Paryż podczas mojej tamże bytności, powraca z swego poselstwa; uczyniono mu nadzieję, że Hiszpania dopomoże Polsce do wojny przeciw Turkom, odstępując dziesięciny stanów włoskich, — panem zaś tych dziesięcin jest papież.

„Mieszka tu u nas od pewnego czasu niejaki de Baluze, pobierający od dworu francuskiego pensyę dwoch tysięcy franków zato, aby donosił ministrom co się tu dzieje, nie mający z resztą ani żadnego tytułu, ani charakteru urzędowego. Ten, w korespondencyach swoich takie popisał rzeczy, że niemi cały dwór polski najsrożej obraził. Król, mocno zagniewany, sam własną ręką przypisał się na kilku z tych listów i posłał je margrabiemu de Bethune żądając za nie sprawiedliwości jako obrażające tak króla jako cały naród, a razem domagając się, aby tenże de Baluze bez zwłoki kraj opuścił. Nie umiem powiedzieć co te listy zawierają, wiem tylko że je posłano do Francyi; poseł zaś wyjednał u króla przyrzeczenie, że z wydaleniem rzeczonego pana de Beluze polec wstrzymać się, dopóki dlań rozkaz wyjazdu od dworu francuskiego nie przyjdzie. Tymczasem ma on ustąpić natychmiast z miejsca rezydencyi królewskiej, gdzie król żadną miarą cierpieć go niechce, kiedy wszystkie jego czynności w sposób tak obelżywy przeistacza. Zmuszony tedy oddalić się ze dworu, wyjechał ztąd o pięć czy sześć mil dalej i tam zamieszkał. U nas tu od 30 marca czas prześliczny, a choć mamy do 28 stopni ciepła, jaskółek jeszcze nie widać; zdaje się że powrócą dopiero po pierwszych deszczach."

Warszawa, dnia 19 kwietnia 1680 roku.

„Wszystkie nasze listy przytrzymane znowu zostały w tym tygodniu u kurfirszta jegomości brandeburskiego, a więc nawet trudno wiedzieć czy Paryż stoi jeszcze u podnóża Montmartre. Jak już wspominałem, jest to spór między pocztami przyległych kra-

---

dąc roku 1667 we Lwowie komisarzem, pojął za żonę Daniłłowiczównę podczaszankę, Mikołaja Daniłłowicza córkę. Sobieski (w listach swoich str. 114 Kraków 1860) mówi o nim, że to „człowiek bardzo grzeczny i uczony, dobry i kondycyi nie małej". Był proboszczem miechowskim i archidiakonem pułtuskim.

jów o pomnożenie dochodów; jedni i drudzy chcą jak największych korzyści, a jak zwykle, publiczność będzie musiała każdemu z nich zadość uczynić.

„Słychać o wielkim pośle moskiewskim, że jest już ztąd o trzy mile, jednak wedle wszelkiego podobieństwa wjazd swój do stolicy odbędzie dopiero po świętach które nadchodzą.

„Z polecenia królowej odspiewano tu w kaplicy zamkowej uroczyste *de profundis*, przez dziewięć najpiękniejszych głosów z pomiędzy tutejszych francuzów i francuzek, rzecz została wykonaną z zadowoleniem i zbudowaniem powszechnem. Królowa jeszcze nie zległa, co chwila jednak można się spodziewać jej rozwiązania.

„W Gdańsku stracono z rozkazu królewskiego jednego z tych co należeli do zburzenia kościoła ojców Karmelitów. Stronnictwo ludowe wyprawiło tu z pomiędzy siebie do króla jegomości dwunastu posłów z zapewnieoiem, że się rozkazom jego poddają; spełnienie wyroku nastąpiło też dość spokojnie, choć się obawiano rozruchu między pospólstwem. Po exekucyi zaczęły się w samej rzeczy zwady i rozterki między ludem, a ponieważ obawiano się żeby nie były hasłem do rozruchu i nie stały się podnietą do rabunku: straże miejskie dały ognia do najburzliwszych, między którymi kilku raniono a trzech zabito, poczem rozruch został uspokojony. Aby na krnąbnych i rozkazom jego niepowolnych rzucić zbawienny postrach, rozkazał król jegomość wziąć pod areszt posłów tu przybyłych; co zaś do samych naczelników rozruchu w Gdańsku pozostałych, ci mogą mieć koniec daleko gorszy.

„Niemam na teraz donieść o czem ważniejszem, jak to, że wszystkie kobiety w Warszawie biegają dziś po ulicach, pięknie wystrojone, w maskach, co należy tu do nabożestwa wielkiego piątku. Przy odwiedzaniu po wszystkich kościołach wyobrażeń świętego grobu, niezbywa także jak się można domyślić na nieprzyzwoitych zalotnikach. Mężczyzni idą na tę processyą po największej części w kapturach, z biczem w ręku, zwykle tak zasłonieni że ich trudno poznać; niektórzy z nich biczują się aż do krwi. Takie odwiedzanie grobów nazywano niegdyś we Francyi białemi processyami; zwyczaj ten, pożniej zniesiony, wprowadził był do Polski Henryk III.“

Warszawa, dnia 26 kwietnia 1680 roku.

Des Noyers użala się ciągle na pocztę brandeburską: „trzeba będzie (pisze on), chcąc niechcąc posyłać listy na Berlin, albo okrążać z nimi na Wrocław; w zeszłym jednak tygodniu zostały przepuszczone, bo prawem odwetu zatrzymano w Gdańsku pocztę królewiecką. Jak już donosiłem, ma kurfirszt jegomość brandeburski corocznie z listów na Gdańsk idących przeszło 30 tysięcy franków, a chciałby mieć podwójnie tyle: otoż ztąd spory i żądanie, aby listy szły koniecznie na Berlin; Szwedzi zaś znowu żądają, aby szły na Szczecin, jak było postanowiono traktatem pokoju Oliwskiego. Brandeburg nie będzie temu z pewnością przeciwnym, byle mu to powiększeniu jego dochodów nie przeszkadzało.

„Kalendarz o którym pan wspominasz, z przepowiedniami na rok bieżący [1]) widziałem kiedy tu jeszcze krążył w rękopismie, poźniej został ogłoszony drukiem w Wenecyi. Mówi on o sprawach publicznych dość otwarcie; mnie się jednak zdaje, że autor jego jest więcej politykiem niż astrologiem i że zanadto z pozoru sądzi o wypadkach świata. Powiada on w jednem miejscu, „że ambasador co jedzie na żółwiu i zarazę z sobą wiezie, nie otrzyma wszystkiego czego się po swojem poselstwie spodziewa.“ Łatwo się domyślec, że tu mowa o księciu Radziwille, który, bawiąc już od roku w podróży dla krajów zapowietrzonych przez które musiał przejeżdżać, dotąd poselstwa swego nie odbył. Wielkie podobiestwo, żeby go i do lazaretu na granicach Wenecyi nie przypuszczono, gdyby używając fortelu nie był tam wszedł przebrany [2]).

„Pobyt wielkiego wezyra w Białogrodzie jest rzeczą niewątpliwą, pomimo sprzecznych w tym względzie doniesień z Wiednia i z Pragi: ma to być człowiek okrutny, prawdziwy barbarzyniec, jakimi są w ogóle wszyscy Otomanie.

„Doniosłem już o rokoszanach węgierskich, że nieufność jaką

---

[1]) *Il fruguolo degli Influssi del gran Cacciatore di Lago oscuro.*

[2]) Zdaje się że i polityka jednego z mocarstw zachodnich, lidze przeciw Turkowi wzręcz przeciwnego, przyczyniała trudności, jakich książę Radziwiłł w dostaniu się do Włoch ciągle doznawał.

powzięli, postrzegłszy że im jenerał Strasoldo odwrót chciał odciąć była im powodem do zerwania ugody z Cesarzem; teraz zaś jak słychać, są niechętniejsi niż kiedykolwiek przedtem.

„Poseł moskiewski jest jeszcze ztąd o trzy mile: czeka na dzień wjazdu, który jeszcze dotąd niewyznaczony."

Warszawa, dnia 3 maja 1680 roku.

„Niewiedząc jeszcze czy poczta przywiezie nam walizę hamburską, zaczynam opisywać co tu u nas zaszło nowego. W przeszły poniedziałek, dnia 29 kwietnia, około pierwszej godziny z południa, powstała tu burza niesłychanej gwałtowności, połączona z grzmotem i deszczem nawalnym, pędzona od strony południowo-zachodniej. Wicher straszliwy, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętają, obalił część stajen królewskich z ogromnym budynkiem mającym do dwieście kroków długości, napełniwszy rozwalinami trzecią część wielkiej alei; a łamiąc grube belki sprawił taki huk jakby z wielu dział naraz wystrzelono, powywracał z korzeniem najgrubsze drzewa w ogrodzie królewskim, pozrywał dachy z wielu domów, a nawet z kościoła ojców Karmelitów i wiele innych szkód poczynił, choć burza nie trwała dłużej nad pół kwadransa. Woda na Wiśle tak się podniosła, że zatopiła wyspy i grunta przyległe. Okropny ten huragan wielkie także porobił szkody w majętności królewskiej w Wilanowie, obalił stajnią nowo zbudowaną, przyczem zostało zabitych albo pokaleczonych kilka koni wielkiej ceny. Ale bardziej niż tych wszystkich strat, żałował król jegomość drzewa z gniazdem bocianiem, które wicher z korzeniem wywrócił. Ludzie musieli się kłaść na ziemi, inaczej wicher porywał ich w powietrze i rzucał nimi daleko. Jest przytem niemało powieści o złych duchach, które w powietrzu latające widziano.

„Z wiadomości politycznych ta najważniejsza, że cesarz jegomości usilnie się stara o zawarcie z Polską ligi zaczepnej i odpornej, przyrzeka także wejść w przymierze moskiewskie i obiecuje córkę swoją wydać za królewicza Jakóba. Prawda jednak, iż równocześnie kazał ofiarować jej rękę jednemu z synów kurfirszta brandeburskiego, a razem umawia się o wydanie jej za elektora bawarskiego.

„Obaczymy, co sprawi przybycie wielkiego posła moskiewskiego, który odprawił nareszcie swój wjazd do Warszawy przedwczoraj, pierwszego maja, w orszaku wcale nieokazałym, ani świetnie, ani dworno. Należy jednak dodać na jego wymówkę, że jak słychać, wszystek prawie sprzęt podróżny zgorzał mu, kiedy przejeżdżał przez Smoleńsk. Nie miał jeszcze dotąd posłuchania.

„Tegoż samego dnia, t. j. 1 maja, o siódmej godzinie z rana, powiła królowa syna; oboje są w dobrem zdrowiu.

„Donoszą, że jednym z warunków małżeństwa króla szwedzkiego z xiężniczką duńską, jest połączenie wojska obu królów, w celu zdobycia Bremy dla Szwecyi, a Hamburga dla Danii. Widoczna więc, że cesarstwo rozpadnie się powoli, a to dla tego, jak mówi Sagredo w swojej historyi ottomańskiej, „że xiążęta chrześciańscy zajęci są wojnami między sobą, a Turcy gospodarują tymczasem u chrześcian."

Warszawa, dnia 10 maja 1680 roku.

„Wielki poseł moskiewski miał pierwsze posłuchanie na powitanie króla. Żąda pokoju z Polską i przymierza przeciw Turkom. Ma być umówiony czas, w którym komisarze wyznaczeni do traktowania o pokój, zjadą się na pograniczu dwoch państw; margrabia de Béthune ma być pośrednikiem w imieniu króla francuskiego. Poseł moskiewski, jak jest zwyczaj między ambasadorami, wyprawił do margrabiego dworzanina swego z oznajmieniem dlań życzliwych chęci: margrabia, będąc chorym na podagrę, przyjął dworzanina leżąc w łóżku. Otoż, kiedy nawzajem ambasador francuski posłał doń swego sekretarza z oddaniem mu należnej uprzejmości, Moskal położył się także do łóżka, chcąc w taki sam sposób przyjąć wysłanego doń z oznajmieniem grzeczności. Ci ludzie są bowiem niesłychanie drażliwi i wielcy formaliści we wszystkiem, co się tyczy ceremoniału.

„Słyszę, że aby wejść do ligi przeciw Turkom, żąda najprzód cesarz, aby mu Polska wyjednała zapewnienie od Francyi, że podczas wojny tureckiej nie będzie przez nią niepokojonym w posiadłościach do cesarstwa należących. Czynić takie żądanie, jest to nie ufać zaprzysiężonemu pokojowi; ale ma w tem zapewne

dwór wiedeński swoje zamiary, a jednym z głównych jest: wciągnąć Polskę całkiem w swój interes...

Warszawa, dnia 17 maja 1680 roku.

... „Poseł moskiewski znajduje tu dość przychylności dla ligi, o którą się stara, ale przede wszystkiem chodzi mu o utwierdzenie pokoju między Polską a Moskwą. W tym celu mają się zjechać komisarze na granicy województwa witebskiego; ze strony polskiej będzie ich sześciu, czterech z królestwa i dwoch z wielkiego xięstwa litewskiego, prócz posłów ziemskich. Margrabia de Béthune ma być pośrednikiem od Francyi, a hrabia Schaffgotsch ze strony cesarza. Będą także posłowie szwedzki, duński i kurfirszta brandeburskiego. Cesarz bardzo pragnie wciągnąć Polskę do wojny przeciw Turkom, bo tym sposobem ma nadzieję odwrócić ich od Węgier; i Moskal ma taki sam zamiar. Obu mocarstwom wiele na tem zależy, ażeby Polska została zwycięską; w razie bowiem przeciwnym położenie ich znacznieby się pogorszyło. I Polacy mają w tem wielki interes, aby przeszkodzić Turków w usadowieniu się na Podolu. Słychać, że przybywa ich 40 tysięcy do wytknięcia granic i wystawienia mocnej twierdzy, o trzy mile od Trębowli, w Jazłowcu. Jeżeli się im uda zamysł ten do skutku przywieść, to nie łatwo ich będzie ztamtąd wyprzeć.

„Mówią, że Hiszpania przyczyni się do wydatków na wojnę turecką, odstępując dziesięciny włoskie, t. j. z dóbr kościelnych jej należące, co głównie do papieża należy; ale to przedmiot długiej i niepewnej rozprawy. I Portugalia przyrzeka podobno także dziesięciny z swojego królestwa: wszystko to wszakże nie są posiłki rzeczywiste i rychłe, jakich tutejsze okoliczności wymagają.

„Nie wiem czy wmćpanu wiadomo, co się wydarzyło w Danii ambasadorowi szwedzkiemu. Kiedy miał mieć pierwsze posłuchanie, posłał po niego król swoją karetę, a razem dał rozkaz, ażeby oprócz karety królewskiej i ambasadorskiej, której wolno było wjechać w dziedziniec, wszystkie inne przed bramą pałacową stanęły, gdzie przybywający wysieść byli powinni. Ambasador szwedzki, który już był wysiadł, skoro mu rozkaz królewski oznajmiono, wsiadł zaraz napowrót do swojej karety nie widziawszy króla

i oznajmił, że go już nie zobaczy jak przy pożegnaniu; nie chcąc jednak wyjechać z Danii bez wyprawienia uczty, zaprosił na nią najznakomitsze osoby tamtego dworu, a między innemi i brata naturalnego królewskiego. W czasie uczty posprzeczali się xiążę z ambasadorem, który zadał xięciu kłamstwo, uchwyciwszy go za rękę; ale ten, nie wiele myśląc, uderzył go w twarz ręką wolną, i natychmiast wywróciwszy stół, porwano się do szpad, ale nikt nie został ranny. Mówią, że się potem pogodzili. Podobne wypadki zdarzają się często w zgromadzeniach północnych, zwłaszcza przy końcu uczty.

„Piszą o innym wypadku dość zabawnym, który się miał wydarzyć i w Czechach. Chłopi zbuntowawszy się tam w liczbie przeszło czterdziestu tysięcy i poraziwszy oddział wojska cesarskiego, postanowili obrać sobie króla i zgodzili się na pewnego karczmarza, człowieka odważnego, przedsiębiorczego i czujnego; jakoż ogłosiwszy go w samej rzeczy królem, postanowili dobrać mu i małżonkę, bo był nieżonatym, i nic dlań nie widzieli stosowniejszego, jak wdowę po zmarłym cesarzu: mieli już nawet posłać do niej w swaty, gdy w tem na nieszczęście karczmarz pojmany został w potyczce z wojskiem cesarskiem i natychmiast powieszony.

„Przyszła wczoraj wiadomość do ambasady moskiewskiej, że czterech baszów pod dowództwem starszego naczelnika, idzie wprost do Kijowa z piechotą i znacznym oddziałem Tatarów. Twierdza ta została podczas rozejmu w ręku Moskali, którzy zobowiązali się oddać ją Polakom jak skoro pokój będzie zawarty, utrzymując, że ją zajęli dla tego jedynie, żeby nie wpadła w ręce Turków.

Warszawa dnia 24 maja 1680 roku.

...„Poseł moskiewski, a prawdziwiej mówiąc, posłowie, bo ich jest dwoch — są już na wyjezdnem. Ostatnim ambasadorem od rzeczypospolitej do Moskwy był xiążę Czartoryski [1]), który

---

[1]) Xiążę Michał Jerzy Czartoryski, wojewoda podolski, starosta wiślicki, jeździł w poselstwie do Moskwy roku 1678. Jan Kazimierz

cierpiąc na podagrę a z tej przyczyny nie mogąc chodzić, kazał się nosić w lektyce na audyencyę u cara. Otoż i jeden z obecnych tu posłów moskiewskich, choć zdrów zupełnie, każe się także nosić w lektyce na posłuchanie u króla, ażeby ściśle oddać wet za wet; bo nie chcą aby szczegół jakikolwiek, choćby najmniejszej wagi mógł być tłómaczony jako przedstawiający w czemkolwiek wyższość nad nimi.

„Wspomniałem już, że kiedy posyłali z uczczeniem do margrabiego de Béthune, leżał on wtedy w łóżku będąc chorym na podagrę, a ponieważ zatrzymano dworzanina przez parę chwil, zapewne ażeby łóżko poprawić czy pokryć, ichmości moskiewscy postąpili sobie tak samo, kiedy margrabia posłał do nich z oddaniem komplementu: posłannika jego zatrzymano u drzwi w sam raz przez tyleż czasu, ile ich dworzanin czekać musiał u margrabiego, — mówiąc, że pan ambasador kładnie się do łóżka. Poźniej, kiedy sobie wyznaczyli godzinę na zamku u króla, gdzie się mieli zejść dla widzenia się, wybrano na ten cel salę mającą wejście z obu stron: weszli tam tedy równocześnie każdy z swojej strony, a rozmówiwszy się wyszli w taki sam sposób. Posłowie ci, jak wspomniałem, mają się już do wyjazdu. Nie wiem jeszcze co postanowiono, ale rzecz ta, choć powinna zostać tajemnicą, pewnie się niezadługo rozgłosi

„Każdy z sześciu komisarzy wyznaczonych do zawarcia pokoju z Moskwą, będzie miał po czterdzieści tysięcy złotych, każdy zaś z dwunastu posłów ziemskich po dwadzieścia tysięcy.

„Margrabia d'Arquien, ojciec królowej, zapadł na febrę trzeciaczkę, która jednak już się cokolwiek zmniejszać zaczyna.

„Niesłychać tu już o podróży dworu naszego do Prus królewskich; król jegomość uda się raczej na Ruś, zkąd łatwiej mu będzie mieć baczne oko na przygotowania i ruchy tureckie."

Sapieha, wojewoda połocki, towarzyszył mu jako poseł wielkiego xięstwa litewskiego; sekretarzem legacyi był Komar, sędzia orszański. Ciekawe opisanie tego poselstwa czytać można w dziele: *Legatio Polono-Lithuanica in Moscoviam a teste oculato Bernhardo Tannero. Norimbergae 1689. in 4o.*

Warszawa dnia 31 maja 1680 roku.

...„Poseł moskiewski nie wiele tu sprawił; miał on tylko upoważnienie do ligi odpornej przeciw Turkom, dwór zaś tutejszy chce ligi zaczepnej, aby się nie dać osiedzieć Turkom na Ukrainie, których chce koniecznie wypędzić za Dniestr, a nawet i za Dunaj, jeżeliby to być mogło. Moskal zaś chce ligi o tyle tylko, o ile mu jest potrzebną do utrzymania się w posiadłościach na Ukrainie do Polski należących. O pośle tym mówią, że to człowiek dowpcipny i śmiały. Kiedy podczas jego audyencyi dygnitarze polscy otaczający króla rozmawiali cokolwiek głośniej niżby może należało, a między nimi najbardziej było słychać kuchmistrza koronnego, poseł moskiewski, któremu to przeszkadzało, przerywając mowę, którę miał do króla, odezwał się do niego: „Mości kuchmistrzu, proszę cokolwiek ciszej; wszakżeście tu nie w kuchni..," a obróciwszy się potem do króla, rzecz swoją dalej prowadził. Trzeba czekać na rezultat poselstwa, które król ma wyprawić do cara; zdaje się jednak, że poseł polski nie więcej sprawi od moskiewskiego.

„Sprawa poczt dotycząca jeszcze niezałatwiona. Kurfirszt jegomość brandeburski przysłał tu swojego urzędnika z oznajmieniem, że ta kwestya jest czysto pieniężną, i że traktatu trwającego od lat trzydziestu nadal wykonywać nie będzie.

Warszawa, dnia 7 czerwca 1860 roku.

„Zapomniałem donieść w zeszłym tygodniu o wypadku który się wydarzył w Krakowie. Dnia 23 maja, podczas burzy, uderzył piorun w wieżę ratuszową i zapalił ją; wszczęty ztąd pożar ogarnął w oka mgnieniu wyższą część wieży, a że pokrycie jej było z cyny angielskiej, stopił je, poczem wieża z okropnym łoskotem runęła [1]. W chwili uderzenia gromu, płyn elektryczny wpadł wężykiem aż na odwach, obiegł izbę i zostawił na palcu

---

[1]) Nieznalazłem o tym wypadku żadnej wzmianki w Wiadomościach Ambrożego Grabowskiego o Krakowie (1852), ani mogłem sprawdzić, czy w któremkolwiek innem tego rodzaju znaleziono tam jaką monetę lub medale złote. Co zaś do monety z VI wieku, jest to widoczna bajka; denary piastowskie z czasów Bolesława Chrobrego są dotąd, ile wiadomo najdawniejszą monetą polską.

jednego z żołnierzy znak siny jakby od pierścienia, nic mu zresztą złego nie zrobiwszy. Ogromna bania, będąca na wieży ratuszowej upadłszy, rozbiła się: znaleziono w niej żelazną szkatułkę z medalami złotemi i różną monetą z szóstego i poźniejszych wieków, t. j. z czasów Leszka i panujących po nim xiążąt; od zbudowania wieży niema wszelako więcej jak około trzysta lat. Król jegomość chce widzieć te medale i mają mu być przysłane. Lud, wszędzie i zawsze zabobonny, utrzymuje, że ten pożar oznacza wojnę turecką; a Włosi, których bardzo dużo mieszka w Krakowie, rozgłaszają co zauważano w Wenecyi: że wojnę z Turkiem poprzedzał zawsze piorun, uderzający zwykle w którą z dzwonnic kościelnych, lub wieżyc miejskich. Ale najwięcej postrachu rzuciło między lud to, że w piątek 31 maja, krwawy deszcz padał na chusty rozwieszone ponad brzegiem rzeki i na drzewo tamże zgromadzone.“

Warszawa dnia 14 czerwca 1680 roku.

„Poseł moskiewski nie odjechał jeszcze, ale mówią z pewnością, że ma wyjechać w przyszłym tygodniu. Ambasador polski, którego król jegomość ma wyprawić do Moskwy, umówi się tam tak o pokój między dwoma państwami, jak o wszystko czego tu nie można było załatwić, a mianowicie: co Moskale mają wrócić, a co zatrzymać Będą w tem niemałe trudności; bo i Turcy zechcą się w to mieszać i Szwedom dużo na tem zależy, ażeby graniczyli raczej z Polakami niż z Moskalami. Inni książęta, którzy posłów swych na ten zjazd wyprawiają, nie mają w tej sprawie bezpośredniego interesu.

„Baron Lilienkrantz, który tu bawił dość długo w charakterze posła dworu szwedzkiego, powraca znowu, aby być obecnym przy traktacie pokoju z Moskwą.

„Z Rzymu nadeszła tu wiadomość o zgonie wielkiego mistrza maltańskiego *Cottoner*, i o wyobraniu na tą godność *Don Gregorio Caraffa*, rodem Neapolitańczyka.

„Podług doniesień z Wenecyi doszły tam przez Raguzę wiadomości z Carogrodu, że gdy poseł moskiewski nie chciał wielkiemu wezyrowi oddać listów od cara, Turek kazał mu je odebrać

przemocą i dać mu pałki. Wiadomości dodają, że car chce się zgodzić na pokój, byle sułtan turecki ustąpił z Ukrainy i ze wszystkich krajów, które zajął z tej strony Dniestru. Na tę propozycyę wzmocnił Sułtan swoje wojsko i dał rozkaz chanowi krymskiemu, ażeby ze wszystkiemi ordami pospieszał. Słychać, że Porta myśli odmienić xięcia siedmiogrodzkiego i że już mają być o to konferencye z rokoszanami węgierskimi, których Turcy zasilają nawet pieniędzmi.

„Bardzo sprawiedliwie uczynił papież zakazując spowiednikom, aby nieprzyjmowali do konfesyonałów kobiet zbytnie obnażonych, są one bowiem często potężniejszą pokusą od dyabła; co się zaś tego tycze, aby do kazań nie mięszali bredni i banialuk, bardzo wątpię, aby go w tem u nas usłuchano.

„Liga dotąd nie zawarta, a choć Turcy uzbrajają się potężnie, my siedzimy spokojnie, ani myśleć o zaciągach; aby nas poruszyć, trzeba groźniejszych niebezpieczeństw i większej potęgi niż jest obecnie turecka!

„Margrabia d'Arquien znajduje Polskę tak piękną i wygodną, iż niepojmuje że ktokolwiek ma pieniędze, nie przebywa tu na mieszkanie. Polska wydaje mu się ziemią szczęśliwą, krajem bez troski, obfitującym we wszystko: nie dziw więc, że ani myśli o wyjeździe.

„Interes pieniężny przyjaciela wmpana chętnie wezmę na siebie, i obowiązuję się pomyślnie go załatwić z tutejszym dłużnikiem, jak tylko xiążę kurlandzki wypłaci mu jego należytość; ale oprócz papierów do tej sprawy należących, potrzeba mi jeszcze będzie z dziesięć tysięcy wojska. Przewieść prawo w trybunale nie trudno, ale mając wyrok, trzeba go z bronią w ręku wykonać, bo sędziowie uczyniwszy co do nich należy, nie mieszają się do reszty: ukrzywdzony musi uzbrajać się na własne ramię, a silniejszy zwykle wygrywa.

„Królestwo ichmość mają w przyszłym tygodniu wyjechać na Ruś: wtedy dopiero pan de Baluze powróci do Warszawy, bo mu niewolno ani się zbliżyć kędy dwór przebywa.“

Warszawa dnia 21 czerwca 1680 roku.

„Wiadomości z Niemiec głoszą, że Strażburzanie ułożyli się dobrowolnie z Ludwikiem XIV: król będzie miał u nich wolną bramę, oni zaś obsadzą miasto własną załogą i poburzą wszystkie warownie, które mają z tamtej strony nad Renem, równie jak i twierdzę nad mostem.

„Włosi nie chcą już wpuszczać do kwarantanny nikogo jadącego z Niemiec do Włoch; wszędzie pasy zamknięte dla powietrza, które pokazało się we wszystkich państwach cesarskich na pograniczu Włoch.

„Czytamy w gazecie holenderskiej, że hetman wielki litewski ukarał śmiercią jednego z pułkowników, który zaciągał wojsko dla rokoszan węgierskich i że inni oficerowie czynią takież same zaciągi. Wszystko to zmyślone, równie jak i owo doniesienie, że tu stanęła liga zaczepna i odporna. Umowy o to nie przyniosły dotąd żadnego skutku, a traktat o pokój odłożono do przyszłego roku.

„Dwór nasz odłożył na kilka dni poźniej wyjazd swój na Ruś, tak z powodu święta Bożego Ciała, jak dla wesela córki marszałka koronnego, które ma się odbyć 23 tego miesiąca. I uroczystość świętojańską pragnie król jegomośc tu jeszcze obchodzić. Zdrowie królowej nienajlepsze; powietrze warszawskie nie służy jej, lepiej się zwykła miewać na Rusi, dla tego wyjeżdża tam z królem jegomością.“

Warszawa dnia 28 czerwca 1680 roku.

...„Mamy tu ogłoszone w języku niemieckim,— w imieniu, jak słychać, króla francuskiego, — trzynaście propozycyj względem wyboru Delfina na króla rzymskiego. Przedstawione ważne korzyści, jakie ztąd dla cesarstwa niemieckiego mogą wyniknąć, zasługują na pilną uwagę...

„Kurfirszt jegomość brandeburski rości sobie prawo do dziedzictwa xięstw Brzega i Lignicy. Od śmierci xięcia lignickiego, ostatniego potomka z męskiej linii Piastów, dobijał się on nieustannie o posiadanie tych xięstw, i groził cesarzowi jegomości chrześciańskiemu przed zawarciem pokoju opuszczeniem jego stronnictwa, jeżeli się do żądań jego nie przychyli. Gdyby ci xiążęta byli

wyznawali wiarę katolicką, tron polski byłby ich z pewnością nie ominął; ale jako gorliwi wyznawcy wiary protestanckiej nie mogli mieć prawa do elekcyi.

„Zeszłej niedzieli mieliśmy tu wesele pana Marcina Kąckiego, kasztelana lwowskiego, generała artyleryi koronnej, z drugą córką podkomorzego wielkiego koronnego, Teodora Denhoffa. Obchód weselny odbywał się przez pierwsze dwa dni u rodziców panny młodej, gdzie i królestwo ichmość byli obecni; trzeciego dnia były przenosiny do domu nowożeńca: król jegomość wtedy do tańca pannę młodą, po nim uczynili to samo królowa i królewicz, z kolei przetańczył z nią ojciec i oddał ją w końcu małżonkowi. Panna młoda upadła do nóg ojcu i matce, rzewnie płacząc; poczem przetańczywszy z mężem, brał ją do tańca każdy z gości weselnych, co trwało aż do trzeciej czy do czwartej godziny po północy.

„Nazajutrz złożył król radę z powodu rozruchów zaszłych w Wielkiej Polsce, a pod wieczór wyjechał z całym dworem na nocleg do Wilanowa, ztąd o milę, gdzie pałac buduje. Z Wilanowa uda się w dalszą drogę na Ruś.

Warszawa dnia 5 lipca 1680 roku.

Heweliusz, nie otrzymując przyrzeczonych 6000 franków, o których był pisał doń Colbert, że mu je z polecenia króla francuskiego miał Fromont w Gdańsku wypłacić, żalił się o to w liście do samego Colberta pisanym; „ten sposób przypomnienia się ministrowi (czyni uwagę Des Noyers), zdaje mi się bardzo trafnie i zręcznie użytym; bo myślę, że jeżeli Fromontowi nie dano dotąd w tym względzie polecenia z Paryża, nastąpiło to jedynie przez zapomnienie. Zobaczymy, jaki to uczyni skutek.

„Donosiłem już, że traktat pokoju z Moskwą odłożony został do przyszłego roku. Dwór moskiewski nie chce ligi zaczepnej przeciw Turkowi, ale tylko odpornej: nie zawarto zaś dotąd ani jednej, ani drugiej. Moskal, słyszałem to za pewne, upiera się przy tem, że gdyby Turcy nastawali na Kijów, łatwiej mu będzie obronić go, niż nam. I to jest prawda, bo do obrony twierdz są Moskale bardzo zdolni.

„Powiadają o ojcu Józefie Emeryku, kapucynie węgierskim, że to człowiek światły i ukształcony, a tak przywiązany do cesarza jegomości, jakby był własnym jego synem: mówi z nim z niesłychaną swobodą i otwartością, i cesarz jegomość ma też w nim wielkie zaufanie. Ale ministrowie przeciwni są zwykle wszystkiemu, co cesarz z ojcem Józefem uradzą i niczego nie wykonywają. Tenże ojciec Józef jest bardzo słabego zdrowia, bo już prawie nie może się trzymać na nogach, a jednak chce jeszcze miewać kazania co święto i co niedziela; na ambonę trzeba go wnosić i sadzać na krześle: dobrze zresztą mówi, tylko w ogóle przedsiębierze więcej, niż siły jego pozwalają.

„Młody hrabia de Serin zmuszony był wydać cyfry, których używał w korespondencyi z Tekelim: wyczytano więc przejęte listy, ale słychać, że nie znaleziono w nich nic kryminalnego i że przeto został na wolność puszczony. Wszystkie jednak dobra hrabiego Zinzendorffa na skarb zostały zebrane, a cesarz wyznaczył mu tylko bardzo szczupłą pensyę dożywotnią. Rokoszanie grabią i pustoszą Morawy bez najmniejszego oporu, tak słabe siły ma cesarz. Dom jego chyli się widocznie do upadku, a są tacy coby już woleli Turka.

„Dwór nasz wyjechał trzeciego tego miesiąca, we środę, do Jaworowa. Zmartwiło króla mocno, że szlachta wielkopolska osądziła i skarała na gardle niejakiego Cibona, sprawcę rozruchu w Środzie, gdzie trzymano urzędników miejskich przez trzy dni bez chleba, zamkniętych w ratuszu: byłto rozruch na kształt gdańskiego. Ten Cibon miał od króla list bezpieczeństwa; pomimo tego starosta miejscowy, za zdaniem przeszło trzystu szlachty, kazał go ściąć, mówiąc: że gdyby sobie postąpiono tak w Gdańsku, nozruchy nie byłyby trwały tak długo. To króla bardzo zmartwiło.

„W przededniu jego wyjazdu, to jest we wtorek, jeden z kozaków pokojowych, którego król bardzo lubił, bawiąc się w łódce na kanale wilanowskim, wpadł do wody i utonął; tegoż samego dnia niedźwiedź biały którego tam chowają, rozdarł ulubionego pieska królewica Jakuba: wszystkie te wypadki zasmuciły dwór; kobiety osobliwie dużo złego ztąd wróżą. Rozeszła się także wiadomość, jakoby Tatarowie podejść mieli i zabrać kilka chorągwi

polskich; ale to jeszcze rzecz wcale niepewna, równie jak i ta pogłoska, że sułtan rozdał Tatarom puste pola, aby tam osiadali, co gdyby się sprawdziło, byłoby niezawodnie najgorszą ze wszystkich nowin... Mówią także, jakoby sułtan miał zamiar przenieść na Ukrainę wszystkę ludność wołoską i multańską, a na jej miejsce zaprowadzić osady mahometańskie.

Warszawa, dnia 12 lipca 1680 roku.

„Znane są bez wątpienia wmćpanu artykuły ogłoszone drukiem w Niemczech (w Frankfurcie), mające na celu elekcyę Delfina na króla rzymskiego. Mówią tu, że p. Verius przedstawił go już urzędownie w Ratysbonie; żądając, aby był zarazem mianowany władcą udzielnym królestwa austryzyjskiego. Jeżeli, jak mniemam, rzecz ta przyjdzie do skutku, tedy hr. de Flisco będzie tryumfował w swojem: *Monarcho futuro,* drukowanym w Lyonie roku 1662 u Jakóba Rossin, gdzie jest wzmianka o nader wątłem położeniu domu austryackiego. Mam Centurye Jana Belot, drukowane roku 1662, w których przepowiedziana jest w całej rozciągłości rewolucya portugalska; prawda, że autor mieści ją pod rokiem 1637 i 38, wybuchnęła zaś dopiero w roku 1640; według wszelkiego jednak podobieństwa, musiała przygotowywać się na parę lat przedtem, a więc niepomylił się autor [1]).

„W Rzymie nie przestają odmawiać xięciu Radziwiłłowi tytułu wasza wysokość; a jednak był to główny powód, dla którego podjął się tego poselstwa. Ambasadorowie innych dworów mieli oświadczyć, że gdyby go uczczono altecą i oni zażądaliby natychmiast takiego samego tytułu; ja zaś dodaję, (pisze Des Noyers), że gdyby go przyznano xięciu Radziwiłłowi, wszyscy senatorowie polscy chcieliby mieć także taki sam tytuł.

---

[1]) Nie chciałem pominąć miejsc tego rodzaju, choć są z dziejami sprzeczne, aby pokazać, jak przepowiednie, prognostyki, horoskopy i tym podobne praktyki, były jeszcze w ówczas powszechnie we zwyczaju; astrologia chodziła z polityką w parze: najświaitlejsi ludzie nie byli wolni od jej wpływu, co, choć stanowiło niegdyś główną cechę średnich wieków, przeciągnęło się wszelako, jak widzimy, aż do końca wieku XVII.

„Od czasu jak dwór nasz opuścił Wilanów, niemamy z tamtąd żadnych wiadomości; słyszeliśmy tylko, że się miał zatrzymać przez kilka dni w Pielaskowicach, majętności dziedzicznej króla.

„Basza kamieniecki pisał list uprzejmy do wojewody ruskiego, hetmana polnego koronnego donosząc, że ma wyraźny rozkaz od Porty żyć z Polską w jak najlepszem porozumieniu, że zatem rzeczpospolita niema się niepokoić wojskiem do Kamieńca przysłanem: to wojsko ma bowiem służyć tylko za przystawę do żywności, którą sprowadzili z sobą baszowie do rozgraniczenia obu państw wyznaczeni Wojsko to wynosi, oprócz dziesięciu do pietnastu tysięcy Turków, około 20.000 Tatarów i jest dostatecznem do urządzenia granic wedle życzeń Porty; należy się tylko obawiać, żeby ich nie chcieli zanadto daleko posuwać.

„Margrabia de Béthune bawi jeszcze w Warszawie, ale wybiera się w podróż za dworem

„Po wyjeździe ztąd królestwa ichmości, zakradli się złodzieje do pokojów zamkowych i wielkie tam poczynili szkody, poodrzynawszy złote frędzle i lamy u obiciów przedstawiających stworzenie świata: obicia te wielkiej ceny, szacowane są więcej jak na sto tysięcy czerwonych złotych.“

Warszawa, dnia 19 lipca 1680 roku.

...„Chcąc zawrzeć pokój z Moskwą, byłoby trzeba odstąpić Turkom Kijów, którego Moskale postanowili bronić do upadłego, i nie oddadzą go chyba siłą do tego zmuszeni: my zaś nie lubimy się waśnić z nikim, wyjąwszy między sobą, a choć nas kto nawet gwałtem do kłótni przymusza, to wolimy raczej za pomocą złotego mostu punkta sporne załatwiać, jak się siłą orężną przy swojem utrzymać. Inaczej postępowali niegdyś królowie polscy: dyktowali prawa sąsiadom, gdy przeciwnie teraz, my je od nich przyjmujemy.

„Rokoszanie węgierscy ani już wspominają o ugodzie z cesarzem, ale żądają zupełnego przywrócenia praw swoich. Są wieści niewątpliwe, że Turcy przysyłają im w posiłek ordy tatarskie, które ów kraj nieszczęśliwy do reszty spustoszą.

„Dwór nasz bawi jeszcze w Pielaskowicach, zkąd, jak słychać, ma wyjechać jutro do Jaworowa.

„Baszowie, przybyli do Kamieńca, wysłali czausza z listami do króla jegomości, zawiadamiając, że są tam dla urządzenia granic, a razem żądając, aby król raczył wysłać spiesznie do nich komisarzy w tymże samym celu; gdyż inaczej, wojsko ich będzie musiało wejść w głąb kraju dla szukania żywności. Jest z nimi, jak słychać, około 30.000 ludzi. Wojewoda ruski, dowodzący wojskiem polskiem, radzi nie uważać bardzo ściśle na rozległość granic, aby nie przyjść do sporu z nieprzyjacielem daleko silniejszym, gdy my w niczem zgoła nie jesteśmy przygotowani. Wkrótce pokaże się jak z tej trudności wybrniemy, i czy wymagania Turków nie będą większe nad to, co im traktatem pokoju obiecano.

„Margrabia de Béthune wyjechał w przeszły wtorek (16 lipca) do Pielaskowic; ma powrócić ztamtąd za dwa dni, a wziąwszy z sobą żonę, udać się za dworem do Jaworowa.

„Z Paryża donoszą, że biskup belowacki (Forbin-Janson) ma przybyć do Polski; ja myślę, że to postanowiono było w ówczas, kiedy margrabia de Béthune, miał być użytym za pośrednika do traktatów pokoju między Polską a Moskwą; gdy zaś to odłożone zostało do przyszłego roku, nie widzę coby tu miał do czynienia kto inny prócz posła rezydującego.

Warszawa, dnia 26 lipca 1680 roku.

„Że biskup belowacki ma tu z pewnością przybyć, bardzo nas to zadziwiło, bośmy się tego wcale nie spodziewali. Wedle listu wmćpana z 5 t. m. musiał on już do tej chwili wyjechać, a zapewnie przyczynił się niemało do tej decyzyi posłannik królowej do tamtego dworu. Mocno nas to jednak zadziwia, bo margrabia de Béthune jest od niej jak najlepiej widziany: choć prawda, że nie może jej zadowolić we wszystkich wymaganiach w interesie jej ojca, margrabiego d' Arquien i co do posiłków pieniężnych na wojnę turecką, bo to od niego nie zależy; jak równie prawda, że pragnął być odwołanym i usilnie o to prosił, nim jeszcze była mowa o pośrednictwie pokoju. Co się tycze odłożenia na inny czas wojny przeciw Turkom, o co ma nowy poseł czynić przedstawienie, do tego bardzo jesteśmy skłonni nawet

bez niczyjego żądania, jakto już wmćpan widziałeś z listów moich poprzednich, bo dotąd nie uczyniono tu najmniejszego przygotowania nawet do wojny odpornej, gdyby Turek przeciw nam zaczepnie chciał działać. Pomocy rzeczywistej nie przyrzekł do tej chwili sam nawet papież, który z pomiędzy xiążąt chrześciańskich najbardziej sobie życzy wojny, i nic zapewne nie da, dopóki się wojna nie zacznie. W skutek tego i xiążę Radziwiłł, któremu niechciano dać tytułu *altecy*, miał posłuchanie u papieża nie jako ambasador, ale tylko jako xiążę, i traktowany był tytułem jego xiążęca mość. Cesarz z swojej strony niema także ochoty rozpoczynać wojny z Turkiem, ale pod pozorem Turka chciałby wciągnąć Polskę w ligę odporną przeciw wszystkim nieprzyjaciołom swoim.

„Dwór nasz bawi dotąd w Pielaskowicach, pod Lublinem, czekając jak się zdaje, na propozycye tureckie w sprawie granicznej bo może przyszłoby się cofnąć, gdyby wymagania Turków były zanadto wielkie.

„Pani kanclerzyna koronna, siostra królowej, zległa dziś rano i powiła dwoje dzieci, syna i córkę; ale ponieważ była dopiero w siódmym miesiącu i że dzieci bardzo wątło na świat przyszły, nikt nie myśli żeby się mogły chować.“

Warszawa, dnia 2 sierpnia 1680 roku.

„Czekamy tu na przybycie biskupa belowackiego. Jak słusznie u dworu wersalskiego myślano, dostojny ten prałat może mieć wielki wpływ na umyśle królowej polskiej, byle tylko miał ją czem zadowolić; inaczej bardzo wątpię, ażeby sprawił więcej niż margrabia de Béthune. Tej zimy będziemy mieli sejm, jak się zdaje bardzo trudny, pełen zabiegów i intryg, a margrabia de Vitry znajdzie nie mało ambarasu pośród ludzi których nie zna i od których sam nie będzie znanym, mając zwłaszcza potężnych przeciwników w ministrach cesarskich, znających kraj od dawna, i zostających z przedniejszymi panami w ścisłych stosunkach przyjaźni. Niewiem kto doradził, aby margrabiego de Béthune ztąd odwołać gdzie dobrze znajomy, gdzie ma dużo przyjaznych stosunków i gdzie zjednał sobie jak najlepsze u wszystkich zachowanie przez szczere, otwarte i hojne postępowanie swoje. Zape

wne, nie mógł on tu dopiąć wszystkiego co od niego żądano; ale bezwątpienia byłby w stanie niedopuścić ligi z cesarzem, którą usiłują zawrzeć i z pewnością zawrą za pośrednictwem królowej, jeżeli ta w żądaniach dla domu swojego nie będzie zaspokojoną. U dworu wersalskiego myślą że margrabia, jako spowinowacony z królową, przez wzgląd dla niej, tai niektóre rzeczy, albo je w innem świetle przedstawia. Ale ci co przyjdą po nim, znajdą trudności daleko większe, niż się tego spodziewają. Margrabia żył tu wspaniale i wystawnie, podejmując wielkie koszta: ci co po nim zechcą żyć skromnie i oszczędnie, mniej jeszcze sprawią od niego. W kraju tym panuje nieład i zamieszanie; każdemu zdaje się że jest panem i niejeden silnie się nieraz opiera królowi przez czysty kaprys, lub żeby sobie jakąś powagę zjednać; kiedy chciano koniecznie zmienić ministrów, trzeba choć było poczekać aż będzie po sejmie, bo nowo przybyły poseł znajdzie się tu w nie małym kłopocie.

„Z dworu naszego mało mamy wiadomości. Przybyły ztamtąd pewien jegomość opowiada, że czausz przysłany z Kamieńca jest człowiek dość dumny; że list oddany przezeń królowi, napisany był w wyrazach prawie groźnych: wyrażono w nim żądanie, aby król wysłał co rychlej komisarzy swoich na pogranicze, albowiem wojsko tureckie nie może tam pozostać bezczynne. Czausza tego rozkazał król wspaniale ugościć i hojnie odprawić; powracającego przez obóz polski, przyjął tak samo wojewoda ruski, Jabłonowski, hetman polny koronny. Król dał hetmanom pełną moc w tej sprawie granicznej, polecając im aby się nie sprzeciwiali Turkom, jeżeli w pretensyach swoich nie będą zanadto wymagalnymi. Co to z nas za dobrzy i uprzejmi ludzie! sami nakrywamy stoły i płacimy skrzypków za tych, co nam każą skakać jak im się podoba. Robimy dużo hałasu, ale złego nic — tylko samym sobie.

„Dwór nasz miał opuścić Pielaskowice: jestto wieś nie wielka, a dom w niej tak szczupły, że zaledwie dla samej rodziny królewskiej wystarcza; Jaworów jest znacznie większy i wygodniejszy, ale nikt sobie w nim nie podoba: dwór przeto ogranicza się tam zwykle na liczbie osób bardzo małej; bo do Jaworowa ten

tylko przybywa, kto tam ma konieczną potrzebę. Królestwo ichmość najlepiej tam lubią bawić.

„Margrabia de Béthune przysłał do Warszawy po swoje dzieci; bierze je z sobą na Ruś, aby się i one z dworem mogły pożegnać. Margrabia wyjedzie dopiero po przybyciu biskupa belowackiego, który mu ostateczne polecenia ma przywieść".

Warszawa, dnia 9 sierpnia 1680 roku.

„Podróż króla jegomości pokrywa jakąś tajemnicę. Przyszedł tu był rozkaz ażeby margrabia de Béthune spiesznie doń przyjeżdżał; ten zaś, (druga tajemnica), choć się już od niejakiego czasu udał za dworem, nie wiedzieć gdzie dotąd bawi, bo go ani w Pielaskowicach ani w Jaworowie nie ma i żadnego listu dotąd od niego nie było.

„U nas tu nic nie słychać ani o Tatarach, ani o Moskalach; ale z Wenecyi zapewniają nas, że baszowie mają rozkaz posunąć granicę aż na siedm mil pode Lwów, Polacy zaś nie są bynajmniej przygotowani aby się temu oprzeć. Z Rzymu piszą, że papież odradzał xięciu Radziwiłłowi wszelkimi sposobami, aby wjazdu nie odprawiał; że lepiejby oszczędzić ten wydatek na coś pożyteczniejszego. Ale xiążę upiera się koniecznie przy swojem. Od opłaty cła, co wszystkim służy ambasadorom, papież go nie uwolnił. Nikt, prócz jego domowników, nie daje mu tytułu *altecy*, a ponieważ *excelencyi* nie chce, traktują go w trzeciej osobie, przez *lei i ella*. Jest on z xiążąt mianowanych przez cesarza, co w Polsce żadnej nie daje rangi.

„Dwór nasz przejął niektóre listy rezydenta królowej Eleonory, bawiącego tu dla jej prywatnych interesów. Król wezwał go do dworu aby się z tego sprawił: rezydent wymawia się, że nic do swojej Pani nie pisał jak tylko co się jej interesów tycze; że jej o wezwaniu królewskiem doniesie i że będzie stosował się do rozkazów jakie w tej mierze otrzyma. Nie mogłem się dowiedzieć co mu zarzucają; napisał zapewne coś nieostrożnego z obrazą króla albo krajn. Zdaje się, jakoby ta pani nie straciła jeszcze nadziei powrotu do Polski i że stara się utrzymać ją w swoim małżonku, któremu się jakoś w niczem nie wiedzie. Mówią, że ma

być mianowany gubernatorem na Szlązku: co jeśli przyjdzie do skutku, da mu sposobność czynienia tu praktyk dla siebie i dla domu rakuskiego, bez których się zapewnie nie obejdzie.“

Warszawa, dnia 16 sierpnia 1680 roku.

... „Xiążę Radziwiłł nie przestaje czynić przygotowań w Rzymie do uroczystego wjazdu, co mu jednak nie przyniesie żadnej korzyści. Trębacze jego spierali się o pierwszeństwo z trębaczami ambasady hiszpańskiej, cały prawie Rzym zebrał się na placu hiszpańskim aby się dowiedzieć, przy kim będzie wygrana. Ale ci trąbili i pili tak długo, że się wszyscy słuchacze rozeszli; nareszcie i szynkarz zniecierpliwiony nie chciał im już dawać wina, i wypędził ich z gospody. Trębacze ambasady hiszpańskiej, Niemcy, mający nadzieję wygranej, bardzo o to urażeni, zanieśli na owego gospodarza skargę do ambasadora hiszpańskiego, który mu z tego domu, jako należącego do ambasady, natychmiast kazał ustąpić.

„Mogę wmpana zapewnić, że pan Akakia nie wprowadził do Siedmiogrodu ani jednego oficera i że miał z sobą własnych tylko służących; wiem także, że pojechał tam ze wstrętem, bo jest to kraj gdzie nic nie można zrobić bez kieliszka, a on zwykle wodę tylko pija. Bardzo będzie trudno komukolwiek zdziałać tam więcej, niż zrobił margrabia de Béthune, choć nawet nigdy tam nie był; i nie pojmuję wcale dlaczego dwór francuski odwołuje go ztąd, jeśli ma zamiar popierać dalej sprawę węgierską. Królestwo ichmość polscy zdają się być dotknięci jego odwołaniem. Ma on wyjechać około 20 t. m., będzie jednak musiał zabawić jeszcze przez niejaki czas w Warszawie dla sprzedaży ruchomości na wypłatę długów, które zaciągnął służąc swojemu dworowi. A nikt inny, to wiem z pewnością, nie zdoła sprawić na Węgrzech co on tam zrobił za pośrednictwem licznych przyjaciół, których umiał sobie tu zjednać, przyjaciół do jego tylko osoby przywiązanych, a dla Francyi całkiem obojętnych. Sprawił on swoimi wpływami podczas wojny francuskiej w Niemczech, silną dewersyę na Węgrzech, pomimo wszelkiej opozycyi tutejszego dworu, hetmanów koronnych i dekretów rzeczypospolitej, i bardzo wątpię aby kto

inny mógł choć w części tego dokonać, jeżeli nie będzie równie hojnym i przystępnym dla wszystkich. Długi jego wynoszą na dwanaście do pietnastu tysięcy talarów, które aby wypłacić, musi się ze wszystkiego wyprzedać, albo się ogłosić za bankruta, czego zapewne nie zechce uczynić.

„Cesarz nie posyła już xięcia lotaryńskiego na gubernatora Szlązka, ale ma go mianować wice-królem Węgier, dokąd wysłano kilka pułków dla wzmocnienia wojska cesarskiego. Rząd pracuje tam ciągle nad uspokojeniem rokoszanów, a razem zbliża pomienionego xięcia ku granicom Polski, na której zdaje się pokładać wielkie nadzieje na wypadek bezkrólewia: ażeby zaś te nadzieje w niwec obrócić, nikt do tego nie był zdolniejszym od margrabiego de Béthune.

„Listy od dworu naszego nie mówią ani słowa o sprawie granicznej z Turkiem; ani donoszą o czem innem z rzeczy ważniejszych; dowiadujemy się tylko, że wojewoda ruski a hetman polny koronny mocno chory: jest on jednym z tych, którym król jegomość tę sprawę zalecił."

Warszawa, dnia 23 sierpnia 1680 roku.

... „Donoszą nam, że margrabia de Vitry był już na pożegnaniu u cesarza 6go tego miesiąca i że miał wyjechać 10go; ale nie wiadomo którędy się obróci, kiedy wszystkie pasy ztąd aż do Lińca, dla morowego powietrza zamknione.

„Wiadomość o której wmpan donosisz, jakoby wojsko tureckie przeprawić się już miało trzema mostami na tę stronę Dniestru, jest mylną. Goniec którego król jegomość wyprawił był do Carogrodu, powrócił ztamtąd do Kamieńca w dni dziewięć, a udawszy się co najspieszniej do dworu króla jegomości, oznajmił: że wojsko tureckie nie wynosi więcej nad 25.000; że stoi dotąd za Dunajem i że go zapewnie w tym roku nie przejdzie. Sułtan turecki wolałby z pewnością jednę twierdzę zbliżającą go ku Włochom, niż całą Polskę, którą może oponować kiedy zechce.

„Wiadomość o której mię wmpan zapewniasz, że Elektor bawarski porzuca stronnictwo francuskie, a łączy się z Austryą, jest rzeczą bardzo ważną; wszelako, jeżeli król angielski nie bę-

dzie w stanie wmieszać się także do tej sprawy, cesarstwo nie więcej złego uczyni, jak Hiszpanii.

„Mamy nareszcie wiadomości z pogranicza: Turcy sprawują się bardzo uprzejmie i łaskawie. Zapewnili, że poszlą tylko tysiąc koni z komisarzami do rozgraniczenia państw wyznaczonymi i aby król takąż samą liczbę wojska wyprawił. Z pomiędzy komisarzy polskich dwoch leży chorych: wojewoda ruski, o którym już pisałem i kasztelan bracławski Wyhowski.“

Warszawa dnia 30 sierpnia 1680 roku.

...„Niedawno temu zjawiło się w Rzymie dwoch proroków, kwakrów angielskich. Ci tak samo jak owi w Tuluzie, o których wmpan piszesz do mnie, miewali kazania pokutne napominając ludzi do skruchy. Ale ich wnet wysłano na osobistą pokutę, osadziwszy ich w więzieniu. To samo spotkać może i kaznodziejów tuluzkich. Byłaby to jednakowoż rzecz okrutna i barbarzyńska, gdyby i u nas miano więzić ludzi wzywających do pokuty. Muszę przy tej okoliczności opowiedzieć wmpanu wypadek dość pocieszny. Kiedym tu czytał przed kobietami ustęp listu wmpana o tych prorokach, koniec świata zapowiadających, żałowała z nich jedna bardzo szczerze, że sobie sprawiła nową suknię, kiedy jej nie będzie mogła nosić. Na to zapytała jej druga: „a czy i Warka zginie?“ bo mieszka ona zwykle w tem miasteczku. Tamta odrzekła jej, że wszystko zginie, — „a więc nic sobie już nowego nie sprawię“ odpowiedziała ta ze smutkiem. Czy macie tam w Paryżu tak naiwne i tak na śmierć zdeterminowane kobiety?

„Biskup belowacki pisał z Kolonii 2 t. m. że obrał drogę na trakt berliński; myślę zatem, że stanie tu przed margrabią de Vitry.

Warszawa dnia 6 września 1680 roku.

„Xiążę Radziwiłł odprawił nareszcie wjazd publiczny do Rzymu, który, zdaniem powszechnem, był raczej piękny i ciekawy, niż bogaty i świetny. Oddziały xiążęcego orszaku z dworzan i służby złożone, przybrane w różne stroje narodowe: polski, moskiewski, turecki i węgierski, sprawiały na patrzących widok nowy i zajmujący. Xiążę przyjmowany był wszędzie suto i okazale.

Ambasadorowie francuski i hiszpański nie wysłali karet swoich na jego spotkanie z powodu pretensyi, jaką sobie rości do tytułu *altecy*: kazał im bowiem z góry oświadczyć, w jaki sposób chce być przyjmowanym; ci zaś niechcąc aby im narzucał prawa, bo go mają za niższego w godności, postanowili nie przyjmować go u siebie. Margrabia Nani i Santa-Croce tytułowali go *altecą*, aby nawzajem mieć od niego tytuł *excellencyi*. Toż samo było z xięciem Braciano: xiążę Radziwiłł uczcił go tytułem altecy, aby i od niego taki sam tytuł otrzymać itd W relacyi wjazdu swojego do Wiednia odprawionego przedtem, którą xiążę Radziwiłł podał do druku, daje sobie tytuł *altesse sérénissime*.

„Biskup belowacki przybył tu w przeszłą niedzielę, 1 września, około południa, a margrabia de Béthune z żoną, o tym samym czasie na zajutrz i byli razem na obiedzie u kanclerza wielkiego koronnego Wielopolskiego.

„Od margrabiego de Vitry nie mamy żadnej wiadomości od czasu, jak wyjechał z Linca. Jakeśmy słyszeli, miał on jechać na Czechy; w takim razie będzie musiał wszędzie obozować w polu, bo w całym tym kraju grasuje morowe powietrze, równie jak w Saxonii. Gdzie zaś nie ma powietrza, wpuścić go także nie zechcą, jako przybywającego z miejsc zapowietrzonych.

„Margrabia de Béthune wyjeżdża ztąd jutro do Paryża pocztą, na Wielkopolskę i Berlin, nie mogąc dla zarazy jechać przez Niemcy; margrabina zaś pozostanie tu jeszcze przez jakiś czas dla załatwienia interesów i wypłacenia długów, w którym to celu dają część mebli w zastaw, a resztę wystawiają na sprzedaż.

„Nic tu nie wiemy bliższego w sprawie rozgraniczenia: słychać tylko, że oprócz Podola chcą Turcy Trębowli, Buczacza, Podhajec, Halicza, Brzeżan, Tarnopola, Wiśniowca, Zbaraża, Złoczowa, Rohatyna i całego Pokucia: wszystkie te miejsca należą do Rusi. Czas pokaże, czy nie zechcą czego i od strony Wołynia.

„Rezydent cesarski przy tutejszym dworze, baron Zierowski, wyjechał był ztąd dla dania sprawy ustnie cesarzowi jegomości o wszystkiem, co tu zaszło z posłem moskiewskim. Był jeszcze w Lincu, kiedy margrabia de Vitry ztamtąd wyjeżdżał. Cesarz dał

mu rozkaz, aby spiesznie powracał do Polski uprzedzając przyjazd posła francuskiego. Jakoż przybył tu już, obrawszy krótszą drogę niż margrabia de Vitry.

„Pan Akakia pisał do mnie z Radna, w Siedmiogrodzie, dnia 16 sierpnia, że xiążę siedmiogrodzki przybył tam na winobranie; ztamtąd miał powrócić do Belgradu, gdzie zabawi do stycznia, a potem ma wyjechać do Forgacza. Wiadomości z tamtych krajów ograniczają się na tem, że rokoszanie węgierscy są teraz spokojni, dawszy się krajowi mocno we znaki. Nie posiadają żadnej ważniejszej twierdzy, ani są w stanie zająć je; wszelako wojna jest uciążliwsza dla Niemców niż dla Węgrów. Tenże p. Akakia donosi, że nie miał jeszcze posłuchania u xięcia, ale że miał je mieć na zajutrz. Bardzo sobie przykrzy w owym kraju, gdzie nie ma ani towarzystwa, ani rozmowy dla tych, co nie przywykli do picia.

„Podług gazet zagranicznych prorocy tuluzcy przepowiadają wszystko, co się ma stać w pierwszych dziesięciu latach i że koniec świata ma być w roku 1690.“

Warszawa dnia 13 września 1680 roku.

„Podług listów z Rzymu obawiają się tam, aby nie przyszło do krwawego zajścia z przyczyny nieporozumień pomiędzy ambasadorami. Xiążę Radziwiłł miał oświadczyć: że spotkawszy się z którym z nich, nie tylko nie każe stanąć swojej karecie, ale przeciwnie, że spuści umyślnie firankę od strony przejeżdżającego. Poseł hiszpański dowiedziawszy się o tem, jechał na posłuchanie do papieża w sześć karet, z których dwie napełnione były ludźmi z nabitą bronią i tak przejeżdżał po przed gospodę xięcia Radziwiłła, ale się z nim nie spotkał. Odtąd jeździ także i xiążę mając broń przy sobie i otoczony będąc ludźmi zbrojnymi.

„Doszła nas wiadomość z pogranicza, że dnia 26 sierpnia komisarze nasi zjechali się z tureckimi w sprawie rozgraniczenia państw obu i że mieli już z nimi pierwszą konferencyę. Zawiadomieni 25 sierpnia aby się zbliżyli ku Jazłowcu, wyjechali w tysiąc koni i stanęli obozem w Buczaczu; na zajutrz 26 posunęli się ku Jazłowcu, zkąd wyjechali Turcy równie w tysiąc koni:

było między nimi trzech baszów. Na odległość kilku staj od naszych zatrzymali się. Wtedy wystąpili komisarze z obu oddziałów, zbliżając się ku sobie: Polacy, mając z sobą sześciu towarzyszów i kilku pachołków do trzymania koni; Turcy, z dziesięciu albo dwunastu spahów i janczarów. Zsiadłszy z koni, podali sobie ręce i poczęli mówić o interesie. Komisarzów naszych było dwóch Wyhowski, kasztelan bracławski i Karczewski, chorąży sanocki; między Turkami było dwoch baszów i naczelnik ich, Hussein-basza. Polacy upominali się u Turków o oddanie Czerwonogrodu i Latyczewa, a Turcy żądali jeszcze Buczacza i Potoka; a gdy nasi odparli propozycyę, posłali Turcy do Kamieńca po dokumenta, chcąc naszym dowieść, że te miejsca należą do Podola; tymczasem prosili naszych, aby nazajutrz przybyli wcześnie na miejsce konferencyi, gdzie się i oni mieli znajdować. Nasi żądali wiedzieć, ile czasu zechcą Turcy odłożyć na rozgraniczenie i czy udadzą się wszędzie i tyle czasu na to odłożyć, ile będzie potrzeba. Na tem skończyła się pierwsza konferencya. Turcy nie mają nad Dniestrem innej twierdzy oprócz Chocimia, ale uzbrajają Jazłowiec, leżący na ich i na naszem rozgraniczu. Zdaje się ze wszystkiego, że ukończywszy sprawę rozgraniczenia dadzą Polakom pokój, nie chcąc zdobyczy nowych, tylko pragnąc dawniejszy zabór utrzymać.

„Papieżowi tak dalece chodzi o wydanie wojny Turkom, że przysłał tu pięćdziesiąt tysięcy talarów na jej rozpoczęcie, na ręce swego nuncyusza Martellego; ten zaś nie chce tych pieniędzy odebrać, ale je zostawia do rozrządzenia swojemu następcy, którym ma być Pallavicini. Jego świątobliwość przyrzeka na tę wojnę w ogóle pięćkroć stotysięcy franków.“

Warszawa dnia 20 września 1680 roku.

...„Papież przysłał do Gdańska mandat tylko na sto pięćdziesiąt tysięcy, ale i te powrócą zapewne do Rzymu, jeśli nie będzie wojny z Turkiem, na co się mocno zanosi.

„Mówią, że podskarbi wielki koronny Morsztyn nie śmie powracać do królestwa na Wielkopolskę, z obawy aby mu szlachta tamtejsza, zbyt porywcza, nie wyrządziła jakiej zniewagi. Mają doń niechęć, że nabył dobra za granicą i to, jak sobie wyobra-

żają, za grosz publiczny; a potem, że jakoby to on najwięcej się przyczynił do odwołania margrabiego de Béthune, który tam bardzo jest lubiony. Przyjaciele podskarbiego radzili mu, aby jechał na Gdańsk i na Prusy królewskie, gdzie lud daleko łagodniejszy. Będzie miał także nie mało trudności w sejmie, z których nie nie wiem jak wyjść potrafi.

„Dwór nasz zaprosił biskupa belowackiego już po jego ztąd odjeździe, aby pojechał do Żółkwi wypocząć z podróży i zaczekał tam aż król jegomość powróci z małej wycieczki, która nie ma trwać nad trzy tygodnie. Niektórzy są tego zdania, że król jegomość czyni to, ażeby rezydent cesarski miał czas powrócić i dać mu odpowiedź na propozycye cesarzowi przezeń uczynione; odpowiedź tę chce dwór nasz znać przed widzeniem posłów francuskich."

Warszawa dnia 27 września 1680 roku.

... „Donoszą z Rzymu, że xiążę Radziwiłł gotuje się do wyjazdu nie bywszy z pożegnaniem u kardynałów, którzy mu odmówili tytułu *altecy*. Zamyśla powracać na Wiedeń [1]), aby wyrozumieć, czy cesarz jegomość ma intencyę wejść do ligi przeciw Turkom, lub nie? Dwór wiedeński oznajmia jednak zawczasu, że nie ma jeszcze w tej mierze pewnego postanowienia.

„Od margrabiego de Vitry nie ma dotąd żadnych wiadomości, a nawet nie słychać gdzie się znajduje. Domyślamy się, że musi gdzie wysiadywać kwarantannę.

„Ze Strasburga pisano, że podskarbi wielki koronny był tam w powrocie 31 sierpnia wraz z żoną i że miał udać się w dalszą podróż na Frankfurt i Lipsk.

---

[1]) Zamysłu tego nie zdołał już xiążę Radziwiłł wykonać. Jak wiadomo, powracającego z tego poselstwa zaskoczyła śmierć w Bononii dnia 14 listopada 1680 roku; pochowany w Nieświeżu. Xiążę Michał Kazimierz Radziwiłł, podkanclerzy i hetman polny koronny, szczególnie się odznaczył w sławnej bitwie z Turkami pod Chocimem roku 1673, gdzie sam szablą w głowę cięty, baszę tureckiego z pistoletu ubił. U rodaków taką miał wziętość, że go niektórzy po zgonie Michała Wiśniowieckiego królem obrać zamyślali. Żoną jego była Katarzyna Sobieska, siostra Jana III, z której zostawił sześciu synów i jedną córkę.

„Z pogranicza podolskiego nie ma dotąd nic nowego. Komisarze nasi nic dalej nie zrobili w sprawie granicznej, bo baszowie nie otrzymali dotąd nowych rozkazów od Porty.

„W Wiedniu pokazało się znowu morowe powietrze, co opoźni zapewne powrót cesarza jegomości do stolicy.“

Po trzydziestu czterech listach zamieszczonych powyżej, następuje w korespondencyi przerwa półosmo miesięczna: pierwszy z kolei list znajdujący się w zbiorze, z którego korzystam, a opisujący ostatnie przejścia na schyłku już będącego sejmu, nosi datę 16 maja 1681 roku. Gdzie się przez ten czas Des Noyers znajdował, czy z poleceniem jakiem od królowej za granicę wyjeżdżał, lub czy listy jego zaginęły? dośledzić nie mogłem. Domysł pierwszy nie jest do prawdy niepodobnym; ale daleko słuszniej możnaby przypuścić drugi, bo w tymże samym liście z 16 maja, jak czytelnik obaczy, powołuje się Des Noyers na list o dni ośm wcześniejszy, t. j. pisany 9 maja, którego w zbiorze nie znajduję: jak więc ten list, czy zaginął, czy dla nieznanych przyczyn ze zbioru został usunięty, tak samo stać się mogło z poprzednimi, których nie dostaje. Dla wypełnienia choć w części tej przerwy, a razem dla powiązania wydarzeń w poźniejszej korespondencyi opisanych, zamieszczam poniżej w krótkości, co w tym przeciągu czasu zaszło ważniejszego.

Królestwo ichmość zabawili na Rusi przez jesień i pierwszą część zimy i dopiero 12 stycznia następnego roku w samą wilię rozpoczęcia sejmu do Warszawy wrócili. W czasie pobytu swojego na Rusi bawił król najczęściej w Żółkwi, gdzie oprócz spraw bieżących zajęty był przyjmowaniem posłów polskich, podskarbiego wielkiego koronnego i kasztelana wileńskiego, do Francyi i do Moskwy wyprawionych [1], którzy mu z poselstw swoich sprawę

---

[1]) Poselstwo do Francyi odbył Morsztyn jeszcze w roku 1679 pierwszych dni sierpnia (ob. Listy Jana Sobieskiego pomnożone przez Zyg. Ant. Helcla. Kraków 1860, str. 315); o po-

zdawali; przyjmował ambasadorów zagranicznych od dworów wersalskiego i wiedeńskiego przybyłych; a 24 listopada dawał odprawę posłannikowi chana tatarskiego. Zjechawszy na święta Bożego Narodzenia do Lwowa, dawał tam posłuchanie posłowi rokoszan węgierskich, a po nowym roku wyruszył z całym dworem przez Pilaskowice i Wilanów ku Warszawie.

Pod koniec roku przybył także do Warszawy poseł nadzwyczajny perski, z propozycyą ligi przeciw Turkom: posła tego przyjmował w imieniu królewskiem dnia 27 grudnia podskarbi wielki koronny Morsztyn, którego król z Żółkwi w tym celu spiesznie był do Warszawy wyprawił, dając mu razem polecenie, aby do sejmu nadchodzącego wszystkie poczynił przygotowania.

Sejm ten śród okoliczności ówczesnych był bez wątpienia sprawą najważniejszą: królowi bardzo wiele na nim zależało, tylko bowiem z jego przyzwoleniem i pomocą mógł był Sobieski ważne swoje zamysły przywieść do skutku. Atoli nim się jeszcze rozpoczął, źle już o sobie dał wróżyć. Sejmiki w bardzo wielu miejscach pozrywane dowodziły otwartej z widokami króla sprzeczności, czy takowa ze względów prywaty, czy z niepodzielania polityki królewskiej na zewnątrz, czy z poduszczeń obcych pochodziła. Stało się więc rzeczą konieczną, nowe tu i owdzie rozpisywać uniwersały, aby sejm tak potrzebny nie był w samym zarodzie zniweczony.

Rwane w przeciwnych kierunkach umysły zaniepokoił nowy, w tym samym czasie zdarzony wypadek, niemałem krajowi niebezpieczeństwem od strony Prus grożący: syn kurfirszta jegomości brandeburskiego zaślubił dnia 7 stycznia 1681 roku xiężniczkę Ludwikę Radziwiłłównę, ogromnych dóbr na Litwie jedyną dziedziczkę Krążyło z tego powodu po kraju pismo, stosunek do

---

wrocie jego widział czytelnik wzmiankę w listach poprzednich. Czy zaś do Moskwy w roku 1680 jeździł kasztelan wileński, wedle jednych relacyj, lub kasztelan trocki, wedle relacyj innych? sprawdzić tego nie mogłem. Przedmiotem wszakże tego poselstwa było: połączenie wojska moskiewskiego z polskiem, na wypadek gotującej się wojny z Portą. Kasztelanem wileńskim był wtedy Ernest Denhoff; kto zaś był trockim? także mi nie wiadomo.

Polski xięstwa brandeburskiego krótko ale dobitnie charakteryzujące, które tu nie od rzeczy będzie przytoczyć:

...„Niepomny na tyle otrzymanych dobrodziejstw, niegdyś lennik, kilkakrotnie jawnych nieprzyjacioł na zgubę Polski spólnik, dziś sąsiad niebezpieczny, jak przedtem czasu wojny, za wejście do związku przeciw nam uknutego, Wielkopolskę z Sieradzkiem aż po Wieluń i Warmią zajął, a wskutek nieszczęść naszych, których sam był sprawcą w znacznej części, władzę najwyższą nad tym zaborem wymógł: tak obecnie śród pokoju, nie dając spocząć wytężonej na zgubę naszą nienawiści, tytułem związku małżeńskiego z xiężniczką Radziwiłłówną, zamach czyni na cztery xięstwa w pośrodku Litwy leżące, moskiewskim i szwedzkim krajom pograniczne; i cokolwiek dóbr przez ciąg wieków wielkie Sapiehów, Chlebowiczów i inne znakomite domy litewskie w dom Radziwiłłów wniosły, to wszystko obcy przychodzień z niesłychaną śmiałością krajowi naszemu wydrzeć i posiąść jest gotów [1]."

Wszystkie nadmienione tu pokrótce okoliczności nabawiały kraj niepokojem, do jedności jednak i zgody nie przyczyniały się w niczem.

Powiedziałem wyżej, że królestwo ichmość wrócili do Warszawy dnia 12 stycznia; ambasadorowie francuscy, biskup belowacki i margrabia de Vitry przybyli z dworem. Nazajutrz, 13 stycznia, nastąpiło otwarcie sejmu pod marszałkiem starej laski, Franciszkiem na Lachowicach Sapiehą, koniuszym wielkim litewskim, a 14 stycznia obrany został jednomyślnie na jego miejsce Hieronim Lubomirski, chorąży wielki koronny, kawaler maltański Ta zgoda w wyborze nowego marszałka i pospiech z jakim wy-

---

[1]) Ob. *Epistolae hist. fam. I, 2, pag. 763: „Praecautio anno 1680 edita, ante commitia 1681 Varsaviensia, ratione Ludovici filii electoris Brandeburgici.*" Aby odwrócić niebezpieczeństwo, o którem pismo ostrzega, zażądano na sejmie osadzenia wojskiem litewskiem twierdz do dóbr xiężniczki należących; innych kroków, ile wiem, w tym celu nie przedsiębrano. Zostawszy po sześciu latach wdową, poszła xiężniczka Ludwika powtórnie roku 1688, tajemnie i podstępnie, za xięcia Karola neuburskiego, nie dotrzymawszy danego słowa królewicowi Jakóbowi. Obacz o tem: Listy Jana Sobieskiego, pomnożone przez A. Z. Helcla. Kraków 1860, str. 451—461,

bór nastąpił, były jedynym prawie pomyślnym faktem w ciągu całego sejmu: odtąd przechodził on przez coraz smutniejsze koleje, aż na koniec prawie do pięciu miesięcy przeciągniony, nikczemnie zmarniał.

Po przypuszczeniu izby z nowym marszałkiem do powitania króla, było zwyczajem, jak wiadomo, że król rozdawał opróżnione dostojeństwa i urzędy, nim izby senatorska i poselska do jakiejkolwiek czynności przystąpiły. Rozdawnictwo urzędów koronnych odbyło się spokojnie; przy litewskich atoli powstał tumult, który sejm na parę tygodni zaburzył. Skoro bowiem wieść się rozeszła, że król ma oddać pieczęć mniejszą Pacowi, biskupowi wileńskiemu, oświadczyli natychmiast posłowie litewscy, że się na to nie zgodzą, utrzymując, iż na Litwie nie jest tak jak w koronie, gdzie jeden z kanclerzy powinien być ze stanu duchownego. Nadaremnie przedstawiali im posłowie koronni, że król ma takie samo prawo na Litwie jak w koronie i rzecz objaśniali przykładami. Litwini uparłszy się przy swojem, i wszelką działalność izby nadal tamując, doprowadzili do tego, że król musiał ustąpić: xiążę Dominik Radziwiłł otrzymał pieczęć mniejszą, i tak została trudność ta załatwiona. Wnet atoli powstała w izbie nowa burza czynności jej mitrężąca, gdy posłowie wołyńscy zażądali rachunków od podskarbiego koronnego; a po jej załatwieniu wszczęły się jeszcze dłuższe i zaciętsze spory z powodu narad o kontrybucye wojenne. Posłowie bowiem utrzymywali, że i duchowieństwo, posiadające rozległe dobra ziemskie, powinno w razie obecnym brać udział w ponoszeniu ciężarów publicznych, jak to bywało przedtem; biskupi zaś uchylali się upornie od tego obowiązku nie tylko na teraz, ale sobie i na przyszłość prawo jakieś do przywileju w tym względzie warowali. Spory te groziły co chwila zerwaniem sejmu, ilekroć materya posiłków wojennych była wniesiona, i przez cały ciąg sejmu narady zaburzały.

Duch niepokoju, zatargów i waśni był pod te czasy jakby w powietrzu polskiem: obok tumultów w izbie wydarzały się i rozruchy uliczne, z których jeden krwawszy, z polityką jak się zdaje jednego ze stronnictw ówczesnych związek mający, będzie tu na swojem miejscu przytoczyć.

Dnia 31 stycznia około jedenastej godziny wieczorem, powracając biskup belowacki i margrabia de Vitry z odwidzin dworskich, przejeżdżali poprzed pałac Kazimierza Sapiehy wojewody połockiego, hetmana polnego litewskiego, kiedy jeden z jego służby zaczepił pazia margrabiego de Vitry, chcąc mu szpadę odebrać. Gdy się paź zaczął bronić, wypadło nagle jakby na znak dany przeszło sześciudziesiąt dragonów sapieżyńskich, uzbrojonych w berdysze i szable, i uderzyło na służących obu ambasadorów. Kilku szlachty z orszaku poselskiego wysiadło natychmiast z powozów, idąc swoim ze szpadą w ręku w pomoc; wysiadł i sam margrabia de Vitry, usiłując walczących powstrzymać: ale ci mocno się już byli starli, tak że krew z obu stron popłynęła. Francuzi położyli trupem jednego z dragonów, i ranili trzech innych; z ich strony rannych także było dwoch paziów i trzech szlachty, a między tymi margrabia de Janson, synowiec biskupa belowackiego miał brodę i obie wargi pałaszem przecięte. Nazajutrz posłał król Morsztyna z rozkazem do wojewody połockiego, aby tenże obu posłom francuskim pełną dał satysfakcyę. Udał się do nich wojewoda z bratem swoim podskarbim wielkim litewskim, a okazując wielkie zmartwienie, jakiego doznaje z powodu zuchwałego postępku swoich ludzi, ofiarował im wszelkie zadość uczynienie, jakiego tylko podoba się im zażądać. Posłowie francuscy zdali się na sąd jego własny; sprawa została oddana pod wyrok marszałka wielkiego koronnego, który winnych skazał na gardło, i tak się ta krwawa burda zakończyła.

Od zaczęcia sejmu upływało już sześć niedziel, zwyczajny termin sejmu ordynaryjnego, a w izbie poselskiej nic jeszcze nie postanowiono o wojnie z Turkami, ani było mowy o ważniejszych sprawach rzeczypospolitej: wszystek ten czas zabrały same zatargi i spory. Dnia 28 lutego mieli odbywać wjazd do Warszawy dwaj posłowie moskiewscy: potrzeba więc było koniecznie sejm przedłużyć, aby mogli przedstawić propozycye, z jakiemi byli wysłani. Jakoż przedłużono go do 7 marca, i to samo powtarzano regularnie od soboty do soboty, przez cały czas następny.

Zaraz po przybyciu posłów moskiewskich zaczęli z nimi układać się komisarze polscy; ostateczny jednak wypadek tak układów

tych jak i całego poselstwa okazał się w końcu bezowocnym, jak wszystko, co na tym sejmie traktowano. Oświadczyli oni na wstępie, że mają rozkaz zawrzeć z Polską przymierze zaczepne i odporne przeciw Turkom; atoli w tymże samym czasie otrzymuje król listy z Wołoch i z Wiednia donoszące, że car za pośrednictwem chana tatarskiego zawarł już pokój z Turkami. Zapytani o to posłowie moskiewscy przysięgają, że tak nie jest: rozpoczęte układy idą więc dalej swoim trybem, a pod koniec marca uchwala sejm na podstawie przymierza z Moskwą, wojnę przeciw Turkom. Na tę wojnę przyrzekają posłowie moskiewscy imieniem cara dwadzieścia tysięcy wojska, które ma być pod rozkazami króla i hetmanów polskich; car przyrzeka oprócz tego wysłać przeciw Tatarom dwakroć sto tysięcy dla trzymania ich na wodzy, aby się nie połączyli z Turkami. Liczbę wojska polskiego postanowiono na trzydzieści sześć tysięcy, złożonego po największej części z jazdy; litewskiego na dwadzieścia tysięcy, a wszystkiem zobowiązał się się król dowodzić osobiście. Kiedy zaś po umówieniu i spisaniu artykułów przymierza posyła król do posłów moskiewskich z oznajmieniem, że gotów jest te układy poprzysiądz i ich nawzajem do przysięgi wzywa, wymawiają się oni dając za powód, że wprzód należy dawniejsze nieporozumienia załatwić. Wymówka ta mocno zadziwiła wszystkich. Nagleni, aby objawili ostatecznie, jakie są ich zamiary, odpowiadają, że pisali w tej mierze do cara i że bez jego odpowiedzi nic nie mogą stanowić. Gra moskiewska nie długo jednak została w ukryciu: pokazało się, że chcieli oni przywieść Polskę do otwartego wystąpienia przeciw Turkom, aby car tym sposobem mógł zawrzeć z Portą traktat tem korzystniejszy; a łatwowierność polska nie umiała podstępu uniknąć.

Widząc taki zawód [1]) w rzeczy przymierza z Moskwą, oka-

---

[1]) Już to po raz drugi w krótkim przeciągu czasu doznawała Polska takiego zawodu od Moskwy. Po odnowieniu rozejmu andruszowskiego na początku roku 1672, zobowiązał się był car Alexy Michajłowicz dać pomoc Polsce w wojnie przeciw Turcyi. Pisał on wprawdzie do sułtana, Mahometa IV, odwodząc go od dawania opieki zbuntowanemu Doroszeńce, grożąc że naszle na Turków swoich

zuje się izba od tej chwili coraz mniej skłonna do wojny z Turkami; narady w materyi kontrybucyj nie ustają wszelako, są jednakże prowadzone tak namiętnie, że grożą co chwila zerwaniem sejmu. I posłowie ziemscy radziby już uchylić się od tej powinności: wielu z nich przemawiając w interesie swojego województwa, wystawia zupełną niemożność przyczynienia się do tych wydatków. Przy obliczaniu kosztów, jakichby corocznie było potrzeba do utrzymania liczby wojska wymienionego powyżej, pokazało się, że takowe wyniosłyby do ośmiu milionów, które Polska wedle zdania gorliwszych łatwoby mogła złożyć.

Konferencye osobne posłów litewskich odbywane w tym samym czasie i przedmiocie, były równie burzliwe: na jednej z nich, dnia 30 kwietnia, przyszło nawet do sporu, który się o mało krwi rozlewem nie skończył. Michał Pac, hetman wielki litewski[1] zażądał od podskarbiego wielkiego litewskiego Benedykta Sapiehy, zdania liczby z pieniędzy publicznych, które miał w swoim zarządzie. Obruszył się mocno na to żądanie podskarbi i coś hetmanowi przymówił: porwali się więc oba z miejsc chwyciwszy za szable, ale ich przyjaciele do starcia się nie dopuścili. Dano sobie słowo na dzień jutrzejszy: jakoż podskarbi i brat jego hetman polny litewski wyjechali konno na miejsce umówione. Marszałek wielki koronny zatrzymał jednak Paca, przedstawiając mu, żeby to króla mocno obraziło, gdyby przyszło do pojedynku, i wymógł na nim przyrzeczenie, że się z domu nie ruszy. Zajęli się sporem dostojni pośrednicy, a między tymi nuncyusz apostolski Pallavicini, i choć z trudnością, pojednali wreszcie zwaśnionych; sejm jednak z powodu tego zajścia równie jak poprzednich został na jakiś czas zaburzony.

Kozaków dońskich, Kałmuków, Nohajców, strasząc że i szacha perskiego, Solimana, przeciw niemu podbudzi. Ale gdy sułtan zgromił go za te nieprzyzwoite, jak powiadał, wyrazy, i wojną mu nawzajem zagroził: car, czy to przestraszony potęgą otomańską, czy za nic mając najuroczystsze zobowiązania, nie przysłał Polsce przyrzeczonych posiłków, tylko się wzmocnił w ustąpionej sobie Ukrainie zadnieprskiej. Oba te listy, carski z 3 kwietnia 1672, sułtański z 27 marca 1673, umieścił w swem dziele Hammer, *Hist. de l' empire Ottom.* t. XI str. 463.

Co tu w krótkości o sprawach sejmowych 1681 roku nadmieniam, wyjęte jest z dyaryusza tego sejmu wypisanego z archiwów francuskich; dalszy jego przebieg wraz z szczegółami zerwania, tudzież wypadki poźniejsze aż do połowy sierpnia tego roku znajdzie czytelnik w listach następnych.

Warszawa dnia 16 maja 1681 roku.

Nazajutrz po odejściu ostatniej poczty, to jest 10 bieżącego miesiąca otrzymałem list od wmćpana z dnia 18 kwietnia, za który najuprzejmiej dziękuję. Przez tęż samą pocztę przesłałem wmćpanu mały liścik, który pisał do mnie Heweliusz troszcząc się o list swój dawniejszy pisany do wmćpana jeszcze 10 stycznia, a który jak się zdaje, został gdzieś zatrzymany, czy w Gdańsku u Formonta, czy gdzie indziej... „Do mnie pisze Heweliusz, że obserwatoryum jego już ukończone, o co miał największe staranie: ale nie ma jeszcze ani narzędzi astronomicznych, ani drukarni. Jednak to hańba wielka dla xiążąt tego wieku, że czynią tyle wydatków niepotrzebnych, a nie wspierają człowieka takiego jak on, który tak korzystnie dla potomności pracuje.

„Co do pytania: czy Moskale w czasie bitwy będą słuchali naszych hetmanów? odpowiadam, że to rzecz bardzo wątpliwa. Dotąd jeszcze nawet niewiadomo, czy liga z nimi przyjdzie do skutku lub nie; nie chcą oni jej żądając, aby wprzód z Moskwą traktat wiecznego pokoju zawarto.

„Goniec, którego wyprawili do cara, jeszcze nie powrócił.

„Szyja półwyspu krymskiego, czyli międzymorze tamtejsze dałoby się ufortyfikować, ale Tatarzy nigdy o tem nie pomyśleli: jest tam szeroki rów, suchy i nie bardzo głęboki, wykopany jedynie na to, aby konie nie uciekały (Perekop).

„Podskarbi wielki koronny doznaje tu niemałych trudności; ma potężnych nieprzyjacioł i wielu zawistnych.

„Niesłychanie wielka posucha, o której wspominałem, trwała tu aż do nocy z 13 na 14 bieżącego miesiąca, w której spadł wielki deszcz, bo właśnie tego dnia pod wieczór powstał był wiatr północny... Deszcze nawalne i burze sprowadza tu zwyczajnie wiatr północno-wschodni...

„Sejm nasz jeszcze się nie skończył; trudności mnożą się z każdym dniem, a zaledwo jedna załatwiona, wnet powstaje kilka innych. Takiej gmatwaniny i takiego zamieszania w obradach nie widziano jeszcze na żadnym z poprzednich sejmów, a nasz terazniejszy jest to istny Proteusz przez swoje zmiany nieustanne.

„Hetman wielki litewski domaga się, aby miał prawo mianowania na wszystkie stopnie wojskowe, co dotąd było wyłączną prerogatywą królewską; słychać że i hetman polny litewski rości sobie do tego prawo, co rozdzieliłoby wojsko na dwoje. Gdyby się zaś żądaniu hetmanów litewskich stało zadość, domagaliby się niewątpliwie i koronni takiego samego prawa, co byłoby w takim razie rzeczą zupełnie słuszną. Można się jednak domyślać, że hetmani wielcy nieradziby tej prerogatywy podzielać z polnymi.

„Domawiano się także, aby cudzoziemcom nie wolno było dowodzić pułkami.

„O kontrybucye na powiększenie i utrzymanie wojska nie ma jeszcze zgody; niektórzy nie chcą ich płacić, aż będzie ukończone rozgraniczenie między Turcyą a Polską. Litwini żądają, aby im odstąpiono połowę pieniężnych posiłków, które złożą xiążęta chrześciańscy, a chcą tylko dać dwanaście tysięcy wojska, kiedy korona dostarczy trzydzieści sześć tysięcy; powinni zaś dać ośmnaście tysięcy. Jest jeszcze niemało spraw recesowych z sejmu grodzieńskiego, które trzeba załatwić w dniu jutrzejszym jako ostatnim tego sejmu, a jeden głos nierozsądny lub szalony może wszystko zatrzymać i zniweczyć: należy więc zaczekać końca, aby powiedzieć z pewnością, co się stanie.

„Margrabina de Béthune chce bez dalszej odwłoki wyjechać jutro do Paryża, królowa zaś życzy sobie, żeby zaczekała na zamknięcie sejmu, w takim razie będzie mogła dopiero wyjechać w poniedziałek, 19 bieżącego miesiąca.“

Warszawa dnia 23 maja 1681 roku.

Sejm nasz musiał się widocznie pod złą gwiazdą rozpocząć, kiedy mu tak trudno dojść do kresu, choć wszyscy długością jego znużeni gorąco pragną, aby się już raz skończył. Z dnia

na dzień bywa przedłużany, i co dzień słyszymy zapewnienia, że się ma jutrozak ończyć, a tego jutro nie widać. Nikt niby nie chce go zerwać; są wszakże co utrzymują, że się bez zerwania przez samą przewłokę czasu rozchwieje, t. j. że posłowie będą się rozjeżdżali jeden po drugim, aż nareszcie nie stanie liczby dostatecznej, aby mógł być prawomocnie zamknięty. Do obrad nie wchodzi żadna nowa materya; cała trudność jest około propozycyj dawniejszych, na które nie ma zgody. Pojutrze przypadają Zielone Świątki, wielu więc mniema, że jutro bądź co bądź musi nastąpić zakończenie sejmu; lecz nie wszyscy dają temu wiarę...

„W tej samej chwili dowiaduję się, że sejm został zerwany, co mi bardzo nie na rękę, bo to mię pozbawia nadziei rychlejszej wypłaty w całości albo przynajmniej w znacznej części tego, co mi się należy. Zerwał go szlachcic z Wielkiej Polski, Przyjemski, nie pozwalając na dalsze przedłużenie. Słychać, że są czynione zabiegi, aby choć na cały dzień jutrzejszy, 25ty bieżącego miesiąca, moc sejmowi przywrócił. Jaką zaś da przyczynę tego zerwania w akcie, który jest winien podać do grodu, dotąd niewiadomo. Mamy tu pięć celniejszych stronnictw: dwór, szlachtę, Francyę, Austryę i Brandeburg. Nie zdaje się, ażeby Francya i Austrya miały jakikolwiek interes w tem zerwaniu; Brandeburg mógłby go mieć poniekąd, bo się obawia, aby nie wzięto przeciw niemu jakiego postanowienia, z powodu zamęścia xiężniczki Radziwiłłówny. Co się tyczy dworu i szlachty, nieufność tej ostatniej ku swoim królom jest rzeczą powszechnie wiadomą: poczyna się ona z elekcyą, a każde z obu tych stronnictw czynnie nad tem pracuje, aby sobie zjednać przewagę i korzyści przysporzyć. Niektórzy rozsiewają pogłoskę, że sejm zerwany został za sprawą margrabiego de Béthune, a opierają się na tem, że Przyjemski, który go zerwał, żył z margrabią w ścisłej przyjaźni w czasie jego pobytu w Polsce, za co tenże obiecał mu korzystne uposażenie we Francyi, dokąd Przyjemski ma się udać. Pogłoskę tę rozsiewają interesowani może dla tego, aby tym sposobem odwrócić uwagę od tych, którzy tego zerwania rzeczywistą byli przyczyną: to też ludzie rozsądniejsi widzą wyraźne niepodobieństwo, aby człowiek, o pięć set mil ztąd oddalony, mógł coś podobnego

wykonać, kiedy nawet przy znacznych wydatkach pieniężnych, jeśli komu dla przeważnego interesu chodzi o podobną sprawkę, nie łatwo ją i zbliska uskutecznić. A jakiż interes miałaby wtem Francya, która tu nic ważnego nie ma do przeprowadzenia?[1]) Na sejmiku relacyjnym będzie musiał Przyjemski zdać sprawę z swego postępku. Słychać zresztą, że choćby on był sejmu nie zerwał, byłby to uczynił jeden z posłów litewskich... Z tem wszystkiem może sejm da się jeszcze nawiązać na dzień jutrzejszy, a jeśli się dowiem o jego przedłużeniu, przy końcu listu donieść o tem nie omieszkam.

Jesteśmy ciągle bez wiadomości od pana Akakia, co naprowadza na domysł, że może nie wolno mu pisywać. Teleki [2]) żali się, że mu nie dotrzymują słowa: jestto człowiek głębszego umysłu, przenikliwy, bystry, niedowierzający i interesowany. Pan Du Vérnay mieszka ciągle w Toruniu, gdzie się bardzo nudzi; daleko większych nudów dozna on w Siedmiogrodzie. Jest to kraj bez żadnej rozrywki, krom picia i polowania; towarzystwo kobiet wcale tam nieznane.

„Sejmowi naszemu przywrócona została działalność; przyjaciołom Przyjemskiego udało się sprowadzić go, ale od jego po-

---

[1]) Dotknąłem już we wstępie tego punktu, mówiąc co o nim myśleć należy. Że margrabia de Béthune nie przyczynił się osobiście do zerwania sejmu, to rzeczy w gruncie nie zmienia. Postarał się o tę psotę inny poseł francuski, biskup belowacki, Forbin Janson, o czem Sobieski wiedział dowodnie, jak to widać z listu jego pisanego do Morsztyna z dnia 4 września 1682. W odpowiedzi królowi na ten list udaje Morsztyn, że temu zaskarzeniu nie wierzy, aż będzie miał na to dowody, a jednak pisze do Jansona we dwa miesiące poźniej: „Staram się tu ile mogę odwrócić od waszej excellencyi opinią zrywacza sejmów (*rompicollo delle diete*), i myślę, że mi się udało uczynić w tej mierze postęp w umyśle nuncyusza; ale król utrzymuje stale, że ma na to dowody niezaprzeczone..." (Listy Sobieskiego str. 358 i 364). Zobaczymy przy sejmie 1683 roku, jak sam Morsztyn będzie doradzał dworowi francuskiemu zerwanie jego dla rozbicia ligi, ale na szczęście bezskutecznie.

[2]) Teleki, minister xięcia siedmiogrodzkiego; przyrzeczenia, o których tu wzmianka, tyczą się dworu francuskiego.

wrotu omało że znowu nie został zerwany. Nikt nie wie, jak się to wszystko skończy."

Warszawa dnia 30 maja 1681 roku.

„Sejm nasz źle się nareszcie skończył. Donosiłem przeszłą pocztą, że go zerwał poseł wielkopolski, nazwiskiem Przyjemski. Udano się doń z prośbą, aby przywrócił moc sejmowi, w czem połączyły się wszystkie stany. Król jegomość posyłał doń biskupa warmińskiego, z którym on w ścisłej żyje przyjaźni: ten ofiarował mu w imieniu królewskiem tysiąc dukatów i dowództwo pułku, co Przyjemski odrzucił, mówiąc, że on nie czyni tego dla pieniędzy, lecz dla utrzymania praw i wolności; że sejm trwa już od ośmnastu tygodni, a powinien się był skończyć w sześć niedziel. Naglony ze wszech stron, przywrócił mu więc Przyjemski moc dalszego obradowania, ale pod warunkiem, aby przedłużenie służyło tylko na dzień jutrzejszy, dwudziesty czwarty maja. Posłowie umówili się, że nazajutrz zejdą się w izbie poselskiej o godzinie czwartej z rana; jakoż o ósmej byli już w senacie. Tam jednakże, zamiast kończyć co spieszniej sprawy pozaczynane, trawili niektórzy czas drogi na przewlekłych i niepotrzebnych mowach. Życzliwsi dobru powszechnemu zaklinali ich, aby z popisem wymowy wstrzymali się do innego czasu; wszystko nadaremnie. Przyjemski widząc, że czas marnie upływa, wyszedł powtórnie z izby protestując przeciw dalszemu przedłużeniu sejmu, zapewniając oraz, że przystaje na wszystko, co będzie uchwalone, byle sejm zamknięty został tegoż samego dnia i bez świec; niektórzy utrzymują, że powiedział, nim słońce zajdzie. Uczyniono co tylko było w czyjej mocy, aby go zatrzymać; ofiarowano mu aż dziesięć tysięcy franków: odrzucił wszystko i wyszedł. Nie wolno używać przemocy na posła; mają prawo mówić, co się im podoba, wejść i wyjść, kiedy chcą i protestować. Widząc że się na prawdę oddalił, wzięto się dopiero szczerze do pracy, ale zapóżno; było jeszcze bardzo wiele do zrobienia, a słońce już się miało ku zachodowi. Utrzymywali niektórzy, że mając cały dzień wolno im przedłużyć go do jutrzejszego poranku, byle sesya nocna nie była przy świecach. Uczyniono więc wedle tego zdania,

nie zapalono świec w sali radnej tylko w pokojach pobocznych i tak przy tem słabem świetle, a raczej przy xiężycu oświecającym salę przez okna otwarte, pracowano aż do jedynastej godziny. I była już nadzieja, że wszystkie sprawy zostaną ukończone; ale znaleźli się tacy, którym się to nie podobało, mianowicie pisarzowi wielkiemu koronnemu t. j. komisarzowi generalnemu wojska [1]) i jednemu z posłów litewskich, Dąbrowskiemu, porucznikowi z chorągwi husarskiej hetmana wielkiego litewskiego. Ci utrzymywali, że nie ukończono sejmu w czasie protestacyą Przyjemskiego oznaczonym, który powiedział, przed zachodem słońca *ante occasum solis* i bez świec; a gdy inni przeciwili się temu, odpowiedzieli tamci: skoro zachodzi wątpliwość, niechże sam Przyjemski wyjaśni, pod jakim warunkiem pozwolił na przedłużenie i dla tego potrzeba koniecznie, aby powrócił. Pisarz wielki koronny dodał, że jeżeliby chciano uważać ten sejm za prawomocny, on będzie przeciw temu protestował, boby to było z uszczerbkiem wolności. Nakoniec odłożono ostateczną rezolucyę w tej mierze do sesyi poniedziałkowej dnia 26 maja, gdzie sejm potwierdzono i za prawomocnie zamknięty uznano. Dąbrowski atoli stale się temu oponował, utrzymując że sejm był zerwany, skoro Przyjemski nie powrócił i na tem stanęło. Żalono się mocno na hetmana wielkiego litewskiego zarzucając mu, że to on kazał sejm zerwać, ponieważ ów poseł od niego był zależnym. Hetman odpowiedział, że w tem nie miał udziału; ale jeżeli chcą koniecznie rzecz na niego złożyć, to mniejsza z tem; z resztą dodał, że cały ten sejm nie wiele był warty; że blisko pięć miesięcy zeszło na niczem przy ogromnym koszcie i wielkiej stracie czasu. Myślałem, mówił na koniec, że będzie można choć ważniejsze sprawy pokończyć, a tu trzeba wszystko zacząć na nowo....

„Król jegomość złożył radę senatu na obmyślenie środków przeciw temu nieszczęsnemu zerwaniu [2]), stawiającemu królestwo

---

[1]) Zdaje mi się, że Des Noyers mówi tu o strażniku koronnym Stefanie Bidzińskim, staroście chęcińskim i skalskim, który w tym czasie wielce był przeciwny dworowi (Listy Sobieskiego str. 356).

[2]) Należy tu przytoczyć choć kilka rzewnych słów z pamiętnej mowy, którą król żałosny miał w senacie z tego powodu: ...„Mogę

w wielkiem niebezpieczeństwie. Daj Boże, żeby z tego nie wyniknęło co gorszego."

Warszawa dnia 6 czerwca 1681 roku.

„Podług doniesień z Wiednia z dnia 26 maja odprawiono z Budy czausza obdarzywszy go hojnie, i dano wolność więźniom, o których uwolnienie starał się. Pogłoska o zawartym pokoju między Moskwą a Portą utrzymuje się stale w Wiedniu; z Wenecyi zaś twierdzą na podstawie niewątpliwej, że jeśli jeszcze pokój nie został zawarty, to wielkie są starania, aby co rychlej przyszedł do skutku.

„Donosiłem o zerwaniu sejmu i niedojściu przymierza z Moskwą. Król jegomość spodziewał się, że przynajmniej będzie mógł Kamieniec odebrać: to też dwór bardzo jest rozżalony, że przez to zerwanie stracił sposobność odniesienia tak ważnej korzyści nad tym okrutnym nieprzyjacielem.

„Na radzie senatu złożonej po zerwanym sejmie postanowiono wyprawić posła do Stambułu zapewniając Portę (jeśliby tam było rozgłoszone, że rzeczpospolita chce jej wydać wojnę), że to podstęp nieprzyjaciół naszych a mianowicie Moskwy, z którą nie chciano tu zawrzeć wiecznego pokoju, choć bardzo tego pragnęła, a tym sposobem chce sobie ona korzyść u Porty wyjednać.

„Zdaje się, że Turcy nic tego roku nie rozpoczną. Dwór nasz ma zamiar przejechać się około ś. Jana do Prus królewskich. Proszono króla jegomości o złożenie innego sejmu, ale oświadczył, że nań nie pozwoli.

---

tu naśladować wielkiego Augusta, który po straconych przez hetmana wojskach, żalem i zdumieniem zdjęty, to tylko mówił: *Varre, Varre, redde mihi legiones!* Toż i ja mówię do tych, którzy sejm zerwali, wróćcie mi wojska, wróćcie mi *securitatem publicam*, wróćcie już nabytą i która się gotowała sławę. Ale jako wrócicie! kiedy już te, które do odebrania Kamieńca w ręku prawie były, upłynęły sposoby i nieochybna nadzieja, żeśmy tego roku przez niegotowość turecką mieli rzeczpospolitą od ciężkiego uwolnić sąsiada. Nie dadzą podobnej okazyi wieki, kiedy cesarz turecki już dobrze przestrzeżony o naszych intencyach, silić się będzie, żeby gotowy na niegotowych nastąpił..." itd. (*Suada civ. p. 169* i *Epist. hist. fam. I. 2. p. 783*).

Warszawa, dnia 13 czerwca 1681 roku.

„Nie ma już wątpliwości, że nas Moskale oszukali. Poseł ich przy dworze tutejszym oznajmił nareszcie, że jego carskie wieliczestwo, pan jego najmiłościwszy, zawarł pokój z Turkami bez Polski. Wymawiają się zaś tem, że Turcy mieli powiedzieć: „Zawarła przedtem Polska pokój bez Moskwy, to może i Moskwa zawrzeć go bez Polski.“ A pewnym osobom, które wyrzucały posłowi moskiewskiemu ich postępek jako oczywiste oszukaństwo względem Polski, odpowiedział on: że i Polska oszukała Turków, bo zawarłszy z nimi pokój, zerwała go bez przyczyny. Zresztą dodaje Des Noyers mówiąc o Moskalach, „że to są ludzie nie tylko złej wiary i oszukańcy, ale nadto nadzwyczaj zuchwali w szczęściu. Udając chęć przystąpienia do ligi przeciw Turkom i rozgłaszając o tem przez poselstwa, mieli oni jedynie na celu zastraszyć Portę, aby uzyskać tem korzystniejsze warunki. Słychać, że już teraz nie zechcą oddać Polsce, co mają w ręku na mocy rozjemu, utrzymując że nabyli to prawem wojny. Pokój ich zawarty z Turkami nie jest pokojem wiecznym, mówiąc terminem tu używanym, ale tylko pokojem na lat dwadzieścia, t. j. dłuższym rozjemem, na mocy którego mają opłacać Turkom pewną sumę za Kijów, należący jak oni utrzymują do Porty wraz z Ukrainą, którą Polska Porcie odstąpiła: ten tedy Kijów będą Moskale trzymali przez lat dwadzieścia, poczem albo się oń ugodzą, albo się rozprawią orężem, kto go ma posiadać. Chan tatarski był pośrednikiem przy zawarciu tego pokoju

„Królowa jejmość wybiera się na odpust do Matki Boskiej studziańskiej, król jegomość wyjeżdża zaś tymczasem na polowanie do Radziewicz; za powrotem wyjadą, jak się zdaje, do Prus królewskich. Czy będzie zwołany sejm inny w końcu tego roku, o tem dowiemy się dopiero po sejmikach relacyjnych, gdzie się pokaże dla jakich przyczyn sejm został zerwany i czy szlachta to zerwanie potwierdzi, lub nie. Spodziewamy się, że ten postępek będzie naganiony, boć to zawsze wielkie nieszczęście, kiedy stany, w interesie kraju i dla jego obrony zgromadzone, rozchodzą się nic nie postanowiwszy.“

„Posucha trwa u nas ciągle; nie wiem, czy to dzieje się w skutek komety lub innych przyczyn atmosferycznych.“

Warszawa dnia 20 czerwca 1681 roku.

„Mamy tu już pewną wiadomość o tem, co spowodowało Turków do zawarcia pokoju z Moskalami: była to obawa, ażeby wojska polskie nie połączyły się z moskiewskiemi. Nie ma też najmniejszej wątpliwości, że Moskale nie mieli innego celu, wyprawiając do nas poselstwo o zawarcie ligi, jak pokazać Turkom, że znajdą bicz na nich, jeżeli się nie skłonią do pokoju. Turcy, wiemy tu z pewnością, przyjmowali nawet bardzo gościnnie posła moskiewskiego, aby go co rychlej do zawarcia pokoju nakłonić. Niewiadomo jeszcze jak Porta przyjmie nasz zamiar wydania jej wojny, bo niepodobna, aby o tem nie wiedziała. Ciż sami Moskale musieli bez wątpienia donieść jej o tem, gdyż właśnie z tej przyczyny jak mówią, pospieszyli Turcy z zawarciem pokoju. Nędzna to rzecz rząd gminowładny, jeśli nie ma pośród siebie przynajmniej rady wykonawczej z atrybucyami samowładztwa, do kierowania sprawami publicznemi, jak rada dziesięciu w Wenecyi, albo dyktatora w starym Rzymie. W kraju tutejszym nie ma nic absolutnego na rzecz powszechnego dobra, ale na złe każdy poseł jest panem samowładnym. To też sami Polacy bardzo słusznie powiadają o sobie, że są szaleńcami bożymi (*fous de Dieu*), i że ich Bóg osłania i zachowuje pomimo nich samych...

Warszawa dnia 27 czerwca 1681 roku.

...„U nas tu już nie słychać ani o wojnie, ani o zamiarach Turków. Dwanaście tysięcy Tatarów podstąpiło pod Kamieniec, w celu rozpuszczenia zagonów w głąb Polski; ale powiadają, że basza kamieniecki nie chciał ich przepuścić, musieli więc wrócić się nazad.

„Na sejmie węgierskim nie zgodzono się na wybór palatyna (namiestnika królewskiego); jedni chcą biskupa z Szabacz, a drudzy hrabiego Esterhazego. Tekeli zapowiedział tymczasem koniec rozejmu: oba stronnictwa przyrzekły sobie dobrą wiarą zawiadomić się o tem zobopólnie na sześć niedziel przed wyjściem terminu,

ażeby każdy miał czas myśleć o swojem bezpieczeństwie. Zdaje się, że uczynił to dla przyspieszenia uchwał sejmowych i to na żądanie Moskali, u których Turcy starają się, aby w ugodę z cesarzem nie wchodzili.

„Uważasz wmćpan za rzecz szkodliwą, że tu odsunięto cudzoziemców od dowództwa pułków, a przynajmniej, że nie należało tego rozgłaszać. Ale tak to u nas robi się wszystko przy odgłosie trąby i jak być może najjawniej. Alboż to nie powszechnie znana wszędzie przypowieść, że czworo ócz lepiej widzi niż dwoje? Otoż tysiącu oczom zdawało się, że to jest postanowienie dobre; zaś dwoje królewskich tak widziały jak i wmćpana, że to był krok nie najlepszy. Ale widzimisię pospolite ma tu zawsze górę nad przezornością panującego: to też każdy widzi, jakim trybem idą u nas rzeczy publiczne. Narodowi temu grozi wielkie niebezpieczeństwo, jeżeli na wzór Rzymian nie obierze sobie dyktatora, któryby sprawy jego postawił na nogach i podniósł go w poważaniu u sąsiadów. Mają Polacy dostateczne siły, ale nie umieją sobie dać rady z niemi, bo się sami siebie lękają.

„Ostatnie wiadomości z Węgier donoszą o wyborze palatyna w osobie hrabi Esterhazego, pomimo że arcybiskup strygoński czynił wszystko co było w jego mocy, aby temu przeszkodzić; tak tedy rząd pierwotny przywrócony jest na Węgrzech. Ponieważ zaś cesarz nie chce nic uczynić z tego co przyrzekł, nie ma prawie podobieństwa do uspokojenia tego kraju. Nie chce on wyprowadzić wojska swego z twierdz w górnych Węgrzech i osadzić je wojskiem krajowem; nie chce nadać wolności wyznania religii protestanckiej; posyła wojsko swoje z rozkazem atakowania rokoszan, jeżeli się pokażą opornymi temu, czego sobie cesarz życzy; chce przydać palatynowi sześciu asesorów, czemu się wszyscy Węgrowie sprzeciwiają. Chciano także zmusić arcybiskupa, aby się oddalił, ponieważ jest przeciwnym zamiarom dworu, ale się temu oparł.

„Goniec cesarski jadący ze Stambułu przez Węgry do Wiednia opowiadał, że spotkał wojska tureckie różnej broni ciągnące do Belgradu, gdzie stanęło już wprzódy cztery tysiące janczarów, i dwoch Baszów z tysiącem dwustu spahów; że do Banialuki

przybył oddział granatników, którzy granaty i bomby tam robione wysyłają do Białogrodu; że Turcy fortyfikują Belgrad, Neuhäusel nad Nitrą, Białogród wielki *(Stuhlweissenburg)*; że budują fortecę między Neuhäusel a Strygoniem nad Murą: jednem słowem, że czynią wszelkie przygotowania do wojny. Tekeli kazał zawiadomić jenerała Caprara, że rozejm skończy się za sześć niedziel, licząc od 28 maja.

„Na dworze naszym mówią, że odkryto miejsce, w którem Szwedzi zatopili w Wiśle działa zabrane w Warszawie w czasie ostatniej wojny, nie mogąc ich uprowadzić do Malborga; a że Wisła teraz dla wielkiej posuchy bardzo opadła, król jmć ma kazać czynić poszukiwania w piasku łożyska rzeki, czy ich nie będzie można ztamtąd wydobyć.“

Warszawa dnia 4 lipca 1681 roku.

.. „Zdaje się ze wszystkiego, że sułtan turecki nie na nas się gotuje. Pisałem już, że Tatarzy podstąpili w dwanaście tysięcy pod Kamieniec, chcąc rozpuścić zagony po kraju, bo rzeczpospolita winna im trzy lata żołdu, który im przyrzekła. Ale Basza kamieniecki nie pozwolił im na to i odesłał ich nazad do Krymu. Więcej jest podobieństwa do wojny na Węgrzech, bo Turcy nie przestają uzbrajać się bardzo silnie w tamtych stronach.

„Słychać, że sejm węgierski już na ukończeniu i że rokoszanie mają przystać na ugodę. Inni zaś utrzymują, że nie ma pozoru do zgody, bo cesarz odmawia im wolnego obrządku ich wyznania, a gdy się dowiedział o wypowiedzeniu przez nich rozejmu jenerałowi Caprara, rozkazał wojsku ruszyć przeciw nim, jeżeli się uchwałom sejmowym poddać nie zechcą. Turcy też mocno nastają, aby ugoda nie nastąpiła, i jak mówiłem, silnie się w tamtych stronach uzbrajają.

„Dwór nasz zmienił swój zamiar, i zamiast do Prus ma wyjechać na Ruś. Królowa jejmć w ciąży i może zledz tam przed powrotem do Warszawy.

„Biskup belowacki wysyła ludzi swoich z rzeczami do Gdańska, gdzie mają wsiąść na okręt; sam zaś ma odprowadzić królestwo ichmć aż do Pielaskowiec i tam ich pożegnać, a potem

udać się do Wiednia, a z Wiednia na Ratysbonę do Strasburga, dla poznania tej części Niemiec w powrocie do Francyi."

Warszawa dnia 11 lipca 1681 roku.

. . . „Morowe powietrze ponawia się w państwach cesarza jmci od granic weneckich . . .

„Podług ostatnich wiadomości przywiezionych ze Stambułu przez gońca zdaje się, że pokój z cesarzem jmcią utrzyma się jeszcze na lat dwadzieścia; że Porta wedle niektórych pozorów zamyśla obrócić oręż ku Polsce albo ku Sycylii; że trzydzieści tysięcy Turków stoi na granicach dalmackich, i że Wenetowie uzbrajają się od owej strony.

„Sejm węgierski postępuje bardzo zwolna w swoich pracach; wybrano trzynastu katolików i tyluż protestantów, którzy mają przedstawić dworowi wykaz publicznych a razem prywatnych krzywd i uciążliwości

„Tekeli, albo Thoekeli, o którym wmćpan mówisz, nie jest magnatem siedmiogrodzkim, ale naczelnikiem rokoszan węgierskich, i on to widziany jest jak najlepiej u Porty, dla tego że pochodzi od Betlem - Gabora; zaś Teleki jest jednym z panów siedmiogrodzkich, posiadający tam mienie dostatnie, i jest pierwszym ministrem xięcia siedmiogrodzkiego: człowiek dowcipny, jak już podobno pisałem, bystrego umysłu, przenikliwy, przebiegły, podejrzliwy, ale przytem wielce interesowany.

„Pan Akakia ma ztamtąd niezadługo powrócić; następca jego pan Du Vernay stanął na tamtejszym dworze."

Warszawa dnia 18 lipca 1681 roku.

. . . „Podług listów z Wiednia z 7 bieżącego miesiąca, zaprasza sejm węgierski cesarza jmci, aby raczył tam przybyć dla ułatwienia zgody obecnością swoją. Stany przyrzekły pewną sumę pieniężną na utrzymanie rokoszan, którzyby powrócili do posłuszeństwa. Arcybiskup z Collocza przyrzekł złożyć na ten cel sto tysięcy franków, od arcybiskupa strygońskiego, że jest bogatszy, żądano cokolwiek więcej, ale ten opiera się utrzymując, że jest ubogi. Co do kwestyi religijnej, tedy twierdzą jedni, że ta nie

należy do rzędu spraw publicznych, dla których sejm został zwołany; inni zaś utrzymują, że jest poniekąd sprawą publiczną i przyznają protestantom wolność sumienia, ale nie chcą pozwolić na publiczny obrządek tego wyznania w kościele; a jeszcze inni domagają się, aby im wolno było i kościoły budować i wszędzie obrzędy jawnie odbywać. Punkt atoli najtrudniejszy jest, że rokoszanie nie chcą przystąpić do ugody, jeżeli im nie będą dostarczone środki na wykupienie zakładników, których wydali Turkom, i na zapłacenie daniny czterdziestu tysięcy rixdalów, do której się tymże Turkom zobowiązali. Część rokoszan opuściła Tekelego i rozpoczęła kroki nieprzyjacielskie przeciw wojsku cesarskiemu, odgrażając się, że cały kraj do szczętu spustoszą, jeżeli nie będą zaspokojeni we wszystkich swoich żądaniach. Turcy pochlebiają Tekelemu nadzieją udzielnego xięstwa, i to sprawuje, że jest trudniejszym do ugody.

„Cesarz jmć przysłał królowi polskiemu w podarunku siedm koni karecianych bardzo pięknych, w czaprakach z karmazynowego axamitu.

„Słychać u nas, że dwór francuski zagniewany na Portę, nie za odmówienie sofy swemu ambasadorowi, ale za obelżywe obejście się z panem de Guilleragues z przyczyny jego sekretarza, który gdy został renegatem, a pan de Guilleragues przekonawszy się o tem sam go za to ukarał pomimo przestrog wielkiego wezyra, rozgniewany Turek kijami go kazał obić.[1] Gdyby się dwór francuski był przychylił do zamiarów nieboszczki królowej polskiej, Porta ottomańska drżałaby teraz przed nim i byłaby ku niemu z najgłębszem uszanowaniem, boby ją pewnie ręką mógł dotknąć; ale to się nie podobało ówczesnym ministrom francuskim.

„Dwór nasz czeka z wyjazdem na wypadek sejmików relacyjnych, poczem uda się do Jaworowa, płynąc Wisłą i Sanem aż do Jarosławia; w jesieni zaś wyjedzie może do Prus, albo tu powróci, jeżeli król jmć, jak słychać, złoży nowy sejm na tę zimę."

---

[1]) Zdaje się, że ta pogłoska o skrzywdzeniu posła francuskiego w Stambule należy do wieści całkiem bezzasadnych; o jakich zaś zamiarach królowej Maryi Ludwiki przeciw Porcie ottomańskiej mówi tu Des Noyers, jest mi niewiadomo.

Warszawa dnia 25 lipca 1681 roku.

...„Uspokojenie rokoszan węgierskich staje się coraz wątpliwszem. Porta dała rozkaz Siedmiogrodzanom, Wołochom i Multanom, aby im pomagali wszelkim sposobem. Słychać już, że ci co się odłączyli od Tekelego, pustoszą kraj zapuszczając się aż po Morawy. Wojna z Turkiem w tamtych stronach na rok przyszły jest rzeczą prawie pewną. Xiążę Siedmiogrodu dopomina się już o trzy komitaty w górnych Węgrzech i grozi Zatmarowi oblężeniem.

„Turcy nie tylko żadnego przeciw nam nie czynią poruszenia, ale nawet z najmniejszą na nas skargą nie dają się słyszeć, jakby wcale nie wiedzieli, że im chciano wydać wojnę; a gdyby nawet pokazywali, że o tem wiedzą, za pomocą podarunków zmieniłoby się ich zdanie.

Z powodu jakiegoś nowego rodzaju febry, która się pokazała we Francyi, tak dalej pisze Des Noyers: ...„Prawda że u nas w Polsce jest bardzo mało lekarzy, i to w główniejszych tylko miastach, jak w Gdańsku, w Krakowie, w Warszawie i we Lwowie; a jednak żyją tu ludzie bardzo długo. Wilno jest duże miasto, a nie ma w niem żadnego lekarza. I w całym Krymie śród Tatarów nie ma też ani jednego. Jeden z moich przyjaciół, lekarz Niemiec, był tam w niewoli; pozwalano mu jeździć po całym półwyspie dla praktykowania medycyny, a gdy przyszedł zań okup, nie zmuszano go wcale, aby tam pozostał."

Warszawa dnia 1 sierpnia 1681 roku.

...„Piszą z Krakowa, że bardzo wielu Węgrów ucieka do Polski, co pokazuje, że rokoszanie zerwali zawieszenie broni i że mają odmawiane, co im w imieniu cesarza przyrzeczono. Paweł Esterhazy nowy palytyn, bliski krewny Tekelego, nie zdołał namówić go do ugody na warunkach, jakie mu ofiarowano. Słychać, że ma przyrzeczenie od Porty być mianowany xięciem górnych Węgier, jak Abaffi jest w Siedmiogrodzie, z obowiązkiem hołdu i daniny: o tem donosi mi jeden z moich przyjacioł, który otrzymał list od Tekelego pod dniem 18 z. m.

„Pan Akakia wybrał się już w podróż i niezadługo tu się go spodziewamy.

„Oprócz powyższych wiadomości z Krakowa, listy z Wiednia z 21 z. m. donoszą, że rokoszanie pustoszą i burzą wszystko; że Tekeli łatwoby się zgodził z wôlą cesarza, ale że go inni nie chcą już uznawać za naczelnika i tak baczne mają nań oko, że nic nie może uczynić. Nie uznają także nowego palatyna, żądają koniecznie innego wyboru i nie chcą ustąpić w niczem, czego się domagali, osobliwie zaś żądają, aby wypłacono za nich daninę, którą Turkom przyrzekli.

„Basza agryjski rozesłał okólniki po wszystkich prowincyach, które uważa za hołdujące Porcie, rozkazując pod karą śmierci, aby trzymano wszędzie w pogotowiu, tu dwa, indziej trzy i cztery wozy pod juki i wszelakie sprzęty wojskowe; okólniki te z 9 z. m napełniły kraj cały przestrachem. Na Węgrzech jest bojaźń o Koszyce.

„Biskup belowacki wyjechał 29 lipca z powrotem do Francyi na Kraków i Wiedeń; miał krótszą drogę na Niceę, ale dla morowego powietrza jechać tamtędy nie mógł. Przybywszy tu północną częścią Niemiec, pragnie poznać i południową wzdłuż Dunaju. Margrabia de Vitry sam jeden zostaje tu na teraz.

„Oprócz zerwania kilku sejmików relacyjnych, o co tu wcale nie trudno, mamy zupełny pokój. Czas wyjazdu królestwa ichmości z Warszawy jest dotąd niepewny, równie jak i połogu królowej; zdaje się, że czekają tylko na pewność w tym względzie, aby postanowić co uczynią. Król miał tymczasem lekki napad nefretyczny, od którego został uwolniony wyrzuciwszy mały kamyk.

„Posucha u nas tak wielka, że wszystkie zasiewy jare poginęły, ztąd powszechna na ten rok obawa głodu.“

Warszawa dnia 8 sierpnia 1681 roku.

... „Z powodu zawieszenia broni między Turcyą a Moskwą na lat dwadzieścia, odbyła się w Rzymie konsulta: obawiano się tam, aby Turczyn nie wtargnął do Polski z ogromnem swem wojskiem, zmuszając ją do potwierdzenia haniebnego pokoju, który stanął przed kilku laty; mówiono nawet, że należy myśleć o środkach, jakby temu nieszczęściu zapobiedz.

„Sprawa węgierska obraca się coraz gorzej dla cesarza, któ-

ry jak donoszą postrzegł, że mu źle doradzano, aby nie zawierał ugody z Tekelim, kiedy tenże był dowódcą rokoszan. Dziś to rzecz już wcale niepodobna, skoro znaczna ich część wyłamała się z pod jego posłuszeństwa. Pomimo to jednak wspierają się oni nawzajem, są panami pola i czynią wszędzie wielkie spustoszenia. Pięć tysięcy z nich weszło do Nowegotargu, starostwa na pograniczu polskiem, należącego do kanclerza wielkiego koronnego, ale nie uczyniło tam żadnej szkody. Posunąwszy się potem dalej, ubiegli zamek Orawę, do bardzo zacnego szlachcica z partyi cesarskiej należący i spustoszyli go. Tekeli szedł za nimi w odwodzie, aby ich wesprzeć, jeśliby pomocy jego zapotrzebowali. Ciż sami rokoszanie ubiegli i spustoszyli inny jeszcze zamek na granicy morawskiej, i puścili z życiem samego tylko komendanta i kilku xięży *delle scole pie.*

„Rozejm między cesarzem a sułtanem tureckim kończy się w roku następnym; rezydent cesarski utrzymuje zaś, że dopiero za lat trzy.

„Co do Moskali, od których doznaliśmy takiego zawodu i oszukaństwa, ci utrzymują, jak już pisałem, że i myśmy ich także oszukali, zawierając pokój bez nich. Wielka w tem atoli różnica; bo oni chcąc Turków trzymać w oddaleniu od granic swoich dopomagają im do czynienia zaborów w Polsce, czego my względem nich nie czyniliśmy i nie czynimy. Z tem wszystkiem sprawy nasze nie są jeszcze w stanie tak złym, jak się to wmćpanu wydaje i sami Turcy nie mają o nas tak złego wyobrażenia. Zapewnie napędziłoby nam to niemałego strachu, gdyby wszystkie swoje siły chcieli na nas obrócić; ale i oni także byliby w obawie, abyśmy wojska naszego nie połączyli z moskiewskiem: i toć to było im powodem, że tak spiesznie pokój zawarli.

„Czytałem tej właśnie chwili list z 28 lipca z podpisem własnoręcznym Emeryka Tekelego; skarzy on się na cesarza, że łudząc ich dotąd nadzieją ustępstw zmusza ich znowu do obrony; świadczy się Bogiem i całym światem, że są niewinni i przywiedzeni koniecznością do tego, co czynią.

„Dwór nasz zapowiedziawszy na dzisiaj wyjazd swój do Jaworowa na Rusi, odłożył go nieodwłocznie do jutra.“

Warszawa dnia 15 sierpnia 1681 roku.

„Z Węgier wiem dzisiaj tyle tylko, że wojska rokoszan są w okolicach Spiża. Żądają, aby na sejm wyprawiono innych posłów, bo ci, co tam są, nie rozumieją po niemiecku. Zdaje się, że punkta najważniejsze ich żądań dotyczą zwrócenia kościołów i dóbr zabranych, oraz wypłacenia daniny Turkom, od czego w żaden sposób nie chcą odstąpić.

„Jeżeli kometa pokazujący się w tym roku jest ten sam, co się już dał widzieć w roku 1577, musiał więc być także w roku 1474 i tak co 103 lat; ale żaden z nas nie obaczy tego, co się pokaże w r. 1783, co jednak byłoby rzeczą ciekawą.

„Protestanci tutejsi żalą się bardzo na złe obchodzenie się we Francyi z ich współwyznawcami; a ja im na to odpowiadam, że rząd francuski nie obchodzi się z nimi ani w połowie tak źle, jak się obchodzą protestanci z katolikami w Anglii, w Hollandyi i wszędzie gdzie mają górę i gdzie tolerują wszystkie wyznania wyjąwszy rzymsko-katolickie.

„Sułtan turecki daje nam pokój i Tatarzy nie myślą o nas obróciwszy siły swoje ku Węgrom, chcąc rzucić postrach na cesarza. Nie zdaje się jednak, żeby Porta miała zamiar przedsięwziąć coś stanowczego przed skończeniem rozejmu, jak tylko wesprzeć rokoszan, aby nie byli zgnieceni. Siedmiogrodzanie z swojej strony grożą ciągle oblężeniem Zatmarowi.

„Posucha u nas tak wielka, że wszystkie prawie drzewa ogołocone z liścia, a owoce w ogóle drobne i poschłe. Wisłę pod Warszawą można przejść w bród, co rzecz dotąd niewidziana; statki przestały chodzić, a wszystkie mniejsze rzeki całkiem powysychały; zboże po polach w stanie najnędzniejszym: to też wszyscy obawiają się wielkiego głodu.

„Między szlachtą i częścią ludu w Inflantach powstanie, z przyczyny, że król szwedzki pozabierał im dobra. Rokoszanie węgierscy wtargnąwszy w granice Polski, napadali na kościoły i rabowali je.“

Tu następuje w korespondencyi druga przerwa daleko dłuższa od pierwszej, bo spełna dwadzieścia pięć miesięcy trwająca; trzeci oddział listów w liczbie trzynastu zaczyna się dopiero 1go października 1683 roku. Że Des Noyers wyjeżdżał w tym czasie do Francyi, jest o tym wyraźna wzmianka w jednym z listów Sobieskiego do królowej, gdzie powiedziano w sposób tajemniczy: ... „Des Noyers i de Bohan pewnie nie po pomarańcze portugalskie jadą do Francyi..." [1]) Ponieważ zaś wyjazd ten, jak data listu świadczy, nastąpił dopiero w kwietniu 1682 roku; więc i tu nie wiedzieć, jak wytłumaczyć brak listów niedostających po 15 sierpnia. Na szczęście osnowa tych, któreśmy powyżej zamieścili, wiąże się tu z listami samegoż króla, znajdującymi się w ważnem dziele Antoniego Zygmunta Helcla. Rozważałem treść ich pilnie i widzę, że staranny wydawca uporządkował je trafnie, pomimo że dla braku dat, jak sam nadmienia, nie małej w tem doznawał trudności. Za ich pomocą można więc wypełnić w części lukę z tej przerwy idącą i powziąć dostateczną wiadomość tak o o ruchach dworu, jak i o niektórych wypadkach w kraju do tego okresu należących.

Królestwo ichmość opuściwszy Warszawę 9 sierpnia, udali się swoim zwyczajem do Wilanowa. Król, jak z jego listów widać, uprzedził królowę w podróży na Ruś, polując po drodze w okolicach Pielaskowic, Potylicza i Niemirowa; w Jaworowie stanął dopiero pierwszych dni września. Królowa, zabawiwszy w Wilanowie dłużej dla słabości zdrowia, jadąc zwolna stanęła tam dopiero w końcu września. Spokój głęboki w kraju pozwalał królowi wypoczywać swobodnie po burzach sejmowych; zwiedzał więc gospodarstwo przejeżdżając się z Jaworowa do Żółkwi, a w jesieni polował na grubego zwierza w górach za Stryjem, w okolicach Daszawy, Dzieduszyc, w Międzyrzeczu nad samym Dniestrem itd. W wyprawie na te łowy towarzyszyli królowi, oprócz kilku dostojniejszych panów polskich, poseł francuski margrabia de Vitry i rezydent cesarski, baron Zierowski i jak listy królewskie świadczą, wiele tam mieli uciechy. Posłowie województwa

---

[1]) List nr. 92 str. 338.

sandomierskiego przyjechali za królem aż w góry prosząc o sejmik; ale ich znać król z niczem natenczas odprawił, bo w kilka miesięcy poźniej byli znów w tej samej sprawie u króla w Jaworowie.

Na wiosnę następnego roku objeżdżał król dobra odleglejsze, za-złoczowskie; oglądał fabryki, układał interesa gospodarskie, odmieniał niewiernych lub niegospodarnych zarządców, zaprowadzał wszędzie ład i porządek; a jak to miał zwyczaj w wycieczkach tego rodzaju poświęcał cokolwiek czasu i myślistwu, w którem miał wielkie zamiłowanie. Wśród tych zatrudnień i rozrywek wiejskich, nie zapominał jednakże Sobieski i o ważniejszych sprawach kraju, o bezpieczeństwie publicznem; uzupełniał powoli wojsko regularne, nazwyczajał je do karności, wprowadzał rozkładanie go na leże u granic rzeczypospolitej itd. Ale niebawem czekały go sprawy daleko trudniejsze i zawilsze

Z nad Renu i od granic włoskich dochodziły pod te czasy ważne wiadomości. Ludwik XIV, pomimo uroczystych traktatów nimegskich i śród powszechnego pokoju grabieżył podstępem lub przemocą, co mu do zaokrąglenia własnego państwa wydawało się być potrzebnem. Zajęcie w jednym dniu Cazala i ubieżenie Strazburga przejęło całe Niemcy przestrachem. Z Węgier dochodziły niemniej trwożące wieści tak z obozu rokoszan, jak od strony tureckiej. Donosząc królowej o tych wiadomościach w miarę jak go dochodziły, pisze Sobieski: „Cesarz *à une d' oeil* schnie i niszczeje lubo chodzi i zdaje się być zdrowym. Kiedy go pytali ministrowie i lekarzy, skądby mu miała być ta indyspozycya, odpowiedział: „azaż można być zdrowym, widząc się być zewsząd od nieprzyjacioł ściśnionym...“ [1])

Aby się oprzeć niepowściągnionej żądzy podbojów Ludwika XIV, który i Niderlandom austryackim groził zaborem i na inne przyległości zbrojnie nastawał, utworzona została przeciw niemu pod koniec 1681 roku nowa liga obronna: zawarł ją cesarz Leopold z Hollandyą, Hiszpanią, Szwecyą i Anglią; niechcąc zaś z dwoma potężnymi nieprzyjaciołmi mieć naraz do czynienia, usiłował przez różne ustępstwa odwrócić wojnę z Portą ottomań-

---

[1]) Listy Sobieskiego str. 329.

ską. Ale wszystko nadaremnie. I sułtan stawał się coraz wymagalniejszym, w miarę jak przygotowania jego wojenne dobiegały kresu; i nieubłagany przeciwnik cesarza, król francuski, podburzał coraz czynniej Węgry przeciw niemu. W kwietniu 1682 roku uznał się Tekeli otwarcie hołdownikiem Porty, otrzymawszy od sułtana tytuł xiążęcia Węgier; a w czerwcu, wsparty pieniądzmi francuskiemi, rozpoczął kroki nieprzyjacielskie, w krótkim zaś czasie aż ku granicom morawskim zwycięski oręż posunął. Że za ruchem węgierskim mógł za lada chwilę nastąpić ruch nierównie groźniejszy wojsk tureckich, o tem już nikt nie wątpił.

W obec niebezpieczeństwa grożącego cesarstwu i kiedy Europa dzieliła się jakoby na dwa obozy, przyszedł czas i na króla polskiego rozważyć ostatecznie, do którego z nich wypadnie mu się przyłączyć. Mimo skłonność osobistą ku Francyi i żywe współczucie dla Węgier, przeważne względy odwracały go od związku z dworem francuskim, z którym połączyły się już Prusy i Dania. Ale ku stronie, do której zbliżała go poniekąd wspólność niebezpieczeństwa, nachylał się jednak Sobieski stopniowo i z wielką oględnością. Najprzód kazał przez podkanclerzego Gnińskiego przedłożyć posłowi francuskiemu, w jak przykrem położeniu stawia go wolny ów przejazd kuryerów i przewóz pieniędzy przez Polskę do Węgier, na które patrzał dotąd przez szpary; że nuncyusz i rezydent cesarski zarzucają mu, jakoby to na dworze polskim układano i urządzano wszystko, co tylko służy do podżegania rokoszan do buntu; i że papież odmawia z tej przyczyny przyrzeczonych posiłków: każe więc przeprosić króla Francyi, jeżeli odtąd ani przewozu korespondencyj, ani przesyłek pieniężnych nie będzie cierpiał. Powróciwszy z wycieczki, o której wspominam powyżej, wystawił sam król margrabiemu de Vitry w wyrazach daleko żywszych niechęć ku sobie Rzymu i Wiednia, a ponieważ jawny u dworu pobyt pana Duvernay po jego powrocie z Węgier najwięcej się do tego przyczynił, życzy sobie król, ażeby agent francuski dwór opuścił.

Żądaniu króla stało się w tym punkcie zadość; ale na zakaz wyraźny przesyłania korespondencyj i pieniędzy nie zważano wcale. Zuchwały a razem przebiegły Francuz, osiadłszy sam w Niemiro-

wie, zmienił tylko trakt komunikacyi: co szła dotąd na Stryj obrócił ją w bok Sambora, i tak rzecz swoją dalej prowadził. Król domyślając się wybiegu, polecił ludziom zaufanym, aby mieli baczne oko na wszystkie szlaki do Węgier. Przewożących listy schwytano na gorącym uczynku; sam król spisał punkta zeznań, a poimanych kazał osadzić w więzieniu i pod sąd oddać. I Duvernay nie długo był spokojny w swojej rezydencyi; szlachta okoliczna nierada widziała go mieszkającego w Niemirowie: a kiedy na przedstawienia łagodne okazał się do wyjazdu opornym, zagroził mu xiążę Konstanty Wiśniowiecki, wojewoda bełzki, że raczej miasto każe spalić, niżby go tam dłużej miał cierpieć.

Zaraz przy pierwszych oznakach nachylania się Sobieskiego ku Austryi, i wzrastającej niechęci w kraju ku dworowi francuskiemu, tajni i jawni agenci jego nie omieszkali donieść mu o tym stanie rzeczy. Morsztyn pisze już w czerwcu 1682 roku do biskupa Jansona: ... „upewniam waszą excelencyę, że liczba osób przychylnych Francyi bardzo się zmniejsza w Polsce, na moje wielkie zmartwienie...“ a cokolwiek poźniej donosi: „...u dworu naszego przyszło już prawie do otwartych deklaracyj przeciw Francyi...“; to znowu: „...dwór nasz postępuje jawnie przeciw waszemu...“ [1]) Duvernay skarzy się, że powstaje na niego prześladowanie, ale że to nic nie znaczy; upewnia, że nikogo słuchać nie będzie prócz króla swego, a z Niemirowa nie wyjedzie. [2]) Margrabiemu de Vitry chodzi przedewszystkiem o to, jakby wyłamującego się z pod wpływu polityki francuskiej króla, dla tej polityki na powrót pozyskać: radzi więc żądaniom jego uczynić zadość, zwłaszcza, że wedle jego przekonania są między niemi takie, które ze wszech miar za słuszne i sprawiedliwe uważa. [3]) I Morsztynowi zdawał się ten środek najstosowniejszym do pozyskania na nowo życzliwości polskiego dworu; pisze więc do biskupa Jansona przebiegłym

---

[1]) Listy Sobieskiego str. 350 i 355.

[2]) Tamże str. 351.

[3]) Szło naprzykład o zwrócenie pewnych sum, które miasta pruskie na żądanie margrabiego de Bethune i za rozkazem Sobieskiego, na utrzymanie wojska w interesie francuskim zaciągnionego były wydały, a o które dwór polski od lat kilku nadaremnie się upominał Tamże str. 352.

swoim sposobem: „...wasza excelencya znasz bystrość umysłu królowej i głęboki rozsądek króla: bardzo zatem trudno zaspokoić ich samemi słowy, kiedy nie widzą skutku przyrzeczeń ..“[1])

Skorszy do obietnic w słowach niżeli w czynie, uznał nareszcie Ludwik XIV słuszność przedstawień swoich agentów, kazał powypłacać zaległe sumy, potwierdził wyznaczone dawniej pensye dla króla i królowej, i dodał do nich nowe; kazał nawet oświadczyć, że się rad skłoni do ofiar daleko większych i korzystniejszych, byle król polski widoki jego chciał popierać i w ścisłe z nim wszedł przymierze. Ale wszystkie te oświadczenia i obietnice pozostały bez skutku. Mimo naglącą potrzebę zasiłków pieniężnych na wojnę tak już bliską; mimo wszelkie korzyści materyalne, jakie Sobieski mógł otrzymać dla swojego dworu przy zawarciu przymierza z jedną czy z drugą stroną, wyższe względy kierowały nim przy wzięciu ostatecznego w tej mierze postanowienia Walka z nieprzyjacielem krzyża była dlań najświętszym obowiązkiem. Ten obowiązek wskazywało mu zarówno i dziejowe niejako zadanie Polski, i własna tradycya jego domu. Od strony tureckiej cierpiał kraj najwięcej przez tyle wieków: ztamtąd groziło mu i obecnie najbliższe niebezpieczeństwo. Sobieski odwrócił się więc od Francyi, a postanowił wejść w ligę z cesarzem.

Tu poczyna się w partyi francuskiej, w celu przeszkodzenia tej lidze, szereg podziemnych zmów i knowań, a smutno powiedzieć, że Morsztyn jest w nich doradcą i głównym działaczem. Dnia 5 grudnia 1682 roku pisze on do Paryża: „..Liga umówiona w gabinecie, ale będzie zerwana na sejmie.. “ a 18 grudnia tak rzecz bliżej wyjaśnia: „...Przymierze między naszym a wiedeńskim dworem zostało zawarte. Cesarz ma dać za to królewicowi córkę swoją w małżeństwo i dopomódz mu do dziedziczności tronu. Skutkiem naturalnego związku rzeczy, zerwanie sejmu sprowadzi rozerwanie ligi ..“ a nareszcie 23 stycznia 1683 roku, na kilka dni przed rozpoczęciem sejmu donosi: „...Przygotowałem rzeczy tak, że można rozpocząć wojnę z dworem: do margrabiego de Vitry będzie należało korzystać z tego...“[2])

---

[1]) Listy Sobieskiego str. 350.
[2]) Tamże str. 368, 369 i 430.

Zapewne w skutek tego doniesienia pisze w kilka dni potem sam król Francyi do swojego posła w Warszawie: „Przekonywam się, że znajdziesz wpan w sejmie polskim niemałą liczbę osób, które postanowiły niedopuścić uchwał interesowi mojemu przeciwnych itd."[1])

Mimo wszelką obrotność i przezorność stosunków Francyi, czujność Sobieskiego zniweczyła ich zamachy wymierzone przeciw sejmowi i lidze, a może odwróciła razem i niebezpieczeństwo jemu samemu grożące: jeżeli damy wiarę, że spiskowi nastawali i na życie króla, a przynajmniej korony go chcieli pozbawić.[2]) Król miał od niejakiego czasu baczne oko na Morsztyna i Vitrego; przejmowane ich listy odkrywały mu wszystkie intrygi i zmowy ich; jeden z listów Vitrego miał nawet zawierać wykaz cen, po jakich niektórym ze znaczniejszych osób za udział w tej sprawie płacono, czy też płacić przyrzekano. Listy te złożone przed sejmem w chwili, kiedy pozyskani w ten sposób stronnicy polityki francuskiej najsilniej opierali się lidze chrześciańskiej przeciw niewiernym, zmieniły w jednej chwili stan rzeczy. Na Morsztyna, głównego podżegacza i doradcę tego podłego czynu, powstało powszechne oburzenie: okryty hańbą, pod sąd został oddany; na traktaty zaś z cesarzem sejm jednomyślnie zezwolił. Dnia 31 marca 1683 roku zawarł Jan III. przymierze z cesarzem Leopoldem,[3])

---

[1]) Listy Sobieskiego str. 431.

[2]) Czy ze spiskiem na zerwanie sejmu a w następstwie i ligi, nie łączył się cel daleko sromotniejszy: zamach na życie króla? o tem nic stanowczo powiedzieć nie można. Niektórzy ze spółczesnych podają w wątpliwość zamysł takowej zbrodni; Dawid Braun jednakże czyni wzmiankę o tym zamachu w dziele swojem: *Commitiorum Poloniae tractatus;* i sam Sobieski wyraźnie mówi w uniwersałach z dnia 3 maja 1683 roku, że nastawano na jego życie.

[3]) Nie będzie zapewne od rzeczy przypomnieć tu treść tego przymierza, jak je podaje ważne dzieło: Relacye nuncyuszów apostolskich w Polsce 1864 tom II. str. 431. (*Ex cod. mscr. Bibl. Vallic. N. 21 p. 150*).

Przymierze pod opieką papieża trwać ma aż do stałego i chwalebnego pokoju.

Zaprzysiężone będzie przed papieżem przez kardynałów Piusa i Barberini.

Cesarz kwituje rzeczpospolitę z reszty należących mu sum za

a we wrześniu tego samego roku, wedle własnych słów Sobieskiego: „Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały.“ (Wyrazy króla Jana w liście z namiotów wezyrskich pisanym).

O tych wypadkach jako powszechnie znanych, nadmieniam tu bardzo pobieżnie, dotykając tylko głównych punktów zdarzeń. Z tej samej przyczyny wypadło mi i z listów następnych, pisanych już po zwycięstwie pod Wiedniem, wybrać tylko kilka drobniejszych szczegółów i pogłosek, opuszczając wszystko co albo z listów króla, albo z dyaryusza Dyakowskiego i z innych pism tego rodzaju dostatecznie jest wiadome.

Warszawa dnia 1 października 1683 roku.

„Za powrotem ze wsi, zastałem tu listy wmćpana z 27 sierpnia i 3 września, za które uniżenie dziękuję. Bardzo być może, co wmćpan piszesz, że Tatarowie spustoszywszy do szczętu Węgry i niższą Austryę, przyczynili się przez to do ocalenia Wie-

---

dane przeciw Szwedom posiłki, i żupy solne z pod zastawu uwalnia. Dany sobie wtedy skrypt, którym Polacy zobowiązali się nie wybierać króla bez jego zezwolenia nazad im zwraca.

Jedna strona bez drugiej pokoju zawrzeć nie może.

Cesarz jako król czeski i węgierski, imieniem swojem i swych następców, król polski imieniem swojem, swych następców i rzeczypospolitej zachowanie traktatu przyrzekają.

Cesarz utrzymywać będzie w Węgrzech 60.000 wojska, król polski w Polsce 40000.

Na przypadek oblężenia Wiednia lub Krakowa, połączą się oba wojska, jeżeli tego będzie potrzeba.

Kiedy wojska działać zaczną, starać się będzie każde ze swéj strony czynić na nieprzyjacielu zdobycze w Węgrzech, na Podolu i Ukrainie.

Cesarz daje Polakom 200.000 talarów, aby prędzéj przygotowali się do wojny.

Inni królowie do tego przymierza zaproszeni i przypuszczeni będą, które, jak się wyraźnie zastrzega, tylko przeciw Turkom jest zawarte.

W przeciągu dwoch miesięcy ma być potwierdzone i zamienione.

dnia, bo Turcy nie mogli mieć z tamtych miejsc wyżywienia. Zależy im także na tem, ażeby Turcy nie posuwali się za nadto w kraje chrześcian, zkąd oni wybierają niewolników, których w całej sprzedają Turcyi. Drugą bardzo ważną usługę oddali tem, że podczas bitwy przypadłszy wedle swojego zwyczaju z wrzaskiem i krzykiem przeraźliwym, wcale się nie bili, ale odwróciwszy się natychmiast oświadczyli wezyrowi, że kiedy są Polacy, to już tu nie ma co robić. Wezyr prosił chana, aby dla wspólnego ratunku powrócił do bitwy. Chan ruszył się znowu ze zwyczajnym okrzykiem, ale otarłszy się tylko o skrzydło naszego wojska, cofnął się, zupełnie żadnej nie wypuściwszy strzały. A jest zdanie między wojskowymi, że gdyby Tatarowie byli chcieli bić się jak z xięciem lotaryńskim w pochodzie pod Wiedeń, bitwa byłaby wzięła inny obrót, a przynajmniej zwycięstwo byłoby daleko trudniejsze...

... „O królu Francyi chodzą tu tysiączne bajki, rozgłaszane z Wiednia: to, że podczas bitwy był osobiście w obozie tureckim; że w turbanie wezyra znaleziono list od niego, wyrażający nadzieję, że wezyr od oblężenia Wiednia nie odstąpi, za co obiecuje mu król 30 tysięcy dukatów; to znowu, że zwycięstwo odniesione nad Turkami, będzie przyczyną śmierci dwoch wielkich panów: że papież umrze z radości, a król Francyi ze zmartwienia; i tym podobne brednie...“

.. „Mówią, że podczas oblężenia kazał Starenberg zdjąć z wieży ś. Stefana znamię półxiężyca, które tam było umieszczone w skutek dawnego traktatu z Solimanem, i że natomiast postawiono krzyż. Dopóki stał półxiężyc, Turcy nie strzelali; ale jak tylko obaczyli krzyż na wieży, zaraz zaczęli strzelać, ażeby go zrzucić; wszelako nadaremnie.“

Warszawa dnia 15 października 1683 roku.

... „Pewny jestem, że Paryżowi nie będzie zbywało na wiadomościach daleko dokładniejszych, niżeli są nasze; tu bowiem mało co nowin dochodzi; zwłaszcza odkąd królowa jejmość i kanclerz wielki koronny wyjechali do Krakowa, wszystkie tam się zatrzymują.

...„Na Tatarach nie zdobyto żadnych dział, z tej przyczyny, że ich nie mieli i nigdy nie miewają..."

Warszawa dnia 29 października 1683 roku.

...„Janczarowie odprowadzający młode niewolnice wezyra na tysiąc pięciuset wozach, jest bajka do romansu. Nic dziwnego, że krąży tyle wiadomości niepewnych i przesadzonych. Gruzy śniegu i strumienie powiększają się zwyczajnie w miarę jak się oddalają od źródła..."

Warszawa dnia 5 listopada 1683 roku.

„Papież kazał przywołać na audencyę sekretarza Włocha króla jegomości polskiego i dał mu własną ręką złoty łańcuch filigranową robotą ważący sześć funtów; łańcuch ten kazał był zrobić poprzednik jego Klemens X dla xięcia de Beaufort, jeśliby z Kandyi powrócił zwycięzcą; tak o tem donoszą z Rzymu. Było dużo innych upominków od panów rzymskich Kardynał Barberini dał złoty krucyfix i krzyż ze szmaragdami; a papież uczcił króla jegomości przez list apostolski tytułem obrońcy wiary... Podskarbi Morsztyn wyniósł się cichaczem z kraju..."

Warszawa dnia 10 grudnia 1683 roku.

...„O wezyrze mówiono, że był dostojeństwa swego pozbawiony; ale się to nie potwierdza. Turcy mało mają ludzi znakomitych: państwo ich utrzymuje się w potędze jedynie przez niezgodę xiążąt chrześciańskich.

„Wojsko nasze bardzo ucierpiało w Węgrzech, najwięcej umiera na dyzenteryą. Brak chleba i używanie winogron więcej mu szkodziły niż Turcy.

„Kasztelan krakowski, który był obległ Jazłowiec, musiał odstąpić od oblężenia na wiadomość, że 20 tysięcy Tatarów idzie na odsiecz. Ale była to wiadomość mylna; nie było ich nad cztery tysiące, a puszczali przed sobą pogłoskę o liczbie dwudziestu tysięcznej...

„Z Flandryi przysłano tu kopię obrazu przedstawiającą xiążąt chrześciańskich pogrążonych we śnie, podczas gdy król Francyi i Turek rozcinają piłą chrześciaństwo na dwoje; król polski budzi spiących."

Warszawa dnia 24 grudnia 1683 roku.

„Z Rzymu donoszą, że papież stara się utworzyć ligę morską przeciw Turkom. Wielki mistrz maltański zwołuje wszystkich kawalerów swego zakonu, a Wenecya czyni wielkie przygotowania.“

Warszawa dnia 31 grudnia 1683 roku.

„Aby uwiecznić pamięć zwycięstwa odniesionego pod Wiedniem nad nieprzyjacielem krzyża, postanowił papież osobne nabożeństwo do Najś. Panny, które ma być obchodzone corocznie w kościele powszechnym dnia 12 września. Porządek tego nabożeństwa ma ułożyć kardynał Casonnatu, a papież je bullą potwierdzić.

... „Nie mamy listów od naszego dworu; wiadomo jednak, że król jegomość powrócił do Krakowa, gdzie był przyjmowany tryumfalnie przy ogniach sztucznych i śród powszechnej radości.“

Tu koniec listów Piotra Des Noyers.

LUDWIK NABIELAK.



USTĘPY
Z HISTORYI DRAMATU GRECKIEGO.

II. *)

ZAWIĄZEK TRAGEDYI — POCZĄTEK I ROZWÓJ POSZCZEGÓLNYCH JEJ CZĘŚCI.

Wyjaśniwszy w poprzedzającym rozdziale ogólny stosunek dramatu greckiego, jako odrębnej poetyckiej gałęzi, do całej reszty literatury i wykazawszy zawisłość i związek jego z politycznem życiem narodu: zamierzam teraz przystąpić do dziejowych w sferze jego szczegółów. Chodzi mi obecnie o nakreślenie że tak powiem technicznej genezy form czyli części klasycznego dramatu. Przypadkowym sposobem przechowały nam dzieje pamięć prawie wszystkich ważnych momentów, stanowiących stopniowy postęp dramaturgii u Greków. Poznajmyż zatem tę kolej zmian w jej zakresie, napiętnowanych znamieniem istotnego udoskonalenia sztuki.

Używałem dotąd wyrazu dramat zawsze w znaczeniu właściwem, pierwotnem. Każdy utwor polegający na dramatycznej akcyi nazywam rzeczonem

---

*) Obacz Bibl. Ossol. tom IX str. 62.

mianem, bez względu na to, czy przeważają w nim żywioły wzniosłe i poważne, czy też komiczne; bez względu przeto czy dzieło jest tragedyą, czy komedyą. Niektórzy po dziś dzień nadają tę nazwę tylko takim sztukom, które się do tragedyi i komedyi mają jako coś pośredniego pomiędzy niemi (niemiecki *Schauspiel*). O takich utworach już z tego względu w rozprawie tej mówić nie mogę, że ich sztuka klasyczna nie zna. Dramat grecki był zawsze albo stanowczo tragedyą, albo komedyą.

Jakkolwiek starożytna komedya grecka nie była ostatecznie czem innem, jak tylko parodyą to jest znicowaniem zewnętrznych form tragicznych, to przecież zarody i koleje pierwszej były zupełnie niezawisłe od zawiązku i od postępów drugiej. Każda z nich rozwinęła się w sposób sobie tylko właściwy i dopiero na szczycie swego wydoskonalenia spotkały się obydwie ze sobą.

Z tego właśnie powodu wypada o każdym z tych dwóch dramatycznych rodzajów mówić oddzielnie.

W najpierwszej chwili miały one ze sobą tyle tylko wspólności, że wyrosły obydwa na pniu poezyi lirycznej; że przez czas pewien były i same właściwie tylko pieśnią, chórem. W tym lirycznym zawiązku tragedya przedstawia się w postaci dytyrambu, a komedya w kształcie komosa (*κῶμος*). Tak dytyrambus jak komos wziął początek z kultu religijnego, mającego na celu jedno i tosamo bóstwo, t. j. Dyoniza.

Myśl przywiązana do tej postaci mitycznej, jako też forma obrzędów na cześć onej odprawianych, tak

są ważne w obrębie poruszonej tutaj materyi, że od wyjaśnienia tego właśnie szczegółu wypada zacząć.

Nie ma w całej mitologii greckiej drugiej tak fantastycznej osobistości, jak Dyonizos. Jest to niby rzymski Bachus, właściwie jednak zupełnie coś innego od tej prozaicznej natury. Wszystkie mity i pomysły starożytnych o Dyonizie kryją pod formą bardzo nietrzeźwą i luźną znaczenie głębokie, mistyczne, poważne. Nieprzebrany jest ich zapas: dotknę tylko tych, co mają związek z przedmiotem naszym. Dyonizos był synem Zeysa. Co do imienia matki, nie ma zgody w podaniach. Najpowszechniejszem było mniemanie, że go urodziła Semele, królewna w Tebach beockich, a więc śmiertelna niewiasta. Dyonizos przeto z urodzenia nie był bogiem, ale tylko co Grecy nazywali *herosem*, to jest półboskim mieszanej natury pokoleńcem. Szczegół ten dla zrozumienia początku dramatu greckiego nie jest bez wagi, jak się to niżej okaże. W osobie tego herosa wyobrażano sobie symbolicznie twórczą siłę w naturze, potęgę i że tak powiem duszę ożywiającą całą przyrodę. Z tej symboliki znaczenia wywiązał się cały mit najrozmaitszych przygód syna Semeli. Życie w naturze—uważane w swej całorocznej kolei—przedstawia coś jakby osobistą obdarzonego duszą. Z wiosną wszystko z martwych się budzi, z nicości przechodzi do życia. Z postępem pory jakaś siła ukryta wydobywa na jaw coraz bujniejsze dostatki, coraz piękniejsze zjawiska. Plony i dary jesienne są jakby wygórowaniem tej dzielności płodnej w całem stworzeniu. Ale od onej chwili życiodawczy ten postęp zaczyna się zatrzymywać.

Wszystko, co tylko teraz nastaje, zdradza pewną chorobliwość i jakby przesilenie w naturze. Brak ten żywotności powszechnej pojawia się coraz groźniej. Przychodzi wreszcie zima i zgrabiała martwość ogarnia całe stworzenie. To więc następstwo pór roku przenosili Grecy na osobę swojego boga, który im w ludzkiej postaci wyobrażał naturę. Jej błogość była skutkiem jego dzielności, jej obumieranie wynikało z jego niemocy. Stąd poszło, że koleje w sferze natury pojmowane były mistycznie jako zrodzenie, wszechmoc, a następnie walki, cierpienia i skonanie Dyoniza. I to dało powód do całego pasma mitów, które w sposób już nie symboliczny, ale antropomorficzny, podawały o losach i zawodzie Dyoniza co następuje:

Dyonizos otrzymał od ojca swojego, pana nad niebem i ziemią, nad ludźmi i nad bogami wszystkimi, rządy nad światem. Z jego ręki zlewać się zaczęły na ziemię strumienie wszelkiego błogosławieństwa. Dobrze było pod jego panowaniem i ludziom i zwierzętom i wszystkiemu, co tylko żyje. Ale Hera, zazdrosna małżonka Zeysa, zaprzysięgła zgubę temu synowi niewiasty śmiertelnej, tak wysoko nad innych wyniesionemu. Było pokolenie bogów, którzy przed wiekami samowładne dzierżyli rządy nad światem, ale zostali poźniej przez Zeysa wyzuci z władzy i strąceni do Tartaru, krainy śmierci — Tytani! W tem państwie wiekuistej ciemności jęczeli oni od wieków, pałając żądzą odwetu za poniżenie, jakiemu podlegli. Oneto więc potęgi mściwości i zniszczenia przywołuje Hera na światło dzienne i oddaje im na pastwę tryumfującego w półbóstwie swojem syna Semeli. Rzu-

cają się nań z nienacka. Rozpoczyna się bój, nierówny i okropny, herosa z olbrzymami, jednego z siedmioma. Po bezskutecznym oporze, Dyonizos szuka ocalenia w ucieczce — Tytani pędzą za nim. Kiedy wysilenie uciekającego przebrało miarę, dopędzili go Tytani, i tu następują męki i cierpienia pokonanego, męki i cierpienia dyonizejskie. Wiążą go, pastwią się nad nim okrutnie, rozszarpują na sztuk siedm i każdy część swoję unosi. Ale życia mu jednak nie potrafili wydrzeć. Drgające jeszcze serce rozszarpanego wykrada z pod rąk morderców Pallas Atene, a według wyobrażeń ówczesnych w pośrodku serca tli iskra życia. Otoż tę ostatnią iskierkę życia Dyonizosa ocala Pallas Atene i zanosi do Zeysa. Zeys przyjmuje do wnętrzności swoich to serce ledwie bijące i odżywia je w sobie napowrót. Rodzi się z ojca swego powtórnie Dyonizos, do wyższego życia wskrzeszony, bo odtąd jest już bogiem nieśmiertelnym. Na Tytanów zaś spada z ręki Kronidy piorun zagłady i niweczy ich potęgę razem z ich życiem. Teraz przeznaczono jest zmartwychwstałemu bogu zająć miejsce ojca swego w rządach nad światem i sprowadzić napowrót dawno minione czasy wieku złotego.

Taki był mit przywiązany do bóstwa Dyoniza. Widać w tem wszystkiem pod różnymi względami zasadniczą dwoistość pojęć. Dyonizos był uważany to za symbol natury, to znowu za boga osobiście istniejącego. To więc już jedna dwoistość. Prócz tego był to ideał życia, dzielności i szczęścia—a z drugiej strony było to znowu jakoby uosobienie cierpień, bezwładności, skonania. Te przeciwległe pomysły, objęte

w samym już, że tak powiem, dogmacie dyonizejskim, były także wyrażone i w kulcie. Stanowiły go obrzędy nader przeciwnej sobie natury. Jedne z nich były posępne i jeśliby godziło się zrobić to porównanie: wielkopiątkowe. Drugie znowu były bachanckie, rozpustne, karnawałowe. I tak, jeśli poprzestaniemy na przytoczeniu samych tylko atyckich uroczystości, których było cztery w ciągu całego roku, to obchodzono przed samem nadejściem wiosny uroczystość mistyczną nazywaną A n t e s t e r y a, z charakterem ponurym, groźnym. Był to że tak powiem pogański adwent. Za stanowczem nadejściem wiosny następowały tak zwane D y o n i z y e w i e l k i e, obchód tryumfalny i radosny. Wyzwolenie Dyoniza z pęt śmierci, wskrzeszenie jego życiodawczej potęgi, oto co w dniu owym dawało hasło wesołości powszechnej. W poźnej jesieni, na czas winobrania, przypadały D y o n i z y e s i e l s k i e, niejako greckie okrężne czyli dożynki. Widok zebranych plonów pobudzał do wdzięczności dla Dyoniza, do wielbienia jego dobroczynnej wszechmocy, a stąd do uniesień graniczących prawie z szaleństwem. Wśród samej wreszcie już zimy obchodzono tak zwane L e n e j e i rozpamiętywano na nich obumarłość w naturze, marność i zmienność w zakresie życia ludzkiego, wreszcie cierpienia i skonania boga - ożywiciela wszech rzeczy, jako je mit ku wierzeniu podawał.

Wszystkie obrzędy składające kult Dyoniza, czy były wesołe czy posępne, w tem jednem nie różniły się wcale, że się z ich praktykami łączył jakiś niepohamowany entuzyazm, szał, zachwycenie dzikie i

fantastyczne, które nie znało miary ani w smutku ani w radości. Było coś pijanego i dziwnie zaciekłego w całem tem nabożeństwie: rzekłbyś, że bachanckie takie natchnienie uchodziło za nieodzowny warunek kultu.

Okoliczność ta, której zrozumienie ważnem jest dla naszego przedmiotu, nawet niezbędnem dla wyjaśnienia właściwości komedyi starożytnej, tak z wielu względów smak nasz rażącej, była skutkiem wyobrażeń związanych z całym pomysłem tego bóstwa. Dyonizos udarował rodzaj ludzki winną macicą, on też wynalazł sztukę wyciskania z jej jagód tego dziwnego napoju, który tychże samych cudów dokazuje w człowieku, co przytomość samego boga w przyrodzie. Odpowiednie bóstwo u Rzymian, znany powszechnie Bachus, mało co więcej znaczyło nad arcy-patrona pijaków. Nie tak materyalnie pojmowali Grecy swojego Dyoniza. Sam będąc źródłem wszelkiej twórczości, chciał on nią obdarzyć nawet śmiertelnych. Twórczość w człowieku płynie z natchnienia, a natchnienie czemże jest innem, jeżeli nie pewnem upojeniem duchowem? Otoż za znak zewnętrzny i symbol, a może i za warunek tego podniesionego stanu umysłu, uważano w starożytnej Helladzie w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, upojenie winem! I w tymto jedynie celu obdarzeni zostali z ręki Dyoniza śmiertelni tym cudownym napojem. Otoż zatem rozumiano, że przez rzeczywiste czy udane podnoszenie się do stanu, dla którego wino człowiekowi jest dane, przez wpadanie więc w szał i dziki bachantyzm, najwłaściwiej cześć wyrządzają bóstwu owemu. A za tem znowu poszło, że im więcej było w zacho-

waniu się czyjem w razach podobnych nadzwyczajności i wybryków i swywoli i wszelkiego rodzaju szaleństw, tem szczersze miało to wszystko znamiona nabożeństwa i że tak powiem ofiary. Podczas uroczystości dyonizejskich uchodziło więc wszystko! Odpowiedzialność za nadużycie nawet wolności spadała na tego, który był sprawcą podobnego usposobienia u swych niesfornych czcicieli. Nawet zaczepki wymierzone przeciwko własnej swojej osobie, przyjmował Dyonizos na karb własny i rachunek, pocieszając się przekonaniem, że i to nawet z dobrej woli pochodzi.

Owoż na tle takiejto czci religijnej wszczęły się pierwsze zawiązki tak tragedyi, jak i komedyi greckiej. Zarodem pierwszej był, jak już wyżej wskazałem, d y t y r a m b u s, początkiem drugiej zaś k o m o s. Oba rodzaje pieśni stanowiły główną ozdobę uroczystości dyonizejskich. Pierwszy miał tylko miejsce przy obrzędach zimowych, z charakterem ponurym i smutnym, nazywanych L e n e j e. Komos przeciwnie przynależał tylko właściwie owym dwom radosnym świętom, na początek wiosny i na porę winobrania przypadającym, to jest D y o n i z y o m w i e l k i m i s i e l s k i m.

W tym rozdziale zamierzyłem sobie mówić tylko o tragedyi, mianowicie, jak się takowa z dytyrambu rozwinęła.

Nie można oznaczyć czasu, kiedy powstał dytyrambus; ale już ta okoliczność, że samym Grekom nie było wiadome nawet znaczenie tego wyrazu, dowodzi, że rzecz ta u nich od niepamiętnych czasów istnieć musiała. Była ta pieśń śpiewana chórem, przez całe grono osób do obchodu należących. B l i ż s z e szczegóły

co do formy tej pieśni znane nam są dopiero od chwili, kiedy wyższa sztuka wzięła ten rodzaj liryki w swoję opiekę. Pierwszy z pomiędzy poetów większej wziętości, którzy występowali z dytyrambami, był Aryjon z Metymny (z wyspy Lesbos). Życie tego liryka przypada na 628 — 585 rok przed Chrystusem. Miejscem działania był Korynt. Całą reformę dokonaną przezeń w sposobie dytyrambu, niewątpliwie nie stanowiło nic innego, jak tylko że co dawniej nieokrzesana improwizacya nieuczonego grona ludzi, pląsających naokoło ofiarnego ołtarza, już się zwała dytyrambem: poeta stawił w jej miejsce kompozycyą obmyślaną wedle zasad lepszego smaku, i że w miejsce czeredy przez sam tylko przypadek zgromadzonej przed ołtarz, wystąpił na czele chóru śpiewaków umiejętnych i wyćwiczonych. Istota rzeczy była jak dawniej, tylko ożywiła ją myśl wyższa. Przedmiot pieśni stanowiły zawsze cierpienia Dyoniza. Instrumentem śpiewaniu temu towarzyszącym była czasem cytara, najczęściej smętna fletnia. Z śpiewem złączone były i tańce: podczas gdy jedna część chóru śpiewała, towarzyszyła śpiewowi temu druga chóru połowa stosowną pantominą rytmiczną, na czele zaś wszystkich szedł przodujący fletnista. Zresztą wielka swoboda i zmienność rytmu, ton podniesiony, myśli śmiałe, uczucia smętne, słowa pieśni niezwyczajne, oto przymioty, przez które się dytyrambus raz na zawsze i stanowczo różnił od wszelkich innych gatunków liryki.

Te chóry dytyrambowe były nazywane w starożytności także chórami cyklicznemi (κύκλιος χορός), nie-

jako kołem. A to z tego powodu, że grono owych śpiewaków i tancerzy, razem z flecistą swoim chór składających, tańczyło i śpiewało zawsze naokoło ołtarza. Na ołtarzu paliła się wtedy ofiara na cześć Dyoniza. Zwierzęciem ofiarnem był zwyczajnie kozieł, nieoddzielny od tego kultu. Podczas ofiary zawodził więc ów orszak jaki ustęp z mitów odpowiednich okoliczności: taniec, muzyka, poezya i religijny obrządek stanowiły jednę całość.

Trzecią nazwą, równie od najdawniejszych już czasów znaną, całej tej ceremonii była tragedya. Wyraz grecki *τραγῳδία* (*τράγος - ἀείδω*) znaczy dosłownie śpiew koźli. I w tem też dosłownem znaczeniu winien on tu być rozumiany, albowiem nie tylko go zawodzono około koźlęcia na ołtarzu, ale co większa i ci, co go wykonywali, byli najczęściej i po większej części za kozłów lub półkozłów poprzebierani.

Dyonizos jako uosobienie siły twórczej w naturze, był źródłem, dobroczyńcą i panem całego przyrodzenia. Właśnie przeto wyobrażano go sobie zawsze otoczonego całą że tak powiem historyą naturalną istot stworzonych. Na jego skroniach zielenił się wieniec z ulubionej gałązki jego winogradowej. To był symbol królestwa roślinnego. Naokoło niego pląsające zwierzęta dopełniały widoku natury, w zupełności swojej zgromadzonej i obecnej około pana.

Jak winograd z wszystkich roślin, tak między zwierzętami uchodził kozieł za najulubieńszą Dyonizowi istotę. Nowocześni mitologowie łamali sobie głowy długo i nadaremnie, jaki być może w wyobrażeniach starożytnych związek między tem zwierzęciem a Dyonizem? Się-

gali bardzo daleko, brnęli w hipotezach najgłębszej symboliki, poruszali najrozmaitsze względy, rzeczywiste i urojone: żaden z nich wszelako nie rozwiązał pytania. A rzecz to jednak tak prosta, że byle tylko dobrze przypatrzyć się kozłowi, to i zagadka owa przestaje być zagadką. Wszakże to jedyne zwierzę, które lubi namiętnie i prawie z przyrodzonej natury... trunki gorące! Kozieł, to pijak, to j e d y n y pijak w całem zoologii królestwie. [1]) Jakże by tedy zwierzę takie nie miało być najmilsze dla wynalazcy soku winnego? Ono mu też symbolicznie cały świat zwierzęcy zastępowało daleko stósowniej, niż wszelkie inne stworzenie.

Tę sympatyą między bóstwem a zwierzęciem raz pochwyciwszy fantazya grecka, potworzyła niebawem na tle owej koźlej natury cały szereg fantastycznych postaci, które niby to wystawały po nad poziom zwierzęcy do półbożyszcz należąc, a w części znowu nie były czem innem, jak zwierzętami. Były to znane owe Satyry, Syleny, Pany, itp. geniusze i nymfy mitologiczne, w exystencyą których pierwotnie religijnie wierzono. Dzikie knieje i nieprzystępne ostępy uważano za ich najzwyklejsze siedziby. Od dołu zwierzęta, wyższą częścią ciała swojego zbliżeni byli do form ludzkich. Ale małe rożki na głowie, spiczaste uszy w górę zadarte, broda kosmykiem wytryskająca z podbródka, wyraz twarzy niby obleśny, niby znowu lu-

---

[1]) Przypominam miejsce w P a c h o l ę c i u h e t m a ń s k i e m Wincentego Pola, gdzie ulubiony hetmana Tarnowskiego kozieł stary pije chciwie nawet gorzałkę!

bieżny, nogi koźle długą szerścią porosłe, w poruszeniu pocieszna skoczność, w zachowaniu się swywolność grubo zmysłowa—wszystko to zdradzało w nich zaraz na pierwszy rzut oka, że to bogi ale chyba z rodu koźlego! To też często te bożyszcza po prostu zwano w starożytności kozłami—*τράγοι*.

Otoż tychto satyrów i nymf leśnych czereda składała fantastyczny orszak i jakby dwór tego króla natury. W ich towarzystwie najmilszy był pobyt dla Dyoniza. Wszędzie też oni jemu towarzyszyli. A że i przy cerymonii dytyrambowej nie chciano im już odbierać tej raz na zawsze przyznanej prerogatywy: w ich przeto kształtach śpiewacy składający chóry cykliczne występowali najchętniej. Było bowiem i skądinąd bardzo na rękę dla wyobraźni bachanckiem wezbranej upojeniem, tak się osłaniać maską obcej osobistości. Pod przybranem że tak powiem jestestwem, pod obcą odpowiedzialnością, fantastyczne zapędy Bachantów tem dalej i tem śmielej puszczać się mogły. Mazali sobie przeto twarze gipsem, sadzami, drożdżami i wreszcie farb wszelakich pstrocizną. Przybiegali w pląsach przed ołtarz, przeistoczeni w najprzeróżniejsze, w najosobliwsze kreatury. Widok tej żywej mitologii, napół zwierzęcej a napół boskiej, uidealizowanej sztuką, umiejącej pogodzić swywolę Satyra z rzewnością chwili i z solennością ofiary, sprawiał na zgromadzonych widzach wrażenie zupełnie odpowiednie charakterowi uroczystości, a co większa, zachęcał każdego do żywego udziału.

Taki był pierwszy zawiązek tragedyi greckiej.

Dytyramby tragiczne, o jakich w tem miejscu mó-

wimy, nie były bynajmniej własnością samych tylko Aten i Attyki. Owszem, po całej Grecyi, a szczególniej pomiędzy Doryjczykami w Peloponezie, były one przy uroczystościach Dyonizejskich upowszechnione.

Niewiadomo kiedy, ale już w przeddramatycznej dytyrambu epoce, zaszła około niego następująca zmiana, w dalszych skutkach niemałej wagi. Pojawiać się zaczęły po niektórych miastach Grecyi coraz gęściej kompozycye tego rodzaju, z osnową wziętą nie już z mitu o Dyonizie, ale z zakresu zdarzeń dotyczących jakiej innej mitycznej osobistości. W tejto chwili, rzec można, przerasta rodzaj ten pieśni, zakres, miarę i charakter kultu, na tle którego był powstał. Wprawdzie święta dyonizejskie pozostały i nadal na zawsze jedynemi sposobnościami, przy których z dytyrambami tragicznemi w ogólności występowano; ale coraz częściej zaczęto pomijać w nich bóstwo, dla czci którego przeznaczony był obchód, a obrabiano natomiast szczegóły zaczerpnięte z innych mitów. [1])

Za tem poszło, że i chóry tragiczne przestały się odtąd przebierać za samych tylko trzpiotowatych dyonizejskich Satyrów, przybierając na się takie zawsze role mitologiczne, jakie przedmiot poddawał i jakie losom herosa właśnie opiewanego najodpowiedniejsze się być zdawały. Gro-

[1]) Dało to początek nawet potocznemu przysłowiu. Kiedy Grek chciał powiedzieć, że coś nie należy do rzeczy, wyrażał się: *οὐδὲν πρὸς Διόνυσον* (to się Dyoniza nie tyczy). Z takiemito uwagami były snać przyjmowane pierwsze dytyramby osnowane na mitach postronnych, chociaż były w święta Dyoniza wykonywane. Było zrazu poczucie, że to ubliża bóstwu właśnie uwielbianemu.

madzą się więc od tej chwili naokoło Dyonizejskiego ołtarza Giganty, Centaury, nymfy wszelkiego rodzaju itd. żadnej z bóstwem ołtarza styczności niemające. A to pociąga za sobą i dla samego dytyrambu czyli tragedyi w pierwotnym sensie tego wyrazu ważne następstwa. Odczepia się ona teraz coraz bardziej od prototypu, w którym się poczęła. Z „koźlego śpiewu“ wyrasta na pieśń głębszej i wznioślejszej rzewności. Wyraz tragedya znaczeniem swojem zbliżać się od tej dopiero chwili zaczyna do tego, co my rozumiemy przez tragiczny, tragiczność.

Tu pominąć nie można uwagi, że z właściwych bogów nigdy żadnego nie wprowadzano w styczność z dytyrambem tragicznym. Była to z natury swojej pieśń treści smętnej, zawodząca skargę nad cierpieniami. Można było wprawdzie w miejsce Dyoniza podstawiać wszelkie inne postaci doznające zmienności losu, byle tylko nie bogów, wyższych nad wszelkie smutki. Sfera herosów była przeto zakresem, którego się dytyrambus i nadal statecznie trzymał. Bohaterowie mityczni sami jedni zdawali się dość godnymi pieśni, cel religijny i wzniosły mającej za zadanie. Onych też tylko cierpienia wzbudzały nie tylko litość, lecz i uwielbienie zarazem.

Na tym stopniu rozwinięcia zastał zawiązki przyszłego dramatu Tespis. Od chwili dopiero jegoto wystąpienia rozpoczyna się ateńska epoka kompozycyi tragicznych. Co było przed nim, to należy do całej Grecyi. Nawet rozszerzenie zakresu początkowej „tragedyi“, o którem właśnie teraz mówiłem, nie było jeszcze zasługą Aten. Podobno w Sycyon (w Pelo-

ponezie pojawiły się pierwsze przykłady dytyrambów, przeznaczonych na cześć innych półbogów [1]). Tespisa więc wystąpienie zaczyna dopiero epokę dytyrambu, jako już dramatu czyli tragedyi w właściwem znaczeniu tego wyrazu. Do zupełnego rozwinięcia doprowadził ją wprawdzie dopiero Eschil; ale już za sprawą tamtego poety zaczęły się z pierwiastkiem lirycznym, który w dytyrambie dotąd wszystko stanowił, łączyć dramatyczne żywioły.

Szczegołów życia Tespisa bardzo mało wiadomo. Był rodem podobno z Aten, a przynajmniej pochodził niezawodnie z Attyki (z Ikaryi?). W każdym razie mieszkał stale w Atenach, jako z powołania i rzemiosła orchestyk (to jest mistrz tańców i pantomin chórowych), i równocześnie dramaturg (poeta dramatyczny tudzież aktor w własnych występujący utworach). Życie jego przypada głównie na czas panowania Pizystrata. Pierwsze wystąpienie na scenie odnosi Suidas do roku 536 przed Chr. Inni (Plutarch i Dyogenes Laertius) mówią o niem jako o zdarzeniu lat przeszło 20 rychlejszem. Według tego początek poezyi właściwej dramatycznej przypadałby tedy na czas między rokiem 560 a 536 przed nar. Chr.

Reforma wprowadzona przez niego w życie daje się sprowadzić do następujących punktów:

W przedtespisowej tragedyi mogło już być wprawdzie nieco rozmaitości. Były w niej niezawodnie ustępy śpiewane to przez chór cały, to przez pojedyncze jego połowy, to przez pojedyncze wreszcie głosy. Były

---

[1]) Wiadomość ta polega tylko na wzmiance Herodota V, 67.

może i rozmowy prowadzone między jedną częścią a drugą. Ale nigdy to wszystko po za sferę kantaty i liryki nie wychodziło, a to z tej nader prostej przyczyny, że oprócz chóru nie miała cała ta kompozycya żadnych innych spółdziałających czynników. Chór z miejsca raz zajętego się nie oddalał, aż chyba po ukończeniu całego swego zadania; przeto nie było mu podobno odbierać coraz nowych wrażeń p o d c z a s swojego śpiewania. Przychodził on od razu z całym zasobem pieśni gotowym i już z góry w całości w myśli jego przytomnym. Dlatego też była to tylko poetyczna medytacya nad czemś od pierwszej chwili dokonanem i powszechnie wiadomem, a nie nad czemś dziejącem się dopiero i snującem po kolei ze siebie całe pasmo wydarzeń. Gdyby był chciał w dytyrambie poeta przejść od jednej materyi do drugiej, musiałby był samowolnie rzecz urywając i nawiązując, chyba skokiem do niej przechodzić. Rzecz sama ruchomości w sobie nie miała.

Otóż temuto brakowi przedmiotowego tła traktowanych wydarzeń położył koniec na zawsze ów ateński dramaturg, wprowadziwszy w skład widowisk dyonizejskich do tego, co w nich było już dawniej, jednę rzecz nową, t. j. epizody m ó w i o n e. Wprowadził, w przeciwstawieniu do chóru, który tylko śpiewał i tańczył, a k t o r a, który te epizody wygłaszał: i tym jednym wynalazkiem dokazał tego, że odtąd wszystko, nad czem się chór z reflexyami i uczuciami swemi wywnętrzał, działo się już w teraźniejszości, współcześnie z zdarzeniami tragedyi.

Były przeto że tak powiem dwie naraz sfery,

w których się poruszały Tespisowe utwory: po za sceną i na scenie. Po za sceną działa się akcya, rzecz sama. Ta była dla widzów niewidzialna. W obec widzów roztaczał się tylko odbity reflex takowej, a to przez środek tego pryzmatu lirycznego, jakim były śpiewy chórowe. Pośrednikiem, który spajał te dwie tak różne rzeczy ze sobą, był właśnie ów aktor przez Tespisa przydany do tragedyi. Ten przychodził w pewnych odstępach sztuki na scenę i zapełniając przestanki już to opowiadaniem, już monologami, dawał przez to i kierunek i popęd temu biernemu czynnikowi dramatu, za jaki odtąd chór należy uważać.

Ze stanowiska wyobrażeń, jakie my nowocześni mamy o teatrze, trudno zapewne zrozumieć, że przydanie jednego tylko aktora mogło pociągnąć za sobą tak ważne przekształcenie widowisk dramatycznych. Niejeden może zapyta: cóżto za dramat o jednym tylko aktorze? Otóż wiedzieć należy, że według zwyczaju stałego na scenie greckiej aż do końca starożytnej epoki, jeden i tensam aktor odgrywał z kolei rozmaite role w jednej i tej samej sztuce. Takim sposobem nawet utwor o kilku działających osobach mógł być wykonywanym przez jednego aktora, przychodzącego na scenę w coraz innej masce i roli. Oprócz tego był też zresztą ku pomocy i chór, z którego przodownikiem aktor niekiedy zapuszczał się w rozmowę. Chociaż przeto granice, w jakich zamykał utwory swoje Tespis, były jeszcze nader szczupłe, to jednak było już jakieś pole dramatycznego przeprowadzenia niezbyt zawiłego mitu lub pomysłu poetycznego.

Aktora swego nazywał Tespis hypokrites (ὑπο-

κρίτης — dosłownie: odpowiadacz, opowiadacz i sprawozdawca) i przy tej nazwie na zawsze zawód ten został [1]). Już z niej samej wynika, jak zresztą podrzędną i tylko pomocniczą była w dramacie rola aktora za czasów tespisowych.

Dyalog między aktorem a przodownikiem chóru, toż wszystkie partye aktora, były naturalnie zawsze pisane wierszem. Prozy Grecy nie pojmowali w poezyi. Miarami przez Tespisa używanemi w tych częściach sztuki miały być tak zwany *tetrameter trochaicus* i *trimeter jambicus* [2]). Mówię: m i a ł y być, wiemy bowiem o tem tylko z podań późniejszych; utwory tak tego dramatyka, jak i wszystkich następnych aż do Eschila wyłącznie, nie dochowały się aż do czasów naszych i zaledwie tytuły są kilku z nich wiadome. Obydwie formy wiersza długo też i potem jeszcze w zakresie dramatu panowały porówno. Jamb jednakowoż zaczął później przeważać nad trochejem, a nakoniec wyparł go prawie zupełnie z tej dziedziny poezyi.

W rolach aktora występował zawsze sam Tespis W przewodniczeniu przeto chórowi musiał dramaturga

---

[1]) Późniejsze znaczenie tego wyrazu „hipokryta" (obłudnik) wyrobiło się ztąd właśnie, że tak teatralnych nazywano aktorów. Nazwa aktora przeniesiona została na tych, co w rzeczywistem życiu odgrywają fałszywe role

[2]) Pierwszy wzór taki:

–́ ∪ — ∪̄ | –́ ∪ — ∪̄ || –́ ∪ — ∪̄ | –́ ∪ — ∪̄.

Drugiego zaś następujący:

∪̄ — ∪ –́ | ∪̄ — ∪ –́ | ∪̄ — ∪ –́



zastępować wtedy kto inny; takiego nazywano techniczną nazwą *chorodidaskolos* lub *koryphajos* (nauczyciel chóru, przodownik).

Pozostaje jeszcze pomówić o scenie, na jakiej dawał Tespis swoje tragedye. Samo się rozumie, że mowy tu jeszcze być o teatrze nie może. Potrzebę gmachu takiego miały okazać dopiero czasy późniejsze. U podnóża skały, na szczycie której wznosiła się akropolis ateńska, od południowej strony było miejsce nazywane Lenaeon. Była to dość obszerna płaszczyzna, poświęcona Dyonizowi. Ogrodzoną dokoła, miała za punkt środkowy świątynię dyonizejską, najuroczystszą i najdawniejszą w Atenach, z dwoma posągami, do których prastare i prawdziwie w duchu dyonizejskim wymyślone wiązały się podania. Każda uroczystość Dyoniza sprowadzała w owo miejsce liczne tłumy pobożnych i ciekawych, mianowicie zaś sprowadzała je tutaj uroczystość zimowa, zwana Leneje. Święto lenejskie musiało z miejscem rzeczonem, jak sama nazwa już okazuje, mieć jakiś związek mityczny, przez nikogo zresztą bliżej nie określony.

Owoż na tejto płaszczyźnie od najdawniejszych czasów sprawowane były w Atenach na ołtarzu Dyoniza ofiary, połączone z dytyrambowym występem. Tespisowe reformy zmieniły tylko rodzaj i wewnętrzną budowę samej kompozycyi tragicznej. Myśl zaś i sam cel obchodu, na tle religijnem oparte, pozostały nietknięte. To też jak dawniej, tak i teraz schodził się lud na nabożeństwo lenejskie do tegoto właśnie ołtarza i tu oczekiwał religijnej owej ze strony chóru tragicznego praktyki. Występ ten chóru—nie

było to zatem ani przedsiębiorstwo dla zysku, ani widowisko za biletami, ani nabożna szczodrobliwość jakiego prywatnego miłośnika teatru, ale akt całego ludu, kosztem dawany całego miasta. Akt ten publiczny tylko do wykonania był powierzany pojedynczym osobom, to jest temu zawsze z dramaturgów miejscowych, którego zręczność w rzeczach tego rodzaju najwięcej właśnie słynęła.

Naturalnym zatem porządkiem rzeczy stanowił ów dziedziniec przed świątynią lenejską—z wystawionym tamże raz na zawsze ołtarzem—stały i jedyny przybytek Tespisowej praktyki. Była to rzecz nader prosta, ta ówczesna teatralna praktyka. Na ołtarzu zapalono stos pod ofiarnem koźlęciem — chór na czas tego obrzędu przybywał na miejsce w uroczystej procesyi — zgromadzona publiczność otaczała do koła całę tę grupę — nad nią dach gołego nieba: i oto wszystko [1]).

Mimo tę prostotę i samorodność, miał przecież już i ten improwizowany teatr Tespisa w zarodzie wszystko, co tworzy części niezbędne naszych teatrów.

Naród grecki nie lubił bawić się stojąc. Nawet zgromadzenia ludowe, jako i inne obowiązki publi-

---

[1]) Myli się zatem Horacy i za bałamutną idzie tradycyą, kiedy w swojej *Ars poëtica* powiada:

»Ignotum tragicae genus invenisse Camenae
Dicitur et plaustris vexisse poëmata Thespis,
Quae canerent agerentque peruncti faecibus ora!«

Chór Satyrów dyonizejskich na wózku! jakby błędna trupa aktorów dramaturgii hiszpańskiej. Tespis przedsiębiorca i dyrektor teatru, może jeszcze w kłopotach i dlatego na peregrynacyi! Ileż w tem wszystkiem sprzeczności z rzeczywistą prawdą dziejową!

czne załatwiał ile możności siedząc. Pod tym ostatnim względem różnili się od Greków Rzymianie, którzy nie tylko mieli w tej mierze inny obyczaj, lecz nawet wyśmiewali tę Greków wygódkowatość. Do siedzenia takiego przy każdej sposobności przywykli Grecy byli snać jeszcze w przeddobie bohaterskiej, jak to widać w pieśniach Homera. Owoż więc trzeba było siedzeń ludowi i przy tych dytyrambowych obchodach. W tym celu wystawiano przed nadchodzącą uroczystością około ofiarnego ołtarza rzędy ław wielkiem obiegające półkolem, jeden rząd wyższy niż drugi. Pośpiech roboty, a co większa, prędko przemijający pożytek takowego przyrządu, nie dozwalały myśleć o kosztowniejszym nakładzie; budowano zatem te siedzenia z prostych drewnianych desek, które po skończonej kolei czworga corocznych świąt Dyoniza, w bliskich odstępach następujących jedno po drugiem, zapewne były rozbierane napowrót. To więc dorywcze półkole siedzeń na nieogładzonych ławach drewnianych, to był amfiteatr publiczności Tespisa...

Ów aktor, którego zadanie tak się różniło stanowczo od sfery działania chóru, musiał mieć także własny posterunek na owem miejscu. Gdyby był występował na jednym poziomie z chórem, byłoby się zdawało, że on do niego należy, a nie jest oddzielnym czynnikiem akcyi, jakim go mieć chciał w dramacie swoim poeta. Z tego powodu dano zatem i aktorowi miejsce nie tylko oddzielone od siedzeń widzów, ale i od zakresu funkcyi chórowych. Było to rusztowanie, wyniesione znacznie nad poziom, zwrócone frontem do amfiteatru widzów i do ołtarza, który je

właśnie od amfiteatru przedzielał. Wysokość tej że tak powiem mownicy aktorskiej sprawiała, że co się na niej działo, było widziane nawet przez zajmujących ostatnie ławy. Nazywało się to wyniesienie zrazu ὀκρίβας (rusztowanie). W późniejszych czasach — niewiadomo, czy za życia jeszcze Tespisa — dodano rusztowaniu temu od tyłu ścianę czyli zamknięcie, a to przez przystawienie do niego płóciennego namiotu, który wyobrażał zawsze budowę, w wnętrzu której się osnowa dramatu nibyto głównie (po za sceną) toczyła. Od owej chwili cały obręb aktorskiego działania czyli to, co my nazywamy podziśdzień sceną, zaczęto nazywać odpowiedniem rzeczy wyrazem „namiot,“ po grecku σκηνή (skene). Nazwa ta tak weszła w zwyczaj, że pozostała na wszystkie następne wieki, chociaż później i w Atenach wystawiono natomiast z całym przepychem „scenę“ z materyału trwalszego, i w Rzymie starożytnym murowane teatry miały scenę niemniej wytworną, i w nowoczesnych społeczeństwach tak się stosunki teatralne zmieniły, że dziś ani na myśl nie przychodzi nikomu, żeby takie miało być pierwiastkowe znaczenie wyrazu scena i taki skromny początek widowni dramatycznych.

Trzeciem wreszcie miejscem odrębnem już w Tespisowym teatrze była orkiestra. Tak się nazywał ów przestronny obwód naokoło ofiarnego ołtarza, w którym zabierała stanowisko i wykonywała swoje tany rytmiczne gromada osób chór składających. Położenie miejsca tego przypadało na sam środek całego placu; wypełniała bowiem orkiestra od strony amfiteatru samo wnętrze półkola ław przeznaczonych dla publi-

czności, z drugiej zaś strony dochodziła aż do sceny czyli rusztowania aktora. Podczas gdy tak scena, jak amfiteatr z przyczyn wyżej wyjaśnionych były nieco wyniesione nad poziom, orkiestra znajdowała się na samym spodzie poziomu, to jest na płaszczyźnie ołtarza. Co się tyczy nazwiska, wyraz *ὀρχήστρα* znaczy dosłownie t a n c e r n i a; zadanie chóru stanowiły bowiem i tańce, a pierwotnie musiał taniec być tu nawet przeważającym, jeżeli nie jedynym momentem, skoro i sam wyraz c h o r o s pierwotnie (np. u Homera) nie miał innego znaczenia, jak tylko k o ł o t a n e c z n e (*χορεύω* = tańczę). Jakkolwiek później — w rzymskich mianowicie teatrach, a tem bardziej w nowoczesnych — nie znano już zwyczaju, żeby chóry przeplatały czy to tańcem czy śpiewaniem widowiska sceniczne, to przecież i tu znowu wyraz ten grecki nie wyszedł już z używania, zmieniając wprawdzie znaczenie. U Rzymian znaczyła orkiestra najzaszczytniejsze miejsce w teatrze, albowiem miał tam przywilej siedzieć sam kwiat społeczeństwa rzymskiego. W Hiszpanii począwszy od czasów N a v a r r y (w wieku XVI), miejsce odpowiadające położeniem starożytnej greckiej orkiestrze dostało się muzykantom. To dało powód do tego, że się w nieco późniejszych czasach zwać orkiestrą zaczęło i wszelkie dobrane grono muzyków, choćby nawet nie miało żadnego związku z teatrem.

O dekoracyach w czasie Tespisa myśleć oczywiście jeszcze nie można. Właśnie przeto, że w braku stósownego przyrządzenia sceny, zgromadzona publiczność niczego się sama przez się doroznmieć nie mogła, rozpoczynał podobno Tespis każdą swoją sztukę

od Prologu. To jest wchodził przed rozpoczęciem widowiska na rusztowanie aktorskie i w swojem własnem imieniu, jako autor, jako Tespis, bez maski, uprzedzał widzów, że miejsce, na które patrzą, ma dziś przedstawiać to lub owo, że treść sztuki będzie taka a taka itd. Był to więc rodzaj afiszu, językiem poetycznym ułożonego. Przez taki prolog była publiczność przygotowana do ujęcia od razu sytuacyi, od jakiej się widowisko rozpoczynało.

Owoż i wszystkie reformy w obrębie dytyrambu przez Tespisa dokonane, w skutek których z lirycznej pieśni stanowczy się już wyrobił zawiązek dramatycznej tragedyi. Nim z tego płodnego ziarna twórczy geniusz Eschila wyprowadził kwiat w całej pełni, upłynęło lat kilkadziesiąt. W ciągu takowych nie obeszło się bez stopniowych a powolnych udoskonaleń sztuki przez różnych innych poetów. Oto w zarysie obraz udoskonaleń rzeczonych:

Cherylos, Frynichos i Pratynas, pierwsi dwaj Ateńczycy, trzeci rodem z Flius, lecz równie jak tamci stale mieszkający w Atenach — oto trzej dramaturdzy, których należy w tej przejściowej epoce uważać za najważniejszych. Niewątpić, że nie byli to jedyni poeci, którzy szli o lepszą ze samym jeszcze Tespisem. Starożytni podają, że tylko w pierwszym czasie nie miał ten wynalazca tragedyi żadnego współzawodnika. W późniejszych latach zaczęli się pojawiać i inni, którzy równie pragnęli sztukami swemi podobać się ludowi. Od dawien dawna było zwyczajem u Greków, że się poeci na igrzyskach i uroczystościach publicznych z dziełami swemi, czy takowe były z rodzaju

liryki, czy eposu, czy wreszcie i prozaicznej produkcyi, niejako puszczali o zakład na wyścigi ze sobą. Okrzykniętemu za zwycięzcę publicznie przysądzano sławę najdzielniejszego mistrza, a z nią nagrodę stawioną w zakład. W ogóle nie podlega to wątpliwości, że ten zwyczaj autorskiego współzawodnictwa od najdawniejszych czasów stanowił jednę z dźwigni najwalniejszych postępu w sztuce. Otoż są na to dowody, że i Tespis w końcu zawodu swojego staczał walki ze swymi na polu tragiki współzawodnikami. Ich jednak nazwisk i liczby podać dziś niepodobno. Tylko trzy wyżej wymienione imiona, zalecone większą w czasie swoim wziętością, nie poszły razem z powodzią czasów na zapomnienie.

Najrychlej z nich słynąć zaczął Cherylos, bo już od roku 524 przed nar. Chr. Zawód jego poetycki trwał długo, przynajmniej do 484. Liczbę jego robót tragicznych podają na sztuk 150; zwycięstw scenicznych miał odnieść tylko w ogóle 13, a puszczał się o lepszą po kilka razy nawet z Eschilem. Wziętość swoję zawdzięczał Cheryl głównie wynalazkom i ulepszeniom, jakie zaprowadził w sceneryi, dekoracyi i sposobie ubierania aktora. Jemu także niektórzy przypisują zaprowadzenie maski, którą od niego to dopiero miał przejąć Tespis i bez której nigdy odtąd na starożytnych scenach nie pojawiali się aktorowie przed publicznością.

Więcej znany niźli Cherylos jest współczesny temu tragikowi Frynichos, zaczynający zażywać sławy już w roku 512, w którym pono po raz pierwszy zwyciężył (zapewne nad Cherylem). Jego czynność dra-

maturgiczna przeciągła się do lat późnych i zapełniła przeszło trzy, jeżeli nie cztery dziesięciolecia, jak tego dowodzi wzmianka, że już pod koniec swego zawodu, w roku 477, wyszedł zwycięzcą z tragicznego agonu za sztukę, której tytuł był Fenicyanki. Nie mało się też podobno Frynichos w tym tak długim przeciągu czasu przyczynił do podniesienia sceny ateńskiej. Mianowicie dwie ważne okoliczności zawdzięczała tragedya jego osobie. Najprzód jemuto dopiero przypisują, że się z tym rodzajem poezyi zespolił ów ton czuły i wzniosły, bez którego nie ma prawdziwej tragiczności. Utwory Tespisa miały podobno wiele jeszcze takich w sobie żywiołów, które aż nadto niekiedy przypominały bachicki początek całej tej rzeczy. Dopiero Frynich podniósł tragedyą na wysokość właściwą. Mianowicie podają o nim, że dramatem swoim Zdobycie Miletu tak wzruszył i rozczulił całą publiczność, że za łzy, które przelał lud zgromadzony w obec tego obrazu własnej swej obojętności o narodową sprawę, skazany został przez rząd ateński poeta nazajutrz na zapłacenie tysiąca drachm jako kary! —„Ateńczycy, w święto Dyoniza, nie chcą oglądać swych własnych cierpień“—taki był powód tego szczególnego wyroku. W związku zapewne z tym rzewnym i miękkim charakterem muzy Frynicha była i druga nowość, którą do osoby jego odnoszą: onto pierwszy wprowadził do tragedyi role niewieście. Dowodzą tego same tytuły jego robót, n. p. *Alkestis—Erigone—Andromeda.* Również i chóry w jego dopiero sztukach zaczęły się czasem składać z osób płci żeńskiej. Ta rzewność, tak naturalna w sztukach, gdzie

natura niewieścia główny nastrój dziełu nadaje, miała być u niego w pieśniach chóru dziwnej piękności.

Obrot nadany w ten sposób całemu rodzajowi tragedyi przez Frynicha, uszlachetnił ją nieskończenie i przypadł do smaku światłej publiczności attyckiej; w porównaniu z kultem jednakże, któremu tragiczne występy zawdzięczały początek, było to oczywiste zwichnięcie właściwego kierunku. Uroczysta i poważna tragedya zupełnie nie rymowała ani z ołtarzem lenejskim ani z obchodem, z którego okazyi była dawana. Wrzawliwy, pusty i karnawałowy dzień Dyoniza wymagał koniecznie czegoś innego. Zrozumiał to P r a t y n a s, najmłodszy z trzech wyżej wymienionych dramatyków potespisowych, który występować zaczął na scenie także jeszcze w ostatnich latach szóstego przed Chr. stulecia i o tyle należy do starszej generacyi poetów, niżeli Eschil, liczący się już do ozdób wieku piątego. Ale niedługo miał on już czekać na wystąpienie tego dla nich wszystkich niebezpiecznego rywala. Owoż Pratynas zmyślnym nader sposobem sprowadził więc napowrót przed ołtarz dyonizejski wygnane owe z tragedyi chóry Satyrów i Sylenów, z całą ochotą i skocznością właściwą tej fantastycznej czeredzie. Wynalazł nowy zupełnie rodzaj dramatu, tonem i treścią ściśle odpowiedni okoliczności, pełen pustoty i wrzawy, z górującą przewagą tańca i muzyki nad momentem poezyi, i dał mu nazwę s a t y r o w e g o d r a m a t u (*δρᾶμα σατυρικόν*). Od takiego dramatu zawsze rozpoczynała się u niego reprezentacya, a dopiero po takim wesołym wstępie następowała j a k o d r u g a s z t u k a sama tragedya, która

i u Pratynasa trzymała się już stale drogi wskazanej przez poprzednika jego Frynicha, t. j. poważnej i uroczystej. Ten wynalazek satyrowych dramatów wszedł w poczet stałych zbogaceń i udoskonaleń dramaturgii ateńskiej. Pomysłu dawania dwojga sztuk na raz, w podobny sposób złączonych, chwycili się bowiem skwapliwie wszyscy następni i współcześni poeci, nie wyjmując z nich i starszego wiekiem Cheryla. Pomimo wszelkich reform późniejszych, to jedno nie doznało odmiany, że się poważna Muza tragedyi nigdy już odtąd bez tego pustego towarzysza nie pojawiała przed ołtarzem, na którem płonęła ofiara dyonizejskiego koźlęcia.

Tyle było do powiedzenia o początkach teatru i dramatu greckiego, przed wystąpieniem właściwych mistrzów w tym zakresie poezyi.

Było to w roku 500 przed narodzeniem Chr., a więc na dziesięć lat przed wybuchem wojny z Persami, kiedy E s c h i l, dwadzieścia pięć lat w owym czasie liczący, wystąpił po raz pierwszy publicznie w trudnym zawodzie dramaturga, t. j. w zawodzie poety, aktora, muzyka i orchestyka zarazem. Przepadły w powodzi czasów dramaty, odegrane przy owej sposobności. Nawet z tytułu nie są nam znane. Tyle tylko jest pewne, że wystąpienie ono nie ubrało w wieniec zwycięski czoła młodego poety. Zwyciężony wtedy został Eschilos — czy przez Cheryla czy Pratynasa, nie wiedzieć. W każdym jednak razie był tym szczęśliwym jeden z dwoch co tylko wymienionych poetów; bo że onito właśnie w roku rzeczonym razem z Eschilem stanęli przeciwko sobie do walki,

to rzecz wiadoma i dostatecznemi świadectwami poparta. Walka takowa czyli jak ją nazywano, agon tragiczny, odbywała się zawsze między trzema zapaśnikami.

Od tego czasu, aż do roku, w którym obdarzył Eschil scenę ateńską ostatniem swojem dziełem, pomnikową i w najzupełniejszej całości dochowaną do dziś dnia Orestei ą, upływa lat przeszło 40. Oresteja przedstawiona była po raz pierwszy roku 458. Jeżeli porównamy tę olbrzymią kreacyę ze stanem sztuki, w jakim ją Eschil zastał na początku swego zawodu: nie będziemy się dziwili, że go naród nazwał ojcem tragedyi, tak jak Homera ojcem epopei nazywał...

Usuwam na bok to wszystko, coby można o Eschilu powiedzieć jako o wielkim w ogólności mistrzu słowa poetyckiego i zarazem prototypie wzniosłej owej dla starożytnych Aten epoki, na którą życie jego przypadło. Względy te, skądinąd wdzięczne i może najważniejsze ze wszystkich, nie stanowią przedmiotu pracy tak szczegółowym przeznaczonej rozpatrywaniom, jako niniejsza. Natomiast w duchu założenia mojego zwrócę całą uwagę na sceniczne i zewnętrzne wydoskonalenia formy tragedyi, dokonane przez tego mistrza.

Reformy Eschilowe sprowadza Arystoteles do trzech punktów następujących: zamiast jak dotąd z jednym aktorem, Eschil pierwszy stworzył dramat z dwoma aktorami; skrócił pieśni chóru, a w miarę tego rozwinął część dyalogu; wynalazł rolę protagonisty.

Punkta powyższe nie wyczerpują wprawdzie wszystkiego, po części uderzają jednakże w główną istotę

rzeczy. Właśnie przeto użyjmy ich za punkt wyjścia.

Ciasne granice dotychczasowego dramatu Eschilowi nie wystarczały. W początkach swego zawodu, jak z wielkiem do prawdy podobieństwem przypuszczać można, starał on się zastosować do form i rozmiarów danych. Niezawodnie utwor, z którym wystąpił w roku 500, w zewnętrznych względach nie różnił się jeszcze wcale od dzieł dramaturgów dawniejszych. Ale snać jakoś nie jego to było rzeczą, mieścić się w takiej ciasności środków. Śmielsze ideje potrzebują przestworu. Nie dziw więc, że pierwsza jego próba chybiła i wygraną przysądzono innemu. Gdyby to była prawda, co niektóre, mniej pewne źródła starożytne podają, że Eschil n i g d y (a zatem już i przy owym pierwszym swoim występie) nie dawał innych tragedyi, jak w formie trylogijnej: to niepojętem by było, żeby takie znakomite zbogacenie tragicznego zakresu nie miało było doznać uznania, hołdu i nagrody ze strony ludu, tak chętnie wynagradzającego każdy postęp artyzmu. Pierwszy pomysł trylogii nie mógł od razu powstać w głowie Eschila! Z pomiędzy trzynastu wygranych, jakie w ogólności odniósł ten wielki poeta w ciągu swego działania, przypadła pierwsza dopiero na rok 485, a więc na piętnasty dopiero rok po pierwszem wystąpieniu. W ciągu tych lat piętnastu niepodobna uwierzyć żeby już miał był Eschil dokonywać tak ważnych reform, a mimo tego zawsze drugim ustępować pierwszeństwa! Raczej jest wszelki powód przypuszczać, że właśnie ów rok 485 stanowi, bodaj w przybliżeniu, datę wynalazku trylogii. Jeżeli zaś co, to następujące przypadkowe zdarzenie mógło

było najprawdopodobniej nasunąć pierwszą myśl tragedyi w takich rozmiarach.

Na widowisko owo roku 500, gdzie dwaj tragicy uznanej sławy z trzecim dopiero poczynającym mieli się puścić o lepszą, spłynęły takie tłumy publiczności do lenejskiego dziedzińca, że ich miejsce owo objąć nie mogło. Zrobił się ścisk, tłok, popychanie na przebój. Każdy chciał sobie zdobyć jakieś siedzenie na owych ławach drewnianych, jeden wypierał drugiego, nikt z miejsca nie ustępował. Skończyło się na tem, że się do amfiteatru wtłoczyła taka mnogość osób, iż ciężaru ich kruche i nadpsute już może ławy (było to bowiem na wiosnę, na wielkich Dyonizyach) utrzymać nie były w stanie. Wśród najlepszej tedy zabawy nagle całe owo rusztowanie się łamie! Ludzie spadają z znacznej wysokości na ziemię, jeden przygniata drugiego — jęki kobiet, przekleństwa mężczyzn, rany lub guzy wszystkich — jeżeli się nie obeszło i bez gorszych jeszcze wypadków. Otworzyły się wtedy wreszcie oczy władzy teatralnej ateńskiej, że w takim stanie instytucya ta pozostawać nadal nie może. Dział się tam zaś już od dawna nieład i nieporządek prawdziwie dyonizejski! Według przyjętej zasady, przedniejsze części amfiteatru przeznaczone były dla obywateli ateńskich, a pośledniejsze były dla obcych. Pomiędzy obywatelami były znowu niejakie stopniowania, które i w teatrze miały mieć zastósowanie. Ale te zasady uznawała tylko teorya — coroczna praktyka je obalała. W praktyce nie znano innych reguł, jak prawo silniejszej pięści lub prędszego zawłaszczenia. Kto chciał mieć miejsce, trzeba mu było albo

zdobywać je sobie gwałtem, albo też w nocy lub zgoła w przededniu zapowiedzianych przedstawień przyjść do Leneon, zająć miejsce w posiadanie, a nazajutrz przez ciąg całej reprezentacyi pilnować swych praw do niego. Dawała się przeto od dawna czuć potrzeba zaradzenia takiemu złemu; ale jak to bywa zazwyczaj, czekano snać na wypadek, któryby z potrzeby zrobił nieodpartą konieczność. Takim właśnie wypadkiem było owo załamanie się desek pod publicznością. Zatem postanowiono natychmiast wystawić teatr, któryby dawał rękojmię tak bezpieczeństwa jak porządku na przyszłość, i zaczęto budować gmach, który w rzeczy samej pod obydwoma tymi względami obiecywał najzupełniejszą pewność. Cóż bowiem mogło bardziej ręczyć za porządek, jak przestronność obliczona na 30 tysięcy i więcej jeszcze narodu? a trwalszego coż być mogło nad amfiteatr wyrąbany w miąższości skały, na której szczycie gród ateński się wznosił, w taki sposób że coraz wyższe półkola siedzeń były wykute w naturalnym, wnętrze skaliska owego stanowiącym kamieniu? Urządzenie zresztą i skład dawnego drewnianego teatru dawał normę i tutaj, tylko że wszystko wykonywano w olbrzymich miarach i z przepychem godnym stopnia, na jakim już wtedy stała tragedya. W miejsce płóciennego namiotu z drewnianą mownicą z przodu, gdzie Tespis i jego koledzy odgrywali role aktora, wystawiono teraz budowę z całym zmurowaną wytworem, misternym frontonem zwróconą ku publiczności. Rozmiary tej nowej sceny wystawi sobie każdy, kto zna-

jąc uczucie symetryi Grekom wrodzone, połączy je w myśli swojej z ogromem amfiteatru.

Owoż godzi się zdaniem mojem twierdzić z wszelkiem podobieństwem do prawdy, że podjęcie tej pomnikowej roboty nie mogło być bez wpływu na przebieg sprawy, która nas tutaj zatrudnia. Jeżeli co zdolne było wywołać w duchu genialnego poety pomysły nieznanych przedtem artystycznych przedsięwzięć, to sam widok tego olbrzymiego teatru. Wznosił on się właśnie w latach jego młodości — jakby wyzywał całą siłę i dzielność tej indywidualności potężnej, ażeby go zapełniła kreacyami godnemi i ludu, który taki przybytek sztuce wystawiał, i wieku, przez który się do dzieł podobnych natchnionym uczuł. I poczęły się w wyobraźni Eschila plany, nie mniej rozległe jak scena, którą miały zaludnić. W tychto dopiero granicach miał się rozwinąć ten styl wielki architektoniki tragicznej stworzonej przezeń dopiero i ta dykcya posągowa, której waga i głębokość tak się miała do prac dawniejszych w tym rodzaju poetów, jak się miał do improwizowanych rok rocznie amfiteatrów Tespisa trwały gmach w łonie skały wykuty.

Wnijdźmy w szczegóły, stanowiące w połączeniu onę reformę.

Dramat Tespisa, dramat o jednym aktorze, byłto właściwie tylko cień czynu dramatycznego, rzucony na tło liryki. Wypadki tworzące osnowę jego działy się po za widokiem widzów. Tylko przez pośrednictwo aktora, dochodził aż na scenę odgłos czynów dokonywanych za kulisami. Chór na orkiestrze, nigdy

się z miejsca tego nie oddalając, otrzymywał wiadomość o czynach owych jedynie z opowiadań aktora. Wiążąc do nich rzewne współczucie, łącząc z nimi reflexye, jakie się właśnie zdały stosowne, zamieniał ów dramat niewidzialny zakulisowy że tak powiem na drugi dramat, dramat uczucia i medytacyi. Dramat zaś taki choć miał właściwe sobie piękności, nie mógł wszelako zastąpić bezpośredniego widoku tych przebojów tragicznych, które same jedne stanowią prawdziwy żywioł tego rodzaju poezyi.

Druga niedogodność tespisowej formy dramatu w tem się dawała czuć, że dłuższe, prawdziwie zajmujące i bogatsze w treść przedmioty nie mogły znajdywać miejsca w zbyt ścieśnionym zakresie takowej kompozycyi. Chyba tylko drobniejsze szczegóły z mitologii, albo zgoła pojedyncze momenta z większej wyrwane całości mogły się nadawać na osnowę takiej kantaty przeplatanej tedy owedy występami aktora. Najwdzięczniejsze przeto zasoby narodowej tradycyi tworzyły materyał nietknięty dotąd w tym rodzaju poezyi. Jego zaś dotychczasowy zakres w czasach Eschila okazywał się i zużyty i wyczerpnięty.

Obydwom tym niedostatkom zapobiegły stanowczo zmiany, teraz dopiero wprowadzone w praktykę. Pod pierwszym względem stanowiła reformę ta nowość w Eschilowych utworach, że zamiast jednego aktora, pojawili się na scenie d w a j aktorowie i tym sposobem dramat ów dotąd zakulisowy mógł już być przeprowadzonym na scenie samej i składać się ze zdarzeń, a nie samych omówień.

Po raz pierwszy ujrzała tedy w dziełach Eschila

dopiero teatralna publiczność samego bohatera dramatu stawionego przed sobą widomie i w taki sposób, że nie tylko patrzeć mogła własnemi że tak powiem oczyma na czyny jego, lecz i na najskrytsze tychże czynów pobudki, jako i na wszelkie kolizye w sztuce objęte. Dopóki był jeden tylko aktor w zwyczaju, nie mogło być wcale mowy ani o sytuacyach, ani o kolizyach, ani o charakterze głównie działającej osoby. Wszystko to stworzył po raz pierwszy dopiero Eschil, obdarzywszy scenę drugim aktorem.

Oczywiście każdy z tych dwoch aktorów miewał w jednej i tejsamej sztuce po kilka rol różnych do odegrania. Wszystkie role, przydzielone z kolei jednemu i drugiemu, w takim się względem siebie miały zawsze stosunku, że podczas gdy pierwszy aktor gromadził w sobie główną wagę sytuacyi każdorazowej, drugi zajmował w niej miejsce raczej dopełniające i tylko był podrzędnym, pomocniczym czynnikiem. Rola bohatera tragedyi należała oczywiście do zadania pierwszego aktora, który też przeto otrzymał nazwę protagonisty (niejako „gracza pierwszego rzędu“). To był tedy pierwszy punkt, który zmieniał dotychczasowy stan rzeczy.

Jakkolwiek takowe przeniesienie wszelkich sytuacyj dramatu z po za sceny na scenę samo przez się już rozszerzyło znakomicie ramy tragedyi, rozprzestrzenił je jednak Eschil prócz tego i w inny jeszcze sposób. Zamiast jak dotąd jednę tragedyą (z przydanym satyrowym dramatem), począł on dawać trzy na raz sztuki, związane z sobą idealnym węzłem osnowy im wszystkim albo wspólnej albo przynaj-

mniej pokrewnej, i nazwał tę trójkę tragedyi trylogią. Dołączony do niej dramat satyrowy, jako czwarty numer całości, stanowił odtąd nie już jak dawniej początek, lecz zawsze koniec reprezentacyi.

Co najprędzej naprowadzić mogło Eschila na myśl wiązania takowego trzech tragedyj w jednę trylogią, to sama natura mitu greckiego. Cała dramaturgia grecka mieściła się w sferze mitów. Nie z potocznego życia, ani też z dziejów bliższej poetom epoki, lecz z najdawniejszych tradycyj, z przedświtu narodowej historyi, z zamierzchłych wieków bohaterskiej epoki zaczerpywano natchnienia. Rzecz to może nieco dziwna w obec naszych wyobrażeń dzisiejszych, niemniej jednak pewna i dowiedziona. Otoż najbogatsze w myśl głęboką mity świata greckiego — sąto właśnie szeregi zrządzeń, długiem pasmem rozrzuconych przez rozległe czasu przestrzenie. Przewaga pewnych idei wywiera się tam najczęściej na całych rodach, na kilku pokoleniach. Nieszczęścia, zbrodnie, walki z Przeznaczeniem niezmiennem przekazują ojcowie synom swoim, synowie wnukom. Taka np. rodzina Atrydów panująca w Mycenie, albo ów nieszczęsny dom Labdakidów w Tebach beockich. Jedna idea wiąże z sobą rozliczne zajścia, rozproszone po czasach, a nawet po miejscach oddalonych od siebie. To też dopiero razem wzięte, dają one widzieć w sobie piętno wyższego dopuszczenia. Ogniwo pojedyncze, to rzecz bezmyślna i martwa i jakby niema, z której niedopytać się odpowiedzi, dlaczego tak? skąd taka okrutność losu? W połączeniu dopiero z sobą wszystkich

ogniw wątek mitu tworzących odsłania się głębsza tragika zrządzeń.

Takto więc rzecz już sama poddawała poecie formę trylogii. Niepodobieństwem to prawie było, wcielić tak rozlegle rozłożone koleje zdarzeń w ciasne ramy dramatu choćby nawet o dwoch aktorach, którego budowa zbyt jeszcze była prosta i którego zakrój według ówczesnego pojęcia rzeczy nie mógł w żaden sposób przesięgać jednodziennej przestrzeni czasu. Rozgraniczał przeto nasz tragik i grupował cały wątek podjętego do opracowania przedmiotu na trzy mniej lub więcej udzielne działy i zamykał takowe z kolei w trzech odrębnych tragedyach, które się idealnie uzupełniały, choć każda z nich miała i zawikłanie właściwe i rozwiązanie czyli katastrofę swoję osobną. Związek przypadającego na sam koniec trylogii dramatu satyrowego był już nieco luźniejszy, choć i jego osnową była zwykle w pewnej analogii z całością. Wybitny i wspaniały w 'swoim rodzaju przykład takiej trójjedynej kreacyi mamy w Orestei Eschila, jedynej starożytnej trylogii, ktora się w całości dochowała do czasów naszych. Pierwszą w niej sztuką jest „Agamemnon“, drugą „Choëfory“, a trzecią „Eumenidy.“ Osoby, bohaterowie, miejsca działania, czasy i sprawy, o które chodzi, w każdej z tych tragedyj są inne. Pomimo tego zapełnia je wszystkie jedna osnowa, jeden mit — tragiczny i pełen głębokiego znaczenia mit o losach rodu Atrydów. Dramat satyrowy doczepiony do tej trylogii miał tytuł Proteus. Utwor ten jednak należy do liczby zaginionych.

Trzecią nakoniec nowością w sposobie Eschilowym było zmniejszenie wagi i znaczenia partyj chórowych na korzyść momentu ściśle dramatycznego, przydzielonego rolom aktorskim. Było to już naturalne następstwo tylko przeniesienia całej akcyi na scenę. Samo to przeniesienie wymagało tego koniecznie, ażeby odtąd scena górowała po nad orkiestrą i nie pozwalała tej ostatniej wychodzić po za zakres czynnika tylko pomocniczego, dodatkowego, pod każdym względem podporządkowanego rzeczywistym dramatycznym żywiołom. Owoż dopiął „ojciec tragedyi“ tej reformy co do chóru najprzód przez to, że rozciągłość dawniejszą śpiewów i tańców rytmicznych na orkiestrze wykonywanych znakomicie skrócił w swojej tragedyi, a potem że nawet i samę dawniejszą liczbę osób chór składających sprowadził do skromniejszej ilości. Chór tragiczny składał się był z dawien dawna w Atenach z 50 współdziałających. Otoż tę liczbę tak znaczną sprowadził Eschil do ilości dwunastu osób, z osobna przydzielonych każdej tragedyi. Wątpić wprawdzie nie można, że ta redukcya wynikła więcej z ubocznej potrzeby, do której poeta chcąc czy nie chcąc zastosować się musiał, aniżeli z własnej woli jego i z ściśle artystycznej rachuby. W każdym razie jednak była i to zmiana korzystna dla uwydatnienia przewagi sceny po nad orkiestrą [1]).

---

[1]) Rzecz się miała prawdopodobnie w następujący sposób: Na utrzymanie, wyuczenie i wynagrodzenie tych 50 chórzystów za trudy w ciągu samej reprezentacyi łożyła zawsze władza z kasy publicznej. Każdy dramaturg miał prawo otrzymywać sumę prze-

Nie bez pewnego związku z tą reformą całego stosunku między orkiestrą a sceną były i inne jeszcze nowości, zresztą pomniejszej wagi, zaprowadzone także dopiero przez tegoto tragika. Mówię o wynalazkach jego dotyczących ubrania, w jakiem aktorzy przychodzili na scenę, sprawiającego przeobrażenie ich naturalnej powierzchowności. Eschil zwykł był osobom swoich tragedyj, zwłaszcza też pierwszorzędnym, rozszerzać rozmiary ciała po nad zwykłą miarę człowieka. Przywdziewał bohaterom swoim koturny, rodzaj obuwia aż po kolana sięgającego, które wysokość dotyczącego aktora podnosiło często na stopę albo i wyżej. Dla przywrócenia zachwianej przez to symetryi z innemi ciała częściami wkładał im podobne nadłożenie także na głowę (tak zwany onkos), jako też przywdziewał im i inne jeszcze przyrządy, przez które postawa ich nawet wszerz zyskiwała na rozciągłości. Również potęgowana była i donośność ich głosu, a to za pomocą masek, których akustyczne urządzenie zresztą nie jest już obecnie należycie wiadome. Wszystkie te sposoby pozostały

---

znaczoną na występ takiego chóru i był za to zobowiązany zapełnić dziełem swojem jednodniową reprezentacyę. Zamiast jednej od czasów Tespisa sztuki, wystąpił Eschil na raz z czterema utworami, które także nie więcej jak tylko dzień jeden miały zapełnić. Władza nie miała żadnych powodów sprzeciwić się tej nowości, ale łożyć przeto na chóry więcej niż dawniej, nie uznała za rzecz konieczną. Nie pozostawało przeto poecie, jak poprzestać na tej tradycyjnej liczbie 50 śpiewaków i tak nimi wszystkie cztery sztuki obsadzić, żeby na każdą przypadła jedna czwarta pierwotnej liczby.

i nadal w stałym zwyczaju na scenach greckich. Nam się obecnie to wszystko może zbyt szczególném wydaje. W stosunkach ówczesnych było to naturalnem. Chodziło najprzód o to, ażeby i najdalsze rzędy siedzeń olbrzymiego tego teatru widzieć mogły ludzi na scenie w proporcyach niezmniejszonych z powodu oddalenia. A potem miało się przez to zadość uczynić także tradycyjnym i raz na zawsze przyjętym w narodzie greckim wyobrażeniom o powierzchowności tych istot wyższych, które mitologia stworzyła, a tragedya naocznie widzieć dawała. Wszakże Homer zawsze się o bogach i herosach swoich w takim sensie wyraża, że postawa ich była ludzka, lecz większej siły, wyższej piękności i roślejszych rozmiarów ciała „niżeli ludzie dzisiejsi“ (*ἢ οἳ νῦν βροτοί εἰσιν*). Pieśni Homera były skarbnicą tragików greckich i kanonem mniemań ludowych. Nie dziw przeto, że i sama powierzchowność bohaterów tragedyi tyle bywała potęgowana, ile wyższymi nad zwykły poziom były ich charaktery i czyny i nawet słowa — przynajmniej w plastycznym i jakby wyrzeźbionym stylu tego tragika, który to wszystko w zwyczaj wprowadził.

Współzawodnikiem w ostatnich latach Eschila i następcą jego w dziejach tragedyi był Sofokles. Wystąpił po raz pierwszy w roku 468 przed Chr., lat sobie licząc natenczas 27 lub najwięcej 28. Miał między antagonistami swoimi już zaraz w owym pierwszym występie Eschila i był tyle szczęśliwym, że pokonał starego mistrza! Uzyskał więc od razu pierwszy wieniec zwycięski w zawodzie, któremu dopiero poświęcić się zamierzał. Ta wyższość, nawet nad ge-

niuszem Eschila, pozostała mu już do końca życia. Tak w oczach starożytnych krytyków, jako dla nas nowoczesnych uchodzi on za największego ze wszystkich mistrzów greckich w tym rodzaju poezyi — mimo całą cześć, należną i oddawaną i dawniejszemu także poecie. Odnosi się to uznanie jednakże tylko do niezrównanych zalet jego jako w ogóle poety, nie zaś do sławy z wynalazków i zasług około samej formy dramatu. Jako reformator teatru Eschil pozostanie na zawsze głównym. Eschilowe reformy tak mało zostawiały już pola dla kogokolwiek drugiego, że nowości nawet w Sofoklesa sposobie dotyczą już tylko wykończenia samych szczegołów w obrębie rzuconej przez tamtego budowy...

Nie posiadamy sztuki, przez którą tyle sławy od razu zjednał sobie Sofokles; nawet tytuł onej nie jest wiadomy. Najrychlejsza z pomiędzy siedmiu jego ocalonych tragedyj, Antygona, była na scenę oddana w lat dopiero 27 po onej pierwszej wygranej, t. j. w roku 441. Nie jest przeto w mocy naszej rozstrzygnąć, czy zmiany zaprowadzone przez Sofoklesa w architektonice dramatu były zastosowane już w jego pierwszym utworze, czy też dopiero zwolna pojawiały się w pracach jego poźniejszych. Do rzędu zaś zmian takowych odnieść należy przedewszystkiem dwie następujące ważne reformy, stanowiące ostateczne zakończenie rozwoju form tragedyi klasycznej: nasamprzód wprowadzenie ról drugorzędnych czyli tak zwanych ról deyteragonisty i ściągnienie form tryglogijnych w jednę krągłą rozwiniętą tragedyą. Inne jego wynalazki można pominąć. Podniesienie np. liczby

chórzystów z 12 do 15 stanowi już odmianę drobniejszej wagi.

Przystępuję do wyjaśnienia, co znaczy w starożytnym dramacie rola deyteragonisty?

Sytuacye w dziełach Eschila (oczywiście rychlejszej daty, później bowiem i Eschil już korzystał z wynalazku młodszego mistrza) zawsze polegały na stosunku dwóch tylko osób do siebie. Dlatego też wystarczało tam dwóch aktorów zupełnie na obsadzenie wszystkich rol takiej tragedyi. Sofokles dodał do nich trzeciego jeszcze aktora, którego nazwał jednak deyteragonistą tj. „graczem drugiego rzędu,“ a to z tego powodu, że zaprowadził stosunek między nimi wszystkimi taki, iż protagonista pozostał przy naczelnem swojem znaczeniu, jak dawniej; również zatrzymał nadal i ów drugi jak dotąd aktor swoje dawne podrzędne położenie wobec tamtego; nowy zaś aktor zajął teraz miejsce drugie czyli pośrednie pomiędzy protagonistą a tamtym „trzeciorzędnym“ aktorem (trytagonistą). Temu pośredniemu stanowisku deyteragonisty odpowiadały takie role i figury w dramacie, które przyjmując wprawdzie na się cały udział w kolizyach, jakie miały miejsce w tragedyi, nie dawały się jednakże unosić temu prądowi namiętnego patosu, jakiemu tak zupełnie i tak nieraz dla siebie zgubnie podlegał właściwy bohater sztuki. Pojawiły się więc w utworach dopiero Sofoklesa dwie równocześnie postaci stawione na wyżynach zawikłania i przebojów tragedyi, chociaż każda z nich oddziaływa na tok danych zdarzeń inaczej. Tragiczniejsze, gorętsze i zapędliwsze natury rzucają się całem cia-

łem w porywający wir namiętności. Pochwycone od razu w to zaklęte koło uczucia, które porównaćby można z opętaniem lub fatalizmem, ośmielają się na czyny, wzbudzające wprawdzie samą swoją idealnością najwyższy podziw i współczucie u widzów, ale przekraczające ten normalny zakres śmiertelnym kreaturom wytknięty, którego naruszenie sprawia waśń w całym porządku życia i ustaw i praw przyrodzonych człowieka. To też ludzie tej kategoryi giną zawsze w końcu tragedyi. Co w nich było uprawnionego, tryumfuje wprawdzie w idei; ale ich śmiertelna całość, ich ludzka odrębność, ich życie, tłucze się jak gliniane kruche naczynie za uderzeniem o śpiż twardy albo o opokę granitu.

Takie więc role zaludniały już i eschilową tragedyą, są to role protagonisty. Inne zupełnie natury, w przeciwstawieniu do tamtych, wprowadził po raz pierwszy do tragedyi Sofokles i powierzył do odegrania deyteragoniście. Natury te czują silnie i głęboko straszność burzy wrącej w atmosferze dramatu. Są w nim od razu tak postawione, że mieć lub nie mieć udziału w wielkiej sprawie, jaka właśnie się toczy, wcale nie od ich woli zawisło. Więc i one także działają z konieczności. Działają jednakże w taki sposób, że gdy w końcu mija już trwoga i grom tragicznej katastrofy uderzył już w czoło najwyżej podniesione: ich skromna łódka wypływa cała na uciszające się fale, wypływa z masztem nieskołatanym i z żaglami niestarganymi. Snać być musiały w czasie waśni żywiołów w jakiejś bezpiecznej przystani. Przystanią tą był spokój niczem niezakłócony i harmonijna ró-

wnowaga ich ducha, nad którą nawet fatalizm zrządzeń tragicznych nie miał potęgi. Jeżeli zaś wyjątkowo niekiedy— przy powszechnej pożodze stosunków, w jakich je przeznaczenie stawiło — i one podlegają zagładzie, to kończą bez szemrania i trwogi, umierają bez konwulsyjnych wysileń boleść pokonania przedłużających. Ich cichy koniec w rzewniejszych tylko duszach budzi współczucie, jako i życie nie było przedmiotem podziwienia dla tłumu.

Taką to postacią jest w Antygonie Sofoklesa Ismena, w Elektrze Chryzotemis, w Edypie Królu Jokasta, w Edypie Kolonejskim Antygona, w Filoktecie Neoptolemos, w Ajaxie Tekmessa. Znajdujemy postaci takie i w Eschilowej Orestei, sztukato bowiem napisana już po wynalazkach Sofoklesowych, w końcu życia jej autora. Jest taką w pierwszej części trylogii Kasandra, w przeciwstawieniu do przynależnego sferze protogonisty Agamemnona; w drugiej części Elektra w obec Orestesa, w trzeciej Apollo w obec tejże figury. Eurypidesa utwory przedstawiają tosamo pod względem wewnętrznego składu budowy. W ogóle styl budownictwa Sofoklesowego pozostał najwyższym w całej dramaturgii klasycznej. Ani Eurypides, ani żaden późniejszy tragik zakresu tego już nie rozszerzył.

Rozumie się samo przez się, że com tu powiedział o naturze ról i zadań aktorskich, nie w takim sensie powinno być rozumiane, iżby tedy trzy tylko zawsze osoby zapełniały treść starożytnej tragedyi. Dość rzucić okiem na spis osób dany na czele którejkolwiek sztuki greckiej, ażeby się przekonać, że oprócz sa-

mego bohatera lub bohaterki, i osoby typu drugiego i nakoniec figury trzeciorzędnej, jest w nich zawsze kilka jeszcze i innych osób. Te osoby przydzielane bywały tak dawniej, jak i w Sofoklesa tragedyach tymże samym aktorom do odegrania, wedle tego czy charakterami swymi skłaniały się w przybliżeniu do pierwszej, czy do drugiej, czy wreszcie do trzeciej roli prototypowej. Zapełniało tedy zawsze całość dramatu więcej wprawdzie osób, niż owe trzy powyżej opisane. Ale n a r a z nigdy ich więcej nie mogło pokazać się na scenie, jak tylko trzy. Każda bowiem sytuacya, z osobna wzięta, obejmowała w starożytnych utworach trzy najwięcej czynniki działania dramatycznego. Mogła ich liczyć mniej niż trzy, ale nie więcej! Wrzawliwego dyalogu Grecy nie lubili na scenie i zawsze trzymali się zasady, żeby jak najprostszymi środkami osięgać najwyższe zadania sztuki. [1])

Przechodzę teraz do drugiej Sofoklesa reformy, stanowiącej jeszcze większą jego zasługę, choć właściwie uważać ją trzeba za proste tylko następstwo tamtej zaprowadzonej nowości. Gdyby bowiem nie był on sobie przez wprowadzenie trzeciej siły aktorskiej tak znakomicie rozszerzył całej że tak powiem dziedziny scenicznego działania, nie byłby mógł ani nawet pomyśleć o odstąpieniu od tradycyi Eschila pod względem, który właśnie mamy wyłuszczyć. Otoż on-

---

[1]) Oczywisty przykład, jak to było w danych razach praktykowane w starożytnym teatrze, obacz w przedmowie do przekładu E l e k t r y Sofoklesa, wydanego przezemnie przed kilkunastu laty w Poznaniu.

to był pierwszy, który zaprzestał przeprowadzać zawikłania tragiczne przez trylogijną formę dramatu. Dał pierwszy przykład największego tryumfu sztuki, na jaki zdobyć się mogła zręczność artysty w tamtej epoce. Nawet najbogatszą osnowę mitu tak potrafił zawszeześrodkować i zwikłać w sobie, że ją pomieszczał w jednej tragedyi, a nie w trzech luźnie się tylko dopełniających trójkach trylogii. Wprawdzie pozostało już i nadal zwyczajem w greckich teatrach, że się każdy z współzawodniczących dramatycznych poetów zdobywać musiał na cztery zawsze utwory, to jest na trzy tragedye i czwarty dramat satyrowy, jako całkowity występ sceniczny. Ale od czasów Sofoklesa nie łączyły się te sztuki ani treścią ani ideą ze sobą, lecz stanowiły każda w sobie dzieła skończone i zamknięte na zewnątrz.

Że ta zmiana stanowiła niepospolity postęp sztuki, tego nie potrzeba dowodzić. Dość tu porównać styl architektoniki Eschila z misterstwem nie do opisania budowy sofoklesowych arcydzieł. Styl utworów Eschila jest zapewne kolosalny. Myśli w nich tak są potężne, że ich kilką rzuconych całe już zapełniają tło rzeczy. Ale właśnie przeto plan dzieł takich nadto jest prosty; budowa taka misternością nie wzbudza podziwienia! Poematy jego sąto jakby owe wsparte na doryckich słupach świątynie, które imponują ogromem rzutu, ale wewnątrz rażą próżnią. Jedno spojrzenie ogarnia całe ich wnętrze. Gdy tymczasem w pracach drugiego tragika każda stopa miejsca, wciągniętego w obwód budowy, zapełniona jest szczegółami. A każdy z nich inny, a każdy

jednak odpowiedni celowi! Tam posągi bogów, w prostej linii i w odstępach jakby rytmem mierzonych rozstawione opodal siebie. A tu — koło bez początku i końca! Jeden w niem środek i jedno nad niem sklepienie. To już nie rozwlekły szereg posągów, lecz jedna grupa, najwyższe wysilenie rzeźbiarza...

Ażeby wyczerpnąć charakterystykę dzieł Sofoklesa, dodaję, że w nich chóry, wprawdzie już przez Eschila w szerokości swojej znakomicie skrócone, otrzymały jeszcze skromniejszy zakres. I rozstawiał je też poeta po takich tylko miejscach utworu, gdzie rzeczywista była potrzeba, aby pod kojącem ich pieniem mogli widzowie ochłonąć z wrażeń i wirów dramatycznych, i trzymali się zawsze na stanowisku świadków, nie zaś wspólników walki, jaka się właśnie toczyła.

Drugie, czego nie należy przepomnąć, skoro się mówi o reformach starożytnego teatru, jest że za rządów tegoto dopiero władcy na scenie rozstały się drogi, dawniej zawsze zespolone, poety i aktora. Aż dotąd każdy poeta dramatyczny był zarazem orchestykiem, muzykiem i aktorem. Aktorski zawód był jego powołaniem istotnem; sława poety podnosiła tylko jego znaczenie. Jestto okoliczność wiele znacząca! Gdyby się o tem nie wiedziało, niejedenby się dziwił, że cały zasób dramatycznej literatury greckiej tak jest sceniczny i teatralny, tak łatwo zastósować się dający do warunków mechanizmu teatru. Ileżto w każdej literaturze nowoczesnej, a mianowicie też naszej, wyliczyć można dramatów, którychby żadna scena przedstawić nie potrafiła. Literatura grecka nie zna wcale tego rodzaju poezyi — chyba dopiero

w najpóźniejszych okresach swoich, a i tam ani w tej liczbie ani w tym stopniu. Powie kto: to następstwo romantyzmu piśmiennictw nowoczesnych! Wiele w tem prawdy, ale całej jednak rzeczy to nie tłómaczy. Prawdziwą przyczyną tej tak częstej niezdarności w nowoczesnych sztukach scenicznych jest brak znajomości sceny u autorów, brak stałych i bliższych ze samą sceną stosunków. U Greków było inaczej. Tam dwa te zawody, dramaturga i aktora, były albo zupełnie połączone w jednej osobie, albo przynajmniej nader zbliżone do siebie. Poeta grywał tam albo sam (jako protagonista) role swego dramatu, jak wszyscy tragicy od Tespisa aż do Eschila, albo w skutek przyjętego zwyczaju musiał być nauczycielem i reżyserem w zakresie dzieła, z którem myślał wystąpić. Z pisanego nie wiele się tam uczono w tych jeszcze wiekach. Ustnie trzeba było przepowiadać każdemu, co nań przypadało z partyi dyalogowej, i dopiero przez wspólne powtarzanie, poprawianie, próbowanie to deklamacyi, to mimiki, to tańca, to śpiewu, to przeobrażania całej ciała postawy — dokonywało się owo prawdziwe wcielenie w postać aktora ideału poety. Sofokles był tedy pierwszym z starożytnych tragików, który zamiast występować osobiście, dawał już wszystkie role w swoich tragedyach odegrywać innym aktorom. Słabość głosu jego miała być tego przyczyną. Najsłynniejszymi scenikami, którzy w sztukach jego występowali, mieli być Klidemides, Kallipides, a przed wszystkimi innymi Tlepolemos, protagonista. W późniejszych nieco latach uchodził za najutalentowańszego ulubieńca ateńskiej publiczności Kefizofon,

protagonista w sztukach Eurypidesa. Eurypides bowiem, a z nim i wszyscy inni dramatycy współcześni Sofoklesowi przejęli i ten także zwyczaj od niego. Zostając w związku z teatrem w sposób opisany powyżej, sami już wstrzymywali się od grania osobiście na scenie. Co też wyszło w końcu na korzyść scenicznego artyzmu. Największa epoka sztuki aktorskiej przypada dopiero na czasy posofoklesowe, głównie na wiek Alexandra W.

Nie tak było z sztuką tragiczną jako poezyą. Tej szczytem najwyższym pozostały na zawsze dzieła Sofoklesa. Eurypides ani jako reformator teatru zasłynąć już nie potrafił, ani jako pisarz nie wyrównywa Sofoklesowi.

III.

ZAWIĄZEK KOMEDYI — NAJDAWNIEJSI KOMICY GRECCY — ARYSTOFANES.

Chciałbym pokusić się teraz o podobne jak w rozdziale powyższym nakreślenie genezy — komedyi starożytnej od pierwszego jej zarodu aż do pełności, w jakiej ostatecznie za sprawą Arystofanesa rozkwitła. Przedmiot to wprawdzie nierównie mniej wyjaśniony, aniżeli rzeczy dotyczące tragedyi. Wzmianek i świadectw starożytnych o najdawniejszym stanie komedyi u Greków nie dochowało się tyle, żeby i tutaj było rzeczą podobną iść krok za krokiem w ślady postępu tej gałęzi poezyi. Co się jednakże uskutecznić i tutaj daje, to warto zestawić w jednym wywodzie, choćby

dla samego wyczerpnięcia i zaokrąglenia poruszonych zagadnień.

Że pierwszy zaród komedyi był związany z kultem religijnym i to z tymże samym kultem, z pod opieki którego wykwitła tragedya grecka, to się powiedziało już wyżej. Prócz tej wspólności pierwszego pochodzenia, nie miały dwa te działy jednej dziedziny żadnego jednak pomiędzy sobą związku w starożytności. I rzecz to zaiste dziwna! W teatrze hiszpańskim mięszają się żywioły komiczne z tragicznemi w jednym i tymsamym utworze. Nie ma tam ani odrębnej tragedyi ani komedyi. Nawet samych wyrazów język hiszpański w takiem znaczeniu nie posiada. „*La gran comedia*“ służy tam za nazwę każdemu dziełu, jeżeli tylko jest z zakresu wyższej dramaturgii. Na złożenie zaś barw i wątku dzieła takiego składają się tam zawsze i poważne strony życia ludzkiego i żartobliwe, wraz z całą skalą tych wszystkich pośrednich uczuć, jakie zapełniają odstęp pomiędzy wyżynami tragiki a poziomem śmieszności. Prawie tosamo widzimy i w dramaturgii angielskiej. Wprawdzie utwory Szekspira i innych poetów tejże literatury dzielą się już stanowczo na tragedye i komedye; ale w obydwóch tych rodzajach, pomimo całej ich odrębności, spotykają się co chwila przeciwległych ostateczności żywioły, i to w najniespodziewańszych kontrastach. Zresztą dwie te gałęzi dramatu nie tylko w teoryi, ale i przez samę już praktykę uznane tam są za jednę sztukę, za siostry z jednej zrodzone matki, tak iż im poświęcają talenta swoje bez różnicy na przemian tak poeci jak i aktorzy, szukając sławy w obydwóch kierunkach sztuki.

To też za przykładem tych dwóch teatrów, w epoce kwitnienia swego ton nadających wszelkim innym scenom europejskim, zbliżyła się cała sfera tragedyi do tego stopnia do dziedziny komedyi, że rzadki to chyba przykład, w literaturach nowoczesnych, żeby się kto sił swych w tej albo owej próbować dlatego tylko wyrzekał, ponieważ już drugiemu się rodzajowi poświęcił. Sława komika daje się tutaj bardzo dobrze pogodzić z wziętością w sztuce tragicznej, a to nie tylko w zawodzie autorskim, lecz i scenicznego artysty.

Zupełnie co innego spostrzegamy u Greków. Koleje komedyi nie okazują tam w niczem zgoła żadnej styczności z sztuką tragiczną, jakkolwiek w jednymże prawie czasie i miejscu, to jest w Atenach, obydwie się rozwinęły. Drogi, środki, okoliczności — wszystko to w dziejach jednej a drugiej były rzeczy zupełnie różne. Żaden tragik grecki nie dotknął piórem swojem przedmiotu komicznego, żaden komik nie odważył się do wycieczki na pole tragedyi. Żadnemu aktorowi występującemu w tragicznych rolach nie przyszło na myśl przywdziewać na twarz maskę komiczną: i tosamo na odwrot, ani jeden komiczny aktor nie przyłączył się do orszaku wykonawców tragicznej akcyi. Więcej powiem: nie było przykładu, żeby nawet syn którego z poetów dramatycznych, biorący (jak to było zwyczajem) sztukę i zawód ojcowski niejako w spadku, był się przeniósł od sztuki ojca do przeciwległego obozu. Synowie Eschila i wszystkich innych tragików byli tylko tragicznymi autorami lub

aktorami; syn Arystofanesa komika pozostał także komikiem...

Jest miejsce w Platona „Uczcie,“ gdzie teorycznie tylko wypowiedziany jest pomysł, iż jednem powołaniem i jedną sztuką jest tak zawód tragicznego jako i komicznego poety. Ustęp, w którym mówi o tem Sokrates, z wielu miar zasługuje na przytoczenie. Tragik Agaton nazajutrz po odniesionem przez siebie zwycięstwie w teatrze ateńskim, sprosił wszystkich swoich przyjaciół na biesiadę wyprawioną celem uświetnienia tego tak chlubnego w życiu swojem zdarzenia. Są przytomne na tej biesiadzie wszystkie ówczesne znakomitości ateńskie, więc Sokrates, Arystofanes i inni tego rodzaju. Ochota przeciągnęła się przez noc całą, do rana. Posnęli wszyscy uczestnicy biesiady, zmęczeniem dziennem znużeni i błogą mocą dyonizejskiego napoju. W pośrodku grupy uśpionych czuwają tylko jeszcze trzy głowy, snać najtwardsze i najdzielniejsze w Atenach w owym czasie, kiedy się rzecz owa działa: Sokrates, Arystofanes i samże obchodzący zwycięstwo swoje Agaton. Pianie kogutów i mdłe brzaski dnia następnego zastają ich jeszcze przy czaszy — toczy się pomiędzy nimi zajmująca rozmowa, gdyż Sokrates zapytując i zbijając (jak to u niego było zawsze zwyczajem) zmusza tragika Agatona i mistrza komedyi Arystofana do przyznania: „że tegosamego męża jest rzeczą, umieć stworzyć i komedyą i tragedyą; i że kto jest prawdziwie biegłym w sztuce tragicznej, może temsamem być i komedyi autorem!“ Z tem wszystkiem obaj poeci jakoś nie bardzo zdążali za myślą Sokratesowego wywodu; słuchali go

bowiem (pisze Platon) coraz zdrzymując się i kiwając głowami. Wreszcie pochylił się na dobre najprzód Arystofanes, a kiedy już świtać zaczynał dzień biały, zasnął snem błogosławionych i sam gospodarz domu. A Sokrates, sam jeden trzeźwy, z ironicznym uśmiechem popatrzawszy na owo grono zmorzonych, odszedł sobie do zwykłych swych zatrudnień.

Sens całego tego ustępu zdaje się dawać do rozumienia, że pojęcie, o które tam chodziło, było w starożytności jasnem chyba tylko w teoryi, a i to jeszcze ściągać się może tylko do myślicieli tak głęboko w rzecz wnikających, jak Sokrates (a raczej Platon). Cała zaś reszta społeczeństwa, nie wyłączając nawet ludzi samegoż zawodu i to najznakomitszych, spozierała sennem jeszcze okiem na rzeczywistość tej prawdy. —

Czem dla tragedyi był dytyrambus, tem był dla komedyi komos. Nazwę komosa albo inaczej pieśni fallickiej (*κῶμος φαλλικόν*) nadawano jednemu z obrzędów, główny stanowiących moment w tych religijnych praktykach greckiej starożytności, które były w zwyczaju z okazyi świąt Dyoniza napiętnowanych przeważnem znamieniem wesela i swywoli. Wyłuszczyliśmy bowiem już w rozdziale poprzedzającym, że były obchodzone po całej Grecyi uroczystości dyonizejskie i smętne i wesołe — w miarę tego, jaka właśnie myśl stanowiła każdej takiej uroczystości znaczenie. Radosnych świąt Dyoniza kolej i liczba mogła być rozmaita po różnych częściach kraju greckiego. W Attyce obchodzono w ciągu roku dwa tylko takie święta. Jedno z nich stanowiło uroczystość

siół i wieśniaków i przypadało w poźną jesień, po winobraniu. Nazywało się też dlatego sielskie Dyonizye. Drugie obchodzone znowu było na wiosnę i to głównie w samej kraiku stolicy, stąd też ich nazwa: Dyonizye miejskie lub wielkie. Na pierwszem z nich rozpamiętywano widok twórczości i siły Doniza, potęgę życiodawczą natury, hojnej w dary i spłacającej plonem sowitym całoroczną ufność człowieka. Na drugiem wyrażano radość powszechną nad oswobodzeniem co tylko dokonanem całego przyrodzenia z pęt zimy i martwej grudy; którejto myśli wtórował odpowiedni też mit powtórnego zrodzenia się Dyoniza, po wycierpianych męczarniach walki i śmierci, którą mu zadali Tytani, te uosobienia potęg ujemnych działających w naturze. Stądto też dawano podczas onej uroczystości uwielbianemu bóstwu nazwę Eleytereysa, boga-oswobodziciela.

Jeżeli zaś już nawet i posępne święta Lenejskie, z których się wszczęła tragedya, odznaczały się obrzędem fantastycznym i bachanckiej pełnym mistyki: to z nierównie większym szałem obchodzone były te obydwa święta radosne. Czelność i bezczelność, samowola i swywola należały do wymagań, żądanych ze strony samej religii. Nie dziw przeto, że w ciągu uroczystości takowych uchodziło bezkarnie wszystko, jeżeli tylko zyskiwało na tem powszechne rozochocenie.

Samą miazgą tych wszystkich szaleństw była scena zwana komosem. Poczynała się ona od wspólnej biesiady, obfitej w pokarm i napój, ożywionej wrzawą i żartami, a kończącej się śpiewem w duchu całej

okoliczności, którito śpiew się właśnie *per excellentiam* k o m o s nazywał. Wykonywali go chórem wszyscy na uczcie obecni. Zawodzili go w chwili wstawania od stołu — nie zatrzymując się około ołtarza ofiarnego, ani nie tworząc grup cyklicznych, jak to przy dytyrambie było w zwyczaju, lecz w pochodzie coraz dalszym przez miasto ciągnęli w fantastycznej procesyi albo do owego dyonizejskiego przybytku, nazywanego Leneon, albo do którego z innych miejsc, zawierających w swym obwodzie świątynie lub ołtarze tego rodzaju. Osoby mające udział w komosie przebierały się w śmieszniejsze jeszcze i potworniejsze postaci, niż śpiewacy dytyrambowi. Pomazywanie twarzy sadzami i moszczem równie tu przechodziło w karykaturę, jak strojenie głów w wieńce przesadnej wielkości, do których brano bluszcz zazwyczaj i fijołki wiosenne. Idący przodownik przed tą całą czeredą niósł na tyce wysokiej różne godła bachickiej mistyki, rażące dzisiejsze nasze uczucie najgrubszą nieprzyzwoitością. Uczestnicy pochodu szli za nim, każdy z koszem darów ofiarnych, śpiewając słowa prawdziwie hultajskie zwrócone do Dyoniza i także do każdego bez wyjątku, kogo tylko spotykali po drodze.

Otoż takito był pierwszy zaród komedyi, która od rzeczy co tylko opisanej wzięła nawet nazwisko swoje. *Κωμῳδία* tyle znaczy dosłownie, co „pieśń komosowa“. Nie mielibyśmy o tem wszystkiem tak jasnego wyobrażenia, gdyby przypadkowym zbiegiem okoliczności nie była się dochowała do czasów naszych sztuka Arystofanesa pod napisem „Acharnejczycy,“ a w niej

scena żywcem zawierająca w sobie cały taki obchód falliczny i komosowy. Słowa, które tam wyśpiewuje Dikajopolis, człowiek starej daty i wieśniak, mogą być uważane za typ pieśni, jakie w razach podobnych nucono od czasów niezawodnie najdawniejszych po wszystkich siołach Attyki i całej zapewne Grecyi. Anibym się nie ośmielił przywodzić z niej tutaj na próbę ustępów, które do najcharakterystyczniejszych należą. Uszy nasze rzeczy takich nie znoszą, choć w sztuce Arystofanesa i córka tego wieśniaka jest przytomna w orszaku i żona jego z dachu domu, w którym mieszkają, przypatruje się pochodowi...

Za ojca komedyi, w wyższem nieco znaczeniu tego wyrazu, poczytywali starożytni powszechnie Suzaryona. Miał on być rodem z miasta Megaryjskiego Trypodyskos, ale się przeniósł na stałe mieszkanie do Attyki i rozpoczął działanie swoje jako dramaturg przynajmniej na jakie lat 20 rychlej, aniżeli Tespis. Wzmianki o nim starożytnych pisarzy nie wystarczają na to, ażebyśmy podać mogli bliższe jakie szczegóły o formie utworów, z którymi występował. Tyle tylko jest pewnem, że komedye Suzaryona już się składały i z chórów i z ustępów mówionych, do odegrania których używał już współdziałania aktorów i to nawet kilku. Te części dyalogów jego komedyi pisane miały być wierszem, a treść ich była tak szydercza i wyuzdana, że nawet sami poźniejsi komicy, którzy także nie grzeszyli nigdy zbyteczną względnością na przyzwoitość, przecież z przekąsem wspominali o „megaryjskich konceptach.“ Suzaryonowi zależało

jedynie na wzbudzeniu w słuchaczach śmiechu. W środkach zgoła nie przebierał. Zresztą zostały o nim podania, że aktorskie partye w sztukach swoich sam zwykł był zawsze wypełniać. Zawód przeto aktora i poety łączy się i tu znowu od samego początku. Była tylko co do ilości aktorów z góry różnica między komedyą a tragedyą. Podczas gdy bowiem w tragedyi od jednego się zaczęło, a na trzech ostatecznie skończyło, w komedyi grywała pierwotnie ilość osób nieoznaczona. Dopiero Kratynos, jeden z późniejszych komików, miał liczbę aktorów i tutaj ograniczyć do trójki; jakkolwiek i tego nie należy brać za regułę bezwyjątkową, gdyż zdarzają się niekiedy sceny w Arystofanesa komedyach, do odegrania których nie wystarczałyby trzy tylko siły aktorskie.

Z rokiem 560 przed Chr. t. j z początkiem rządów Pizystratowych, imię Suzaryona, a z niem i wziętość komedyi w ogólności zapada w niepamięci. Oczywiście nie mogła być tego przyczyną śmierć komedyopisarza, ponieważ odtąd nie tylko o nim, ale i o żadnym innym przez całe lat 80 nie słychać. Panowanie Pizystrata i jego synów półwiekowy czasu przeciąg zapełniające, było wprawdzie dobroczynne dla piśmiennictwa i sztuki. Pod ich opieką Ateny zamieniły się stanowczo na ognisko całego umysłowego życia greckiego. Poeci jak Anakreon, Symonides, Lazos itp. chociaż pochodzili z innych stron Grecyi, ściągali do stolicy Attyki i zamieszkiwali w niej stale, zaszczycani względami dworu. Tespisa wynalazki sceniczne i pierwsze początki sztuki tragicznej także przypadają na one czasy. Ale niepowściągliwe żądło komedyi, nikomu i niczemu

nigdy nie folgującej, nie mogło się zakorzenić pod rządami, które z natury rzeczy drażliwe być musiały na wszelkie razy, choćby też w dniach tylko dyonizejskich sobie zadane. Dlatego trzeba było zupełnego usunienia od steru rządu rodziny Pizystratydów i znacznego jeszcze w naddatku przeciągu czasu, zapełnionego przewagą i wpływami możnowładztwa na tok rzeczy publicznych, nim się w Atenach na nowo dzieje komedyi wynurzyć mogły z zapomnienia i zaniedbania, w które tymczasem popadły. Podczas kiedy tragiczne utwory, przez ducha czasu wspierane, wznosiły się coraz wyżej: komedya zalegać tam musiała pospolity i gminny poziom komosowej zabawy. Pozbawiona skrzydeł sztuki i wspory przez wyższy talent, nie liczyła się wcale do działów rzeczywistej poezyi. Dopiero w czasie zupełnej przewagi demokracyi rodzaj ten dramatu odezwał się na nowo, i to od razu w całej sile i donośności.

Wznowicielem w owych czasach komedyi miał być Ateńczyk Chionides, wspominany w dziejach dramatu jako pierwszy przez władzę teatralną za dramaturga uznany pisarz w tym rodzaju poezyi. W skutek uznania tego były już i jemu także, podobnie jak dotychczas tragikom, dawane fundusze z kasy rządowej na pokrycie kosztów wystąpienia publicznego przed ludem i puszczania się w zawody z innymi zapaśnikami. Początek działania Chionidesa na scenie, a z nim zapewne i koncesya powyższa, przypadły (według podań Suidasa) na rok 488 przed Chr. Najznaczniejsza część otrzymywanych owych z kasy rządowej zasiłków obracana bywała na zebranie i wyu-

czenie śpiewaków, którzy tworzyli chóry w sztukach Chionidesa. Ilość osób tychże chórów była o połowę mniejszą, aniżeli w chórach tragicznych. Dochodziła tylko liczby 24, i przy tej liczbie pozostały chóry komiczne niezmiennie przez cały ciąg okresu tak zwanej „dawnej komedyi“ (w przeciwstawieniu tejże do komedyi „średniej“ i „nowszej“, na poźniejsze dopiero czasy literatury greckiej przypadających, w których wcale chórów już nie dawano).

O duchu i sposobie prac Chionidesa zresztą bliższych szczegółów starożytność nie przekazała pamięci. Są tylko znane trzy tytuły jego komedyj: „Bohaterowie“—„Żebracy“—„Persy“. Wnosić należy, że komiczne te wystąpienia musiały przypadać w wysokim stopniu do smaku publiczności ateńskiej, skoro znalazł Chionidos niezadługo i naśladowców i współzawodników. Pomiędzy tymi jednakże niektórych tylko imiona są obecnie jeszcze wiadome, np. Magnes i Ekfantydes, którzy wyższym wtedy odznaczać się musieli talentem. Prawdziwe wszelako zdolności pojawiły się dopiero nieco poźniej, kiedy już ster państwa dzierżył Perykles. Od owej pory też i formy komedyi zbliżały się coraz prędzej do tej pełności rozwoju, w jakiej ten rodzaj dramatu klasycznego znajdujemy w ocalonych dziełach Arystofanesa.

Do tejto peryklesowej generacyi komików należał właśnie Kratynos, najzasłużeńszy i najulubieńszy w Atenach z pomiędzy wszystkich, którzy zapełniają tę pośrednią przestrzeń czasu przed wystąpieniem co tylko nazwanego mistrza starożytnej komedyi. Zalety niepospolite przyznaje Kratynowi w jednym z utwo-

rów swoich (w „Rycerzach“) sam nawet Arystofanes, który się właśnie wsławiać dopiero zaczynał, kiedy Kratynos schodził już z pola. Ostatnie wystąpienie tego komika miało nawet ścisły związek z ową wzmianką o nim w Rycerzach. Kratynos upijał się na starość i z powodu tego tak z czasem podupadł w oczach publiczności ateńskiej, że był przez nią uważany za minioną już wielkość. Owoż pozwolił sobie Arystofanes właśnie do tej okoliczności zrobić szyderczą aluzyę wśród pochwał, których mu zresztą nie skąpił Nie przypuszczał, kiedy to pisał, że sobie gotuje biedę i że wyzywa szermierza przeciwko sobie, któremu rady dać nie potrafi. A jednak nastąpiła taka niespodziewanka! „Miniona wielkość“ drgnęła siłą lepszych czasów i postanowiła pokazać, że się bezkarnie z niej jeszcze szydzić nie godzi. Przy najbliższej sposobności, w rok po przedstawieniu Rycerzy, ów starzec z górą lat 97 liczący, ów komik dawno niewidziany na scenie, o którym powiedział Arystofanes, że „niegdyś party oklasków gromem pędził jak potok po niwie, dęby wyrywał z ziemi z korzeniem, o ziemię walił swych przeciwników, a teraz kwili jak dziecko, że jego liry strój już skłócony, ton z niej uleciał, struny zerwane, że się sunie w zgrzybiałości po ziemi jak cień przeszłości, z zeschłym wieńcem na głowie, że pijacka zgaga gardziel mu piecze...“, otoż powtarzam właśnie ten starzec w takich słowach sponiewierany niespodziewanie zgłasza się w roku 423 na uczestnika odbyć się mającego agonu i razem z innym jeszcze komikiem, z Amejpsyasem, stacza walkę i próbę o lepszą z Arystofanem! Z utwo-

rów danych na scenie przy owej sposobności same tylko „Obłoki“ tego ostatniego poety ocalały do czasów naszych. O „Warkoczu“ Amejpsyąsa oprócz tytułu nic zgoła nie jest wiadomem. Więcej nieco powiedzieć można o „Butelce“ (*Πυτίνη*), z którą Kratynos wystąpił, chociaż i z niej zaledwo kilkanaście urywkowych tylko ustępów ostało się dzięki wzmiankom o tem całem zdarzeniu, które odszukano po pismach późniejszych uczonych greckich. Głównemi figurami w tej sztuce były trzy następujące: sam poeta, tak jak go był Arystofanes wystawił, a zatem w roli pijaka; Komedya, nibyto jego żona, od dawna przezeń zaniedbywana; wreszcie Butelka kochanka, jak na teraz samowładna pani poety. Byłto zatem jakby proces komiczny o osobę poety między zazdrosną żoną a zazdrośniejszą jeszcze kochanką. Rezultat owej potyczki teatralnej był taki, że przysądzono zwycięstwo nad Arystofanesem i jego Obłokami Kratynosowej Butelce! Po czem starzec ten już w tym samym albo w następnym roku zakończył życie. Była to zatem ostatnia jego wygrana z pomiędzy owych dziewięciu, które w ogólności miał odnieść. Sztuk mu przypisywano w ogóle tylko 21, liczba niewielka w porównaniu z płodnością innych dramatyków.

Najważniejszą wiadomość o duchu komiki Kratynosa stanowi wzmianka, że on pierwszy wciągnął w zakres komedyi satyrę życia publicznego i samejże polityki. Szydercze nicowanie wszystkiego i wszystkich, nawet obecnych w teatrze, było wprawdzie przywilejem komedyi już od najdawniejszych czasów. Ale żeby nawet osoby piastujące dostojeństwa publiczne

i razem z niemi zajścia polityki bieżącej pociągać także przed trybunał dowcipu, tego nauczył dopiero Kratynos innych komików.

Już wprawdzie za rządów Peryklesa zapadały ustawy, żeby się nie ważyli komicy szydzić z nikogo tak jawnie, iżby się publiczność domyślać mogła, o kimto mowa. Uchwała taka z roku 440 przed Chr. (μὴ κωμῳδεῖν ὀνομαστὶ — nie wyśmiewać po imieniu) często bywała ponawiana w latach następnych. Jednakże już sama ta okoliczność, że ją trzeba było ponawiać, dowodzi tego, że się do niej nie stosowano. *Quid leges sine moribus!* Co tu mówimy, potwierdzają też w jak najmocniejszych rozmiarach wszystkie sztuki Arystofanesa, które jeszcze posiadamy. Są w nich pociski to na Kleona, to na Sokratesa, to na Eurypidesa, to na inne osobistości, które odsłoniły oku komika jakie słabe strony charakteru, zawodu i działania swojego. Tegosamego też dowodzą świadectwa starożytnych pisarzy o innych autorach komedyj. Dopiero upadek spraw ateńskich powszechny, jaki nastał razem z końcem wojny peloponeskiej, położył koniec i tej przesadnej niezawodnie swobodzie. Odtądto żądło satyry osobistej poczęło tępieć i powstały nowe formy komedyi, które otrzymały nazwę komedyi średniej, a po niej nowszej i tchnęły odmiennym zupełnie duchem. O tych jednakże mówić nie przedsięwziąłem sobie w rozdziale niniejszym.

Współczesnym Kratynosa był Krates. Byłto początkowie tylko aktor występujący w rolach Kratyna. Ale jak to zwykle bywało, puścił się i on niebawem na tory samodzielnego komika i z aktora wyszedł na

poetę dość głośnego imienia. Co go odróżniało od innych, to że satyra jego nie tyle miała być kąsająca, co tamtych. Natomiast onto pierwszy obrabiać zaczął pewne zaokrąglone w sobie wydarzenia czyli co nazywano fabuły krotofilne, wzięte czyto z mitu czy z codziennego pożycia. Przez wydobywanie z tego wątku sytuacyj komicznych czynił zadosyć warunkom rozśmieszania widzów dowcipem.

O Teleklidesie i Hermipie, komikach tejże epoki, nic więcej nie jest wiadomem, jak tylko że byli nie bez talentu.

Poźniejszym od nich nieco był Eupolis, Arystofanesa rówiennik, przyjaciel, a następnie najzaciętszy współzawodnik i nieprzyjaciel. Miał on wystąpić po raz pierwszy na scenie dopiero w roku 429, a więc niebawem po rozpoczęciu wojny peloponeskiej, której końca wszakże nie dożył. W ogóle wszyscy komicy greccy poczynali zawód sceniczny w poźniejszym dopiero wieku. Przyczyną tego był zwyczaj, a nawet przepis, ażeby nie dopuszczać nikogo do dawania przedstawień przed ukończonym rokiem trzydziestym życia. Względem tragików obostrzenia tego nie było bo też w tragedyi nikogo nie zaczepiano. Wpływ komedyi mógł być wielce szkodliwy, jeżeli dążność poety była przewrotna. Przynajmniej więc od niedowarzonych i młokosich wybryków zabezpieczyć się chciano i kiedy miała już być wyśmiewana cała społeczność na scenie, to żądano przynajmniej aby mężowie, a nie pacholęta z wolności tej korzystali.

Eupolis uchodzi za jednego z najsławniejszych komików. Dowcip jego wspominają jako szczególnie ja-

dowity i uszczypliwy. Wynalazcą nowych form w sztuce się nie okazał. Dlatego wystarczy więc o nim ta ogólna wiadomość, że sztuk miał napisać w ogóle siedmnaście, z których ocalały zaledwie tylko urywki mało znaczące. Z walk poetyckich wyszedł zwycięzcą siedm razy.

Imię Eupolisa otoczone jest licznem gronem rówienników. Mało nam o nich wiadomo, ale niepoślednie to być musiały dowcipy, kiedy czasem odnosili zwycięstwa nawet nad samym Arystofanesem. Oto imiona najzdolniejszych pomiędzy nimi: Frynichos (nie tragik), Platon (nie filozof), Ferekrates i Leykon. W mniejszym zapewne stopniu zasługują na wzmiankę Filonides, Kalistratos i Arystomenes.

Wszyscy aż dotąd wymienieni komicy, od Kratynosa i jego poprzedników począwszy aż do co tylko wspomnianych, tworzą razem z Arystofanesem oddzielną że tak powiem szkołę w rozwoju komedyi greckiej, to jest szkołę „starszej“ komedyi. Właściwości całej tej szkoły widne są obecnie w samych tylko Arystofanesowych utworach, a to nie tylko z przyczyny, że ze wszystkich robót całego tego grona komików nic się do czasów naszych nie dochowało w całości prócz jedenastu komedyj tego poety, ale jeszcze i przeto, że to pomiędzy nimi wszystkimi prototyp i sam zenit wysokości całego tego rodzaju. Jego komedye uważać zatem należy za istne wzory komiki starożytnej, w jej pierwszym stylu. Liczbę wszystkich komedyj greckich, odegranych w Atenach w ciągu czasu Arystofanesa i przed nim, podają na 365.

Jak tylu innych, tak i Arystofanes łączył w sobie

sztukę poety, aktora i orchestyka. Zawód jego sceniczny trwał lat 40 (od roku 427 do 388). W tym przeciągu czasu dał on na scenę sztuk w ogóle 54, którąto liczbę niektórzy ściągają do trafniejszej zapewne ilości czterdziestu czterech niewątpliwie jego własnych i nieprzerabianych jeden z drugiego utworów. Prócz jedenastu ocalonych, wszystkie te prace przepadły, z wyjątkiem znacznej zresztą liczby fragmentów.

Czas największego rozgłosu tego pisarza, a z nim i wziętości sztuki przezeń pielęgnowanej przypadł, jak widzimy, na dobę, kiedy do przeszłości już należała sława trzech wielkich mistrzów tragedyi, Eschila Sofoklesa i Eurypidesa. Arystofanes był w samej sile wieku swojego, kiedy dziewięćdziesięcioletni Sofokles i kilkanaście lat młodszy od tegoż Eurypides stali u kresu swego działania. Zmarli obaj krótko po sobie w latach 406 i 405 przed nar. Chr.

Rozkwit i pełnia form tragedyi wyprzedziła więc odpowiednie rozwinięcie komiki. Sztuka tragiczna wznosiła się równolegle ze wzrostem moralnych sił społeczności ateńskiej. Najwyższy szczyt w tamtej sferze i najpiękniejsze powodzenie w ostatniej przypadły razem. Inaczej było z komedyą. Jej wyżyny zdobyte zostały poźniej. Epoka Arystofanesa jestto już pora obłędu i upadku ducha narodowego, choć się ten widok poźniej dopiero miał w całej jaskrawości odsłonić. Że zaś w rzeczy samej tak było, o tem wiedział najlepiej pewnie sam już Arystofanes. Jego komedya jestto zapewne wybryk rozkiełznanego dowcipu, szalona farsa, rubaszna satyra, nie mająca

sobie podobnej, w żadnej innej dziedzinie sztuki; lecz zarazem jestto i gorzkie szyderstwo, uderzające całym ciężarem środków sobie właściwych na kał i wyrodność wieku. Jestto dziwna kreacya, gdzie wszystko poprzek się miesza, żal za minioną przeszłością i tęskność jakaś i humor chwilą wzbudzony i lekkie drwiny z opacznego kierunku czasów. Jestto głęboki, rozumny pomysł w szatę błazna i jakby majaczenie szalonego przybrany — coś jakby chichot z całego gardła, w którym wszakże słychać jęk tłumiony i westchnienie do czegoś niedościgłego. To też komedya tego poety odsłania w sobie strony, dla których na cały ten rodzaj starożytnej literatury można patrzeć z poważnego punktu widzenia.

ANTONI MAŁECKI.

KILKA SZCZEGÓŁÓW

TREŚCI SPOŁECZNEJ

ROZEBRANYCH W LISTACH POUFNYCH *).

I.

O PODSTAWIE TEORYI ROZWINIĘTEJ W FIZYOLOGII I SZKOLE POLSKIEJ GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO.

Szanowny Panie Ignacy!

Dziękuję wam bardzo za wasze współczucie. Zadowolenie osób posiadających wyższe wykształcenie, miłujących sprawy narodowe, i umiejących wybierać środki, które wiodą do pomyślności powszechnej, jest dla mnie najwyższą, jedyną, ale i dostateczną nagrodą.

Po kilka godzin dziennie, przez dni kilkanaście spędzanych w towarzystwie waszem, pozostawiły mi

---

*) Autor znakomitego dzieła „Szkoła polska gospodarstwa społecznego" podupadł jak wiadomo, od dwoch już przeszło lat na wzroku tak, że musiał opuścić bióro i zaprzestać dokonania dalszych w tym przedmiocie dzieł pierwotnie na wielki rozmiar zakreślonych. Zamiłowanie atoli w pracy, do której od dzieciństwa nawyknął, nie dozwoliło mu i w tym smutnym stanie, w jakim się obecnie znajduje, pozostać bez umysłowego zajęcia. Postanowił

równie miłe wspomnienie. Życzycie sobie, rozmowy nasze przedłużyć listownie. Zgadzam się na to chętnie; lecz list wasz pierwszy poruszył tyle naraz przedmiotów, że odpowiedzieć na wszystkie razem nie byłbym w stanie: dotknę tedy na wstępie szczegółów, odnoszących się nie do zadań ogólnych, które rozbierać chcecie, lecz bezpośrednio do mnie, a właściwie do prac moich.

Pojęcie d a r m o ś c i nazywacie szczęśliwym pomysłem. Według mnie, darmość świata powszechnego nie jest niczyim pomysłem ani wynalazkiem; ono mogło być tylko odkryciem, lecz zdaje mi się, że i tem nie jest. Ani Bastiat, ani Carrey, ani nikt inny nie miałby prawa przywłaszczenia go sobie; ono nie jest wynalazkiem naukowym, ani wykryciem pewnej prawdy lub pojawów niedostrzeżonych dotąd. Ustawy religijne starożytnej Indyi, Chaldei, Grecyi opierały się w znacznej części na tem wrodzonem poczuciu. Wymagania rzymskich plebejuszów, bunty ludu w średniowiecznych rzeczachpospolitych włoskich, napady chłopów na dwory i majątki większe w Niemczech w czasie reformy Lutra, wszystkie sekty komunistyczne dawne i nowe, a nawet wdzieranie się do lasów

---

więc za pomocą dyktowania wejść w korespondencyę z jednym ze swoich przyjaciół, właścicielem ziemiańskim, pracującym na polu nauk społecznych. Tym sposobem powstał niniejszy szereg listów treści społecznej, które jakkolwiek pierwotnie do druku przeznaczone nie były, zawierają jednak mnóstwo ważnych postrzeżeń, mogących być bardzo pożytecznemi tym, których dobro kraju żywo obchodzi, i nie wahamy się podać je w pismie naszem do wiadomości powszechnej. *Przyp. Red.*

i pastwisk naturalnych, to jest do rzeczy, które są dziełem potęg przyrodzonych, które powstały i istnieją niemal bez udziału pracy ludzkiej, nie inną mają podstawę. Pojęcie to tłumaczy upowszechnione między ludem naszym przysłowie: „Nie było nas, a był las, nie będzie nas, a będzie las.“

Że świat boży istnieje darmo i dla wszystkich, jest jednem z najpowszechniejszych, lubo niedość jeszcze wyrozumowanych przeświadczeń wrodzonych. Jak nieśmiertelność duszy weszła drogą intuicyi w dogmata wszystkich religij, tak darmcść świata bożego wciska się od tylu wieków w prawa i określenia rzeczy społecznych. Tamta nie doznała oporu, bo podała rękę karności doczesnej; ta ustalić się nie może dotąd, bo każde jej zboczenie grozi porządkowi świata ludzkiego. Jej panowanie w naukach ustali oświata rzetelna; powtarzam, w naukach, jako środek tłumaczący wielkie przyrodzone i społeczne pojawy, nie zaś jako podstawa urządzeń ludzkich, bo jej rozwinięcie na tej drodze zagroziłoby przeciwnie istnieniu świata ludzkiego.

Odnośnie do mojej Fizyologii wszechświata, w której powołałem główne i naczelne prawa rządzące światem powszechnym, a z pod panowania których świat ludzki wyłamać się nie mógł, powiadacie, że ilość praw tam przytoczonych jest zbyt szczupłą, że przytoczyćby ich można tysiące, a każdego z nich odbicie napotkać w stosunkach ludzkiego stowarzyszenia. Tak jest rzeczywiście; lecz te praw tysiące są już tylko dalszemi ogniwami pierwszego wielkiego ogniwa; one się pojawiają w nieskończenie różnych kształtach,

tak jak nieskończenie różnemi są ruchy i przeobrażenia wszechświata, którego życie zdaje się niemieć początku i końca. Z pośród tych niezliczonych praw dalszych, a zawsze tych samych, przytoczę tu jedno tylko, będące następstwem praprawa stanowiącego, że wszystko co powstaje, musi przejść pewne przemiany i ustąpić z widowni świata, pozostawiając miejsce nowym istnieniom.

Każde jestestwo, pojedyncze czy zbiorowe, jakiejkolwiek natury, jak niemniej każda potęga wcielona w to jestestwo, nosi w łonie swojem zaród własnego upadku, upadku tem groźniejszego zwykle dla siebie, im siła ich i ich przewaga groźniejszą była dla innych, a to skutkiem wrodzonego popędu nadużywania siebie samej i przygotowywania tym sposobem własnego końca. I tak: w zwykłym rzeczy toku mała liczba ludzi ciemięży dużą, a ciemięży jużto przemocą jawną, już też podstępem. Jeżeli źródłem ciemiężenia jest przemoc, trwanie jej nie może być wiecznem, bo siła ostatecznie leży w liczbie dużej i w niej się raz odezwie; jeżeli leży w podstępie, to trwanie jego jest jeszcze wątpliwszem, bo światło rozpościera się po ziemskiej równinie, a światło rozprasza błędy, przesądy i oszustwa. Takie niemniej koleje przejść musiały, lub przejść jeszcze muszą państwa, które gnane żądzą zaborów utraciły środek ciążenia. Otoż jedno z owych dalszych praw powszechnych, o jakich wspominacie, a które równie jak powołane przezemnie praprawa naczelne, występuje także w łonie świata ludzkiego i w nim rządzi równie jak w świecie powszechnym.

Jak ustęp filozofii Comt'a, który twierdzi, że do wykończenia nauk wszystkich nie dostaje jeszcze fizyka społeczna i ta powstać raz musi, nasunął mi myśl szukania w prawach rządzących wszechświatem praw zasadniczych ludzkiej społeczności, bez pretensyi, by je przyjęto w dziedzinie nauk; tak darmość tworu bożego wprowadziła mnie na odmienną drogę w wykładzie gospodarstwa społecznego. Jej pierwszem następstwem zdawała mi się potrzeba podzielenia wszech rzeczy, zatem wszechświata, wszechistnienia na świat powszechny i na świat ludzki. Dalszem następstwem przyjętej podstawy było wykrycie natury zasobu społecznego, który tu już tylko jako istność niemateryalna mógł się pojawić. Te pierwsze zasadnicze prawdy, przyznaję, są już moim pomysłem. Niewiadomo mi, by kto wpadł był na nie przedtem, lubo odtąd pojawia się na pewnej niepolskiej katedrze wykład ekonomii politycznej, w szczególności zaś tłumaczenie „kapitału", które, jeźli nie więcej to przynajmniej słuszne podejrzenia obudzić we mnie musiało.

Podzielenie wszechrzeczy, wszechświata na świat powszechny i świat ludzki i idący za nim zasób społeczny jako istność niemateryalna, zmienić musiały niezbędnie dalszy tok rozumowań, a tem samem nasunąć odmienne widzenie we wszystkiem, co po nich następuje i co się opiera na tej kardynalnej podstawie nauki całej. Pojęcia: źródło i natura pracy, wymiana, dochody, kredyt, musiały tu w odmiennym nieco pojawić się kształcie, i na odmiennych oprzeć podstawach.

Wreszcie rozwinięcie całego wykładu, wysnutego z powyższego systemu odpowiadającego naszym wrodzonym usposobieniom, szukającym powyżej materyi właściwych człowiekowi potęg i przeznaczeń, a rozwinięcie go na polu naszych spraw rodzimych i o ile możności zgodnie z naturą mowy naszej, która jest odbiciem naszego zapatrywania i sądu, ośmieliły mię do nazwania tej pracy mojej „Szkołą polską.“

Tyle co do części I, którą organizmem społecznym nazwałem; przeznaczeniem części II miał być wykład „Mechanizmu społecznego“. Praca ta nie przyszła do skutku; o niej też nie wspominam nateraz, bo chciałem tylko wytłumaczyć wam w treści zapatrywania moje dotychczasowe. Rozmowę naszą listowną co do części II odłóżmy na czas poźniejszy.

II.

O ROZWINIĘCIU MIĘDZY LUDEM GŁÓWNYCH POJĘĆ EKONOMICZNYCH.

Winien wam jestem dalszy ciąg odpowiedzi na list wasz ostatni, bowiem prócz szczegółów odnoszących się wyłącznie do prac moich, dotknęliście w nim potrzeby kształcenia ludu w rozmaitych kierunkach, a między którymi pomieściliście także gospodarstwo społeczne. Jak we wszystkiem tak i tu zgadzamy się najzupełniej. Zadanie szerzenia oświaty między ludem starałem się rozwinąć w pracach moich ze stanowiska naukowego; tu, ponieważ żądacie tego, dołożę parę

postrzeżeń schodzących niżej i jak gdyby wiodących już do wykonania tej myśli.

Niktby zapewne nie przedsięwziął wykładać ludziom nieprzygotowanym, po większej części nieumiejącym pisać i czytać, wykładać w sposób rozległy i systematyczny nauki gospodarstwa społecznego; wszakże nie idzie zatem, ażeby ludowi temu nie można przyswoić pojęć najgłówniejszych, zlewających się ciągle z jego przeznaczeniem i jego codziennem zajęciem. Usiłowania podobne pojawiają się już od lat wielu we Francyi, Anglii i Niemczech ze szczęśliwym skutkiem. Dla czegoż u nas miałyby być niemożliwemi. Dobra wola i właściwy tryb nauczania, usunąć mogą w znacznej części towarzyszące przedsięwzięciu temu przeszkody.

Gdyby mi powiedziano: wytłumacz tym ludziom zasady gospodarstwa społecznego, obrałbym sobie tylko cztery szczegóły: pracę, naukę, oszczędność i wymianę. Wytłumaczenie ludowi tych czterech szczegółów w sposób jasny i przystępny nie jest niemożliwem, ani nawet, zdaje mi się, bardzo trudnem; zaś szczegóły te raz wytłumaczone tak, żeby ich pojęcie przenieść w jego własne przeświadczenie, rozwiną w nim wiele innych pojęć ubocznych, powstających już samodzielnie i rozjaśniających jego widzenie na całej przestrzeni jego społecznych stosunków.

Człowiek, powiedziałbym mu, czego wreszcie dotknąłem w sposób odmienny w mojej Fizyologii wszechświata, przyszedł na świat nagi, niepokryty sierścią, nieuzbrojony ani rogiem, ani kłem, ani kopytem, ale stwórca zaopatrzył go za to w środek wyższy nierównie

od środków zwierzęcych, bo mu dał rozum, sąd, wolę i uczucie. Gdyby przeznaczeniem człowieka było pędzić życie próżniacze, i nie troszcząc się niczem znaleść się zaopatrzonym we wszystko, stwórca byłby go otoczył szczegółami, których do utrzymania swego życia potrzebuje. Że zaś człowiek sam starać się musi o siebie, i sam zaopatrywać we wszystko, jest to dowodem, że przeznaczeniem jego jest praca, że stwórca chciał, żeby człowiek pracował, a pracował pod kierunkiem rozumu, sądu, woli i uczucia. To przeznaczenie jego nie tylko nie ubliża jego godności, ale przeciwnie na niem opiera się jego wyższość nad zwierzęciem, które nie rozumuje i nie sądzi, które się powoduje instynktem niezależnym od jego woli, przelanym w nie przez stwórcę i o którym ono nawet nie wie.

Człowiek nieposiadający majątku, lub posiadający niewiele, nie pracując, cierpieć musi niedostatek, a nawet podpada niekiedy nędzy. Nędzy towarzyszy zaniedbanie, stan rozpaczliwy wiodący często do występku lub zbrodni, których ostatnim skutkiem są kary, więzienia. Człowiek posiadający majątek, nie pracując, pędzi życie ckliwe, nudzi się, czas mu jest za długim, staje się ciężarem sam sobie, lub szuka rozrywki i pociechy w przyjemnościach urojonych, któremi się wkrótce przesyca, które odnawia i rozszerza w miarę jak dawne zadawalać go przestają, marnuje odziedziczone schedy, i często, zbyt często niestety, podpada także nędzy, pogardzony przez dawnych towarzyszy zepsucia. Los jednego i drugiego jest karą, wymierzoną na nich przez sprawiedliwość

odwieczną za to właśnie, że odstąpili rozmyślnie od przeznaczenia swojego, że spędzili życie w próżniactwie, podczas gdy wolą stwórcy było, by się stali użytecznymi pracą sobie i innym.

Drugim z kolei szczegółem, który starałbym się przyswoić ludowi, byłoby przekonanie o potrzebie jakiej takiej nauki. Zdaje mi się, że do przekonania tego doprowadziłbym go na tej samej jeszcze drodze rozumowań. Ponieważ człowiek nie został zaopatrzony przez stwórcę w żaden prawie ze środków, któremi on obdarzył zwierzęta; a w miejsce tego otrzymał rozum, sąd, uczucie, wolę, już z tego samego wynika niezbędnie, że od ćwiczenia i wydoskonalania tych wrodzonych mu potęg zależy wyłącznie jego własne powodzenie, powodzenie jego rodziny, poważanie i stanowisko pomiędzy ludźmi. Zaniedbywanie tych potęg, tych środków, których zaród nosi w sobie, trzyma go na stanowisku niemal zwierzęcem; zaś do podniesienia się na tej drodze dopomódz mu może jedynie nauka.

By go nie odstraszać wyrazem nauki, którą przedstawia sobie zwykle jako wysokie, rozległe, i uposobienia jego przechodzące zadanie, starałbym mu się wytłumaczyć, że wszystko to, co on już wie, jest także nauką, nabytą bądź własnem, bądź cudzem doświadczeniem; że sposób prowadzenia gospodarstwa, do którego się włożył przy ojcach i sąsiadach, że rozmiary czasu, epoki właściwe rozmaitym czynnościom, środki ich wykonania, ostrożności, których przestrzega, wszystko to jest nauką, nabytą bez xiążek, niemal bez starania się o nią, a dla tego wła-

śnie jest ona niedostateczną, i tem niedostateczniejszą się staje, im świat dalej postępuje naprzód, że ją nabył tylko przypadkowo, i nie starając się o nią.

Ponieważ nie ulega wątpliwości, że działanie przez zmysły, zatem uzmysłowienie szczegółów, które chcemy przyswoić ludowi nieprzygotowanemu do rozumowań oderwanych, jest najpewniejszym, jeżeli nie jedynym środkiem dojścia do celu tego, rozumowania moje przeto wspierałbym anegdotami historycznemi, ale nie zmyślonemi. Na tem miejscu n. p. opowiedziałbym, że jeden z największych mocarzów wieków dawnych, ale już chrześciańskich, Karol nazwany też Wielkim, zwykł był dzielić swój czas dzienny między trzy zatrudnienia: pierwszą część poświęcał sprawom rządzenia; drugą swojemu gospodarstwu, wysyłając na targ kury, jaja, masło ze swego folwarku, królowie bowiem w owych czasach utrzymywali się z majątków swoich jak inni obywatele; ostatnią część dnia poświęcał przesłuchaniu zażaleń i sądzeniu sporów, siedząc w ogrodzie pod starą lipą. W czasach owych nie znano jeszcze zegarów: zapalał on przeto z rana świecę woskową, podzieloną na trzy części, która dzieląc mu dzień na troje, kończyła się palić wieczorem. Jak ten sposób wymierzania sprawiedliwości, bez dokładnego zgłębienia rzeczy, w niczem już niepodobny do sądownictwa, jakie obecnie posiadają narody rządzone sumiennie, tak podział czasu za pomocą świecy, są znamieniem niskiej podówczas oświaty. Są rzeczy, które dziś posiadają zamożniejsi włościanie, a o które pokusić się nie mogli

dawni panowie: są to jeszcze skutki postępujących ciągle nauk.

Jak za próżniactwem i zaniedbaniem idą niedostatek i pogarda, tak pracy, zapobiegliwości i pewnego rozumu ile tyle wyższego od innych, następstwem jest przeciwnie dobry byt, spokój, zadowolenie wewnętrzne i poważanie między sąsiadami. Do czego dochodzą niektórzy, znajdujący się w tych samych stosunkach majątkowych i społecznych, do tego dojść może każdy mający silną wolę, czerstwe zdrowie i niezepsuty jeszcze tryb życia.

Nie łatwą zapewne jest rzeczą, oświecić się i przy pomocy tej oświaty wznieść się materyalnie i moralnie ponad obecne stanowisko swoje ludziom będącym już w wieku dojrzałym i nieprzygotowanym do tego z lat młodych, lubo nie jest niemożliwą w pewnych rozmiarach; dla tego też starałbym się szczególnie skłonić ojców rodzin, dopomagając im sam na tej drodze o ile możności, do posyłania dzieci swoich do szkółek i wynagradzania odznaczających się pilnością xiążeczkami rozwijającemi zawczasu ich młodociany umysł skłonny do przyjęcia złego i dobrego. Lecz ten ostatni szczegół wprowadziłby nas już w inny przedmiot, o którym pomówimy może przy innej sposobności.

Teraz słów kilka o oszczędności. Jednem z głównych znamion zepsucia jest psucie, to jest, marnowanie, marnotrawienie, zatem spotrzebowywanie bez rzeczywistej potrzeby rzeczy, które można przechować lub użyć korzystnie. Słyszymy często mówiących: pocóż mam zbierać, nie zabiorę z sobą na tamten świat,

ja nic lub mało co otrzymałem, niech dzieci moje radzą sobie, jak ja sobie radziłem. Co do obowiązku zaopatrzenia o ile możności potomków swoich, poczucia tego nikt tak łatwo w ludzie naszym obudzićby nie mógł, jak duchowni, stykający się z nim ciągle i bezpośrednio, a mający obowiązek czuwania nad jego stroną moralną. Co do uwagi, że nie zabierze z sobą tego co zbierze, nietrudno, zdaje mi się, byłoby przekonać go, że gdyby wszyscy tak samo myśleli, każdy z nich znalazłby się w świecie bożym jak człowiek dziki w dzikiej puszczy. Gdyby każdy stawiał chałupę tylko na czas trwania swego życia; gdyby nikt nie zostawiał po sobie ani siekiery, ani pługa, ani wozu; gdyby ci gospodarze, co umierają w roku bieżącym, nie zasiali byli łanów w jesieni; gdyby każdy spostrzebował wszystko zboże, które zbiera nie zostawiając na zasiew, lub sprzedawał wszystko miastom na spotrzebowanie; cożby się stało z tymi, którzy nie umierają jeszcze w roku bieżącym? Gdzieżby zamieszkali i jakżeby uprawili swoje pola? A czyż te domy, pługi, zasiewy, szkoły, gościńce, nie są oszczędnością, którą pozostawiają po sobie jedni drugim? Niejeden biedak zakończyłby życie jak zwierzę pod płotem, gdyby nie szpitale, które są także dziełem oszczędności przodków naszych. Im większa jest pracowitość, tem większa chęć nabycia nauki; z nauką w parze idzie moralność, a następstwem właśnie pracy, nauki i moralności jest oszczędność. Cnoty te, a są to wielkie cnoty w każdym człowieku, rodzą zadowolenie wewnętrzne, podnoszą byt, stanowisko i poważanie, będące nagrodą już w życiu

doczesnem za sumienne wykonanie ziemskiego przeznaczenia człowieka.

Czwartym i ostatnim szczegółem, z którym starałbym się oswoić lud wiejski na polu gospodarstwa społecznego, jest wymiana. Tu przede wszystkiem starałbym się go przekonać, że gdyby każdy człowiek zaopatrywał się sam we wszystko, czego potrzebuje, wszystkie jego potrzeby byłyby niedostatecznie i źle zaopatrzone; gdyby każdy włościanin sam sobie sporządzać musiał wóz, pług, chałupę, siekierę, kożuch, buty, czas jego nie wystarczyłby mu, a to coby sporządził, często nawet użyćby się nie dało, bo nikt nie może nabyć wprawy we wszystkiem, i wystarczyć wszystkiemu. Rolnik wymieniając swoje zboże na te przedmioty, czyli sprzedając zboże, by kupić inne potrzebne mu szczegóły, zyskuje na tych, którzy mu je dostarczają, równie jak tamci zyskują na nim, który im dostarcza zboża. Weźmy jeden przykład: gdyby wieśniak chciał sam sobie uszyć buty, musiałby najprzód stracić, dajmy na to, dzień czasu, by pójść do miasta po skórę. Robota jego trwałaby około dni trzech, i niewątpliwie byłaby lichą. Szewc nie chodzi po skórę na każdy but osobno; on je wygotuje za dni dwa, a robota jego będzie wykończoną. Jeżeli wieśniak płacąc za buty, zwraca naprzód to, co kosztowała skóra, a następnie wartość roboty za dni cztery, które byłby zmarnował szyjąc je sam sobie, wieśniak ten nie wydaje więcej od tego, co byłby wydał w tym razie, zyskuje zaś najprzód dokładność roboty, a następnie czas, który byłby przyniósł uszczerbek jego rolniczym zajęciom. Szewc dostarczający bu-

tów gotowych, zyskuje także na rolniku, otrzymując gotowe zboże, które tylko z uszczerbkiem swego głównego zajęcia mógłby był sam zasiewać i zbierać. Jak między szewcem i rolnikiem, tak między wszystkimi członkami społeczności zachodzi ten sam stosunek: wszyscy są użyteczni wszystkim, a tem właśnie ludzkość różni się od trzody zwierząt.

Przyswojeniu ludowi prawd zasadniczych gospodarstwa społecznego, tak jak upowszechnieniu pomiędzy nim zasad moralności, stoją głównie na zawadzie złe nałogi i przesądy. Złe nałogi wyprzeć można tylko nałogami dobrymi, a na czele ich stawiam te, których dotknąłem powyżej; zaś z pomiędzy licznych przesądów, może najzgubniejszym jest wiara w przeznaczenie. Nie jestem teologiem, zatem nie mam prawa rozstrzygać, czy i o ile wiara w przeznaczenie zgadza się z nauką chrześciańską; wiara ta przecież jest upowszechnioną w całym naszym ludzie, a często sięga nawet klas wyższych, przyznających się do pewnego wykształcenia. „Czemuście nie ratowali dziecięcia waszego?“ — „Miało umrzeć, to umarło“, odpowie niemal każda wieśniaczka. „Zmiłujcie się ludzie“, wołałem nieraz będąc na wsi podczas cholery, „nie używajcie grzybów, owoców, ogórków“. — „Kto ma umrzeć, mój panie! to umrze, choćby jadł samą aptekę“. — „Usiądźcież pod płotem, odrzekłem, i czekajcie, aż was ktoś zaniesie do domu“. — „Żebyś pan wiedział, że się znajdę w domu, jeśli jest przeznaczone, żebym w domu nocował“.

Jeżeli wiara w przeznaczenie nie zgadza się z religią chrześciańską, nic łatwiejszego dla duchownych,

jak wyprowadzić lud nasz z tego obłędu; to jego przekonanie jest przekonaniem religijnem, a błędy religijne usunąć można tylko czystym wykładem religii prawdziwej; jeżeli przeciwnie mahometańskie przeznaczenie idzie w parze z nauką chrześciańską, w tym razie tylko oświata wyższa i przyswojenie ludowi prawd dotkniętych powyżej urobić w nim mogą sąd własny, wytykający granicę, poza którą ustaje przeznaczenie; zatem oddzielenie tego, czego człowiek skutkiem praw odwiecznych uniknąć nie może, od tego co jest, a przynajmniej być powinno następstwem jego rozumu, sądu, uczucia, woli i sumienia, potęg, któremi go stwórca obdarzył właśnie dla tego, iżby był samoistnym, i nie zdawał na opatrzność rzeczy, które ona pozostawiła jego osobistej staranności.

Wspomniałem dopiero o złych nałogach. Nie waham się twierdzić, że te niemal przeważnie wynikają z braku poczucia godności człowieczej, wady może najwięcej upowszechnionej pomiędzy ludem naszym. Brak tego poczucia obok niedostatku, a przynajmniej nieobfitości sprawia, że niemal wszystkie usiłowania jego skierowane są ku n a b y c i u. Pomiędzy środkami wiodącymi do nabycia, czy nimi są kradzież, podstęp, spodlenie, wybiera on o tyle tylko, o ile który z nich łatwiej da się przystosować i mniejszem grozi niebezpieczeństwem. Kary spadające za występki, a mówię tu o niektórych szczególniej okolicach, bo krzywdziłbym lud nasz, gdybym miał na myśli cały, o tyle powstrzymują go od występku, o ile ich następstwem jest ból lub głód, więzienie lub kara cielesna.

Jeżeli nie jest niepodobną rzeczą zniszczyć a przynajmniej osłabić w nim mahometańską wiarę w przeznaczenie zagnieżdżoną najsilniej, bo uczuciem lubo źle zrozumianej religii, to nierównie łatwiejszem byłoby zadaniem, wydźwignąć go z kału upodlenia, w czem już samo wychowanie pierwsze zapuszcza w serce młodociane głębokie korzenie. Każdy człowiek w swoim duchowym organizmie nosi zarody pewnej dumy i ściśle z nią złączonej zarozumiałości: pokierowanie tych dwoch uczuć stanowi o jego dalszem życiu. I w rzeczy samej, nie pojmuję, by nie można wlać w ludzi młodych przeświadczenia, że człowiek stworzony na obraz i podobieństwo boże mieć powinien prócz czucia uczucie, że w nim jest coś wyższego od mięsa i skóry. Mówię o ludziach młodych, bo wierzę słowom waszym, że nałogów zbyt zagnieżdżonych w wieku poźniejszym wytępić nikt już nie zdoła; wierzę im, bo się opierają na zdaniu wielkiego starożytności filozofa, który powiedział: że ludzie wymierają, ale się nie zmieniają.

O oszczędności, uważanej z innego stanowiska, o której także nadmieniacie, pomówimy w liście następnym.

III.

POWSZECHNA OSZCZĘDNOŚĆ W NARODZIE.

Dotknęliśmy oba oszczędności w naszych poprzednich listach: wy mówiliście ze stanowiska ogólnego, ja o tyle tylko nadmieniłem o niej, o ile koniecznem

mi się zdawało przedstawić i wytłumaczyć jej ważność ludowi. Czyniąc zadość życzeniu waszemu, dołożę tu jeszcze kilka uwag, odnoszących się do oszczędności w obszerniejszym zakresie.

Oszczędność i marnotrawstwo, przedstawiające dwa przeciwne bieguny pojawów tej samej natury, tak ściśle łączą się z sobą co do pojęć, że niepodobieństwem jest prawie mówić o jednem, nie tykając drugiego: dla tego też chcąc uwydatnić naturę oszczędności, zestawić ją tu musimy z marnotrawstwem.

Rozmaite są pojęcia oszczędności i rozmaite nakreślamy jej granice. Oszczędność jest rzeczą względną: to co jest oszczędnością u jednych, stałoby się marnotrawstwem u drugich; dla tego też, jeżeli jest niepodobieństwem oznaczyć jej granic stałych, to przynajmniej nie jest niemożliwem, utworzyć sobie o niej zdrowe pojęcie. Temu zdrowemu pojęciu stają na zawadzie niekiedy wbrew przeciwne przekonania i nauki.

Ojciec rodziny radby przelał w dzieci swoje pracowitość, porządek, oględność, myśl o przyszłości; zgodnie z temi usiłowaniami, na nieszczęście niedość upowszechnionemi pośród nas, wszystkie religie wynoszą skromność i powściągliwość, powstają przeciw zbytkom i okazałościom. Jakże dziwacznemi obok tego wydają się przekonania, więcej może jeszcze upowszechnione od tamtych, jakoby oszczędność rządowa i prywatna u osób zamożnych osuszała życie klas niższych; jakoby okazałości i zbytki marnotrawnych bogaczów były źródłem pomyślności ludzi żyjących z pracy; jakoby wreszcie rozrzutność jednych wzbogacała drugich.

Jakże uderzającą jest sprzeczność tych dwoch twier-

dzeń czyli przekonań, sprzeczność pomiędzy postępowaniem ojców rodziny i nauką religii, które się opierają na moralności, a tymi, których stroną widzenia są rzeczy społeczne.

Przekonanie najwięcej upowszechnione, nawet pomiędzy ludźmi wykształconymi zkąd-inąd, jakoby hojnie czynione wydatki przyczyniały się do pomyślności ludzi trudniących się kupiectwem i rękodzielnictwem, przez to, że wydatki te puszczają w obieg wielką ilość pieniędzy, opiera się tu, jak w wielu innych błędnych widzeniach, na niedokładnem a nawet zwichniętem zrozumieniu przeznaczenia pieniędzy i usług, jakie one świadczą.

Kogo to, co powiedziałem o pieniądzach i dane o nich wyjaśnienia w wykładzie ogólnym gospodarstwa społecznego, zdołały wydobyć z błędnego o nich sądu, ten już wie, że pieniądze są jedynie gościńcem, jak to wyraził Adam Smith, lub wozem, podług mojego porównania, przy pomocy którego wartości społeczne przechodzą z miejsca na miejsce, zatem z rąk do rąk. Z tej niezaprzeczonej prawdy wynika, że kto wydaje wiele pieniędzy na zakupywanie przedmiotów zbytkowych, na okazałości, na podróże bez celu, drogie wina, wykwintne przysmaki, konie zbytkowe itp. uprzyjemnienia nieodpowiadające wyższym człowieka usposobieniom, ten właściwie wydaje w i e l e nie pieniędzy, lecz tych przedmiotów, które zbył, by dojść do posiadania pieniędzy. Jeżeli marnotrawca, którego tu przypuszczamy, jest właścicielem ziemiańskim, wydaje on na swoje uczty, powozy, przejażdżki, przedmioty, których mu majętność jego dostarcza, jakoto: zboże, wyskok, drzewo, bydło i inne płody lub wy-

roby; gdy bowiem, o czem nikt nie wątpi, jego kosztowne cygara, szampańskie wina i tym podobne rzeczy znikły zupełnie i bez skutku, zostały zatem zmarnowane; jestto to samo, jak gdyby był zmarnował i zniszczył bez skutku wyskok, drzewo lub zboże. Natura zniszczonych przedmiotów nie czyni różnicy w ogólnym ubytku wartości społecznych, a pieniądze, które wymieniły jedne na drugie, które były wozem przewożącym cygara i wina z tamtąd tu, zaś ztąd tam wyskok i zboże, nie zastąpiły miejsca wartości ubyłych, bo już istniały pierwej i bez względu na nie. Rozszerzając coraz dalej zniszczenia podobne, czyli upowszechniając marnotrawstwo w narodzie całym, doszlibyśmy stopniowo do wyniszczenia wszystkich wartości społecznych prócz pieniędzy: pozostałyby nam jedynie wozy, którymi nie byłoby już nic do przewożenia.

Na przeciwnym biegunie marnotrawstwa pojawia się oszczędność. Jak dla marnotrawcy, tak dla człowieka oszczędnego pieniądze są środkiem a nie celem, bo one nie karmią, nie odziewają i nie grzeją; powiedziałem na innem miejscu: człowiek oszczędny nie zatrzyma ich także; on je także puści w obieg, lecz coż za różnica w odleglejszych skutkach między sposobami ich użycia tu i tam.

Człowiek oszczędny unika wydatków niepotrzebnych, zadowalających jedynie namiętności, dumę i złe nałogi; a jeżeli dochody jego przewyższają jego potrzeby rzeczywiste, on nie zatrzyma w domu tej przewyżki dochodów nad wydatkami: on oszczędzonych pieniędzy użyje na podniesienie swojego rolnictwa,

na ocieki, zwilżania, budowle, młyny, tartaki; on weźmie udział w przedsiębiorstwach przemysłowych, jakie podnieść zamierzą ludzie wykształceni specyalnie a nieposiadający majątków; on cząstkę ich użyje na wsparcie nauk wyższych lub oświaty ludowej. Jak z rąk marnotrawcy tak z rąk człowieka oszczędnego wychodzące pieniądze rozejdą się pomiędzy ludźmi i te same tu i tam czynić będą dalej posługi. Lecz podczas gdy dochody marnotrawcy znikły z owsem jego koni, wyszumiały z szampanem, poszły z dymem drogich cygarów i ze zdrowiem ucztujących; dochody oszczędnego utkwiły w ziemi rodzinnej, pomnożyły zasób społeczny, wlały nowe siły w zbiorowe życie narodu. Starość marnotrawcy przygniotą ckliwość, przesycenie, tęsknota, a niekiedy niedostatek i wyrzuty sumienia; oszczędny, powtórzyć tu możemy, oddycha do ostatniej chwili piersią pełną pokoju i zadowolenia, bo życiu jego towarzyszy szacunek powszechny, a pamięć jego otoczy wdzięczność potomnych.

Oszczędność nie jest skąpstwem; ona nie wymaga nawet wielkich poświęceń, odmówienia sobie tego, do czego człowiek nawykł rozsądny, co się stało jego potrzebą, co mieć może. Nie ludzie gromadzący tu i owdzie z przesadzonym uporem, lecz oszczędności drobne, ale powszechne, podnoszą ogólny byt narodu, bo równocześnie i na całej jego przestrzeni. „Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka“, „Krok do kroku, a przejdziesz świat do roku“, niosą nasze dawne przysłowia. Mieszkam od lat dwudziestu w jednym i tym samym domu. Przechadzałem się z xiążką w ręku w ogrodzie należącym do niego zwykle dwie godziny zrana

i dwie nad wieczorem, od wczesnej wiosny do poźnej jesieni, a nawet w piękne dnie zimowe. Dla zaokrąglenia rachunku przyjmuję tu dni 150 do roku; ponieważ zaś zwykłym moim chodem przebywam pół mili na godzinę, przechadzając się zatem w ten sposób przez lat ośmnaście, przebyłem w ogóle 5400 mil, które wyprostowawszy byłbym mógł obejść całą kulę ziemską, a prócz tego zwiedzić wszystkie główniejsze miasta europejskie.

Jak małoznaczące pojedyncze kroki połączone razem tworzą ogromne przestrzenie, tak drobne oszczędności pojedynczych kraju obywateli zasilają szybko i potęgują zbiorowy zasób narodu.

Przypuśćmy, że już we wszystkich gminach naszych istnieją szkółki ludowe. Kraina nasza obejmuje około pięć milionów ludności. Licząc na dwadzieścia osób wszelkiego stanu, wieku i płci jednego gospodarza, bądź rolnika, bądź przemysłowca, ilość tych naczelników rodzin uczyniłaby 250.000. Zobowiązawszy tych ludzi, już to przez wpływy religijne ze strony duchowieństwa, już też uwagami pochodzącemi od osób stojących powyżej nich wykształceniem, do wstrzymania się przez dwa dni ostatnie wielkiego postu od wódki i piwa, któremi zwykle tak hojnie zastępują mięsne i nabiałowe strawy, i do złożenia oszczędzonego w ten sposób grosza na wynagradzanie dzieci odznaczających się w szkołach gminnych, jakże silnie ten środek przyczyniłby się z jednej strony do zachęcenia uczniów wiejskich, z drugiej do powstrzymania starych od marnotrawstwa i pijatyki, do wzbudzenia w nich pewnej woli, pewnego postanowienia.

Dajmy, że grosz oszczędzony w ten sposób wynosiłby tylko dziesięć centów. Dziesięć centów złożone corocznie w wielki piątek na tacy przygotowanej na ten cel przed grobem pańskim, uczyniłyby w całej krainie naszej 25 tysięcy guldenów rocznie. Dajmy jeszcze, że xiążeczka trzydziestoćwiartkowa z drzeworytami, co uważałbym za konieczne, którąby na nagrody umyślnie przygotowano, obejmująca nauki religijne, moralne, i wiadomości przystępne dziecięcemu umysłowi, kosztowała piętnaście centów, co nie jest trudnem, w tym razie rozesłanoby corocznie pomiędzy dzieci odznaczające się moralnością i pilnością przeszło 160.000 exemplarzy. Coż za ogromny skutek obok tak małego poświęcenia!

Mówiliście mi, przypominam sobie, że wynagradzanie dzieci xiążkami w obecnym stanie pojęć ludowych, nie przyniosłoby pożądanego skutku, nie byłoby dostatecznym bodźcem i zachętą. Nie chcę w tej mierze upierać się przy mojem: znacie lud wiejski lepiej odemnie, dla tego też zdrowiej niż ja sądzić o tem możecie. Jeżeli tak jest, możnaby przez czas jakiś, powtarzam przez czas jakiś tylko, bo nagradzanie młodzieży szkolnej w inny sposób jak xiążką, nie odpowiedziałoby wznioślejszym celom jej wychowania, nagradzać ją czem innem, n. p. honorowym ubiorem, kurtką chłopca, gorsecikiem dziewczynę, sporządzonemi kształtnie i z gustem, bez odstępowania od narodowych, a nawet miejscowych ubiorów. Dochód powyższy wystarczyłby, biorąc za podstawę wartość mundurów wojskowych, na jeden ubior rok w rok co czwarta gmina, czyli na każdą gminę co

czwarty rok. Ten sposób odznaczania uczniów pilnych ustaćby musiał, skoroby uczniowie ci, stawszy się sami gospodarzami, czuli już bez wpływu zewnętrznego, potrzebę kształcenia dzieci swoich.

Środki zachęty, o których tu marzymy oba, dałyby się podnieść znacznie wyżej, gdyby do tego bratniego podatku wciągnąć także można stany wyższe, często nie o wiele wyższe, a częściej jeszcze trudniejsze od tamtych do ofiar na cele użyteczności powszechnej.

Dwaj z moich bliskich znajomych poczynili byli sobie, nie wiedząc jeden o drugim, postanowienie niepalenia tytoniu i cygarów przez czas wielkiego postu, i takowe zachowują od lat już wielu. Ofiary tej nie śmiałbym nawet zaproponować wszystkim zwolennikom turczyna i kabanosów; ale zamknąwszy się w skromniejszych ramach, nie wahałbym się powiedzieć im: Panowie, zróbcie jedno maleńkie, a przecież bardzo ludzkie i wielce narodowe poświęcenie; wstrzymajcie się od cygarów przez siedm piątków wielkiego postu, a grosz oszczędzony tym sposobem przeznaczcie na te same jeszcze cele.

Chcecież wiedzieć, wieleby to uczyniło? Galicya spotrzebuje rocznie, nie licząc tytoniów, bo te palą po większej części ludzie stojący poza tymi, do których odnosi się apostrofa powyższa, około 63 milionów sztuk samych cygarów wszelkiego rodzaju za sumę, wynoszącą 1,300.000 guldenów. Odtrąciwszy od tego ¼ na cygara spalone także przez ludzi obojętnych, których przeto w obrachunku naszym pominąć musimy, pozostaje kwota zaokrąglona 1,000.000 gul-

denów spalonych rocznie w cygarach przez osoby, które do obowiązków obywatelskich poczuwać się powinny. Jeden milion rocznie przedstawia dziennie 2.739 guldenów; zaczem powstrzymanie się od palenia cygarów przez siedm piątków wielkiego postu uczyniłoby przeszło 19.000, któreby przybyły do funduszu przeznaczonego na zachęcenie dzieci do nauki.

Dochód powyższy możnaby podnieść w czwórnasób, a nawet i więcej, podciągając pod te same dobrowolne ograniczenia inne jeszcze wydatki, które idą zwykle za daleko i niekorzystne na zdrowiu pozostawiają skutki. Tak n. p. o ileż więcej uczyniłaby co dziesiąta, a choćby co dwudziesta butelka wina lub araku, którą wypróżniamy po wsiach i po miastach w czasie świąt i zabaw zapustnych, tudzież przy umyślnie wyszukiwanych uroczystościach imienin i urodzin jejmości i jegomości i wszystkich dzieci, począwszy od najstarszej córki na wydaniu, aż do trzechletniego bachorka, który nie wie o imieninach swoich i spi spokojnie, podczas gdy proszeni biesiadnicy za zdrowie jego serdecznie wychylają szklanki.

Jeżeli gdzie, to u nas ofiary te tak łatwe i tak małe są trudniejszemi do wykonania niż wielkie, przez to właśnie, że są łatwe i małe. Leży to w naszem plemiennem usposobieniu, które tak szczęśliwie określił Wielogłowski w „Ognisku“ swojem, podobno w styczniu 1861.

Jak gdyby na poparcie słów Wielogłowskiego jeden z sąsiadów waszych, nie lubiący z zasady xiążek i nauk, powiedziałby tu zapewne zwyczajem swoim o projekcie naszym: to teorya. Zapewne,

wszystko jest teoryą, pokąd nie przejdzie w wykonanie. Gdybym miał stanowisko i wpływy, zawiązałbym towarzystwo z kilkudziesięciu, a choćby w początkach tylko z kilkunastu osób podzielających nasze widzenia i chęci. Towarzystwo to szczupłe zrazu, zapuszczając korzenie w różnych częściach kraju, doprowadziłoby stopniowo do skutku myśl powyższą, a może inną, lepszą od niej, te same cele mającą *Gutta lapidem cavat.*

Gdy myślę o podobnych stowarzyszeniach i usiłowaniach, nasuwają mi się mimowolnie i zawsze. myśli smętne i powątpiewające, bo usposobienia do podobnych usiłowań nie dostrzegam w naszej, tak zwanej „wyższej“ młodzieży, w synach naszych zamożniejszych właścicieli ziemiańskich. Pozwólcie mi list mój zakończyć odnośnie do tej młodzieży postrzeżeniem odpowiadającem zupełnie temu, jakiem zakończyłem list mój poprzedni, odnośnie do naszego ludu.

Lud żyjący, jeżeli nie w niedostatku, to przynajmniej w nieobfitości, myśli przeważnie o n a b y c i u; zamożniejsza młodzież nasza, żyjąca w dostatku i obfitości, myśli wyłącznie o uciechach, używaniu, przyjemnościach, rozkoszach; a jak tamten powstrzymuje się od występku o tyle, o ile następstwem jego jest głód i ból; tak ta powstrzymuje się od złych czynów o tyle, o ile ich następstwem jest niesława i pogarda. Głos sumienia milczy tu i tam; tam przez brak wychowania, tu przez złe wychowanie. Honor płynący z przeświadczenia wewnętrznego nie istnieje dla jednych i dla drugich: lud nasz nie słyszał o nim

nigdy; znaczna część naszej młodzieży „wyższej“ zna go głównie przy kartach i w pojedynkach. Honor ten przebacza zarwanie praczki i oberzysty, ale nie przebacza długów karcianych.

Z opowiadania ludzi wiarogodnych znam wielu z pośród tej „złotej i lwiej“ młodzieży, którzy bawią w mieście naszem zasilani przez ojców obfitym dochodem, by uczęszczali na uniwersytet jako „amatorowie“, lub co lepiej jeszcze, by nabierali politury w politurowanych salonach. Panicze ci znają więcej zakamarek, z których ronty wypędzają nocnych hulaków, niż salonów, gdzie kształcić się mieli; oni zaledwie wiedzą, gdzie jest wszechnica, ale znają wszystkie wszetecznice. Wiecież, co jest przyczyną złego? Oto wychowanie domowe, pieszczoty matek i przesadzona ojców hojność.

Wprawdzie między synami majętnych właścicieli ziemiańskich znam wielu moralnych, pracowitych, narodowych, wykształconych. Chcę nawet wierzyć, że ich jest więcej. Tę zacną młodzież cenię tem wyżej, że nie uległa ponętom rwącego prądu zepsucia. Nie sądźcie jednak, by określenie powyższe było zmyśleniem a nawet przesadą; mógłbym wam wymienić z imion i z nazwisk tych przyszłych kraju obywateli marnujących po paręset guldenów miesięcznie z pracy ojców swoich i podpisujących wexle po 500 za 100 na rachunek schedy, jaka na nich spadnie, gdy ojców ich pan Bóg zabierze raz do chwały swojej. Pomiędzy nimi znaleźlibyście synów waszych sąsiadów. Wskażę wam ich kiedy ustnie, bo *verba volant*, *scripta manent*.

IV.

ZAMOŻNOŚĆ A PIENIĄDZE.

W odpowiedzi na mój list przeszły, gdzie mówiąc o oszczędności, wspomnieć musiałem o przeznaczeniu i usługach pieniędzy, powiadacie, że o przedmiocie tym można mówić nieskończenie. Nic prawdziwszego: widzimy to w ogromnem dziele Chevalliera, poświęconem wyłącznie rzeczy o pieniądzach, a które przecież nie wyczerpało jej w zupełności. Czyniąc zadość życzeniu waszemu, przesyłam wam dziś kilka jeszcze uwag w tej mierze, prosząc o wzajemność i zdanie wasze.

Jeden z naszych głębokich polityków, ekonomistów i doktrynerów widząc, jak żony i córki bogatych Izraelitów panoszących się marnotrawstwem, próżniactwem i nieuctwem jego zacnych towarzyszów i krewnych, przechadzają się dumnie po ogrodach publicznych pokryte jedwabiem, axamitem i złotem, zatrzymał się i z właściwą sobie powagą wyrzekł do otaczających go i wierzących w niego nieuków: „Wielkie to jeszcze szczęście dla narodu naszego, że znaczna część pieniędzy, które żydzi wyduszają na nas, rozchodzi się napowrót pomiędzy ludzi przez te nader kosztowne i ciągle świeże stroje żydówek“. — „Ach to prawda, ach prawda,“ zawołali wielbiciele tego mentora, „coż za bystre postrzeżenie!“

Przechodząc obok nich z moimi towarzyszami nie mogłem się wstrzymać od uśmiechu i odrzekłem: Przypuśćmy naród, któryby zaspakajając sam wszystkie swoje potrzeby, postanowił dla ułatwienia obiegu

pieniędzy, jak niemniej dla podniesienia odbytu swoim rękodzielniom palić corocznie połowę wyrobów wszelakich. Rękodzielnie nabiorą nowego życia, one wyrabiać będą w dwójnasób więcej; podwójna ilość robotników znajdzie w nich zajęcie; połowa zboża, która uszła pożaru, podniesie się w cenie może o połowę, a może i więcej. Przypuszczeniom powyższym nie dostaje zdrowego pojęcia. Wszakże wszystko, co naród ten posiada w danej chwili równe będzie wartości wszystkich posiadanych przez niego pieniędzy, a to równie po dokonanem spaleniu, jak było przed spaleniem; zaczem, gdyby sporządzono inwentarz wszystkich znajdujących się w tym narodzie przedmiotów i oznaczono je obecną ceną pieniężną, inwentarz ten przedstawiałby tę samą ogólną kwotę, do jakiej byłby doprowadził inwentarz dawniejszy sporządzony przed pożarem.

Jakiż ostatecznie byłby skutek tej wielkiej ekonomicznej operacyi? Wyjąwszy urzędników i ludzi żyjących z odsetek oznaczonych pieniędzmi, wszyscy inni członkowie tej społeczności uważani odrębnie i pojedynczo, znaleźliby się pod względem cen targowych niemal w tem samem położeniu, w jakiem byli dawniej: kupując drożej obce, sprzedawaliby drożej własne. Mówię niemal w tem samem położeniu, bo narastanie ceny nie mogłoby być zupełnie równem we wszystkich przedmiotach. Lecz ponieważ mieniem narodu ostatecznie nie są pieniądze, lecz przedmioty zaspakajające jego potrzeby, naród ten przeto posiadając tę samą ilość pieniędzy co dawniej, znalazłby się przecież o połowę uboższym w suknach, w płótnie, w xiążkach, w muzeach, w chlebie, w mięsie,

narzędziach, skórach, słowem we wszystkiem, co pośrednio lub bezpośrednio podnosi, uprzyjemnia i uzacnia jego istnienie; zaczem dalej, połowa jego wyrobów i płodów, która nie istnieje a byłaby istniała, uszczupliłaby o połowę mienie, wygody, przyjemności, a nawet wykształcenie wszystkich członków tej społeczności, lub co gorsza, przyciągnięta gwałtem przez osoby i rodziny silniejsze, pozostawiłaby najliczniejsze narodu tego warstwy w zupełnem zaniedbaniu, w grubej ciemnocie i w nędzy.

„Alež“, odezwał się ktoś, „te najliczniejsze a najuboższe warstwy narodu, ci drobni rzemieślnicy, parobcy, posługacze itp. otrzymując dwa razy wyższą zapłatę, znajdą się równie jak inne w możności zakupowania przedmiotów, których potrzebują“. — Nie, moi panowie: żadna zapłata i żadna obfitość pieniędzy nie zastąpi użyteczności prawdziwych; możniejsi wyprzedzą słabszych, żadna sztuka na świecie nie potrafi rozdzielić pomiędzy wszystkich i w tych samych częściach jak przedtem, przedmiotów, których ogólna suma przedstawia się o połowę mniejszą.

Przypuśćmy dwa kraje: mieszkańcy jednego są w ogóle wykształceni, a tem samem moralni, oszczędni i pracowici; mieszkańcy drugiego zapoźnieni w oświacie i zaniedbani, nie posiadają tych cnót domowych i publicznych. Skutkiem tej różnicy w ich cywilizacyi pierwszy z tych krajów posiadać będzie wszystkich przedmiotów, zaspakajających potrzeby zwykłe i wyższe, fizyczne i moralne, nierównie więcej niż drugi; dajmy, dwa razy tyle. Jeżeli ilość pieniędzy w obu tych krajach jest taka sama, co łatwo

być może, w tym razie pieniądze stosunkowo do innych przedmiotów będą dwa razy tańsze w tym ostatnim kraju, to jest w kraju mniej oświeconym; zaczem też przy kupnach i sprzedażach pójdzie ich tu dwa razy tyle, co w kraju obfitującym w szczegóły innej natury; zaczem jeszcze, w kraju tamtym nietylko wszystko będzie dwa razy tańszem, ale nadto w ogólnym rozdziale użyteczności pomiędzy ludność, każdego z przedmiotów użytecznych przypadnie na każdą osobę dwa razy tyle, co w kraju sąsiednim.

Mówiąc o taniości i drożyznie, nadmienić jeszcze wypada, że jak taniość tak drożyzna powstać mogą pod wpływem dwoch różnych stosunków: przedmioty wszelkie drożeją, gdy ich zaczyna niedostawać; one drożeją także, gdy się wzmaga ich poszukiwanie. To samo w odwrotnym kierunku pojawia się, gdy przedmioty ulegające wymianom tanieją. Przyczyny sprowadzające taniość lub drożyznę, kryją się zwykle przed wzrokiem powszednim; wprawne nawet oczy często dostrzedz ich zrazu nie mogą. W ogólności, gdy wszystko drożeje skutkiem wzrastającego poszukiwania, w tym razie pojawia się w społeczności wziętej zbiorowo pewien ruch, pewna swoboda, pewne powodzenie, a nawet pewien rodzaj okazałości w domowem i towarzyskiem życiu, a to na tej zasadzie, że przy wszelkich wymianach, zbyciach i nabyciach, idzie rzecz za rzecz: kto nabywa, musiał zbyć; kto zbywa, pragnie nabyć; zaczem każde nabycie poprzedzonem być musi przez powstanie pewnej nowej wartości społecznej. Gdy przeciwnie wszystko drożeje, skutkiem zmniejszającej się podaży, dostrze-

gamy pojawy przeciwne: uspienie, narzekania, niemoc, niedostatek.

Ta niezaprzeczona prawda gospodarstwa społecznego tłumaczy tę inną niemniej wielką prawdę polityczną, że pomyślność i powodzenie pewnych tylko klas narodu wywołana przywilejem jawnym lub ukrytym, jest niewątpliwem znamieniem a często nawet źródłem powszechnej niemocy, uspienia i niedostatku w narodzie wziętym zbiorowo. Pomyślność narodowa nie da się wydzielać częściami; chceszli być szczęśliwym, przywołaj wszystkich do udziału wspólnego szczęścia.

Mówiąc o pieniądzach, nie od rzeczy będzie nadmienić tu jeszcze, że wartość pieniędzy, to wartość srebra i złota; bo papiery są tylko przedstawicielami pieniędzy, zaś wartością społeczną jest w szkole naszej użyteczność wypracowana; zaczem mylnem zwykle jest przekonanie, jakoby odkryte nowe kopalnie srebra lub złota zbogacić miały koniecznie kraj, do któregoby należały. Jeżeliby wydobycie i oczyszczenie jednego funta złota lub srebra odkrytego w kraju naszym pochłonęło więcej pracy niżeli przedmiot inny, za który funt srebra lub złota wydobyty w Ameryce lub gdzieindziej otrzymać możemy, w tym razie nie tylko nie odnieślibyśmy korzyści upierając się przy kopaniu tych kruszców, ale nadto wypuścilibyśmy z rąk rozmyślnie korzyść płynącą z wymiany przedmiotu, z wymiany na obce złoto lub srebro przedmiotu, który wyrobić możemy mniejszym nakładem pracy.

Ilość pieniędzy, a prawdę tę co chwila przypomi-

nać należy, nie wpływa na pomyślność, zatem i oświatę narodu: wartość pieniędzy, to wartość srebra i złota, a ich użyteczność, to ułatwiona wymiana. Zaczem, gdyby przeciwnie pomyślność powszechna zależała od ilości pieniędzy, w tym razie nie o pomnożenie przedmiotów zaspakajających potrzeby ludzkie, nie o podniesienie oświaty powszechnej, nie o ułatwienie wymian wszelakich staraćby się należało, lecz o pomnożenie ilości pieniędzy, jak to czyniono w Hiszpanii za Karola i Filipa; ponieważ zaś pieniądze srebrne i złote nie dają się pomnożyć podług życzenia, a papierowe zastąpić je mogą; przeto wybicie nieograniczonej ilości pieniędzy papierowych, gdy nie można srebrnych i złotych, byłoby najkrótszym i najpewniejszym środkiem podniesienia pomyślności powszechnej bez względu, czy przedmioty służące ku zaspokojeniu potrzeb cielesnych i umysłowych istnieją w obfitości, czy też ich nie dostaje zupełnie.

Bastiat z właściwą sobie bystrością tłumaczy prze znaczenie pieniędzy w następujący sposób: Przedmioty i usługi przeznaczone na zbycie nie wymieniają się prawie nigdy bezpośrednio. Pomiędzy nimi staje pośrednik, który nazywamy pieniądzem. Krawiec sporządził pewną odzież, za którą życzy sobie otrzymać w zamian chleba, wina, oliwy, którą chce zaspokoić radę lekarza, kupić bilet na parter i t. d. Wymiana ta nie da się wykonać w naturze. Jakiegoż środka chwyta się krawiec? on wymienia najprzód odzież na pieniądze, co nazywamy sprzedażą; następnie mienia otrzymane pieniądze na szczegóły, które nabyć lub zaspokoić pragnął, co nazywamy kupnem. Po doko-

naniu dopiero tej drugiej wymiany nastąpiło uzupełnienie wymiany, rozpoczętej przy sprzedaży; tu dopiero pojawia się zrównoważenie dania i wzięcia w jednej i tej samej osobie, która też teraz dopiero powiedzieć może: „ja zrobiłem dla społeczności owo, a ona dla mnie zrobiła to.“ I w rzeczy samej, po tem dopiero ostatecznem zrównoważeniu wymiana dokonaną została. Tu widzimy, jak słusznem jest twierdzenie J. B. Saya, że od zaprowadzenia pieniędzy każda wymiana rozpada się na dwie części, to jest na sprzedaż i kupno; zaś połączenie tych dwoch czynników stanowi dopiero wymianę zupełną.

Przysługa, jaką wyświadczają pieniądze, jest ogromna; lecz przyznać także należy, że ich zaprowadzenie zmąciło i pokrzywiło zdrowe pojęcia o wymianach i wzajemnych posługach. Ich wielka użyteczność wywołała w ludziach przekonanie, że prawdziwem bogactwem są pieniądze, że zatem pomnażając ich ilość pomnaża się ilość wyrobów i usług poszukiwanych. Następstwem tego przekonania były liczne zakazy wywozu monety i przywozu towarów, dalszem jeszcze jego następstwem były papierowe pieniądze; z niego wreszcie wynikło znane i upowszechnione wszędzie przysłowie: „co jeden zyskuje, drugi tracić musi.“

Nie pieniądze, powiada znowu Bastiat, są bogactwem, ale szczegóły zaspakajające nasze potrzeby cielesne i duchowe: bogactwem jest pożywienie dla tych, którzy go poszukują, odzież dla nagich; opał, gdzie dokucza zimno; światło sztuczne, które przedłuża krótkie dnie zimowe; środek utrzymania zapewniony synowi przez ojca; posag córki jakiejkolwiek

on jest postaci; możliwość spoczynku po długoletnich trudach; pomoc udzielona w chorobie; wsparcie dane niewidomym sposobem wstydliwemu ubóstwu; schronienie podróżnego w czasie burzy; rozrywka dla umysłu strudzonego pracą mozolną. Mieniem przeto jest nauka, wykształcenie, byt zapewniony, niezawisłość; ich następstwem jest godność osobista, moralność, zaufanie, ludzkość, słowem wszystko, do czego doprowadza rozwój wrodzonych człowiekowi uzdolnień duchowych i cielesnych; ich następstwem jest cywilizacya we właściwem wyrazu tego znaczeniu, a wszystko to jest dziełem wiedzy i pracy, a nie pieniędzy i bez względu na pieniądze.

W życiu społecznem, utrzymuje słusznie Bastiat, wszystkie czyny i pojawy obecne tak ściśle wiążą się z następnymi, że krok uczyniony na tej drodze, każde rozporządzenie, każda ustawa, odnoszące się do jednego wypadku, wywołują szereg wypadków innych, będących następstwem tamtego. Pierwsze są widzialnymi wraz z przyczyną, z której powstały, bo występują bezpośrednio po niej; dalsze odsunięte a niekiedy przegrodzone, zdają się nie wiązać z nimi, wypływać z innego źródła, lub być ślepym trafem; one się rozwijają stopniowo i tylko wprawne oko dostrzegać może łączność tych, które już nastąpiły, a przewidywać te, które nastąpić muszą. Dostrzeganie związku między przyczyną a skutkiem i przewidywanie następstw odleglejszych, jak niemniej dopatrzenie wpływów, jakie pewien czyn lub pewna ustawa rozpościera w strony opodal i wciska się w szczegóły innej zupełnie natury, jest najwyższem zadaniem w me-

chanizmie społecznym: pomyślne skutki bezpośrednie wywołują często smutne następstwa dalsze, lub wpływają szkodliwie na te, z któremi się stykają ubocznie.

Widzimy niekiedy, jak władze rządowe, lub stowarzyszenia prywatne, w czasach niedostatku roboty, głodu lub innych klęsk krajowych, wynajdują zajęcia mało użyteczne, a niekiedy zupełnie niepotrzebne w zamiarach dobroczynnych przyjścia w pomoc nieszczęśliwym. Nie mówimy tu o pracach użytecznych: otworzenie robót tej natury w czasie klęsk podobnych, jest najlepszym, najmoralniejszym i najkorzystniejszym środkiem pomocy. Lecz wynajdywanie robot dla roboty, dla rozdania tym sposobem pieniędzy potrzebującym, jest jednym z tych wypadków, przy których następstwa dalsze kryją się pod bezpośredniem. Pieniądze rozdane między robotników, którym dopomódz zamierzono, pochodzą ze składek, z podatków. Powiedzieć ludziom: złóżcie pieniądze na opłacenie robotników, których zatrudnić chcemy, jestto powiedzieć im: chodźcie i róbcie sami, lub użyjcie waszych sił i uzdolnień w inny sposób, a korzyść jaką tam otrzymacie, odstąpcie na rzecz tych, którzy tu robić będą. Jeżeli dzieło, które powstanie tą drogą, przyniesie rzeczywiście korzyść powszechną, a przynajmniej korzyść miejscową, w tym razie szlachetne pobudki uwieńczą skutki równie szlachetne, tak pod względem miłosierdzia jak użyteczności. Jeżeli przeciwnie roboty wynalezione nie mają istotnego celu, jeżeli ludziom zwołanym dla zarobku, każemy rznąć kanały, którymi nikt żeglować nie będzie; budować domy, których nikt nie zamieszka, sypać drogi, które wkrótce zarosną:

jestto to samo, jak gdybyśmy dzieła te wykonali ręką całej ludności krajowej, która koszta te pokrywa; kraj zubożał o tyle, o ile zmarnowano pracy ogólnej. Szczegół ten kryje się pod tem, co widzimy bezpośrednio, a przyczyną tego zwikłania są tu pieniądze, które przechodzą z rąk do rąk, nie giną i od robotników wynagrodzonych za roboty niepotrzebne, przejdą w ręce inne, którym nową przyniosą korzyść.

Ażeby twierdzenie powyższe jaśniejszem jeszcze uczynić, przypuśćmy, że głód lub inna klęska pokryła kraj cały, że zamierzono dopomódz wszystkim, że przeto otworzono roboty na całej kraju przestrzeni wynagradzając wszystkich kosztem wszystkich.

Jeżeli władza, działająca tu w imieniu i na rzecz społeczności całej, sprowadzi z zagranicy żywność, odzież i inne przedmioty, których niedostatek wywołał klęskę powszechną, przedmioty te zapłaci pieniądzmi oszczędzonymi w latach poprzednich i rozda je jako wynagrodzenie za roboty otworzone umyślnie dla poratowania cierpiących niedostatek: w tym razie dzieła powstałe skutkiem tych robót mogą zrównoważyć wartość pieniędzy wysłanych za granicę, one nawet mogą je przewyższyć. W pierwszym razie kraj przetrwał klęskę bez straty, w drugim zyskał nawet na niej, jeżeli pominiemy dolegliwości i kłopoty przemijające.

Jeżeli na zakupienie tych przedmiotów za granicą zaciągnięto pożyczkę, bądź u swoich, bądź u obcych, w tym razie naród ten spotrzebowuje dochody przyszłe, narusza swoje mienie, otwiera próżnie, które w latach poźniejszych nowemi oszczędnościami pokryć i wypełnić będzie musiał.

W obu tych razach pieniądze, jak widzimy, nie wywierają żadnego skutku na stosunki społeczne: one się rozwijają bez względu na nie. Gdyby jednak przedmioty zakupione zostały w kraju, bądź za pieniądze wydobyte ze skarbca, bądź za te, które otrzymano drogą pożyczki, w tym razie ilość pieniędzy znajdująca się w obiegu w danym kraju, powiększy się ilością tych, których na to rozległe kupno użyto. Powiększona ilość pieniędzy zniży ich cenę; zniżona cena pieniędzy podniesie względnie cenę innych przedmiotów; ta drożyzna zmniejszająca się stopniowo, trwać będzie dopóty, pokąd się nie ustali równowaga między sumą przedmiotów i usług idących w zamian, a ilością pieniędzy, które drogą wymian międzynarodowych wychodzić będą za granicę aż po miejsce, na którem pojawi się dawna równowaga wymian zewnętrznych i wewnętrznych.

Tu znowu przychodzą mi na myśl słowa wasze, że o pieniądzach można rozprawiać i bajdurzyć bez końca. Jak na teraz poprzestaję na rozumowaniach powyższych, pewny bowiem jestem, że w liście waszym poruszycie znów jakiś przedmiot, który nas wciągnie do nowych rozpraw.

V.

PRACA.

Słusznie utrzymujecie, iż niedość jest przekonać ludzi, że nie pieniądze są podstawą dobrego bytu, mienia i oświaty; trzeba prócz tego wskazać im źró-

dło, w którem czerpać należy życia społecznego siły i środki. Zapewne, jestto nawet może głównem zadaniem nauki; wykład, któryby ten szczegół chciał pominąć, nietylko chybiłby zamierzonego celu, ale nadto zwikłałby się własnem zadaniem.

Mówiąc o pieniądzach, o ich naturze i przeznaczeniu, niepodobieństwem już jest niedotknąć jednocześnie tego, co stanowi rzeczywiste człowieka mienie; mimo to wszakże o szczególe tym pomówić można, a nawet należy oddzielnie.

Nietylko ci, którzy na rzeczy społeczne zapatrują się ze stanowiska naukowego, pojmują, że jedynym środkiem utrzymania ludzi pojedynczych jest praca; przekonanie to podzielają także ludzie żyjący z pracy ręcznej, zatem niemający żadnych pojęć naukowych, bo do tego prowadzi ich potrzeba, konieczność.

Jeżeli praca przedstawia się tym ostatnim jako ciężar przywiązany do ich smutnego położenia, jako zrządzenie nieprzyjaznego losu, to niemniej często napotkać można pomiędzy ludźmi pojmującymi jaśniej przeznaczenie człowieka na ziemi, bardzo niejasne, zawiłe a nawet zupełnie mylne wyobrażenie o naturze i celach pracy.

I tak słyszymy codziennie wołania: Dostarczcie pracy ludowi a szczególnie klasie przemysłowej, jakby praca była celem a nie środkiem. Lecz podług czegoż sądzimy o powodzeniu naszem, o bogactwach kraju, o pomyślności powszechnej i szczegółowej? Czy podług skutków naszych usiłowań, czy też podług tych usiłowań samych?

Zdaje mi się, żem czytał w dziełach Bastiata trafne

w tej mierze rozumowanie następującej treści: Pomiędzy czynionem usiłowaniem a skutkiem onego pojawia się zawsze pewien stosunek. Czy postęp dobra powszechnego zależy od wzmagania się pierwszego czy też drugiego wyrazu tego stosunku? Jeżeli nie ulega wątpliwości, że skutek a nie środek jest celem usiłowań człowieka, tedy nie o rozszerzenie pracy samej, lecz o podniesienie jej skuteczności starać się należy; praca skuteczna rozwijać się będzie własnym popędem.

Gdyby środek a nie cel, zatem praca a nie jej skutek były źródłem pomyślności powszechnej i szczegółowej, osiągnienie szczęścia tego należałoby do najpowszedniejszych i najłatwiejszych zadań społecznych. Jakoż „im więcej człowiek pracuje“, mówimy powszechnie, „tem jest zamożniejszy; im więcej napotyka trudności, tem więcej pracować musi“; zaczem im więcej napotyka trudności, tem zamożniejszym się staje; zaczem jeszcze, wynajdywanie zawad utrudniających pracę ludzką byłoby najpewniejszym i najłatwiejszym środkiem podniesienia ogólnej pomyślności kraju, zdaniem tych ludzi.

Przytoczyłem powyższy błąd w sądzeniu o pracy raz dla tego, że on jest bardzo powszechnym, powtóre bo on prowadzi nas bezpośrednio w drugą ostateczność. Tą drugą ostatecznością jest zadanie, nadać pracy ludzkiej największą skuteczność, a zarazem uczynić ją jak najmniej uciążliwą. Uciążliwość jej zmniejsza się w miarę, jak człowiek ręce własne zastępuje siłami istniejącemi w przyrodzie i działającemi darmo; jej skuteczność wzmaga się w miarę, jak człowiek z działacza fizycznego przechodzi w kierownika potęg przy-

rodzonych. Jedno i drugie osiągnąć może jedynie przez wiedzę, przez naukę, która odkrywa przed nim tajniki świata powszechnego, stawia go coraz wyżej ponad materyę i czyni panem wszystkiego, co go otacza.

Kto się zgodził ze mną na to, że świat ludzki istnieje poza materyą świata powszechnego, ten już nie może niezgodzić się na to także, że w tym świecie ludzkim potęgą utrzymującą jego życie, zatem rzetelnie ludzkie istnienie pojedynczych ludzi, może być tylko praca kierowana wiedzą, a wiedza nabyta przez pracę.

Co do was, te kilka słów wystarczą, abyście zrozumieli odpowiedź moją. Gdyby mi przyszło zadanie wasze, które powołałem na wstępie, rozwinąć przed ludźmi nieoswojonymi z rzeczą, wskazałbym im na około tysiące przedmiotów, miast, wsi, łanów, gościńców, rękodzielni, szkół, kościołów, szpitalów, i zapytałbym ich, czy choć jeden z powyższych szczegółów powstał inaczej jak przez pracę, i czy pojmują środek jaki, któryby tu pracę ludzką mógł był wyręczyć. Jeżeli zaś pieniądze posłużyły jako środek wynagrodzenia ludzi, którzy wznosili te domy, kościoły, gościńce, to zapewne nie one były potęgą działającą; te domy, kościoły i gościńce mogły powstać bez pieniędzy, bądź drogą gwałtu, przemocy, bądź wynagradzając robotników bezpośrednio przedmiotami, które ci nabywali za otrzymane pieniądze; te domy, kościoły, gościńce, powtórzmy raz jeszcze, mogły powstać bez pieniędzy, lecz nie mogły powstać bez pracy, bez pracy umysłu i ciała.

VI.

GRY I ZABEZPIECZENIA.

W liście waszym, na który odpowiadam w tej chwili, znajduję następujący ustęp: „Pomiędzy grą w karty, w loteryę i t. d. a zabezpieczeniem od pożarów, gradobicia, pomoru bydła i t. d. zachodzi bliskie powinowactwo: tu i tam czynię stawki; tam za małą kwotę mogę odnieść zysk wielki; tu równie za małą kwotę mogę uniknąć wielkiej straty; równie tam jak tu mogę stracić to com postawił, tam bez skutku, tu bez potrzeby“.

Pierwszy to podobno wypadek, w którym nie zgadzamy się w naszem widzeniu. Sposób, w jaki zestawiliście gry z zabezpieczeniami, nadaje im pewne pozorne podobieństwo, podobieństwo postępowania i kształtu; powiadam pozorne, bowiem dwie te czynności, zdaniem mojem, różnią się zupełnie co do swojej natury, przeznaczenia i podstawy. Pozwólcie mi, bym się usprawiedliwił z twierdzenia tego, zastanawiając się bliżej nieco równie nad grą jak zabezpieczeniem.

Przede wszystkiem zwracam uwagę waszą, że jak marnotrawstwo i oszczędność, tak gry i zabezpieczenia wzajemne od klęsk rozmaitych są dwoma przeciwległymi biegunami czynności tej samej natury. W miarę jak się w narodzie jakim, skutkiem jego wyższej oświaty, usadawia i rozpościera dążność ku oszczędności, znika stopniowo marnotrawstwo potępione sądem powszechnym; w miarę także jak sku-

tkiem tejże samej oświaty pojawia się dążność do podniesienia swego bytu drogą pracy i ustalenia tego, co się już nabyło, znikać muszą gry hazardowne, a to właśnie dla tego, że gry i zabezpieczenia są przeciwległymi biegunami czynności tejże samej natury.

Oszczędność gromadzi, zabezpieczenia wzajemne dopomagają do zachowania tego, co już nagromadzono, marnotrawstwo rozrzuca, a gry dopomagają do rozrzucenia tego, czego przesycone zbytki strawić już nie mogły.

Germanowie, powiada Tacyt, przegrywali namiętnie wszystko co mieli, a gdy im już nic nie zostawało, stawiali samych siebie na los kostki, oddając się w niewolę wygrywającemu. Ludwik XV zaprowadzając we Francyi loteryę, rozpoczął wydane w tej mierze ogłoszenie od tych wyrazów: „Chcąc nastręczyć moim dobrym poddanym środek niewątpliwy (*un moyen sur*) dojścia do majątku i t. d.“ Oddawanie siebie w niewolę potępiły już wszystkie ustawodawstwa; a w miarę jak ludzkość wychodzi z niedołęztwa, na które liczył Ludwik XV, sąd powszechny potępia wszystko, co jest dziełem losu, ślepym trafem, co przenosi własność z rąk do rąk drogą inną jak wymiany, bo duszą życia nowego jest praca, moralność, oświata, bezpieczeństwo.

Lecz przejdźmy do zabezpieczeń, nad któremi zastanowić się dziś mamy przede wszystkiem.

Pierwszy ślad zabezpieczeń, utrzymują ludzie specyalni, pojawia się w początkach XII stulecia. Żydzi prześladowani w sposób okrutny i wyganiani ryczałtem z Francyi, wpadli byli na dwa ważne pomysły.

Ponieważ im nie wolno było uprowadzać swoich majątków, a te, które sposobem ukrytym unosili, często w drodze przemocą odbierane im były, składali oni u bankierów miejscowych swoje pieniądze i kosztowności, biorąc od nich listy przekazowe do krajów i miast, dokąd się udawali. Byłto początek wexlów, które stopniowo zajęły tak ważne miejsce w przemyśle świata całego. Dla pokrycia się zaś od możliwych rozbojów w ciągu podróży zobowiązywali się oni nawzajem pokrywać drogą składek straty tych, którzyby ulegli rabunkowi. Byłto początek zabezpieczeń wzajemnych, które jednak nie przetrwały czasów następnych, jak się to stało z wexlami. Żydzi usadowiwszy się w części po Niemczech, zaś w przeważnej części w Polsce, gdzie znaleźli wszelkie swobody, opiekę prawa, bezpieczeństwo osób i mienia, za co, powiedzmy nawiasem, odpłacają Polsce od tylu wieków zdzierstwem, niechęcią dla przybranej ojczyzny, a niekiedy zdradą i szpiegostwem, nie potrzebowali odtąd w wzajemnych zabezpieczeniach szukać bezpieczeństwa, które im zapewniło prawo publiczne.

Zabezpieczenia rozmaitej natury, takie jakie dziś znamy, są już dziełem zupełnie nowożytnem, bo tylko w wysokiej cywilizacyi powstać mogły. Zrozumieć i ująć w pewne matematyczne formy prawa wyższe, których następstwem jest przypadkowość, i ich następstwa ująć w liczby służące za podstawy działania, zadaniu temu odpowiedzieć nie mogli nasi dawni przodkowie.

Gdyby mi kazano wytłumaczyć podstawy zabezpieczeń w sposób przystępny każdemu, powiedział-

bym: Dajmy, że jestem właścicielem rękodzielni umieszczonej w gmachu należącym także do mnie. Na zasadzie wiadomości specyalnych i wykazów statystycznych zabudowanie tego rodzaju spotkać może klęska pożaru, w przecięciu raz jeden w ciągu lat stu. Klęska ta paść może równie w roku setnym jak pierwszym, a jej przypadłość zniszczyłaby mnie zupełnie: z zamożnego właściciela i rękodzielnika zeszedłbym na nędzarza. By uniknąć tego nieszczęścia, umawiam się z innym właścicielem, znajdującym się w tych samych zupełnie warunkach, skutkiem czego każdy z nas zobowiązuje się zwrócić towarzyszowi swojemu połowę jego mienia, gdyby pożar pochłonął mu całe. Umowa ta naraża nas obu na utratę połowy majątku, ale razem kryje od zniszczenia zupełnego.

Jeżeli nas jest dziesięciu, klęska podobna trafić już może jednego z nas, co lat dziesięć, lecz także składka zebrana na pokrycie jego straty, wynosić będzie już tylko dziesiątą część naszego mienia. Jeżeli nas zbierze się stu, pożar pojawić się może corok pomiędzy nami, lecz zato składki nasze czynić będą już tylko jeden od sta rocznie.

Otoż stanęliśmy na miejscu, gdzie zabezpieczenia wzajemne pojawiają się już w właściwej sobie naturze; ponieważ zaś do tych wzajemnych zabezpieczeń nie mogą wchodzić tylko ludzie, którzyby stali pomiędzy sobą zupełnie na równi tak co do wysokości majątku jak co do stopnia niebezpieczeństwa, części przeto wnoszone przez nich na pokrycie klęsk przypadłych, różnić się muszą wedle wartości mienia i wedle ilości lat, w ciągu których uledz mogą przy-

padłości pożaru. Ta rozmaitość wartości zabezpieczonych i stopnia niebezpieczeństwa, spotęgowana ilością stowarzyszonych doprowadza do dwoch wielkich następstw, które sprawdzono doświadczeniem i których prawdziwości dowieść można „rachunkiem prawdopodobieństwa“. Pierwszem z tych następstw jest, że wzmagająca się ilość stowarzyszonych zaciera coraz więcej różnice opłat rocznych obliczanych zwykle w stowarzyszeniach wzajemnych na rok następny, podług klęsk doznanych w roku zeszłym: te opłaty roczne zbliżają się coraz więcej do kwot średnich, jednostajnych, niezmiennych, skutkiem właśnie wzmagającej się ilości stowarzyszonych. Drugim następstwem tego rozgałęzienia jest zmniejszanie się niebezpieczeństwa samego w stosunku odwrotnym do liczby stowarzyszonych.

W zabezpieczeniach przedsiębranych przez towarzystwa akcyonaryuszów, opłaty roczne są zwykle wyższe, bo celem ich stowarzyszenia, jest ich zysk, a nie powszechne bezpieczeństwo; gdy zaś opłaty te są tu zawsze jednostajne, muszą one przeto sięgnąć tak wysoko, iżby lata szczęśliwe nie tylko pokrywały lata przygód, ale nadto przyniosły przedsiębiorcom ich zysk zwykły, równie tu jak tam.

Oto w ogólnym zarysie pojęcie zabezpieczeń wszelakiej natury. Zabezpieczenia należą nie tylko do pomysłów najszczęśliwszych, ale nadto do najwięcej ludzkich i najwięcej społecznych. Zaprawdę, wynaleść sposob podania sobie nawzajem ręki w niedoli, postawić napowrót na nogi ludzi dotkniętych ogromną klęską, ludzi nieznających się pomiędzy sobą, a prze-

cież wspierających się nawzajem i to w sposób nieuciążliwy, to myśl wielka, wielka moralnie, religijnie i politycznie.

Czy możemy to samo powiedzieć o grach zwykłych? Nadużywałbym cierpliwości waszej, gdybym się chciał rozwodzić nad loteryą, ruletą lub kartami, gdzie jeden czyha na drugiego, gdzie nieszlachetne korzyści jednych pogrążają innych w niedolę i rozpacz, gdzie wreszcie siłą roztrzygającą walkę jest traf ślepy lub zła wiara. Pomijając przeto te szulerki zbyt pospolite i nikczemne, przejdę do niby szlachetniejszych, jeżeli gry jakie mogą być szlachetnemi. Chcę mówić o papierach publicznych.

Tu znów pominę zakłady giełdowe na podwyżkę i zniżenie, podobne do zakładów przy wyścigach konnych, bo gra ta jest także tylko szulerką opartą na trafie ślepym lub podstępie; przejdę do tak zwanych spekulacyj w papiery publiczne; żeby zaś być jasnym i wytłumaczyć jak mi się przedstawiają te niby finansowe operacye, pominę wszelkie rozumowania, poprzestając na przytoczeniu wypadku, który możecie uważać za prawdziwy.

Wicekról Egiptu udzielił był w swoim czasie pewnej krajowo-zagranicznej kompanii koncesyę na wybudowanie kolei żelaznej, łączącej Kairo z Alexandryą. Linię tej kolei nakreślili na mapie generałowie podług planów strategicznych, bo jej głównem przeznaczeniem było przewozić wojska z miejsca na miejsce, przyczem zabierać miała także podróżnych i towary, jeżeli się jakie znajdą. Wkrótce potem rząd wicekróla, który myśl tę wielce popierał, udzielił kilka

koncesyj na banki krajowo-zagraniczne i czysto zagraniczne, które też pojawiły się wkrótce pod rozmaitemi nazwami, były przecież jednej natury, a ich wspólnem przeznaczeniem było zdzierać i obdzierać: banki eskontowe, które nie eskontują wexli prywatnych; banki ziemiańskie, które wypożyczają na domy i wartości ruchome; banki zaliczkowe, które nie czynią przedpłat na zboże, okowitę, bydło i drzewo; banki kredytowe, które nikomu nie kredytują.

Rząd wicekróla wspiera całą siłą wszystkie te instytucye, bo one ułatwiają przemysł i handel, a handel i przemysł, to obecnie główne źródła dochodów państwa. Mieszkańcy Egiptu, jak mieszkańcy wszystkich krajów niedojrzałych, nieurobieni wewnątrz lubo upoliturowani po wierzchu, wspierają je także całą siłą. W naturalnym rzeczy porządku praca i wiedza nabyta przez pracę są źródłem i początkiem wszystkiego, co powstaje w świecie ludzkim; praca kierowana wiedzą prowadzi do mienia; mienie otwiera kredyt; kredyt ułatwia handel i przemysł; handel i przemysł wywołują banki i koleje. Wypoliturowani mieszkańcy Egiptu chwytają za ostatnie ogniwo, pragną osiągnąć skutek, nie troszcząc się o przyczyny i źródła. Miejmy tylko, wołają, banki i koleje, a wszystko pójdzie dobrze.

Jeden z tych zakładów, poznawszy szczególne zamiłowanie mieszkańców kraju do wszystkiego, co przynieść może wielkie korzyści bez pracy, choćby nawet drogą szczęścia wątpliwego, dostrzegłszy, że ludzie nie rozumieją natury zaliczek i kredytu, przytem są marnotrawni, toną w długach i chwytają za

brzytwę, gdy im kto ją poda, przypomniał sobie odezwę Ludwika XV i ogłosił, że zamierza obywatelstwu krajowemu nastręczyć „sposób niewątpliwy“ dojścia do fortuny bez pracy, á to przez spekulacyę na papierach publicznych, w czem on, zakład ten, usługi mu swoje ofiaruje. Zakład ten przygotował się zawczasu do tych usług, skupując przez lat kilka, a zawsze tylko w chwilach najkorzystniejszych, papier, który chciał uczynić przedmiotem tych spekulacyj, a mianowicie akcye kolei żelaznej.

„Kto z panów zechce“, powiedział on, „spekulować w akcye kolei, ten może je nabywać za naszem pośrednictwem, w chwilach gdy są tanie, a sprzedawać gdy są drogie, składając tylko dziesiątą część ich wartości i pozostawiając je u nas dla naszego bezpieczeństwa jako zastaw za dziewięć dziesiątych części, które my za wynagrodzeniem odsetkowem wyłożymy za niego.“ —„Wyśmienicie! zawołali, składając 10.000 możemy kupić akcye za 100.000, a sprzedając je przy podwyżce kursu, zyskać dużo małym kapitałem, w krótkim czasie, bez zachodów i pracy“.

Zakład ten filantropijny trafił dziwnie w upodobanie mieszkańców. Na próżno ludzie pojmujący zdrowiej nieco finansowe obroty i łamane sztuki bankierów tej natury odwodzili ich od awanturniczych spekulacyj, przekonywając, że wszyscy na wszystkich zyskać nie mogą, że jeżeli bank rzeczywiście będzie sprzedawał i kupował, w tym razie jedni bogacić się będą kosztem drugich obywateli kraju; jeżeli będzie sam kupował i sprzedawał swoje, z dawna przygoto-

wane, w tym razie zakład ten bogacić się będzie kosztem wszystkich; że nadto gra tej natury nie różni się niczem od gry w karty i ruletę, chyba wyszukaną nazwą i zwikłaniem kryjącem jej istotę; że wreszcie pomiędzy szulerem w karty a szulerem w papiery publiczne taka tylko zachodzi różnica, jaka zachodzi pomiędzy pijakiem, zalewającym się okowitą w karczmie, a pijakiem, zalewającym się węgrzynem w salonie lub zamożnym sklepie. Jestto różnica miejsc i napojów a nie osób; przemień ich fortuny, a tamten upijać się będzie po sklepach węgrzynem, a ten okowitą po karczmach, jakto nieraz widzimy na zamożnych niegdyś, zepsutych i zbankrutowanych paniczach.

Nie pomogły ani uwagi obce, ani własne zastanowienie. Szał gry ogarnął kraj w sposób niesłychany: koryfeusze jego wysunęli się naprzód, wszyscy znoszą co mogą, własne i zapożyczone, a każdy za dziesięć kupuje sto. „Rozumiesz ty dobrze, w co my się tu rzucamy“, zapytał nieraz jeden drugiego. „Poco mam suszyć głowę, idę z pełną wiarą za panami A, B i C, bo to są pierwsze litery naszego krajowego abecadła; oni myśleli już za mnie i za siebie“.

Gdy napływ kupujących zaczął się już powstrzymywać, bo w objęcia tego filantropijnego zakładu rzucili się już byli wszyscy, co w ten sposób fortuny robić chcieli i mogli, bank nasz wydobywa częściowo akcye ze skrzyni ubocznej przedstawiającej publiczność, a do której, przypomnijmy, nagromadził był je w chwilach najkorzystniejszych, puszcza je w obieg drogą sprzedaży, sprzedaży korzystnej dla siebie, bo po cenach wyższych od tych, za jakie je był zakupił. Ilość akcyj

przybywająca z dniem każdym na targowicy w kraju nieprzemysłowym i ubogim, w mieście niewielkiem, zniża ich cenę. Dajmy, bo szczegółu tego już nie pamiętam, że w czasie, gdy zapaśnicy fortuny cisnęli się jeszcze do zakładu, stały one po 80 za 100, dziś zeszły na 70 za 100. Zakład filantropijny zwołuje swoich licznych uczestników i powiada im: „Panowie nakupiłem dla was akcyj po 80 za 100, ponieważ one dziś stoją już tylko 70, gdyby przeto przyszło mi je dziś sprzedać, traciłbym na nich 10. Nie biorąc udziału w waszych prawdopodobnych korzyściach w przyszłości, nie mam obowiązku brania także udziału w waszych terazniejszych stratach, jakkolwiek tylko pozornych i chwilowych, bo przyszłość nagrodzić je wam może sowicie, dołóżcie zatem po 10 do każdej setki, tak abym na wypadek sprzedaży znalazł się pokrytym z tego, com wyłożył.“

Byłoto *dictum acerbum;* gracze znieśli byli wszystko co mieli; lecz cóż robić, trzeba koniecznie dokładać, bo inaczej strata pewna jak na dłoni. Każdy szuka za pieniądzmi gdzie może; podokładali.

Po upływie miesiąca zakład nasz wydobywa znów ze skrzyni ubocznej część akcyj i puszcza je w obieg. Akcye spadają dalej. Dokładajcie raz jeszcze, zawołano. Tu już powstał popłoch niemały, a trudności jeszcze większe. Po upływie dalszych kilka tygodni pojawia się ten sam jeszcze wypadek, a z nim trudności nieprzełamane i rozpacz. Zakład filantropijny sprzedaje akcye zapasowe, zniżając tym sposobem ich ceny tak długo, pokąd ceny te nie przechodziły poza kurs, po którym je był kupował; a następnie nawet

poniżej tej ceny, bo na dopłatach, które pobiera, zyskuje więcej niż traci na kursie. Prócz tego znaczna część akcyj sprzedanych tą drogą, a zakupionych przez ajentów tegoż samego zakładu powraca do niego po cenach, po których sprzedane były.

Ostatnie wysilenia grających, by się ratować od strat ogromnych, sprawiły prawdziwe w kraju przerażenie, przerażenie tem powszechniejsze, że wielka ilość rodzin wzięła była udział w tej spekulacyi, a właściwie w tej grze, bezpośrednio lub pośrednio, wspierając i ratując jedni drugich. Ci sprzedają papiery, które posiadali; tamci sprzedają srebra domowe i kosztowności swoich żon i córek; inni zapożyczają na lichwę od ludzi podstawionych z zakładu, który spłacić mają, niewiedząc, kto im rzeczywiście wypożycza; inni jeszcze sprzedają z góry spodziewane zbiory płodów krajowych; inni wreszcie sprzedają nawet majętności swoje. Wielu dopuszcza się nadużycia, przeniewierzenia, szukając ostatniego ratunku. Smętność i zwątpienie pokrywają twarze; w domach prywatnych pojawia się oszczędność niezwykła, wymuszona; obywatelstwo cofa się od udziału w rzeczach użyteczności powszechnej; dobroczynność usypia, niedostatek cierpi; kupcy zamykają sklepy; codziennie nowe pojawiają się upadłości: tu słychać o obłąkaniach, tam o samobójstwach; owdzie ludzie zamożni schodzą na nędzarzy. Młodsi bracia założycieli banku filantropijnego przychodzą z pomocą zniszczonym, zapisując wcześnie, olbrzymiemi odsetkami spotęgowane pożyczki na bliskie i odległe sperandy. Są to skutki powszechnej szulerki, uzacnio-

nej nazwą finansowych operacyj; jestto ogromna dla narodu klęska, którą tylko długie lata powodzeń zatrzeć zdołają, której jednak nic już nie cofnie.

Szczupłe grono ludzi oszczędnych, pracowitych, ostrożnych i niedowierzających powodzeniom zawisłym od ślepego losu, trzymało się na stronie w ciągu tej walki niszczącej majątki, zdrowie i spokój. Ludzi tych splugawiono: są to samoluby, wołano, ludzie bez ducha; dla nich są równie obojętnemi powodzenie pojedynczych obywateli jak sprawa narodu całego; to serca kamienne, oni nie żyją ani dla współobywateli, ani dla kraju! — Panowie, to szczupłe grono obywateli, odpowiadali ludzie pojmujący rzeczy zdrowo, wzniosło się ponad namiętność, której wy pokonać w sobie nie umieliście; to szczupłe grono oceniło lepiej od was nasuwane korzyści; ono służyło sobie i krajowi, bo ocaliło to, co wy chcieliście wciągnąć w zniszczenie powszechne.

Przewiadywałem się w rozmaity sposób, jak wiele Egiptowi uczynić mogła strata spowodowana tą gry namiętnością. Akcyonaryusze i ludzie obsługujący bank filantropijny obliczają ją na dwa miliony w naszej monecie, bo w zupełności zaprzeć jej nie mogą; inni lubiący łagodzić każde nieszczęścia u nas, czy gdzieindziej, przyjmują pięć milionów; inni jeszcze, lubiący może iść zadaleko, podnoszą do dziesięciu milionów ogólną krajową stratę. Przypuszczając, że środkujący najbliżsi są prawdy, tedy kraj w ciągu kilku miesięcy utracił przez lekkomyślność, brak oświaty i żądzę obywateli swoich stania się majętnymi bez pracy, utracił, mówię, pięć milionów!

Pięć milionów, to skarb ogromny; kapitał ten przedstawia około 300.000 rocznego dochodu. Cóż za przysługi dochód podobny mógłby był przynieść! On mógł utrzymać dwa uniwersytety, dwadzieścia szkół wyższych, dwa tysiące ludowych; lub w innym kierunku kilkadziesiąt szpitalów, domów przytułku, ochronek dla sierót; lub w innym jeszcze czytelnie po większych miastach, mnóstwo nakładów na dzieła naukowe i szkolne, w zakresie wyższym i ludowym, a wszystko na wieczne czasy, tak jak wszystko stracone na wieczne czasy.

Gdybym był wicekrólem Egiptu, kazałbym dzieciom od pierwszej zaraz klasy powtarzać po każdym pacierzu wielkie słowa Franklina: „Jeżeli wam kto powie, że możecie inaczej jak drogą pracy dojść do nauki, poważania i dobrego bytu, wytrąćcie go z grona waszego, bo to czart, kusiciel.“ Słowa te umieściłbym na czele każdej xiążki szkolnej i niemi kończyłbym każdą kościelną naukę. Słowa te wciskałbym wszędzie i tak długo, pokądby nie przesiąkły społeczności całej i nie przeszły w jej codzienne przysłowie.

O gdyby nasza młodzież szkolna, nasze obywatelstwo wiejskie i miejskie i nasz stan przemysłowy uznali byli tę wielką społeczną prawdę przed trzydziestu laty, jakże potężnem byłoby już dziś nasze narodowe życie! Nikniemy z dniem każdym, bo życie nasze jest poezyą: błądzimy wśród marzeń po bezdrożach, usuwając z myśli rzeczywistość, bo rzeczywistość stoi na pracy

Przebaczcie mi moją gadatliwość; do szczegółu tego nie powrócę więcej.

VII.

SZKOŁY I OŚWIATA W OGÓLE.

Przyjmujecie tedy zdanie moje co do różnicy zachodzącej w zasadzie między grą a zabezpieczeniem, mimo ich pozornego podobieństwa w kształcie. To uznanie wasze bardzo mi jest przyjemnem i pochlebnem.

W liście waszym, który mam właśnie pod ręką, powracacie znów do oświaty powszechnej. To przechodzenie z jednego zadania w drugie i odświeżanie dawnych, nie wikła wcale rozmowy naszej: owszem, one jej nadają pewne ożywienie, pewną rozmaitość, chronią od jednostajności, a zarazem nasuwają na myśl niejedno postrzeżenie, które mogło ujść uwagi naszej w pierwszej chwili.

Stawiacie dwa zadania: pierwsze, czy lepiej jest pozostawić staranności rządów urządzanie i kierunek szkół publicznych; czy też korzystniej byłoby poruczyć je troskliwości gmin, rad obywatelskich i prywatnych stowarzyszeń, a nawet przedsiębiorstwu osób pojedynczych; powtóre, czy potrzebie obecnej odpowiadają gimnazya, licea i kolegia oparte przeważnie na klasyczności starożytnej; czy też w miejsce ich należałoby urządzić szkoły więcej zastosowane do potrzeb i pojęć tegoczesnych. Chętnie na oba te pytania otworzę wam zdanie moje. Co do pierwszego:

Powiedziałem w pracach moich, i przytem obsta-

wać muszę, że ponieważ oświata powszechna jest potrzebą narodu i warunkiem jego powodzenia, zadaniem przeto ciała zbiorowego być powinno, nietylko czuwać nad tem, by młodzież wszelkiego powołania i stanu, równie wiejska jak miejska, mogła otrzymać odpowiedne sobie wykształcenie, ale nadto społeczność ma prawo i obowiązek znaglać do niego tych, którzy jego ważności i potrzeby jeszcze nie pojmują.

Twierdzenie powyższe odnoszę szczególniej do szkół początkowych, gminnych, elementarnych, tudzież do tych, których pierwsze założenie i dalsze utrzymanie wymaga sił większych, nakładów, na jakie przedsiębiorstwo osób pojedynczych, lub nawet pewnych stowarzyszeń zdobyćby się nie mogły. Wszakże zadanie to nie ma natury monopolu, ono nie przyznaje władzy przywileju wyłącznego kształcenia i urabiania umysłów młodzieży na modłę potrzebną niekiedy jej wyłącznym celom. Przeciwnie, wkładając obowiązek na państwo czuwania nad tem, by oświata stała się przystępną wszystkim i by wszyscy do korzystania z niej znaglonymi byli, żądamy wolności zupełnej w wychowaniu i w wykładach naukowych, zatem wolności tworzenia zakładów samoistnych i niezawisłych od państw.

Tylko prace podjęte niezależnie i w rozmaitych kierunkach prowadzą do nowych odkryć i do postępu. Monopol oświaty publicznej, to powstrzymanie tego postępu już przez to samo, że kierunek nadany oświacie publicznej przez władzę, tylko jednostronny i jednoprądowy być może; dla tego też doświadczenie okazało, że nauki a za niemi dobry byt i moralność

tam tylko postąpiły szybko, gdzie władza nie zagarnęła pod swoje panowanie wyłącznego prawa nauczania.

„Poruczcie mi wykształcenie młodzieży w całym świecie, a ja zmienię postać świata całego“, powiedział Leibnitz. Jakoż stronnictwo, w którego ręku jest kierunek wychowania publicznego, nie dopuszczając zakładów naukowych niezawisłych, jest rzeczywiście panem wszystkiego, co się rozwija w łonie narodu na podstawie wiedzy, pracy i uczucia; wychowanie też urządzone w ten sposób obrócić się musi na korzyść tego stronnictwa, czy niem jest władza, czy pewne warstwy społeczne, czy wreszcie pewne powołania, bądź świeckie, bądź duchowne, bądź wojskowe, bądź cywilne.

Gdzie wychowanie i kształcenie młodych pokoleń układa się bez wyjątku do jednej i tej samej formy, tam społeczność znamionować musi pewne uspienie, jednostajność, próżnia; gdzie przeciwnie istnieje wolne i niezawisłe udzielanie nauk wszelakich, tam stoi otworem rozległe pole wrodzonej działalności myśli ludzkiej, tam musi być postęp, bo on jest następstwem wrodzonych człowiekowi usiłowań, odkrywać prawdy nowe, wzbijać się coraz wyżej i opanowywać świat powszechny potęgą ludzkiego ducha.

W ogólności oświata nowożytna rozwinąć się może jedynie w właściwych sobie żywiołach, oprzeć się musi na naukach przyrodniczych, których rozległego przeznaczenia nie pojmowali starożytni, i na naukach społecznych wyszłych z łona świata nowego.

Nie szkoły same są zakładami i środkami uczą-

cymi, dzieła rozmaitej treści i pisma czasowe należą także do środków wpływających na wykształcenie powszechne. Jeżeli sama tylko władza ma prawo kształcić naród, dla czegoż to jej prawo kończyć się ma na pewnych szkołach lub na dozorze, jaki wywiera na dzieła i pisma czasowe. Czyż nie dogodniej byłoby rozciągnąć dalej monopol szkolny i założyć wielką państwową rękodzielnię, mającą wyłącznie przywilej czynienia nowych postrzeżeń, nowych odkryć i ogłaszania ich drukiem? I w rzeczy samej albo władza jest nieomylna, a w tym razie najkorzystniej byłoby poruczyć jej samej i bez ograniczenia kierunek myśli ludzkich; albo też składając się z ludzi równie niedoskonałych jak inni, może ona także błądzić, a w tym razie równie zgubnym byłby w jej ręku monopol oświaty szkolnej, jak oświaty udzielającej się przez xiążki i pisma.

Wspomniawszy o dziennikarstwie, pozwólcie mi wsunąć tu o niem parę uwag.

Jeżeli nasze pisma czasowe, a mianowicie dzienniki polityczne niezawisłe nie wpływają tyle na podniesienie oświaty powszechnej jakby to czynić mogły i czynić powinny, tę ich słabą stronę przypisać należy głównie nie naturze pism czasowych, ale raczej osobom podejmującym to ważne posłannictwo. Dziennikarstwo, szczególnie u nas, jest jednem z najniewdzięczniejszych i najtrudniejszych zawodów: niewdzięcznym, bo ani dostatecznych materyalnych korzyści nie przedstawią, ani pociesza nadzieją wspomnień pozostających po śmierci człowieka; ono jest prócz tego nader trudnym zawodem, bo wymaga wiele

wiadomości przygotowawczych, na których czele stoją gospodarstwo społeczne, statystyka, historya, geografia fizyczna, filozofia prawa. Publicysta nieoparty na tych naukach, przesyłać będzie codziennie czytelnikom swoim mnogość głośnobrzmiących frazesów, które przecież nie odróżnią się niczem od rozmów poufnych toczących się na przechadzkach, w kółkach domowych i po kawiarniach. Aby wpłynąć na sąd powszechności, trzeba się wznieść wyżej nieco, trzeba się oprzeć o nauki dopiero wymienione i w miejsce swego indywidualnego zdania przemawiać głosem praw wyższych, udowodnionych, niewątpliwych. Lecz powróćmy do oświaty w ogóle.

Znany jest wpływ, jaki władze w państwach niektórych wywierają na oświatę przez wyłączny przywilej urządzania szkół publicznych i przez dozór rozciągnięty nad wszystkiem, co się drukuje. Pomiędzy tem podwójnem kierownictwem zachodzi jednak wielka różnica, a to właśnie przez to, że w szkołach robotnikami są tylko ludzie wybrani przez władze; zaś do ogólnej pracowni naukowej, przemawiającej przez xiążki i pisma, przypuszczonymi już być muszą wszyscy. Tej to niemożliwości rozciągnienia dalej przywileju szkolnego i założenia wyłącznej rękodzielni, o której nadmieniłem wyżej, przypisać należy postęp, jaki czynią nauki i umiejętności poza szkolnym zakresem. Ponieważ zaś w rzędzie rozmaitych nauk i umiejętności najwięcej trwożącemi są te, które się odnoszą do zadań społecznych, najmniej te, które się zajmują badaniami treści przyrodniczej: ztąd też pochodzi w części, że te ostatnie, mniej dozorowane,

postępują szybciej od tamtych, pomimo, że tamte nas bliżej dotyczą wszystkich i są codziennych rozmów i rozmyślań przedmiotem.

Rzecz dziwna na pozór. Głównem źródłem oświaty w każdym narodzie są ludzie pracujący w naukach z powołania i niezależnie. Oni służą jej na dwoistej drodze: raz zasilając nauki same przez nowe postrzeżenia i teorye prawdziwsze od dawnych, powtóre rozpościerając coraz dalej i zapuszczając coraz głębiej wiedzy własnej zarody. Na tym poziomie i tylko na nim rządy zbierają i zbierać mogą potęgi swojej pierwiastki: zaczem ostatecznie źródłem ich potęgi są ludzie pracujący w naukach z powołania i niezależnie. A przecież nikt więcej nie jest ich nieufności, niekiedy prześladowań przedmiotem. Jedni odsądzeni od służby publicznej i praw obywatelskich pędzą dnie smutne pod nieustającym władzy dozorem; drudzy przepędzają połowę życia w więzieniach; inni idą na wygnanie; inni jeszcze na poprawę do pułków poprawczych. Gdzież leży sprzeczności tej przyczyna? Oto rządy te postępują naprzód o ile muszą, a postęp swój powstrzymują o ile mogą; bo ciężar przechylający wagę w stronę jedną, czyni ją o tyle mniej ważną po drugiej.

Przechodzę do drugiego z dwoch położonych przez was zadań, które na wstępie listu tego powołałem.

Najmniejszą może w zakresie nauk walką, jaką przebyły nowożytne usiłowania, by wydobyć szkoły ze średniowiecznej scholastyki i nadać im kierunek odpowiedni tegoczesnym pojęciom i potrzebom, były i są dotąd dwa sprzeczne usiłowania, z których jedno

widzi w świecie starożytnym podstawę wiedzy wszelakiej, drugie radeby rozstać się z nim stanowczo i świat nowożytny wyłącznie nowożytnemi karmić siłami.

Oba te stronnictwa idą może zadaleko, wszakże jeżeli w średnich wiekach wychodzących z zamętu i dzikości, w jakie je wtrącił upadek państwa rzymskiego, język i dzieła łacińskie były jedynem źródłem nauki, jedyną gwiazdą, przyświecającą temu przechodowemu życiu narodów; to zaiste nie można nieprzyznać, że w dzisiejszym stanie oświaty wiadomości, do jakich doszli byli Rzymianie, wystarczyć już nie mogą.

I w rzeczy samej, możemyż z dzieł, które nam pozostawili Rzymianie, nauczyć się religii, fizyki, chemii, astronomii, fizyologii, historyi, moralności, technologii przemysłowej, lub wreszcie nauk społecznych? Nauczyć się obcego języka, jest to wejść w posiadanie narzędzia, za pomocą którego zdobyć można pewne wiadomości. Poświęcać przeto większą część lat młodych ku nabyciu narzędzia przestarzałego i które już nie odpowiada dzisiejszemu stopniowi oświaty, jest to niewątpliwie lekceważyć i marnować najdroższe a szybko przemijające lata młodości.

Ekonomiści francuscy potępiający system szkolny, który zwykle klasycznym nazywamy, a między którymi Bastiat nieposlednie zajął miejsce, żądając powszechnej szkół reformy, przytaczają mniej więcej następujące rozumowania, by wykazać szkodliwość, a przynajmniej niewłaściwość budowania tegoczesnej oświaty na oświacie starożytnej.

Niechajby nam wskazano, powiadają oni, pomię-

dzy wszystkimi starożytnymi autorami, nie wyłączając filozofów i publicystów, byle jednego, któryby określił własność i podał jej rzeczywiste pojęcie. Świat nowożytny utrzymuje: człowiek jest właścicielem samego siebie, zatem jest właścicielem swoich sił i swoich usposobień, zatem jeszcze jest właścicielem wszystkiego, co jest dziełem jego sił i jego usposobień. Mogli Rzymianie powziąć wyobrażenie własności, byleby zbliżone do naszego? Stojąc na pracy niewolników, mogliż wyrzec: człowiek należy przede wszystkiem sam do siebie? Przywiązując pogardę do zatrudnień przemysłowych mogliż oni powiedzieć: człowiek jest właścicielem swoich sił i usposobień, stanowiących jego wyższość w świecie powszechnym? Żyjąc pracą obcą, mogliż przyznać jej własność ludziom, z których rąk ona wychodziła? Przyjęcie tych zasad w życiu społecznem u Rzymian, byłoby się stało samobójstwem społecznem.

Własność wszakże istniała w starożytności; na czemże się opierała ta własność? Oto na ustawie i tylko na ustawie samej, i dla tego właśnie, że własność starożytna była wyłącznie dziełem ustawy, że przeto od niej zależało wypuścić z tego określenia własność prawdziwą, lub podciągnąć pod nie to, co nią nie jest i być nie powinno, starożytni stracili zdrowe pojęcie własności; dla tego jeszcze owoce pracy obcej, a nawet sam człowiek stawał się tam własnością innego człowieka, a stawał się nią, bo tak wyrzekła ustawa. Mogąż te ubóstwione dotąd społeczne pojęcia przodować życiu nowożytnemu?

Przekonanie tak upowszechnione dotąd, a które

jest jednym z najgrubszych błędów, fałszem wykrytym przez gospodarstwo społeczne, przekonanie, jakoby jeden utracić musiał to, co drugi zyskuje, przeszło do nas także od starożytnych. Ono było prawdziwem w społeczności stojącej na rozboju i kradzieży; ono jest najgrubszym fałszem tam, gdzie podstawą własności jest praca człowieka.

Tak samo jak własność urobiły się między starożytnymi pojęcia cnót domowych i publicznych, bo z tego samego wypłynęły źródła i były następstwem tych samych przyczyn pierwszych.

Społeczność rzymska, powiadają publicyści niechętni szkołom klasycznym, oparta wyłącznie na przewadze siły fizycznej przedstawia wzory, których świat nowożytny unikać powinien, unikać musi. Rzym żył wojną, ten zaś musi pragnąć pokoju; tam brzydzono się pracą, tu pracą tylko istnieć można; tam istnienie osób pojedynczych wyrosło z niewoli i rabunku, tu z przemysłu i wolności. Społeczność rzymska oparła się na urządzeniach zgodnych z podstawami jej istnienia; ona musiała uwielbiać to, co było źródłem jej wielkości; ona często nazywała cnotą, co my występkiem mianujemy; jej poeci i filozofowie wynosili niekiedy czyny, które dziś potępia przekonanie powszechne. Nawet ich wyrazy, twierdzą ci publicyści, oznaczające pewne cnoty i uczucia, dziś odmienne przybrały znaczenia: wolność, porządek, sprawiedliwość, lud, honor, godność, przedstawiają już dziś różne pojęcia. Rzymianie bowiem powstali z rozbojów, wzrośli rozbojem i utrzymywali się rozbojem aż po chwilę, gdy młodsi i czerstwiejsi od nich rozbójnicy panowaniu ich ko-

niec położyli; zaś warunki istnienia stowarzyszeń czyhających na własność obcą, jakiegokolwiek one były rozmiaru, są niezaprzeczenie pewne zalety, pewne nawet cnoty, skierowane ku potrzebie stowarzyszonych.

Zdaje mi się, że w kilku powyższych ustępach zebrałem ważniejsze zarzuty, czynione szkołom klasycznym przez publicystów chcących uwolnić się zupełnie od wpływów starożytności. Ci co przemawiają za ich utrzymaniem, zbijając rozmaitym sposobem postrzeżenia tamtych, przywołują cztery główne uwagi przemawiające na korzyść dotychczasowej szkół organizacyi.

Dzieje starożytne, powiadają oni, są szkołą życia narodów, a jedynem źródłem tych dziejów są pisarze starożytni; język łaciński, twierdzą następnie, gdy języki nowożytne urabiać się dopiero zaczynały, stawszy się jedynym i wspólnym wszystkich narodów językiem w dziedzinie nauk i umiejętności, opanował tak silnie nomenklaturę naukową, że bez niej już dziś pisarze rozmaitych narodów, a często nawet tego samego narodu, porozumiećby się nie mogli w zakresie historyi naturalnej, prawnictwa, medycyny itd.; język łaciński, utrzymują dalej, jest podstawą, na której potworzyły się niemal wszystkie języki nowożytne, że przeto bez dokładnej jego znajomości postęp i rozwój tych ostatnich byłby niemożliwym; dodają wreszcie, że wyrozumowana znajomość języków starożytnych, bogatszych od wszystkich tegoczesnych budową, zwięzłością i siłą, rozwijając potężnie władze umysłowe, stała się już umiejętnością sama w sobie, której wie-

dza ludzka niesyta zdobyczy, z dziedziny raz owładniętej wytrącić nie może.

Widzę już, jak w przyszłym liście waszym stajecie po stronie przeciwników klasycyzmu i wyganiacie na przebój ze szkół grekę i łacinę. Według mnie, *medium tenuere beati*: nie lubię środków ostatecznych, tak jak nie dowierzam ludziom skrajnym.

Nie ulega zaprzeczeniu, że znaczna część młodzieży naszej, ukończywszy nauki, błąka się wśród towarzystwa, w którem wzrosła niewiedząc jaki kierunek nadać przyszłości swojej. Złe to, zdaniem mojem ma dwa główne źródła: pierwszem z nich jest brak przemysłowości w kraju naszym, będący znów następstwem braku dobrych chęci ze strony ludzi zamożniejszych, skutkiem czego cała niemal młodzież kończąca nauki zwraca oczy ku służbie publicznej, jak gdyby szkoły istniały wyłącznie dla urzędów, i jak gdyby urzędnicy publiczni stanowić mieli przeważną klasę narodu; drugiem źródłem tego niepowodzenia jest niezawsze szczęśliwy wybór zawodu.

Starożytni filozofowie, jak już samo znaczenie wyrazu tego zapowiada, umieli wszystko, co podówczas umieć można było. W zeszłem jeszcze stuleciu ludzie bystrzejszego pojęcia przyswajali sobie niemal cały obszar wiedzy ówczesnej. Dziś zaledwie pół wieku poźniej życie człowieka już nie wystarcza do objęcia tego, co zbiorowa wiedza ludzkości zagarnęła. Nie mogąc przedłużyć życia i spotęgować sił swoich, człowiek dzieli nauki, a coraz liczniejsze szkoły specyalne są tego podziału nauk następstwem.

W krajach niektórych ilość rodzących się dzieci

nie dochodzi ilości rodzących się pism i xiążek. Ktoż dziś mógłby choćby tylko wiedzieć o wszystkich? A przecież w najlichszej nawet xiążce znajdzie się coś, coby i mędrca pouczyć mogło. Gdzież poza nami pozostały czasy xiąg ręką przepisywanych!

Ogólną dążnością wieku naszego jest podzielność, drobnienie; władze centralne odstępują gminom i powiatom sprawy miejscowe. Dawne uniwersyteta i kolegia, monopolizujące oświatę, dzielić się nią już muszą z zakładami innymi.

Wszakże szkoły tegoczesne rozpadają się może zbyt wcześnie na specyalności. Jeżeli wybór zawodu zależy od młodzieńca samego, trafia on na wiek zbyt jeszcze nieustalony, by mógł być zawsze trafnym i oględnym; jeżeli zależy od ojców lub opiekunów, ulega przeważnie względom ubocznym; nie usposobienia młodzieńca, lecz prawdopodobne widoki kierują wyborem ojców i opiekunów. Niejeden kapral byłby użytecznym ludzkości kapłanem, gdyby go nie były znęciły brzęczące ostrogi i pióro u kapelusza; niejeden cichy a nieznany zakonnik byłby może znakomitym dowódcą, gdyby go były nie powiodły do klasztoru niedostatek lub rozpacz ukryta; niejeden wreszcie kancelista powiatowy byłby może niepoślednim dziejopisarzem, gdyby ojciec jego mógł był znaleść między kronikarzami te same względy i stosunki, na jakie liczył w namiestnictwie lub ministeryum.

Zapytujecie mnie zapewne w tej chwili, jakbym rad widział urządzone szkoły nasze? Oto przede wszystkiem wykreśliłbym stanowczo grekę z rzędu przedmiotów obowiązujących, zapisując ją w szereg studyów

dowolnych i specyalnych, jakiemi są jezyki oryentalne: hebrajski, sanskryt, nowoperski itp., a zatrzymując jedynie język i literaturę łacińską. W ogólności zaś szkoła moja przez ciąg pierwszych lat kilku byłaby podobną do szerokiego gościńca, po którym postępowaćby mogły jednocześnie wszelkiego rodzaju usposobienia. W tych kilku pierwszych klasach nie wymagałbym wykończenia i dokładności odstraszającej umysł młodociany; wykład ogólny natury, zasad i przeznaczenia nauki każdej, wyłożonej w sposób więcej powabny niż dokładny, oswoiłby młodzież moją z naukami wszystkiemi i przygotowałby ją do zrobienia w zawodzie wyboru, opartego już na poznaniu samego siebie i przeświadczeniu o tem, co wybiera. Mój szeroki gościniec rozpadałby się poźniej na drogi szczegółowe, na któreby wstępowali ludzie młodzi, lecz już poniekąd dojrzali, a przygotowani do przyjęcia każdej.

Miałem wiele i bardzo wiele sposobności, bo i sam byłem w tem położeniu przekonania się, że rodacy nasi, którzy przebyli w kraju, chociażby niedokładnie i szybko, wykształcenie encyklopedyczne, stawszy się wychodźcami rzucili się za granicą śmiało i z nader szczęśliwym skutkiem w rozmaite zawody, o których nawet nie marzyli w ojczyznie swojej. Łączność nauk wszystkich i ich wzajemne wspieranie się jest tak popotężną dźwignią w zasobie wiedzy ludzkiej, że żadna rzemieślnicza specyalność jej działalności i twórczości sprostać nie może. Lecz pocoż przywoływałbym wam tu dowody, na które patrzaliście sami.

VIII.

OPIEKA NAD PRZEMYSŁEM.

Opierając się na tem, co powiedziałem w poprzednim liście odnośnie do oświaty publicznej, przypuszczacie, że i w innych zadaniach społecznych a mianowicie w przemyśle i udzielanej mu niekiedy protekcyi, trzymać się będę tej samej drogi: *medium tenuere beati.* Odgadliście; jak w rzeczach oświaty tak w przemyśle, w urządzeniach krajowych a nawet w polityce czystej nie lubię środków gwałtownych i nie dowierzam ludziom skrajnym.

Mając mówić o protekcyi ze strony władzy, pozwólcie mi, że nadmienię wprzód o współubieganiu między pojedynczemi osobami. Trafny w tej mierze Bastiat przedstawia obraz, który, o ile pamiętam, da się streścić w następujących kilku okresach:

Żądania i życzenia pojedynczych stoją najczęściej w sprzeczności z dobrem ogólnem. Gdybym był ogrodnikiem, nie trapiłbym się mocno mrozem ścinającym kwiaty i warzywa po innych ogrodach, byleby nie nawiedził mojego; będąc właścicielem gorzelni, byłbym może wielce zadowolonym, gdyby nikt inny prócz mnie nie miał okowity na sprzedaż, a to bez względu na potrzeby powszechne i właśnie dla tego, iżby wielkie poszukiwanie okowity podniosło jej cenę. Będąc rolnikiem, powiedziałbym z p. P.: „Niech tylko chleb będzie drogi t. j. niech go będzie za mało, a rolnicy dobrze na tem wyjdą“.

Patrząc na tych samych ludzi, stających jako na-

bywcy, to jest wtenczas gdy chcą kupić a nie sprzedać, dostrzegamy zupełnie przeciwne życzenia, życzenia zgodne z dobrem powszechnem. Kto przychodzi na targowicę dla kupna, pragnie znaleść ją zaopatrzoną obficie we wszystko; on pragnie, aby pory roku sprzyjały płodom ziemiańskim, aby coraz więcej wydoskonalona przemysłowość czyniła coraz przystępniejszymi rękodzielnicze wyroby; aby czas i praca były więcej szanowane; aby coraz gęściejsze drogi ułatwiały przewozy i wymiany; ażeby ład i słuszność w zawiadowaniu rzeczą publiczną dozwoliły umniejszyć ciężary publiczne; aby wszystko znikło, co stoi na zawadzie w rozwoju praw i potrzeb narodu.

Rzecz dziwna na pozór: ci sami ludzie, widzimy, tak antysocyalni, gdy mają co do zbycia, pójdą ręka w rękę z dobrem powszechnem, gdy stają jako nabywcy, gdyby nawet pragnienia swoje aż do niedorzeczności posuwali. Zaczem też zadaniem ustaw na tem polu być powinno, pozostawić wolny rozwój usiłowaniom osób pojedynczych.

Ażeby z powyższych rozumowań mylnych nie wyprowadzano wniosków, a mianowicie twierdzenia, jakoby ze strony społeczności wziętej zbiorowo, zatem ze strony władzy, jako jej przedstawicielki, nie należała się żadna pomoc i żadna opieka przemysłowym usiłowaniom osób pojedynczych, dodamy tu jeszcze następującą uwagę.

Opieka udzielana przez władzę przemysłowi, jakiejkolwiek byłaby ona natury, należeć musi do jednego z tych dwoch rodzajów. Ustawy krajowe mogą wziąć pod opiekę przemysł krajowy, albo ze względu

na współubiegania zagraniczne, albo ze względu na trudności, na jakie on napotyka wewnątrz w kraju własnym. Ważną jest rzeczą odróżnić te dwa rodzaje protekcyi: pierwszy może być tylko warunkowym i przemijającym, drugi trwać powinien nieustannie, tak jak nieustannie trwać powinno wszystko, co zmierza do bezpieczeństwa powszechnego i co ułatwia rozwój i postęp oświaty i dobrego bytu.

Co do pierwszego, społeczność winna jest przemysłowi krajowemu opiekę, powiadam, warunkową: ona przeto ma obowiązek strzedz go przed współubieganiem zagranicznem, szczególniej w pierwszych chwilach jego rozwoju, cofając zwolna i stopniowo opiekuńczą rękę, a to w miarę jak przemysł ten wznosi się i wydoskonala. Silna początkowo opieka stawia go w możności usadowienia się, bo go chroni od współubiegania obcych, może więcej wydoskonalonych; stopniowe cofanie tej opieki znagla go do doskonalenia się własnego, przyzwyczaja do stania o własnych siłach i podnosi do równowagi z zagranicznymi.

Co do drugiego rodzaju opieki czyli protekcyi, jaką społeczność winna rolnictwu i przemysłowi krajowemu, to jest, co do opieki wewnętrznej, tę zamknąć można w kilku wyrazach: społeczność wzięta zbiorowo winna jest przede wszystkiem zapewnić członkom swoim bezpieczeństwo osób i mienia, dalej ułatwienie komunikacyj; ona winna urządzić zakłady wychowania przygotowujące młodzież do rozmaitych gałęzi prac przemysłowych, co wszystko cięży na społeczności całej, zatem jest zadaniem urządzeń kra-

jowych. Prócz tego naród każdy winien jeszcze w każdym kierunku rozwijającemu się przemysłowi pomoc, której tenże nie znalazłby gdzieindziej: on winien urządzić dla niego składy, dające zaliczki na płody i wyroby, które chwilowo nie znajdują odbytu; tudzież banki kredytowe zasilające gotowizną przemysł rolniczy i fabryczny w chwilach stagnacyi lub niepowodzenia.

Prócz dwoch powyższych rodzajów protekcyi czyli opieki jest jeszcze inna, trzecia, obracająca się zawsze na niekorzyść powszechną, bo usypiająca postęp równie przemysłu jak oświaty i swobód obywatelskich. Ten trzeci rodzaj opieki odrzucają też wszyscy publicyści, a wszystkie sumienne rządy wypuszczają go z rąk swoich stopniowo. Tym trzecim rodzajem opieki jest uciążliwa, niewolnicza troskliwość, jaką rządy niektóre rozciągają ponad wszystkiemi czynnościami gmin, stowarzyszeń, a nawet pojedynczych obywateli. Opieka ta utrzymuje ich a tem samem naród cały w nieustającej małoletności i dojrzenia jego nie dopuszcza. Urządzona w tym kierunku nie chybia ona nigdy swojego celu, lecz dogodna niekiedy na czasie, przygotowuje smutne następstwa, bo zupełną niemoc, równie w łonie społeczności urządzonej w ten sposób, jak w ognisku władzy, która ten stan rzeczy utrzymuje, której siła wyrasta jedynie z łona tamtej, która przeto raz usnąć musi jej niemocą.

Dla tego też słusznie powiada Bastiat: „Chciałbym, iżby każdemu człowiekowi pozostawiono wolność rozporządzania tem wszystkiem, co do niego należy i prawo nadzorowania tych szczegółów, zatem

wolność rozporządzania swoją osobą, swojemi siłami, swoją rodziną, swojem mieniem, swoimi stosunkami, swojem uzdolnieniem, swoją pracą, swoją posiadłością.

W Ameryce wolność i demokracya opierają się głównie na powyższem pojęciu praw obywatelskich: tam każdy obywatel przestrzega ich chciwie i pragnie pozostać niezawisłym panem siebie i swojego. Na tej drodze pozostawieni sami sobie ludzie, żyjący z pracy, usiłują podnieść stanowisko swoje: oni też rzeczywiście wychodzą z ubóstwa, a często dostępują wysokiego w społeczności stanowiska. Na tej drodze bogaci nie lękają się o swoje mienie, a zgodne wszystkich usiłowania podnoszą ciągle oświatę i potęgę narodu. I w rzeczy samej: w niedługim lat szeregu Amerykanie pojedynczemi tylko usiłowaniami dostąpili energii, bezpieczeństwa, zamożności i równości, jakich dzieje świata nigdy jeszcze nie przedstawiły.

Słowem, mięszanie się władzy do ruchów społecznych, leżących w zakresie spraw pojedynczych, to ucisk i niewola, to uspienie i niemoc, to ciemnota i niedostatek.

Kończąc list mój dostrzegam, że zeszedłem także z drogi środkowej; zeszedłem z niej, bo w przekonaniu mojem zbyt długie łańcuchy paragrafów, to okowy krępujące życie ludzkości.

IX.

HANDEL ZEWNĘTRZNY I WEWNĘTRZNY.

Przyjmując mój podział opieki czyli protekcyi, jakie rządy rozciągają do przemysłu krajowego, na

wewnętrzny i zewnętrzny; zgadzacie się z ogólną zasadą wspierania przemysłu krajowego o tyle tylko, o ile opieka ta rozciągnąćby się dała do wszystkich płodów i wyrobów krajowych. Zapewne: jednostajność ustaw, to jest podciągnie wszystkich kraju obywateli pod te same przepisy, udzielanie tej samej opieki wszystkim, zatem zarówno wszystkiemu, co do nich należy, jest naczelną zasadą słuszności i warunkiem powodzenia ogólnego. Wszakże, a na to zgodziliście się już nieraz, stosunki życia społecznego są tak rozmaite, tak zmienne i tak chwiejne, że nie ma zasady naukowej, któraby bezwzględnie, wszędzie i zawsze przystosować się dała, pomimo że te same prawdy służą za podstawę urządzeń wszelakich, występują we wszystkich ruchach społecznych.

Gdyby chciano wspierać bezwzględnie i zarówno wszystkie pojawiające się w kraju gałęzie przemysłu, wspieranoby często jedne na niekorzyść drugich. Pomiędzy ludźmi przedsiębiorczymi znajdują się niekiedy zbyt rzutni, awanturniczo śmieli, podejmujący rzeczy, o których z góry z pewnością powiedzieć można, że zamierzonego nie osiągną celu; są znów ziemiopłody, których żadne wysilenie danemu krajowi przyswoić nie zdoła; są wreszcie rodzaje przemysłu, które z rozmaitych przyczyn w danym kraju odpowiedniego nie sięgną powodzenia. Wspierać tego rodzaju usiłowania jestto marnować grosz narodowy, uszczuplając możliwość podania ręki tam, gdzie jest pewność powodzenia, gdzie zatem sprawa prywatna łączy się z dobrem powszechnem.

Pomarańcze sprowadzone do Francyi z Portugalii

są o trzecią część tańsze, a dziesięć razy lepsze od miejscowych, pomimo że południową Prowancyę nazwano ogrodem Francyi. Tego podziału przyrodzonej pracy po świecie nie przełamie sztuka ludzka. Wolno jest także narodom potężnym i bogatym rzucić co rok parę milionów dla okazałości i sławy swego przemysłu, jakto czyni Francya z zachwycającemi malowidłami i wyrobami porcelany w Sevres, lub z subtelnemi i malowniczemi tkaninami kobierców, gobelinów; ale wspierać przemysł, który ani powodzenia, ani sławy nie rokuje, byłoby to więcej niżeli błędem.

Jest jeszcze inna, niemniej ważna okoliczność, niedopuszczająca powszechnego wspierania przemysłu. Wspieranie przemysłu pociąga ogromne koszta; koszta te pokrywać muszą podatki. Jeżeli podatki te rozciągnąć chcielibyście do samych tylko przemysłowców, których ścisłą oznaczyć granicę nie jest łatwem zadaniem, w tym razie, ażeby zostać sprawiedliwym, musielibyście każdemu z nich przyznać wsparcie czy zachętę odpowiadające rozmiarowi jego przedsiębiorstwa, wedle którego także obciążylibyście go podatkiem. Inaczej mówiąc, zwrócilibyście każdemu to, co złożył, po strąceniu części straconych w podróży na koszta zarządu, poboru i rozdziału. Gdybyście chcieli przeciwnie podatkiem na ten cel uchwalonym obciążyć wszystkich kraju obywateli, w tym razie popełnilibyście jeszcze błąd drugi, a nawet niesłuszność, bo niepodobieństwem jest obliczyć przypadających na każdego mieszkańca opłat od przedmiotów rozmaitych, których on potrzebować może,

a których potrzeba sama jest niezmiernie zmienną i nieprzewidzianą. Prócz tego, wspierać wszystkich kosztem wszystkich byłoby to aforyzmem niedorzeczności.

Usprawiedliwiłem wam się, a raczej uzupełniłem to, co w poprzednim liście moim powinienem był objąć. Rozbierając rozumowania moje odnoszące się do protekcyi zewnętrznej, przychodzicie naturalnym związkiem do handlu zagranicznego, w którym, jako rolnik, zwracacie naprzód oczy na ziemiopłody, szczególniej zaś na wywóz zboża krajowego. Idąc za waszym śladem, przechodzę także do handlu zbożowego.

Nie życzyłbym żadnemu narodowi, któremu życzę dobrze a naszemu mniej niż innym, przemijającej i niebezpiecznej pomyślności opartej na wywozie zboża za granicę. Mówię przemijającej i niebezpiecznej: zboże bowiem pokrywające u nas niemal trzy czwarte powierzchni ziemi, wycieńcza ją więcej bo na większej przestrzeni, niż jakiekolwiek inne płody. O szczegółach tych rozprawiałem obszernie na właściwem miejscu. Nie życzyłbym jej i dla tego jeszcze, że pomyślność oparta na wywozie zboża, jest chwiejną, bo zależną od miejscowych urodzajów i nieurodzajów zagranicznych. Pomijając przeto zboże, zatem przenosząc się myślą jedynie na targowiska wyrobów więcej przemysłowych niż rolniczych, jakimi są wełna, płótno, wosk, tłuszcze i t. p., powiadamy, że każdy naród zyskuje, gdy szczegóły te sprzedaje innym, i każdy naród zyskuje, gdy szczegóły te kupuje od innych, a to wedle położenia i ułatwień,

jakie napotyka w wypładzaniu lub wyrabianiu tych lub owych przedmiotów.

Jest to dziwną ale niewątpliwą rzeczą, że największymi teorykami są ludzie zwiący się praktycznymi: ich każde twierdzenie jest maxymą, zasadą, prawdą ogólną. Ci ludzie praktyczni powstając przeciw sprowadzaniu wyrobów z zagranicy, z powodu wychodzących z kraju pieniędzy, mają zapewne najlepsze chęci, a nawet w życzeniu ich jest wiele prawdy; ich rozumowania jednak są najczęściej mylne, właśnie dla tego, że się opierają na wywożeniu pieniędzy za granicę. Sprobujmy przyjść im w pomoc, przedstawiając sposobem rzeczywiście praktycznym naturę wymian międzynarodowych, których często nie pojmują dość jasno.

Tu znów dotknąć muszę pieniędzy, lubo o nich rozprawialiśmy już dawniej. W życiu praktycznem na tysiąc a może na dziesięć tysięcy wymian to jest zbycia i nabycia, przydarza się zaledwie jedna dokonana bez pośrednictwa pieniędzy. Ktoś wymienił charta na wierzchowca, lub wyżła na strzelbę, lub wreszcie, jak to się działo do niedawna w Moskwie, ogiera na kucharza; wszystkie inne zbycia i nabycia są już sprzedażą i kupnem. Skutkiem pośrednictwa pieniędzy żadnemu rolnikowi nie przyjdzie przez myśl mieniać swoje zboże na buty, cukier, odzież; niem płacić lekarza, adwokata, modniarkę, konwikta swoich córek lub popasy i noclegi: on swoje płody sprzedaje za pieniądze i pieniądzmi wynagradza rzemieślnika, adwokata i innych. Ten środek wynagradzania za doznane usługi i otrzymane przedmioty, środek

przyjęty przez osoby pojedyncze, szerząc się ciągle pomiędzy pojedynczemi, przeszedł na pole wymian międzynarodowych, w których stronami czyniącemi te wymiany nie są narody wzięte zbiorowo, ale równie jak tam ludzie pojedynczy, należący do tego lub owego narodu.

Przypuśćmy, że pewien naród zamknął granice swoje przed wszystkimi obcymi wyrobami, że zatem wszystkie potrzeby jego ludności zaspakaja przemysł wewnętrzny. Rolnik sprzedający w kraju zboże, drzewo, bydło, otrzyma od krajowców, którzy szczegóły te nabędą od niego, pieniądze, to jest przekazy, bony, asygnacye, podzielne do nieskończoności i do nieskończoności skupiać się dające. Rolnik ten nabywając rownież od krajowców rozmaite przedmioty i najmując ich posługi, zwracać im będzie częściowo przekazy, zatem pieniądze, które otrzymał od tamtych. Wszyscy mieszkańcy danego kraju znajdą się w podobnem położeniu: zaczem też każdy z nich, wyjąwszy głupców zakopujących w ziemię monety, wydał w danym przeciągu czasu, zupełnie tyle ile był otrzymał, a wydał bądź na zaspokojenie swoich potrzeb, bądź na powiększenie swojego mienia, bądź wreszcie na przyspieszenie jego upadku; zaczem dalej, każdy z nich odstąpił innym tę samą wartość przedmiotów lub usług, jaką za nie otrzymał od innych.

Przypuszczając że naród, o którym mówimy, otworzył naraz granice swoje, w tym razie mieszkańcy jego owoce pracy swojej przelewać będą na osoby inne, już nie w granicach własnych, ale na przestrzeni kilku narodów, lub ludzkości całej. Jak przed

otwarciem granic obojętną było dla narodu rzeczą, w czyje ręce pomiędzy mieszkańcami kraju przeszły w obieg puszczone szczegółowe płody i wyroby, tak obecnie jest mu równie obojętnem, czy przedmioty te utkwiły ostatecznie w Szląsku, na Wołoszczyznie lub gdzieindziej, a to na zasadzie tej samej równowagi między wartością przedmiotów zbytych a pieniędzy i pięniędzy a przedmiotów nabytych. Jak tam tak tu każdy mieszkaniec naszego kraju wydał w danym przeciągu czasu zupełnie tyle, ile był otrzymał, tam ze zbiorowych zapasów krajowych, tu ze zbiorowych zapasów ludzkości całej.

Jeżeli w miejsce osób pojedynczych, które tu wprowadzamy w grę wymian, postawimy sumę wszystkich osób, jednostkę zbiorową, naród, wszystko to, co tam jest prawdą na małym rozmiarze, pozostanie tu także prawdą przeniesioną na pole rozległe, i dla tego tylko trudniejsze do przejrzenia, że rozległe; co jest prawdą w wymianach między człowiekiem a człowiekiem, być musi prawdą w wymianach między ludźmi a ludźmi, bo wymiany między narodami są rzeczywiście tylko wymianami między ludźmi; narody wzięte zbiorowo umieją się tylko pożerać.

Gdzie ustawodawstwo cywilne, prawa polityczne a za niemi cywilizacya prawdziwa rozpościerająca się między ogółem narodu, rodzą w nim potrzeby wyższe i coraz rozleglejsze, tam pojawiają się w miarę tego usiłowania, żądaniom tym odpowiedzieć pragnące. Gdzie nie wystarczają siły miejscowe, tam cisną się obce, przybywające z łona narodów, które się wzniosły nad inne oświatą, zamożnością, doświadczeniem. „Przedtem wyprowadzaliśmy tkaniny gotowe, użalał

się jeden z mowców izby handlowej w Manchester; poźniej w ich miejsce już tylko przędzę będącą materyałem surowych tkanin; następnie maszyny, które są narzędziem do wyrabiania przędzy; poźniej kapitały, przy pomocy których budujemy maszyny; w końcu naszych robotników i nasz duch przedsiębiorczy, które są źródłem naszych kapitałów.“ Szanowny mowca izby handlowej nie pojmował, że tylko gwałt, przemoc i bezprawie powstrzymać mogą ten przyrodzony ruch usiłowań ludzkich; że wypełnione naczynie życia narodowego wylewać się musi na zewnątrz i osiadać tam, gdzie poziom miejscowy wysokości jego nie sprostał jeszcze; że ta wspólność łącząca narody obraca się na korzyść jednych i drugich, nasuwa ona tamtym sposobność koncentrowania sił olbrzymich na mniejszej przestrzeni, tym wspierania słabych jeszcze sił własnych obcemi i doganiania ogólnej świata cywilizacyi.

Jednym z najmniej pewnych a nawet wielce złudnych przewodników postępowania i urządzeń zmierzających ku zasilaniu przemysłu krajowego jest dotąd wszędzie jeszcze zestawienie wywozu z przywozem, czyli tak zwany balans handlowy, oparty bądź na deklaracyach kupców samych, bądź na ocenieniach przepisanych. Zestawienia te mogłyby mieć rzeczywiście wielkie statystyczne znaczenie, gdyby je sporządzano tak jak to dzisiejsza nauka gospodarstwa społecznego pojmuje i według wyjaśnień, jakie ona daje co do wzajemnych korzyści płynących z wymian międzynarodowych.

Jestem kupcem prowadzącym handel zagraniczny: zakupuję w kraju naszym wełnę i płacę ją po 50

za cetnar, a sprzedaję ją za granicą po 100 zyskując po strąceniu przewozu 30. Z tych pieniędzy kupuję za granicą za 50 sukna i jedwabie, na których, przywiózłszy je do kraju, zyskuję 20. Zysk mój ogólny jest 50: zysk mój, to zysk kraju, bo korzyści ogólne narodu składają się z korzyści pojedynczych obywateli. Jeżeli wełna moja przy wywozie zapisaną została w wartości 50, to jest po cenie krajowej, zaś towary, które przywiozłem po cenie, po jakiej kupiłem je za granicą, nierównie niższej od krajowej: zestawienie tych wymian przedstawi stratę to jest różnicę między ceną wełny a towarów sprowadzonych, różnicę opartą nie na wartości, jaką oba te przedmioty posiadają w kraju naszym przy ich kupnie i sprzedaży, lecz na tych jakie posiadały tylko przy ich kupnie w dwoch różnych krajach. Jeżeli wełnę, którą wyprowadziłem, zapisano na granicy po cenie zagranicznej, w tym razie strata balansowa zwiększy się w dwójnasób. Jeżeli te kupna i te sprzedaże zestawiam i porównywam podług cen, jakie one miały w krajach, z których wyszły, ich zamiana wyda mi się jako strata, bowiem to, co nabywam, ma mniejszą wartość od tego, co zbywam. Jeżeli wreszcie równie to, co wywiozłem jak to, co przywiozłem, zapisano na granicy po cenach, jakie przedmioty te mają w kraju naszym, a za podstawę porównania biorę jedynie pieniądze te, które przedstawiają wełnę wywiezioną jako sprzedaż, zaś te, które przedstawiają towar przywieziony, jako kupno, w tym razie balans przedstawi stratę 50 na 100, która przecież rzeczywiście jest zyskiem niewątpliwym.

W ogólności balans handlowy, w jakikolwiek sposób prowadzony, przedstawi stratę przy każdej wymianie, przy której przedmioty wywożone z kraju są u nas tanie, a te, które przywozimy, znacznie droższe niż za granicą; ostatecznie zaś wnioskiem każdego balansu handlowego być musi, że jeżeli to, co naród wyprowadza, ma u niego mniejszą wartość od tego, co wprowadza, różnica między temi dwoma cenami przedstawia jego stratę. Żaden z kupców w swoich prywatnych sprawach nie zgodziłby się z tą zasadą, a przecież ogół kupców prowadzących handel zagraniczny to handel zagraniczny narodu.

Zacząwszy mówić o handlu zagranicznym, przeszedłem mimowolnie na balans międzynarodowy. Ten ostatni, gdybym chciał iść dalej, zwróciłby mię do zadań finansowych, zatem znów do pieniędzy. Ażeby nie wznawiać szczegółów, w których porozumieliśmy się już zupełnie, pozwólcie mi w to miejsce przytoczyć parę uwag odnoszących się do handlu wewnętrznego, zestawiając go z międzynarodowym.

Gdybyście mnie zapytali, czem, wedle zdania mego, zajmować się powinien głównie handel zagraniczny, a czem wewnętrzny, odpowiedziałbym: tem co dla każdego z nich jest najkorzystniejszem, a czem też zajmują się one rzeczywiście w danej chwili; korzyści bowiem osób pojedynczych są korzyścią zbiorową narodu. Powtarzam, w danej chwili, bowiem nie wszystko, co jest korzystnem obecnie, przygotowuje błogie następstwa. Szwajcarya, Belgia, a szczególniej Anglia, które wywożą wyroby kosztowne, pracowite, umiejętnie sporządzone, mające wy-

soką wartość przy małej objętości, zaś sprowadzają w znacznej części przedmioty służące ku pożywieniu lub jako materyał surowy, odnoszą ogromne korzyści równie z przemysłu fabrycznego jak z zagranicznego handlu, który jest ich następstwem. Korzyści te zwykle trwałe nastręczają utrzymanie licznej klasie robotników, są bodźcem podnoszącym coraz wyżej techniczne narodu wykształcenie i wzmagają coraz szybciej jego zbiorowy zasób. Narody przeciwnie, a pośród nich głównie może krainy nasze, wywożące płody ziemiańskie, surowe, które mają niską wartość obok wielkiej objętości, których odbyt jest chwiejny, obfitość niestała, które są głównie dziełem przyrodzonej urodzajności ziemi; narody te mogą trafiać na lata szczęśliwe, nawet na długie lat takich szeregi, ale ich handel zagraniczny prowadzi je zwolna ku upadkowi, bo wycieńcza ich ziemie; one wyprzedają częściowo ziemię ojczystą. Przedmioty, które otrzymują w zamian, z małem wyłączeniem, służą w ogóle ku zaspokojeniu potrzeb wyszukanych, jakiemi są: stroje niewieście, ozdoby salonowe, przysmaki wykwintne, powozy i tym podobne szczegóły, nie przyczyniające się zupełnie ani do dobrego bytu w narodzie, ani do jego oświaty, ani do jego przemysłu; one przeciwnie nikną bez śladu i skutku, drażnią namiętności, rodzą głupią pychę, odwracają od pracy i nauki, a ich ostatecznem następstwem jest drugie wycieńczanie kraju podające rękę tamtemu.

Prawdziwem źródłem korzyści narodowych, źródłem niewyczerpanem, jednostajnem, jest handel wewnętrzny, szczególniej zaś handel zajmujący się wy-

robami ludowymi, do których, przez szczególny pociąg, odnoszę się przy każdej sposobności.

O wyrobach ludowych mówiłem obszernie w pracach moich; o handlu zajmującym się nimi miałem mówić w „drugiej części“; a pociąg mój ku nim jest tak wielki, że przenoszę żydków sprzedających po miasteczkach w nędznych sklepikach lub po jarmarkach kosy, siekiery, sukna grube, pasy, kapelusze, skóry, wyroby krajowe, nad tych napuszonych panów kupców po większych miastach, obracających kapitałami, które wybierają na wexle z zakładów publicznych, zdobiących sklepy swoje okazałą wystawą i sążnistemi szybami w oknach, płacących po 1000 guldenów rocznie (fakt niezmyślony!) za inseraty w gazetach, któremi wabią łatwowierne i lubiące okazałą toaletę szlachcianki, pędzących w domu życie pańskie, dających okazałe wieczory, strojących córki jak xiężniczki, i wiecie co dalej? ogłaszających upadłość, aby pokryć wierzycieli dziesiątą częścią ich należytości, i otworzyć sklep nowy, okazalszy od dawnego, lub zejść na szurgota (fakt niemniej prawdziwy), bo nie zgadza się z godnością byłego kupca iść pracować w sklepie cudzym schodząc napowrót na kupczyka. Jakże wyżej nich pod każdym względem stoją nasi rękodzielnicy, których niższymi od siebie być sądzą!

Gdybyście mnie zapytali dalej, co czynić ma władza, by wspierać handel wewnętrzny, odpowiedziałbym: prawie nic. *Laissez faire*, *laissez aller* posunięte może zadaleko w chwili, gdy powstało, jak każda myśl nowa sięga zwykle zadaleko, jest przecież wiel-

ką prawdą, której nauka w zupełności nigdy nie zarzuci. Zadaniem władzy co do handlu wewnętrznego jest ułatwić komunikacye, zatem poprzecinać kraj gościńcami bitymi, zniżyć o ile można opłaty drogowe i celne, upewnić bezpieczeństwo, złagodzić przetrząsania, nie ograniczać miejsca i czasu, gdzie i co ma być sprzedawanem, o ile to nie narusza porządku i bezpieczeństwa publicznego, nie mieszać się do cen żadnych zostawiając je powszechnemu współubieganiu; zaś ze względu na kupujących czuwać nad sumiennością miar i wag, jak niemniej nad tem, by nie sprzedawano jako czysty jedwab' lub czyste płutno tkanin, w które wchodzi bawełna, chleba żytniego, w który wchodzą ziemniaki lub subtelna mączka z gliny (fakt także prawdziwy), piwa ze salmiakiem, tytoniem lub centuryą zamiast chmielu, lub wreszcie wódki z witryolem lub innym roztworem chemicznym.

Rozgadałem się może za wiele. Przebaczycie mi zapewne pomnąc, że z wami tylko rozmawiam o rzeczach, które mnie tak blisko obchodzą.

X.

KREDYT.

Handel, o którym rozprawialiśmy w naszych listach poprzednich, istnieć nie może, powiadacie słusznie, bez wzajemnego zaufania, zatem bez kredytu; on nawet opiera się głównie na nim. Zapewne, jest rzeczą niepodobną płacić z góry za towary, które się

zamawia za granicą, bowiem żaden fabrykant zaręczyć nie może, że to, co przeszle zamawiającemu, odpowie w zupełności życzeniu jego co do rozmiaru, gustu, gatunku i t. d. Płacenie z dołu za otrzymane towary jest już początkiem kredytu, gdyby nawet spłata ta następowała bezzwłocznie i bezpośrednio. Prócz tego, przesyłanie każdorazowe pieniędzy w miejsca odległe przedstawia trudności i niebezpieczeństwa, od czego uwalniają należytości wzajemne kupców osiadłych w rozmaitych krajach, którzy pokrywają się niemi za pomocą przekazów i wexli, w czem pośredniczą im domy bankowe lub banki publiczne. Bez tych wzajemnych, międzynarodowych należytości i bez ułatwień, jakie dziś istnieją w ich pokrywaniu rachunkiem, handel zagraniczny byłby niewątpliwie nie doszedł wydoskonalenia i łatwości, z jakiemi się rozpościera po świecie całym. Te pokrycia drogą przekazów i wexli w terminach umówionych, niekiedy z góry, zwykle zaś po upływie pewnego przeciągu czasu uiszczane, są właśnie kredytem handlu zagranicznego.

Nie tylko handel zagraniczny potrzebuje niezbędnie kredytu, bez niego przemysł miejscowy napotykałby także na trudności, których często pokonać by nie zdołał. Jak tam odległość miejsca, tak tu rozmaitość czasu czyni niekiedy niemożliwem pokrywanie gotowizną wszystkich należytości. Co znajduje odbyt w pewnych porach roku, przygotowanem być musi w porach poprzednich, a potrzebne ku temu materyały surowe nabyte być muszą wcześniej jeszcze. Gdyby zbycia przedmiotów przygotowanych już ostatecznie postępowały zawsze jednostajnie i zarówno, te

przychody jednostajne stawiałyby rękodzielnika w możności pokrywania gotowizną swoich nakładów. Ale tak nie jest. Jak cena materyałów surowych i robotnika, tak cena wyrobów gotowych i ich odbyt, zależą od licznych wpływów ubocznych, które ruch przemysłu wszelakiego utrzymują ciągle w stanie chwiejnym i niepewnym. Ta zmienność jego, raz stagnacya za długa, to znów poszukiwania natarczywe, jak niemniej potrzeba wczesnego przygotowywania wyrobów, bez możliwości obliczenia z góry ich odbytu, sprawiają, że przemysł wyrobniczy równie jak handel zagraniczny, obejść się nie może bez kredytu przy kupnie materyałów surowych, tak jak odmówić go nie może przy sprzedaży swoich wyrobów.

Nie mogę się powstrzymać, by wam tu nie przypomnieć szczegółu, który mi leży na sercu, któremu też poświęciłem kilka ustępów w mojej „Szkole polskiej“. Jeżeli są jakie gałęzie przemysłu, któreby obejść się mogły bez kredytu, dla tego właśnie, że jego wyroby znajdują odbyt jednostajny, pewny, nieustający i rozległy, gałęziami temi przemysłu mogą być jedynie wyroby ludowe, zaspakajające potrzeby zwykłe, powszechne, codzienne, obejmujące najliczniejszą klasę narodu, dostarczające jej odzieży zwykłej, i narzędzi najpowszechniejszych, bez których obejść się nie może. Wyroby ludowe wspierając najsilniej przemysł krajowy, podnoszą zarazem byt dobry w narodzie całym.

Rolnictwo pod pewnym względem jest także przemysłem, pomijając nawet wyroby rzeczywiście przemysłowe, które ono niekiedy wciela w siebie ubocz-

nie; ono też równie jak przemysł rękodzielniczy płody, które sprzedaje przeważnie w pewnych porach roku, przygotowywać musi w poprzednich. Okoliczność ta znaglająca je do przedpłat, do wydatków, poprzedzających o wiele spodziewane przychody, jest główną przyczyną natarczywego domagania się kredytu, o który wołają ciągle ziemianie. Ich żądania są słuszne: kredyt utworzony dla rolnictwa w tem pojęciu i na te cele przynieść musi zbawienne skutki; on przyspiesza jego upadek, gdy się rozciąga nie do płodów rolniczych już przygotowanych lub przygotowujących się, ale do majętności, do tego nieruchomego warsztatu, na którym powstają płody ruchome.

O szczególe tym mówiłem w pracach moich, a mianowicie w rozdziale poświęconym kredytowi. Tu dołożę, ponieważ żądacie tego, kilka jeszcze uwag, które równie jak powyższe chciejcie wziąć za przypisek do rzeczonego rozdziału.

Po wszystkie czasy, a w ostatnich czasach więcej niż kiedykolwiek, rozmyśliwano nad upowszechnieniem i ułatwieniem kredytu. Zapał, z jakim ludzie rozmaitego powołania szukają za środkami wiodącymi do tego celu, opiera się głównie na mylnem pojęciu natury kredytu, wartości, pieniędzy, słowem wszystkich tych szczegółów, które się pojawiają jako czynniki zbycia i nabycia. Najprzód mieszają oni, powiada Bastiat, pieniądze z wartością, następnie pieniądze papierowe z monetą kruszcową, a z tych dwoch mylnych i zwikłanych pojęć wyprowadzają trzecie mylniejsze jeszcze od nich, które kredytem

nazywają. Ażeby dojść do zdrowego pojęcia kredytu, a tem samem podać skuteczne środki ku jego rozwinięciu, potrzeba przede wszystkiem zapomnieć na chwilę o pieniądzach kruszcowych, o monecie papierowej, o papierach pożyczkowych wszelkiego rodzaju, słowem o wszelkich środkach, przy pomocy, których wartości społeczne przechodzą z rąk do rąk drogą wymiany, a zachować tylko wartości same, rzeczywiste, które są jedynie prawdziwym przedmiotem pożyczki.

Jeżeli rolnik, podaje jako przykład Bastiat, którego lubicie cytować, zapożycza 100 złotych, by za nie kupić pług, zapożycza on istotnie nie 100 złotych ale pług. Jeżeli ktoś zapożycza 20.000 złotych, by za nie kupić lub wystawić dom, zapożycza on równie jak rolnik dom, a nie 20.000 złotych. Jak tu tak tam pieniądze występują jedynie jako pośrednik ułatwiający pokrycia pomiędzy osobami czyniącemi wymiany, lub biorącemi udział w pracach przedsięwziętych. Ci co mieli dom i pług do zbycia, nie chcieli lub nie mogli dać ich na kredyt, to jest poczekać na pokrycie odstąpionej wartości. Przeciwnie znaleźli się ludzie, którzy nie mieli ani domu ani pługa, lecz mieli pieniądze do zbycia to jest do wypożyczenia. Rolnik poszukujący za pługiem i mieszczanin poszukujący za domem zaciągają tedy pożyczki pieniężne u osób trzecich i za nie kupują dom i pług.

Jak w powołanych tu wypadkach, tak zawsze i wszędzie, pieniądze nie zapożyczają się dla otrzymania pieniędzy, dla wejścia w ich posiadanie jako celu ostatecznego; one zapożyczają się jako środek, przy

pomocy którego dochodzimy do posiadania przędmiotów samych. Ponieważ zaś nie pieniądze ale rzeczy i usługi rozmaitego rodzaju są celem poszukiwania, są tem, co ludzie otrzymać pragną za pomocą kredytu, nie ilość przeto pieniędzy i papierów, ale ilość rzeczy i usług poszukiwanych stanowi o łatwości lub trudności kredytu. Zaczem jeszcze, jakąkolwiek byłaby w kraju ilość pieniędzy i papierów, ogół zapożyczających nie może otrzymać i nabyć więcej pługów, domów, narzędzi, żywności, odzieży nad to, co ogół zbywających posiada na zbycie.

Jeżeli w kraju, powie kto, czuć się daje niedostatek żywności, odzieży, narzędzi i innych potrzeb, szczegóły te sprowadzić można z krajów innych. Zapewne; lecz te kraje inne nie dostarczą ich darmo, bo żaden naród nie czyni podarunków drugiemu narodowi: wartości sprowadzone trzeba pokryć wartościami, które wyprowadzić możemy; czyli ażeby módz kupić, trzeba módz sprzedać, to jest potrzeba posiadać pewne wyroby na zbycie, a przynajmniej pewność, że się je posiadać będzie w chwili, gdy przyjdzie termin pokrycia tych, które się otrzymało na kredyt.

Czynności wszelkie odbywające się drogą kredytu podzielić można na dwa rodzaje: na te, które załatwiają pomiędzy sobą bezpośrednio ludzie pojedynczy, gdy jeden z nich zbywa na kredyt, drugi na kredyt nabywa, między którymi przeto zaczyną się i kończy działanie kredytu; następnie na te, gdzie pośrednikami są zakłady publiczne, bądź rządowe, bądź

prywatne. Przyjąwszy ten podział twierdzić możemy, że wszelkie pomysły i wymagania odnoszące się do kredytu zmierzają do tego drugiego rodzaju, to jest do zakładów publicznych; układy bowiem zawierane przez dwie pojedyncze osoby zależą od nich samych i im samym pozostawione być muszą.

Jakąż tedy przysługę ogółowi świadczyć może zakład kredytowy? Oto przeznaczeniem jego jest stanąć pomiędzy wypożyczającymi a zapożyczającymi, zbliżyć ich ku sobie i ułatwić im a właściwie przejąć na siebie ich porozumienie się, ich umowy. Posługę tę każdy zakład kredytowy wyświadczyć może i wyświadcza rzeczywiście; ale jest szczegół, którego żaden podjąć się już nie jest w stanie, a szczegółem tym jest pomnożenie ilości przedmiotów lub usług, przeznaczonych na zbycie lub nabycie.

Zapytujemy teraz osoby narzekające na brak kredytu w kraju; wołające o zaprowadzenie instytucyj kredytowych, bądź przez rząd, bądź przez stowarzyszenia prywatne; zapytujemy je, czy im chodzi o odbicie pieniędzy papierowych, asygnatów bankowych, listów zastawnych i innych papierów, które są znamieniem i poręką zakładu biorącego pośrednictwo w rzeczach kredytu pomiędzy obywatelstwem krajowem, lub krajowem i zagranicznem; czy też idzie im o otrzymanie drogą kredytu, zatem drogą pożyczki, przedmiotów, które potrzebują w rozmaitych swoich zawodach i przedsiębiorstwach, czy przedmiotami tymi są towary w handlu, narzędzia rolnicze, robotnicy, czy nawet pieniądze na opłacenie robotników?

W sposobie zapatrywania się na kredyt i w poj-

mowaniu jego natury przez osoby, które się najgoręcej o niego dopominają, pojawia się, prócz błędu wytkniętego wyżej, druga jeszcze wymagalność: one chcą, by państwo, społeczność wzięta zbiorowo, zatem rząd, stanął jako poręczyciel w usłudze tych, którzy potrzebują kredytu, którzy zatem potrzebują towarów, narzędzi, robotnika, a kredytem osobistym otrzymać ich nie mogą. Jeżeli osoby te nie przedstawiają dostatecznego bezpieczeństwa, domagania się ich są napróżne: one poręczyciela znaleść nie mogą; jeżeli przeciwnie ich zamożność i ich dobra wiara przedstawiają dostateczną pewność, w tym razie trudności, jakich doznają, należą do wypadku, o którym mówiliśmy wyżej: one są następstwem ubóstwa powszechnego, zatem niedostatku przedmiotów, które otrzymać pragną. Gdyby chciano ratować osoby tamte nie przedstawiające dostatecznego bezpieczeństwa, a to przez poręczenie, jakieby uczynił za nie rząd, przeto społeczność wzięta zbiorowo, uczynionoby na ich korzyść krzywdę ogółowi, bo ogół musiałby przez pośrednictwo swego rządu drogą podatków lub składek pokrywać należytości poręczone, a których dłużnicy niewypłacalni nie pokryli sami.

Zdaje mi się, że te kilka ustępów dają, lubo streszczone, dość jasne określenie natury kredytu, szczególniej ze stanowiska zakładów kredytowych, na które w liście waszym największy zrobiliście nacisk. Gdyby ludzie zamożni, a obok tego przedsiębiorczy i zajmujący się dobrem powszechnem, chcieli raz uwierzyć, że w stosunkach, potrzebach i ruchach życia społecznego nie można sądzić z samej tylko

praktyki, z doświadczenia, z tego do czego nas doprowadza loika i rozum naturalny; że aby sądzić o tych ruchach i pojawach, trzeba czegoś więcej, trzeba nauki, bo człowiek żyje za krótko, by w sobie urobił sam, co urobiły wieki i pokolenia; słowem gdyby ludzie ci chcieli wprzód przyswoić sobie byle główne zasady nauki gospodarstwa społecznego; widzielibyśmy inne wpośród nas usiłowania: zamiast zakładania banków dla przemysłu, którego nie ma i dla rolnictwa, które przez brak odbytu miejscowego rozwinąć się nie może, skupialiby oni siły swoje i miliony, które przeznaczają na banki i koleje, zwróciliby ku wznoszeniu po kraju rękodzielni wyrobów ludowych i potrzeb średnich. Banki kredytowe powstają wszędzie skutkiem potrzeby: one zasilają i podnoszą przemysł i rolnictwo, gdzie te istnieją i żyją; one ich nie stworzą, gdzie ich nie ma, lub gdzie te żyć nie umieją albo nie chcą. Gdzie już nie wystarczą siły miejscowe, skierowane ku właściwemu przemysłowi, tam się pojawią siły obce, usłużne wszędzie, gdzie jest komu służyć. Zakłady kredytowe obok niedostatku wartości rzeczywistych, przypominają ową tworzącą się jazdę, którą zaopatrzono w uździenice, aby jej ułatwić nabycie koni.

Józef Supiński.



NAZWY RZEK SŁOWIAŃSKICH.

Odkąd człowiek nad światem i nad sobą bliżej zastanawiać się począł, nie mogły nie zwrócić uwagi jego zjawiska języka, jak ją zwróciły zjawiska ziemi i nieba. Albowiem gdziekolwiek język ludzki postawimy, nie ma on w zakresie swoim nic sobie równego, nic, z czemby go tylko porównać można. Jeżeli jest utworem natury, mówi M. Müller, to jest jej najwyższym, najdoskonalszym utworem; jeżeli jest dziełem człowieka, to zdaje się, jakoby sztukmistrza ziemskiego na równi niemal z boskim stawiał twórcą; jeżeli jest darem Boga, to jest największym jego darem; albowiem nim przemówił Bóg do człowieka, nim odzywa się człowiek do Boga w czci, w modlitwie, w rozmyślaniu. Jakoż od tak zwanych prâtiśâkhyas czyli umiejętnych nad gramatyką rozpraw, które indyjscy brahmanie na parę tysięcy przed Chrystusem lat spisali, aż do Pâniniego, co cudowną swej indyjskiej gramatyki budowę w piątym ery chrześciańskiej wieku wystawił, od zagadkowych i poetycznych Pitagorasa, Heraklita i Demokryta zdań aż do suchych modeł i wzorców Arystarcha i ucznia jego Dyonizego z Tracyi, co w czasach Pom-

peja pierwszą grecką dla rzymskich swych uczniów napisał gramatykę, ileż to wysilenia ducha poświęciła starożytność badaniom językowym! A jednak prócz kilku urywkowych zdań [1]), które głębszego na istotę języka poglądu dowodzą, które atoli zapewne dla swej wyroczniowej postaci bez dalszego na rozwiązanie najciekawszych językowych zagadnień pozostały wpływu, wszystkie owe indyjskiej i greckiej starożytności badania poza empiryczną analizę języka nie wychodzą. Lecz i następnych wieków prace nie wzniosły się nad to empiryczne stanowisko. Gramatyka grecka i łacińska, której nas w szkołach uczono, na tym samym opiera się planie, którego się ów Dyonizy w Rzymie, a żyjący w czasach Justyniana Pryscyan w Konstantynopolu trzymał; a chociaż wiele od owego czasu w planie i budowie owej gramatyki zmieniono i poprawiono, nie dodano atoli nic istotnie nowego i oryginalnego, a ogólne jej zarysy pozostały te same. Tę sieć klasycznej gramatyki zarzucono mniej więcej gwałtownie i na ojczysty język, i ojczysta więc gramatyka jako na samej empiryi oparta tylko do powierzchni języka się odnosi.

Znamy same tylko formy języka odpowiadające

---

[1]) Heraklit mówi: Słowa podobne są do cieni czyli odbić drzew i gór w rzece, do naszych własnych obrazów, gdy się w zwierciadle przeglądamy. Twierdził także, że człowiek koniecznością natury swej party, a nie samowolnie, otaczające go przedmioty ponazywał. Demokryt, antagonista Heraklitowych zdań, utrzymywał, że język jest dziełem ustawy (nómos), a słowa posągami głosowymi (agálmata phōnḗenta), ale nie ludzką ręką, lecz od samych bogów upostaciowanymi.

pewnym formom myśli: wiemy n. p., że rodzica ojcem, rodzicielkę matką, a rodzeństwo bratem i siostrą nazywamy, wiemy, że się przypadek II liczby pojedynczej na a, u, y lub i, a przypadek VI na *em* lub *ą* kończy; wiemy, że czas terazniejszy *kocham* a czas przeszły *kochałem* opiewa; wiemy, że podmiot w przypadku I a przedmiot bliższy w przypadku IV lub II stoi; lecz dla czego rodzica ojcem a rodzicielkę matką, dla czego Wisłę Wisłą a Tatry Tatrami nazywamy, dla czego końcówka *em* lub *ą* przypadek I na VI zamienia, jakim sposobem to tragiczne przejście kochania w niekochanie samą zmianą końcówki m na *łem* wyrazić się może, na te i tym podobne pytania żadna z dotychczasowych gramatyk szkolnych nie odpowiada. A jednak są to rzeczy nierównie ciekawsze i ważniejsze niż wszystkie paradygmata i reguły, bo nam odsłaniają wnętrze języka, jego istotę, jego ducha, jego życie. One to stanowią właściwą *umiejętność języka*, bo to, czego nas o języku uczono, nie jest właściwą umiejętnością, ale gramatyką czyli sztuką (téchnē) języka.

Otoż ta umiejętność języka jest dziełem najnowszych czasów, ale rodowód jej sięga zaledwie przeszłego stulecia. Sama rozmaitość nazw, jakie jej nadają, jako to: *porównawcza filologia*, *umiejętna etymologia*, *lingwistyka*, *glottyka*, *fonologia* i t. p., a z których jeszcze żadna się nie ustaliła, dowodzi jej niedawnego bytu. Przygotowali ją Leipnitz, Hervas, Adelung, Paulinus a Santo Bartholomeo, William Jones, Wilkins, Fryderyk Schlegel, a utworzyli Bopp, August Schlegel, Wil-

helm Humboldt, Pott, Rask, Grimm, Bournouf, Benfey, Kuhn, Dietz, Miklosich, Curtius, Schleicher, Müller i inni.

Że w rzędzie tych uczonych nie widać żadnego polskiego imienia, to dla serca Polaka rzeczą bardzo bolesną; lecz nierównie boleśniejszem jest to, że większa część pracowników naszych na niwie badań ojczystego języka nie może się wydobyć jakby z zaklętego starych przesądów lub mrzonek koła i potępia to, czego nie rozumie lub rozumieć nie chce. Zamiast wziąć się do studyów porównawczej gramatyki, która w ostatnich dziesiątkach lat do tak świetnych doszła rezultatów i nowe pełne dziwów przed okiem badacza roztworzyła światy, zasklepiają się w swej ślimaczej skorupie i takie tylko widzą badań językowych koło, jakie tępemi zakreślają oczy. Słusznie więc powiedział Z. Sawczyński na jednem z posiedzeń towarzystwa naukowego w Krakowie: „U nas mało kto się troszczy o etymologię porównawczą, a i ci, którzy na to nowe pole wstąpili, zamiast zachęty, znaleźli tylko niechęć u dotychczasowych pracowników na niwie badań gramatycznych; o mało, że ich nie ogłoszono za zdrajców kraju, jako wprowadzających obcą naukę, wykraczających przeciw duchowi narodowemu! Kto na to zechce dowodów, niech przeczyta liczne rozprawy pana Żochowskiego w Bibliotece warszawskiej i pisma pana Deszkiewicza, a szczególnie jego „Rozbiór Małeckiego gramatyki polskiej.“ Za to popisywaliśmy się i dotąd jeszcze popisujemy sennemi marzeniami na jawie. Dosyć odesłać czytelnika do pism Jana

Nepomucena Kamińskiego, Szreniawy i rozprawy Adama Kłodzińskiego na polu pseudofilozofii, T. Wolańskiego na polu odczytywania starosłowiańskich napisów, Morzyckiego i Czarkowskiego na polu wywodów historycznych, na którem nie wolni są od mrzonek nawet poważniejsi badacze. Obficie dostarczyć mogą na to dowodów etymologiczne wywody Maciejowskiego i wywody niedawno bądź za innymi powtórzone, bądź własnego wynalazku zawarte w I tomie Sądecczyzny Szczęsnego Morawskiego.

I dziwić się tu, że przy takiem usposobieniu większej części gramatykarzów i przy tak niefortunnych etymologicznych wywodach uczonych naszych, nie znalazła umiejętność języka u naszego ogółu tego przyjęcia i uszanowania, na jakie zasługuje, lecz spoglądają na nią jak na alchemię lub astrologię. A jednak mieści ona w sobie najświętsze prawa ludzkości, *najważniejsze prawdy psychologiczne* i *najpewniejsze prastarych dziejów pomniki. Już* dzisiaj, chociaż jedna z najmłodszych, działa ona tak korzystnie na nierównie starszą siostrzycę swoją, na historyę, i któż śmie stanowczo orzec, że nam nie wyjaśni kiedyś pierwotnych rodzaju ludzkiego stosunków i nie wywoła ważnych zjawisk dziejowych?

Otoż z dziedziny tej umiejętności języka podajemy czytelnikom naszym mały ustęp. Jest to etymologiczne znaczenie rzek słowiańskich. Praca ta jest zastosowaniem owych zasad, któreśmy w wydanem zeszłego roku kosztem towarzystwa naukowe-

go krakowskiego dziełku: „O pierwiastkach i źródłosłowach języka polskiego ze stanowiska porównawczej gramatyki“ rozwinęli i do którego czytelników dla łatwiejszego i głębszego zrozumienia niniejszej rozprawy odsyłamy.

Zaczniemy od tej rzeki, która w pieśniach i wieściach ludów słowiańskich tem jest dla nich, czem Nil dla Egipcyan, Ganges dla Indów, Ren dla Germanów, rzeką świętą.

Dunaj. Zródłosłowem tego imienia jest D u n a j a, który się z trzech żywiołów składa: D u + n a + j a. D u jest pierwiastkiem to jest tą częścią słowa, która istotę znaczenia w sobie mieści; n a i j a są to przyrostki, niegdyś osobne słowa, dziś tylko formalne cząstki, modyfikujące istotę znaczenia. Pierwiastek d u występuje we wszystkich językach indoeuropejskiej rodziny; w sanskrycie jako d h û, w greckim jako t h y (pierwotne d przechodzi w greckiem często na t, a przejście u na y jest zwykłem zwątleniem samogłoskowem), w litewskim jako d u, w gotyckim jako d u, w starosłowiańskim i polskim jako d u i d y, w łacińskim jako f u (pierwotne d przechodzi w łacińskiem często na f). Pierwiastek ten znaczy tyle co p o r u s z a ć, m i o t a ć, w s z u m w p r a w i a ć. Przypatrzmy się tylko sanskr. d h û-m a s dym, grec. t h y-m ó s dym, litew. d u-m a i dym i d u-s a s dusza, prus. przyp. IV d u-s i n duch, polsk. d u-c h, d u-s z a, d u-ć, d y-m, łać. f u-m u s. Wszystkie te imiona oparte są na pojęciu p o r u s z e n i a, m i o t a n i a, a w czasowniku greckim t h ý-ō, szumię, występuje znaczenie s z u m u, który z silnego poruszenia czyli mio-

tania powstaje. Przyrostek n a tworzy w językach indoeuropejskich imiesłowy czasu przeszłego strony biernej n. p. polsk. d a-n, d a-n a, d a- n o, sanskr. b h u g-n a(s) zgię-ty, zend. p e r e n a(s) pełny, właściwie napełnio-ny, grec. s e m-n ó(s) czcigodny, właściwie czczo-ny, łać. d i g-n u(s) godny, właściwie pokaza-ny, litew. k a l-n a góra, właściwie podniesio-na od pierw. k a l, podnieść. D u-n a znaczy więc tyle co p o r u s z o n y, m i o t a n y, s z u m i ą c y. Przyrostek j a zachował się w języku polskim tylko w imionach żeńskich, w nijakich zaś zeszedł na j e, a w męskich na j, n. p. p e ł n-j a, w i e c z e r z a zamiast w i e c z e r-j a; s t a-j e, m o r z e zamiast m o r-j e; k r a-j, z ł o-d z i e-j; sanskr. s t a v-j a chwała, zend. g̑ î v-j a życie, grec. s o f í a mądrość, łać. g e n-i u(s), got. b a n d-j a więzy, lit. g a i d-j a (przyp. I g a i d y s kogut) i t. d. Przyrostek ten, jeden z najwięcej używanych, występuje samoistnie w staropolskim zaimku wskazującym j i, j a, j e, a jako przyrostek znaczy: t e n, c o. Otoż D u n a j znaczy właściwie tyle co p o r u s z a n y, m i o t a n y, czyli s z u m i ą c y.

Od D u n a j pochodzi **Dunajec**, podobnie jak od c h ł o p c h ł o p i e c. Tutaj zdaje się należy także **D o n** zamiast D o n a, a to z pierwotnego D u-n a; pierwotne u wątleje bowiem często na o, n. p. r o d z i ć od pierw. r u d h, o b a w sanskr. u b h a.

Wisła. Imię to składa się z dwoch żywiołów, z pierwiastka w i s k i przyrostka ł a. Pierwiastek w i s k znaczy w a r c z e ć, m r u c z e ć i przychodzi w starosłowiańskiem v i s-n ą t i zamiast v i s k-n ą t i mruczeć, v i s k-l i v ŭ rżący, w bułgarskiem v i s k-a, w serbskiem

visk-a, vis-nati i viš-tati. Przyrostek ła jest to ten sam, co tworzy imiesłowy czasu przeszłego strony czynnej, jak n. p. by-ł, by-ła, było, zgni-ł, zgni-ła, zgni-ło, i wiele imion, które straciły pierwotne imiesłowne znaczenie n. p. mg-ła od pierw. mĭg moczyć, jad-ło od pierw. jad, strza-ł od pierw. stri świszczeć. I tutaj, jak widzimy, zachowało się w rodzaju żeńskim całe ła, w nijakim zeszło na ło, a w męskim na ł. Pierwotną postacią tego przyrostka było ra, które nie tylko w innych indo-europejskich językach ale i w polskim obok ła występuje n. p. mia-ra, mok-r(y), mok-ra, mok-re, sanskr. dip-ra święty od pierw. dip, zend. ğaf-ra gęba od pierw. ğap (mówić), łać. gna-ru(s) od pierw. gna (znać), tute-la, grec. deí-lo(s) straszny od pierw. di (bać się), lit. kris-la ułamek od pierw. krit (spaść). Wszystkie te słowa były pierwotnie imiesłowami. Że zaś polskie ła to samo jest co pierwotne ra, tego dowodzi ora-dło obok łać. ara-trum, słońće obok sanskr. sûrja i got. sunna (zam. surna), wełna obok sanskr. ûrńâ (zam. varna), Małgorzata obok łać. Margareta, cyrulik obok łać. chirurgus i t. p. W ogóle wiedzieć trzeba, że ł nie jest pierwotną głoską, lecz powstało z czasem jako modyfikacya głoski r, i dla tego nierównie rzadziej napotykamy je w starszych niż w młodszych językach. Wisła stoi więc zamiast Wiskła i znaczy tyle co mrucząca, warcząca, a imiona **Wisłok** i **Wisłoka** są imionami zdrobniałemi.

Odra. Imię to powstało z pierwiastka ud i przyrostka ra. Pierwiastek ud obok und znaczy w indo-

europejskiem t r y s k a ć, m o c z y ć, z w i l ż a ć; ztąd łać. u d-u s i u n d-a, gr. h ý d-ō r (h jest przydechem y zaś zastępcą pierwotnego u), polskie w o d-a (w o stoi zamiast w a, co jest tak zwanem stężeniem czyli postąpieniem pierwotnego u, porównaj c z t y r-y i c z w a r-t y zamiast c z t w a r-t y; y, za które dzisiaj mylnie é piszemy, jest tu zastępcą pierwotnego u, jak się to z sanskr. k a t u r cztery pokazuje), got. v a t-o (t jest w germańskiem zwyczajnym zastępcą pierwotnego d, a v a stężeniem pierwotnego u), lit. u n d-ů i v a n d-ů, bułg. u d-a i w o d-a. Ztąd dawna nazwa Wisły V a n d a l u s, ztąd niezawodnie i imię W a n d a i cały mit o skoczeniu W a n d y do w o d y. O d r a stoi więc albo zamiast W o d r a albo wprost zamiast U d-r a (o bowiem, jakeśmy wyżej widzieli, jest często zwątleniem pierwotnego u) i znaczy tyle co z w i l ż a j ą c a.

Dniestr. Imię tó powstało z źródłosłowu d n i e s i przyrostka t r. Źródłosłów d n i e s powstał zaś z pierwiastka d ŭ n, wydrążać i przyrostka a s; z d ŭ n-a s powstało w starosłowiańskiem po odpadnięciu końcowego s i zwątleniu a na ó d ŭ n-o, w polskiem d n-o, podobnie jak z n i e b-a s (sanskr. n a b h-a s) n i e b o, z s ł o w-a s s ł o w o, z c i a ł-a s c i a ł-o, z k o ł a s k o ł-o i t. p. Że tak jest rzeczywiście, dowodzą tego dalsze przypadki tych imion, które w starosłowiańskiem i jeszcze w staropolskiem to a s na e s zwątlałe zatrzymały: starosłow. przyp. II. l. poj. n e b-e s e, t ê l-e s e, o c z-e s-e, s ł o w-e s-e; staropol. przyp. I. l. mn. s ł o w i-e s-a, c i e l-e s-a (porównaj c i e l-e s-n y), k o l-e s-a (porównaj k o l-a s-a) i t. d.; widać to i z dzisiejszego n i e b i-o s-a, n i e b i-e s-i e c h. Że zaś

istniał w starosłowiańskiem źródłosłów d ŭ n-ê s (pol. d n-i e s), dowodzi tego starosłow. przymiotnik d ŭ n ê-s z ĭ n ĭ, wewnętrzny, który oczywiście z źródłosłowu d ŭ n-ê s (pol. d n-i e s) przyrostkiem i n a utworzony został. Co się tyczy przyrostka a s, który w źródłosłowie d n i e s w zwątlałej postaci e s występuje, znajduje on się we wszystkich językach indoeuropejskich i tworzy imiona rozmaitego znaczenia n. p. sanskr. ç r a v-a s, ucho, od pierw. ç r u (słyszeć); zend. m a n-a s, d u c h, od pierw. m a n (myśleć); grec. m é r-o s zam. pierwotnego m e r-a s część, od pierw. m e r (dzielić); łać. o p-u s, staroital. o p-o s od źródłosłowu o p-e r zam. o p-a s, pierw. o p (działać) i t. d. Zostaje nam jeszcze do wytłumaczenia przyrostek t r; stoi on tutaj zamiast t r a albo t a r, który we wszystkich językach indoeuropejskich imiona istot działających (*nomina agentis*) tworzy n. p. sanskr. p i-t a r zam. p a-t a r ojciec (właściwie ten, co żywi) od pierw. p a (żywić), m â-t a r matka (właściwie ta, co rodzi) od pierw. m â (rodzić); zend. d a-t a r twórca od pierw. d â (tworzyć); grec. r h ē-t ō r mowca od pierw. r h e (mówić); łać. a r a-t o r od źródłosłowu a r a-; got. s v i s-t a r siostra; lit. m ô-t a r matka; starosłow. b r a-t r ŭ brat; pol. b r a-t (porównaj b r a-t e r-s k i), s i o s-t r a i t. d. D n i e s t r znaczy więc właściwie tyle co r o b i ą c y albo ż ł o b i ą c y d n o czyli k o r y t o.

Raba, **Łaba**. Pierwsze z tych imion powstaje z pierwiastka r a b i przyrostka a. Pierwiastek r a b znaczy właściwie p r a g n ą ć i przychodzi w sankr. w postaci r a b h, w grec. w postaci zgreczonej a l f

zam. laf, a to zam. rab (n. p. ē̄lf-on zarobił), w łać. lab (lab-or), w let. rab (rab-ata czynsz w robocie), w germ. w postaci przestawnej arb (arbeit), w starosł. rab (rab-ŭ sługa, rab-ota), w pol. rab i rob (d-rab pierwotnie tyle co starosł. rab-ŭ; rob-ota). Z pierwotnego znaczenia pra-gnąć wywiązało się, jak widzimy robić; jeszcze łatwiej wywiązać się mogło z pragnienia znaczenie dążenia, spieszenia się. Przyrostek a, pierwotnie zaimek wskazujący, służy we wszystkich indoeuropejskich językach do tworzenia rozmaitego znaczenia imion n. p. sanskr. div-a światły, bóstwo (nasze dziewa) od pierwiastku div (świecić); zend. bhar-a ciężar od pierw. bhar (nieść); grec. fyg-ē zam. fyg-a ucieczka od pierw. fyg (uciekać); łać. toga od pierw. teg (pokryć); got. grab-a rów od pierw. grab grzebać; lit. put-a piana od pierw. put (dąć); pol. mar-a od pierw. mr (mrzeć), ręk-a od pierw. rank zbierać i t. p. Raba znaczy więc tyle co dążąca, spiesząca się.

Pierwiastka rab inną postacią jest łab, jak tego łać. lab-oro dowodzi. Łab-a znaczy więc także tyle co dążąca, spiesząca się, a jeżeli łab z łać. lab (lab-i mknąć, posuwać się, *lab-itur amnis*) zestawimy, tyle co mknąca, posuwająca się; dążenie bowiem i posuwanie się czyli mknienie są blisko spokrewnione pojęcia.

Warta. Imię to powstało z pierwiastka war iść, biedz i przyrostka ta. Co do pierwszego żywiołu porównajmy starosłow. var-iti tyle co nasze biedz naprzód, got. far-an i niem. far-en. Przyrostek

ta tworzy nie tylko imiesłowy czasu przeszłego strony biernej n. p. bi-t, bi-ta, bi-to, lecz urabiają się nim i inne imiona, w których atoli nie trudno dopatrzeć się pierwotnego imiesłownego znaczenia n. p. kwia-t od pierw. kwi (rość), (s)tra-ta od pierw. tr (trzeć), dłu-to od pierw. dłu (łupać, dłubać); sanskr. gná-ta znany od pierw. zna, sama-ta równość; zend. kare-ta zrobiony od źródł. kare; grec. leipto(s) pozostały od źródł. leip; łać. victu(s) od pierw. vic, senec-ta; lit. kep-ta gotowany od pierw. kep, twar-ta płot i t. p. Warta znaczy więc tyle co idąca.

Podobne znaczenie mają **War** i **Wiar**, które z pierwotnego War-a(s) powstały.

Styr, **Stryj**, **Strypa**. Wszystkie te trzy imiona powstały z pierwiastka stru, w którym u na y zwątlało. Pierwiastek stru znaczy tyle co płynąć i przychodzi niezwątlały w słowach stru-mień, struga i zdró-j zam. stru-j. Porównajmy sanskr. pierwiastek sru płynąć, celt. sru-th strumyk, staropółnocne strau-mr (u stężało tutaj na au) rzeka, let. strau-t, grec. pierw. ry zam. sry (réF-ō zam. ry-ō), łać. riv-us. Drugim żywiołem tych imion są przyrostki a, ja, pa; a odpadło z czasem, ja zeszło na j, tylko pa dla długości swego a pozostało, straciwszy atoli tę długość. Styr, Stryj, Strypa znaczą więc tyle co płynący, płynąca.

Seret. Jestto forma ruska, która starosłowiańskiej srŭ-tŭ a polskiej sr-e-t odpowiada. Widzimy tu więc ten sam pierwiastek, co w poprzednich imionach, tylko w odmiennej nieco postaci sru, która także w

sanskrycie i w celtyckiem, jakeśmy to wyżej widzieli, występuje. Przyrostek t a, który tu na t zeszedł, już nam także znajomy. S e r e t znaczy więc tyle co p ł y n ą c y.

Strwiąż. I to imię powstało z pierwiastka s t r u. Końcowe u zespółgłoszczyło się tutaj na w, podobnie jak w p l w a ć obok p l u ć, w ś w i n i a obok łać. *suinus*, w d w a obok łać. *duo*, w k r w-i obok łać. *cru-or* i t. p. Drugim żywiołem tego imienia jest przyrostek a n a, rozmaitego znaczenia, który tutaj najprzód na e n, a potem na ę zeszedł, przed któremto ę poprzedzające w zmiększyć czyli raczej zjotować się musiało. To ę stężało potem w skutek oparcia się na niem następującego ż na ą. Końcowe ż powstało właściwie z dwoch żywiołów, z g a + j a, które po uronieniu obu a na g j, a wreszcie na ż zeszły; tak powstało z m o g j e s z m o ż e s z, z n o g j k a n ó ż k a i t. p. Przyrostek j a już nam jest znajomy; przyrostki a n a i g a są także indoeuropejskiej rodziny własnością n. p. sanskr. v â h-a n a wóz od pierw. v a h (wieźć); zend. k a r-a n a czynność od pierw. k a r (czynić); grec. s t é f-a n o(s) wieniec od pierw. s t e f (otoczyć); łać. r o m-a n a; lit. d a r g-a n a (słota) od pierw. d a r g (d ż d ż y ć); pol. b a r-a n zam. b a r-a n a od pierw. b a r (nosić), s ł u-g a od pierw. s ł u (słyszeć), s t r u-g a od pierw. s t r u (płynąć) i t. d. S t r w i ą ż powstało więc ze S t r u-a n a-g a-j a(s) i znaczy tyle co p ł y n ą c y czyli s t r u m i e ń.

San. Imię to powstało z pierwotnego S a n a s. Końcówka przypadku pierwszego s, i źródłosłowne a odpadły, podobnie jak w b ó g zam. b o g a s (sanskr. b a g h a ṣ),

w syn zam. synus (lit synus) i t. p. Źródłosłów sana jest tego samego pochodzenia co san-ie, sanna; składa się zaś z pierwiastka sa i przyrostka na. Pierwiastek sa znaczy sunąć, wlec, ztąd starosłow. sa-nĭ wąż, smok, jako sunący się; przyrostek na już nam znajomy. San znaczy więc tyle co sunący się.

Bug powstało z bugas, a to z pierwiastka bug giąć, wić, kręcić i przyrostka a; s jest końcówką przypadku I (porówn. łać. op-s, grec. lógo-s i t. d.). Co się tyczy pierwiastka bug przypatrzmy się staroniemieckiemu bouc łańcuch, biug-an giąć, staropółnocnemu baug-r, starofryzyjskiemu bou i starosłow. bug-ŭ obręcz, naramnik. Bug znaczy więc tyle co wijący się, kręcący się.

Prut powstało z pierwiastka pr i przyrostka ta. Pierwiastek pr, który tutaj na pru stężał, przychodzi w tej samej stężałej postaci w czasowniku pru-ć. Zdaje nam się, że pierwiastek płu, który do utworzenia sanskr. plav-as okręt, greck. plý-nein płynąć, lit. plu-das płynący, pol. płu-g, płu-żyć, pły-nąć i t. p. posłużył, z pierwotnego pru powstał. I znaczenie obu tych pierwiastków przemawia za tem: czyż bowiem pły-nąć nie jest tyle co pru-ć wodę, a płu-g czyż nie pru-je ziemi? Otoż Prut znaczy tyle co prujący, żłobiący ziemię, czyli płynący.

Narew. Wyraz ten składa się z imienia rew i przedimka na. Rew zaś jest imieniem z pierwiastka ru podobnie utworzonem, jak krew z pierw. kru (łać. cru-or), brew z pierw. bru (grec. o-frý-s brew),

drew-no z pierw. dru (grec. drý-s dąb) i t. p. Pierwiastek ru znaczy ruszać się, pędzić i przychodzi w łać. ru-o, w lit. rau-siti, w pol. ru-ch, runąć, ru-czaj i t. p. Rew znaczy więc tyle co ruszająca się, pędząca, a Narew stoi w tym samym stosunku do rew, co naród do ród, i znaczy pędząca siłą, znaczną ilością.

Z tego samego pierwiastka ru powstały także Raw-a i Draw-a. Raw jest stężeniem pierwotnego ru; porównajmy tru-ć i traw-a, słu-ch i sław-a i t. p. Drawa stoi zaś zamiast Rawa podobnie jak d-rab zamiast rab, cośmy już wyżej widzieli. I Drawa więc i Rawa znaczą tyle co pędząca.

Dźwina pochodzi z pierwiastka dvig, po polsku dzwig i przyrostka na. Pierwiastek dvig znaczy właściwie ruszać i przychodzi w sanskr. dvadz, w got. vig-an zamiast dwig-an, w anglosaskiem vag-jan, w starosł. dvig-nąti i w pol. dźwigać. Polskie dźwigać ma dziś odmienne nieco znaczenie, tamte zaś wszystkie znaczą tyle co ruszać. Dźwina stoi więc zamiast Dzwig-na i znaczy tyle co poruszana, ruszająca się.

Sawa powstało z pierwiastka su i przyrostka a. Pierwiastek su, który tutaj na saw stężał, przychodzi w słowach su-wać, su-nąć w lit. šau-ti i t. p. Sawa znaczy więc tyle co sunąca się, posuwająca się.

Cisza czyli **Cisa** znaczy tyle co spokojna, wolno płynąca i pochodzi od pierwiastka tich, lit. tîk, sanskr. tuš, prus. tus, zkąd też nasze cich-y, cisza zam. cich-ja i t. p.

Wełtawa pochodzi od pierwiastka v a ł toczyć się, zkąd starosłow. v a ł-ŭ fala, łać. v o l-v o, niem. w e l l e, rumuń. v a l-j i pol. b a ł-w a n zam. w a ł-w a n, t a i w a są znajome przyrostki. W e ł t a w a znaczy więc tyle co t o c z o n a, t o c z ą c a s i ę. Podobne znaczenie ma **Woł-ga**; tu zwątlało pierwiastkowe a na o, a tam na e.

Słucz powstało z s ł u k + j a. Po odpadnięciu końcowego a, zeszło k j jak zwykle na c z n. p. t ł u k ę, t ł u c z e s z zam. t ł u k j e s z it. p. S ł u k, w starosłow. s ł u k ŭ i s ł ą k ŭ (u jest często zwątleniem nosowej samogłoski n. p. d ą ć-d u ć, w n ę k-w n u k, k ę p a-k u p a) zamiast s k ł ą k ŭ znaczy tyle co k r ę t y, z g i ę t y, podobnie jak kroackie s k l u č e n, węgierskie s k l ü č e n. To s l ą k zachowało się u nas w czasowniku ś l ę c z e ć zam. s l ę k-j e ć, właściwie tyle co z g i ą ć s i ę nad czem. S ł u c z znaczy więc tyle co z g i ę t y, k r ę t y.

Zbrucz składa się z przyimka z, i imienia b r u c z, to zaś powstało z pierwiastka b r u i przyrostka c z zamiast k a + j a. Pierwiastek b r u znaczy p ł y n ą ć; ztąd starosłow. b r ŭ-z i n a rzeka, b r u z o spiesznie, szybko, b r u-ž i t i s ę spieszyć się. Z k a + j a powstało po uronieniu obu a k j, a z tego c z podobnie jak r o c z e k z r o k j e k od r o k. Z b r u c z znaczy więc tyle co s p i e s z ą c y s i ę. Tutaj należy także **Berezina** co jest tylko zruszczoną formą starosłowiańskiego b r ů-z i n a rzeka.

Dniepr, po starosłow. D ĭ n a p r ŭ zdaje się pochodzić od źródłosłowu d i n a i przyrostka p r a. Sanskr. d i n a zamiast d i v n a jest tyle co lit. d ê n a, polsk.

dzień i pochodzi od pierwiastka div, lśnić się. Dniepr zdaje się więc tyle znaczyć co lśniący. Nazwa też rzeki Wieprz powstała z Nieprz, jak ją zamiast Dnieprz, a to zamiast Dniepr+j (starosłow. Dĭnaprĭ) często nazywano. Odpadnięcie głoski d jest nierzadkiem w językach słowiańskich zjawiskiem. Tak nazywano nieraz Dniestr Niestrem; tak mówimy żak zam. dżak (porów. łać. diaconus), wtóry zam. dwtóry (złożone z dwa i przyrostka tar; porów. grec. deý-teros), izba zamiast izdba (porów. izdebka), zabrnąć zam. zabrdnąć (porów. bród). Przemiany n na w nie znam wprawdzie innego przykładu, ale mamy analogiczną przemianę głosek m, l, b, na w, n. p. czerw, starosłow. czrŭwĭ, sanskr. krmi; łowić, sanskr. pierw. labh, grec. lab; Wawrzeniec, łać. Laurentius i t. d.

Między imionami, którycheśmy etymologię podali, oznacza jedno zwilżanie ziemi, jedno jej prucie, jedno żłobienie koryta, jedno lśnienie wody, reszta zaś wyraża ruch w najrozmaitszej postaci, jako to: cichy, wolny, szybki, kręty, mruczący i t. p. Takie samo znaczenie mają imiona innych rzek słowiańskich z wyjątkiem tych niewielu drobniejszych, które od miejsc, koło których płyną lub z których wytryskują, swą nazwę wzięły, jak n. p. Ropa, Łomnica, Tyśmienica, Jasielka i t. p. Takie samo znaczenie mają imiona rzek i u innych indoeuropejskich czyli aryjskich ludów. I tak Sind czyli Indus znaczy tyle co zwilżający, Ganges, Ren, Kydnos, Tyber it. d. tyle co idący

biegnący, płynący. I nic dziwnego. Wszak ruch jestto pierwsze, co uderza zmysły patrzącego na rzekę człowieka. Zwilżanie i użyźnianie ziemi, jej prucie i żłobienie, przezroczystość wody i odbijanie się w niej promieni słonecznych i t. p. własności rzeki dopiero w drugim rzędzie zwróciły uwagę ludzką.

I do czegoż mają nam posłużyć wszystkie te wywody? Przekroczylibyśmy zakres niniejszej pracy, gdybyśmy wszystkie tych wywodów wyniki szczegółowo i dokładnie przedstawić chcieli. Musielibyśmy wejść na obszerne psychologii pole, które filozofom zostawiamy. Nie możemy jednak pominąć kilku prawd, które nam się bezpośrednio nastręczają, chcąc dać przeciwnikom umiejętności języka choć słabe wyobrażenie o tej filozofii, co się w języku przechowała.

Przedewszystkiem stawiają powyższe wywody starą kwestyę *de primo cognito et primo appellato* w nowem i zupełnie jasnem świetle. Widzimy bowiem, że pierwszy przedmiot, który człowiek właściwie poznał, był oderwany czyli ogólny. Płynienie, wicie się, żłobienie, zwilżanie i t. p. własności rzeki są to wszystko rzeczy oderwane czyli ogólne (*abstracta*). Podciągając zaś szczególne przedmioty, a w danym razie rzeki pod te ogólniejsze ideje przychodzimy do poznania tych przedmiotów. Każde bowiem właściwe poznanie (*conceptio*) polega na ogólnem pojęciu, gdy tymczasem postrzeżenie zmysłowe (*perceptio*) tylko szczegółów się tyczy. Twórcą tego poznania czyli tych ogólnych pojęć albo koncepcyj jest um (*ratio, Vernunft*) ludzki, a pierwszym do nich krokiem jest nadanie zmysłowym rzeczom imienia, co ma być

ich stałem znamieniem. Wyraźny tego procesu dowód przechował się jakby skamieniały w języku naszym. Oba bowiem wyrazy tak imię jak i znamię pochodzą od tego samego pierwiastka gnâ, znać (porówn. sanskr. nâman zamiast gnâman i najme obok džnâ, łać. nomen i nosco obok co-gnosco, zend. žnâ, gotyc. namo, prus. emnes, iryj. ainm, arm. anûn i t. p.). Nasze i-mię odpowiada sanskr. naj-me (początkowe n odpadło, aj zaś zeszło na i), w naszem zna-mię zaś jest z zastępcą pierwotnego g. Oba więc te wyrazy oznaczały pierwotnie to, po czem się coś poznaje; wyraz znamię zachował obok pierwotniejszej formy to pierwotne znaczenie, wyraz imię zaś zmienił z czasem i formę i znaczenie.

Powiedzieliśmy, że twórcą poznania czyli ogólnych pojęć, na których właściwe poznanie polega, jest um. Jakoż potwierdza to i etymologiczne tego wyrazu znaczenie. Um bowiem pochodzi od pierwiastka av, poznawać, i przyrostka ma; av zwątlało w słowiańskiem na u, a z przyrostka ma, któremu w starosłow. mŭ odpowiada, pozostało w polskiem samo m.

Umem stoi człowiek nad resztą zwierząt. Uczucie, pamięć, percepcyę a w pewnem znaczeniu i rozum dzieli człowiek z zwierzęty, ale um jest wyłączną jego własnością. Um postawił człowieka nie tylko na wyższym od reszty zwierząt szczeblu, ale sprawił i to, że człowiek do innego zupełnie świata należy. Nasze zmysły, nasze wyobrażenie, nasza pamięć i nasz rozum to jakby soczewki perspektywy, przez które pogląda na świat umna i samowiedna dusza. Otoż

tam właśnie, gdzie się poczyna rozdział między zwierzęciem a człowiekiem, przy pierwszym zabłysku umu, jako objawieniu odwiecznego światła, znajdujemy właściwą języka kolebkę. Przemówił człowiek, gdy zabłysnął w nim um; reszta zwierząt nie mówi, bo nie ma umu. Um i mowa są nierozłączone: nie ma mowy bez umu, nie ma umu bez mowy. Widzieliśmy to na imionach rzek, że każde takie imię oparte jest na ogólnem pojęciu, którego twórcą jest um. To samo pokazać nam może każde inne imię. Coż bowiem znaczy świat? Oto lśniący. Co oznacza słowo ziemia? Wilgotna. Jakie znaczenie ma słońce? Jasne. A jak nazwał człowiek siebie samego? Sanskr. marta, grec. brotos, łać. mortalis oznacza ś-miertelnego. Łać. homo jest tego samego pochodzenia co humus i oznacza syna ziemi, z ziemi powstałego. Polskie mąż i niemieckie mensch, mann pochodzące od pierwiastka man, myśleć, oznaczają istotę myślącą, a polskie człowiek od pierwiastka słu wyraża słyszącego, rozumiejącego. Otoż wszędzie i zawsze ogólne jakieś znamię rzeczy, które um przed innemi pochwycił, posłużyło do nadania jej imienia, a ponieważ ogólnych takich znamion wiele na jednej rzeczy dostrzedz można, dla tego jedna i ta sama rzecz wieloma nieraz oznaczoną została imiony. I tak nazywano słońce jasnem, lśniącem, złotem, gorącem, utrzymującem, burzącem, wilkiem, lwem, okiem niebieskiem, lampą nieba, ojcem światła i życia i t. p., a jeden uczony Niemiec przytacza 5744 imion, które wielbłądowi nadano.

Widzimy ztąd, że język nie jest ani bezpośrednim

darem stwórcy, ani wynalazkiem człowieka, ale bezpośrednim utworem umnej natury ludzkiej, podobnie jak dźwięk kruszcu jest koniecznym natury kruszcowej, a rżenie konia i miauczenie kota koniecznym natury końskiej i kociej wypływem.

Widzimy dalej, że w obec powyższych wywodów upada zupełnie hipoteza tak zwanych onomatopojetystów i interjekcyonalistów. Ani naśladowanie głosów natury (*onomatopoetica*), ani wykrzykniki (*interjectiones*) nie mogły być właściwem źródłem i początkiem języka. Każde bowiem słowo, jakeśmy to widzieli, jest imieniem jakiegoś ogólnego pojęcia, a wyrazy onomatopoetyczne i wykrzyknikowe, których zresztą ledwie kilka w języku się znajduje, nie oznaczają takiego pojęcia i są przeto jako sztuczne, martwe i bezwonne kwiaty wśród najrozmaitszego pełnego życia i woni kwiecia natury.

I to wreszcie z powyższych wywodów wynika, że wszystkie imiona pierwotnie imionami własnemi (*nomina propria*) były. Wyrażając bowiem jedno z wielu znamion jakiegoś przedmiotu służyły pierwotnie za imię tego jednego przedmiotu. W miarę, jak to samo znamię i na innych spostrzegano przedmiotach, stawało się owo imię coraz ogólniejszem czyli pospolitszem i rozciągło się wreszcie na całą klasę, do której ów przedmiot należeć się zdawał. Gdy zobaczono pierwszą rzekę, nazwano ją strumieniem od pierwiastka stru, płynąć, dla tego, że jej woda płynęła. Imię to było niezawodnie pierwej imieniem własnem tej najpierw poznanej rzeki, zanim do innych poźniej poznanych rzek zastosowane spospoliciało. Atoli

zdarzyło się i to, że słowo, które płynąć czyli biegnąć oznacza, zostało nieraz imieniem własnem rzeki i nigdy nie spospoliciało. Tak oznacza Strwiąż, Styr, Stryj, Strypa, Seret i t. p. także tylko tyle co strumień, ale imiona te przylgnęły jako imiona własne do pewnych rzek i nie dadzą się już jako imiona pospolite na inne rzeki przenieść. Niekiedy jedno i to samo imię i jako własne i jako pospolite się używa. Dunaj n. p. jest nie tylko imieniem własnem ale i pospolitem, i dla tego spiewa poeta: „w jakim kraju i dunaju"; a w sanskr. oznacza imię Sindh nie tylko rzekę Indus ale i każdą inną wielką rzekę.

BRONISŁAW TRZASKOWSKI.

ZASADNICZE PRAWA NATURY.

Badanie natury w starożytności zasadzało się prawie na samem rozumowaniu. Filozofowie greccy nie robili sztucznie kombinowanych postrzeżeń i nie znali sposobów niewalania natury doświadczeniami, aby im na przedłożone pytania odpowiadała. Wówczas wiedziano już wprawdzie, że w naturze wszystko dzieje się według pewnych praw, ale nie uważano tych praw za powszechne i tak nieodmienne, iż wszelką dowolność koniecznie wykluczają. Przedmiotem badania były zwykle tylko rzeczy, najczęściej pod zmysły podpadające, a nie to, co się dzieje ciągle. Liczby, stanowiące znamiona prawidłowości w ilościowych stosunkach rzeczy przyrodzonych, miały tylko mistyczne znaczenie, gdyż astronomia była astrologią, fizyka magią, chemia[1]) alchemią[2]); a co jedna szkoła za wielką prawdę i znakomitą zdobycz na polu przyrodoznawstwa ogłosiła, temu nieraz druga wręcz przeczyła, bo ścisłej, to jest na niezachwia-

---

[1]) Raczej nauka oddzielania metalów jednych od drugich.

[2]) Nauka o wyrabianiu kamienia mądrości, który miał mieć własność odmładniania życia i przemieniania nieszlachetnych metalów w złoto!!

nych podstawach opartej i uzasadnionym zarzutom niepodległej wiedzy było jeszcze bardzo mało. W tym stanie zastała filozofią natury pielgrzymka narodów, która wszelkie dążności naukowe na długi czas była rozwiała. Wieki średnie, zajmujące się bardziej wiarą, niż ścisłą umiejętnością, nie nastręczały badaniu natury urodzajnego gruntu, w którym zmarnieć nawet musiał zdrowy zasiew wieków starożytnych, przygnieciony duszną atmosferą, odzywającą się nieraz jękami w podziemnych więzieniach tych przeklętych, z czartem spiskujących nędzarzy, którzy w naukach przyrodnich śmieli przekroczyć ciasne kółko wiedzy dozwolonej, a którym za to na ich zgrzybiałej skórze dowodzono żarliwie, że słońce obraca się około ziemi, bo tak stoi napisano.

Dopiero w XVII wieku po narodzeniu Chrystusa pana, z pojawieniem się wiekopomnego dzieła „*Novum organon*" Bakona werulamskiego, który położył na niem godło: „W pocie czoła chleb twój spożywać będziesz", rozpoczyna się nowa era w badaniu natury, mozolnem wprawdzie, ale prowadzącem wprost do odkrycia odwiecznych i niezmiennych praw natury. Bakon w dziele tem nie wyłożył filozofii natury, lecz skreślił zasady nauki ducha, służące do wynalezienia praw natury. Przyrodoznawstwo zdaniem Bakona może czerpać treść swoją tylko z doświadczenia, będącego korzeniem wszelkiej wiedzy, która mając być wiernym, a nie dowolnym tłumaczem natury, powinna wyjść z postrzeżeń i doświadczeń. Wszakże na samem śledzeniu zjawisk poprzestać nie wolno i nie dość jest, od jednego po-

strzeżenia gonić czem prędzej do drugiego lub od jednego doświadczenia přechodzić do następnego. Pojęcia zmysłowe ograniczają się tylko na samej skorupie zjawisk, a człowiek myślący powinien się starać usilnie o to, aby poznał także przyczyny zjawisk i przyczyny tych przyczyn. Do tego zaś nie wystarcza już ani sam zmysł, ani też sam rozum. Pierwszy jest za słaby i łatwo ulega złudzeniom; drugi, okolony sidłami przesądów jest nieporadny, jak ręka bez narzędzia i najpierwej z nich wydobyć się musi; bo posiadając wielką skłonność do przeskakiwania od rzeczy zmysłowych wprost do niezmysłowych, od szczegółów do ogółu, zanadto prędko sprzykrzy sobie powolną drogę doświadczenia. Dlatego potrzeba go postawić pod kierownictwo osobnej metody, a tą jest i n d u k c y a, jednakże nie ta, której dotychczas używano. Wychodzi ona wprawdzie także od szczegółów i podnosi się do ogółu, lecz zatrzymując się spokojnie w dziedzinie doświadczenia, nie opuszcza jej dopóty, aż ją całą zbada zupełnie. Postępując stopniowo naprzód, krok za krokiem, uważnie i ostrożnie, wśród ciągłego rozkładania natury ogniem ducha, zbiera ona i kojarzy, co do rzeczy należy, a wydziela wszystko, co jej obce i tym sposobem od pojedynczych doświadczeń przychodzi do ich przyczyn najbliższych, od tych znowu do dalszych, a nareszcie z nich wszystkich wywodzi prawa powszechne; przytem wnet idzie do góry, wnet zstępuje znowu na dół, podnosząc się wszakże ostatecznie z ostrożnością coraz wyżej. Prawdziwy badacz natury podobny jest do pszczoły, która zbiera materyał na

miód i wosk z kwiatów i przerabia go w sobie, podczas gdy prosty empiryk postępuje trybem mrówki, która tylko zbiera i znosi, a bezwzględny myśliciel trybem pająka, snując z głowy swojej mrzonki, jak ten pajęczynę. W rzeczy samej, *Organon* Bakona przeistoczyło uczonych pająków w skrzętnie pracujące pszczoły i przyczyniło się znacznie do tego, że badanie natury odżyło nowem życiem, a przyrodoznawstwo wyrosło w drzewo olbrzymie, pełne wspaniałych kwiatów i owoców, które sięgającemu po nie przynoszą wesele i życie, a nie troski i śmiertelność, w drzewo, mówię, z rozłożystymi konarami światła, do których już żadna świętokradzka ręka nie przyłoży bezkarnie żelaza.

Dalsze wykształcenie tej od Bakona poleconej metody, jej rozszerzenie i uzupełnienie nastąpiło dopiero w nowszych i najnowszych czasach, gdyż dawniej nie miano jeszcze doskonałych narzędzi, służących do wspierania zmysłów i dla tego też Bakon osobliwszej wartości do nich nie przywiązywał. Dziś jednak posiadamy różne sposoby do podniesienia bystrości naszych zmysłów i nadania im siły przedtem nieznanej. Zdrowe ucho słyszy dokładnie silny głos męzki tylko do odległości 800 stóp. Biot zaś rozmawiał się z drugą osobą po cichu za pomocą rur do prowadzenia wody przeznaczonych, jeszcze w odległości 3000 stóp paryskich, a tubą posyła się silny głos męzki na odległość 18.000 stóp. Gołe oko przenika dwanaście odległości syryuszowych w przestrzeni świata, do przebycia których światło pomimo bajecznej chyżości swojej (40.145 mil na 1 sek.) więcej niż 36 lat potrzebuje,

atoli Herszel, a poźniej Rosse za pomocą swego olbrzymiego teleskopu widział jeszcze ciała niebieskie 200 razy więcej odległe. Pod mikroskopem, powiększającym 1000 razy w średnicy lub milion razy co do powierzchni, widzi się przedmioty, których wolnem okiem ani dostrzedz nie można. Nerwy podskórne są wrażliwe na małe różnice w temperaturze, ale $\frac{1}{1000}$ R. rozpoznać nie umieją, którą termoelektryczne ogniwo stosu Meloniego w stosownem połączeniu z magnetyczną igłą wyraźnie jeszcze okazuje. Komu więc mogłoby przyjść na myśl powątpiewać, że przez narzędzia, rozszerzające tak znacznie granice, zakreślone naszym zmysłom, przybywa obfity materyał do badania, a człowiek staje się niejako istotą bystrzejszymi zmysłami uposażoną?

Bakon nie przykładał też wielkiej wartości do ilościowych oznaczeń; dziś ma się rzecz odwrotnie, gdyż przekonano się, że prawidłowość bardzo wielu zjawisk tylko na stosunkach ilościowych zasadza się. Uczony lord zalecał indukcyę jako najpotężniejszą dźwignię podniesienia wyżej nauk przyrodnich. W dzisiejszych czasach została ona wzmocnioną przez połączenie indukcyi z dedukcyą. Rozłożywszy przez indukcyę zjawisko bardziej zawiłe i od kilku współdziałających przyczyn zależne na odpowiednie mu części i wynalazłszy do każdej z osobna jej przyczynę, następuje potem jeszcze dedukcya, która prawdy zdobyte niejako na drodze doświadczenia, łączy ze sobą i wynik tego połączenia porównywa z naturą samą, dla powzięcia przekonania, czy obrana droga jest prawdziwą, czy błędną. Dedukcya jest poniekąd

próbą obliczenia, przeprowadzonego w drodze indukcyi i zarazem probierczym kamieniem wewnętrznej wartości nowego postępu. Tym sposobem Galle w Berlinie odkrył planetę, Neptunem nazwaną, zwróciwszy swój teleskop w to miejsce nieba, z którego według obliczeń Leverriera pochodziły perturbacye Uranusa i zmiany w jego drodze dawno już uważane. Tym samym sposobem potwierdził też Lloyd obliczenie Hamiltona, dotyczące rozpadania się pojedynczego promienia światła w pewnych, podwójnie załamujących kryształach; na wiązkę ostrokręgową, a w pewnych okolicznościach walcową, odkrywszy tak zwaną wewnętrzną i zewnętrzną refrakcyę stożkową. Wreszcie z umiejętnością dzieje się jak z pojedynczym człowiekiem, który w młodości potrzebuje mentora, później jest sam sobie mentorem; tak też i umiejętność: krok w niej zrobiony naprzód ułatwia następny, jedna myśl wypływa z drugiej, a światło jedno zapala drugie; w czasach zaś, obfitujących w naukowe środki, przy ułatwionych stosunkach obrotowych, jak dzisiejsze, musiała się znacznie powiększyć liczba badaczów natury, którzy złote nauki Bakona jako pochodnie rozświecające dawniejszą ciemnotę roznieśli po całej ucywilizowanej powierzchni ziemi. Wiedza nie spoczywa dziś więcej w ciasnych murach zakonnych i nie jest posagiem kasty uczonych, lecz wspólnym majątkiem wszystkich klas społeczeństwa. Świątynia jej położona na niewzruszonych podwalinach doświadczenia, budowana przez tysiące utalentowanych mężów, wznosi się coraz wyżej śród przybudowywania nowych skrzydeł i ciągłego rozszerzania i upiększania

dawniejszej budowy. W ciągu tysiąca lat, od III do XIII stulecia było zaledwie trzech mężów nauki, którzy mieli odwagę badać i myśleć niezależnie, sprowadzając samoistne badanie na właściwy tor; w dzisiejszych czasach każdy niemal rok nowe jakieś odkrycie ze sobą przynosi. Pozbywszy się średniowiecznych mrzonek naukowych, nie tworzymy dziś nowych hipotez sztucznych, a gdzie tego konieczna potrzeba się okaże, zestawiamy ogólne pojęcia, zdjęte z samego przebiegu zjawisk, tylko dla lekszego obejrzenia rozległego obszaru szczegółów, luźnie jeszcze nagromadzonych, i dla połączenia ich w jedną organiczną całość. I chociaż ta świątynia wiedzy, przez tyle wieków zespolonemi siłami wzniesiona, nie jest całkiem jeszcze na ukończeniu i może się nigdy swoich wewnętrznych i zewnętrznych rusztowań nie pozbędzie; jednak już w obecnym stanie swoim nie tylko dla każdego nowego przychodnia jest bezpiecznym przybytkiem, i podziwienie jego obudza, lecz także uczonych samych czcią i uwielbieniem napełnia. Wszelako te wielkie skarby wiedzy naszej w rzeczach natury nie są z wysokich krain spekulacyi sprowadzone, lecz odpowiednio onemu godłu do wspomnionego dzieła Bakona z głębokich kopalń doświadczenia „w pocie czoła“ wydobyte. Teraz w kilku latach zdobywa się więcej, niż przedtem w stuleciach. Do roku 1780 znano tylko sześć planet w układzie słonecznym, po 86 latach podniosła się ich liczba do 98, a z tych w ostatnich trzech latach siedmnaście samych planetoidów odkryto, ostatnią (Antiope) dnia 1go października 1866 roku. Przed wynalezieniem teleskopu

w roku 1611 nie znano ani jednej gwiazdy podwójnej; pierwszy spis W. Herszela na rok 1782, 1785 i 1804 wykazuje ich 700, a dziś znamy już przeszło 5000, z których wiele uznano za połączone ze sobą nie tylko optycznie, ale także fizycznie, gdyż uważano, że jedna z nich krąży około drugiej, podobnie jak xiężyc około ziemi naszej. Tak samo ma się też z ciałami ziemskiemi. W starym testamencie znachodzimy tylko wzmiankę o sześciu metalach, to jest o złocie, srebrze, miedzi, żelazie, cynie i ołowiu. Grecy i Rzymianie znali także rtęć czyli żywe srebro; na końcu 18go stulecia wzrosła była ich liczba do 21, obecnie zaś wraz z odkrytymi niedawno za pomocą spektralnej analizy trzema nowymi: cez, rubid, znamy 55 różnych metalów, a wszystkich pierwiastków chemicznych razem 66, z których nie tylko ciała ziemskie, ale prawdopodobnie także niebieskie są złożone, jak to uczą chemiczne rozbiory meteorytów, które krążąc około większych ciał niebieskich w pewnych okolicznościach spadają na ziemię, i jak spektralna analiza światła słonecznego tudzież jaśniejszych gwiazd wykazała.

Równie wielkie i nie mniej prędkie postępy, zapisane w dziejach każdej gałęzi nauk przyrody, zrobiono też w poznawaniu rozmaitych działaczów natury, które się nawzajem wywołują i wielorako metamorfozują, to jest jedne z nich przemieniają w drugie według pewnych stosunków równoważnikowych, obliczonych dziś z pewnych danych w doświadczeniu i wyniesionych do godności najwyższego prawa natury. Dopiero w najnowszych czasach udało się przy

pomocy matematyki wejrzeć w samą głębię zjawisk, od elastyczności zawisłych i tym sposobem opierając się na pewnych zjawiskach zasadniczych, przyjść do przekonania, iż akustyka, optyka i termika są tylko osobnemi formami ogólnej dynamiki, w których pewne osobliwe ruchy najdrobniejszych cząstek ciał, do ich składu istotnie należących, już nie jako takie przychodzą do naszej świadomości, lecz w uchu dźwięk, w oku światło, a w podskórnych nerwach całego ciała ciepło sprawiają. Matematyczne uprawianie nauk przyrodnich nie mało wspiera empiryczne usiłowania badaczów natury, zmierzające do coraz dokładniejszego poznania związku pomiędzy wszystkimi jej działaczami. Tym sposobem odkryto prawa elektro- i termomagnetyzmu, magnetyzmu obrotu i diamagnetyzmu, magneto- i termoelektryczności, nareszcie wpływu elektromagnesów na płaszczyznę polaryzacyi światła i na drgania elektryczne, tudzież elektrodynamiki w ogólności i w żyjących organizmach. Poznany związek między częścią a całością dozwala nam czynić nieraz najśmielsze wnioski z małego na wielkie. Z czasu, który potrzebuje nowo odkryty planeta do odbycia małego kawałka swej drogi, oblicza dziś astronom czas zupełnego obiegu tego ciała niebieskiego i jego odległość od słońca; z okruszyny kryształu, zaledwie widomej gołem okiem, poznaje mineralog kształt jego i położenie osi krystalograficznych, a tem samem wewnętrzne ułożenie w nim najdrobniejszych cząsteczek; botanik zaś z odcisku liścia roślinę, na której on przed tysiącami lat urósł. Z taką samą pewnością zoolog z pojedynczego zęba, kręgu szyjowego lub

pazóra odgaduje wzrost i kształty zwierzęcia, które przed tysiącami lat pewną okolicę zamieszkiwało. W małych elipsach, które w skutek aberacyi światła opisują gwiazdy w ciągu roku na sklepieniu niebios, widzi astronom drogę ziemi w pomniejszonym rozmiarze i z nieforemnego biegu xiężyca oblicza wielkość spłaszczenia ziemi na jej biegunach a wzniesienia pod równikiem. Z wysokości tonu, dobytego ze struny, dochodzi fizyk z największą ścisłością liczby niewidomych drgań, wykonanych przez nią w jednej sekundzie. Barwa perłowej macicy zdradza mu nie tylko chropowatość powierzchni tego ciała, ale nawet odległość jednej z tych delikatnych bruzd od drugiej; siła prądu alektrycznego okazuje zarazem ilość wody, którą on w jednej sekundzie rozłożyć, lub ilości światła i ciepła, które rozwinąć jest w stanie. A najbardziej znamionuje dzisiejszy tryb badania natury owa ciągła dążność do zajęcia coraz wyższego stanowiska w przeglądzie różnorodnych zjawisk przez sprowadzanie ich przyczyn, jako wielkości ruchu, do wspólnej jednostki czyli miary, gdyż udało się już nie tylko wszystkie siły mechaniczne, ale także ciepło i magnetyzm, tudzież tak zwane siły elektrobodźcze i elektrodynamiczne sprowadzić do najpowszechniejszej, najlepiej nam znanej siły ciężkości, i wyrazić je wszystkie przez równoważną wielkość pracy. Badanie natury w najogólniejszem rozumieniu rzeczy ma ostatecznie z materyą i siłą do czynienia, które wszakże tylko w myśli dla łatwiejszego pojęcia każdego szczegółu bywają od siebie oddzielane, w rzeczywistości zaś tylko razem istnieją i jedną bezwzględnie nieroz-

dzielną całość przedstawiają. Całkowita ilość tej również jak i tamtej w naturze jest bezwzględnie niezmienną, zatem ani się nie powiększa ani nie pomniejsza. Ciała w przebiegu zjawisk zmieniają tylko kształty swoje lub wewnętrzny skład, a siły ich tylko tryb lub kierunek swej działalności; lecz jak nic w świecie nie powstaje z niczego, tak też w niwec obrócić się nie może. Tam, gdzie materya zdaje się znikać, usuwa się ona tylko zpod naszych zmysłów, a pozorne zużycie siły jest raczej przemianą onej w zupełnie inne działanie, lub zmianą formy, w jakiej się ona przed tem objawiała. Mylnem jest też zdanie wielce rozpowszechnione, że siły chemiczne działają inaczej w istotach organicznych, a inaczej w nieorganicznych, gdyż patrząc na świat z umiejętnego stanowiska, nie znachodzimy nawet realnej podstawy do takiego podziału ciał w przyrodzie, a rozmaitość sił, objawiających się w obu tych przypadkach, pochodzi jedynie od rozmaitości ich stosunków w danym razie, zwłaszcza, że najogólniejszym wyrazem działania siły jest ruch, stanowiący nieoddzielne znamię każdego zjawiska. Wszak nawet czynności naszych zmysłów zawisły od ruchów i przez odpowiednie ruchy w nerwach bywają załatwiane; każda myśl, każde czucie pociąga za sobą zużycie, a tem samem zmianę masy nerwowej, która się ze krwi znowu uzupełnia i odnawia; a w skutek pomniejszania się mózgu w podeszłej starości tracimy stopniowo najprzód pamięć, a potem z nią zwykle także dawniejszą bystrość umysłu.

W naturze natrafiamy też nieraz na różne stany

równowagi sił, ale te są raczej przejściem z jednego rodzaju ruchu w drugi i poniekąd ukrytymi ruchami, nie zasługującymi nawet na powyższą nazwę, jak n. p. tak zwana ruchoma równowaga ciepła, która, jak wiadomo, na tem polega, że ciała najbliższe siebie co chwila tyle ciepła (to jest żywej siły molekularnego ruchu) otrzymują, ile go utracają, czyli raczej na inne ciała przenoszą; lub równowaga pary zetkniętej z swoją cieczą, w której molekuły równie jak i w parze bardzo prędkie ruchy wykonują i przez gwałtowne, ciągłe powtarzające się uderzenia o ściany naczynia sprawiają to, co prężnością pary nazywamy. Nawet chemiczne połączenia, uważane do niedawna za spoczywające składy różnorodnych atomów, nie są wcale nimi w tem znaczeniu, lecz muszą być raczej płodami ciągłej wymiany, odbywającej się pomiędzy pierwiastkami tychże składów. To pierwsze zasadnicze prawo w gospodarstwie natury, orzekające s t a t e c z n o ś ć m a t e r y i, znali już filozofowie greccy. Wyznawcy najstarszej ich szkoły, jońskiej, twierdzili wyraźnie, że „istota rzeczy utrzymuje się ciągle i ani nie powstaje, ani nie ginie“, a Lukrecy w I xiędze o n a t u r z e r z e c z y usiłuje dowieść, że „z niczego nic powstać nie może.“ Od onych czasów począwszy nie wątpiono już więcej o niepodobieństwie niweczenia pierwiastków ciał; atoli prawda ta dopiero w końcu zeszłego wieku przez Lavoisiera z ważką w ręku potwierdzona, stała się gwiazdą kierującą w naukowych badaniach, gdyż gmin, powodujący się w zdaniach swoich samymi tylko pozorami, mniema dziś równie jak przedtem, że woda,

w otwartem naczyniu przez niewidome odparowanie ubywająca, znika istotnie i ginie, że drzewo w piecu, a olej w lampie przez gorenie, trup zaś przez gnicie takiemu samemu losowi ulega. Gmin dziś jeszcze w rośnięciu drzewa lub ciała zwierzęcego nie widzi skutków przywłaszczania sobie i wcielania pokarmów, przez te istoty pobieranych i do odnawiania ich ciała niezbędnie potrzebnych, lecz uważa te czynności raczej za proteuszową własność tak zwanych sił żywotnych, które rej wodząc w ciele nie tylko wzrost i odradzanie się zużytych w niem części, ale także rozmnażanie jego załatwiają. I cóż nareszcie w tem tak dziwnego? Wszak do niedawna jeszcze opowiadano sobie za rzecz pewną, że Pinetti w tej samej chwili przez wszystkie rogatki wyjechał z miasta a przed kilku laty wierzono powszechnie, że stoliki na rozkaz pewnych wybrańców mogą się same ruszać i pukaniem nóżki zwiastować obecność duchów, stawiących się na zawołanie do rozmowy!

Drugiem zasadniczem prawem natury jest stateczność zachowania sił. Siła w znaczeniu tego prawa nie daje się nigdy zniweczyć, a wielkość jej ciągle ta sama zostaje, okazując się stateczną śród rozmaitego przenoszenia czynności z jednego ciała na drugie, w skutek czego zdaje się ona w tamtem znikać, a w tem znowu w odpowiedniej wielkości pojawiać. Wszelako jak sama z niczego powstać nie może i w oddzieleniu od materyi nie istnieje, tak też w niwec się nie obraca, gdyż razem z nią także materya musiałaby być zniszczoną, co dla pierwszego prawa natury jest niepodobnem. Kiedy dwie siły równe trzy-

mają sobie równowagę, nie następuje ich zniszczenie, lecz tylko skuteczność jednej działaniem drugiej jest powstrzymana, a usunąwszy jedną z nich zaraz druga z całą mocą swoją na jaw występuje. Prawo to jest subtelniejszem od pierwszego, gdyż długi czas nawet pomiędzy uczonymi nie znalazło należytego uznania. Tak n. p. hrabia Albert z Bollstädt w XIII wieku, dla swej wszelką ówczesną wiedzę obejmującej uczoności *Albertus Magnus* zwany, spisał całą xięgę o siłach roślin, zwierząt i kamieni, którym ponadawał najdziwączniejsze własności, nie podległe żadnej zmianie. A dziś znowu są jeszcze tacy, co prawu temu albo tylko warunkowe przyznają znaczenie, powołując się na siłę kiełkowania u nasion, która z czasem całkiem gaśnie, tudzież na śmiertelność u zwierząt, których „siła żywotna“ raz także ustaje, albo przypisują niektórym siłom natury niespożytość bez granic, przytączając za przykład: *a*) to ciężkość ciał, w skutek której one bez ustanku wywierają ciśnienie na swoją podkładkę, a gdy ta zostanie usunięta, zawsze i wszędzie spadają ku środkowi tego ruchu z chyżością co raz bardziej rosnącą; że zaś to dziać się może tylko pod wpływem siły ciągłej, której tryb działania stoi w odwrotnym stosunku do drugich potęg odległości, więc ją znowu inni z prawem statecznego zachowania siły pogodzić nie umieją; *b*) to znowu magnetyzm, który nie doznaje najmniejszego osłabienia, chociaż się jednym magnesem tysiące prętów stalowych przez nacieranie zamieni w magnesy; *c*) to elastyczność, która niezmiennie w tych samych okolicznościach czyni

z równą mocą sposobnem powietrze lub strunę do wydania głosu i tonów, a eter światowy do przesyłania światła, ciepła i chemicznych promieni słońca; *d*) to nareszcie galwanizm, termomagnetyzm i t. p. działacze w naturze. Atoli wszystkie te przykłady nie dowodzą wcale, że pojedyncze siły natury są niewyczerpanymi zdrojami czynności w zwykłem znaczeniu tego wyrazu, gdyż wydaje się każdą z nich w miarę jej działania podobnie, jak pewną sumę pieniężną, za którą sobie ktoś różnych rzeczy nakupi. Z tego zaś znowu wynika bezpośrednio, że dana siła nie może się okazywać zawsze równie skuteczną bez końca i odradzać się ciągle sąma z siebie, jak owa mityczna wątroba, którą sęp co dzień wyjadał Prometeuszowi.

Właściwe znaczenie tego drugiego prawa jest inne. W koło nas natrafiamy ciągle na ruchy, to w postaci przenoszenia się całych mas z jednego miejsca na drugie, to znowu w postaci peryodycznego oddalania i zbliżania się do siebie najdrobniejszych cząstek tychże mas, czyli w postaci dźwięku, ciepła, światła, chemizmu i t. p. Zbadawszy okoliczności, w jakich te ruchy powstają i po sobie następując zmieniają się z taką punktualnością, iż nie tylko naprzód możemy przewidzieć cały ich przebieg, ale także ich natężenie i kierunek, powzięliśmy przekonanie, że matematyczne wzory, wystawiające prawidłowość tych ruchów, najmniej zawiłymi się stają, jeśli pojedynczym cząstkom rzeczy materyalnych przyznamy pewne własności pierwotne, **siłami** nazwane, czyniąc ich wielkość zależną od ilości masy i od

wzajemnej odległości pojedynczych cząstek tejże masy. Te przyznane im własności nie są czczymi utworami naszej wyobraźni, lecz mają rzeczywistą bytność w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu i do istoty ciał nieoddzielnie należą; gdyż w świecie zjawisk przedstawiają się nam jako przyczyny ruchów inne ruchy, które się nieraz stają przyczynami znowu innych ruchów i t. d., póki ostateczne ogniwa łańcucha tego z oczu naszych całkiem nie znikną. Dlatego właśnie w miejscu ostatnich przyczyn tych ruchów kładziemy pierwotne siły i obchodzimy się z niemi jak z istotnemi ich przyczynami. Wszelkie nasze badanie natury wychodzi tedy ostatecznie na to, że najprzód rzeczy wprost pod zmysły podpadające rozpoznajemy, potem to, co z powodu swoich przestrzennych lub czasowych wymiarów nie jest bezpośrednio dostępnem zmysłom naszym, odsłaniamy za pomocą przyrządów przez stosowne doświadczenia i opartą na nich indukcyę, a nareszcie porządkując wszystkie poznane zjawiska, przywracamy między niemi wewnętrzny ich związek naturalny zgodnie z prawami naszego myślenia. Ciężkość ziemska i powszechne ciężenie ku sobie każdych dwoch nawet najmniejszych cząstek materyi światowej, objawia swą czynność z dali według prawa Newtona w prostym stosunku mas, a odwrotnym kwadratów z odległości tychże mas od siebie. Prawo to, wywiedzione z samych zjawisk ruchu ciał niebieskich, jest bezpośrednim wyrazem tych ruchów i wiernym tłumaczem natury. Sławny ten mąż nie poprzestał na jego odkryciu i odsłonieniu prawdziwej istoty siły

ciężkości, lecz chciał koniecznie tę siłę wyobrazić sobie fizycznie i trafił dla tego na trudności nie do pokonania. Albowiem tylko to da się dokładnie wyobrazić, do czego w skarbcu świata zmysłowego posiadamy wzory. Tak n. p. wyobrażamy sobie bez trudności molekuły i atomy ciał, tudzież ruchy cząstek powietrza w dźwięku, a cząsteczek eteru w świetle, bo widzimy dokoła nas wielkie i małe ciała, to w pozornym spoczynku, to znowu w rozmaitym ruchu. Mając więc dostateczny meteryał do tej logicznej czynności, potrzebujemy tylko przez abstrakcyą od zmysłowych pojęć odejmować pewne znamiona i tworzyć z nich analogiczne formy przestrzenne lub czasowe albo zestawienia tychże, a wszystko będzie w porządku. Z siłami zaś pierwotnemi ma się rzecz inaczej. Siły te znamy tylko jako coś oderwanego od zmian, których nasz zmysł doznaje w skutek wrażeń, pochodzących od świata zewnętrznego; nie posiadamy więc, że się tak wyrażę, zmysłowego materyału do wyobrażenia sobie onych. Wszelkie nasze usiłowania w tym względzie kończą się na tem, iż dość niezgrabnie sposobem gminnym zamiast tych sił kładziemy w myśli rzeczy, różniące się od nich jak niebo od ziemi, n. p. ciężary, które ciągną, sprężyny, które cisną, bo te w szczególnych wypadkach sprawiają podobne skutki, jak one siły, na pozór niemi zastąpione, albo wystawiamy je sobie liniami, które długością swoją i kierunkami mają odpowiednie stosunki tych sił niejako uzmysłowić. Dla tej to przyczyny nie mógł sobie też Newton wyobrazić siły przyciągającej, grawitacyą nazwanej, która owła-

dnąwszy raz każdą najdrobniejszą cząstkę ciał ważkich, przenika ją poniekąd na wskróś i czyni ciałą sposobnemi do wzajemnego przyciągania się przez najrozciąglejszą nawet próżnię według rzeczonego prawa, które stwierdzają ruchy ciał niebieskich w każdym zakątku niezmierzonej przestrzeni świata. Z siłą przyciągającą łączy się koniecznie pojęcie działania z dali, gdyż jedyne zjawisko, zniewalające nas bezpośrednio i nieodzownie do przypuszczania takiej siły, jest zbliżanie się dwoch mas do siebie bez wszelkiego zewnętrznego popychania lub współdziałania jakichkolwiek innych molekułów. Jeśli przeto dwie jakie masy zbliżać się mają do siebie, nie mogą już być zetknięte ze sobą, a że współdziałanie wszystkich innych cząstek materyalnych ma być wykluczone, więc siła przybliżająca jedną masę do drugiej musi działać właśnie przez próżnię, która je rozdziela. Tak streszczone prawo grawitacyi nie stoi w sprzeczności z prawem statecznego zachowania siły. Oddalając bowiem masę *A* od masy *B* za pomocą jakiejś siły zewnętrznej, wzajemne ich przyciąganie się w skutek ciążenia ku sobie pomniejsza się wprawdzie w stosunku $p : P = \frac{1}{d^2} : \frac{1}{D^2}$, ale siła przyciągająca nie niweczy się wcale w odległości większej, bo masa *A* w odległości *D* od masy *B* sama sobie zostawiona biegnie napowrót do *B*, a zdążywszy do pierwotnego miejsca swego, doznaje w niem znowu takiego samego przyciągania od masy *B* i działa na nią ze swej strony tak samo, jak przedtem, a prócz tego nabyła w tym ruchu pewnej chyżości *c*, której druga potęga pomnożona przez ilość tej masy daje

iloczyn dwa razy większy od ilości pracy, spotrzebowanej na to, aby rzeczonym sposobem A od B oddalić. Przez taką więc zmianę w systemie dwoch mas zaszłą w skutek przystąpienia doń obcej siły zewnętrznej, któráto zmiana, jak widać, jest koniecznie połączona z zużyciem odpowiedniej pracy, ani najmniejsza cząstka początkowej siły nie została zniszczoną, lecz tyle tylko onej poszło na sprawienie rzeczonej zmiany, ile siły przybyło zewnątrz. Lecz coż jest w ogóle miarą siły przyciągającej? Jest nią narostek chyżości ciała, w skutek działania tej siły poruszonego, które nabywa go w jednostce czasu i na mocy bezwładności zachowuje każdy taki napęd do zmniejszenia swej odległości od masy przyciągającej, przez co oczywiście chyżość jego biegu ciągle powiększać się musi. Co z tych narostków chyżości ciało bieżące w ciągu jednostki czasu niejako przyzbiera czyli naspischrzy, wzięto za miarę wielkości siły przyciągającej. One przeto w równych zresztą okolicznościach mają się do siebie odwrotnie, jak kwadraty z odległości mas nawzajem ku sobie ciężążących. To zaś zgadza się zupełnie z najwyższem prawem zachowania siły w naturze, które orzeka, iż w każdym systemie mas, samym sobie zostawionych, suma sił prężnych dodana do sumy żywych sił ruchu daje zawsze i wszędzie tę samą ilość, czyli (co na jedno wychodzi), że dla każdego takiego systemu iloczyn z mas, liczbami wyrażonych i z połowy drugich potęg chyżości tychże mas, w ruchu będących, jest pewnem maximum raz na zawsze danem, którego ani przekroczyć, ani umniejszyć nie podobna, a

to z powodu, że ruch nigdy się tak nie niweczy, aby nie mógł być kiedyś znowu przywróconym; gdyż on ustaje tylko w skutek jakiejś zmiany miejsca, która w swoim czasie występuje jako przyczyna ruchu tych mas w przeciwnym kierunku, odbywającego się w ten sposób, iż gdy one do pierwotnych miejsc swoich powrócą, ta sama wielkość ruchu znowu się reprodukuje, jaka w ciągu poprzedniej zmiany miejsca była się zużyła, z zastrzeżeniem wszakże, że miarą tych ruchów są zawsze powyższe iloczyny, żywemi siłami ruchu tych mas nazwane. Za przykład weźmy oscylujące wahadło. Gdy to z miejsca równowagi wydalone, co raz więcej chyżości pierwotnie otrzymanej utraca i przytem wielkość ruchu ciągle się zbezwładnia, mówimy, że żywa siła przemienia się w siłę prężną, jeżeli zaś ono, zbliżając się znowu do swego miejsca równowagi, odbywa bieg w przeciwnym kierunku, wtedy znowu twierdzimy, że z siły prężnej wyłania się napowrót żywa siła ruchu. Największą ilością czyli maximum siły ostatniej jest połowa iloczynu z wahającej się masy i drugiej potęgi natężenia wachnień. Wahadło posiada tę żywą siłę w przechodzie przez swoje miejsce równowagi, w każdym zaś innym punkcie łuku wachnienia jest ona mniejszą, a w punktach zwrotu $= 0$, będąc tam całkiem przemienioną w tak zwaną siłę prężną czyli zaspichrzoną pracę, która staje się następnie przyczyną ruchu zwrotnego, gdyż od tej chwili zdąża wahadło znowu do miejsca równowagi i odzyskując tu początkową żywą siłę na powrót, dochodzi w niem do maximum natężenia wach-

nień. Podobnie zachowują się wszystkie działania w naturze zawsze i wszędzie, począwszy od ruchów ciał niebieskich aż do płomienia w piecach naszych lub lampach, gdzie atomy z dziwnych i dla nas zawsze jeszcze zagadkowych więzów wydobywają się, które im niegdyś długoletnia praca promieni słońca nałożyła. Dla lepszego wyświecenia rzeczy pomyślmy sobie, że w przytoczonym wyżej przypadku masą *B* jest ziemia bez atmosfery, uwolniona od wszelkiego wpływu ciężenia powszechnego, masą zaś *A* kamień w górę rzucony, który z chyżością malejącą coraz więcej oddala się od ziemi w ruchu niejednostajnie opoźnionym, póki udzielona mu chyżość *c* nie spotrzebuje się całkiem w tym biegu. Odtąd zacznie on spadać na dół i zdążywszy do powierzchni ziemi posiadać będzie pierwotną chyżość rzutu *c*, a z nią także i wielkość żywej siły $= \frac{1}{2} Ac^2$, która wystawia ilość pracy *p*, potrzebnej do rzucenia masy *A* w pionowym kierunku do góry tak wysoko, aby ona spadłszy ztamtąd powróciła do ziemi z chyżością $c = \sqrt{2gh}$, gdyż $p = Agh = \frac{1}{2} Ac^2$. W rozumowaniu tem nic się nie zmieni, jeśli ów kamień wystawimy sobie w daleko większej odległości od ziemi. Jedyna tu różnica będzie ta tylko, że on, oddalając się od ziemi, w większej odległości spotrzebowuje powolej otrzymaną chyżość, a zbliżając się do niej powolej ją znowu odzyskuje, niż w razie, gdy się w mniejszem oddaleniu od niej znajduje. Ostateczny skutek będzie zawsze ten sam, tylko że poźniej nastąpi. W chwili, kiedy pionowa chyżość rzuconego w górę kamienia całkiem się zużyła, w systemie tych

dwoch ciał nie ubyło siły poruszającej, chociaż siła zewnętrzna w tem miejscu zażyta, łatwiejby go mogła od ziemi oddalić, niż w każdem innem miejscu bliższem jej powierzchni, a on padałby ztamtąd z mniejszem przyspieszeniem, niż z miejsca bliżej ziemi położonego, gdyż masa kamienia w każdem takiem miejscu posiada pewien skarb żywej siły ruchu, przemieniony w pracę, z której ostatecznie wyłonić się musi tem większa chyżość końcowa spadku, im bardziej on od powierzchni ziemi był oddalony.

Nazwy „żywa siła ruchu“, „siła prężna“ i „siła przyspieszająca“ oznaczają tedy trzy zupełnie różniące się od siebie rzeczy. Żywa siła jestto istotna wielkość odbywającego się ruchu. Nazywamy ją siłą, ponieważ jako przyczyna ruchu nie tylko się okazuje czynną w ciałach na mocy ich prawa bezwładności, ale daje się także na inne ciała przenosić; spoczywające bowiem masy można przez poruszone w ruch wprawiać. Pod siłą prężną rozumiemy rozporządzalną przyczynę ruchu bez względu na czas, w którym ona ruch ten sprawia, lub sprawiać może. Siłą nareszcie przyspieszającą pewnej masy nazywamy iloraz, otrzymany w dzieleniu narostka jej chyżości w nieskończenie małym czasie przez długość tego czasu. Siła przyspieszająca w danym systemie mas jest przeto w każdej chwili zależną z jednej strony od mas poruszonych, albo mających być poruszonemi, i od chyżości, których te masy w danym wypadku już nabyły, z drugiej zaś strony od chyżości, z jaką siła prężna zamienia się w żywą siłę ruchu, albo w nią zamienićby się mogła. Widocznie

siła przyspieszająca pojedynczych mas rosnąć lub pomniejszać się może, nie uwłaczając przeto bynajmniej ogólnemu prawu, że w każdym systemie mas suma sił prężnych dodana do sumy żywych sił ruchu daje zawsze tę samą ilość stałą.

Prawo niespożytości czyli zachowania siły w naturze służy znowu za niezbity dowód stateczności materyi, której wielkości czyli masy dochodzi się zwykle oznaczaniem jej ciężaru, a więc tem, co siłą nazywamy. Wszak gdyby część mas nawzajem ku sobie ciężących mogła jakim sposobem naraz być zniszczoną, w niwec by się z nią obrócić musiała także nie tylko siła przyspieszająca tychże mas, ale też według okoliczności część ich siły prężnej lub żywej siły ruchu, albo jakaś część obu razem uległaby zupełnemu zniweczeniu. Okoliczność więc ta, że naruszenie jednego z tych dwoch praw zasadniczych nieodzownie pociąga za sobą obalenie drugiego, wskazuje, że one obydwa w ścisłym i nierozdzielnym związku ze sobą zostają i jest tem pewniejszą dla nas rękojmią, że się nie mijamy z prawdą, odnosząc realną przyczynę wszelkich ruchów grawitacyjnych do mas poruszonych, a nie do próżnych miejsc w przestrzeni, która jedną masę oddziela od drugiej i skutkami tych ruchów niejako przeniknięta być się okazuje. W razie tylko, gdyby siedzibą rzeczywistych sił były punkta matematyczne w przestrzeni, poza obrębem mas leżące, możnaby przypuścić możliwość niweczenia materyi bez umniejszania danej sumy sił w naturze. Prawo grawitacyi Newtona nie ma więc być

tak pojmowane, jakoby przyczyna ruchu, zaspiżona w masach, była ilością zmienną, gdyż ją koniecznie za stateczną uważać musimy. Mówimy wprawdzie, że każde dwie cząsteczki masy światowej działają na siebie z dali w odwrotnym stosunku kwadratów ich odległości, to jest, że $P : p = \frac{1}{D^2} : \frac{1}{d^2}$; ale także natężenie I oświetlenia pewnej powierzchni promieniami światła, padającymi na nią pod równym kątem z różnych odległości, stosuje się do proporcyi $I : i = \frac{1}{D^2} : \frac{1}{d^2}$, a mimo to nie przychodzi nikomu na myśl utrzymywać, że natężenie światła w źródle samem doznaje przez to jakiejś zmiany, jeśli się powierzchnię oświeconą coraz dalej od niego odsuwa. Rzeczona proporcya ma dla tego realną podstawę dla światła, że ta sama ilość żywej siły falek jego przenosi się na coraz inne masy, których wielkości rosną w prostym stosunku z kwadratami odległości od źródła tego światła; zmiana więc oświecenia musi w odwrotnym stosunku tychże kwadratów następować, co też bezpośrednio z prawa o zachowaniu siły wynika. Mówiąc tedy, że powszechne ciążenie zmniejsza się w miarę rośnięcia kwadratów z odległości mas ku sobie ciężących, nie odnosimy wcale tego zdania do źródła atrakcyi, które przeciwnie uważać musimy za niezmienne (gdyż suma działań tych ani się nie powiększa, ani nie umniejsza ze zmianą odległości), lecz wyrażamy tylko, że siła przyciągająca, każdej masie właściwa, będąc stateczną, z jednakowem natężeniem na wszystkie strony swe skutki wywiera, które w pojedynczych miejscach przestrzeni materyą zajętej tem

są słabsze, im większa ta przestrzeń, zatem im bardziej się one na zawartą w niej materyę niejako porozdzielały. Wszak siły przyciągające pojedynczych atomów materyi ważkiej nie są ich własnością bezwzględną, lecz tylko względną, zależącą od współistnienia ciał w naturze; bo gdyby jeden tylko atom istniał w niezmierzonej przestrzeni świata, nie byłby wcale ciężkim czyli ważkim, albowiem nicby go nie przyciągało, ani też on nie miałby czego do siebie przyciągać. Dopiero drugi atom utrzymuje go w usposobieniu do takiego działania i doznaje od niego podobnego oddziaływania. Pomyśliwszy sobie tedy dwie współśrodkowe kuliste powierzchnie z jedną dynamidą w samym ich środku i przypuściwszy, że wewnętrzna przestrzeń pomiędzy niemi jest zapełniona masą jednostajnie gęstą, ale w porównaniu z rdzeniem środkowej dynamidy nieskończenie delikatną, zatem pojedyncze cząsteczki (atomy) tej masy w równych od siebie odstępach, widocznie ta dynamida na wszystkie atomy, leżące na współśrodkowych powierzchniach kulistych, jednakowe przyciąganie wywiera, co tylko w skutek jej działania na każdy z nich z osobna w odwrotnym stosunku kwadratów z odległości jest możliwem, gdyż suma wszystkich działań wypadkowych pomiędzy ową dynamidą a każdą z tych współśrodkowych materyą zasianych powierzchni, czy kwadrat z odległości pojedynczych atomów od jej środka jest większy czy mniejszy, zostaje dla tego ta sama, że ilość cząstek materyalnych na każdej z nich za to jest większa w tym samym stosunku, w jakim kwadrat z jej promienia rośnie.

Na prawie stateczności materyi i siły buduje dziś astronom wszystkie swoje wywody i tłumaczenia. Na niem wznosi swobodnie chemik nowy gmach swej nauki, idąc w tem nawet krok dalej, niż astronom, gdyż w każdym pierwiastku widzi on nie tylko masę, owładniętą pewnym zasobem siły ciężkości, ale także zarazem realną podstawę ciążenia i chemizmu. Nauka przyrody istotnie dopiero na podwalinach tego prawa do rzędu umiejętności podnieść się mogła, bo gdyby materya i siła powstawała z niczego i czasem lub częściowo znowu w nic się obracała, byłaby natura ciągle a ciągle inną; o prawach natury, których główną cechą jest stateczność czyli niezmienność, nie byłoby mowy, a umiejętność natury czyli przyrodoznawstwo do urojeń policzyćby wypadało.

Trzeciem zasadniczem prawem natury jest przenośność sił jako ilości ruchu i przemienienie czyli metamorfoza jednych działaczów natury w drugie według niezmiennych stosunków równoważnikowych. Prawa przesyłania ruchu falowego, odgrywające w naturze tak wielką rolę, polegają całkiem na przenoszeniu pewnych działań mechanicznej siły na najmniejsze cząsteczki sprężystych pośredników tego ruchu, a od tych znowu na inne, graniczące z tamtymi. Siła ta, jako ilość ruchu znachodzi się cała w każdej choćby najbardziej rozszerzonej fali, uważanej za jedną całość, gdyż w takiej fali z pomykaniem się jej w przestrzeni coraz dalej od warstwy do warstwy zmienia się tylko suma materyalnych cząstek, które przez ową pierwotną siłę kolejno w ruch bywają wprawione, a w skutek tego, pominąwszy zmiany kierunku, wy-

darzające się niekiedy, także i ta część siły, która przytem na każdą pojedynczą cząstkę pośrednika przypada. Przenośność sił ruchu okazuje się nam też przy każdym wystrzale z działa lub strzelby. Kula wyrzucona pędzi jako masa mniejsza z pewną dość znaczną chyżością w jedną stronę, a przyrząd do jej ciskania użyty, cofa się równocześnie z daleko mniejszą, masie jego i tych ciał, z któremi on niejako jest połączony, odpowiednią chyżością. Prócz tego powietrze, eter i metal tego przyrządu wraz z elastyczną jego oprawą przechodzą w drgania właściwe, na których polega światło, ciepło i huk, pojawiające się przy strzale.

Jeśli jaka siła w pewnych okolicznościach czynna znika na pozór, a natomiast powstaje inna, wielkość pierwszej stoi do wielkości drugiej w niezmiennym stosunku, gdyż siły, jako ilości ruchu w różnych formach pojawiać się mogą. Dla tego też zastępują się one nawzajem i każda z nich jest odpowiednim równoważnikiem drugiej. Gdy dwa ciała w biegu zetkną się ze sobą i po uderzeniu zdają się mniejszą sumę sił mechanicznych posiadać, niż miały przed uderzeniem, pochodzi to ztąd, że jedna część ilości ruchu poszła na sprawienie łoskotu, który przy tem słyszeć się daje, druga na zmianę ich kształtu, a przynajmniej na powiększenie gęstości onych, trzecia zaś na podniesienie temperatury. Chociaż konie w zaprzęży a parowóz na kolei żelaznej pomimo ciągłego działania swego na poruszone masy nie nadają im coraz większej chyżości, jakby to dla bezwładności ciał być powinno, jednak ubytek ilości ruchu postępowe-

go znachodzi się za to w innych formach, mianowicie w drzącym ruchu całego pociągu, tudzież w hurkocie, który on w biegu sprawia, nareszcie w formie ciepła grzejących się osi. Tarcie pomniejsza dla tego ilość ruchu mas całych, że ją w części na molekuły tychże mas przenosi, i to nie tylko w ciałach stałych, ale także i płynnych. Tym sposobem każde koło wodne, każdy potok, spadający z gór po skalistym gruncie, jest środkiem przemiany pewnej, chociaż nie wielkiej, części siły poruszającej w ciepło. Opór, którego doznaje krew, krążąca w naszem ciele, szczególnie w przechodzie do włoskowatych kanałków, rozłożonych w niem misternie na kształt najdelikatniejszej siatki, tamuje wprawdzie do pewnego stopnia wielki i mały jej obieg, lecz przez to przyczynia się zarazem nieco do podniesienia naturalnego ciepła tegoż ciała. Dopóki ruchy odbywają się w próżni, cała ilość mechanicznej siły zachowuje się w masie poruszonej, skoro zaś ona wpadnie do jakiego płynu, stawiającego opór, zaraz następuje pozorna utrata mechanicznej pracy, znachodząca odpowiednie pokrycie w cieple, w skutek tego powstałem. Ciepło to w razie wielkiego oporu dla wielkiej chyżości może podnieść temperaturę poruszonej masy aż do białego żarzenia, jak to widzimy na aerolitach, wpadających nieraz do naszej atmosfery z ogromną chyżością, wynoszącą kilka mil na sekundę i sprawiających w niej nie tylko chwilowe mignięcie się ognia na sposób rakiety po niebios sklepieniu, ale także w razie częstszego pojawiania się tego zjawiska w krótkim czasie podniesienie jej temperatury w tem miejscu. Tak zwa-

ne więc przeszkody ruchu, tarcie i opór żywiołu, przedstawiają się nam dziś z innej strony, niż do niedawna, gdyż nie niweczą sił, lecz zamieniają je w inne, mianowicie siłę mechaniczną w ciepło. Lecz właśnie ta okoliczność jest dla życia w naturze nie bez wielkiego znaczenia; ciepło bowiem nigdy się nie zamienia całkiem w mechaniczną siłę, a do tego także siły chemiczne w miarę tworzenia połączeń przyjmują formę ciepła, które znowu tylko w części da się przeobrazić w pracujące siły mechaniczne, przez co zasób tych ostatnich coraz bardziej się pomniejszać, a tem samem powoli i zdrój życia całkiem wyschnąćby musiał, gdyby natura temu w inny sposób nie była zaradziła, udzieliwszy ziemi i planetom ogromny zapas tych sił w ruchach dziś jeszcze panujących, i posyłając ciągle od słońca z promieniami światła także mechaniczną siłę i inne warunki życia.

Także siły chemiczne przemieniają się głównie w ciepło, ciepło zaś przemienia się w mechaniczną pracę [1]), ta w elektryczność, a elektryczność znowu w przyciąganie chemiczne czyli chemizm. Przy goreniu węgla spotrzebowuje się chemiczne przyciąganie jego do tlenu atmosferycznego, a natomiast pojawia się ciepło, które parową machinę w ruch wprowadzić i ją w tymże utrzymywać może, przyczem się co chwila pewną ilość ciepła wydaje, a za nią znowu odpowiednią ilość mechanicznej pracy otrzymuje. Przez obracanie zaś szyby w machinie elektrycznej i zuży-

---

[1]) Obacz tom II Biblioteki Ossolińskich: „Wieczyste rucho" i tom III: „Ekonomia świata".

cie przytem pewnej ilości pracy mechanicznej można przyrząd elektromagnetyczny wprawić w ruch wirowy, przez co się znowu obudzi elektryczność prądowa, dająca się użyć do zwrócenia napowrót częściom składowym wody, tlenowi i wodorowi, ich chemicznego powinowactwa, które się przy powstaniu wody zużyło, czyli krótko mówiąc, do rozkładu tego elektrolitu na jego jony (części składowe). Czy wreszcie przy takiej metamorfozie jednej siły w drugą pewna ilość pierwszej usypia, a za nią odpowiednia ilość drugiej dotychczas uspionej budzi się, czy przeciwnie formalna przemiana jednej części żywych sił ruchu w drugą następuje, o to nie ma się co spierać, gdyż ostatnie zdanie więcej ma prawdopodobieństwa za sobą. Światło, rozchodzące się promieniami, rodzi też ciepło, to jest, zużywając się w ciałach ważkich ogrzewa je w miarę tego zużycia. Tu drgania eteru postępujące falami dalej niweczą się, a w skutek tego zamiast nich powstają stojące drgania i inne drobne ruchy cząstek materyi ważkiej, przyczem żywa siła ruchu ani się nie powiększa, ani nie pomniejsza. Tak samo, gdy przez tarcie rozwija się ciepło, albo wskutek zużycia ciepła powstaje mechaniczna praca, właściwie tylko ruch całych mas przemienia się w ruchy najdrobniejszych ich cząstek i odwrotnie, bez wszelkiej zmiany żywej siły ruchu. Przy tych metamorfozach mamy widocznie z przemianą ruchów, a że te jako działacze w przyrodzie czyli jako siły natury występują, z przemienieniem sił do czynienia. Takowa metamorfoza jednej siły w drugą następuje tylko pod pewnymi warunkami. Według dzisiejszego stanowiska

naszej wiedzy potrzeba do tego koniecznie przenoszenia pewnej ilości ruchu z jednego ciała na drugie. Siła w czynności zawieszona czyli zrównoważona nie może jako taka przemieniać się w jakąś inną siłę. Światło zatrzymuje niezmiennie przyrodę swoją, dopóki sam tylko eter jest pośrednikiem ruchu falowego, rozchodzącego się promieniami w niezgłębionej przestrzeni eterycznego oceanu. Skoro zaś te fale przejdą w inne jakie ciało ważkie, zaraz światło przemienia się w ciepło albo chemizm, w życie, albo w niektórych okolicznościach w tak zwane siły polarne. Liczne mamy na to dowody. Wszak pod wpływem promieni słonecznych wszystkie ciała, zwłaszcza ciemne, ogrzewają się, a niektóre z nich ulegają zmianom chemicznym (blechowanie, pełznienie i fotografia), drzewa rosną, owoce dojrzewają, a zwierzęta zdrowo i czerstwo się utrzymują, stalowe zaś igły stają się magnetycznemi. Aby mechaniczna praca mogła się przeobrazić w ciepło, musi ruch molekularny żywością swoją przewyższać ruch masy jako całości, co wtedy tylko być może, jeśli najprzód sterczące cząsteczki ciała w odpowiedni ruch przechodzą. Dla tego ciała rozgrzewają się tylko w ruchu, połączonym z większem tarciem. Jeśli ruch najdrobniejszych cząstek ciał trących się o siebie nie może być z równą łatwością dalej przenoszony, to jest, jeśli takie dwa ciała nie są równie dobrymi przewodnikami, wówczas następuje przemiana mechanicznej pracy po części w ciepło, po części w elektryczność. Tarcie, istniejące pomiędzy równymi przewodnikami, sprawia tylko ciepło. Jeżeli zaś odwrotnie ciepło ma się przeobrazić w mechanicz-

ną pracę, musi ono z ciała bardziej ogrzanego przechodzić do ciała mniej ogrzanego i w tem ostatniem doznawać stosownego oporu przewodzenia. Gdyby ciepło, za pomocą pary przewodzone z kotła do naczynia tłokowego, uchodziło z taką samą prędkością przez ściany jego i ściany rur, tę parę prowadzących, taka przemiana nie odbywałaby się wcale. W pręcie metalowym, złożonym z dwóch kawałków różnego przewodnictwa, nierówne ogrzanie miejsca ich spojenia wywołuje prąd elektryczny. Dzieje się to też w pręcie z jednego metalu, jeśli on w jednem lub więcej miejscach niejednakowo przewodzi ciepło. Do rozwinięcia więc elektryczności w stosach termoelektrycznych dwa powody być mogą: nierówne przewodnictwo różnorodnych metalów, lub nierówne przewodnictwo tego samego metalu w różnych jego miejscach.

Metamorfozę sił w najobszerniejszym zakresie okazać można na zamkniętym stosie woltaicznym. Gdyby przebieg wynalezienia tego przyrządu nie był nam znany, moglibyśmy mniemać, że go właśnie dla zbadania praw i warunków przemienienia sił wymyślono. Gra sił w takim stosie, złożonym z dwóch różnorodnych metalów i z jednego lub dwoch rozkładowi chemicznemu ulegających ciekłych przewodników, rozpoczyna się (według zdania prawie powszechnie dziś przyjętego) od działań chemicznych, mianowicie od rozkładu wody, tlenienia cynku i tworzenia z niego tak zwanego witryolu cynkowego czyli siarkanu cynku. Najbliższym skutkiem tego działania jest zużywanie się chemicznego przyciągania i równoczesne powstawanie elektryczności i ciepła, a w pewnych oko-

licznościach także światła, mechanicznej pracy, magnetyzmu i t. p. skutków przeobrażania się pierwotnej siły. Elektryczne działania stosu są przeważnie rozkładowemi, a pierwotna czynność chemizmu jest łączącej natury; tam chemiczne przyciąganie powstaje, tu zaś zużywa się. Ta przemiana, równie jak wszystkie inne, następuje według stałych równoważnikowych stosunków i jest niejako ogniwem łańcucha zjawisk, z których każde stać się może przyczyną powstania reszty wszystkich. W stosie woltaicznym kolej tych zjawisk rozpoczyna chemizm, w machinie elektrycznej mechaniczna praca, w magneto-elektrycznej machinie magnetyzm, a w stosie termoelektrycznym ciepło i t. d. Elektrobodźcem może się stać przeto każdy działacz natury, będący ogniwem szeregu sił, które wywołując się na przemian, metamorfozują się nawzajem w rzeczony sposób. Pomyślmy sobie, że z trzech stosów równej mocy jeden jest zamknięty samym tylko drutem, drugi łącznikiem, zawierającym w sobie jakiś przyrząd elektromagnetyczny, n. p. zębate kółko Barlowa, trzeci zaś woltametrem, czyli po prostu naczyńkiem z wodą, do elektrolizy przeznaczoną. Zmieniając długość łącznika w pierwszym stosie, a chyżość obrotu rzeczonego kółka za pomocą magnesu w drugim, nie trudno sprawić, że moc strumienia elektrycznego w tych trzech stosach będzie równa. Wówczas w łączniku pierwszego stosu, gdzie elektryczność nie załatwia ani chemicznych działań, ani mechanicznej pracy, tworzy się największa ilość ciepła, w drugim, gdzie prąd elektryczny pewną pracę chemiczną załatwia, ilość ciepła, występującego na jaw,

jest o tyle mniejsza, ileby się go otrzymało, gdyby obydwa w elektrolizie wody powstałe gazy, tlen i wodor, połączyły się z sobą napowrót i dały wodę; w łączniku nareszcie trzeciego stosu względny ubytek ciepła czyni właśnie tyle, ile siły poruszającej według mechanicznego równoważnika ciepła [1]) idzie na utrzymanie rzeczonego kółka w ruchu. Tam więc odbywa się wprost przemiana elektryczności w ciepło, tu zaś pośrednio w chemizm i mechaniczną pracę, a wszędzie panuje prawo odpowiednich równoważników. Być wszakże może, że strumień w galwanicznym stosie powstaje kosztem ciepła, mającego się tworzyć wśród tlenienia cynku, gdyż moc jego w równych zresztą okolicznościach jest proporcyonalna do wagi utlenionego metalu tego, a w miejscu, gdzie ta czynność chemiczna odbywa się, nie widać ciepła, które się zwyczajnie pojawia przy tlenieniu. Te uwagi stawią badacza natury na stanowisku, z którego on na zjawiska elektryczne inaczej niż dotąd zapatrywać się musi. Dziś atmosferycznej elektryczności tyle tylko przyrody ognistej przypisywać można, ile jej przyznajemy młotowi, który uderzeniami swemi kawał żelaza do czerwoności rozżarza, chociaż ona najczęściej tylko w towarzystwie ognia zmysłom naszym się objawia. Piorun tylko dla tegó spada z niebios na ziemię jako ognista strzała Jowisza, że wielka część mechanicznej jego pracy dla oporu powietrza przeobraża się w ciepło. On zapala też same tylko przedmioty, które go w tym prędkim biegu zatrzymać usiłują, nie

---

[1]) Obacz tom II Biblioteki Ossolińskich strona 291 i n.

uszkadzając zwykle innych, co tego nie czynią. I właśnie na tem polega skuteczność g r o m n i k ó w.

Zamiana elektryczności w ciepło i mechaniczną pracę nie zgadza się wcale z przypuszczeniem jakichś płynów elektrycznych, które na mocy prawa stateczności materyi nie mogłyby żadnym sposobem tu znikać, a tam powstawać i w mechaniczną pracę się przemieniać. A że magnetyczne zjawiska najprawdopodobniej na molekularnych strumieniach elektrycznych polegają, więc z upadkiem osobnej materyi elektrycznej upada też przypuszczenie płynów magnetycznych, których słusznie pozbyła się nowsza fizyka. Także siły chemiczne stosują się pod względem przemiany do prawa równoważników. Dowiedzioną jest bowiem rzeczą, że przy każdem chemicznem połączeniu się dwoch ciał w jedno na wskróś jednorodne rozwija się ciepło i to w jednakowej ilości, czy sprawa łączenia się ich przychodzi do skutku prędko czy powoli, naraz lub w pewnych przerwach czasu. Można przeto ilość ciepła, w skutek działania chemicznego utworzoną, wziąć za miarę chemizmu, który się w takim razie czynnym okazuje, i na tej podstawie mówić o pracy, załatwianej przez siły chemiczne, które się w nią właściwie dopiero za pośrednictwem ciepła i elektryczności przemieniają, jak to widzimy w machinach parowych i kalorycznych, tudzież w motorach elektromagnetycznych, gdzie ta metamorfoza odbywa się na wielkie rozmiary, zawsze jednak ściśle według prawa stosunków równoważnikowych.

Tych zasadniczych i najwyższych praw natury, o których tu mówiliśmy, nie trzeba jednak uważać za

wyłącznie ubezpieczoną własność nauk przyrodnich pod względem tylko światła i ciepła, elektryczności i magnetyzmu, tudzież sił mechanicznych i chemicznych. Muszą one być powszechnemi prawami wszechświata, gdyż napotykamy je także w całym przebiegu życia istot organicznych na ziemi, która te istoty na świat wydała, nosi i napowrót w swoje łono przyjmuje. Kierując się w rozumowaniu dobremi analogiami, nie znachodzimy żadnej podstawy do przypuszczania jakichś wyjątków od tych praw dla istot organicznych, bo te nie stanowią czegoś odrębnego od reszty świata, a życie ich, podobnie jak ciepło, światło i t. p. jest zjawiskiem (lubo nierównie więcej złożonem) na powierzchni niektórych ogromnych brył świata, ciałami niebieskiemi nazwanych.

Życie zwierząt i roślin zawisło dziwnym sposobem od tych samych warunków zewnętrznych, od których zależą w ogóle chemiczne rozkłady (gnicie i butwienie) ciał organicznych, mianowicie od obecności wody i powietrza, ciepła i światła z tem ostatniem spokrewnionego. Woda i powietrze wywierają wpływ materyalny po największej części w skutek swoich działań chemicznych; wpływ zaś ciepła jest czysto dynamicznym. Nieodzowną potrzebę tego działacza w każdym okresie życia roślin i zwierząt można uważać za niechybny pewnik, który stwierdzają rozliczne fakta, okazujące, iż między czynnościami całego życia istoty organicznej a ciepłem, udzielanem jej z okolenia w tym okresie czasu, zachodzi ścisły związek. Każda roślina jednoroczna od chwili kiełkowania aż do odkwitnienia i dojrzałości nasienia

pobiera zdaniem Boussingaulta pewną ilość ciepła i światła, czy ona rośnie w strefie gorącej, czy w strefie umiarkowanej, a wzrost jej stoi w prostym stosunku do ilości tych, w pewnym czasie otrzymanych działaczów. Każda wymaga do kwitnienia odpowiedniej temperatury, która nie przechodzi pewnej granicy, a do wydania dojrzałych owoców pewnej średniej temperatury lata. Przez obfitszy lub oszczędniejszy dowóz ciepła, zawsze jednak tylko w pewnych granicach, można czas kiełkowania nasion do woli przyspieszać lub opóźniać. To samo postrzeżenie zrobiono na wykształcających się poczwarkach w jajecznikach owadów. Pewne czynności żywotne wymagają daleko więcej ciepła, niż inne, jak n. p. przebieg rozwoju pewnych organów względnie do prostego rośnienia czyli powiększenia masy ciała. Trytony na odrośnięcie utraconych członków daleko więcej ciepła spotrzebowują, niż na wzrost swego ciała. Zwierzęta, mające zimną krew, znoszą daleko nieprzyjaźniejsze wpływy zewnętrzne, niż zwierzęta ciepło-krwiste, a to przez dłuższy czas w niższych, aniżeli w wyższych temperaturach, rozumie się, w odpowiednich granicach. Żaby, zamknięte w pewnej masie wody, oddzielonej od atmosfery, nie mogąc oddychać powietrzem, giną według prób Edwardsa w temperaturze bliskiej punktu marznięcia wody (0° C), dopiero po upływie 367 do 498 minut, w temperaturze 10° C po 350 do 375, przy 22.°2 C po 35 do 90, a przy 32.°2 C już po 12 do 32 minutach. Zwierzęta, mające krew ciepłą, są wprawdzie od dowozu zewnętrznego ciepła mniej zawisłemi, lecz

i one stoją w ciągu całego życia swego pod panowaniem tego działacza natury. Ptaki i zwierzęta ssące zdaniem Chossala mogą żyć tylko w temperaturze, która najwięcej o 17°C jest niższą od temperatury ich ciała, jeżeli się to już wszelkiego tłuszczu swego i innych palnych części pozbyło. Nieraz zwierzę wychudłe i bliskie śmierci przychodzi znowu do siebie, skoro się temperaturę jego ciała odpowiednio podniesie. Z tego wszystkiego wnosić wypada, że ciepło dla roślin i zwierząt jest czemś więcej niż prostym tylko środkiem budzenia sił uspionych, że się raczej przeobraża w czynność, której bezpośredniem następstwem jest sprawa życia.

Funkcye żywotne roślin i zwierząt niższej organizacyi ograniczają się prawie tylko na machinalnem i nieświadomem budowaniu ich organizmu i odnawianiu jego części, zużywających się ciągle w skutek rozmaitych ruchów. U zwierząt zaś doskonalszej organizacyi ma życie jeszcze inne wyższe znaczenie z powodu systemu nerwowego, będącego niejako najwyższą władzą w świecie organicznym, gdyż wszelkie działania zwierzęcia, zwrócone na zewnątrz, pochodzą od nerwów i wszelkie wpływy zewnętrzne, którym ono podlega, przychodzą do nich, a wszystkie przemiany, od których wzrost, żywienie i odradzanie zawisły, przez nie utrzymują i pod ich zarządem załatwiają się. Czynność nerwów zasadza się na sprowadzaniu takich zmian w mózgu, mięśniach i gruczołach, które pociągają za sobą czucie, ruch i sekrecyą czyli wydzielanie. Do każdej z tych trzech oddzielnych czynności służy osobny system nerwowy,

a czynności każdego zmysłu załatwiają nawet osobne nerwy czucia. Nerw, mający pełnić czynność swoją, musi być pierwej podrażniony. Takie drażnienie sprawiają siły chemiczne i mechaniczne, tudzież światło, ciepło i elektryczność, zatem te same działacze natury, które, jakeśmy widzieli, w ścisłym związku ze sobą zostają i nawzajem się metamorfozują. Już ta okoliczność przemawia za zdaniem, że i czynności nerwów należą do klasy działaczów nawzajem się metamorfozujących. Każdy nerw utraca pierwotną czułość swoją w części albo całkiem na pewien przeciąg czasu lub na zawsze, jeśli się go osłabi przez drażnienie zanadto mocne, albo za nadto prędko po sobie następujące. Dzieje się to dla tego, że czynność obudzona w nerwie przez zewnętrzne drażnienia przenosi się na mózg, gruczoł lub muszkuł, przez co siły nerwowe wycieńczają się, zatem słabnąć muszą, póki w skutek normalnego toku życia nie nastąpi znowu reprodukcya tego, co się zużyło. Każdy z wymienionych środków drażnienia nerwu, jeśli go w ogóle do czynności pobudzić jest w stanie, sprawia w nim zawsze tylko ten osobliwy skutek, do poczucia którego jest on usposobiony. Tak n. p. nerw widzenia, czy nań odpowiednie ciśnienie, czy elektryczność, czy faleczki światła skutecznie działają, odpowiada tylko poczuciem światła, a nerw ruchu kurczeniem się, czy drażnienie od stosownego pociśnienia, czy od działania chemicznego, czy nareszcie od ciepła lub elektryczności pochodzi. Z tego wnosić wypada, że każde takie drażnienie nerwu przeobraża się w ruch, naturze jego odpowiedni, to

jest przemienia się w siłę tego samego rodzaju. Wniosek takowy popiera jeszcze ta okoliczność, że ten sam przedmiot, drażniący nerwy wszystkich pięciu zmysłów naszych, sprawia w każdym z nich inne wrażenie, zgodne z jego naturą n. p. elektryczność, rażąca nerwy ruchu, pobudza odpowiednie ściągacze mięsców do czynności, sprawia w oku rodzaj łuny lub błyskania, w uchu dudnienie, w nosie kłucie, jak po zażyciu tabaki, na języku zaś właściwy smak kwaskowaty lub ługowy.

Czynności nerwów mogą odwrotnie wszystkie rzeczone działania natury, jak ciepło, światło, elektryczność i t. d. kolejno wywoływać i czynią to istotnie w ciągu życia zwierząt. Jak faleczki eteru w oku zwierząt czucie światła sprawiają, tak znowu nerwowa czynność niektórych zwierząt przemienia się w światło, które wydają z siebie pewne zwierzątka, n. p. chrząszcz surynamski, muszki świętojańskie i t. p. Elektryczność pobudza nerwy do pewnych fizyologicznych czynności, które odbywają się tak dobrze w nerwach ruchu i czucia, jako też w nerwach wydzielania, a odwrotnie podwyższona czynność życia nerwowego wywołuje znowu objawy elektryczności. Są ludzie i zwierzęta, którym w gniewie włosy się jeżą w skutek raptownie powstałego napięcia elektrycznego dla podniesionej chwilowo zmiany w nerwach kosztem innych czynności w organizmie. A tak zwane ryby elektryczne, jak drętwik, trzęsawiec, wyrabiają w sobie silne napięcie elektryczne i pozbywają się go podobnie jak butelka lejdejska, gdyż zawierają w organizmie swoim przyrząd do stosu Wol-

ty podobny, który za pomocą wielkich sznurów nerwowych stoi w połączeniu ze środkami nerwów, licznie rozgałęzionych w różnych częściach jego. Zniosłszy to połączenie lub ograniczywszy je, staje się ryba całkiem lub w części niezdolną do naładowywania się elektrycznością i pozbywania się onej. Przy tej ostatniej czynności okazują się wszystkie te zjawiska, które w ogóle prąd galwaniczny wywołuje, jako to: ciepło, iskry elektryczne, działanie na igłę magnetyczną, rozkłady chemiczne i t. d. Tu więc siły nerwowe są tak samo pierwszem ogniwem łańcucha przemian, jak w stosie Wolty sprawa chemiczna, w machinie elektrycznej zużycie pracy, a w stosie Meloniego ciepło. Z tego zaś wszystkiego widać, że siły nerwowe należą też do rzędu tych działań w naturze, które się według okoliczności nawzajem wywołują i podług pewnych praw ciągle metamorfozują, nie różniąc się wcale od nich w tym względzie. Nerw wrażliwy w żyjącym organizmie posiada przedewszystkiem własność utrzymywania się w nienadwerężonym stanie swoim, odnawiając w skutek życia ciągle ze krwi zużyte części swoje tak, jak każde inne tworzywo organiczne, dopóki żyje. Czynność odżywiania się i reprodukcyi nerwów nawet w czasie ich spoczynku, czyli w chwilach, przemijających bez wrażeń, jest przeważnie natury utleniającej lub równoważnej temu chemicznemu procesowi, łączy się więc koniecznie z pewnem spotrzebowaniem siły chemicznej, w skutek czego ciepło powstaje. Nie ma też żadnej niedorzeczności w przypuszczeniu, że tworzenie się ciepła wzdłuż nerwu jest w każdem miejscu

jednakowe, na różnych zaś miejscach poprzecznego przecięcia jego rozmaite, w skutek czego właśnie powstawać mogą prądy termoelektryczne, krążące na płaszczyznach, prostopadłych do osi długości jego. Takie prądy uważał w istocie Bois-Reymond nawet w nerwie spoczywającym i zbadał ich prawa za pomocą osobnych przyrządów, które sam do robienia tych delikatnych doświadczeń powymyślał. Z nich wiemy, że nerw wrażliwy zachowuje się podobnie jak stos zamknięty, którego dodatny biegun zwrócony jest do osi jego długości, a ujemny do poprzecznego przecięcia; przez co elektryczny strumień w nerwach ma wielkie podobieństwo do mniemanych prądów molekularnych w magnesach, będących zdaniem Ampèra solenoidami czyli systemami kolistych, w tym samym kierunku pojedyncze molekuły okrążających strumieni elektrycznych, uszykowanych równoodlegle od siebie w nieskończenie małych odstępach prostopadle do osi długości magnesu. Tem różni się nerw od innych części w żyjącym organizmie zwierzęcym. Skoro on w skutek wrażenia zostanie podrażniony, musi w nim większe zużycie pewnych części składowych nastąpić, a przez to zajść zmiana w rozwinięciu ciepła, zawisłem od stosunku między ilością wcielonej i zużytej masy, a tem samem także w natężeniu prądu elektrycznego, będącego bezpośrednim skutkiem tej zmiany. Dopiero po wypocznieniu może znowu powrócić stan jego początkowy. Bois-Reymond przekonał się istotnie, że każde podrażnienie nerwu pociąga za sobą zmniejszenie w nim mocy prądu elektrycznego, która okazuje się dopóty

mniejszą, póki trwa podwyższona czynność nerwowa, powraca zaś do pierwotnego stopnia, skoro ona całkiem ustanie. Chemiczna więc przemiana składowych części nerwu zdaje się być pierwszem źródłem siły nerwowej, a elektryczność ostatnią formą jej działania. Przeobrażenie się tamtej w tę jest dla tego rzeczą wielkiej wagi, że elektryczność do prędkiego przesyłania siły przez dobre przewodniki jest najprzydatniejszą z pomiędzy wszystkich działaczów natury, jak to widzimy w zamkniętym stosie woltaicznym, gdzie chemiczne działania w pojedynczych kubkach, stanowiących jego ogniwa, tylko za pomocą elektryczności na dalekie miejsca łącznika przenoszą się. Jakim zaś sposobem w nerwach tego lub owego zmysłu z czynności pierwotnie chemicznej w skutek przemienienia jej w elektryczność powstaje najprzód odpowiednie mu czucie, a z tego w dalszym toku metamorfoz fizyologiczno-psychicznych znowu myśl, jak dalej myśl budzi wolę, ta zaś działa na mózg, aby wydał rozkaz do kurczenia się pewnych mięśni w celu załatwiania jakiejś pracy, tego dziś nie wiemy, raz dla wielkich trudności, których sam przedmiot badającemu nastręcza, a potem dla tej okoliczności, że nie umiano jeszcze metody, używanej w fizykalnych poszukiwaniach, przenieść na pole badań fizyologicznych i psychologicznych. Nie podlega jednak żadnej wątpliwości, że wszystkie te cudne machiny, które żyjącemi zwierzętami nazywamy, czerpią swe siły do pracy z działań chemicznych, głównie za pośrednictwem ciepła i elektryczności. Obliczenia wszakże ich skutków mechanicznych w kilo-

gramach metrowych nie ma jeszcze bezpiecznej podstawy, chociaż pewną jest rzeczą, iż one pod względem ekonomicznego użycia siły roboczej są najdoskonalszemi ze wszystkich, na które dowcip ludzki dotychczas się zdobył. Siły chemiczne nie tylko w ekonomii świata, ale także w gospodarstwie człowieka są najpotężniejszemi dźwigniami. Za ich współdziałaniem rozwija się ciało zwierzęcia, którego siły w granicach naturalnego rozwoju rosną i nikną w miarę ich wielkości. Nawet potęga państw zawisła po wielkiej części od ilości i wielkości sił chemicznych, któremi rozporządzają, a materyalna przewaga w wojnach zależy od zasobów sił chemicznych, nagromadzonych w prochu strzelniczym i w żywności dla ludzi i koni, tudzież od łatwości przemieniania tych sił ze skutkiem w mechaniczną pracę sprzątania zastępów nieprzyjacielskich.

Metamorfoza sił w naturze, będąca pod pewnym względem duszą całej rozmaitości zjawisk w tak zwanym świecie zmysłowym i prawa tych ustawicznie odbywających się przemian są w życiu praktycznem całkiem obcemi pojęciami. Człowiek korzysta z niej w najrozmaitszy sposób, nie troszcząc się wcale o to, co jest początkiem sił zużytkowanych lub mających przyjść w używanie. Pijący gorzałkę nie myśli o tem, że ten płyn alkoholiczny dozna w ciele jego takich samych zmian, jak po zapaleniu go na czarce dla utworzenia pewnej ilości ciepła, potrzebnej do ogrzania czegoś. Człowieka z gminu nie obchodzi to wcale, że światło, które wysyła zapalona świeca lub lampa, pochodzi od tej samej chemicznej siły,

która jest także czynną pomiędzy atomami tlenu atmosferycznego a takiemi samemi drobinami węgla i wodoru w tłuszczu zwierzęcym, lub że siła poruszająca parowozy na kolei żelaznej płynie ostatecznie z tego samego źródła, z którego bierze się siła pociągowa konia i wołu. Tem źródłem jest słońce. Nie dziw więc, że mu cześć boską oddawano w starożytności! Prawie wszędzie, gdzie ciężka praca, niegdyś na barki człowieka składana, dziś naturze samej bywa przekazywaną, stało się to za pomocą przemiany sił tejże natury. Przez umiejętne poznanie jej praw i stosowne użycie tychże zapanował człowiek świetnie nad niemi. Co zaś tu w małych rozmiarach widzimy, to samo dzieje się w gospodarstwie natury na wielką, niezmierzoną skalę.

Przez metamorfozę sił utrzymuje się tak wielka rozmaitość zjawisk w naturze. Ta sama bowiem siła w różnych okolicznościach rozmaicie czynną się okazuje. Elektryczność, jak wiadomo, przeobraża się w ciele stałem, mającem kształt drutu lub pręta, po części w ciepło, a po części nawet w światło; w ciekłym przewodniku, ulegającym elektrolizie, sprawia chemiczny rozkład, w żelazie i stali wywołuje magnetyzm, a w żyjącej mięśni kurczenie. Promień słoneczny działa chemicznie na płytę Daguerra lub papier fotograficzny, a ostateczny skutek padania jego na siatkówkę oka jest poczucie światła i widok tego wspaniałego ciała niebieskiego. Ciekawe doświadczenie, odnoszące się do przemiany elektryczności w ciepło, zrobili fizycy Childern, Davy i De la Rive. Prowadząc elektryczność woltaicznego stosu większych rozmia-

rów przez łącznik, złożony na przemian z równie grubych i długich kawałków srebrnego i platynowego drutu, widać naraz wszystkie kawałki platyny jednakowo rozżarzone, podczas gdy kawałki srebra, leżące pomiędzy tamtymi, prawie żadnego podniesienia temperatury nie okazują. Dzieje się to bez względu na to, czy stos zostanie przy anodzie czy przy katodzie zamknięty. W kawałkach więc drutu platynowego jest więcej ciepła, niż w kawałkach drutu srebrnego, bo gdyby się w nich równe ilości ciepła znajdowały, wówczas temperatura pierwszych miałaby się tak do temperatury drugich, jak $\frac{1}{21{\cdot}7 \times 0{\cdot}0324} : \frac{1}{10{\cdot}5 \times 0{\cdot}0570}$, czyli jak 100 : 117, gdyż ciężar gatunkowy tych metalów wyraża się liczbami 21·7 i 10·5, a ciepło ich gatunkowe odpowiednio przez 0·0324 i 0·0570. Atoli temperatura kawałków platynowych różni się tu od temperatury kawałków srebrnych nie o 17%, lecz o tysiąc przeszło stopni, i to równie w kawałkach bliższych stosu, jak i w kawałkach bardziej od niego oddalonych. To zaś tylko w tym razie jest możliwem, jeśli część elektryczności w przechodzie z kawałków srebra do kawałków platyny przemienia się w ciepło, a zupełnie taka sama znowu część ciepła, idąc z platyny do srebra, staje się elektrycznością. Bo gdyby ciepło, z elektryczności w platynie powstałe, nie zamieniało się zaraz w następującym kawałku srebra znowu całkiem w elektryczność, natenczas aniby wszystkie kawałki drutu platynowego naraz jednakowo żarzyć się nie mogły, ani temperatura kawałków srebra, leżących pomiędzy tamtymi, nie utrzymywałaby się na jednakowym sto-

pniu, lecz przeciwnie temperatura kawałków, przez które elektryczność pierwej przechodzi, musiałaby być inna, niż tych, do których przybywa nieco poźniej. Takie częściowe przemienienie elektryczności w ciepło następuje zaś nie tylko w ciałach stałych. Druty elektrycznością rozpalone ogrzewają także wodę, do której są wpuszczone, rozkładając ją przytem na jej części składowe, tlen i wodor. Z rzeczoną przemianą elektryczności w ciepło w kawałkach platyny nie jest wszakże połączone słabnięcie natężenia prądu elektrycznego, który na mocy praw Ohma w równej sile utrzymuje się w całym łączniku. Znaczenie tej metamorfozy jest zupełnie inne. Po zamknięciu stosu za pomocą druta krąży w nim tak zwany prąd elektryczny. Lecz elektryczność nie występuje tu tylko w postaci prądu, lecz przeciwnie, jak to doświadczenia Kohlrauscha wsparte rachunkami Kirchhoffa uczą, część onej także napięciem objawia się, w skutek czego właśnie ciągły rozkład tak zwanej naturalnej elektryczności ($\pm$E) w łączniku następuje i ruch dodatniej w jednym, a ujemnej w przeciwnym kierunku utrzymuje się. Te dwie odmienne formy objawu elektryczności, prąd elektryczny i napięcie elektryczne, zachowują się w łączniku niejednakowo. Pierwszy idzie wewnątrz niego dalej podobnie jak woda w rurce, drugie zaś jest na samą tylko powierzchnię jego ograniczone. W prądzie elektrycznym, że się tak wyrażę, przez każde poprzeczne przecięcie stosu zamkniętego płynie w tym samym czasie zawsze równa ilość elektryczności; napięcie zaś elektryczne nie jest wzdłuż łącznika na obwodzie każdego jego przecięcia

równe, lecz okazuje się większem w pobliskości biegunów stosu, a co raz mniejszem w rosnącem oddaleniu od nich, i to w taki sposób, iż w każdych dwoch miejscach jednorodnego łącznika, oddalonych od siebie o jednostkę długości, ta sama zawsze różnica elektrycznego napięcia panuje, czy one są bliższe anody, czy katody, czy też nareszcie od końców stosu równe mają oddalenie. Różnica ta w elektrycznem napięciu dwoch miejsc łącznika jest poniekąd siłą poruszającą obie przeciwne elektryczności w strumieniu; zatem w łączniku na wskróś jednorodnym musi ona na całej długości jego wszędzie być jednakową, jak to już z prawa Ohma wynika. Ponieważ zaś ta siła w równych zresztą okolicznościach od oporu przewodzenia zawisła i w stosunku do tego oporu rośnie, więc w każdej części łącznika, złożonego z kawałków różnego oporu przewodzenia, musi panować inna siła, poruszająca elektryczność prądową, mianowicie większa w drucie większego, mniejsza w drucie mniejszego oporu. Tak n. p. w każdych dwoch miejscach łącznika, złożonego z kawałków srebrnego i platynowego druta, oddalonych od siebie o jednostkę długości, jest ta siła poruszająca w srebrze = 8·4, jeśli wielkość jej w platynie liczbą = 100 wyrazimy; albowiem opory przewodzenia w srebrze i platynie mają się do siebie w równych zresztą okolicznościach jak 8·4 : 100. A że pomimo tak wielkiej przewagi sił poruszających elektryczność prądową w platynie, w porównaniu z siłami poruszającemi ją w srebrze, moc prądu w całym łączniku, a więc w obu tych metalach jest jednakowa, zatem część siły w drucie platyno-

wym, jeśli w ogólności utrata jej nastąpić nie może, bo to się sprzeciwia prawu **zachowania siły**, koniecznie inną czynność w odpowiednim prostym stosunku przyjąć musi; co też istotnie czyni, zamieniając się tamże w ciepło, które podnosi nieraz temperaturę tego metalu aż do rażącej białości, a nawet go w części ulatnia. W przechodzie więc elektryczności z lepszego przewodnika do gorszego przemienia się w ciepło część elektrycznego napięcia, jako siły poruszającej, nie zaś część prądu jako ilości ruchu, i odwrotnie ciepło tak samo znowu nie w drugą, lecz w pierwszą formę elektryczności przeobraża się, w skutek czego prąd elektryczny ani w drutach platynowych dla rozwinięcia w nich stosunkowo większego ciepła nie słabnie, ani w srebrnych dla niższej temperatury tych drutów nie wzmacnia się, lecz stosownie do prawa Ohma w każdem miejscu łącznika w tej samej chwili jednakowe natężenie posiada.

Na drodze przemienienia sił otrzymuje natura napowrót, co niegdyś była wydała. Próchno brzozowe wypłaca się naturze słabym blaskiem swoim za światło słoneczne, pod którego wpływem brzoza wyrosła; siła, którą koń z owsem wprowadza w siebie jest zwróceniem mechanicznej siły, zużytej przez bydło pociągowe przy uprawie pola pod ten owies. Z metamorfozy sił tłumaczą się też wielkie skutki, które nieraz z przyczyn nieznacznych powstają. Z małej iskierki wielki pożar wszcząć się może i w składzie prochu obudzić czynność, roznoszącą ogromne spustoszenie, a słabe potarcie rtęci piorunującej lub jakiego innego ciała podobnych własności sprowadza

też gwałtowny wybuch, gdyż w tych ciałach są nagromadzone wielkie ilości naspichrzonej pracy, która w takim razie przemienia się naraz znowu w żywą siłę ruchu, z jakiej niegdyś na skład była poszła. Światło zaś nie nastręczające już oku żadnego wrażenia działa jeszcze na fotograficzną płytę. Twierdzenia jednak, iż wszystko w naturze toczy się wiecznie jednem wielkiem kołem, nie trzeba rozumieć w ten sposób, jakoby cały świat zjawisk wraz z okolicznościami, w których one po sobie regularnie następują, był ciągłym powrotem wszech rzeczy do tych samych stanów. Jest on raczej ogromnym składem najrozmaitszych kłębków przemiany sił, w którym zawsze ta sama ich suma znachodzi się, chociaż pojedyncze części onej są ciągle inne. Siła słonecznych promieni zeszłego lata istnieje dziś tylko jeszcze w chemizmie węgla roślin i zwierząt, a ciał proteinowych w zwierzętach obecnie żyjących trzeba było pierwej szukać w amoniaku powietrza i w azocie innych składów chemicznych. Siła nie jednej mięśni obecnie czynnej była może niedawno jeszcze elektrycznością lub ciepłem, a to, co teraz utrzymuje nasze ciało w przyjemnej nam temperaturze, powróci może znowu niebawem do ziemi z chmur w postaci strasznego piorunu. Na wiosnę, po mroźnej zimie roślinność znowu uśmiechać się zaczyna, cała natura dokoła nas zdaje się być odmłodniałą i żyć nowem życiem, a jednak w całości jest ona ta sama, jaką przedtem była, podobnie jak każdy z nas jest ciągle tą samą osobą, chociaż codzień inny materyał jako odnowa wchodzi do naszego ciała i bez wątpienia

nie ma dziś w niem ani jednej z tych cząstek, które niegdyś młodzieńczy jego zapał podniecały.

Przypuściwszy, że prawa, według których działają siły, zbadane ludzkim rozumem na ziemskiem stanowisku, są istotnie powszechnemi prawami wszechświata, a przypuszczenie takie stwierdza wszystko, co dotychczas poznano, widać jasno, że wydatki na utrzymanie wielkiego gospodarstwa natury, znachodzą pokrycie swoje w dochodach z chemizmu materyałów palnych i pokarmowych, tudzież z powszechnego ciążenia i z naturalnego ciepła. Wszystkie te siły stanowią jedną nierozerwaną całość i są tylko różnemi formami działania tej samej jednej wszechmocności. Czego filozofia natury długi czas szukała i znaleść nie mogła, z tego dziś nauki fizyczne ściągnęły zasłonę po odkryciu prawa przemiany sił według stosunków równoważnikowych. Prawo to pozwala nam wglądnąć głębiej do wnętrza budowy świata.

Pisałem w marcu 1867 roku.

DR. WOJCIECH URBAŃSKI.

MONUMENTA GERMANIÆ HISTORICA

inde ab anno Christi quingentesimo usque ad annum millesimum et quingentesimum auspiciis societatis aperiendis fontibus rerum Germanicarum medii aevi, edidit Georgius Heinricus Pertz. Scriptorum tomus XIX. Hannoverae impensis bibliopolii aulici Hahniani 1866 fol. XXVI. 772.

Jeszcze w roku 1818 uczeni niemieccy powzięli myśl zebrać najstaranniej średniowieczne dziejów swoich pomniki, rozpoznać je w świetle nowoczesnej krytyki, i ułożywszy ich text według najpoprawniejszych rękopismów wydać z objaśnieniami dla użytku powszechnego. Myśl ta przez barona Steina, ministra niegdyś pruskiego potrącona, znalazła najlepsze przyjęcie w świecie uczonym, a brał w niej niegdyś udział i Józef Maxymilian Ossoliński. Zawiązano niebawem wyłącznie w tym celu uczone towarzystwo we Frankfurcie jako środkowym punkcie Niemiec, a dla łatwiejszego porozumiewania się członków co do sposobu i rodzajów pracy po różnych odległych bibliotekach przedsiębranej zaczęto od roku 1819 wydawać pismo czasowe: *Archiv der Gesellschaft für ältere deutsche Geschichtskunde* zrazu pod redakcyą Düm-

gego i Büchlera, poźniej i aż dotąd pod redakcyą J. H. Pertza. Wsparli to naukowe przedsięwzięcie opieką swoją monarchowie i liczni xiążęta niemieccy, a tak towarzystwo to w środki materyalne zasobne a gruntowną znajomością rzeczy kierowane znalazło wstęp do wszystkich niemal europejskich bibliotek, które za pomocą zdolnych, fachowo ku temu usposobionych członków swoich dotąd jeszcze przepatruje i dla nauki wyzyskać stara się. Po kilkoletnich od zawiązania się tego towarzystwa trudach przygotowawczych ukazał się w roku 1826 tom pierwszy tych Monumentów i odtąd wydanie ich postępuje ciągle naprzód powolnym wprawdzie lecz pewnym krokiem, czyniąc zaszczyt prawdziwy narodowi niemieckiemu a pożytek naukowy nietylko Niemcom, ale i wszystkim prawie narodom europejskim przynosząc. Po rozpoznaniu bogatego materyału źródeł dziejowych Niemiec uznano za stosowne podzielić wszystkie wydawać się mające pomniki na pięć osobnych działów: pierwszy obejmuje pisarzów, a głównie kroniki i roczniki, drugi prawa, trzeci dyplomy czyli nadania, czwarty listy, piąty nakoniec starożytności, którem to mianem objęte być mają pomniki drobniejsze. Dotąd wyszło, ile nam wiadomo, na widok publiczny pisarzy tomów 19 a 3 tomy praw.

Dzieje nasze od pierwszego jako naród wystąpienia ściśle się wiążą z niemieckiemi, ztąd publikacya ta jak dla innych narodów sąsiadujących z Niemcami tak i dla nas wielkiej jest wagi. Samo wydanie krytyczne wzorowych, cennych roczników niemieckich, jak hersfeldeńskie, kwedlinburskie, hildeshejmskie;

kronik jak Widukinda, Thietmara; najstarszych wreszcie żywotów tych apostołów, których królowie nasi począwszy od X wieku dla szerzenia wiary chrześciańskiej do Prus i na Pomorze wysyłali, rozświeca w wysokim stopniu nasze dzieje ówczesne. Wydawcy atoli nie poprzestali na tem; zamierzyli sobie oni od czasu do czasu zamieszczać oraz w zbiorze swym i dzieła pisarzów polskich lub dziejami Polski głównie zajmujących się, i tak w tomie IX umieszczony został nasz Gal opracowany krytycznie przez Szlachtowskiego i Koepke'go; a w tym oto XIX tomie obok pomników pomorskich, pruskich, inflanckich i szląskich, które bezpośrednio dawnej Polski tyczą się, obok nagrobków Piastów szląskich znachodzimy jeden oddział mający w indexie nadpis osobny *Polonia,* a w nim zebrane roczniki polskie, obejmujące zdarzenia dziejowe od lat najwcześniejszych aż do roku 1434, katalog biskupów krakowskich od Prochora do Jana Rzeszowskiego, nakoniec spominki płockie i lubelskie od roku 1055—1497. Ten to dział właśnie daje mi powód, że chcąc obeznać bliżej z treścią tomu tego polską publiczność zamieszczam tu postrzeżenia, jakie mi się w czytaniu jego nasunęły.

Roczniki polskie, jakkolwiek w nowszych czasach zwracały już uwagę baczną nie jednego z naszych rodaków, nie były jednak dotąd zebrane starannie i razem ogłoszone. To, co z nich Sommersberg w roku 1730 a Lengnich w 1749 wydrukowali, przepełnione jest błędami tak, że z trudnością tylko można z tego jaki taki w badaniach naukowych robić użytek. Sporadyczne też jednego lub drugie-

go rocznika po pismach czasowych i dziełach ukazywanie się jakieśmy w ostatnich latach widzieli, na niewiele przydać się mogło już przez to samo, że było izolowane, a często żadną uwagą krytyczną nie wsparte. Nasze zaś właśnie roczniki, które, jak to wiadomo, doszły nas w największej części tylko w bardzo poźnych i mylnych odpisach, potrzebują więcej niż którekolwiek porównania wszystkich ich rękopismów i krytycznego zestawienia textów, bo tylko tym sposobem opracowane ważne to źródło służyć może za podstawę naszej historyi. Glówny Pomników niemieckich wydawca Jerzy Henryk Pertz, świadomy najlepiej, jakich zachodów praca tego rodzaju wymaga, nie wahał się przeznaczyć na to materyalne zasoby. Wysłany w tym celu z grona uczonych niemieckich Wilhelm Arndt, doktor filozofii, puścił się roku 1864 w daleką podróż. Zwiedził znaczniejsze biblioteki szląskie, krakowskie, lwowskie, udał się potem do Warszawy i Petersburga dopytując się najtroskliwiej o źródłowe pomniki dziejów i pilnie je wypisując, w czem rozległe jego wiadomości filologiczne i niepospolita wprawa w czytaniu dawnych pism wybornie mu usługiwały. Z zebranymi plonami wrócił ten szanowny podróżnik do Wrocławia, tam w towarzystwie znanego już publiczności polskiej Ryszarda Roepella, autora znakomitego dzieła „*Geschichte Polens*“, został wszystek ten materyał raz jeszcze rozpoznany, uporządkowany ostatecznie i podany do druku. Tym więc dwom mężom w szczególności zawdzięczamy zbiór roczników polskich, po raz pierwszy krytycznie zestawionych,

a zaczerpnięty w znacznej części z samych rękopismów, i opatrzonych objaśnieniami.

W przedmowie ogólnej do tego działu wydawcy nadmieniwszy o związku ścisłym, jaki zachodzi między dawnymi Polski a Niemiec dziejami, ukazują zarazem ważność naszych źródeł dziejowych dla samychże Niemiec historyi. Zastanawiają się potem nad początkiem roczników polskich. Zdaniem ich, na które się chętnie zgadzamy, roczniki Polski najdawniejsze w Krakowie powstawały. Pierwiastki ich są dziś niedocieczone; faktem atoli jest, że w wieku XIII była ich znaczna ilość w Krakowie, mianowicie cała xięga. Poświadcza to wyraźnie brewe Innocentego IV papieża w roku 1251 z powodu zachodów około kanonizacyi św. Stanisława wydane, które to świadectwo wydawcy przytaczają. Xięga roczników polskich przez papieża tego wymieniona, zaginęła. Wydawcy domyślają się, że ona była źródłem, z którego znane nam dziś roczniki, mianowicie tak „krakowskie stare“ jako i „kapitulne krakowskie“ i „kompilowane“, nakoniec tak zwane „roczniki polskie“ wypłynęły. Robią oni bardzo trafną uwagę, że roczniki nasze, nawet te, co są poźne albo raczej poźno odpisywane i wtrętami kopisty gdzieniegdzie zaokrąglane, ważne są jednak ztąd, iż w nich mimo to zachowało się wiele szczegółów, które z rocznikami autentyczniejszymi zestawione, wskazują na spólne owe źródło dziś zaginione i wzajem się uzupełniają.

Do najpiękniejszych odkryć, jakie Arndt zrobił w Petersburgu, należy rocznik dawny polski, spisany w xiążeczce pergaminowej, która jak świadczy jej nad-

pis, do klasztoru świętokrzyskiego na Łysej górze należała. Zaczyna się on od roku 948 i po kilku obcych zdarzeniach przystępuje do polskich nie wcześniej jak dopiero z przybyciem Dobrówki do Mieszka. Jest on niewielki, bo zaledwie 33 zdarzeń do Polski wprost odnoszących się obejmuje; pomylony też tu owdzie w chronologii; ale pisany nie poźniej, jak około roku 1122, co tak pismo jego i zakończenie, jak i forma dawna rocznikarska wskazuje. Nazwano go rocznikiem „starym krakowskim“ i na czele umieszczono. Pomnik tedy ten jest równoczesny niemal kronice Gala. Do znamion charakterystycznych jego należy to, że spomnieniem pierwszego męczennika Stefana rozpoczą wszy, zapisuje w dalszym ciągu śmierć Stefana I króla węgierskiego, a w szczupłym szeregu zdarzeń, których dotyka, Bolesław Śmiały i syn jego nie mało go zajmuje:

1069. Mysco natus est, filius Bolezlay
1077. Bolezlaus secundus coronatus est.
1082. Bolezlaus secundus rex obiit.
1088 Mysko duxit uxorem
1089. Mysco obiit

Wydawcy zauważali między nim a krakowskim kapitulnym rocznikiem podobieństwo, i ztąd go „starym krakowskim“ nazwali. Są wprawdzie te zdarzenia, które tu przytoczyłem i w krakowskim kapitulnym roczniku podobnemi lub mało co odmiennemi zaciągnione słowami; aleź nie może to być dziełem przypadku, że gdy w kapitulnym jest pod rokiem 1072 wstąpienie św. Stanisława na biskupstwo krakowskie zapisane, a pod rokiem 1077 koronacya Śmiałego wyrażona tak:

Boleszlaus II coronatur qui occidit sanctum Stanizlaum;

nakoniec pod rokiem 1079 wciągniona cała o tym świętym legenda: tymczasem w roczniku znalezionym przez Arndta w książeczce świętokrzyskiej lata 1072 i 1079 całkiem próżno są zostawione.

Klasztor Benedyktynów na Łysej górze jeszcze za Bolesława Chrobrego założony, miał właściwe swoje podania bardzo wysokich czasów sięgające. Zakonnicy ci wiedzieli nie tylko o ścisłym w owym wieku stosunku Polski z Węgrami, ale nawet Stefana I węgierskiego króla przez jakoweś nieporozumienie co do miejscowości [1]), jakoby swego założyciela spominali [2]), a pokazywali drzewo św. krzyża bogato oprawne, które od Emeryka syna Stefanowego czy też od Mieszka gdy tenże z Emerykiem około Kielec polował, w darze otrzymali. Chowali też we wdzięcznej pamięci Bolesława Śmiałego jako założyciela klasztoru benedyktyńskiego w Mogilnie. Otoż ślad owych tradycyj mianowicie zaś tak stosunku ścisłego z Węgrami jako i przychylności dla Bolesława Śmiałego przebija się już w tym na początku XII wieku pisanym roczniku. Czy tedy zechce kto utrzymywać koniecznie, że to

---

[1]) Klasztor Benedyktynów za Stefana I króla węgierskiego założony był w Węgrzech *ad radicem Montis ferri* jak powiada autor *Vitae majoris Stephani regis* (Pertz SS. XI str. 232) a zakonników do niego z Polski sprowadzano. Ta lub podobna okoliczność mogła być powodem powyższego nieporozumienia.

[2]) *Idem Stephanus rex post baptismum et post matrimonium contractum filiastre sancti Sigismundi castrum suum dotalitium post eandem virginem, Calvum montem dictum, ad laudem Dei et sancti Benedicti in monasterium fratribus ordinis convertit et dedit cum silvis et villis quae fuerunt, ubi eadem virgo mansit ad matrimonium contractum dicti regis Stephani.* Ann. s. Crucis. Rękopism Jana z Niegłoszowa, karta 360'.

jest rocznik „stary krakowski“ wypisywany z tego, co poprzedził „kapitulny krakowski“ a został zatracony; czy też, co podobniejsza, uważać go będziemy za rocznik miejscowy „klasztoru świętokrzyskiego na Łysej górze“, zawsze jest to ważne odkrycie, którem źródła nasze dziejowe zbogacone zostały.

Następuje po nim rocznik lubiński. Jestto ułamek tylko roczników obszerniejszych spisywanych na pergaminie w klasztorze benedyktyńskim w Lubinie we Wielkopolsce. Znalazł go przed niewielą laty J. H. Pertz na okładce xiążki drukowanej, która do tego klasztoru należała. Obejmuje zdarzenia z lat 1143—1175. Pismo jego jest dwojakie, jedno z początku wieku XIII, drugie o kilkadziesiąt lat poźniejsze. Przy latach spisanych najpierw minią, na brzegu, w porządku chronologicznym bez przerwy, dodawała pierwsza ręka tu i owdzie wypadki główniejsze dziejowe, niektóre z tych lat próżno zostawiając. Druga ręka pozaciągała w rubrykach opróżnionych wiadomości o biskupach poznańskich. Te to wiadomości nadają główną wartość temu ułamkowi, różnią się bowiem znacznie od tych, które o biskupach poznańskich podał Długosz, i są autentyczniejsze, bo poprzedziły Długosza o dwa wieki. Najciekawsza z nich jest wiadomość o Cherubinie biskupie poznańskim. Spomniał tego biskupa w kronice swojej mistrz Wincenty jako obecnego na synodzie łęczyckim za Kazimierza Sprawiedliwego. Długosz w żywotach biskupów poznańskich, równie jak w historyi swojej o Cherubinie zgoła nic nie wie. Z ułamkuząś rocznika lubińskiego dowiadujemy się, że Cherubin siedział na stolicy

swej od roku 1164—1172, w którym to czasie Długosz Bernharda I na stolicy tej umieszcza.

W Kamieńcu na Szląsku spisywali zakonnicy tamtejsi nekrologium klasztorne. Odpis jego na początku XV wieku zrobiony przechowuje się w jednym z rękopismów pergaminowych wrocławskich. Przy nim znalazła się w końcu jedna karta na początku XIII wieku pisana, obejmująca zdarzenia główniejsze w Polsce od zaślubin Mieszka z Dobrówką aż do roku 1166, a mająca nadpis: *Ista accepta sunt ex cronicis Polonorum.* Zapiski więc te nie powstały pierwotnie w Kamieńcu, lecz krążyły zapewne w Krakowie i po innych miejscach Polski ówczesnej. Wattenbach, który pierwszy je wykrył nazwał je rocznikami kamienieckimi i w jednem z pism czasowych szląskich drukiem ogłosił. Tak też nazwali je i terazniejsi wydawcy, umieszczając je po roczniku lubińskim w swym zbiorze. Coby to były za kroniki polskie, z których je na początku XIII wieku wyjęto? nie wiadomo. Wydawcy domyślają się, że to były owe krakowskie roczniki, o których świadectwo przechowało się w brewe Innocentego IV papieża, a które zaginęły. Zakonnik kamieniecki wypisując je czy to bezpośrednio, czy za pośrednictwem roczników lubińskich, dołączył niektóre mylne wiadomości. W ułamku tym zachowało się kilka zdarzeń podanych dokładniej niż gdzie indziej. Zaraz na początku czytamy tu, jak siostra Mieszka I Adelaida, Gejzie węgierskiemu zaślubiona, skłoniła go do przyjęcia chrześciaństwa. Fakt, o którym daje świadectwo św. Bruno (*Vita Adalb. c. 23)*, zdarzeniu temu spółczesny, a wspiera

go w tem drugi spółczesny Thietmar (*Chron. VIII. 3*). Urodziny syna jej Stefana I króla węgierskiego poprzedzone były, jak tu czytamy, wizyą: pojawił jej się św. Stefan pierwszy męczennik. I tu mamy skazówkę, dlaczego nasz benedyktyn świętokrzyski na Łysej górze zaczął roczniki swoje od św. Stefana pierwszego męczennika. Jestto prastare podanie, obok którego zdanie krytyków niektórych niemieckich, opierających się na słowach notaryusza Beli, jakoby matką Stefana była Sarolta, żadną miarą ostać się nie może (obacz Pertz SS. XI str. 231 przypisek 29). Po raz pierwszy znachodzimy też w ułamku tym oznaczony czas, w którym Bolesław Chrobry w związek małżeński wstępował. Było to roku 984, kiedy król ten liczył zaledwie 18 lat. Pod rokiem 995 zapisano tu wstąpienie Lamberta na stolicę biskupią w Krakowie, której to daty nigdzie więcej nie znachodzim. Nakoniec zabójstwa pięciu zakonników w Kazimierzu podany tu nie tylko rok, ale i imiona wszystkich wymienione.

Po tych ułamkach przystąpili wydawcy do roczników krakowskich. Ze wszystkich kodexów, w których pomniki tego rodzaju nas doszły, najcenniejszy jest rękopism pergaminowy kapituły krakowskiej. Przed kilkądziesiąt laty zatracił się był i nic o nim czas jakiś nie wiedziano. Zmarły niedawno xiądz Mateusz Gładyszewicz, kanonik tejże kapituły, autor dzieła „Żywot Prandoty“ ma tę zasługę, że go odszukał i nabył, a umierając złożył na powrót w kapitulnej bibliotece. Za życia jego uważano tę xięgę poniekąd za jego własność i uczeni krakowscy nazywali ją rę-

kopismem Gładyszewicza. Czuję potrzebę opisać go tu dokładniej, a zarazem powiedzieć o usiłowaniach jakie u nas dawniej już celem ogłoszenia tego pomnika robiono. Pierwszą o nim wiadomość roku 1844 od śp. Józefa Muczkowskiego powziąwszy, jeździłem raz i drugi do Krakowa głównie w zamiarze tym, aby się w tym pomniku należycie rozpatrzyć. Trafiłem zrazu na nieprzełamane trudności, w końcu powiodło mi się dostać rękopismu tego na dłuższy czas do Lwowa. Było to na początku roku 1848. Przedłożywszy ważność jego ówczesnym przełożonym Zakładu Ossolińskich, otrzymałem ich przyzwolenie na faksimilowanie tego rękopismu kosztem Zakładu. Rysownik, Xawery Bełdowski, nie źle przenosił pismo na płyty kamienne, ale gdy przyszło do odciskania ich, litografowie lwowscy okazali się tak niedołężni i niedbali, że z odcisków tych żadnego prawie nie można było zrobić użytku. Po odbiciu tedy kilku początkowych kart zaprzestano dalszej roboty, zwłaszcza że był to czas cichym naukowym pracom wcale nieprzyjazny. Mając już wtedy zamiar wraz z Janem Szlachtowskim zająć się krytycznem Pomników dziejowych Polski wydaniem, wydrukowaliśmy na próbę dość ozdobnie parę ćwiartek roczników polskich z tego kodexu zestawionych z innymi. Próbę tę posłaliśmy Lelewelowi i innym uczonym i takowa dosyć się podobała, ale na druk samego dzieła brakło Zakładowi funduszów, a z prywatnych osób nie łatwo było wówczas pozyskać kogo dla tego przedsiębiorstwa. Tymczasem zbliżał się termin oddania pożyczonej xięgi: dla własnego tedy z niej użytku kazałem sobie czemprędzej całą

przenieść na kalkę, a oryginał odesłałem właścicielowi do Krakowa, gdzie xiądz biskup Łętowski Katalog swój biskupów i prałatów podówczas wydając, wydrukował w końcu tomu IV cały niemal ów rękopism swoim nakładem.

Ważność rękopismu tego ocenili najzupełniej wydawcy niemieccy i główną baczność pomnikom w nim zawartym poświęcili. Kodex ten liczy dziś 60 kart w ćwiartkowym formacie, liczbowanych po obu stronach ręką niedawną. Najstaranniej w całej tej xiędze spisane jest nekrologium czyli kalendarz, w którym dnie śmierci królów i xiążąt polskich, prałatów i osób znakomitych pozaciągano. Zajmuje ono 34 kart, mianowicie str. 33—105. Tak owa staranność pisma jak i ozdoby liczne, mające wartość pod względem umnictwa ówczesnego, świadczą, że to część główna tej xięgi. Rok, w którym ją pisano, nigdzie tu nie położon wyraźnie, łatwo go jednak dojść można. Po kalendarzu umieszczone są na dwoch kartach (str. 107—109) wiersze do wynachodzenia złotej liczby, epaktów itp., zaś na karcie ostatniej (str. 119) cykl wielki obejmujący 532 lat dla wskazania naprzód, w które dni przypadać w nich będzie wielkanoc. Cykl słoneczny poczynał się rokiem 1235. Gdy pisarz tego kalendarza doprowadził cykl aż do ostatniego 1785 roku a zaczął go rokiem 1254, widoczna więc, że wskazał tylko dni wielkanocne tych lat, które miały nastąpić, zaś ubiegłych już lat 19 opuścił. Pisał tedy nie poźniej jak roku 1254. To samo okazuje się i z treści kalendarza. Znajdujemy w nim bowiem na stronicy 54 pod

dniem 11 kwietnia zapisek bardzo staranny pierwszej ręki:

Sanctus Stanyzlaus Cracovien. epc. interfectus obiit.

A pod dniem 8 maja, na str. 39 zapisek tejże ręki farbą zieloną:

Canonizacio sancti Stanizlai.

Pisany więc był ten kalendarz już po kanonizacyi, która się w Asyżu dnia 17 września 1253 roku odbyła: i ta to uroczystość była powodem głównym sporządzenia całej tej xięgi.

Warto zauważać znamiona tego kalendarza. Jest on widocznie kopią dawniejszego, i zapiski też nekrologiczne, które już pierwszej połowy XI wieku sięgają, są tu niezawodnie z dawnych xiąg powciągane. Przedewszystkiem ściąga uwagę następujący dwuwiersz rymowy:

Dominus Yathen sive Sechen divinam Cumiorum gerens, bonus extat gratuito celi,
Fert aurea dona fideli.

Dwuwiersz ten w pierwotnym kalendarzu rozłożony był zapewne tak, że imię umieszczone było nad styczniem, pojedynczeząś słowa dalsze, których jest jedynaście, nad jedynastą dalszymi miesiącami, stanowiąc niejako godło każdego z nich. W tem ukrywał się misternie pewien rodzaj dowcipu, w jakich lubowano sobie szczególniej w wiekach średnich. Kopista atoli dawnego kalendarza, zapełniwszy nagłówek miesiąca stycznia sutą ilustracyą, nie mógł już tam pomieścić imię Jathena: zaczął więc napisy owe kłaść dopiero od miesiąca lutego, czem pomieszał szyk słów, dla tego też nad miesiącem marcem

umieszczone są dwa słowa: *divinam Cumiorum*. To ostatnie słowo Łętowski odczytać nie mogąc opuścił [1]).

Kto był ten Jathen czy Jachen, co jak Sybila kumejska przepowiadał? jest to dotąd zagadką. Roczniki polskie zapisują wprawdzie raz pod rokiem 1190, drugi raz pod rokiem 1206:

Abbas Joachim habuit spiritum propheciae sub Fulcone[1]),

czy atoli Jathen w naszym kalendarzu spomniany jest owym Joachimem lub nie? trudno jest w tej mierze powiedzieć coś stanowczego.

Ważniejszą pod względem naukowym, acz mniejszą co do objętości część tego rękopismu stanowią roczniki. Zajmują one pierwszych 10 kart (str. 2—21). Rozpoczyna je obliczenie wieków od stworzenia świata, zwane niekiedy *Ordo temporum* albo *Aetates mundi*. Nasz pisarz wyjął je z Izydora xiąg: *Libri Etymologiarum*, mianowicie z xięgi V rozdziału 39 mającego nadpis: *De discretione temporum*. Wypisywał go dość wiernie, w kilku jednak miejscach dodał wiadomości krótkie z Orozyusza i Bedy, a rzecz całą poprzedził oryginalnym prologiem, z którego się dowiadujemy, że to pisze dla Polaków Polak i kapłan. Po obliczeniu wieków z Izydora zostawił pierwszy pisarz kodexu białą kartę, a na następnej zaraz u góry pisał rocznik zaczynający się śmiercią Bedy:

DCCXXX Beda presbiter obiit....

Rocznik ten pismem nie jednej ręki, ale jednego wie-

---

[1]) Obacz Katalog biskupów itd. IV. Dod. str. 61.

[1]) Pertz SS. XIX str. 630—631. Przepowiednie tego Joachima natrafiałem w rękopismach z XIII wieku. Wyszły też w Wenecyi pod tytułem: *Vaticinia sive Prophetiae Joachimi etc. Venetiis 1600. 4.*

ku, pisany jest we dwie przedziałki aż do roku 1267. Tu na str. 16 zapisała już inna ręka śmierć Kazimierza Sprawiedliwego i jego pochwałę nie na przełamce, lecz przez całą stronicę. Po czem mały przedział biało zostawiwszy wciągano dalej tymże sposobem wypadki późniejsze przez dwie następne karty nie jedną ręką i nie w jednym czasie. Ostatniem zdarzeniem spomnianem tu jest koronacya Kazimierza Wielkiego.

Na kartach i przedziałach, które były biało przez pierwszego pisarza zostawione, mianowicie str. 4—7 i str. 16 wpisany został w początku XIV wieku inny rocznik, dość starannie we dwie przedziałki, zaczynający się zaślubinami Dobrówki roku 965, a zakończony śmiercią Henryka xiążęcia wrocławskiego w roku 1291.

Prócz pomienionych dwoch głównych części kodexu kapitulnego krakowskigo, mianowicie prócz nekrologium i roczników są jeszcze na stronicy ostatniej (120) podane imiona biskupów krakowskich od Prochora począwszy, a w środku po luźnych miejscach tak kalendarza jak i roczników powciągane nadania różne kościoła katedralnego krakowskiego, które ponieważ je kapituła w oryginałach przechowała, zaledwie tu na uwagę zasługują.

Nekrologium jakkolwiek dla dziejów naszych wielce ważne, wydawcy niemieccy opuścili. Wydrukował je, acz mniej dokładnie i bez objaśnień należytych xiądz biskup Łętowski w pomienionem swem dziele. Rocznikom główną uwagę poświęciwszy, podnoszą wydawcy bardzo trafnie znamiona, które tak dawność jak i wiarogodność świadectw nimi objętych udowo-

dniają. Mylą się atoli gdy sądzą, iż obliczenie wieków z Izydora wpisane było w ten kodex poźniej niż ojczyste nasze roczniki. Przeciwnie tak pismo samo jak i wypłowiałe czernidło wypisu z Izydora okazuje, iż ta część poprzedziła je i wpisana tu była zaraz po napisaniu kalendarza. Zwrócili też wydawcy baczność swoją na prolog, który jakkolwiek nadcięciem pergaminu mocno jest uszkodzony, w ułamkach jednak swoich daje niejakie pojaśnienie co do samych roczników. Łętowski prolog opuścił; inaczej postąpili wydawcy: wypuścili rzecz z Izydora a ułamki prologu wydrukowali. Szkoda tylko, że uczony Arndt mimo swej biegłości w czytaniu dawnych pism, ten jednak prolog, jak mi się zdaje, nie najlepiej odczytał. Już przed 17 laty wydrukowałem go w owej próbie Pomników Polski, o której wyżej spomniałem. Zestawiam tu oba czytania dla lepszego przekonania się o właściwym zamiarze autora prologu.

Monumenta Germaniae	**Monumenta Poloniae**
Hannoverae 1866 tom XIX p. 584.	*Leopoli 1850 odcisk na próbę p. 1*
Prima pagina sub typo talenti crediti [2])... m e a servus torpens reus arguitur absque alio eo quod non studuerit gratis dare, quod ipse gratis accepit. Quicquid enim ecclesie Domini erat profuturum non inmerito subtraxisse v i x arguitur, cum noluerit omnibus dare quod ipse non celandum accepit.	I(n d i u)i n a pagina[1]) sub typo talenti crediti.... i c a seruus torpens reus arguitur a b s c o n d i t o eo [3]), quod non studuerit gratis dare quod ipse gratis accepit. Quicquid enim ecclesie domini erat profuturum, non inmerito subtrahxisse arguitur, cum noluerit omnibus dare quod ipse non celandum ac-

---

[1]) t. j. w pismie świętem.

[2]) Miejsca kropkami oznaczone wycięte są w rękopismie.

[3]) Abscondi talentum tuum in terra. Math. XXV. 25.

Unde et psalmigraphus vaticinans dicit: *Justiciam tuam non abscondi in corde meo, veritatem et salutare tuum dixi, non celavi misericordiam tuam et veritatem tuam a concilio multo.* Et pro hoc opere quasi vicissitudinem postulans adiecit: *Tu autem Domine ne longe facias miseraciones tuas a me,* quasi diceret: Sicut ego feci alios misericordiam invenire, ita et ipse non paciaris longe fieri misericordias tuas a me. Cum igitur de talenti crediti distribucione tanta speretur retribucio, opere pretium est, ut aliquid de hiis que legi vel audivi edisseram ad edificacionem proximorum. Quia vero in tradicionibus annalium gestorum quedam colligi p o s s u m u s ad morum informacionem, quedam ad malorum e v e r s i o n e m et detestacionem, quia malum nisi cognitum sane non vitatur, quedam vero ad cautelam futurorum quia preteriti ..... icio scire futura facit, oportunum existimo ad p r o ... c t u m legencium et utilitatem audiencium ..... n a l i a gesta temporum preteritorum ad memori(am) presencium revocare, quia, ut dicit E t h(i)c u s: *hec meminisse juvabit.* E x i p s i s i t a sumus pro diebus

cepit. Unde et psalmigraphus vaticinans dicit: *Justiciam tuam non abscondi in corde meo, veritatem et salutare tuum dixi. Non celaui misericordiam tuam et ueritatem a concilio multo*[1]). Et pro hoc opere quasi uicissitudinem postulans adiecit: *Tu autem Domine ne longefacias miseraciones tuas a me*[2]); quasi diceret: Sicut ego feci alios misericordiam inuenire, ita et ipse non paciaris longefieri misericordias tuas a me. Cum igitur de talenti crediti distribucione tanta speretur retribucio, opere precium est, ut aliquid de hys que legi uel audiui edisseram ad edificationem proximorum Quia uero in tradicionibus annalium gestorum quedam colligi p o s s u n t ad morum informacionem, quedam ad malorum c o g n i c i o n e m et detestacionem: quia malum nisi cognitum sane non uitatur; quedam vero ad cautelam futurorum: quia preteriti (cogn)icio scire futura facit; oportunum existimo ad p r o f e c t u m legencium et utilitatem audiencium a n n a l i a gesta temporum preteritorum ad memoriam presencium reuocare, quia ut dicit E t h n i c u s[3]): *hec meminisse iuuabit*[4]); et p s a l m i g r a p h u s: *Letati sumus*

---

1) Psalm XXXIX. 11. 12.
2) Tamże 13.
3) t. j. poganin Wirgili.
4) Eneida I wiersz 27. Autor prologu wyjął ten wiersz nie wprost

quibus nos hu(milia)sti (et c)etera. *Preterita* enim, ut dicit Horosius ......habentur in verbis quanto.. ..... intur in gestis. Ideo qua...... ...uedam leta sicut expostulat....Polonie edisserens et quedam.... ....iidem inserens a creacione..... ordinis verborum secundum Ysi...... ...ribendo et huic opusculo de... ... .preponendo ut creator.. sum..... ...isa causalissima unus Deus...... ...in personis merito commendetur... ....ecatur in mundi creacione, unus....im causam laudabili ausu mi......urabili eloquio quesivit invenit......eam divinam essenciam formalem. .....alem divinam bonitatem exor......um insistens in omnibus bre........iitas audiencia est amica.... ....quod gratum est omnibus......ritans dificultat e........... ....caruerit penitus. Amen.

pro diebus quibus nos humiliasti[1]), et cetera. *Preterita* enim ut dicit Horosius (*tanto graciora*) *habentur in uerbis, quanto* (*grauiora referuntur in gestis*[2]). Ideoque gesta......... ..quedam leta, sicut expostulat...... ...Polonie edisserens, et quedam .... ..isdem inserens a creacione (mundi) ... .ordinis verborum secundum Ysi(dorum............sc)ribendo et huic opusculo de... ....preponendo ut creator et sum... ....(cau)sa causalissima unus deus.. . ...(tribus) in personis merito comendetur ....(et glorifi)cetur in mundi creacione, cuius.......... rem causam laudabili ausu, mi.............itabili eloquio quesiuit, inuenit....cam diuinam essenciam formalem........... .....alem diuinam bonitatem, exor..... .... um insistens, in omuibus bre....... ... itas audiencie est amica......... ...ens quod gratum est omnibus...... . ueritatis difficultate breuitas... ... one caruerit penitus uele..... .

Explicit prologus.

Z tego prologu widać dość wyraźnie, że autor miał tu w myśli nie sam wyciąg z Izydora, ale i polskie roczniki. Mówi on bowiem *quae legi vel audivi edisseram*. Jeżeli słowa *quae legi* odnieść można wyśmienicie do xięgi Izydora, którą wypisywał dosłownie, toć wyrażenie *vel audivi* tylko do roczników

z Eneidy lecz z Orozyusza przedmowy do xięgi IV.

[1]) Psalm LXXXIX. 15.

[2]) Orozyusz przedm. do xięgi IV.

polskich, do zdarzeń blisko- lub jednoczesnych autorowi odnieść się może. Dalej wyłuszczenie przyczyn, dla których autor pisać chce: *ad morum informationem, ad malorum cognitionem et detestationem, ad cautelam futurorum* z trudnością odnieść się daje do wyciągu z Izydora, w którym są same tylko imiona i liczby chronologiczne a żadnego prawie opowiadania; przeciwnie autor wskazuje tem wyłuszczeniem na polskie roczniki. Z prologu tego można nawet zmiarkować, w jakich to czasach pisze autor. Oto powiedziawszy on: *oportunum existimo ad profectum legentium et utilitatem audientium annalia gesta temporum praeteritorum ad memoriam praesentium revocare*, podaje przyczynę: *quia ut dicit.... psalmigraphus: laetati sumus pro diebus, quibus nos humiliasti*. Widzieliśmy, że kalendarz pisany był roku 1254; między tym rokiem a 1267 pisany był tak prolog ten wraz z wyciągiem Izydora jako i pierwszy oddział znajdujących się w tym kodexie roczników polskich. Były to czasy, w których naród nasz samych niemal klęsk i upokorzenia doznawał: na lepsze tedy czasy, na pomyślniejsze przygody narodu w rocznikach tych zapisane spomniawszy, wyśmienicie zastosował autor do nich słowa Dawida: *laetati sumus pro diebus quibus nos humiliasti*.

Prolog tedy ten jest wstępem do wszystkich roczników, jakie w xięgę tę pierwsza ręka wciągała. W rękopismie owym natrafiłem nawet na ślad imienia autora tego prologu. Kiedy mi w roku 1848 dawał rękopism xiądz Gładyszewicz, zwrócił uwagę moją na to, że na odwrotnej stronicy pierwszej karty, właśnie

nad samym prologiem daje się postrzegać przy bardzo jasnym dniu napis, którego on żadną miarą odczytać nie może. Napis ten był innej, poźniejszej ręki niż prolog. Pismo jego drobne i bardzo blade czernidło. Po zwilżeniu pergaminu wodą czystą występowały litery nieco wyraźniej. Wpatrywałem się w nie długo i cały napis, o ile go odczytać i uzupełnić sobie mogłem, zanotowałem w moim exemplarzu. Daję go tu, nie ręcząc jednak za to, że go w zupełności bez błędu odczytałem. Pierwsze słowo odcięte było z pergaminem i tylko końcówka jego pozostała; w imieniu autora środkowych głosek należycie rozpoznać nie byłem w stanie, ostatnie słowa były wyraźne. Opiewa więc tak:

(Prolo)gus Wys(son)is can(onici) Cracov(iensis).

Prawdopodobnie jest to ten sam Wison kanonik krakowski, o którym w końcu roczników kapitulnych dwa razy przychodzi wzmianka. Pierwsza z nich pod rokiem 1266 donosi, że przy wyborze Pawła z Przemankowa na biskupstwo krakowskie Wison kanonik był arbitrem od kapituły obrany. Druga pod rokiem 1269 ręką poźniejszego dopełniacza skreślona, zasługuje na uwagę szczególną, i tu ją całkowicie przytaczam. Autor jej o śmierci Trojana kantora krakowskiego doniosłszy, powiada: *Huic dominus Wisson, vir nobilis, pollens morum, s c i e n c i a e et probitatum multiplicium o r n a m e n t o, primus Polonorum capellanus domni papae succedit.*

Skromne było autora założenie: spisać to, co gdzie czytał lub słyszał. Większe roczniki zwykle zaczynano wypisami z Hieronima, Izydora lub Bedy. Rocz-

niki hersfeldeńskie, między którymi a krakowskimi wydawcy upatrują niejakie podobieństwo, właśnie zaczynają się obszernymi z Izydora i innych wypisami. Zaczął więc wypisem takim i nasz autor, biorąc go nie z roczników niemieckich ale wprost z Izydora. W sześciu tylko miejscach wtrącił tamże krótkie zkądinąd dodatki. Ani wątpić, że podobnież postępował on i w rocznikach polskich: zbierał je z różnych xiąg. Mamy na to dowód oczywisty w tem, że np. tak zwana *Cronica brevis*, która gdzieindziej sama dla siebie osobną całość stanowi, wcielona została w jego roczniki. Własna jego praca zapewne nie dalej jak do roku 1254 sięgała, ale ją poźniej różni dopełniali. Dziś przedstawia ten kodex dwa działy roczników, pierwszy zaczyna się śmiercią Bedy i ten ze wszystkiemi swojemi aż do koronacyi Kazimierza Wielkiego dopełnieniami nazwali wydawcy rocznikiem kapitulnym krakowskim; drugi zaczynający się zaślubinami Dobrówki a wpisany tu na luźnych kartach na początku wieku XIV nazwali kompilowanym krakowskim. Zestawili zaś obok siebie ich texty, na czem rzecz sama bardzo zyskała. W drukowaniu ich dołożyli wszelkiej staranności: każde mniej czytelne słowo, każde skrócenie wątpliwe, każda głoska niemal w rękopismie niezwykle nakreślona, usprawiedliwiona jest w notkach, dla czego tak a nie inaczej odczytana została. Do starannie ułożonego textu dodane są trafne i liczne objaśnienia, które niekiedy większą połowę karty zajmują i są wyczerpujące pod względem swego przedmiotu. Tu okazała się najświetniej pracowitość, oczytanie wielkie i zamiłowanie w naszych

dziejach owej epoki Ryszarda Roepella, który dawniej jeszcze o zamierzonem we Lwowie wydawnictwie Pomników dziejowych Polski dowiedziawszy się, zgłaszał się sam z gotowością do opracowania krytycznego na ten cel krakowskich kapitulnych roczników.

Przedostatnia karta kapitulnego rękopismu mieści kilka zdarzeń skreślonych pismem drobnem, które niewiadomo z jakowych powodów było już w czasach dawniejszych wyskrobane. Odżywione poźniej za pomocą środków chemicznych jest ono i dziś bardzo trudne do odczytania. W tych tedy ustępach dostrzegam niektóre myłki w czytaniu wydawcy. I tak str. 607 wiersz 16 *ecce* zamiast *eidem*, wiersz 17 *aliquos* zamiast *hos*, wiersz 18 *tractosque* zamiast *ceterosque*, wiersz 29 *annuente* zam. *ac favente* itp.

Jeśliby czego jeszcze temu roczników kapitulnych wydaniu życzeć było można, tedy zebrania i wykazania przy nich odmianek z kodexów wielkopolskich. Rocznik bowiem śmiercią Bedy poczynający się w pierwszej swej części nie jest wyłącznie rocznikiem krakowskim. Znajduje on się przy wszystkich niemal rękopismach Jana z Czarnkowa, archidyakona gnieznieńskiego, chociaż w kodexie kapitulnym krakowskim obfitszy on jest w zdarzenia. Czy pisarz gnieznieński skracał go? czy krakowski rozszerzał? to rzecz wątpliwa. Zawsze jednak wykazanie ich odmianek byłoby pożyteczne. Większem jeszcze prawem żądać możnaby było zestawienia w miejscu odpowiedniem textu tak zwanej *Cronica brevis Cracoviensis*, jak go np. kodex petersburski, lubińskim zwany podaje, obok textu jej w rocznikach kapitulnych. Zdaje się jednak,

że tylko brak odpowiednich rękopismów do swego użytku pilnych i umiejętnych wydawców od robienia tych porównań powstrzymał.

Po rocznikach umieścili jeszcze z kodexu kapitulnego spis biskupów krakowskich. I w tym spisie jak to wydawcy wskazać nie omieszkali, widoczna jest, kiedy pierwszą część kodexu tego pisano. Pierwsza ręka z połowy wieku XIII spisała imiona biskupów tylko do Prandoty, a gdy wstąpienie na stolicę biskupią Pawła z Przemankowa roku 1267 przypadłe, inną już ręką jest wpisane, nie ma więc wątpliwości, że część pierwsza rękopismu ukończona była przed tym rokiem.

Od kapitulnego krakowskiego kodexu przeszli wydawcy do królewieckiego i innych. Jest między dawnymi rocznikami, które się w poźnych tylko kopiach przechowały, jeden zaczynający się śmiercią Arnolfa króla niemieckiego, przypadłą w roku 899. Doszedł on nas w czterech rękopismach: hejlsberskim wydanym w Gdańsku przez Lengnicha, w Kuropatnickiego i lubińskim, któreto oba rękopisma dziś w Petersburgu się znachodzą, nakoniec w królewieckim. W tym ostatnim jest on z chronologią pobałamuconą i z niektóremi już w początkowym texcie odmianami. Jak zasnuty był pierwszy rocznika tego wątek? gdzie się urywał? gdzie poczęły się dopełnienia? i jak kolejno po sobie następowały? tych pytań, gdy już w tak starym jak kapitulny krakowski kodexie rozwiązać trudno, tem bardziej w tak poźnych kopiach rozstrzygać, ba nawet skazówki ku temu powziąć nie podobna. W dalszym ciągu swoim raz poraz to

schodzą się ich texty z innymi to znowu rozbiegają. Wydawcy rocznik ten zestawili z innym w dwoch rękopismach Zamojskich i Czartoryskich przechowanym, który się zaślubinami Dobrówki zaczyna a kończy spomnieniem Traski. Wybiegł w górę hejlsbersko-petersburski rocznikarz i przez długie półtora karty opowiada ciekawe xiążąt naszych dotyczące spominki, w których go Zamojsko-Czartoryskich ani jednem przyświadczeniem nie wspiera. Dopiero z przybyciem Dobrówki wchodzą z sobą w spólny zrazu niejednaki lecz dalej coraz podobniejszy rozhowor, który z niejakiemi przerwami aż do roku 1325 prowadzą. Jeszcze i w tak zwanej kontynuacyi I jest między niektórymi z nich dość zgody, aż je z rokiem 1340 Zamojsko-Czartoryskich rocznikarz całkiem opuszcza. Wszystko to objęli wydawcy ogólną nazwą „roczników polskich“ *Annales Polonorum*, a w dość obszernej przedmowie rękopisma ich jak i próbki wydań dotychczasowych opisali[1]). W trzech tedy zrazu, dalej w czteru a niekiedy w pięciu przedziałkach zestawione obok siebie ich texty ułatwiają bardzo przegląd zdarzeń potocznych śledzącemu prawdy dziejowej badaczowi. Odmianki rękopismów wykazane tu starannie, objaśnień żadnych prawie nie dano, ledwie tu i owdzie przegląda u dołu lakoniczna zsyłka na dzieło jakie lub na rocznik wprzód umieszczony. Rękopism ordynacki Zamojskich przedstawia obok za-

---

[1]) W opisaniu tem zaszła myłka na str. 610. Kronika Mierzwy, czyli jak wydawcy zwą Dzierzwy, zaczyna się w kodexie petersburskim л. Q. отд. IV Nr. 98 nie na str. 1 lecz na 19.

pisków pierwotnych, Długoszowe poprawki i dopiski. Wydawcy te ostatnie słusznie z textu samego wyrzucili. Zdaje mi się jednak, że nie byłoby niestosownem podać w notkach wiadomość o tych przydatkach, czego tu zaniechano. Dwoma dopełnieniami *Continuatio I et II* zakończyli wydawcy te tak zwane polskie roczniki. Wyśmienicie mogło tu wejść i trzecie dopełnienie, a daliby je byli może wydawcy, gdyby mieli pod ręką sam hejlsberski rękopism. Wiadomo, że w nim karty były poprzerzucane. To dało powód Lengnichowi do nieporozumienia. Rocznik zaczynający się śmiercią Arnolfa kończył się w tym rękopismie aż na roku 1426. Atoli zdarzyło się, że jak jedna część rocznika tego przypadkowo między kroniki tamże znajdujące się wtrącona została, tak ostatek tegoż rocznika przerzucon został za kroniki na koniec rękopismu. Tę ostatnią część, która była właściwie tylko ciągiem dalszym rocznika i żadnego w kodexie nadpisu nie miała, wziął Lengnich za dziełko osobne, dał jej nadpis *Anonymi rerum ab anno 1330 ad annum 1424*[1] *gestarum historia*, a w przedmowie zrobił uwagę, że autor jej pisał w roku 1426, bowiem z synów Jagiełły wymienił dwoch tylko, trzeciego zaś urodzonego w roku 1427 nie znał jeszcze. To tedy dopełnienie powinnoby zająć miejsce w końcu polskich roczników, a text jego początkowy, który wydawcy niesłusznie, jak mi się zdaje, za wypis z I i III uważają (bo hejlsberski kodex

---

[1]) Zdaje się, że przez omyłkę tylko wydrukowano u Lengnicha w tytule na str. 102 rok 1424 zamiast 1426.

starszy jest od petersburskich) uwydatniłby i uzupełnił osnowę dziejową, zawartą w tamtych rękopismach.

Kuropatnickiego rękopism ma po rocznikach tych spominkę o budowie klasztoru franciszkańskiego w Lublinie w drugiej połowie XV wieku na dwoch stronicach spisaną. I ta więc z oryginału odpisana przez Arndta znalazła tu swe miejsce.

We wszystkich niemal rękopismach, w których nas doszła kronika Bogufała i Jana z Czarnkowa, znajduje się zbiorek roczników, bezładnie z sobą powiązanych. Rozpoczyna je jeden, mający nadpis *Cracoviae brevior cronica.* Już wyżej o nim spomniałem. Jest to rocznik nie pod jednym względem nader ciekawy. Widzimy w nim najpierw obliczenie lat od stworzenia świata według Hieronima i Orozyusza. Tak przynajmniej przedstawia go kodex rhedigerowskiej wrocławskiej biblioteki, z którego wydrukował go niegdyś Sommersberg. Idą potem chronologicznie po sobie z dziejów polskich zdarzenia: rozpoczyna je Dobrówki zaślubienie, a zamyka zburzenie Wiślicy roku 1135. Pomnik tedy ten jest z pierwszej połowy wieku XII, spółczesny wynalezionemu świeżo przez Arndta świętokrzyskiemu na Łysej górze, z tą tylko różnicą, że ten w oryginale, tamten w kopiach poźnych nas doszedł. I w tej wszakże w jakiej nas doszedł formie, dostarcza nam ważnych skazówek mogących służyć poniekąd za kontrolę tego, co mamy w tym rodzaju z czasów poźniejszych. Nazwa *brevis cronica* każe wnosić, że była i dłuższa, z której ją skracano, a było to w pierwszej XII wieku połowie, na lat

sto kilkadziesiąt pierwej, nim sporządzono kodex kapitulny krakowski. Indukcya dawna była z Hieronima i Orozyusza; zastąpiono ją obliczeniem wieków *Aetates mundi* z xiąg Izydora, a z Orozyusza nieco w środek wtrącono. Za śmiały może byłby wniosek, że dawny ów rocznik mniej się rozwodził ze zdarzeniami obcemi niż kapitulny krakowski, jak to widzim porównywając z nim zapiski w Sommersbergu wydrukowane. Wszakże choćbyśmy ten ostatni wniosek odrzucili, toć już z powyższego widoczna, że w kapitulnym kodexie całkiem zmieniony został układ xięgi, chociaż rzecz i istota zapisków dawnych z małą może tu owdzie zmianą ocalała. Wydawcy wydrukowali ten pomnik starannie pismem drobniejszem, ponieważ wszystkie niemal w nim spomniane zdarzenia z poprzednio już umieszczonych roczników są znane i tamże objaśnione. Chronologię tu i owdzie mylną na brzegu sprostowali, a dołączyli do dawnego tego pomnika poźniejsze dopełnienie przez Alexandra hr. Przezdzieckiego w kodexie ottoboniańskim znalezione. Ponieważ zaś zwykle z nazwaniem *Cronica* łączymy wyobrażenie opowiadania czyli naracyi, bardzo słusznie tedy zmienili wydawcy tytuł *Cronica brevis*, pod którym pomnik ten powszechnie powoływano dotąd w dziełach uczonych, i nazwali ją *Annales cracovienses breves.*

W Miechowie nie opodal Krakowa zakonnicy, tak zwani stróże grobu pańskiego, przez Jaxę w roku 1163 z Jerozolimy sprowadzeni, spisywali takoż swoje roczniki; znajdują się one obecnie w Petersburgu w pergaminowej xiędze pisane częścią w wieku XIV

częścią na początku XV. Początek ich okazuje, że pierwszy ich pisarz miał przed oczyma ów stary rocznik świętokrzyski i roczniki krakowskie, z których zdarzenia niektóre biorąc, dodawał to, co się samegoż zakonu jego tyczyło lub co go więcej zajmowało. Bogaty ten do dziejów XIV szczególniej wieku pomnik odpisał starannie w Petersburgu Arndt tu umieścił, nie omieszkawszy korzystać z dzieła Samuela Nakielskiego: *Miechovia sive promptuarium antiquitatum monasterii Miechoviensis.* Zauważał on z bystrością, że Nakielski miał pod ręką inny jakiś exemplarz tych roczników, dziś nieznany, pododawał więc z niego w dole niektóre odmianki i krótkie swoje objaśnienia. Następują roczniki świętokrzyskie.

Prócz spisywanego na Łysej górze rocznika świętokrzyskiego, który wydawcy „starym krakowskim“ nazwali, było tamże więcej tego rodzaju pomników. Sarnicki przytacza ustęp z kroniki łysogórskiej, którego nie znachodzimy dziś w żadnym roczniku. Mówi on: *Illud tamen pro certo historia Calvi montis astruit, pontificem Romanum, Benedictum, eodem tempore jam tum in suo senatu decrevisse, ut dux Poloniae Chobri in regem coronaretur, et jam coronam ex purissimo auro paratam ad hoc habuisse, ut si forte Boleslaus vellet, eam ei mitteret; sed ubi audivit Boleslaum maluisse ab imperatore quam a papa coronari, admonitus ab angelo, Stephano divo regi Hungariae eandem misit. Haec leguntur, ut dixi, in historia Calvi montis* [1]. Opowiadanie to jakkolwiek bałamutne,

[1] *Ann. VI.* c. 5 pod rokiem 1000.

bo Benedykt VIII papież siedział na stolicy dopiero od roku 1012, podczas kiedy Stefan I król węgierski koronowan był już roku 1000, zdaje się jednak wskazywać, że były na Łysej górze inne jeszcze roczniki. Znano też w Polsce już w wieku XV kronikę klasztoru świętokrzyskiego na Łysej górze w ojczystym języku napisaną, jak to widać z następującego dopisku w kodexie Działyńskiego w czwartce na karcie 360': *Nota quod additio et correctio suprascripta apposita est ex cronica vulgaris polonici quae est apud dominum Odrowansch in Russia*[1]). Te roczniki świętokrzyskie, które wydrukowali po miechowskich rocznikach wydawcy, są właściwie z drugiej połowy wieku XIII. Wtedy przynajmniej była pierwsza ich część układana. Zaczynają się indukcyą z św. Hieronima wyjętą, po której zaraz do zaślubin Dobrówki przystępują, a kończą się opisem bitwy pod Grunwaldem. Znajdują się we wielu rękopismach. Sam około 10 po różnych bibliotekach natrafiałem; 5 ich tylko mieli wydawcy do swego użytku, mianowicie: dwa krakowskie z biblioteki uniwersytetu jagielońskiego, jeden lwowski Wiktora hr. Baworowskiego i dwa kornickie Działyńskiego. W opisaniu tych ostatnich na str. 678 zaszła myłka. Kwartant Działyńskiego ma wprawdzie przed rocznikiem świętokrzyskim indukcyę z Mierzwy kroniki wyjętą: *Ortum sive originem polonicae gentis*, w której to indukcyi imię to zmieniono na *Thronius*; ale drugi Działyńskiego kodex *in folio* zawierający świętokrzyski rocznik, a przez Jana z Niegło-

[1]) Porównaj z tem świadectwo Bielskiego w Kronice świata karta 345' i Kwiatkiewicza Krzyż święty str. 3.

szowa pisany, nie ma ani indukcyi z kroniki Mierzwy wyjętej, ani indukcyi ze św. Hieronima, lecz zaczyna się wprost chrzcinami Mieszka. Zaś jeden z kodexów kroniki mistrza Wincentego, który w moim Wstępie krytycznym na str. 150 opisałem, ma na pierwszej karcie indukcyę ową tak: *Ortum sive originem polonicae gentis ab initio mundi ego qui Chronius sum cognominatus.* Z czego okazuje się, że w kwartancie Działyńskiego tylko przez myłkę pisarską położono *th* zamiast *ch*, która to myłka często się w starych pismach natrafia. Tak w rękopismie kroniki Polskiej *Chronica Polonorum*, wydanej przez Sommersberga i Stenzla, czytali obaj ci wydawcy **Traba** zamiast **Chrabry**; podobnie też i w tym tomie Monumentów Pertza, mianowicie w „rocznikach polskich" na stronie 628 w wierszu 15 czyta się **Trivoust** zamiast **Crivoust**.

Jan z Niegłoszowa przepisawszy rocznik świętokrzyski na roku 1410 zakończony, dodał jeszcze kilka zdarzeń luźnych niemających żadnego związku z tym rocznikiem. Są one nie w porządku chronologicznym lecz pościągane z różnych zapisków, jak się takowe pod rękę nawinęły, a wszystkie niemal tyczą się Płocka i jego okolic. Są to więc spominki płockie, *commemorationes Plocenses.* Wydrukowali je wydawcy w końcu rocznika pismem drobniejszem, ale w wydrukowaniu dopuścili się rażącego błędu. W rękopismie jeden z tych zapisków opiewa tak: *Anno domini millesimo quinquagesimo quinto Alexander episcopus Plocensis tempore ducis Boleslai fundavit ecclesiam in Cyrwyensko ad honorem beatae Ma-*

riae virginis[1]. Wydrukowano zaś: *Anno domini 1355 Alexander episcopus* itd., a nie dano przy tem żadnego przypisku, żadnego objaśnienia, dlaczego tak zrobiono. Jest to data za nadto ważna, aby ją pomijać milczeniem. Zmiana roku 1055 na 1355 jest niedorzeczna już przez to, że w tym ostatnim roku żadnego biskupa Alexandra w Płocku nie było. Wiadomo, że w nadaniu Bolesława Śmiałego dla klasztoru w Mogilnie zrobionem, które w *Monum. Pol. I* str. 359 i w Bibliotece Ossolińskich tom VI. str. 368 wydrukowałem, podpisany jest jako świadek: *Alexander Plocensis ecclesiae episcopus.* Długosz też mówiąc o tem Bolesława Śmiałego nadaniu powiada, że było zrobione *in praesentia Paschalis alias Alexandri Plocensis episcopi* (*Hist. III. 258*). Mój szanowny przyjaciel Antoni Zygmunt Helcel, który skądinąd oddaje Długoszowi słuszność zupełną, przyznając mu gruntowne „na arcydawnych kościoła płockiego annałach" oparte wiadomości, zrobił mu jednak ciężki zarzut obałamucenia lub fałszu w tem, że z powodu tego dotacyjnego Bolesława Śmiałego przywileju nazwał Paschalisa Alexandrem. Zarzut zaś ten usiłuje poprzeć powagą Łubieńskiego, który Paschalisa jednem tylko imieniem nazywa, ale też nie zaprzecza wprost jego dwuimienności (Bibliot. Ossolińskich tom VI. 338). Odpierając ten zarzut zwróciłem uwagę mojego przyjaciela na to, że obok Długosza, Łubieńskiego powaga jest żadna, bowiem on, blisko o dwa wieki od Długosza poźniejszy, nie na rękopisma dawne,

[1]) Rękop. str. 27'.

nie na roczniki, lecz na dzieła drukowane Baroniusza, Orzechowskiego itp., powołuje się, a ci o pierwszych biskupach płockich nic mu powiedzieć nie umieli (Biblioteka Ossolińskich tom VII. str. 328). Otoż ta płocka komemoracya udowadnia, że zarzut Długoszowi w tym względzie zrobiony był niesłuszny, albowiem on i co do tego szczegółu na prastarych rocznikach opierał się. Wprawdzie w spominku tym jest pewna niedokładność, albowiem Bolesław Śmiały dopiero w trzy lata poźniej przyszedł do tronu. Wszakże gdy tu jest mowa o kościoła założeniu, które zwykle w owych zwłaszcza wiekach dłuższego czasu do ukończenia swego wymagało, bardzo więc łatwo być mogło, iż autor dokonanie tej fundacyi uwzględniając, powiedział, że ona była za Bolesława. W dalszym texcie tych płockich spominków zrobili wydawcy jeszcze dwie poprawki, mianowicie: rok śmierci Bolesława, xiążęcia Rusi, syna Trojdena, w rękopismie słowami wyrażony: *millesimo tricentesimo primo* zmienili na 1341 [1]), a co do Kazimierza, o którym powiedziano w rękopismie *filii Boleslai*, poprawili *filii Wladislai.* Obie te poprawki mogą być na swojem miejscu, zwłaszcza ostatnia; jednakże ścisłość dyplomatyczna wymagała, aby wydawcy ostrzegli czytelnika, jak ta rzecz ma się w rękopismie; czego nie zrobili.

Płockie te spominki krążyły i w innych stronach Polski. W drugiej połowie XV wieku bezimienny sochaczewianin tak zwane *Gesta cronicalia* spisując, przytoczył w końcu między innemi niektóre z tych spo-

---

[1]) Bolesław zginął 25 marca 1340. *Anon. leob.* u Peza *SS. rer. austr.* I. 958. Długosz *Hist.* IX. 1058.

minków w takimże samym, ba nawet większym jeszcze nieładzie chronologicznym rozrzucone. O Kazimierzu mówi on tak jak i Jan z Niegłoszowa *filii Boleslai.* Zdobycie Dobrzynia i Mazowsza spustoszenie przez Litwinów podaje błędniej i mniej dokładnie, niż Jan. Oto np.

Jan z Niegłoszowa.	**Gesta cronicalia.**
Item sub anno domini millesimo trincentesimo vicesimo primo Dobrzin opidum per Lithwanos in festo exaltacionis sancte crucis tempore regis Wladislai sub regimine relicte ducis Semovithi. Eodem tempore Swinka Wlost milites Dobrinenses occisi sunt.	Item sub anno domini 1321 dobrin opidum per Littwanos in festo exaltacionis sancte crucis tempore regis Wladislai subrelitta (*sic*) ducis Semouiti in quo duo milites sunt occisi dobrinenses.
Item sub anno domini millesimo tricentesimo tricesimo septimo Lithwani vastant terram Mazowie circa Poltowsko et Czochonow et multum populum abduxerunt in terram suam in festo sancte Hedvigis et feris[1]) eorum circa predictum castrum submersi sunt duo millia in fluvio Narew. *Ms. p. 27'.*	Item anno domini 1337 Littwani uastant terram Mazowie circa Poltowsk et Czechanowo et in ultimo populum abduxerunt in terram suam in festo sancte Hedvigis, et fere eorum circa castrum predictum submersi sunt duo millia in fluuio Mazowiensi itd. *Ms. p. 10—11.*

O śmierci Bolesława syna Trojdenowego nie ma nic w *Gesta cronicalia*; zaś o Alexandrze biskupie płockim powiedziano tam tak:

Sub anno domini 1124 Alexander episcopus plocensis tempore Boleslai fundavit ecclesiam in Cirwyensco ad honorem beate Marie virginis.

Jeżeli to nie jest po prostu błędem niedbałego kopisty sochaczewskiego, lecz rodzajem poprawki, tedy poprawka ta wcale nieszczęśliwie wypadła, w roku bowiem 1124 siedział na stolicy płockiej Szymon

[1]) Wydawcy czytają *plures*, lecz oba rękopisma porównane z sobą okazują, że należy czytać *fere.*

Gozdawa biskup, a dopiero w kilka lat poźniej, mianowicie po śmierci tegoż Szymona, która w roku 1129 dnia 7 maja przypadła (Łubieński *Vitae epp. Ploc. Crac. 1642 pp. 64—69)* przyszedł na biskupstwo Alexander.

Nieszczęście chciało, że przedsięwziąwszy za pomnikami polskimi daleką aż do Petersburga podróż uczony Arndt, trafił tam właśnie na czas strasznej epidemii, która zmusiła go do nierównie rychlejszego, niż sobie zamierzył powrotu. Gdyby nie ta okoliczność, tedy ani wątpić, że przy swej pracowitości i znawstwie wykryłby tam był bardzo wiele jeszcze ważnych pomników, któreby bądź nowy materyał dla Monumentów podały, bądź do wzbogacenia tych, które wydrukował nowemi postrzeżeniami i odmiankami posłużyły.

Między pomnikami polskimi wydanymi przez Sommersberga znajduje się jeden, w którym zdarzenia rocznikarskie nie według lat ale według dni i miesięcy są uporządkowane. Widać, że je z kalendarza czyli z nekrologium wyjęto. Ten władysławski miesięcznik znalazł Alexander hr. Przezdziecki w rękopismie ottoboniańskim w Rzymie. Udzielony przez niego wydawcom posłużył im do nowego wydania tego pomnika nazwanego przez nich *Ephemerides Wladislavienses*, tem bardziej, że mieli oraz na swe zawołanie kodex wrocławskiej rhedigerowskiej biblioteki, z którego, jak to wyżej nadmieniłem uskutecznił przed laty wydanie swoje Sommersberg. Dołączyli też w końcu kilka władysławskich zapisków: *Notae wladislavienses.* Tem zakończyli dział zatytułowany

w indexie *Polonia.* Poza tym działem są jeszcze w tym tomie ważne do naszych dziejów wprost lub pośrednio odnoszące się pomniki, a mianowicie wszystkie prawie tak nazwane przez wydawców „roczniki szląskie“ jako to: I „stare“ zestawione z rocznikami magistratu wrocławskiego str. 526—531. II Roczniki większe wrocławskie str. 531—533. III Zapiski zakonnic św. Klary wrocławskich str. 533—539. IV Roczniki szląskie kompilowane str. 536—540. Jest to pomnik czysto polski, drukowany już dawniej w Miklosicha *Slavische Bibliothek* tomie II. V Roczniki gryssowskie większe i mniejsze str. 541—542. IV Roczniki cystersów w Henrykowie na Szląsku str. 543—547. VII Roczniki henrykowskie str. 547—548. VIII Roczniki lubiąższkie str. 549. IX Nagrobki xiążąt szląskich str. 55—552. X Roczniki wyższo-szląskie str. 552—553. Właściwie jest to rocznik toruński. XI Kronika polsko-szląska znana z Sommersberga i Stenzla pod napisem *Chronica Polonorum.* Wydał ją tu Arndt najpoprawniej, głównie na powadze nowo wynalezionego rękopismu fürstenstejnskiego opierając się. Do dziejów też dawnej Polski odnoszą się niektóre roczniki pruskie tu umieszczone, a osobliwie tak zwane „roczniki ziemi pruskiej“ *Annales terrae prussicae* wydane tu (str. 691—693) przez Arndta według kopii, którą zrobił Joachim Lelewel z kodexu Władysława Ostrowskiego, sprostowanej w niektórych szczegółach za pomocą roczników franciszkana toruńskiego.

Z tego wszystkiego widać, jak wielki i ważny jest zasób źródeł, którym się szanowni wydawcy Monu-

mentów niemieckich w tym tomie dziejom Polski dawniejszym przysłużyli, za co słusznie im wdzięczność należy. Wiele jeszcze ze znanych naszych tego rodzaju pomników nie objętych tu zostało, jak sami wydawcy o tem nadmieniają, a wiele jeszcze jest takich, które zgoła nieznane ukrywają się w kodexach różnych po mniej dostępnych bibliotekach. W miarę jak zebranie ich coraz zupełniejszem i wyczerpującem stawać się będzie, dadzą się one tem trafniej obok siebie zestawić i tem należyciej objaśnić. Są tego rodzaju pomniki najczęściej bez żadnych w oryginale nadpisów, a niekiedy z nadpisami za nadto ogólnymi lub zgoła niestosownymi. Nazywanie więc ich, a nawet rozdzielanie czyli klasyfikowanie zależy w wielkiej części od stanowiska, z jakiego jeden lub drugi wydawca na nie się zapatruje, i od celu, jaki sobie głównie wydawnictwem swojem osiągnąć zamierzył. Kto ma przedewszystkiem na oku dzieje wielkiej ojczyzny Germanów czyli Niemców dzisiejszych, obowiązany jest niejako grupować pomniki tego rodzaju tak, aby strona ich badaczowi niemieckiemu przydać się mogąca jak najwydatniej się ukazała. Odmienniej ugrupowałby je zapewne ten, ktoby inny cel sobie założywszy z innego patrzył na nie stanowiska. Na to należy być zupełnie wyrozumiałym, i to istoty rzeczy i ważności zasług nie zmienia.

Co do charakterystyki, jaka między różnymi rocznikami polskimi dostrzedz się daje, uznali wydawcy potrzebę przypomnieć zaraz na początku swojej przedmowy, jak się dzieliła i z jakich ziem dawna Polska składała. Podział główny na Wielką i Małą Polskę,

w pierwiastkowem społeczności naszej zawiązywaniu uzasadniony, zostawił w dawnych pomnikach naszych dziejowych głębsze znamiona, niżby się to na pierwszy rzut oka zdawało. Gnieznieńskie na przykład czyli wielkopolskie roczniki zaczynają się co do zdarzeń krajowych bez wyjątku prawie od Dobrówki i Mieszka; małopolskie roczniki niemal o wiek cały wyżej od nich sięgają. Kronikarze w stronach Małej Polski piszący, jak Mierzwa i Wincenty zowią nas zarówno Lechitami jak Polakami, a zdaje się to stać w widocznym związku z nazwą Lechów w dawniejszych, morawskich jeszcze pomnikach spotykaną[1]); przeciwnie nie zna imienia Lechitów ani Gal ze swoim kruszwickim pomocnikiem Michałem, ani właściwy Bogufał w rękopismie hodiejowskim[2]): u tych jesteśmy ciągle tylko Polanami czyli Polakami, i tę to nazwę zna już najstarsza wielkopolska komemoracya, jaka się w rękopism roczników przez Alberta Cho·

---

[1]) Obacz ułamek z żywotu Kiryła w *Mon. Pol.* str. 90, tudzież żywot Kiryła w rękop bibl. uniw. lw. I. B. 1. karta 238.

[2]) Dobner do Hajka II. 8. Niektórzy postrzegłszy w texcie tym niejakie opuszczenie mianowicie w ustępie: *Quamvis historiographi, qui nunc Poleni a Polo arctico nominantur, et alias a castro Polan quod in finibus Pomeranie situm est*... twierdzili, że po słowach *quamvis historiographi* stać musiało u Bogufała koniecznie *Lechitarum*, które to ostatnie słowo kopista przez omyłkę opuścił. *Acta soc. Jabł. tom. II 97. Lips. 1772.* Tymczasem uwzględniwszy inne rękopisma tej kroniki, można się przekonać, że pierwotny text opiewał tak: *Quamvis historiographi Polanorum, qui nunc Poloni a polo arctico nominantur, et alias a castro Polan quod in finibus Pomeraniae situm est Polani denominabantur, satis ample* itd.

telskiego odpisywanych zabłąkała[1]). Jeżeli tedy który z polskich roczników można nazwać najwłaściwiej małopolskim czyli krakowskim, tedy niezawodnie ten, co się zaczyna śmiercią Arnolfa. Forma jego nie jest pierwotna, bo nas doszedł w bardzo poźnych odpisach; ale to pewna, że weń weszły najstarsze dziejów naszych spominki. W tym roczniku natrafia się po raz pierwszy oznaczony czas, w którym panował Leszek, nie zaś samo imię jego jak w Galu; a sięgało to jego panowanie jeszcze jakoś w ostatnie lata wieku IX. Dodano zaś wyraźnie, że on był już czwartym: czem wskazano na owe Lechitów przygody, o których kronikarze pomienieni obszernie się rozwiedli. Rocznikarz ten sam jeden wie, że w roku 913 przyszedł do władzy syn Leszka, Ziemomysł; dalej, że syn Ziemomysła nazwany tu *magnus, famosus, illustris* urodził się roku 931; o czem inni nie wiedzą. On podaje wiadomości o xiążętach czeskich Spitygniewie i Wratysławie, przez Kozmę i roczniki pragskie zupełnie zamilczanych, a biskupów pierwszych krakowskich, co byli przed Aronem, umie nie tylko nazwać po imieniu, jak pisarz kapitulnego kodexu krakowskiego, ale i oznaczyć lata, w których oni na stolicy swojej siedzieli. Te i tym podobne rysy charakterystyczne dające się dostrzegać tem wydatniej im zupełniejszy ogół pomników naszych pod uwagę weźmiemy, rozciągają się wszakże w tym roczniku tylko do pierwszej jego części. Wydawcy

---

[1]) *Polonia suscepit catholicam fidem sub anno domini 930 feria quarta post festum sancti Michaelis.* Rękop. bibl. Oss. 168 k. 118.

uwzględnili bardziej dalszy ciąg jego czyli dopełnienia bardzo daleko, bo aż w wiek XV sięgające: według tego nazwali go i z innymi zestawili, w czem uważając na materyał, jaki mieli przed sobą, postąpili sobie konsekwentnie.

Na tem kończę postrzeżenia moje, wywołane tą znakomitą pracą wydawców. Dali oni publiczności rzecz nową i wielce pożądaną w obecnem zwłaszcza narodu naszego położeniu. Przysługa, którą jemu zrobili, jest za nadto wielka, iżby nie znalazła powszechnego uznania, a głośne i wielbione u swoich imiona takie jak głównego kierownika Monumentów J. H. Pertza, tudzież specyalnych pracowników Roepella i Arndta będą i od lubowników dziejów naszych ojczystych z wdzięcznością spominane.

Lwów dnia 27 stycznia 1868.

AUGUST BIELOWSKI.



Henri de Valois et la Pologne en 1572 par le Marquis de Noailles. Paris 1867.

Zpomiędzy dzieł większego rozmiaru wydanych zeszłego roku w języku obcym, a dotyczących historyi polskiej, należy bez wątpienia wymienione powyżej do rzędu najznakomitszych. Odznacza je gruntowne zbadanie dziejów narodu, z którym autor przedsięwziął obeznać swoich czytelników, dojrzały sąd w przedstawieniu cywilizacyi odrębnej, równie jak wielka wyrozumiałość w ocenianiu instytucyj politycznych, tyle się różniących od instytucyj innych narodów tego samego czasu. Wykład jasny, opowiadanie zajmujące, żywe, oraz gorące zamiłowanie obranego przedmiotu nadają temu dziełu szczególnego wdzięku. Jestto bezsprzecznie jedna z najsumienniejszych a razem najsympatyczniejszych prac histórycznych o dawnej Polsce, jakie zpod pióra obcego kiedykolwiek wyszły.

Nie po raz pierwszy zajmują autora przedmioty Polskę blisko obchodzące; ogłosił on już poprzednio pracę ważną, która choć u nas dla okoliczności ówczesnych przeszła prawie niepostrzeżona, we Francyi jednak niemałe zrobiła wrażenie; jestto dziełko ma-

jące napis: Polska i jej granice[1]). Już w tem dziełku złożył zacny autor wyraźny dowód, że wszystko, co Polski dotycze, głęboko się odbiło w szlachetnej duszy jego; że go czcią przejmuje wielka jej przeszłość, a położenie obecne napełnia smutkiem i żywem spółczuciem. Praca ta, jak to czytelnik zaraz obaczy, ścisły ma związek z dziełem świeżo wydanem, jest nawet poniekąd jego zapowiedzią: o niej więc wypada nam naprzód zdać sprawę. Opowiemy pokrótce jak powstało i co głównie zawiera.

I.

Było to pod wiosnę 1863 roku, w kraju naszym wrzał od dwoch miesięcy bój zacięty. Na pierwszy odgłos toczącej się walki objawił szlachetny, wspaniałomyślny naród francuski gorące ku nam spółczucie. Sprawa polska weszła znowu na porządek dzienny: zajmowano się nią wszędy z niezwyczajną żywością; rozbierano ją po pismach codziennych, debatowano w miejscach publicznych, w izbach. Do senatu posypały się liczne petycye, domagające się wprost o czynną i stanowczą pomoc rządu.

Kiedy we Francyi opinia publiczna oświadczy się za jaką sprawą, musi i świat urzędowy, chcąc nie chcąc, zająć się nią; choć zwykle czyni to dla odwrócenia prądu opinii publicznej, a najczęściej aby pozbyć się sprawy, która mu nie na rękę. Diaparon sfer urzędowych był w tym razie o wiele niższy od

---

[1]) *La Pologne et ses frontières. Accompagnée de deux Cartes spéciales; par le Marquis de Noailles. Paris 1863.*

nastroju opinii powszechnej; w senacie więc ozwały się głosy w ogóle nam niechętne: jedne, potępiające wręcz sprawę naszą, sławiące nawet jakąś Rosyę liberalną; drugie, przedstawiające w fałszywem świetle dzieje naszej przeszłości, w widocznym celu wyprowadzenia ztąd niekorzystnego dla nas wniosku. Głosów sprawie polskiej szczerze życzliwych było zaledwie kilka. Wdzięczność nakazuje nam wymienić tu xięcia Napoleona i Walewskiego, którzy się śmiało upomnieli za Polską; najgoręcej jednakże przemówił senator Bonjean. Mąż ten głębokiej nauki i zasad szlachetnych, równie znakomity jako pisarz i jako mowca, a obstający zawsze za prawdą i sprawiedliwością, był otwarcie za odbudowaniem Polski w dawnych jej granicach.

Najżarliwszymi tej opinii przeciwnikami okazali się La Rochejaquelin i La Guéronnière. Nie umiem mowy pierwszego scharakteryzować inaczej, jak nazywając ją, przepraszam za wyrażenie, *nastojaszczo* moskiewską: to jej główny przymiot i całe znaczenie. La Guéronnière nie skąpił na pozór przychylnych dla Polski oświadczeń, litował się nad jej opłakanym losem; w gruncie atoli był za Rosyą. W mowie bardzo zręcznej, ale pełnej przewrotnych i podstępnych argumentów, utrzymywał z jednej strony potrzebę nieuszczuplania Rosyi jako potęgi europejskiej, z drugiej usiłował dowieść, że Polska jest czemś nieujętem, czemś nieokreślonem. Odbudować Polskę, to łatwo powiedzieć; „ale gdzież szukać tej Polski (były jego słowa) śród tylu odmian zaszłych w środkowej Europie? jaką jej naznaczyć rozległość?

jak odszukać pozacierane ślady narodu, który przekraczając otwarte swojego kraju granice, to się rozszerzał ku północy do morza bałtyckiego, to ku południowi do morza czarnego? który wcielił do swych posiadłości Szląsk i Ukrainę, a którego obwód nadzwyczaj elastyczny, to się rozszerzał, to ścieśniał podług rozmaitych czasowej polityki kombinacyj?..."

Jedynym punktem stałym, wedle pojęć pana La Guéronnière, jest xięstwo warszawskie i ku temu radzi kierować usiłowania dyplomacyi, jeżeliby jakie przedsiębrać wypadło. Ale Polska w obszerniejszych, historycznych granicach, „to marzenie!" Co zaś do odmian zaszłych w środkowej Europie, o których nadmienił, te przedstawił także w sposób wyobrażeniom swoim odpowiedni, z całym cynizmem politycznym hołdującym przemocy: „Prusy i Rosya, rzekł, zajęły n a r u i n a c h i n n e j n a r o d o w o ś c i miejsce, które im do ich zamiarów politycznych były potrzebne..." i na tem koniec.

Po takiem w ogóle przedstawieniu sprawy polskiej przeszedł senat do porządku dziennego, to jest oznajmił, że nie ma nic w tym razie do czynienia: zamknął oczy na wszystkie dotychczasowe bezprawia Rosyi, uprawnił je nawet poniekąd, a tem samem rozwiązał jej ręce do nowych nadużyć i gwałtów. Nielicznym obrońcom opuszczonej Polski pozostało tylko ubolewać nad tem postanowieniem senatu. Jest to krok nigdy nieodżałowany, wyrzekł ze smutkiem zacny Bonjean, krok mniej może szkodliwy dla Polski, jak dla samego senatu i dla rządu francuzkiego. Milczeć bowiem w obec pogwałconych praw, w obec

niesprawiedliwości tryumfującej, jest to brać udział w nieprawości...

Umorzona w senacie nie przestała sprawa polska zajmować opinii publicznej, zajmowała ją nawet, można powiedzieć, z podwójnem natężeniem. Po dziennikach i przeglądach, równie jak w osobnych broszurach, zaczęto jej bronić coraz gorliwiej i umiejętniej. W skutek zabiegliwych starań i wytrwałej pracy ziomka naszego, Franciszka Duchińskiego, a z innej strony dzięki głębokim badaniom etnograficznym i dziejowym Viquesnela, prawdziwsze wyobrażenia o pierwotnych stosunkach Polski i Rosyi zaczęły być na zachodzie coraz więcej znane i cenione. Przejęci niemi pisarze głośnych imion jak Henryk Martin, Eliasz Regnault, Leon Plée i inni, zaczęli z podwójną siłą walczyć przeciw fałszywym wyobrażeniom rozsiewanym o Polsce przez podstępną politykę moskiewską; potępiali samolubne, ciasne, a w ogóle niechętne pojęcia przeciwników Polski, odpierając stanowczo argument przedawnienia i przeprowadzając zwycięsko to twierdzenie: że Polska, pomimo wszelkich zewnętrznych wypadków, ma niezaprzeczone prawo do narodowości i niepodległości. Śród tego ruchu rozbudzonej za Polską opinii wyszło i pomienione dziełko margrabiego de Noailles, i silnie poparło zastęp pisarzy w dobrej sprawie walczących.

Byłoby rzeczą zbyteczną przytaczać tu znane u nas powszechnie wypadki zeszłego stulecia, jak to był zmuszony uczynić autor gwoli swoim czytelnikom. Pomijam więc cały wywod zbrodni politycznej rozbiorów dopełnionej na Polsce przez trzy sprzymierzo-

ne mocarstwa wraz z okolicznościami rozmysłu, obłudy, zdrad, intryg i gwałtów, jakie towarzyszyły temu bezprawiu; pomijam szlachetne oburzenie autora przeciw monarchom ówczesnym, którzy tę zbrodnię dopuścili; a dotknę tylko główniejszych punktów jego pracy, które i sposób traktowania przedmiotu jemu właściwy i zasługę jego w tej sprawie najlepiej wykażą.

Dziełko margrabiego de Noailles można uważać za antydot przeciw objawionym w senacie doktrynom. W obec jawnej lub źle tajonej niechęci ku sprawie polskiej, w obec niesłusznych zarzutów i fałszywych wywodów historycznych, odzywa się autor z pewnym rodzajem rzewności: „Coby to za szczęście było dziś dla Polski, gdyby piękne jej dzieje lepiej były znane! Sądzimy ją zazwyczaj z kilku lat domowych zaburzeń, które tak boleśnie odpokutowała pasmem długich cierpień, zaburzeń podniecanych za pomocą złota, intryg i gwałtów trzech zaborczych dworów, czyhających od dawna na swoją zdobycz. Zaprawdę zasługuje na cokolwiek więcej pobłażliwości naród, który był pierwszym zaprowadzicielem nowszych wyobrażeń, współzawodnikiem rzeczypospolitych starożytności, i który już w początkach wieku XV wprowadził w życie u siebie to, o co ubiegają się na próżno do dziś dnia najzacniejsi mężowie stanu: rząd narodu przez naród, w połączeniu z głębokiem uszanowaniem dla monarchii i rycerskiem dla osoby panującego poświęceniem. Gdzież jest drugi naród w Europie, z pośród którego nie podniosła się dłoń ojcobójcza przeciw piersi jego królów...?“ (str. 39).

Błędne twierdzenia i fałszywe wywody historycz-

ne pana La Guéronniere odpiera nasz autor stanowczo i prostuje takowe jak należy. „Utrzymywać co do Szląska (mówi on) że Polska wcieliła go sobie, jestto dziwnie przekręcać fakta! Siedziby plemion słowiańskich rozciągały się w czasach najodleglejszych aż do Elby. Karol Wielki zastał Słowian u brzegów Elby. Z czasem wyparł je germanizm aż do Odry, a xięstwo szląskie zostało dopiero w wieku XIV ostatecznie oddzielone od Polski. Należy więc raczej powiedzieć, że Niemcy wcielili sobie Szląsk“ (str. 43).

To samo co do Ukrainy. „Ukraina, (mówi on) należała w wieku XIV z swą stolicą Kijowem do wielkiego xięstwa litewskiego; wstępując w związki ślubne z Jadwigą i obejmując tron polski roku 1386, przyłączył wielki xiążę litewski Jagiełło xięstwo swoje ze wszystkiemi prowincyami doń należącemi, a między temi i Ukrainę do królestwa polskiego. Ileż to prowincyj nabyła tak samo i Francya przez szczęśliwe małżeństwa! Jestto prawo nieulegające zaprzeczeniu i przez nikogo niezaprzeczane. Od roku 1386 nie przestało ani na chwilę wielkie xięstwo litewskie z przyległościami, licząc między nie i Ukrainę, stanowić jednej z Polską całości. Kijów z częścią Ukrainy na wschód Dniepru leżącą musiała wprawdzie Polska odstąpić Rosyi po nieszczęśliwej wojnie 1678 roku; reszta atoli Ukrainy po tej stronie Dniepru należała ciągle do Polski, a rzeka ta stanowiła jeszcze w czasie drugiego zaboru granice jej od wschodu“.

Aby przekonać swoich czytelników, że zamykanie Polski w szczupłych granicach kongresu wiedeńskiego, a nawet w ciaśniejszych jeszcze xięstwa warszaw-

skiego jest w sprzeczności z całym ciągiem jej dziejów, przebiega takowe margrabia de Noailles pokrótce, pokazuje jak się państwo polskie tworzyło, i w jakich ostatecznie stanęło granicach, a w końcu dodaje: „Przestańmy już raz widzieć Polskę w samem tylko szczupłem królestwie 1815 roku. Są Polacy nad Niemnem, nad Berezyną, nad Dnieprem i nad Dniestrem, równie jak nad Wisłą. Boć nie można przypuścić, ażeby się godziło ścieśniać dowolnie lub rozszerzać pojęcie wyrazu, które jest niewątpliwe, kiedy sami mordercy Polski, przybijając imię jej na krzyżu, ustalili raz na zawsze jego znaczenie, nazywając aktem rozbioru Polski zbrodnię na niej popełnioną: owa zaś rozćwiartowana przez nich Polska rozciągała się od Dniepru do Odry. Rosya przywłaszczyła sobie część największą, obejmującą właśnie te same prowincye, które dziś za nie-polskie uważa; bo kraje, z których Alexander I utworzył królestwo 1815 roku, podzielone były pierwotnie między Prusy i Austryą. Rosya mogła, dopuszczając się gwałtu, przywłaszczyć sobie to, co do niej nie należało; ale nie jest w jej mocy, ani ziemi, ani jej mieszkańcom odjąć charakteru polskości“ (str. 46).

Ze wszystkiego jednak, co w senacie wyrzeczono, najbardziej oburzyło zacnego autora, że owo tak rażące wyrażenie cara moskiewskiego znalazło echo w tem zgromadzeniu: — „Przedewszystkiem panowie, precz z marzeniami!“ — wyrzekł był car Alexander II do zdumionych Polaków w Warszawie, a w senacie francuskim powiedziano, mówiąc o ojczyźnie Sobieskiego: „Polska, to marzenie!“ Marzenie ta masa zacnego

ludu, ów naród, co przez jedenaście wieków zajmował środek Europy! Marzenie ta rycerska szlachta, co tysiącami piersi stanowiła żywe granice i zasłaniała niemi cały świat chrześciański, a o które rozbiły się hordy Mongołów i zastępy muzułmańskie! Marzenie wojsko, co zbawiło Wiedeń! Marzenie legiony polskie towarzyszące cesarstwu na wszystkich pobojowiskach! Marzenie ten starożytny senat polski, który wolność sumienia ogłosił właśnie w roku rzezi św. Bartłomieja! Bolesławie Wielki, Jadwigo, Władysławie Jagiełło, Władysławie Warneńczyku, Zygmuncie I, Sobieski, Koperniku i Kościuszko, nie byliżeście wszyscy synami tejże samej ojczyzny, która się rozciągała od Dniepru po Odrę? Dziesięć wieków historyi składa świadectwo za Polską!“ (str. 48).

Zastanawiając się z kolei nad przyczynami zaciemnienia dziejów Polski, i nad tym zamętem w pojęciach zachodniej Europy, że tam dziś mało kto wie, co myśleć o narodowości wschodnich prowincyj polskich i jej dawnych granicach, przypisuje takowe margrabia de Noailles podstępnej polityce rosyjskiej, która praktykuje od dawna przewrotną i wielce zdradliwą sztukę podsuwania zwodniczych pozorów w miejsce prawdy, która używając wyrazów niewłaściwych, inne znaczenie dawniej a inne dzisiaj mających, uwodzi nimi łatwowiernych. Podstawienie nazwy Rusi w miejsce Moskwy należy przedewszystkiem do tego rzędu; ono to, wedle naszego autora, stało się źródłem wszelkich nieporozumień i klęsk, jakie dotknęły Polskę, równie jak jest początkiem błędów i zamętu wyobrażeń na zachodzie w kwestyi rosyjsko-

polskiej: na tej bowiem nazwie zręcznie podsunionej opiera dzisiaj Rosya uroszczenia swoje do posiadłości wschodnich części Polski. Tu wchodzi autor w wywod historyczny i pokazuje: że Ruś pierwotna, właściwa czyli wielkie xięstwo kijowskie a wielkie xięstwo moskiewskie, z którego poźniej urosło carstwo moskiewskie, były w przeszłości xięstwa całkiem oddzielne, że się różnią tak czasem, w którym powstały, jak narodowością, charakterem i usposobieniem ludów, które w skład ich weszły; że były sobie zawsze przeciwne, walczyły na zabój przeciw sobie i przechodziły koleje całkiem różne. Jeżeli zaś w znacznie poźniejszym czasie, bo dopiero w wieku XV podobało się władcom moskiewskim przybrać tytuł carów wszystkich Rusi, obwarowali zarazem sami licznymi traktatami, że ów tytuł nie ma w niczem szkodzić niewątpliwym posiadłościom polskim, noszącym zarówno nazwę ziem ruskich.

II.

To rozróżnienie Rusi od Moskwy stanowi główną podstawę, jest że tak powiem osią obrotu całej pracy naszego autora. Aby zdanie swoje udowodnić, sięga on samego zawiązku potęgi normandzkiej pod Rurykiem śród posiadłości Słowian, w wieku IX. Jak wiadomo, należeli ci Normandowie do osobnego szczepu skandynawskiego Rosów czyli Rusów, zkąd następnie poszła nazwa Rusi, nadana owładniętym przez nich krajom, na wschodzie zaś i u Słowian znani byli wcześnie pod nazwiskiem Waregów.

W stronach północno-wschodnich, od wybrzeża zatoki fińskiej, napotykali ci Rusowie skandynawscy w swoich wyprawach ludność dwojaką: w około jeziora Ilmenu i niżej wzdłuż Dniepru, po obu stronach tej rzeki, słowiańską różnych nazwisk, tego samego co Polanie i Lechici nad Wisłą pochodzenia; a na północ od osad słowiańskich i dalej na wschód, aż po źródła Oki i bieg średniej Wołgi, ludność fińską czyli czudzką. Z wyjątkiem Wesów, mieszkających najbliżej nowogrodzkich Słowian i mających z nimi wcześnie handlowe i polityczne stosunki, a ztąd jakikolwiek stopień uobyczajenia, reszta plemion szczepu czudzkiego w tych stronach: Meranie, Muroma, Mordwa, pozostały w pierwotnej dzikości ludów barbarzyńskich. Chciwość łupieży, przeniewierstwo i gruba, prawie zwierzęca zmysłowość stanowiły główną cechę ich charakteru. Ludy tego szczepu zcharakteryzował Mickiewicz w kursie swoim Literatury słowiańskiej w kilku dobitnych wyrazach: „Fin pojedynczo wzięty (są jego słowa) jest zawsze niewolnikiem, skoro go siła wyższa użyje za narzędzie, staje się niszczycielem". Jakoż w drapieżności, okrucieństwie, i niewolniczej ku samowładztwu uległości, przechodziły go tylko plemiona szczepu turańskiego, dalej na wschód i poniżej nich od ujścia Kamy do Wołgi, między azowskiem a kaspijskiem morzem koczujące: Mongołowie i Tatarzy.

W różnicy tych dwoch odrębnych szczepów, słowiańskiego i fino-czudzkiego, leży właściwy punkt wyjścia i poźniejszego rozdroża państw obu. Jakich bowiem usposobień z natury były te ludy wręcz so-

bie przeciwne, tak się też objawiły w dziejowym rozwoju i państwa na ich podstawie w czasach prawie o trzy wieki od siebie odległych założone. Wielkie xięstwo kijowskie, Ruś właściwa, kreacya pierwszych Rurykowiczów, opiera się na pierwiastku słowiańskim, jednoplemiennym z żywiołem polskim, ku polskim instytucyom i zwyczajom prawie nieustannie cięży i po różnych kolejach losu w polskości tonie. Pomimo całej energii zaborczej i organizacyjnej zdolności, nie mogli tu xiążęta waregscy nic stałego założyć; nie zdołali nawet ustalić samowładnego rządu, który był w ich duchu i do którego ciągle dążyli. Bierny ale wytrzymały opór Słowian trwale im tu stał na przeszkodzie. Bo jeżeli jako niewojenni i w zatrudnieniach pokoju zamiłowani, łatwo się dawali podbić, obdarzyła ich natomiast opatrzność niepożytą niczem siłą zachowawczą, z niezłomną wytrwałością stali przy swoich zwyczajach narodowych, przy gminowładnym samorządzie, a zamiłowani w wolności, cierpliwi, przetrwali wszystkie najazdy i kilkowiekowe obce nad sobą panowanie, nie dawszy się najezdnikom pochłonąć. Cnota plemienna, bierny opor z niezmiennem do ustaw odwiecznych przywiązaniem okazały się ostatecznie silniejszemi od najazdu.

Wcale innym trybem szły rzeczy w wielkiem xięstwie włodzimierskiem na Suzdalu, założonem przez Dołgorukiego w połowie XII wieku. Ludność tego xięstwa składała się jak wiadomo, z Wesy, Mery i Muromy, ludów czudzkiego plemienia. Cośmy powiedzieli o charakterze tych ludów jasno pokazuje, jak dogodny materyał napotkał tu Dołgoruki do założe-

nia potęgi w duchu najściślejszego samowładztwa, materyał całkiem odpowiadający osobistemu jego usposobieniu. Jerzy Dołgoruki był najmłodszym z ośmiu synów Włodzimierza Monomacha. Do połowy XII wieku wyznaczano zwykle xiążętom młodszych linij udziały w tych stronach odległych, u ostatnich prawie krańców podbojów waregskich. Dołgoruki przepędził całą swoją młodość w lasach muromskich na Suzdalu; tu zaprzyjaźnił się wcześnie z Połowcami, przylgnął do nich całą duszą, ożenił się z córką chana połowieckiego. Połowców używał do wszystkich swoich wypraw. Xięstwo włodzimierskie było już tedy w samym swoim zawiązku potęgą z gruntu azyatycką, w czasach następnych wzmogło się żywiołem mongolskim całego plemienia, z którem łączyło je trzechwiekowe poddaństwo; przyjęto od niego wszystkie prawie instytucye, duchem mongolskim zawsze działało i żyło, tym duchem dotąd żyje i działa. Tu początek rzeczywisty poźniejszego państwa moskiewskiego: Jerzy Dołgoruki i syn jego Andrzej Bogolubski są już prawdziwymi jego przedstawicielami, pierwszymi władcami w duchu następnych carów moskiewskich...

Na podstawie tu wykazanej przebiega margrabia de Noailles po kolei dzieje obu tych xięstw w zarysach co główniejszych, a naprzód Rusi przeddnieprskiej, słowiańsko-waregskiej. Czasy podboju, a właściwie okres od początku rządów Igora do śmierci Jarosława Wielkiego (912—1054), jest nazywany wiekiem złotym w dziejach Rusi waregskiej; po nim następuje okres upadku. „Tu poczynają się nieszczęścia Rusi", mówi Karamzyn, cytowany bardzo często w dziele

naszego autora „czasy opłakane, pełne klęsk i zaburzeń! Główną ich cechą nieustanne wojny domowe między licznymi władcami, których cienie krwią nieszczęśliwych poddanych zbroczone przesuwają się w mroku wieków poprzed naszemi oczyma“ (str. 72).

Rozdrobniona na małe xięstwa, niezgodami wycieńczona, rozprzęgała się potęga Rusi waregskiej coraz bardziej, słabość jej wzmagała się z dniem każdym, aż nakoniec wtargnęli Mongołowie w wieku XIII i dokonali reszty. W początkach tej strasznej nawały odgrywają jeszcze xiążęta haliccy dość ważną rolę na Rusi; pod ich naczelnictwem odbywa się cały ruch obrony od napadu, a choć ponoszą straszną klęskę nad rzeką Kałką (1224), Mongołowie ustępują na swoje koczowiska stepowe; nie długo jednak wracają znowu, podbijają całe Zadnieprze, zdobywają Kijów (1240), pustoszą część xięstwa halickiego, a zalawszy Polskę, dopiero z pod Lignicy, odparci przez Polaków (1241), zwracają się ku Węgrom. Xiążę halicki Daniel odpiera jeszcze przez jakiś czas ich zagony, a w skutek tego utrzymuje się Ruś przeddnieprska cokolwiek dłużej w niepodległości, niż inne xięstwa. W końcu jednakże jest i on zmuszony oddać pokłon chanowi, a tak wszystkie te kraje ulegają przemocy mongolskiej. Ale właśnie o te czasy wychyla się z puszcz i borów odwiecznych Litwa, przychodzi szybko do potęgi i rozpoczyna krwawe z najazdem mongolskim zapasy, aż do zupełnego nad nimi zwycięztwa. Krainy ruskie, oswobodzone przez nią, idą prawie dobrowolnie pod jej panowanie.

Z początku cierpi i Polska od napadów litew-

skich, ale niebawem zachodzą z powodu wspólnych niebezpieczeństw przyjazne między obu narodami stosunki, kojarzą się związki małżeńskie, a w końcu następuje wieczyste między nimi przymierze. Ruś słowiańsko-waregska znika tymczasem całkowicie z rzędu państw, a odłamy tej upadłej Rusi oddzielając się od żywiołu niesłowiańskiego, od tych krain nad-wołżańskich fino-czudzkimi ludami osiadłych, odłamy te idąc za prawem przyrodzonem, łączą się w końcu XIV wieku z państwem już potężnem słowiańskiego pochodzenia, z Polską, u której znalazły obronę przeciw tyranii mongolskiej.

„I nie ma nic anormalnego w tym wypadku, dodaje nasz autor; nastąpiło ono bez wstrząśnienia, bez żadnego gwałtu, w sposób bardzo naturalny. Pierwiastek obcy, ruski czyli skandynawski, rozpostarł się był obok słowiańskiego, ale go nie zdołał pochłonąć ani przeobrazić. Z upadkiem politycznej władzy Waregów pozostał tylko kraj słowiański, a ten połączył się z drugim odłamem słowiańskiego kraju, od którego oddzielił go był obcy podbój" (str. 76).

Poszukując granic słowiańskich po zlaniu się Litwy i Rusi z Polską, znajduje takowe de Noailles odpowiadające w zupełności owym, jakie były w wieku IX przed przybyciem Warego-Rusów. Zawiązuje więc, iż można postawić za nie wzruszoną prawdę historyczną, geograficzną i etnograficzną wielkiego znaczenia: że połączenie z Polską Rusi w wieku XIV nie było niczem innem, jak tylko przywróceniem pierwotnej jedności słowiańskiej rozerwanej podbojem normandzko-waregskim, jedności, która trwała

odtąd przez cztery następne wieki, aż ją znowu Katarzyna II rozerwała.

Obracając się z kolei do xięstwa włodzimierskiego na Suzdalu, przebiega autor po krótce i jego dzieje; pokazuje, jak to xięstwo od pierwszej chwili swego bytu zawziętą ku południowej to jest słowiańskiej Rusi pałało nienawiścią; jak Dołgoruki i syn jego Andrzej Bogolubski napadali nieustannie Kijów z Połowcami, jak go łupili, pustoszyli, a w końcu prawie całkiem zniszczyli. Nienawiść ta jest już sama przez się dowodem, jak rażące między obu xięstwami zachodziło przeciwieństwo. W rzeczy samej, oprócz dynastyi z jednego rodu, nie było między nimi nic wspólnego; xięstwa suzdalskie i moskiewskie nigdy nawet nie nosiły nazwiska Rusi, tą bowiem nazwą, jak Karamzyn wyraźnie mówi, oznaczano wyłącznie Ruś południową, słowiańsko-waregską.

Różność ich pochodzenia i dążeń pokazała się jeszcze dobitniej podczas napadów mongolskich. Kiedy Ruś przeddnieprska wysila się nad Kałką, aby tę nawałę odeprzeć, nie widać tam żadnego z xiążąt suzdalskich, włodzimierskich, ani moskiewskich. A kiedy Baty chan hordy swoje obrócił ku ich posiadłościom, następcy Dołgorukiego, jakby przewidując wcześnie pomyślne dla siebie następstwa z najazdu mongolskiego, pierwsi dali przykład poddania się i układów, przyjęli jarzmo mongolskie, udawali się do hordy po inwestyturę na własne xięstwa i służąc odtąd z niewolniczą uległością mongolskim carom, gorliwie im dopomagali do ustalania jarzma nad Rusią, a karali okrutnie tych, co się zpod tyranii hordy

chcieli uwolnić. Oto jeden przykład zpomiędzy wielu. Gdy mieszkańcy Nowogrodu odmówili raz haraczu Tatarom, przybył do nich kniaź suzdalski i kazał znaczniejszym pomiędzy nimi nosy i uszy obcinać, aż miara nałożonego haraczu została dopełniona. W nagrodę uległości i usług wszelkiego rodzaju, otrzymali xiążęta suzdalscy od chanów mongolskich potwierdzenie tytułu wielkich xiążąt Suzdalu i Włodzimierza, a w końcu i wielkich xiążąt na Moskwie. Co więc sprawiło upadek państwa Rurykowiczów śród Rusi słowiańskiej, posłużyło xiążętom suzdalskim do przyszłej ich potęgi.

Nie myślę dotykać tu szczegółowo rozlicznych stosunków wielkich xiążąt z hordą w ciągu dwuwiekowego jej panowania w tych stronach. Najważniejszym jest dla nas ostateczny wypadek najazdu mongolskiego: wcielenie się zupełne jego ducha w instytucye władców Moskwy. W chwili wydobycia się zpod jarzma mongolskiego w XV wieku wielcy xiążęta moskiewscy są już wskróś przejęci duchem tatarskim; z niewoli wyszli samodzierzcami. Tatarzy mongolscy zniknęli, ale nawyknienie do ślepego posłuszeństwa pozostało w narodzie, a wielcy xiążęta moskiewscy poczęli teraz rozkazywać po tatarsku w swojem własnem imieniu; przybrali tytuł carów, ową straszną nazwę, która przez więcej jak dwa wieki była postrachem Słowian. Nic już wtedy w Moskwie nie przypomina Rusi pierwotnej; wszystko jest urządzone na wzór i podobieństwo hordy. Ktoby myślał, że przesadzamy, pisze margrabia de Noailles, niech raczy posłuchać Karamzyna: „Dawny porzą-

dek państwa, mówi urzędowy dziejopis rosyjski, został całkiem zmieniony; cokolwiek mogło przypominać pierwotne prawa Rusi, zostało zniesione. Xiążęta moskiewscy, którzy czołgali się w hordzie u nóg chanów, zaczęli rządzić u siebie po tyrańsku na własne ramię. W żadnem mieście, oprócz Pskowa i Nowogrodu, nie było już słychać dzwonu zwołującego na wiece. Prawa dawnych miast nie służyły już miastom nowszym; Moskwa, Twer, które się podniosły pod Mongołami, nie mogły ich używać.... W Moskwie nastały kary najokrutniejsze; obwinionych o niektóre zbrodnie zakopywano żywcem, głowa tylko wystawała ponad ziemię, i tak umierali powolną śmiercią w cierpieniach najokropniejszych. Wtedy to ujrzała także Moskwa nieznaną dotąd karę knuta; poczęto nawet ludzi możnych o zbrodnię stanu oskarzonych publicznie chłostać knutem. Zwyczaj ten poniżający człowieczeństwo winniśmy Mongołom. Taki stan rzeczy sprowadził w koniecznem następstwie moralne upodlenie ludu... Być może, że dzisiejszy nawet charakter Rosyan okazuje niektóre cechy, jakiemi go barbarzyństwo mongolskie napiętnowało“ (str 135).

Tak zaprowadzony despotyzm mongolski nie przestaje być odtąd podstawą polityki moskiewskiej. Pierwsi trzej carowie niepodlegli, Iwan III, Wasil i Iwan Groźny czyli Okrutny, wydoskonalają go jeszcze, podnoszą do wyższej potęgi i zamieniają w stały system rządowy. Odtąd pochłania on wszystko w około siebie, ciśnie zarówno lud moskiewski jak i resztę swobodnej Rusi. Wiadomo, jaki los spotkał Nowogród i Psków. Kwitnące te niegdyś rzeczypospolite, które

nawet pod panowaniem Mongołów zdołały utrzymać dawną niepodległość i ustawy narodowe, zburzyli do szczętu w kilkakrotnych napadach dwaj carowie Iwan III i wnuk jego Iwan Okrutny, wytępiając ludność na miejscu, albo ją uprowadzając tysiącami w głąb Moskwy. Bezprzykładnego w Iwanie Groźnym okrucieństwa i skłonności drapieżnych dowodzi między tysiącem innych przykładów, a które Karamzyn wiernie opisuje i ta okoliczność: że wymordowawszy w Nowogrodzie całą prawie ludność, nie wyłączając niewiast, starców i dzieci, rozkazał nareszcie bydło pospędzać w jedno miejsce i w oczach swoich zabijać. A gdy potem udał się do Pskowa i stanął na pobliskiem wzgórzu, mówią kroniki, że wpatrując się ztamtąd w miasto, ruszał dolną szczeką, jak gdyby je pożerał...

III.

Może mi kto zarzuci, żem się nad tym przedmiotem odległej przeszłości zbyt długo zatrzymał. Ale jak tu było uczynić inaczej, kiedy to, co nam wszystkim tak ciężko dolega, w ścisłem z ową przeszłością zostaje połączeniu? Karamzyn domyśla się, że w dzisiejszym charakterze Rosyan mogło coś pozostać z mongolskiego nabytku. My wiemy dobrze i czujemy to w każdej chwili, że pozostało wiele, bardzo wiele. Nie umielibyśmy nawet powiedzieć, czego nie ma w dzisiejszem państwie i narodzie rosyjskim (z wyjątkiem zewnętrznego poloru klas wyższych przyjętego z zachodu), coby nie było cechą tamtych cza-

sów. Duch mongolski, rozwinięty i dojrzały zupełnie w osobie Iwana Groźnego, dostał się spadkiem władcom następnym, a wcielając się w każdego z nich trwa dotąd i działa niewzruszenie. To historya dzisiejsza, historya żyjąca. Ktoż jej będzie śmiał zaprzeczyć?

Pokazawszy pochodzenie i naturę caryzmu, zwraca de Noailles uwagę swoich rodaków na stały antagonizm wyrażający się dobitnie w całym ciągu dziejów Polski i Moskwy, i na tym antagonizmie opiera niepodobieństwo pojednania kiedykolwiek dwoch pierwiastków wręcz sobie przeciwnych. Z drugiej strony ma za rzecz pewną, że Moskale nie zdołają dojść do ładu z Polską, chyba że postąpią sobie z nią jak Iwan Groźny z wolnym Nowogrodem! Jakby przewidywał, co miało wkrótce nastąpić, radzi swojemu rządowi wziąć się co rychlej i rezolutnie do dzieła restauracyi Polski, a to w imię pogwałconych na polskim narodzie praw ludzkości, w celu przywrócenia zburzonej od owego czasu równowagi w Europie, a w końcu i dla własnego interesu.

Wiadomo, jaki skutek wzięła ta rada i wszystkie inne tego samego rodzaju. Cokolwiek bądź, dzięki niech będą zacnemu autorowi za szlachetne spółczucie i za wymowny głos jego w sprawie ciężko uciśnionego narodu.

Nim przejdę do innego przedmiotu, mam tu jeszcze uczynić jedno zeznanie. Wykazując początek niesłowiański Moskalów, zgodnie z własnymi ich pisarzami jak np. Karamzyn z dawniejszych, a z nowszych Kawelin, zaręczam sumiennie, że mię w tem

nie powoduje bynajmniej wzgarda ich rodu. Komuż kiedy przyszło na myśl wyrzucać Węgrom ich pochodzenie? A wszakże i oni są rodem Hunny, Turanie. Mimo pochodzenia z dzikich zawołżańskich stepów ożywia ich jednak duch zachodu chrześciański, cywilizacyjny, wolny; czego, niestety! nie można powiedzieć o Moskalach. Tyle wieków upłynęło, a naród moskiewski nie pozbywa się cech pierwotnego barbarzyństwa. Jeżeli pismo niniejsze wpadnie kiedy przypadkiem do rąk szlachetniejszych Rosyan, pragnę z całej duszy, ażeby byli przekonani, że cokolwiek tu mówię z głębokim smutkiem o tak opoźnionym stanie ich moralnym, wstrętnym wszelkiemu postępowi na tem polu, mam w tem przedewszystkiem na względzie własną ich godność człowieka i obywatela. Nie wierzę w wieczne upośledzenie z natury żadnej rasy, wchodzącej w skład społeczeństw europejskich. Zkąd zaś pochodzi, że w ogóle trwa w Moskalach dotąd, że się w nich nawet zwiększa czasami ta okropna srogość i dzikość rodowa, ta niepowściągniona w nich żądza wytępiania wszystkiego, co ożywione duchem wolności żyć pragnie tym duchem? wielkie to psychologiczne zadanie, tę niezbadaną tajemnicę duchową rozpamiętywaniu tych szlachetniejszych Rosyan zostawiam, a przytoczę im, kończąc, wiersz narodowego poety naszego: Droga do Rosyi, z III części Dziadów, wiersz, który mi ciągle stał na myśli, gdym to kreślił:

Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta—
Czyż na niej pisać będzie palec boski,

I ludzi dobrych używszy za głoski,
Czyliż tu skreśli prawdę świętej wiary,
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem,
Że trofeami świata są: ofiary?
Czyli też Boga nieprzyjaciel stary
Przyjdzie i w xiędze tej wyryje mieczem,
Że ród człowieczy ma być w więzy kuty,
Że trofeami ludzkości są: knuty?

IV.

Na wstępie niniejszego sprawozdania zwróciłem w ogóle uwagę czytających na zalety pierwszego rzędu, w jakie obfituje dzieło pana de Noailles: *Henri de Valois et la Pologne en 1572.* Teraz należy zejść do szczegółów, a nasamprzód obejrzyć bogaty materyał dziejowy, który autor nagromadził do napisania swojego dzieła.

Aby się przekonać, z jaką starannością zajął się tą ważną pracą, dość jest rzucić okiem na ogromny tom III, zawierający same dokumenta do epoki Henryka Walezego. Na sztuk ogółem dwieście jest tu przedrukowanych zaledwie kilka; reszta ogłoszona po raz pierwszy. Już tem samem ogłoszeniem oddał pan de Noailles znaczną usługę dziejopisarstwu polskiemu. Tego bogatego materyału dostarczyły mu po części zbiory publiczne, których w Paryżu tak obficie, jako to biblioteka cesarska, wydział manuskryptów, biblioteka arsenalska, archiwa historyczne ministeryum wojny, archiwa pałacu Maintenon; po części zbiory prywatne, między którymi należy na pierwszem miejscu wymienić bibliotekę xięcia Władysława Czartoryskiego,

zawierającą osobliwie bogaty zasób do dziejów polskich; ze znajdującej się tam tak nazwanej Teki Naruszewiczowskiej czerpał autor najobficiej. Kilkanaście listów pisanych z Krakowa przez posła rzeczypospolitej weneckiej Hieronima Lippomano podczas koronacyi Henryka Walezego, winien de Noailles uprzejmości Armanda Baschet [1]), który pracując przez czas długi w archiwach weneckich ważne tam zebrał skarby do dziejów XVI wieku.

Z dokumentów znajdujących się w cesarskiej bibliotece manuskryptów umieścił już dawniej niemałą liczbę Sienkiewicz w Skarbcu historyi polskiej wydanym w Paryżu, i Broel-Plater w Pamiętnikach drukowanych w Warszawie. Lecz wcale nowym i wielce dla nas ważnym nabytkiem są nigdzie dotąd nieogłoszone korespondencye ministrów i ambasadorów francuzkich: Monluc'a, biskupa Walencyi, w Polsce; Vulcob'a w Wiedniu; Schomberga u xiążąt protestanckich rzeszy niemieckiej; Franciszka de Noailles, biskupa z Dax, w Konstantynopolu. Wymienieni tu ministrowie, że wiele innych osób urzędowych pominę, żywo się zajmowali przygotowującą się elekcyą Henryka Walezego, a ich korespondencye i relacye wszelkiego rodzaju, należące do tego przedmiotu, znajdują się w tym tomie III.

Wyciągając z zasobów rękopismiennych plon tak obfity, ma się rozumieć, że nie zaniedbał autor korzystać także z dzieł drukiem ogłoszonych, a język nasz

---

[1]) Jest on autorem cennego dzieła: *La Diplomatie Vénitienne. Les Princes de l' Europe au XVI siècle*, wydanego w Paryżu 1862.

dokładnie posiadającemu dostępne były i po polsku pisane. Można powiedzieć, że nie ma jednego może dzieła zpomiędzy ważniejszych, dawniej i świeżo wydanych, któreby mu było nieznane i starannie przezeń nieużyte, jak o tem świadczą liczne cytacye w texcie i w przypiskach. Z jaką zaś bystrością i głębokim rozsądkiem krytycznym oddawał się zgłębianiu przedmiotów w zakres historyi naszej wchodzących, dowodzi już ta okoliczność, że się mu zdarza prostować nawet zdania poważniejszych pisarzy polskich. Oto jeden przykład w materyi bardzo ważnej, dotyczącej wolności sumienia.

Wszyscy bezstronni sędziowie oddają hołd należny wysokim zasadom tolerancyi ogłoszonym w czasie bezkrólewia przez konfederacyę warszawską. Lecz zarzucają jej promotorom i obrońcom, że zastrzegłszy dla siebie, to jest dla szlachty, wolność religijną jak najrozleglejszą, poddali sumienie chłopów pod rozrządzenie ich panów, oświadczając: „że będzie wolno i teraz każdemu panu poddanego swego nieposłusznego *tam in spiritualibus quam in secularibus* podług rozumienia swego karać“ (*Volumina Legum* tom II str. 124). Otoż mylne pojęcie powyższych wyrazów wprowadziło w błąd wielu nowszych historyków zagranicznych i krajowych, jak Lelewela, Krasińskiego, a świeżo i Pilińskiego, w rozprawie jego wielkiej zresztą wartości: *Das polnische Interregnum.* Te bowiem wyrazy, jak to pan de Noailles słusznie zauważał i stanowczo dowiódł, nie odnoszą się do rzeczy, ale do dóbr duchownych. Jakoż sejmik relacyjny w Pokrzywnicy zniósł wszelką w tej mierze wątpliwość.

Szlachta sandomierska potwierdzając konfederacyę i przystępując do niej zażądała, ażeby dla większej dokładności, dodany był w texcie wyraz *bonis*. „A gdzie się czyni wzmianka, że będzie wolno karać każdemu poddanego o nieposłuszeństwo, ażeby dołożono było: *tam in bonis spiritualibus quam in temporalibus*, a nie o wiarę“ (Deklaracya o konfederacyi generalnej warszawskiej przez zjazd sandomierski w Pokrzywnicy uczyniona; w Zbiorze pamiętników Broel-Platera tom III str. 66). I Orzelski mówiąc o postanowieniach konfederacyi objaśnia zastrzeżenie prawa co do chłopów w znaczeniu posłuszeństwa zewnętrznego, *„respectu obedientiae externae.“* Aby pod tym względem nic nie zostawić do życzenia, przytacza nadto de Noailles dwa spółczesne a różne od siebie tłumaczenia francuzkie, które potwierdzają tęż samą myśl redagujących akt konfederacyi, i uwalnia Polskę od zarzutu, jaki na niej ciężył dotąd niesłusznie.

Z równie bystrem pojęciem rzeczy i wytrawnym sądem obejmuje w ogóle i przedstawia autor wszystko, co tylko ma związek z głównym przedmiotem dzieła. Panowanie Henryka Walezego w Polsce, nie wiele znaczące samo przez się, ma jednak wielką wagę dziejową ze względu na epokę, której główny epizod stanowi. Bezkrólewie po śmierci Zygmunta Augusta jest punktem zwrotnym w dziejach polskiego narodu. Przygotowujące się od dwu wieków stopniowo i zwolna przeobrażenie dawnej Polski dosięga w tym okresie punktu kulminacyjnego: idea wszechwładztwa szlacheckiego dochodzi do swej pełni i staje się odtąd podstawą społecznej i politycznej budowy

państwa. Na tę ważną stronę kwestyi, wielkiego jak mówię w dziejach naszych znaczenia, zwraca autor szczególną uwagę; można nawet powiedzieć, że całe jego studyum sześciowiekowego rozwoju Polski, jej rodzimych pojęć, obyczaju, uczuć, jednem słowem, ducha i charakteru narodowego w ogóle, do jednego zmierza celu: do wyjaśnienia, z jakich powstały żywiołów, jak się rozwijały, jak rosły wolne instytucye narodu, których dojrzały mechanizm w czasie bezkrólewia a mianowicie elekcyi pokazuje nam autor w pełnej już występujący działalności.

Jest moim zamiarem dać w krótkości choć pobieżny zarys dzieła, aby pokazując jego ważność i celniejsze zalety, pobudzić rodaków do szczegółowego obeznania się z niem. Przejdę w tym celu pracę pana de Noailles, biorąc za nić przewodnią mojego przeglądu porządek, jaki sam autor w swojem opowiadaniu zachował. Naturalnie, że mając do streszczenia obszar tak ogromny, podniosę to tylko cokolwiek obszerniej, co mi się wyda albo zupełnie nowem, albo co będzie na szczególniejszą zasługiwało uwagę.

V.

Pierwsze pytanie, które się tu nasuwa z natury rzeczy, jest to: wśród jakich okoliczności powstała myśl na dworze francuskim starania się dla xięcia andegaweńskiego o koronę Bolesławów i Jagiellonów i co było do tej myśli głównym powodem?

Z przytoczonych przez autora dokumentów pokazuje się, że na utworzenie tego projektu a następnie

na jego popieranie, wpływały różne okoliczności zewnętrzne i miejscowe: ogólny stan interesów europejskich i położenie ówczesne Francyi, rozrywanej wewnątrz fakcyami, zewnątrz zagrożonej najniebezpieczniejszą w owym czasie potęgą hiszpańską; a z najbliższych przyczyn, usposobienie całkiem wyjątkowe królowej-matki względem własnych synów: panującego Karola IX, któregoby rada była w ciągłej trzymać kurateli i względem xięcia andegaweńskiego, jej ulubieńca, nazywanego przez pisarzy francuskich prawem okiem i duszą matki, jej bożyszczem.

Dwie namiętności, niepowściągniona niczem miłość władzy i ślepe przywiązanie do młodszego syna, stanowią główną cechę charakteru Katarzyny medycejskiej, a zarazem mieszczą w sobie węzeł najbliższych wypadków, jakie miały zajść w tej epoce na scenie politycznej we Francyi. Aby się utrzymać przy władzy, aby rządzić, nie przebierała Katarzyna w środkach; wszystkie były dla niej godziwymi, byle ją doprowadzały do celu: używała na przemian obłudy, podstępów, wszelakich intryg, a w razie danym i otwartej zbrodni. Toż samo i w przywiązaniu do syna żadnej nie zachowywała miary. Kiedy inne dzieci w niezwykłej trzymała podległości, nie zostawiając im ani cienia własnej woli; kiedy np. dla najstarszego z nich, zmarłego przed niewielu laty Franciszka II, podczas gdy już był królem, tak była surową, że ten drżał z bojaźni w jej obecności; kiedy Karolowi IX zostawiała zaledwie cień królewskiej władzy: dla ulubieńca swojego była z nieporównaną pobłażliwością i łagodnością, uprzedzała we wszystkiem

jego chęci, o wielkości jego nieustannie marzyła, i najniepodobniejsze ku temu czyniła zabiegi.

Nigdy może dla żadnego z xiążąt, pisze de Noailles, nie miano na widoku tyle i tak różnorodnych godności, jak dla niego. Licząc zaledwie lat siedmnaście, został za staraniem matki namiestnikiem królestwa, głową katolickiego stronnictwa we Francyi i wodzem naczelnym całej armii używanej przeciw Hugonotom. Tej to godności był on winien wcale niezasłużoną sławę wojenną, jakiej powszechnie używał. Stary i doświadczony wojownik, marszałek de Tavannes, odniósł był dwa świetne zwycięstwa pod Jarnac i Montcontour, które Europa policzyła na karb niedołężnego młodzieńca. Sam Filip II olśniony tą sławą, chciał mu z razu powierzyć dowództwo nad św. ligą, które poźniej objął Don Juan, zwycięzca zpod Lepanto. We dwa lata poźniej przedstawiała go Katarzyna xięciu Oranii na naczelnika ligi protestanckiej w Holandyi; marzyła nawet dla niego o purpurze cesarskiej w Niemczech, o xięstwie medyolańskiem, o królestwie w Algierze, na Cyprze, lub w Siedmiogrodzie, krajach podówczas muzułmańskich. Stosunki ścisłej przyjaźni dworu francuzkiego ze Stambułem były źródłem tych dziwacznych urojeń. Katarzyna myślała nieraz i o małżeństwie, jako najkrótszej drodze do godnego wyposażenia ukochanego syna; chciała go żenić to z Elżbietą, królową angielską, to z jej rywalką Maryą Sztuart, królową szkocką. Umowy i starania, mianowicie o Elżbietę, trwały dość długo, ale skutku pożądanego nie odniosły.

Rzecz naturalna, że szukając na całej przestrzeni

europejskiego świata, a nawet poza granicami Europy, żywiołów wielkości dla swego ulubieńca, musiała Katarzyna natrafić z kolei i na koronę jagiellońską. Zkąd wyszła pierwsza myśl do tego projektu, różne dotąd były o tem zdania; jedni utrzymywali, że ją podał Katarzynie karzeł Krasowski, wielki jej faworyt; Choisnin, sekretarz biskupa Walencyi, przypisuje go głównie temuż biskupowi. Z dzieła pana de Noailles dowiadujemy się, że wedle wszelkiego podobieństwa do prawdy, projekt ten podany był najprzód przez Turcyę; już bowiem w roku 1569, pisze z Konstantynopola Du Bourg de Guerines, iż wielki wezyr wypytując się go o xięcia andegaweńskiego czy jest żonaty, dodał: „że król polski jestto wielki monarcha i pierwszy zpomiędzy xiążąt chrześciańskich wszedł w przyjazne stosunki z Portą Ottomańską; że król ten ma siostrę, którą panowie polscy przeznaczyli, aby po nim na tron wstąpiła, że zatem małżeństwo z nią xięcia zdawałoby mu się rzeczą wielce korzystną.“

Wyraźna ta propozycya nie pociągnęła za sobą natenczas żadnych kroków ani starań w tym kierunku. Dopiero we dwa lata poźniej, to jest w lutym 1571 roku, widzimy podniesiony ten projekt z przyczyny niechęci i coraz żywszych niesnasek, jakie zachodziły między dwoma braćmi. Karol IX czując się upośledzonym w miłości macierzyńskiej, a w rządach państwa będąc tylko królem z imienia, począł zazdrość ku młodszemu bratu otwartemi objawiać pogróżkami. Królowa-matka lękając się ich skutku, umyśliła rozłączyć dwoch braci, wysyłając Henryka

za granice królestwa, aż się wydarzy sposobna pora do jego powrotu. Ale zachodziło pytanie, dokąd go wysłać? Zapytany o zdanie Monluc radził Katarzynie starać się dla xięcia o rękę królewny Anny, z warunkiem, aby Zygmunt August wyrobił zapewnienie u stanów koronnych, że go uznają za następcę tronu. Projekt ten dość się Katarzynie podobał; jednakowoż nie chciała się jeszcze wówczas odważyć na ten krok, „z obawy, jak mówiła, aby ją nie spotkała konfuzya w oczach całej Europy, gdyby się projekt nie udał.“ Była to oczywiście przyczyna tylko pozorna; w rzeczy samej, nie miała królowa ochoty wysyłać syna tak daleko, a może nie widziała jeszcze gwałtownej potrzeby oddalenia go od siebie.

Rzecz osobliwsza! ze wszystkich zamysłów Katarzyny zmierzających do pomnożenia zaszczytów syna, jedyny co przyszedł do skutku, zamysł o koronie polskiej, był dla niej właśnie najmniej pożądanym, wstrętnym nawet, i jak zaraz obaczymy, używała go jedynie do pokrycia rzeczywistych swoich zamiarów.

„Te zabiegi o koronę polską (czytamy w wyjątku z pamiętników Michała Castelnau de Mauvissière, który de Noailles przytacza) pokrywają jedną z największych tajemnic gabinetu Katarzyny medycejskiej. Ci co je przypisują ambicyi królowej-matki, dowodzą, że mają daleko mniej przenikliwości, i że mniej są obeznani z praktykami jej polityki od tych, którzy wprost myślą, że przystała na ten projekt poniewolnie, i że zajęła się nim dla tego jedynie, aby zniszczyć w umyśle Karola IX nieufność, którą tenże

powziął do młodszego brata z powodu tak gwałtownego przywiązania doń matki. Czyny jego i wszystkie zamysły były królowi do tego stopnia podejrzane, że już nie zazdrość, ale nieprzebłagana nienawiść miotała nim; jak z drugiej strony xięcia andegaweńskiego nie skłaniała do wytępiania Hugonotów ani życzliwość dla króla, ani gorliwość o religię lub o dobro kraju, ale prosta żądza panowania, która zakrawała już na zbrodnię stanu. Królowa matka chcąc przekonać Karola IX, że w staraniach o dostojeństwa i godności dla młodszego syna powodują nią uczucia całkiem niewinne, mające na celu podniesienie czci własnego domu, udawała, że pragnie namiętnie tej korony, której osiągnienie uważała w gruncie za niepodobne..“

Podczas gdy zamysł względem korony polskiej służy Katarzynie jako wybieg do pokrycia osobistych jej zamiarów, projekt ten łączy się w myśli najznakomitszych ludzi stanu owego czasu, których głównym przedstawicielem był admirał Coligny, z widokami powszechnego dobra Francyi, z podniesieniem jej wpływu w Europie, z ustaleniem trwałego pokoju wewnątrz, z zaprowadzeniem polityki cywilizacyjnej nowszych czasów, opartej na wolności sumienia.

Po dziesięciu latach walki, ustała nareszcie wojna domowa. Karol IX widząc, że Hugonotów trudno pokonać siłą, wpadł na myśl zbawienną użycia łagodności. W sierpniu 1570 roku ogłoszony został edykt pacyfikacyjny pod korzystnymi dla nich warunkami; wnet uspokoiły się stronnictwa i złożyły broń; naród cały odetchnął swobodnie. Od tej chwili usiłuje Co-

ligny z narażeniem widocznem życia przeprowadzić projekt, od którego zależało zbawienie Francyi. Pierwszą potrzebą było zaprowadzenie trwałego pokoju. Ale czyż można było spodziewać się, że namiętności tak gwałtownie poruszone uciszą się stanowczo same przez się? że od wstrząśnień gorączkowych wojny domowej przejdzie kraj nagle do porządku i spokoju? Przez te długie lata rozruchów i zamieszek nawykła część narodu do lekceważenia powagi króla; przedsięwzięcie rycerskie mogło jedynie podnieść tron i pozyskać królowi odwrócone od niego serca poddanych. Coligny doradzał w tym celu wyprawę na Flandryą, to jest wojnę z Hiszpanią. Ogłaszając wojnę narodową, wzywając wojsko przeciw nieprzyjacielowi, którego intrygi były głównym powodem tyle krwi wylanej, można było być pewnym, że się umysły zjednoczą, że zaciekli niedawno przeciwnicy podadzą sobie bratnie dłonie. Wojnę z Hiszpanią nakazywało tak wewnętrzne położenie Francyi, jak za nadto wielka potęga Filipa II. Jego intrygi mogły co chwila wzniecić nowe rozruchy, pojednanie bowiem stronnictw nie zgadzało się z planami hiszpańskiego gabinetu. Wedle wszelkiej rachuby pomyślny wypadek tej wojny był niewątpliwy. Na samą myśl spotkania się z wojskiem Filipa II powstał w narodzie wielki entuzyazm. Anglia połączyła się świeżym traktatem z Francyą; xiążęta rzeszy niemieckiej przyrzekli dać posiłki; ludność w Niderlandach, pod tyrańskimi rządami xięcia Alby do ostatniej rozpaczy przywiedziona, gotowa była narazić się raczej na wszystkie

niebezpieczeństwa i klęski, niż znosić dłużej jarzmo hiszpańskie.

Karol IX uznał od razu potrzebę i ważność tej wojny i całą duszą przylgnął do planu admirała Coligny. Obecność na dworze tej znakomitości ówczesnej wywarła od pierwszej chwili wpływ wielce dobroczynny na umysł króla. Otwierające się przed nim pole wyższej działalności i sławy podniosło od razu w sferę szlachetniejszych uczuć tę młodą duszę wcale niepospolitą, zdradzającą wyższy zaród, tylko skrzywioną złem wychowaniem, sprowadzoną z drogi sobie właściwej praktykami przewrotnej polityki, jaka panowała na dworze Katarzyny medycejskiej. Karol IX zapragnął żywo tej wojny nie tylko dla sławy, jaką sobie z niej obiecywał, ale i dla tego, iż miał nadzieję, że się zarazem pozbędzie spółzawodnictwa w rządach nienawistnego brata, którego wyjazd do Polski należał do ogólnego planu, jaki admirał Coligny pragnął przeprowadzić.

W początkach nie była i Katarzyna przeciwna tej wojnie. Nadzieja ukrócenia potęgi Filipa II pochlebiała jej dumie. Jeżeli się lękała Hugonotów, niepokoiła ją także zbytnia przemoc Hiszpanii. Wiedziała dobrze, że od lat sieściudziesiąt Francya napotykała na wszystkich punktach jej groźną potęgę. Franciszek I i Henryk II zużyli swoje siły walcząc przeciw niej. Poseł rzeczypospolitej weneckiej Suriano wyraża dobitnie w niewielu słowach niebezpieczeństwo położenia Francyi w obec tej potęgi. „Król hiszpański, pisze on do rady senatu o te właśnie czasy, jest monarchą najpotężniejszym; spra-

wy całego prawie świata są w jego ręku. Posiadłościami swojemi dotyka Francyi z tylu stron, że ją prawie dokoła obsaczył tak dalece, że gdyby Filip II posiadał geniusz swojego ojca, lub gdyby Karol V miał był potęgę, jaką ma w ręku syn jego, Francya nie byłaby Francyą. Albowiem król katolicki nie tylko wzbudza obawę wielką swoją potęgą, ale osobliwie i tem, że posiada między Francuzami stronnictwo silne, całkiem mu oddane..."

Bardzo znacznych korzyści można się było rzeczywiście spodziewać z tej wojny, jak w ogóle z całej szlachetnej polityki, którą Coligny chciał przeprowadzić. Chodziło w niej o dopięcie podwójnego celu: wewnątrz chciano podnieść zachwianą powagę króla, pojednać stronnictwa religijne, ubezpieczając najpierwszą ze wszystkich wolności, wolność sumienia; jednem słowem zamierzano sobie ugruntować na niewzruszonych podstawach pokój i porządek w kraju. Na zewnątrz miano zamiar równie ważny przywrócić Francyi przewagę w Europie przez poniżenie Hiszpanii. Francya miała już za sobą część Europy. Z Anglią, gdzie opinia publiczna otwarcie się oświadczyła przeciw Filipowi II, łączył ją świeżo zawarty traktat, jak już powiedziałem wyżej; Wenecya miała odstąpić od św. ligi; Schomberg negocyował z xiążętami rzeszy niemieckiej; Turcya przyrzekła swoją flotę na usługi Francyi: jeżeliby jeszcze projekt względem Polski przyszedł do skutku, wpływ Francyi byłby się rozciągał na cały wschód Europy, od Dardanelów do Bałtyku.

Projekt ten względem Polski grał w ogólnym pla-

nie Colignego ważną rolę: w razie udania się niweczył wpływ Austryi w stronach północno-wschodniej Europy. Jeden z arcyxiążąt ubiegał się o tron po Jagielonach, już go prawie uważał za pozyskany. Domowi austryackiemu już się udało przedtem pochłonąć Czechy; ta sama kolej czekała Węgry, skoro przyjęły drugiego arcyxięcia za króla. Czyliż można było czekać bezczynnie, aż taki sam los spotka Polskę, a dom austryacki wzrośnie do nieokreślonej potęgi? W chwili kiedy przygotowywano wyprawę na Flandryą, w celu ukrócenia przemocy hiszpańskiej, chciano za pomocą elekcyi Henryka położyć razem tamę podbojowej polityce gabinetu wiedeńskiego. Tym sposobem przysposabiano dla Francyi podwójny tryumf, wojenny i dyplomatyczny, mający dotknąć obie linie austryackiego domu.

Cały ten świetny układ zburzyła jedna okoliczność. Oprócz elekcyi Henryka Walezego, wchodziło do ogólnego planu polityki admirała ograniczenie władzy królowej matki i oddanie królowi zupełnego zarządu państwa. O ten podwójny szkopuł rozbił się cały projekt Colignego. Chcieć wyrwać króla zpod kurateli Katarzyny i odjąć jej władzę; chcieć oddalić Henryka wysyłając go do Polski: oto cała zbrodnia admirała. Aby tego nie przywiódł do skutku, postanowiono go zamordować. Na korzyść królowej matki i jej ulubieńca, dla nich i przez nich, pisze de Noailles idąc w tem za niewątpliwemi świadectwy historyi, obmyślana i wykonana została rzeź św. Bartłomieja.

Niepohamowana niczem żądza panowania była więc główną sprężyną wszystkich pomysłów i czyn-

ności Katarzyny. Nawet owo niepojęte, na pozór ślepe jej przywiązanie do syna miało bez wątpienia po większej części źródło swoje w tej samej namiętności głównej. Pisarze francuzcy szukając przyczyn tego przywiązania widzą je w wielkiem podobieństwie, jakie zachodziło pod względem moralnym między młodym xięciem a jego matką. Posiadał on wszystkie własności natury florenckiej: bystrość dowcipu, przenikliwość, obłudę; z resztą przekonania w niczem, zasad żadnych, ani sumienia. Takie podobieństwo w usposobieniu moralnem mogło zapewne przyczynić się dużo do tego przywiązania; wszakże w obec wyraźnych świadectw historyi nie można zaprzeczyć, że musiały tam wpływać i inne względy. Tavannes, syn marszałka, powiada w swoich pamiętnikach, „że Katarzyna przysposabiała sobie xięcia Henryka, aby go użyć przeciw królowi bratu, gdyby ten chciał odjąć jej rządy państwa.“ Te rządy miały jej być odjęte za wpływem Colignego, więc on przepłacił śmiercią. Rzeź św. Bartłomieja nie ma innej przyczyny.

Zastanowiłem się cokolwiek dłużej nad początkowym wywodem projektu elekcyi, bo ta część dziejów z okresu Henryka Walezego, którąby można nazwać częścią francuską tego przedmiotu, była u nas dotąd zupełnie nieznaną. A że autor przedstawia ten projekt w związku z widokami ówczesnej polityki francuskiej i z wypadkami, jakie wtedy w jego ojczyznie zaszły, zasługiwała mojem zdaniem ta część na szczególne w niniejszem sprawozdaniu uwzględnienie.

VI.

Po pierwszej rozmowie Katarzyny z Monluc'em o przedmiocie tronu, o której nadmieniłem wyżej, projekt ten pozostaje na boku przez cały rok. Inne kombinacye zajmują Katarzynę; niebezpieczeństwo jej synowi grożące nie wydawało się jej jeszcze zapewne tak widocznem, aby miała rozpocząć sprawę w gruncie wstrętną dla obojga. Tymczasem jątrzyły się coraz bardziej stosunki między dwoma braćmi i tak już mocno napięte. Henryk był główną przeszkodą do pojednania stronnictw. W miarę jak postępowały przygotowania do wojny, stronnictwo planom admirała przeciwne poczęło się skupiać koło niego, podnosząc głowę otwarcie. Coligny przedstawiał królowi, że bez oddalenia xięcia nie da się nic stanowczego wykonać. Karol IX, dający admirałowi dowody coraz większej ufności, podzielał to zdanie, a podrzędnem stanowiskiem w państwie do żywego dotknięty, od pogróżek przeszedł do gróźb otwartych. Między dwoma braćmi zachodziły sceny coraz gwałtowniejsze. Katarzyna pojęła nareszcie, że dłużej zwlekać nie podobna. Podejmując projekt elekcyi, miała nadzieję ułagodzić niechęć króla i usunąć niebezpieczeństwo synowi grożące. Henryk właśnie był oświadczył ostatecznie, że o związku małżeńskim z królową Elżbietą wcale już nie myśli; wezwawszy więc Monluc'a (w lutym 1572 roku), oznajmia mu Katarzyna, że idąc za jego radą, postanowiła rozpocząć starania o koronę polską. Karol IX, jak się łatwo domyśleć,

potwierdził z radością to postanowienie. Najtrudniej było otrzymać przyzwolenie przyszłego króla Polski. Aby go do tego nakłonić, odkryła mu Katarzyna cały grunt usnutego przez siebie planu, zachęcała do odwagi, aby się poddał smutnej konieczności, radziła uzbroić się w cierpliwość, przyrzekając mu, że na wszelki wypadek długo w Polsce nie zostanie. Od tej chwili nic już nie przerwało dalszego postępu tej sprawy.

Z porady biskupa Walencyi, Monluc'a, wysłany został do Polski syn jego naturalny Jan Balagny, bawiący podówczas w Padwie dla ukończenia nauk. Sam Monluc, nie mogący przyjąć poselstwa dla stanu zdrowia, zaręczył za sprawność syna, że pomimo młodości spełni należycie polecenia, jakie mu będą powierzone. Dodano mu tylko kilka osób poważniejszych wiekiem, między któremi znajdował się własny sekretarz biskupa, Choisnin, znany autor ciekawych pamiętników opisujących to poselstwo i następne sprawy w bezkrólewiu [1]).

Balagny miał sobie głównie polecone prosić Zyg-

---

[1]) *Discours au Vrai de tout ce qui s'est faict et passé pour l' entière négociation de l' élection du Roy de Pologne, divisé en trois livres. Faict par Jehan Choisnyn de Chastelleraud, secrétaire du Roy de Pologne. Dédié à la Reyne mère des Roys. Paris, N. Chesneau, 1574,* Ważne to dzieło wydane zostało w przekładzie polskim w roku 1818, z dołączeniem potrzebnych objaśnień i przypisków. Tłumaczenie i nakład na druk winna jest historyczna literatura nasza (co może nie każdemu wiadomo, kto te pamiętniki miał w ręku) xięciu Adamowi Czartoryskiemu, który pracę swoją chciał ukryć pod przybranem nazwiskiem

munta Augusta imieniem Karola IX o rękę królewny Anny dla xięcia andegaweńskiego, a przytem wybadać usposobienie szlachty i zawrzeć bliższe stosunki z osobami wpływu. Przybywszy do Knyszyna z końcem wiosny, zastał Balagny Zygmunta Augusta już na łożu śmiertelnem; jakoż w krótce rozstał się król z tym światem. Nie mając przed kim spełnić powierzonego sobie poselstwa, nie pozostawało Balagny'emu jak zabrać się co rychlej do powrotu; jakoż opuścił niebawem Polskę nie widziawszy nawet królewny Anny, której pragnął być przedstawionym, bo ta zostając od śmierci królewskiej pod opieką senatu, nie odważyła się przyjąć tego poufnego poselstwa bez upoważnienia senatorów.

Śmierć Zygmunta Augusta, choć przewidywana od niejakiego czasu, pomieszała jednakże wszystkie plany francuzkiego dworu. Liczono na to, że król wyjedna u sejmu następstwo tronu dla Henryka, co było jednym z głównych warunków uprojektowanego małżeństwa; tymczasem nic nie postanowiono w tej mierze, a tu zbliżała się elekcya: nie było ani chwili czasu do stracenia. Zajęto się więc natychmiast wyborem posła, któryby zdolny był popierać kandydaturę brata królewskiego przed stanami rzeczypospolitej. Katarzyna pragnęła, aby nim był Monluc; biskup Walencyi wymawiał się z początku podeszłym wiekiem, liczył już bowiem natenczas lat przeszło siedmdziesiąt; ale w końcu przyjął poselstwo. Zdaje się, że sama nowość przedsięwzięcia i połączone z nią trudności zachęciły go do tego. Mieć do czynienia z sejmem złożonym z czterdziestu do pięciudziesiąt tysięcy

szlachty, zebranej do roztrząsania zalet przyszłego króla i głosowania na jego wybór, była to dla dyplomacyi francuskiej rzecz dotąd niepraktykowana. Ale do zadania tak trudnego nikt może w całej Francyi nie był równie zdolnym jak Monluc. Wypróbowana jego zręczność w pomyślnie przedtem odbytych szesnastu ambasadach, bystrość umysłu, przebiegłość, same nawet jego zasady sprawujące, że się umiał zastosować do każdego położenia, a w końcu i zdolność w wymowie, uchodził bowiem za jednego z pierwszych mowców swojego czasu: wszystko to rokowało mu, jak w samej rzeczy skutek jego poselstwa dowiódł, że powierzoną sobie sprawę szczęśliwie przeprowadzi.

Jan de Monluc, nominowany biskupem Walencyi w roku 1553, był młodszym bratem głośnego w religijnych wojnach Francyi marszałka, Błażeja de Monluc. Nigdy dwoch braci, pisze de Noailles, nie objawiło przed historyą charakteru tak odmiennego. Marszałek, stary wojownik, zużyty przez pięćdziesiątpięć lat wojen, okryty ranami, zmuszony nosić maskę na twarzy porozdzieranej postrzałem z samopału, był surowy, bez litości, gniewliwy, natury cierpkiej. Sam mówi o sobie w komentarzach, które zostawił: „że łatwo było poznać którędy przeciągał z wojskiem po świadkach wiszących rzędem po drzewach“, to jest, po trupach Hugonotów.

Młodszy, przeciwnie, więcej niż pobłażliwy dla różnowierców, bo go nawet oskarżono w Rzymie o herezyą, biskup, ale obyczajów bardzo wolnych, był zręczny, przebiegły, polityk i dworak; „*rompu et corrompu*“, mówi o nim Brantôme. Ojciec jego,

szlachcic gaskoński, nie posiadający dostatniego majątku, przeznaczył go do stanu duchownego i oddał do zakonu św. Dominika. Królowa Nawary, Małgorzata, u której młody zakonnik pozyskał względy dla urody i dowcipu, doradziwszy mu aby zrzucił sukienkę zakonną, przedstawiła go Franciszkowi I. Odtąd używany do różnych poselstw, dał dowody niepospolitej zdolności, co go doprowadziło do godności i zaszczytów. Będąc już biskupem, żył jawnie z kobietą wielkiej piękności, którą jak mówią, tajemnie poślubił. Z tego związku urodził mu się syn, Jan de Balagny, któregośmy poznali wysłanego w poselstwie do Polski. Przebiegły ojciec tyle dokazał, że mu wyrobił uprawnienie.

Orzelski skreślił bardzo ciekawy wizerunek biskupa Walencyi: „Zręczny w łapaniu ludzi pochlebnemi słowami, dziwnie umiał się stosować do każdego charakteru, który za pierwszym rzutem oka odgadywał. Zmieniał wedle okoliczności sposób swego życia; kazał surowo pościć całemu swojemu dworowi w dni naznaczone przez kościoł, sam zaś jadał zawsze wzbronione potrawy, tłumacząc się katolikom, że słabe zdrowie zmusza go do tego, protestantom zaś, że w jedzeniu mięsa, kiedy się tylko podoba, żadnej nie widzi zdrożności. Chociaż biskup, nigdy noga jego nie postała w żadnym kościele. Jednym przysięgał, że Henryk będzie najgorliwszym obrońcą wiary świętej, za którą tak bohatersko walczył we Francyi; drugim klął się, że xiążę andegaweński żadnego udziału nie brał w wojnach religijnych, i że jedynie dla tego pragnie korony polskiej, że to kró-

lestwo używa wszelkiej swobody wyznań, którą on utrzymać potrafi, poniżając tę pychę xiężą, chcącą wszystkiemu przewodzić. Szczodry w obietnicach pisał się na wszystko, co od niego żądano, zapewniając stronnikom Henryka najwspanialsze nagrody. Hipokryzyi tego starca w niczem nie można było ufać. Obietnic narobił tyle, iż całe chrześciaństwo nie byłoby starczyło spełnić co przyrzekł, ale nigdy ani talara nie wydał gotówką; przeciwnie, w słowach tylko bogaty, nie mało w Polsce napożyczał pieniędzy".

Wybierając się do Polski, umyślił biskup Walencyi dobrać sobie na towarzyszów podróży mężów pod każdym względem znakomitych, którzyby dodawali blasku i świetności jego poselstwu, a razem mogli mu być pomocnymi w pozyskiwaniu zwolenników dla przyszłego elekta. Wiedząc ile w Polsce popłacały nauki, starał się osobliwie o takich, którzy już mieli ustaloną w świecie naukowym sławę. Józef Scaliger, syn jednego z najznakomitszych uczonych swojego czasu, sam także biegły filolog, przyrzekł mu towarzyszyć. Trzech innych uczonych niemniej głośnego imienia miało się udać z nim nad brzegi Wisły: Malloc, radca parlamentu w Grenoble, uchodzący za najlepszego łacinnika owego czasu, który miał stylem cycerońskim wystawiać na sejmach polskich cnoty i zasługi xięcia andegaweńskiego; sławny filozof Piotr Ramus, zaciekły przeciwnik Arystotelesa i xiądz de Leberon, bliski krewny biskupa Walencyi.

Przeznaczywszy im Strasburg na miejsce powszechnego zebrania, opuścił Monluc Paryż dnia 17 sierpnia, na tydzień przed nocą św. Bartłomieja. Atoli

w jego podróży nie przestały od samego początku wydarzać mu się coraz to inne przygody. Dotknięty chorobą zaraz po wyjeździe musiał się zatrzymać przez kilka dni w małem miasteczku w Szampanii: tu doszła go przerażająca wieść o rzezi św. Bartłomieja. Choć jeszcze był cierpiącym, udał się spiesznie w dalszą podróż, chcąc przejechać Niemcy, nim ta wieść złowroga rozejdzie się po Europie. Ale w Lotaryngii znalazł się w niebezpieczeństwie utracenia życia. Ścigany z poduszczenia prywatnej zemsty i udany za Hugonota, o mało że nie został zamordowany. Uniknął wprawdzie wymierzonego przeciw sobie zamachu, ale aresztowany w Verdun, wiele czasu stracił nim go wydobyły groźne listy Katarzyny i Karola IX do władz miejscowych pisane.

Przybywszy do Strasburga, nie zastał biskup nikogo z tych, co mieli tam na niego czekać; wszystkich przeraziła i rozproszyła okropna wieść o rzezi św. Bartłomieja. Żaden z nich nie przypuszczał, aby plany i postanowienia przed tym przerażającym wypadkiem ułożone dały się teraz wykonać; politykę dworu uważano za zmienioną zupełnie, a przejazd przez Niemcy wydawał się niepodobnym, gdzie umysły protestantów wrzały zemstą nieubłaganą. Scaliger opuścił Francyę, schronił się do Genewy, zkąd go już nie można było żadną ponętą zwabić na powrót do Francyi. Malloc ciężko zachorował, a Ramus został zamordowany i wyrzucony oknem na bruk w Paryżu. Na szczęście spotkał biskup w Strasburgu przypadkiem jednego z swoich dawnych przyjacioł,

prokuratora królewskiego z Blois i namówił go z sobą do Polski.

W podróży ze Strasburga do Frankfurtu nie doznał ambasador żadnych przeszkód; ale tu wpadł w ręce niemieckich rajtarów, którzy mu przyaresztowali konie i powóz z całym przyborem podróżnym, domagając się u niego wypłaty zaległego żołdu zapewnionego im przez Karola IX, gdy po skończeniu wojny domowej wyprawiano ich z Francyi. Uwolniony z ich rąk wyrokiem frankfurckiego senatu, dostał się w końcu, nie bez doświadczenia nowych przygód i różnych trudności, a osobliwie wielkiej straty czasu, do granicy polskiej w Międzyrzeczu. Nie mogąc podczas bezkrólewia zostać w mieście nadgranicznem bez upoważnienia senatu, musiał ambasador puścić się w głąb kraju. Tu czekało go nowe niebezpieczeństwo, w kraju bowiem, przez który miał przejeżdżać panowało morowe powietrze; wszędzie zastawał wsi opuszczone, pozamykane dwory, przerażona ludność rozpierzchnęła się po lasach. Ambasador musiał przepędzać noclegi pod gołem niebem, i w taki sposób, po dwumiesięcznej podróży odbytej z niemałym trudem, dojechał wreszcie do Konina, w województwie kaliskiem, gdzie zaznajomiwszy się ze Stanisławem Wysockim, kasztelanem łąckim, zaczął w domu jego wszelkich około siebie doznawać starań, i zarzucać sieci swojej dyplomacyi śród okolicznej szlachty.

VII.

Doprowadziwszy ambasadora do Konina, zostawia go tam nasz autor, a sam przedsiębierze obeznać

swoich czytelników z przeszłością Polski, aby sprawy elekcyi uczynić dla nich zrozumiałemi.

Dwie pierwsze dynastye mało go zajmują. Lechickiej przypisuje mylnie wraz z Szajnochą pochodzenie skandynawskie. Usterku tego jednakże na karb pana de Noailles kłaść nie myślę. Wyjaśnienie pierwotnych dziejów Lechii, mgłą nieprzebitą dotąd pokrytych, nie było wcale na jego drodze. Autor Lechickiego początku Polski świetnemi zalety swojego pióra nie jednego z pisarzy nawet krajowych w błąd wprowadził. Szajnocha, że użyję jego własnego wyrażenia, czerpał tu znaczną część swoich dowodów „w mglistej sferze przywidzeń.“ Uniesiony fantazyą wziął niektóre podobieństwa organizacyi politycznej z epoki Lechitów za tożsamość z ich pochodzeniem, gdy przeciwnie wiadomo, że podania lechickie wiążą się raczej z dziejami wielkomorawskiego państwa; przymiotnik lechicki znaczył w IX wieku tyle co morawski. Idąc za tą skazówką, należy więc, mojem zdanie, wcale gdzieindziej niż w Skandynawii szukać lechickiego początku Polski; choć zapewne owe tak ruchliwe ludy czyli raczej drużyny skandynawskie mogły także w czasie wywrzeć wpływ niemały na urządzenia Lechitów.

Z epoki Piastów podnosi de Noailles wydarzenia główniejsze: wprowadzenie Polski na łono katolickiego kościoła; zakreślenie jej granic; zaprowadzenie jedności zwierzchniej władzy: przyjęcie królewskiego tytułu; podział na xięstwa i następne zjednoczenie rozerwanych części; a nakoniec pod ostatnim z Pia-

stów pierwsze łączenie się Polski z Litwą i odzyskanie dawnych krain na Rusi.

Wszystko to przebiega autor w krótkości; całą zaś swoją uwagę zwraca na okres jagielloński. Zabierając się do opisania elekcyi xięcia, który nastąpił po ostatnim z Jagiellonów, wyjaśnienie wszechstronne tego okresu nakazywała sama natura przedmiotu. „Mało powszechnie znana, mówi de Noailles, historya Jagiellonów przedstawia jednak wielki interes. Ważna rola, jaką odgrywali w XV i w XVI stuleciu, stanowisko, jakie zajmowała Polska pod ich dynastyą w równowadze europejskiej i ciągłe ich usiłowania, aby ją na niem utrzymać, nie były dotąd należycie ocenione. Przedstawiciele rozległego systemu politycznego, który z rzadką przeprowadzali wytrwałością, Jagielloni dzielnie walczyli tak w obronie narodowości powierzonej ich pieczy, jak w kwestyi zasad politycznych. Posłannictwem ich było: zasłaniać Słowian od Niemców i Moskali, Europę od Mongołów i Turków.“

Trzy złowrogie potęgi: germanizm za pośrednictwem krzyżaków i cesarstwa niemieckiego, Moskwa i islamizm, cisnęły zewsząd ówczesną Polskę, jak dobrze wiadomo, zmuszając ją do stawiania przeciw nim prawie bez przerwy co żywotniejszych sił narodu. Historya tej potrójnej walki jest historyą całej polityki polskiej na zewnątrz pod dynastyą jagiellońską.

W siedmiu po sobie idących rozdziałach kreśli de Noailles obraz rozmaitych kolei, przez jakie przechodziła Polska w stosunkach z każdą z tych trzech potęg. Opowiada jak zakon krzyżacki, wezwany na

obronę Mazowsza od napadów pogranicznego pogańskwa, podbiwszy Prusaków, obrócił oręż na Polskę, choć jej uposażeniu i pomocy winien był swój początek i pierwsze powodzenie w tych stronach. Wystawia spółzawodnictwo i długie spory cesarzów niemieckich z Jagiellonami o koronę czeską i węgierską. Pokazuje, jak nad Klazmą powstaje wielkie xięstwo moskiewskie, jak rośnie w potęgę z przerażającą szybkością, a dążąc wielkimi kroki ku wschodowi, oznacza swój pochód potokami krwi i zniszczeniem. Opisuje nakoniec napady Tatarów, osiedlenie się nad Bosforem Turków, którzy przeszedłszy nareszcie Dunaj, wydzierają Polsce zwierzchnictwo nad Mułtanami i Wołoszczyzną.

Zapewne, wszystko to rzeczy nie nowe, ale opowiedziane jednym ciągiem, oddane z wielką jasnością i pełnością, jaka zwykle charakteryzuje pisarzy francuskich i przedstawione w związku z widokami polityki ówczesnych dworów, stanowią całość bardzo zajmującą. Ważny ten ze wszechmiar ustęp, napisany przez pana de Noailles dla jego spółziomków nie obeznanych z historyą polską, będzie czytany i u nas, mam to przekonanie, z wielką korzyścią przez tych nawet, dla których dzieje nasze nie są wcale obcemi.

W ciągu długoletnich krwawych zajść, do jakich zaciekła ku Polsce nienawiść zakonu krzyżackiego i Moskwy, a razem i chciwość ich były powodem, cesarze niemieccy, tak dawniejsi z linii luxemburskiej, jak poźniejsi z habsburskiego domu, osobliwszą odgrywali rolę. Występując rzadko sami do otwartej

walki z Polską, podburzali nieustannie przeciw niej te dwie potęgi w celu osobistych widoków. Krzyżacy i Moskwa były to jak dwa tarany, których podstępna polityka cesarzów niemieckich nie przestała używać przez ciąg całego panowania dynastyi jagiellońskiej do burzenia Polski.

Ten antagonizm cesarstwa i Polski tłumaczy de Noailles przez stanowisko przeciwległe sobie państw obu. Między Jagiellonami a domem habsburskim nie tylko zachodziła zawiść polityczna z powodu walki o wpływ, ale toczyła się także walka o zasady. W XV i XVI wieku chodziło o rozstrzygnienie ważnego zadania: czy Węgry i Czechy pochłonie dom Habsburgów, to jest plemię niemieckie, lub czy te dwa narody staną po stronie Słowian i wolności, ciążąc ku Polsce? Wspólność interesu i ten sam duch polityczny zbliżał oba te królestwa ku Polsce. W Czechach i w państwie węgierskiem równie jak nad brzegami Wisły panowała zasada obieralności tronu: Polska była kolumną i środkowym punktem politycznego systemu, w którym król rządził wspólnie z arystokracyą magnatów i senatorów, gdy tymczasem szlachta objawiała swoją wolę przez sejmy. W systemie elekcyjnym, jak go pojmowały te trzy królestwa, zadanie najważniejsze nie było w wyborze króla; narody te bowiem okazywały w ogóle wielkie do panującej dynastyi przywiązanie i rzadko zmieniały porządek sukcesyjny: główną rzeczą u nich było utrzymanie samej zasady wybieralności, uważanej przez nich jako sankcyę, ubezpieczenie i najcelniejszą rękojmię politycznych swobód. Monarchia elekcyjna

przedstawiała wtedy monarchię konstytucyjną nowszych czasów. Była to ta sama idea, ta sama dążność polityczna, tylko pod odmienną i mniej udoskonaloną formą.

Dom austryacki przedstawiał zaś zasadę wręcz przeciwną: prawo dynastyczne wyższe nad wszelki wpływ narodowy, a które w koniecznem następstwie musiało prowadzić do absolutyzmu. Cel ostateczny Habsburgów, który w końcu dopięli, był: ubezpieczyć się na tronie cesarskim i uczynić dziedzicznemi wszystkie korony, które w ich dom weszły. Z tej przyczyny byli oni przeciwnymi prawu obieralności, a jeżeli korzystając z tej zasady, ubiegali się na elekcyach o królestwa dla swoich arcyxiążąt, było to zawsze z tem postanowieniem, aby znieść obieralność, która im posłużyła do otrzymania tronu, a z obieralnością znieść i wszystkie swobody polityczne. Dom austryacki był więc nieustającą groźbą dla otaczających go narodowości, które w trwodze o swoją niepodległość garnęły się stale ku Polsce jako naturalnej obronie i podporze tych swobód.

Z tej kolizyi, z tej sporności interesów i zasad między dynastyą jagiellońską a Habsburgami wynikały wszystkie tychże zamachy i podburzania przeciw Polsce jej nieprzyjaciół. Przez cały ciąg długiej walki krzyżaków z Polską wspierali cesarze zakon pomocą i radą, a po jego upadku buntowali nieustannie wielkich mistrzów odwodząc ich od składania hołdu rzeczypospolitej, postanowionego pokojem toruńskim (1466). Zaledwie carowie moskiewscy uwolnili się zpod mongolskiego jarzma, spieszy na-

tychmiast polityka austryacka z powitaniem tych nowych wrogów Polski. Odtąd widzimy ciągle niemieckich cesarzy zawierających traktaty z Moskwą przeciw Polsce, a nie jednemu z tych traktatów towarzyszą już układy o podział Polski. Taki stan rzeczy trwa do roku 1514, w którym świetne Polaków zwycięstwo odniesione nad Moskalami pod Orszą zmusza Maxymiliana do wejścia na drogę odmienną. Widząc wszystkie trudności stawiane Polsce zwycięzko przez nią odpierane, postanowił cesarz wedle odwiecznej polityki swego domu, dopiąć przez związki małżeńskie czego nie mógł przeprowadzić siłą. Zygmunt powziął był także ze swojej strony zamiar pogodzenia się z Maxymilianem. Zależało mu wiele na tem, aby rozerwać przymierze cesarza z Moskwą; przyrzekł więc, że nie będzie mu nadal przeciwnym w sprawie węgiersko-czeskiej, nakłonił nawet starszego brata swego Władysława, króla Czech i Węgier do przyzwolenia ną podwójne zaślubiny dwojga swoich dzieci: dwunastoletniej Anny z arcyxięciem Ferdynandem, a dziesięcioletniego królewica Ludwika, uznanego już królem czeskim, z xiężniczką Maryą, wnuczką cesarską. Cały przebieg tych spraw, które tu pospiesznie nakreślam, przedstawia nasz autor obszernie i z należytą dokładnością. Małżeństwo arcyxięcia Ferdynanda z Anną Jagiellonką, wniosło, jak wiadomo, w dom habsburski korony czeską i węgierską.

VIII.

Po skreśleniu polityki zewnętrznej, to jest po opisaniu zajść i walk z trzema wrogimi Polsce sąsiadami,

obraca de Noailles pióro do wystawienia obrazu polityki wewnętrznej. Tu staje na pierwszem miejscu jeden z wypadków górujących w historyi średnich wieków: połączenie się a następnie zupełne zlanie z Polską Litwy i Rusi, wypadek, który cały świat polityczny owych czasów napełnił przestrachem i stał się punktem wyjścia wszystkich intryg i zamachów na Polskę tak wzmocnioną. Szczegółowy opis tego rozległego przedmiotu nie może wchodzić w zakres niniejszego sprawozdania; powiem więc tylko w ogóle, że cały ten rozdział dotyczący dziejów Litwy od jej wystąpienia na widownię historyczną aż do zupełnego zlania się z Polską na sejmie lubelskim 1569 roku przedstawiony jest, z wyjątkiem kilku dobrych usterków etnograficznych, o których zaraz powiem, z całą dokładnością historyczną i niepospolitym talentem wykładu. Czasów Mindowe czyli Mendoga (1245—1263) i poźniejszych Witenesa dotyka autor pobieżnie. Ten okres początkowych dziejów Litwy zajmują nieustanne walki z krzyżakami i z Rusią, oraz częste napady na Polskę. Jedyny wypadek odbijający od krwawego obrazu bojów i wypraw łupiezkich, jest pierwszy chrzest Litwy za czasów Mendoga i połączone z nim uzyskanie królewskiej korony z Rzymu. Rychłe odstępstwo Mendoga wprowadza Litwę na tor poprzedni. Czasy rządów Witenesa (1283 —1315) są nieprzerwanym ciągiem takich bojów i wypraw.

Gedymin, prawdziwy twórca potęgi litewskiej, zmienia całkiem politykę swoich poprzedników względem Polski. Zakon krzyżowy, zacięty wróg Litwy,

jest razem nieprzyjacielem rzeczypospolitej, dawnej swojej protektorki. Dwa sąsiednie narody łączą się przeciw spólnemu nieprzyjacielowi (1325). Małżeństwo córki Gedymina Anny Aldony z Kazimierzem, synem Łokietka, umacnia to przymierze i staje się pierwszym węzłem mającego nastąpić w czasie późniejszym rzeczywistego połączenia się obu narodów. Wzrost olbrzymi litewskiego państwa pod Gedyminem; rycerskie wyprawy Olgierda i Kiejstuta, ich zwycięstwa nad Tatarami i Moskwą; garnięcie się odtąd Rusi ku Litwie; małżeństwo Jadwigi; podstępna polityka i wyprawy Witołda, a osobliwie stopniowe dzieło zlania się dwoch narodów: wszystkie te części obszernego obrazu wypełnione są, jak już powiedziałem, z wielką dokładnością i znakomitym talentem pisarskim.

Usterki etnograficzne, o których nadmieniłem wyżej, dotyczą rodowodu ludności zamieszkujących krainy nadbałtyckie. Uwiedziony przez niektórych pisarzy zalicza nasz autor np. Liwów do plemienia łotyskiego, gdy przeciwnie są oni z pochodzenia Czudami czyli Finami. Jadźwingi, Prusacy i Sudawy nie byli także pochodzenia litewskiego, jak utrzymują pisarze niemieccy. Ale nie tu czas i miejsce do gruntownego o tem wywodu. W ogóle można powiedzieć, że większa część tych ludności nosi nazwę nie rodową ale topograficzną, to jest nadaną im ze względu na położenie zajmowanego przez nich miejsca w stosunku do innych mieszkańców. I tak, że się ograniczę na jednym przykładzie: wyraz Prusy, Borusy, oznacza ludność po rzekę Rus (po Rus) mieszkającą, o czem

Fryderyk II dobrze wiedział. Jest to nazwa czysto polska, jak bez wątpienia i stosunki rodowe między dwiema ludnościami, polską a pruską, były początkowo daleko bliższe, niż dotąd powszechnie mniemano. Rzeka Rus wpada do Niemna; poza tą rzeką na północ była Żmudź, a na wschód właściwa Litwa. Zatoka kurońska nazywała się dawniej Rusna. Te kilka drobnych uchybień etnograficznych podnoszę tu nawiasem nie dla ich ważności, bo w dziele pana de Noailles są one rzeczą całkiem podrzędną, ale raczej dla tego, aby pokazać, jak mało w ogóle jest mu do zarzucenia, dzieło jego nawet najskrupulatniej rozbierając.

Obraz epoki jagiellońskiej uzupełnia autor rzutem oka na rozwinięcie umysłowe, na oświatę, na literaturę ostatnich czasów tego okresu, a następnie poświęca kilkadziesiąt stronic fizycznemu opisowi całego obszaru dawnej Polski, pod względem biegu rzek i kierunku gór czyli raczej wynioślejszych części poziomu; skreśla ogólny widok kraju i pojedynczych okolic; oznacza granice rzeczypospolitej z wewnętrznymi jej podziałami; charakteryzuje główne narodowości, pokazuje jak się stykały z sobą a nakoniec zlały w jednę całość polityczną. Hidrografia, etnografia i historya idą tu, jak widzimy, ręka w rękę, a objaśniając i uzupełniając się nawzajem, tworzą obraz ożywiony, plastyczny wielkiej przeszłości naszego kraju.

Polska w całej swojej rozległości pod względem zewnętrznego kształtu uważana jest właściwie szeroko rozpostartą równiną; na jej powierzchni wznoszą

się wszelako pasy wyższego poziomu, które przebiegając kraj w różnych kierunkach, tworzą kilka systemów rzek głównych; te zaś z całą rzeszą pomniejszych rzek i licznych jezior, nadają nizinom polskim właściwy ich charakter i fizyognomią całkiem odrębną. Jeden z tych wyższych poziomów, biorący początek u odnogi Karpat, gdzie się rozdzielają źródła Sanu i Dniestru, przebiega kraj na północ ku źródłom Bugu, a ztamtąd ciągnąc ukośnie okolicą zabużańską aż ku wyżynom waldajskim, utworzył dwie pochyłości przeciwległe sobie, na których roztoczyła się wodna sieć Wisły i Dniepru. Autor opisuje te rzeki, daje obraz ich dorzecza, a razem czyni uwagę, że choć się poczynają w stronach przeciwnych, prawie u dwoch krańców dawnej Polski i płyną w kierunku odwrotnym, pozostają jednakże w ścisłym między sobą związku, stanowią nawet poniekąd całość nierozdzielną. Ich szeroko rozgałęzione napływniki mają swe źródła blisko siebie wytryskające i pomimo, że dążą w przeciwne strony, wody ich łączą się i mieszają z sobą w czasie róztopów śniegowych na wiosnę i wśród jesiennych wylewów. Z powodu tej okoliczności przytacza de Noailles świadectwo z Nestora, chcąc pokazać: że jak wody tak mieszały się z sobą i pierwotne mieszkające nad niemi pokolenia; lechiccy Radymiczanie, Dregowicze, Polanie i inni przesiedlali się znad Wisły po obu stronach Dniepru i w przyjaznych z sobą zostawali stosunkach, nim ich klin normandzkiego podboju z sobą rozdzielił. Jednoplemienności mieszkańców nad Wisłą i nad Dnieprem nie zaniedbuje ni-

gdy pan de Noailles wykazywać, ile razy nadarza mu się do tego sposobność.

Na północy, w niejakiem od morza oddaleniu, wznoszą się szerokim łukiem wyżyny pojezierza bałtyckiego, nadające kierunek systemowi Niemna i Dźwiny z ich dorzeczem. Dodajmy do tego pas wyżyn czarnomorskich tworzących porohy dnieprowe, pas na którym legły obie Ukrainy, który nadaje wznioślejsze położenie północnej części Podola i południowej Wołynia, który wreszcie przebiegając lubelskie w lekkich pagórkach łączy się w sandomierskiem z pasmem łysogór: a będziem mieli przed oczyma całą konfiguracyę rozległego obszaru dawnej Polski.

A na tej ogromnej przestrzeni, opartej o podnóże lesistych Karpat, jaka rozmaitość mimo pozornej jednostajności! Obszerne łany zboża, niezliczone jeziora, nieprzebyte puszcze i lasy: te są trzy charakterystyczne cechy rozległej powierzchni polskiej ziemi. A każda z tych cech głównych ileż znowu ma odmian! Różne rodzaje ziemi i roślinności same już przedstawiają wielką rozmaitość; żyźne, czarne ziemie Kujaw, okryte łanami pszenicy, przegrodzone tu i owdzie dąbrowami, jakże są różne od pól i łanów każdej innej krainy, np. od równie żyźnych pól na Podolu poprzecinanych głębokimi jarami, lub od stepów Ukrainy? A jeziora i wody na obszarze nizin polskich, w których leży wyrazistość kraju, jakże są odmienne jedne od drugich! Długie pasmo jezior od źródeł Dźwiny do Pomorza, a wody błotnego Polesia, lub dolin Warty, Noteci i Obry, jakże odrębny przedstawiają charakter. Coż dopiero po-

wiedzieć o lasach, o nieprzejrzanych puszczach litewskich. Autor opisując je, puszcza tu wolne cugle swojej fantazyi. Po obu stronach Prypeci szumią czarne bory, „to może ztąd nazwa Czarnej Rusi?“ Posuwając się ku północy, rozweselają widok białe lasy, gaje brzozowe, „czy nie od nich poszło nazwanie Białej Rusi?..“

Żywy, malowniczy opis obszarów dawnej Polski urozmaica jeszcze autor, przytaczając ustępy z poetów narodowych i różnych pisarzy; umie nawet ożywić same podziały na prowincye i województwa, charakteryzując mieszkańców, przywodząc spomnienia rodzin lub historycznych wypadków.

Tu kończę na teraz moje sprawozdanie. Instytucyom polskim wieku XVI i sprawom w bezkrólewiu, przedmiotom w dziele margrabiego de Noailles oddzielną stanowiącym całość a razem najważniejszym, osobny poświęcę artykuł.

LUDWIK NABIELAK.



SPRAWOZDANIE

z czynności zakładu narodowego imienia Ossolińskich, czytane na posiedzeniu publicznem dnia 12 października 1866 roku przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego kuratora-zastępcę.

Wznawiając dziś doroczną pamięć naszego założyciela i przystępując do zdania wam dostojni i szanowni zgromadzeni! sprawy z obecnego stanu tego zakładu, nie taję w sobie uczucia, że po silnych wrażeniach, jakieście odnieśli nie dawno z wielkich, dobro i przyszłość całego kraju na celu mających narad publicznych, nie może nie wydać się bladem posiedzenie, jedynie cichą naukową instytucyę obchodzące, gdzie nie o prawach i najdroższych ogólnych interesach, ale o xiążkach, rękopismach i inwentarzach jest mowa; gdzie strona praktyczna nie tryska na pierwszy rzut oka jak nurt z ziemi wyskakujący, ale musi być dostrzeganą w pojedynczych arteryach i więcej daje się poznać przez osobiste doświadczenie i dłuższe rozpatrywanie się, jak przez jakieś, choćby najwierniejsze, ogółowe zestawienie. Wszakże, jeżeli jest prawdą niezaprzeczoną, że aby ocenić należycie rzeczy, potrzeby i obowiązki terazniejsze, potrzeba znać dokładnie przeszłość, i że najgruntowniejszą podstawą i najsilniejszym zasobem do życia publicznego jest umiejętność; toć zapewne instytucya, która zbiera i przechowuje starannie skarby przeszłości, a podaje każdemu sposobność do zbogacenia swej wiedzy, nie tylko każdego prawego syna tej ziemi, ale tem bardziej mężów stanu serdecznie obchodzić powinna i nikomu jej niezachwiane utrzymanie, jej wzrost i stan obecny obojętnym być nie może. A jeżeli wam za-

miast wymownych wywodów, do jakich przyzwyczailiście się gdzie indziej, po większej części cyfry tylko przedstawię, to posłuży mi może za wytłumaczenie, iż nie ma w pewnym względzie nic wymowniejszego nad cyfry. A gdy ta instytucya tyloma trudami i tak długim szeregiem lat utworzona, jest także nieobojętną cząstką życia narodowego, z większą jak kiedykolwiek radością wywiązuję się z mego zadania w chwili, gdy otwiera się dla nas lepsza przyszłość i kiedy widzimy na czele krajowych rządów męża, który tyle dał dowodów, że w naukach i szerzeniu oświaty upatruje najpewniejszą rękojmię tej przyszłości. Pocieszającem jest też widzieć, że to przekonanie staje się coraz powszechniejszem, i że bliżsi i dalsi rodacy ubiegają się z dowodami swego spółczucia dla naszego zakładu.

Niech więc raczą przyjąć głośny wyraz naszej wdzięczności szanowne Towarzystwa naukowe w Krakowie i Poznaniu, a halicko-ruskiej Matycy we Lwowie; panowie: Włodzimierz de Broël Plater i Zygmunt Radzimiński na Wołyniu, Alexander Weryha Darowski i Edward Rulikowski na Ukrainie, Alexander Przezdziecki, Tadeusz xiążę Lubomirski, profesorowie Waga i Antoni Mierzyński w Warszawie, Konstanty Hoszowski, Ambroży Grabowski, Michał Zieleniewski, Stanisław Kunasiewicz, Władysław Ściborowski, Józef Łepkowski i Parys Filippi w Krakowie, xiądz kanonik Antoni Pietruszewicz, xiądz prowincyał OO. Bazylianów Modest Maciejowski, xiądz kanclerz Jan Stupnicki, Ostoja Solecki, profesorowie Antoni Małecki, Wawrzyniec Żmurko, Bischoff, literaci: Henryk Szmitt, Bronisław Zamorski, Marceli Dłużniewski, Mieczysław Marassé, Władysław Zawadzki, Karol Widmann, Juliusz Starkel, pan Ludwik Pierożyński we Lwowie, xiądz Antoni Załuski proboszcz łaciński w Brzozowie, Józef Pruszyński w Pomorzanach tudzież szanowne redakcye „Gazety lwowskiej“, „Przeglądu“ i „Przyjaciela domowego“ za bezpłatne udzielanie nam swych pism. Między zagranicznymi na pierwszem miejscu wspomnę przysłany od cesarza Napoleona III drugi tom pysznego wydania Życia Juliusza Cezara i przysłany od cesarza Alexandra II dalszy ciąg zbioru praw »*Prodołżenije swoda zakonow*«. Uznajemy też przyjazną uczynność Towarzystwa naukowego sło-

wiańskiego w Zagrzebiu, niemniej pamięć o nas panów: Augusta Visquesnel w Lugdunie, Kornitowa kuratora wileńskiego okręgu szkolnego, uczonych Kunika i Grzegorza Szyrajewa w Petersburgu i profesora Soncewa w Moskwie.

Takie styczności, czysto naukowe, a nie mające żadnego związku z polityką, przyczyniają się, jak wszystkie na świecie wzajemne udzielania się uczonych pojedynczych i korporacyj, nie mało do obopólnego szerzenia odpowiednich bibliograficznych i innych wiadomości i lepszego poznania stanu oświaty.

Przechodzę teraz do wewnętrznego stanu Zakładu. Z rachunków złożonych wysokiemu Wydziałowi krajowemu po koniec roku 1865 pokazuje się, że majątek Zakładu wynosi w tym czasie: 46.530 złr. w efektach, a 452.178 złr. 35½ kr. w wartościach i gotowiznie. Z tego przypada

1. na fundusz biblioteczny . . . . . . 416.709 złr. 32½ kr. w wartościach i gotowiznie

	w efektach			a w gotowiznie		
2. na fundusz rezerwowy	32.783 złr.	20 kr.		12.029 złr.	21 kr.	
3. „ „ stypendyjny	4.266 „	40 „		2.214 „	87 „	
4. „ „ zapasowy	6.700 „	— „		1.750 „	— „	
5. „ „ Alexandra Stadnickiego	2.780 „	— „		2.464 „	95 „	
6. „ „ Brodzkiego	2.780 „	— „		17.010 „	— „	w wartościach
razem jak wyżej . . .	46.530 „	— „		452.178 „	35½ „	

w wartościach i gotówce.

Otrzymaliśmy:

Ze sprzedaży dawniejszych nakładów . . .	211 złr.	13 kr.
Za Czasopism naukowy . . . . . . , . .	541 „	80 „
Za słownik Lindego	135 „	50 „
Ogółem	1.104 złr.	43 kr.

Przykro wyznać, iż niektórzy z naszych dłużników nie uiszczają się z należytości aktami fundacyjnymi obwarowanych, a znaczną część preliminowanego dochodu stanowiących, co Zakład nieraz w niemiłe stawia położenie, a jakkolwiek znane są aż nadto trudne obecne krajowe stosunki, sądzimy że tam, gdzie prócz

obowiązku prawnego zachodzi jeszcze wzgląd na publiczną użyteczną instytucyę, powinnaby mieć miejsce tem skrupulatniejsza usilność, i nie można się dziwić, jeżeli pomni na nasz obowiązek, uciekamy się do sądowej pomocy. I tak z zapisu śp. Eugeniusza Brodzkiego rocznych 180 dukatów na Borkach, zalegają od 1 stycznia 1865 cztery raty półroczne w łącznej kwocie 360 dukatów, a dobra te są w skutek uchwały sądu tarnopolskiego z dnia 29 sierpnia r. b. L. 1646 wystawione na przedaż publiczną. Podobnie zalegają na Putiatyńcach z zapisu śp. Wincentego Kopestyńskiego już od 3 lipca 1863 trzy raty po 25 dukatów i wyrokiem sądu złoczowskiego z dnia 12 września r. b. L. 6169 zostało zarządzone egzekucyjne dóbr tych oszacowanie.

Zalegają nakoniec i na Krzywczu z zapisu śp. Pawlikowskiego od 6 czerwca 1863 trzy raty po 25 dukatów, na które gdy uiszczono dotąd tylko 110 złr, przedsięwzięliśmy równie w celu odzyskania reszty odpowiednie kroki. Ogół wyliczonych zaległości wynosi zatem blisko 3000 złr. Mimo tak dotkliwego ubytku usiłowaliśmy odpowiedzieć wszelkim wymagalnościom tak ze względu na utrzymanie funduszowego majątku, jak i co do potrzeb naukowości. Nie mało mianowicie zaprząta funduszowy majątek Rakowiec, gdzie przed dziesięcioma laty wszystkie niemal budynki były w stanie opłakanym, a do tego spłonęła ogniem stodoła z młocarnią. Odbudowano w ciągu lat ostatnich wielką murowaną stodołę z młocarnią, karczmę i szopę, a w roku bieżącym stanęła nowa stajnia na konie robocze, którą według udzielonego sobie planu i kosztorysu wystawił tameczny dzierzawca pod łaskawą kontrolą uproszonych w tym celu szanownych sąsiednich obywatelów panów Januarego Suchodolskiego i Wojciecha Jankowskiego, a koszt 1663 złr. 93 kr. potrąca się w sześciu równych półrocznych ratach od czynszu dzierzawnego.

W grudniu 1865 roku spłonęło ogniem mieszkanie leśniczego w funduszowym lesie „Ponary“ zwanym i zostało już odbudowane kosztem 600 złr. za uprzejmą gospodarską pomocą szanownego plebana podhajeckiego obrządku łacińskiego xiędza Jakuba Kerszki.

A tak mimo klęsk rozlicznych utrzymała się nadal i nawet podniosła stosunkowo wartość tych dóbr funduszowych.

Prócz tego wydano w ciągu roku 1865 na cele naukowe 6209 złr. 40 kr. mianowicie:

Na przykupno xiąg i rękopismów	3354 złr.	45 kr.
„ „ medalów i monet	748 „	55 „
„ „ obrazów i rycin	239 „	60 „
„ „ muzealiów	93 „	60 „
Na wydawnictwo pisma naukowego	1773 „	20 „

Jak bowiem w roku ubiegłym tak i w niniejszym wydrukowaliśmy dwa spore tomy naszej „Biblioteki“.

Pierwszy (8my z kolei) obejmujący 26 arkuszów druku jest już od wiosny w rękach publiczności, drugi (9ty) obejmujący $28\frac{1}{2}$ arkuszów druku będzie w tych dniach rozdanym, a gdy chodzi nam przy tem o ogłoszenie rzeczy ważnych i ciekawych w rękopismach przechowanych, o nastręczenie znanym i częstokroć mniej zamożnym uczonym i autorom sposobności do nader korzystnego wydawania prac swoich, nakoniec o otworzenie dla młodych kształcących się talentów pola do publicznego wystąpienia, sądzimy, że jak poprzednie tak i niniejsze oba tomy jawnym są dowodem, iż nie spuściliśmy z oka naszego zadania we wszystkich wskazanych kierunkach. Znajdą tam bowiem czytelnicy: 1ód kilka bardzo zajmujących rzeczy wyjętych z własnego naszego zbioru rękopismów jakoto: Memoryał podany carowej Katarzynie II w roku 1763 przez Stanisława Poniatowskiego jeszcze jako stolnika litewskiego, nieogłoszone dotąd utwory znakomitego poety Stanisława Trembeckiego i nieznane zupełnie przekłady z obcych poetów Jana Grotkowskiego; 2re z rękopismu biblioteki wilanowskiej udzielony nam przez zgasłego nie dawno a wielce zasłużonego naszej literaturze bibliotekarza tamecznego Stanisława Przyłęckiego „Dziennik pogromu Tatarów przez Jana Sobieskiego w roku 1672“; po 3cie utwory oryginalne znanych powszechnie uczonych i pisarzów: Wacława Alexandra Maciejowskiego, Juliana Bartoszewicza, Antoniego Małeckiego, Wincentego Pola, Lucyana Siemieńskiego, Kazimierza Stadnickiego, Józefa Szujskiego, Augusta Bielowskiego i Steczkowskiego; na koniec po 4te dwie prace własnych naszych stypendystów, mianowicie jedna historyczno krytyczna Jana Chylińskiego, druga psycho-

logiczna Aurelego Urbańskiego, który już i na polu dramatycznem sił swych próbował.

Jakkolwiek i w tym roku muszę powtórzyć życzenie, aby publiczność więcej chciała zwrócić uwagi na to różne gałęzie nauk obejmujące pismo, które nie ma równego sobie na całym szerokim obszarze, gdzie polskim mówią językiem, to zawsze cieszymy się, że pomoc udzielana przez stypendya naszej młodzieży i te wielostronne zasoby naukowe, jakie dostarczają jej zbiory nasze, przyczyniają się widocznie do rozbudzenia i rozwoju sił nowych na polu umiejętności, a możemy odwołać się śmiało do pana Karola Szajnochy, Bernarda Kalickiego i innych, co nie dawno przez lat kilka do zakładu należeli, czy nie temu stosunkowi zawdzięczają wielką część zasobów wiedzy i wprawy w pisaniu, które pierwszego z nich postawiły na znakomitym szczeblu w rzędzie polskich autorów, a z drugiego dobre pozwalają rokować nadzieje. Muszę podnieść i tę ważną okoliczność, że gdy w naszym kraju mało jest uprawianą bibliografia, tak niezbędna do dokładnego poznania umysłowej naszej przeszłości, i która zjednała gdzieindziej znakomite imię Bentkowskiemu, Jocherowi, Lelewelowi, Wiszniewskiemu i innym i gdy tak dotkliwy daje się czuć brak sposobnych bibliotekarzów, nasz zakład nastręcza młodzieży jedyną podobną sposobność do wykształcenia się w tym trudnym zawodzie, nie tylko przez czytanie dzieł ważnych, ale i przez naoczne poznawanie autorów, wydań i rzadkości literackich. Korzystają też z naszych zbiorów i cudzoziemcy, i tak w roku bieżącym czerpał z nich nie mało uczony xiądz Beda Dudik dziejopisarz morawski.

Zakład pomny na swe powołanie ułatwiania w obrębie swych statutów krajowej oświaty, szczególnie w obec uczącej się a po największej części mniej majętnej młodzieży, przedsięwziął był już w roku 1863 uzyskać u wysokiego rządu wyłączne prawo do nakładu, druku i sprzedaży wszystkich xiążek w polskim języku dla szkół przepisanych, jakie przysłuża już od roku 1862 lwowskiemu Stauropigialnemu instytutowi co do podobnych xiążek w języku ruskim. Gdy jednak zamiar ten nie osiągnął pożądanego skutku, udała się kuratorya 15 grudnia 1865 za pośrednictwem sza-

nownego posła Włodzimierza hr. Rusockiego do wysokiego sejmu, aby raczył wziąć tę sprawę pod swą przeważną opiekę. Jakoż wysoki sejm uwzględniając korzyści, jakie mogą ztąd spłynąć i na uczącą się młodzież i na sam zakład, raczył poprzeć tę prośbę u władz odpowiednich i wyglądamy z pełną i najlepszej otuchy niecierpliwością pożądanego skutku.

Na miejsce zmarłego reprezentanta potomności Józefa Piaseckiego mianował wysoki sąd krajowy lwowski uchwałą z dnia 9 grudnia 1865 L. 46438 reprezentantem potomności, odpowiednio do przedstawienia wysokiego wydziału krajowego, dotychczasowego zastępcę pana Stanisława Starowiejskiego, a na miejsce tegoż zastępcą hr. Stefana Zamojskiego.

Stanął też na dniu 14 listopada 1865 między wysokim wydziałem krajowym i zastępcami potomności z jednej a jo. xięciem Jerzym Lubomirskim z drugiej strony ważny układ. Wiadomo że śp. Henryk xiążę Lubomirski w moc umowy zawartej w roku 1823 ze śp. Ossolińskim wcielił do zakładu znakomite swe zbiory muzealne i miał na *«Museum Lubomirscianum«* wystawić i przysposobić własnym nakładem część gmachu tutejszego. Gdy jednak tenże tymczasem własnym kosztem zakładu wzniesiony został i niepodobieństwem jest przedsiębrać jakieś przybudowania, więc wysoki wydział przyznał xięciu Jerzemu Lubomirskiemu prawo umieścić *«Museum Lubomirscianum»* w jednej z części gmachu istniejącego, a xiążę ofiarował 10.000 złr. tytułem zwrotu kosztów, jakie na wystawienie i urządzenie odrębnej części gmachu byłyby na niego stosunkowo przypadły. Że atoli xiążę ma przyznaną sobie już w 1854 z rachunków należytość od zakładu w kwocie 6.979 złr. 5½ kr. mon. konw., więc po jej odtrąceniu zobowiązał się resztę w ilości 2.671 złr. 96 kr. wal. austr. zaraz przy utworzeniu i zaprowadzeniu wspomnionego muzeum zakładowi wypłacić.

Co do zbiorów tutejszych muszę przedewszystkiem wspomnieć, że zbiór konchiliów wcale znaczny nie był dotąd dla braku sił specyalnych należycie uporządkowany, oznaczony i spisany. Podjął się tej żmudnej pracy pan Włodzimierz Dzieduszycki i wykonał ją na podstawie najnowszych dzieł odpowiednich mianowicie panów

Chenu i Küstera, z dokładnem oznaczeniem rodzajów, gatunków i ilości okazów, i sporządził ich inwentarz. Ten obejmuje muszli pojedynczych rodzajów 257 okazów 1232, muszli podwójnych rodzajów 119 okazów 419, razem więc rodzajów 376 okazów 1651.

Prócz tego zestawił w osobnym katalogu 49 rodzajów rozmaitych przedmiotów przyrodniczych.

Prowadzi się też dalej spisywanie xiążkowego inwentarza polskich medalów i monet na podstawie katalogów kartkowych i postąpiło już do liczby 770.

Nim przedstawię wam szanowni słuchacze pomyślny stan pojedynczych zbiorów, poczytuję sobie za wielki obowiązek wynurzyć tu szczególną wdzięczność naszą jw. i najprzewielebniejszemu arcybiskupowi obrządku ormiańskiego jm. xiędzu Grzegorzowi Szymonowiczowi, którego łaskawej i światłej uczynności winniśmy znakomite ich powiększenie w rękopismach i xiążkach, mianowicie w pierwszych o 121 tomów, w drugich o parę tysięcy dzieł w różnych językach. Gdy te ostatnie nie mogły być jeszcze dotąd umiejętnie spisane, powiem o nich przynajmniej to, co pobieżny przegląd i przygotowawcze rozklasyfikowanie dostrzedz pozwoliło.

Zbiór ten mieści dzieł	polskich	425
	łacińskich około	750
	francuzkich	710
	włoskich	360
	niemieckich	70
	hiszpańskich	5
	angielskie	1
	Ogółem dzieł przeszło	2.300

a tomów przeszło 4.200.

Uskuteczniony dotąd spis działu polskiego wykazuje 111 dzieł, którychcśmy dotąd nie posiadali, a dużo jest takich, co uzupełniły braki w tutejszych exemplarzach. Są w tym dziale jak i w innych niemałe rzadkości, są wydania Elzewirów i innych cenionych drukarń, a wszystko tak co do ilości jak i wewnętrznej wartości niepoślednio nas zbogaciło.

Posiadamy obecnie:

Dzieł i broszur drukowanych (prócz dopiero wymienionych)	54879
Prób druku	3942
Rękopismów wraz z powyższymi	1777
Rycin	6005
Autografów	2433
Dyplomów	348
Rzeczy muzealnych	1014
Obrazów	424
Map i planów	457
Medalów polskich	567
Monet polskich	1662
Obcych medalów i monet z dubletami około	8200
Konchiliów rodzajów 376 okazów	1651
Skał i minerałów	1199
Podobizn, fotografij, chromolitografij, kalków	44

Nadto przybyło:

a) Dzieł i broszur z kupna	dzieł 871	tomów	1141
z darów i przez zamianę	dzieł 212		222
nie licząc licznych dubletów razem	dzieł 1032	tomów	1363
b) Prób druku			272
c) Rękopismów			156
d) Rycin			25
e) Autografów			31
f) Dyplomów			14
g) Rzeczy muzealnych			27
h) Map i planów			9
i) Medalów i monet polskich			16
k) Medalów i monet obcych			200

Ważniejsze nabytki w xiążkach są:

1. Mikołaja z Błonia Traktat o sakramentach z 1518.
2. Grzegorza z Szamotuł «*Processus juris*» z 1537.
3. Rzadki exemplarz Kromera kolońskiego z mapami.
4. Andrzeja Lubelczyka «*Liturgia Armenorum*» z 1549.

5. Dzieła św. Cyryla przekładu Jana Grodeckiego kanonika warmińskiego 1564.
6. Nowe paryzkie wydanie Bollandystów od 1863 r. 11 foliantów.
7. Życie św. Jacka wydane w Weronie 1594.
8. Witkowskiego Safo Słowiańska z 1611.
9. Nemezis kraju północnego z 1614.
10. Tytlewskiego «*De proeliis inter Polonum et Turcam*» 1622.
11. *Status Regni Poloniae. Lugduni Batavorum* 1627.
12. Stanisławskiego „Wojna moskiewska“ 1613.
13. Kochanowskiego Jana psałtarza wydanie trzecie z 1586 i czwarte z 1604.

Między nowymi nabytkami rękopismiennymi odznacza się:

1. Kupiony za 300 złr. kodex dyplomatyczny tyniecki ułożony z archiwum opactwa tynieckiego złożonego niegdyś w bibliotece akademickiej a spalonego w roku 1848, przez śp. Alexandra Batowskiego we trzech tomach z podobiznami ważniejszych dyplomów. Dzieło to, nad którem autor 10 lat pracował, obejmuje dyplomy opactwa tynieckiego od najdawniejszych czasów, porządkiem chronologicznym ze wstępem historycznym i potrzebnemi objaśnieniami.
2. Kapłaństwo królewskie, albo o wielkiej godności kapłańskiej xiąg troje, rzecz piękna wzorową polszczyzną napisana.
3. *Jus Magdeburgense*, z sentencyami w grodzie lwowskim i krakowskim w sprawach spornych według tego prawa wydanemi.
4. Regestr na okup miasta wybranych pieniędzy podczas oblężenia kozaków i Moskali w październiku 1655. Dokument ważny dla historyi miasta Lwowa.
5. Tomasza Józefowicza „Lwów utrapiony“ albo Dyaryusz zdobycia Lwowa przez Karola XII króla szwedzkiego.
6. Dyaryusz sejmu koronacyjnego krakowskiego w 1676 roku.
7. Kopie listów Jana III i jego rodziny.
8. Skargi duchowieństwa unickiego na Ukrainie przeciw schizmatykom urzędownie do grodzkich aktów zanoszone o prześladowania, gwałty i ucisk, jakich doznają od roku 1768 do 1773, z przytoczeniem kilku ciekawych dokumentów.

Do rycin przybył ciekawy widok Lwowa z XVI wieku.

Do medalów niezmiernie rzadki srebrny wybity w roku 1813 na cześć xięcia Józefa Poniatowskiego.

Według wykazów tutejszej czytelni było w niej czytających:

W październiku 1865	554
„ listopadzie „	1005
„ grudniu „	1405
„ styczniu 1866	1536
„ lutym „	1811
„ marcu „	1417
„ kwietniu „	795
„ maju „	56
„ czerwcu „	586
„ lipcu „	448
„ wrześniu „	517
„ październiku dotąd	267
Ogółem	10.397

Co, odliczywszy niedziele, święta i cały niemal miesiąc maj, kiedy z powodów bibliotecznych zajęć zamknięta być czytelnia musiała, wykazuje w przecięciu 44 czytających dziennie.

Gdy słabość nie pozwala panu Augustowi Bielowskiemu brać udziału w dzisiejszem zebraniu, więc przygotowaną przez niego pracę odczyta pan kustosz Godebski, poczem pan Bernard Kalicki odczyta własny utwor.



KILKA RYSÓW DZIEJOWYCH POLSKI Z WIEKU XIII

przez Augusta Bielowskiego, rzecz czytana na temże uroczystem posiedzeniu naukowem zakładu*).

Zaszczyciłaś szanowna tu zgromadzona publiczności dzisiejsze nasze posiedzenie licznem zebraniem. Od zwykłych, domowych zajęć swoich odrywasz myśl ku rzeczy publicznej, i stajesz oto w tym gmachu, aby rozpoznać stan obecny narodowego zakładu, który jest dziś na przestrzeniach dawnej Polski w swoim rodzaju jedyny. Tej szlachetnej chęci, temu wyższemu nastrojeniu ducha i położonemu w nas zaufaniu pragniemy z naszej strony jak naj godniej odpowiedzieć, i kiedy w odczytanem już właśnie sprawozdaniu tak czynności tegoroczne zakładu, jak środki, którymi dotąd rozporządzał i zasoby jego na przyszłość zostały dokładnie wyłuszczone, pozwólcie szanowni ziomkowie, że gwoli naukowemu zajęciu, jakie zakładu niniejszego głównem jest zadaniem, poddam tu kilka rysów z dziejów naszych ojczystych waszej rozwadze.

Wiek XIII rozpoczynał się u nas pod złowrogiemi znamionami. Tak stan zewnętrzny jak i wewnętrzny naszej ojczyzny przedstawiał smutny obraz mogący przerazić każdego rodaka, zastanawiającego się głębiej nad najbliższą jej przyszłością. Kiedy od północy zagrażała Europie najstraszniejsza nawała Mongołów, tymczasem cała przestrzeń od ujścia Dniepru do Karpat i poza Odrę rozdrobniona była na mnóstwo xięstw, po większej części

*) Z powodu słabości autora czytał ją pan Xawery Godebski, kustosz.

bez spoju między sobą, bez silniejszej organizacyi, a ich władcy raz wraz między sobą się waśniąc najeżdżali się wzajem i niszczyli. Sama nawet puścizna Kazimierza Sprawiedliwego, który rządy w Polsce silniejszą ręką ująwszy władał zarówno w Krakowie jak na Słowaczyznie i w Haliczu nad Dniestrem, zarówno na Pomorzu jak w Mazowszu, w Brześciu litewskim i na Podlasiu, poczęła po jego śmierci rozpadać się na części, z których każda rodowość swoją i interes spólny zapoznając, dążyła do wyosobnień, do odrębności, jakby stanowiła coś od reszty obcego. Pierwsze potrącenie ku temu dawała zwykle chciwość panowania rozrodzonych xiążąt. Znachodziła ona silne poparcie u możnych, którzy w rozdrobnieniu xięstw własną korzyść, własne wyniesienie się i swobody większe dla siebie upatrywali. Nędzny stan nauk w kraju nie rozpromieniał zdolniejszych umysłów wyższemi o społeczności pojęciami, nie rozbudzał w nich szlachetniejszych popędów. Religia odpowiednią nauką niepoparta nie przenikała w głąb ducha, ograniczając się po większej części na zewnętrznych formułkach. U ówczesnego rycerza krzyż był w ręku, i słowo chrześciańskie na ustach, a w sercu wrzała dzika namiętność, z czynów przeglądał najsurowszy poganizm. Węzły pokrewieństwa u xiążąt nie stanowiły hamulca ich nieprzyjaźniom. Częstokroć im bliższe było to pokrewieństwo, z tem większą zaciekłością wzajem się prześladowali, nie wahając się łączyć z poganami przeciw chrześcianom i braciom. Zbrodnie zagęszczone były niesłychanie, a wszelką winę mniemano zgładzić w obec Boga nie poprawą moralną, 'ecz tylko prostym datkiem na kościoł. Rozpustni xiążęta szafowali w tej mierze nadaniami na rzecz duchownych, uwalniając ich dobra od wszelkich obowiązków publicznych, przez co obrona kraju, w owych czasach tak trudna, na coraz mniejszą ilość obywateli spadając, obarczała ich nieznośnymi ciężarami. We wszczętych z tego powodu między kapłanami a stanem świeckim sporach i walkach zanadto często uciekano się do oręża duchowego, do klątw, przez co powaga duchowieństwa niezmiernie ucierpiała, i stawało się coraz powszechniejszem, że nietylko wyroki w tej mierze biskupów, ale i stolicy apostolskiej lekceważono i z nich się natrząsano. Od xią-

żąt przenikały spory i do niższych warstw, waśniły się i prześladowały możniejsze w kraju rodziny, a lud od jednych i drugich podżegany stawał się igraszką ich namiętności.

Obaczmy szczegółowo niektóre czyny z wieku owego.

Podstępy Mieczysława Starego do usunięcia od tronu dzieci Kazimierza Sprawiedliwego zmierzające, jeszcze się w pierwsze lata tego wieku przeciągnęły. Kończy je w roku 1202 Mieczysława śmierć otwierając Leszkowi Białemu, starszemu Kazimierza synowi drogę do tronu; aliście staje mu na przeszkodzie zwada dwoch możnowładców, mianowicie zaś upór Mikołaja wojewody, który prywatnej swojej do Goworka niechęci rzecz publiczną poświęca. Siostrzeniec Kazimierza Sprawiedliwego, Roman Mścisławicz, przez ciotecznego brata swego Leszka Białego niedawno na tron w Haliczu posadzony, porywa się na swego dobroczyńcę, grozi jego państwu zagładą, i pada w bitwie pod Zawichostem. W Haliczu wichrzą możnowładcy, a między nimi najznakomitszy Władysław. Widokami korzyści osobistych kierowani kolejno to przyzywają na tron różnych xiążąt to ich ztrącają. Trzej z pomiędzy tych xiążąt: Świętosław, Roman i Rościsław mieli nieszczęście popaść jako jeńcy wojenni w niewolę. Umiano podburzyć przeciw nim lud. Przekupiona straż wydaje więźniów w ręce rozjątrzonego tłumu, który ich chwyta i wszystkich trzech w jednym dniu wiesza Mścisław Mścisławicz w imię braterstwa przez Leszka Białego do Halicza wezwany, wygania Węgrów i władzę tamże obejmuje, wkrótce powaśniwszy się z Leszkiem łączy się przeciw niemu z Połowcami, wchodzi z tem pogaństwem w sojusz i powinowactwo, pojmując w małżeństwo córkę hana połowieckiego, Kotiana. Z rycerza tedy chrześciańskiego pobratymem hord połowieckich zostawszy, bierze ich sprawę za swoją i występuje w jej obronie. Mieli podówczas z Połowcami wojnę wielką Mongołowie mszcząc się za klęskę dawniej im przez Połowców zadaną. Gdy się dowiedzieli, że Mścisław wszystkich xiążąt ruskich wezwawszy, idzie w pomoc Połowcom, wysłali do nich dziesięciu posłów, którzy mówili: „słyszymy, że wy omamieni przez Połowców idziecie na nas; lecz my niczem was nie obrazili. Nie wchodziliśmy nigdy do waszego kraju, nie zdobywali waszych miast,

ani wsi waszych. Chcemy tylko ukarać Połowców, którzy są równie naszymi jak i waszymi wrogami.“ Te rozsądne słowa nie poszły w posłuch xiążętom. Miłość własna podszepnęła im, że Mongołowie bardzo się ich ulękli i tchórzą. Poczęli się więc junaczyć: a jakby przez samo przyjazne zbliżenie się do pogan i duch pogański w nich wstąpił, rzucają się na bezbronnych posłów i okrutnie ich zabijają. Upomnieli ich raz jeszcze Mongołowie przez wysłane drugie poselstwo; lecz gdy i to nie skutkowało, stoczyli z nimi ostatnich dni maja 1224 roku nad rzeką Kałką wielką bitwę, w której tak Połowcy jak i Ruś zostali na głowę pobici. Nięszczęśliwi xiążęta ruscy musieli jeszcze patrzeć, jak ciż sami Połowcy, za którymi się oni ujmowali, napadali na pojedyncze oddziały ich wojsk, zabijali ich i obdzierali. Zwycięzcy ścigali niedobitków aż do Dniepru. Odtąd nawała Mongołów we wnętrzu swojem do żywego rozdrażniona wisiała jak bicz boży nad tymi tu krajami.

Charakterystyczne było podówczas postępowanie Jerzego Wszewołdowicza, wielkiego xięcia moskiewskiego, albo jak go podówczas nazywano: suzdalsko-włodzimierskiego. Uwiadomiony o zamierzonej wyprawie i do spółudziału zapraszany, pochwalał ją, obiecywał pomoc i z lekceważeniem mówił o potędze Mongołów. Tymczasem nie spieszył się wcale z posiłkami. Gdy już sprzymierzeńcy byli nad Kałką szedł z dala wojewoda jego z małym oddziałkiem dowiadując się pilnie, po której stronie zwycięztwo. Na pierwszą zaś wieść o klęsce Rusi wrócił czemprędzej do wielkiego xięcia i winszowano sobie, że bez narażenia życia i sławy wojennej uchroniono zarazem kraj swój od nieszczęścia, jakie innych dotknęło. Niedługa wszakże była ich radość. Mongołowie bowiem jakby na ukaranie takiego postępowania wyruszyli najpierw przeciw nim: zdobyli Rezań, zburzyli Moskwę, zdobyli następnie Włodzimierz nad Klazmą, potem Suzdal i inne grody a cały kraj okropnie spustoszyli. Zaledwie tedy kilka lat od bitwy owej nad Kałką upłynęło, a już wielcy xiążęta moskiewscy bili czołem hanom złotej Ordy.

W lat kilkanaście poźniej przeszli Mongołowie Dniepr, zdobyli i spustoszyli Kijów, Ładyżyn, Kamieniec, pomknęli się potem do Halicza i do Włodzimierza wołyńskiego wszystko w pe-

rzynę obracając. W roku 1240 nowemi siłami pokrzepieni puścili się w głąb Polski. Co tylko było wówczas szlachetniejszego i tchnęło prawdziwym duchem poświęcenia, wystąpiło tu do dania im odporu. Pod dowództwem Włodzimierza wojewody krakowskiego potykano się z nimi mężnie i nie bez pewnych powodzeń, najpierw pod Turskiem większem koło Połańca, następnie pod Chmielnikiem. Tursko szczególniej z powodu zadanej tam Mongołom klęski utkwiło mocno w ich pamięci i spomniane jest w ówczesnych rocznikach chińskich, które tę wyprawę opisują. Na ostatek z daleko większymi zastępami wojowników przeciw Mongołom wyruszywszy Henryk Pobożny syn Brodatego, stoczył z nimi na Dobrem polu niedaleko Lignicy dnia 9 kwietnia 1241 roku walną bitwę Zwycięztwa nad nim nie odniosł; poległ sam wraz z wielu walecznymi, ale mężnym oporem zrządził w wojsku Mongołów tak wielkie straty, iż obliczywszy je, poprzestali na spustoszeniu części Moraw, z resztą zaś zwrócili się do Węgier i o dalszym podboju Europy nie myśleli.

Klęski, jakie Mongołowie ojczyznie naszej zadali, były ogromne. Powtórzyli oni jeszcze raz i drugi w owym wieku swój napad, acz z mniejszą gwałtownością, a do zniszczeń zrządzonych orężem przyczyniały się jeszcze głód i zarazy morowe zwykle wyprawom takim towarzyszące. Wszakże nad sam widok gruzów i zgliszcz jakie, kwitnące niegdyś miasta nasze i wsie oczom teraz przedstawiały, nad wszelkie straty materyalne, nierównie więcej przerażający był widok upadku moralnego, w jakim się nasz naród znajdował. Mimo bowiem tak wielkich i tak powszechnych nieszczęść publicznych i nędzy w kraju, zwady i najazdy wzajemne xiążąt, zawiście i prześladowania się rodzin możniejszych ani na chwilę nie ustawały. Zastanawiającego się nad dziejami owego czasu uderza przedewszystkiem małoduszność, egoizm i brzydota moralna ludzi ówczesnych. Widoczna ona jest nie tylko w pojedynczych ich czynach z rodzaju tych, o jakich już nadmieniłem, ale nierównie wydatniej jeszcze w całkowitym charakterze niektórych znakomitszych swego wieku osobistości, których żywot cały jest jakby ciągłem pasmem wykroczeń i zdrożności wszel-

kiego rodzaju. Jednym z takich ciekawych typów swojego wieku jest Konrad I xiążę mazowiecki.

Lat 15 licząc napiera się u starszego brata swego, Leszka Białego, osobnych rządów. Znaleźli się, jak to zwykle w owych czasach bywało doradcy, którzy zachcianki młodzika powagą swoją poparli: i wydzielono mu Mazowsze, wraz z ziemiami dobrzyńską, kujawską i chełmińską. Właśnie ta część królestwa z dzikimi w pogaństwie jeszcze zostającymi ludami Prusaków, Litwinów, Żmudzinów i Jadźwingów granicząc, potrzebowała więcej, niż inne czujności ciągłej i silnej od ich napadów obrony, na jakie młodzika nie stawało. Zdarzyło szczęście, że znajdował się tam Krystyn sławny zwycięzca zpod Zawichostu, jeden z najbieglejszych wodzów swojego czasu, który był zarazem Konrada opiekunem. Odpierał on z wielkiem powodzeniem wszelkie na kraj napady i był postrachem okolicznych pogan. Ale Konrad nie znający granic w swych żądzach, a przytem dumny i popędliwy dopuszczał się raz po raz różnych zdrożności, i wyrządzał krzywdy swoim poddanym. Upomniany o to od opiekuna, postanowił pozbyć się go. Nie wiele nad tem myślał. Przyboczna straż xiążęca spada nocną porą na wieś Kowale, gdzie mieszkał Krystyn, chwyta go, oślepia i wtrąca do więzienia, gdzie wkrótce umarł. Oburzenie, jakie wiadomość o śmierci Krystyna u narodu wywołała, umiał przewrotny xiążę złagodzić rozpuszczeniem fałszywej wieści, jakoby Krystyn zamyślał o opanowaniu tronu. Jak tylko się wiadomość o tejże śmierci między pogaństwem rozniosła, rzuciło się ono ze wszech stron na Mazowsze i rozpoczęło straszne swoje łupieże. Wysłani przeciw nim wodzowie Bogusz i Arnold zostali pobici, żadnej więc nie było tamy w szerzeniu zniszczeń. W jednym z takich zagonów około roku 1220 Prusacy samych kościołów 250 spalili. Wkrótce zdobyli i spalili stolicę kraju, Płock. Konrad ucieka za Wisłę, kryje się po miejscach niedostępnych, to w Wiskitkach, to w Trojanowie przesiadując. Nakoniec gdy mu się ta włóczęga sprzykrzyła, zawarł z poganami umowę, obiecując złożyć im dań w koniach, rzędach bogatych i sukniach. Uiścił się z tego w sposób oryginalny. Ogłosił wielką ucztę, na którą wszystkich możniejszych w kraju

zaprosił. Gdy się zjechali, obdziera ich z szat, zabiera im konie i odsyła to wszystko Prusakom. Fortelem takim nie na długo mógł się uwolnić od napadów pogańskich; trzeba było myśleć o stałej od nich obronie. Próbował różnych środków, a gdy się te nie wiodły, sprowadził w końcu krzyżaków oddając im znaczną część swoich ziem: ci usadowiwszy się w nich stali się, jak wiadomo, jednem z największych nieszczęść, jakie kiedykolwiek naród nasz spotkało. W roku 1227 kiedy Leszek o ukróceniu Świętopełka wyłamującego się zpod jego władzy zamyślając, zwołał pamiętny zjazd do Gąsawy, zaproszon był od brata i Konrad, a postępował tam tak, iż jest wszelkie podobieństwo, że wiedział o zamiarze zbrodniczym Świętopełka, ale brata przed niebezpieczeństwem nie ostrzegł, spodziewając się po nim tron opanować. Jakoż jak tylko zabity został Leszek, spadł Konrad do Krakowa i zażądał, iżby mu tytułem opiekuństwa nad pięcioletnim Bolesławem Wstydliwym rządy kraju oddano Znany tam był za nadto jego gwałtowny charakter i okrucieństwa. Znalazłszy więc opór w tej mierze u matki małoletniego i u panów tamtejszych, rozpoczął o to wojnę zaciętą, którą toczył z małemi przerwami przez lat 20; toczył ją najprzód z Henrykiem Brodatym, potem z Władysławem Łysym, nakoniec z samymże Bolesławem Wstydliwym, używając do dopięcia celu swego najniegodziwszych środków. Pobity dwukrotnie od Henryka Brodatego w polu otwartem, zaczaił się z swą zemstą, rozesłał szpiegów, aby śledzili kroki Henryka i jemu o tem donosili. Upatrzywszy więc porę sposobną spada na modlącego się w kościele spytkowickim Henryka, chwyta go, uwozi do zamku Czerska i w więzieniu osadza. Poźniej pojednawszy się z Grzymisławą, wdową Leszka, i z małoletnim Bolesławem, zaprasza ich do siebie, a gdy przybyli, chwyta ich przemocą, odsyła do zamku Czerska i również w więzieniu osadza. Podobnymże sposobem gdy widział Krakowianów przychylniejszymi Henrykowi niż sobie, zwołał zjazd do Skalmierza celem naradzenia się nad sprawami publicznemi, a gdy się zjechali panowie uwięził ich i jako zakładników pod strażą do Mazowsza odesłał. Gdy to wszystko niewiele mu pomogło i miarkował, że się przy władzy utrzymać nie może, spro-

wadzał na Polskę kolejno Pomorzanów, Prusaków, Żmudzinów, Litwinów, Jadźwingów i innych pogan, nareszcie xiążąt ruskich Daniela i Wasilka i z nimi lubelską ziemię, sandomierskie, krakowskie i Szląsk okropnie pustoszył. Działo się to wtedy właśnie, gdy jeszcze kurzyły się świeże zgliszcza ręką Mongołów w ojczyznie naszej zażegnione. Między okrucieństwami tego xięcia pamiętna też jest śmierć Jana Czapli prałata płockiego, którego dla błahych jakichś podejrzeń zgładzić okrutnie kazał, a potem jeszcze pastwiono się nad jego trupem.

Podobne charaktery nie rzadko napotkać można u nas w owych czasach. Takim był między innymi Władysław Łysy, syn Henryka Pobożnego, zwany z powodu drapieżności swej i okrucieństw Rogatka. Podobny mu też był brat jego Konrad, tudzież Władysław Odonicz, nakoniec syn Mieczysława, Starego, Bolesław Laskonogi i inni.

W obec takich przykładów pochodzących od tych, których wysokie urodzenie na kierowników narodu przeznaczało, nie dziw, że coraz głębiej podupadał sam naród na duchu i moralności. Zdawało się, iż zbliża się już chwila ostatecznej jego zagłady. Wszelako nie dopuściła tego opatrzność. Po długim przeciągu lat, po doznaniu nieszczęść wszelkiego rodzaju poczęło zwolna ocucać się sumienie narodu, rozgrzewać poczucie braterskiej jedności, rozwidniać i rozpromieniać coraz jaśniej świadomość siebie, świadomość godności swojej, swoich przeznaczeń. W trzydzieści i dziewięć lat po zabiciu Leszka Białego, ten sam Świętopełk, który dla oderwania Pomorza od Polski nie wahał się temu xięciu śmierć zadać, zaklina synów swoich, aby nie zapominali, że są Polakami, aby się nie łączyli z obcymi przeciw braciom, lecz z Wielkopolską i jej xiążętami wszelkie losy podzielali. Syn jego Mestwin przekazuje testamentem ziemie swoje w dziedzictwie Przemysławowi wielkopolskiemu. Przemysław pan szerokich posiadłości podnosi myśl Bolesławów i każe się koronować królem polskim: znajduje na to zgodę u możnych, co dawniej byli za podziałami, a wszyscy biskupi polscy prócz biskupa kołobrzeskiego wkładają mu na głowę koronę. W nieszczęściach zahartowany Łokietek ściślej jeszcze spaja węzły narodowej jedności, syn zaś

jego Kazimierz Wielki dla ich utrwalenia zakłada ognisko oświaty w kraju, akademię krakowską, które przez długi czas całej północy przyświecało. Jednocześnie jakby palcem bożym z puszcz i lasów wyprowadzona Litwa rozpoczyna walkę na zabój z Mongołami, i łączy hołdujące im dotąd rozdrobnione xięstwa ruskie z sobą w jedno ciało. Gedymin teść Kazimierza Wielkiego zadaje cios ostatni Mongołom, a wnuczka tegoż Kazimierza Litwę z Polską w jedno potężne państwo jednoczy. Tak niedoścignionemi rozumem ludzkim drogami wiedzie zwykle opatrzność do swoich wysokich celów losy narodów tych, które się nie zaparły swojej przeszłości i umieją szanować swoją godność.

Obraz, z którego tu kilka rysów podałem, znajduje się obszernie, we wielkich rozmiarach skreślony w dziejach narodu. Smutny i nieponętny na pozór, przy uważnem jednak rozpatrywaniu obudzić może w rodakach i najżywsze zajęcie i największy przynieść dla narodu pożytek. Jakkolwiek nas bowiem już pięć wieków od tych zdarzeń oddziela, nie trudno jest przecież dostrzedz między owem a dzisiejszem narodu położeniem niejakie podobieństwo. I dziś podzieleni jesteśmy i rozdrobnieni. Jak wtedy płochością i nierządem Konrada w ziemiach naszych usadowiony zakon krzyżacki zadawał najdotkliwsze narodowości naszej ciosy, tak i dotąd je zadaje toż krzyżactwo w dzisiejszych Prusach odrodzone. Zmieniło ono pierwotne swoje powołanie, zmieniło swój stan zakonny na świecki, zmieniło imię swoje i religijne swoje wyznanie; ale nie zmieniło w niczem wrodzonej swej ku nam nienawiści, i z tą samą co dawniej przewrotnością narodowość naszą wytępia. Uzuchwalone świeżemi zwycięstwami w głos wypowiada i cel swój i swe zasady: oto spokojnie rozwijające się w Austryi narodowości do rokoszów zachęca, a depce i znieważa u siebie narodowość naszą, narodowość tę, której zachowanie i rozwój swobodny uroczyście traktatami przyrzekło; coraz głębiej w polską ziemię sięgając, pierwotnych jej posiadaczy wywłaszcza i zmienia oraz nazwiska osad, aby i ślad po nich nie został.

Większe jeszcze a również do dawnego podobne zagraża nam z innej strony niebezpieczeństwo. Czem bowiem w wieku XIII byli Mongołowie, tem jest dziś Moskwa kilkowiekową niewolą w

ich szkole wyćwiczona. Groźna Europie i mogąca kiedykolwiek ziścić zachodu obawy, cięży dziś przedewszystkiem na nas, których jak niegdyś nawała Mongołów całym ogromem swoim przygniata. Ale Mongołowie ludy podbijając wyciągali tylko dań od nich przez swych baskaków, narodowości, sumienia ich nie tykali. Moskwa wywłaszcza nas z ziemi, wydziera nam język, a w miejsce naszej wiary świętej podsuwa swoją, schizmą i wymysłami caryzmu spotworzoną. Jeśli podobna rozumowi ludzkiemu przeniknąć cel, jakiby miała opatrzność dopuszczając na nas zewsząd tak mnogie i tak wielkie niebezpieczeństwa, tedy nie wahałbym się powiedzieć, że chce ona, abyśmy narodowość naszą i wszystko, co się z nią łączy, gorętszą niżeli dotąd objęli miłością; chce abyśmy mocniej ukochali tę ziemię naszą a rządnością, pracą, oszczędnością tak się z nią silnie związali, iżby ją żadna moc ziemska wydrzeć nam nie zdołała; chce abyśmy silniej niż dotąd i nadewszystko ukochali nasz piękny język, abyśmy pracowali nad jego coraz większem udoskonaleniem, i skarby niepożyte nauk i umiejętności, jakie przodkowie nasi w tym języku złożyli, wszystkiemi siłami według dzisiejszych pojęć wzbogacali, a w pracach tych postępowali z taką wytrwałością i z takiem poświęceniem, jakie tylko święta wiara ojców naszych natchnąć i zagrzewać w nich zdolna. Ku temu mamy już właśnie ułatwienia: oto z łaski dobrotliwego monarchy stał się naszym udziałem samorząd, język polski zaprowadzony jest publicznie w szkołach, a jest nadzieja, że i w sądownictwie i administracyi zaprowadzon zostanie. Te i tym podobne rozporządzenia, jak o tem wątpić się nie godzi, natchnęła najjaśniejszemu monarsze taż sama opatrzność opiekująca się losami narodów. Korzystajmy tedy w sposób godny z tych dobrodziejstw, z tych łask, i przedewszystkiem roztrząśnijmy własne sumienie. Jest bowiem i ze względu na stan moralny, na wady i ułomności nasze między owym dawnym wiekiem a terazniejszością niejakie podobieństwo. Obcy nam jest ten duch chrześciański, braterski, jaki nas w dzisiejszem położeniu naszem jednoczyć i ku wyższym społeczeńskim celom zagrzewać powinien. Prywata, widoki osobiste są w czynnościach publicznych zwykłymi naszymi kierownikami. Dążymy do wyoso-

bnień, do odrębności, choćby takowe na błahych, podrzędnych tylko różnicach opierały się, choćby się w końcu okazało, że zaprowadzamy kastowość i oddzielenie stanu od stanu, i takiejto nierozsądnej robocie poświęcamy dobro ogółu. W oświacie przenosimy blichtr powierzchowny i dyletantyzm nad gruntowną naukę, ztąd pomącenie społecznych wyobrażeń staje się u nas powszechnem; ztąd wszelkie szlachetniejsze usiłowania u nas bywają paraliżowane i fałszywy biorą kierunek. Czujemy zwykle wstręt do cichej, wytrwałej pracy, wstręt do porządku i karności, a wszelkie od nich zboczenia, wszelkie choćby najnierozsądniejsze wybryki prędzej u ogółu pochwałę niż naganę znachodzą: tak więc płochość i lekkomyślność trwały u nas znachodzi podsyt i zachętę. Junactwo nierozmyślne uchodzi w wyobrażeniach wielu za bohatyrstwo; niesforność i swawolę chrzcimy najczęściej mianem wolności, nie pomni na to, że nic w dziejach narodów większej nie odnosi kary, nic tak wielkich i długoletnich nieszczęść na narody nie sprowadza, jak niesforność, bezrząd, swawola. Nauczeni smutnem doświadczeniem z dziejów własnych tych wad najwięcej wystrzegać się, i z nałogów takich najusilniej poprawiać się powinniśmy.

Wiele ważnych, nieprzewidzianych wypadków przesunęło się już przed naszemi oczyma, wiele nierównie ważniejszych jeszcze może wkrótce nastąpić. Do ich wielkości potrzeba odpowiedniego nastroju. Tylko duchowo podniesieni, uzacnieni moralnie, z dokładną znajomością tego co było, z trafnem ocenieniem obecności, możemy spokojnie i z ufnością w naszą przyszłość poglądać.



SPRAWOZDANIE

z czynności zakładu narodowego imienia Ossolińskich, czytane na posiedzeniu publicznem dnia 12 października 1867 roku przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego kuratora-zastępcę.

Witając was dostojni i szanowni goście zebranych w tak pożądanej liczbie, aby uczcić dzień pamięci założyciela tego zakładu poświęcony, nasuwa mi się mimowolnie porównanie czasów, kiedy taki udział i współczucie jest rzeczą naturalną i nierzadką, z onemi latami w początkach bieżącego wieku, kiedy Maxymilian Ossoliński rozmyślał nad założeniem tej instytucyi. I zaiste niełatwo wyobrazić sobie coś smutniejszego w każdym, a mianowicie w moralnym i naukowym względzie! My starsi wiekiem, którym one czasy żywo jeszcze stoją przed oczyma, możemy coś o nich powiedzieć. Kościół nasz w dawnej rzeczypospolitej zupełnej wolności używający, tak jak używa go dotąd w państwach najcywilizowańszych, w Anglii, Francyi, Belgii, północnej Ameryce a nawet w Prusiech, ten kościół, który wypiastował na swem łonie naród bohatyrski, pełen poświęcenia i cnót domowych i publicznych, został wciśniony józefińskimi przepisami w łoże Prokusta. Biskupom od najwyższej duchownej władzy odgrodzonym i niemal ze starostami obwodowymi zrównanym, owszem pod ich nawet policyjny nadzór postawionym odjęto wszelki wpływ na wychowanie nawet duchowieństwa; rzeczy sakramentalne n. p. małżeństwo, a po części nawet kościelne i rytualne określono przepisami w duchu nauce katolickiej wbrew przeciwnym, powstało jakieś **austryackie** prawo kanoniczne, i uczono teolo-

gii z dzieł od kościoła odrzuconych. Całe zresztą wychowanie nosiło cechę dążącą do wynarodowienia i do moralnego, że tak powiem przytłumienia, bo o to wtedy jedynie chodziło, aby mieć milczących i lojalnych poddanych, płacących regularnie podatki i dających rekruta, jak w gospodarstwie inwentarz służy do uprawy pól i przysporzenia dochodu.

Kiedy w Warszawie i w Krakowie powstawały Towarzystwa przyjaciół nauk, kiedy w Wilnie kwitnęła akademia umiejętności, kiedy nawet w Krzemieńcu rozniecał wiekopomny Tadeusz Czacki prywatnemi siłami pochodnię oświaty; w tym kraju była poczytana historya naszego narodu za przedmiot niebezpieczny, mogący naprowadzić niebaczne głowy na zgubne manowce: jakoż nie ukazało się tu przez lat może sześćdziesiąt żadne dzieło historyczne. O naszej literaturze można było dowiedzieć się tylko z dzieł w Warszawie lub w Wilnie wychodzących. Język nasz wyrugowany z zakresu nauk, tak został skażony, że nie wiedzieć czy śmiać się czy płakać należy czytając ówczesne gazety i rzadkie a jałowe druki, lub nawet listy pisane od osób liczących się do oświeceńszych warstw społeczeństwa. Bo też pisano jak mówiono, a duch, tok i składnia języka i samo nawet właściwe znaczenie wyrazów, nosiły piętno germanizmów i galicyzmów, a pisownia przedstawiała tak osobliwą mozajkę, że możnaby ją dziś jako *curiosum* na każdą posłać wystawę.

To co dobrego z owych czasów pozostało jak pisma Fredry, Kamińskiego i kilku innych było płodem osobistych wyjątkowych usiłowań; bo też kto sam, przy sprzyjających mu wyjątkowo okolicznościach i usilnej pracy, a miłością ojczyzny zagrzany, nie zdobył sobie wiedzy przebojem i że tak powiem ukradkiem przy nocnej lampie, ten nie wychodził z onego zaklętego i chińskim murem obwarowanego koła.

W takich to czasach, o których zaiste nie w krótkiem przemówieniu wspominać, ale tomy pisaćby można, umyślił wielki obywatel Ossoliński założyć instytucyę, któraby rzuciła ożywczą iskrę w tę długoletnią i gęstą pomrokę, którąby, będąc składem pomników narodowych i płodów umysłowych trzech ubiegłych a wysoce wykształconych u nas wieków, otworzyła oczy na stan ów-

czesny i podała każdemu sposobność zaczerpnięcia wiadomości, które z otaczającej go atmosfery dawno już były wyrugowane.

Kiedy więc Ossoliński kreślił sam dzieła będące pod względem głębokich badań języka a często i krytycznego sądu wzorami dla współczesnych i potomnych, kiedy jego głównie wpływ wyjednał w trzecim dopiero dziesiątku lat tego wieku katedrę polskiej literatury na lwowskiej wszechnicy, która znów w kilka lat upadła, poświęcał oraz życie, zdrowie i całe mienie na utworzenie tego Zakładu i nie spoczął w grobie, aż przysposobił wszys tko do uskutecznienia tego zamiaru, który wierni woli jego wykonawcy w życie wprowadzili. A jeżeli to dzieło miało w ówczas nieocenioną doniosłość, toć jest i teraz i będzie zawsze ważną dla narodu puścizną. Bo chociaż dziś, dzięki naszemu a tak szczytnemu zapatrywaniu się panującego nam szczęśliwie i łaskawie monarchy na zadanie najwyższej władzy i stosunek rządu do rządzonych, rozbudza się publiczne życie, chociaż przyznano nam wreszcie wieloletność, z to co było niegdyś miane za zdrożność, jest poczytane za zasługę, chociaż widzimy otwarte szerokie pole do rozwinięcia przyrodzonych zdolności i praw, i rozpoczyna się nowa era w wychowaniu publicznem, lubo dał nam monarcha namiestnika, co niemniej przywiązany do tronu jak do rodzinnej ziemi i niemniej dbały o całość państwa, jak o moralne zdrowie i pomyślność poruczonej mu prowincyi, umiał sobie pozyskać równe z góry jak z dołu zaufanie: toć zawsze główną dźwignią do osiągnienia lepszej przyszłości może być tylko dokładna znajomość przeszłości i tej puścizny, jaką nam ojcowie nasi przekazali, gdyż nie na powietrzu, ale na istniejącym już gruncie gmachy budują, i nie z luźnej jakiejś latorośli, ale z pnia wykłuwają się i rozwijają gałęzie mogące obdarzyć owocem. Jakkolwiek więc ten zakład nie jest ani szkołą ani akademią, ma przecież swe właściwe obok nich znaczenie, bo i jednej i drugiej podaje rękę i jest dla jednej i drugiej arsenałem, gdzie potrzebne dla swych zadań zasoby znaleść mogą: i tak też go pojmować należy, nie wymagając od niego rzeczy, do których go statuta założyciela nie powołały. Ale i nie mniejszą dla tego ma być nasza dla Ossolińskiego wdzięczność, i dzień ten jego szczególnie pamięci poświę-

cony nie jest obojętnym nikomu, kogo tylko rzeczy narodowe i naukowe obchodzą.

Nie zbywało nam też i w roku bieżącym na mnogich tego dowodach, a będzie zawsze naszym obowiązkiem wymieniać z wdzięcznością imiona instytucyj i osób, które wsparły nas darami lub innemi przysługami.

Do tych liczymy najprzód: Główną szkołę warszawską, Towarzystwo historyczno literackie w Paryżu, krakowskie i poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk, galicyjskie Towarzystwo gospodarskie, petersburską akademię nauk i archeologiczną komisyę, serbskie w Zagrzebiu Towarzystwo uczonych i szanowne redakcye: Biblioteki warszawskiej, Przeglądu polskiego i Kaliny w Krakowie.

Xiążę Roman Sanguszko, panowie: Michał Giżycki, Alexan der Przezdziecki, senator Romuald Hube, margrabia de Noailles z Paryża, Kazimierz Stadnicki, Kazimierz Wodzicki, Leon Chrzanowski, Leon Zbyszewski, Władysław Chomętowski, Antoni Sozański, Jan Towarnicki, Józef Szujski, Ambroży Grabowski, profesorowie: Antoni Małecki i Papłoński, xięża: Antoni Pietruszewicz, Antoni Załuski i Jan Drozdziewicz, panie Dyzma Lityńska i Domaradzka, doktor Michał Zieleniewski i panowie Bronisław Zamorski, Karol Forster, Karol Piotrowski, Zygmunt Kozłowski, Felix Szumlański, Antoni Grabowicz, Bolesław Baranowski, Stefan Łoziński, Stanisław Kunasiewicz, August Wrześniowski i kapitan Karol Strasser, złożyli tu albo dzieła i utwory własne, albo inne cenne upominki, xiądz Jakub Kierszka, proboszcz obrządku łacińskiego w Podhajcach, wyrząda nam ciągłe znakomite usługi bądź bezinteresownem nadzorowaniem lasu funduszowego, bądź wykonaniem budowy leśniczówki tamże. Do miłych i zaszczytnych wspomnień należy policzyć także ów dzień, kiedy raczył zwiedzić ten zakład jego cesarzewiczowska wysokość arcyxiążę Albrecht, co w rzadkiem zespoleniu posiada przy głośnym w Europie geniuszu wodza niezwykłe znawstwo i zamiłowanie w rzeczach naukowych i artystycznych.

Rachunki za rok 1865 świetnemu wydziałowi krajowemu złożone, otrzymały jak i poprzednie pożądane *absolutorium*, a 24 czerwca r. b. złożono rachunki za rok 1866. Z tych wynika, że majątek zakładowy wynosił wtedy 49.230 złr. w efektach, a 456.781 „ 62 kr. w wartościach zbiorów i gotowiznie.

Z tego przypada:

Na fundusz biblioteczny .	431.032 złr.	87½	kr.	
„ „ rezerwowy . .	33.583 „	20	„	w efektach, a
	14.345 „	45	„	w gotowiznie
„ „ stypendyjny .	4 266 „	40	„	w efektach, a
	1.717 „	67	„	w gotowiznie
„ „ zapasowy . .	6.700 „	—	„	w efektach
„ „ Alexandra Stadnickiego				
	2.780 „	—	„	w efektach, a
	2.357 „	58	„	w gotówce
„ złożone kaucye dzierzawców	1.900 „	—	„	w efektach
„ należytość xięcia Jerzego Lubomirskiego				
	7.328 „	4½	„	w gotowiznie.

Prócz dochodów z dóbr i funduszów bibliotecznych regularnie wpływających, z wyłączeniem niektórych z zapisów Brodzkiego, Pawlikowskiego i Kopestyńskiego zaległości, obecnie już znacznie umniejszonych, otrzymał zakład w ciągu roku 1866:

a) Ze sprzedaży pisma „Biblioteka Ossolińskich	314 złr.	10 kr.
b) Ze sprzedaży Słownika Lindego (którego liczne także exemplarze użyto na korzystne zamiany za rękopisma lub cenne dzieła) .	434 „	62 „
c) Za dzieła dawnego nakładu	14 „	15 „
d) „ dublety	4 „	— „
razem .	766 złr.	87 kr.

Z powyższych zaś i ogólnych dochodów wydano (po potrąceniu kosztów administracyjnych) na cele naukowe i zbiory, sumy następujące:

1. Na przykupienie i oprawę dzieł bibliotecznych	3.909	złr.	92 kr.
2. „ wydawnictwo „Biblioteki Ossolińskich“ .	1.971	„	26 „
3. „ przykupno medalów i monet	47	„	— „
4. „ „ obrazów i rycin	31	„	10 „
5. „ „ sprzętów biórowych i bibliotecznych	224	„	37 „
Ogółem więc . .	6.183	złr.	65 kr.

Gdy powołany do kuratoryi ekonomicznej pan Antoni Broniewski po uzyskaniu wieloletności został w początkach bieżącego roku zaprzysiężony w tym charakterze, odbył się w myśl §. 5 ustawy dodatkowej z dnia 15 stycznia 1824 w sierpniu r. b. przepisany peryodyczny podział funduszu rezerwowego (który po raz ostatni w roku 1842 nastąpił) między biblioteką a kuratorem ekonomicznym w taki od świetnego wydziału krajowego wskazany sposób: że z obliczonego od roku 1842 nadrostku rzeczonego funduszu w ogólnej sumie 22.541 złr. 87 kr., wydano kuratorowi ekonomicznemu na wskazane statutami polepszenie funduszu ekonomicznego jedną trzecią część to jest 7.513 złr. 95$^1/_2$ kr. a resztujące dwie trzecie w ilości 15.027 złr. 91$^1/_2$ kr. odłożono na rachunek wydatków ustanowienia literackiego. Gdy w obec zbliżającego się terminu do wspomnionego rozdziału należało w tym celu uzupełnić fundusz rezerwowy i sam świetny wydział krajowy polecił kuratoryi obracać na ten cel wszelką rozrządzalną gotówkę musiano zawiesić na jakiś czas nader kosztowne a bardzo mało przynoszące wydawnictwo Biblioteki Ossolińskich, po ogłoszeniu tomu dziewiątego. Z tem większą wszakże skwapliwością i niezrażeni zbyt małą liczbą prenumeratorów rozpoczniemy niebawem druk tomu dziesiątego, a gdy rękopisma doń przygotowane nie ustępują w niczem co do ważności i rozmaitości przedmiotów poprzednio wydanym, śmiem tuszyć sobie, że wykształcona publiczność nie omieszka popierać tego pisma, dając tem samem dowód, że nie jest zbytecznem, i że samo szanowne zgromadzenie uczci własnym w tym względzie przykładem pamiątkę dzisiejszego zebrania.

Pragnąc zaś podawać wszędzie rękę celom naukowym, udzie-

laliśmy sami chętnie exemplarze dzieł własnego nakładu bibliotekom i czytelnikom krajowym. I tak otrzymały takowe w roku bieżącym gimnazyalna biblioteka w Tarnopolu, czytelnia akademicka we Lwowie i w Krakowie, niemniej czytelnia miejska w Sanoku.

Na żądanie także Towarzystwa naukowego krakowskiego ofiarowaliśmy onemuż dla zasilenia jego biblioteki 80 dzieł z dubletów i trypletów, a otrzymaliśmy za nie kilka cennych przedmiotów muzealnych, mianowicie odlewy 10 gipsowych popiersi wielkości naturalnej, będących kopiami artystycznie zdjętemi z pomników na Wawelu, a przedstawiających Władysława Łokietka, Kazimierza Wielkiego, Władysława Jagiełłę, Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta, Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta, Anny Jagiellonki, Stefana Batorego i Jana III.

Nierównie ważniejszym atoli nabytkiem jest znakomity zbiór owadów, motylów, konch morskich i kolibrów ogółem blisko 9000 sztuk wynoszący, który raczył odstąpić nam znany zaszczytnie w kraju i za granicą członek kilku uczonych towarzystw pan Stanisław Konstanty Pietruski z Podhorodec, jako owoc długoletnich zabiegów i wielkich nakładów. A jeżeli dodamy, że zbiór ten najlepiej zachowany i od zepsucia obwarowany, a porządnym katalogiem objęty, mieści nie tylko okazy ze wszystkich części świata, ale i nie mało rzadkich krajowych, to zaliczymy ten nabytek do najszczęśliwszych, jakie nam się od wielu lat uskutecznić zdarzyło, i powiemy, że dział ten umiejętności dotąd nader słabo w zakładzie zastąpiony, do niepośledniego teraz wzbił się znaczenia.

Mając na oku korzyść uczącej się młodzieży i samego nawet zakładu, wznowiliśmy na dniu 10 grudnia 1866 u wysokiego sejmu krajowego prośbę, jeszcze w grudniu 1865 zaniesioną o wyjednanie u wysokiego c. k. rządu wyłącznego dla zakładu prawa druku i przedaży xiążek dla szkół ludowych w polskim języku przepisanych. A lubo wysoki sejm raczył przychylić się, do tego żądania, otrzymaliśmy przecież 15 czerwca r. b. uwiadomienie, że wysokie c. k. ministeryum wyznań i oświecenia nie może w tej mierze odstąpić od odmownej odpowiedzi, którą dało w roku 1864 na pierwotną od zakładu doń wystosowaną prośbę.

Między pracami w ciągu roku tego dokonanemi wspomnę ukończenie inwentarza nabytej biblioteki ormiańskiej, z którego się okazuje, że przybyło nam z nią dzieł 2.661 w 4.208 tomach, rzeczy po największej części pełnych wartości we wszystkich niemal językach.

Spisano także inwentarz polskich monet, który dotąd kartkowy tylko miały katalog, obejmujący sztuk 1.635.

Co do obecnego stanu pojedynczych zbiorów, to posiadamy w tej chwili:

Rękopismów	1.796	w tym roku przybyło	19
Dzieł drukowanych . . .	57.415	" " " "	2.536
Prób druku	4.215	" " " "	273
Rycin	6.153	" " " "	148
Autografów	2.440	" " " "	7
Dyplomów	351	" " " "	3
Rzeczy muzealnych . . .	1.035	" " " "	21
Obrazów	429	" " " "	5
Map i planów	464	" " " "	7
Medalów polskich	568	" " " "	1
Monet "	1.635	" " " "	12
Obcych medalów i monet około	8.240	" " " "	—
Konchiliów	2.250	" " " "	około 600
Skał i minerałów	1.199	" " " "	—
Fotografij, podobizn, chromolitografij, kalków . .	46	" " " "	2
Rozmaitości z nauk przyrodniczych	50	" " " "	—

Między nowo nabytymi rękopismami zasługuje na szczególniejszą wzmiankę:

1. Żup krakowskich czyli salin wielickich i bocheńskich początki od roku 1334.

2. Roczniki z lat 1560—1593 przez wychowańca i sługę Zygmunta Augusta pisane.

3. Zbiór pism rozmaitych z czasów sejmu czteroletniego (1788—1792).

4. Juliusza Słowackiego pism niewydanych własnoręcznych ułamki, dar profesora Małeckiego.

Między autografami:

1. List Jana III pisany z Żółkwi 29 stycznia 1686 roku w języku włoskim do margrabiego Alexandra Santi, tudzież

2. List Trembeckiego.

Między dyplomami: Przywilej Alexandra Jagiellończyka króla z roku 1503 z własnoręcznym jego podpisem.

Między dziełami:

1. Erazma Roterdamczyka „Hyperaspister“, dedykowany biskupowi krakowskiemu Tomickiemu i drukowany w Krakowie 1526 roku.

2. Walentego z Poznania (Wróbla) »*Propugnaculum ecclesiae catholicae*«. *Lipsiae* 1536 roku.

3. Skargi „Bractwo miłosierdzia“, wydanie krakowskie z 1653 roku.

4. Kwintusa Kurcyusza przekład Wargockiego, wydanie krakowskie z 1618 roku.

5. Andrzeja Maxymiliana Fredry »*Scriptorum seu togae et belli notationum fragmenta* w Gdańsku 1660.

Między rycinami zasługuje na wzmiankę:

Album Grotgera „Wieczory zimowe“ i

Album Wyspiańskiego, mieszczące fotografowane widoki Pienin i Krynicy.

Przy tej sposobności godzi się wspomnieć, że pan Nemezy Mocek malarz krajobrazowy z Poznania, który odbył dalekie podróże po Europie i innych częściach świata zdejmował w ciągu lata widoki Czorsztyna, Nidzicy, Czerwonego klasztoru, Pienin i wielkie a z niemałym talentem wygotował kartony, które wkrótce ogłosić zamyśla.

Niech mi też będzie wolno zwrócić tu uwagę naszych literatów, naturalistów i geologów na okoliczność, że jakkolwiek wydano już parę opisów tych prześlicznych części kraju naszego, żaden z nich nie odpowiada zupełnie wymaganiom obecnego czasu. Nie posiadamy ani dokładnej mapy Tatrów, ani wiernego oznaczenia wysokości pojedynczych szczytów, ani wyczerpującego

obrazu fauny i flory tatrzańskiej, ani zbioru ciekawych i zabawnych legend przywiązanych do tej lub owej miejscowości. Osoby tam osiadłe i bliżej z tymi szczegółami obeznane, wyrażały mi tam nie dawno swe zdziwienie, wytykając błędy i usterki w dotychczasowych, najczęściej tylko poetycznych i podróżniczo-dorywczych opisach, w oczy bijące. Kiedy więc za granicą nie ma ciekawego miejsca, któreby nie było już dawno piórem i pendzlem skreślone, kiedy baczność uczonych i artystów wyczerpała tam już prawie przedmioty często mniej nawet godne uwagi, godziłoby się, aby u nas skojarzyło się w ciągu pogodnego lata towarzystwo ludzi fachowych i poświęciło jeden i drugi miesiąc na wszechstronny i wszelkim wymaganiom odpowiadający opis tych czarownych okolic, które każdemu nawet, co zwiedził Alpy, brzegi Renu, saską Szwajcaryę i Pireneje, uderzające i nowe a do tego swojskie i dziejowemi wspomnieniami napełnione przedstawiają rzeczy. Byłbym szczęśliwym, gdyby ta odezwa nie została bez skutku i zbogaciła naszą literaturę dziełem, które pewnie i publiczności i samym autorom nie małe przyniosłoby korzyści.

Wspomnę tu jeszcze, że otrzymaliśmy z daru pani Dyzmy Lityńskiej drzwi od komnaty królowej w Olesku, które odpowiednio odnowione będą stanowić piękny dla muzeum naszego przybytek.

Galeryę obrazów zbogaciły kopie czterech starodawnych w zbiorze pana Mieczysława Pawlikowskjego przechowanych na drzewie malowanych obrazów, przedstawiających męczeństwo św. Stanisława biskupa, które już na tutejszej wystawie w roku 1862 znawcy z zajęciem oglądali.

Niemniej też miłym nabytkiem jest portret czcigodnej przełożonej bazylianki matki Makryny Mieczysławskiej, która dużo od szyzmy wycierpiawszy i z ojczyzny wygnana obecnie w Rzymie przebywa i już od Juliusza Słowackiego została opiewaną.

Z prawdziwem nakoniec zadowoleniem mogę tu wykazać, że czytelnia nasza w żadnym jeszcze roku nie była tak uczęszczana jak w ciągu ostatniego.

Było bowiem:

W drugiej połowie października	1866	czytających	. . .	539
w listopadzie	„	„	. . .	1395
„ grudniu	„	„	. . .	1161
„ styczniu	1867	„	. . .	1694
„ lutym	„	„	. . .	1529
„ marcu	„	„	. . .	1557
„ kwietniu	„	„	. . .	992
„ maju	„	„	. . .	747
„ czerwcu	„	„	. . .	851
„ lipcu	„	„	. . .	282
od 18 września	„	„	. . .	637
w październiku dotąd	„	„	. . .	449
	Czyli razem czytających		. . .	11.837

co po strąceniu całego sierpnia i połowy września, kiedy czytelnia była zamkniętą, tudzież dni niedzielnych i świątecznych, wykazuje 49 czytelników dziennie, kiedy w latach ubiegłych największa ich liczba przeciętna tylko do 44 dochodziła.



PRZEMÓWIENIE

Augusta Bielowskiego, zastępcy dyrektora na temże posiedzeniu.

Ważne, wielkiego znaczenia dobrodziejstwa stały się naszym udziałem: mamy dziś większy niż kiedykolwiek wpływ na sprawy społeczne, na wewnętrzne kraju urządzenia, a język nasz ojczysty zaprowadzony jest we wszystkich szkołach publicznych aż po klasy uniwersytetu. Pierwsze daje nam możność zaradzenia w sposób najwłaściwszy naszym naglejszym potrzebom w podniesieniu bytu materyalnego; drugi otwiera młodzieży naszej prostszą, łatwiejszą drogę do nauk, do gruntownego narodowego ukształcenia. Większy lub mniejszy skutek tych dobroczynnych rozporządzeń zależy od rostropnego ich zużytkowania. Im jaśniej pojmiemy cel ich i znaczenie, im większej usilności ku temu dołożym z naszej strony, tem zbawienniejsze będą dla nas; w przeciwnym razie stać-by się mogło, iżby były bezowocnemi te równie mądre jak sprawiedliwe rozporządzenia.

Bardzo często się zdarza, że nie uwzględniany należycie, a niekiedy zupełnie zapoznany bywa stosunek właściwy, jaki zachodzi między myślą człowieka a czynem, między pracą umysłową a fizyczną, między oświatą i ukształceniem narodu a politycznemi jego zdarzeniami. Myśl jest właściwie twórczynią czynu, ona to w ostatecznym swoim rozwoju, w obliczeniach swoich ścisłych zdolna jest jedynie zapewnić skuteczność i trwałość czynowi. Nauki, oświata narodu, jako wynik zbiorowy tych myśli, jako ognisko, z którego wszystkie czynności narodu na los jego wpłynąć mogą-

ce brać mają swój początek, powinna być przedmiotem największej troskliwości każdego społeczeństwa, każdego rządu Nieuwzględnianie należyte tej głównej potrzeby, lekceważenie nauk tak indywiduom jak społecznościom nie uchodzi bezkarnie. Świeże zdarzenia, na któreśmy patrzali, okazały najwyraźniej, jak wątła jest surowa siła materyalna odpowiednią potęgą umysłową nie wsparta. Skruszona ona została w niewielu dniach, a długie lata, nadzwyczajne wysilenia i najszczęśliwszy zbieg okoliczności zaledwie są w stanie naprawić to złe, jakie wypadkami tymi wyrządzono. Jeżeli wielkie organizmy, jeżeli państwa najzupełniejszej nipodległości używające tak smutnych z tego względu następstw doznają, o ileż baczniejszym na to, o ile roztropniejszym w swojem postępowaniu winien być naród, który nie ma niepodległości, który się o swój byt, o swoje odwieczne, przyrodzone prawa upomina? Jego uchybienia, jego błędy daleko smutniejsze pociągnąć za sobą mogą następstwa.

Boski początek ma bez wątpienia tak myśl wyższa w człowieku, jak i oświata narodu; ale w cząstkowem swojem umysłom ludzkim udzielaniu się, w swoim rozwoju przechodzi ona pewne stopnie i nie jednakie robi wrażenia. Jak promień słoneczny rozmaicie o przedmioty ziemskie łamiąc się uderza zmysły grą kolorów i sprawia złudę optyczną, nim się najczystszem światłem rozleje, podobnej złudy doznaje i umysł ludzki w pierwocinach swego działania. Pierwsze zabłyski myśli rozbudzają we wrażliwych, młodocianych umysłach pewną zarozumiałość, która nie dozwala obejrzeć we właściwem świetle otaczające ich przedmioty i prowadzi do lekceważenia. Podobnież ma się rzecz z niedojrzałemi w oświacie społecznościami. Postępki, rzuty człowieka, który powierzchownie gdzieniegdzie tylko z nauk pochwytał, bywają często najniedorzeczniejsze, a społeczność, a naród, który z grubszego barbarzyństwa otarł się, ale do oświaty nie doszedł bywa w czynnościach swoich najdzikszy. Widomy przykład tego mamy na dzisiejszej Rosyi. Dopiero dłuższa uprawa nauk, zgłębienie ich i przetrawienie w sobie nadaje prawdziwą siłę umysłom i rozpromienia je: czyni tak względem siebie jak względem drugich sprawiedliwymi, rozbudza w społeczeństwie szlachetniejsze popędy i narody

całe moralnie podnosząc i uzacniając, udowadnia boskie oświaty pochodzenie. Życzyćby należało jak najgoręcej, iżby te dobroczynne rozporządzenia, te instytucye, jakie są naszym udziałem, miały ten skutek, iżbyśmy na pozornej, powierzchownej, połowicznej oświacie nie przestawali, ale język ojczysty i wszystko, co narodowości naszej tyczy się, gorąco umiłowawszy, z równemże zamiłowaniem oddawali się gruntownej i wszechstronnej nauce. Kiedy bardzo wielka część naszych braci nieprzyjaznymi oświacie i narodowości naszej ukazami cara na ciemnotę, nieuctwo lub wieczny dyletantyzm zostaje skazana, jest więc nie tylko potrzebą, ale i obowiązkiem tych, co mają wszelkie ku temu ułatwienia: liczne i zamożne w najrzadsze dzieła biblioteki otwarte dla powszechnego użytku, znaczne pomoce materyalne w mnogich fundacyach stypendyjnych, zachętę nakoniec od swoich przełożonych i władz wyższych, iżby ci mówię, gruntowność wykształcenia się za cel sobie wytknęli i dążyli ku niemu wszystkiemi siłami. Jakikolwiek zawód, jakąkolwiek gałąź wiedzy ludzkiej sobie kto obrał, czy to z umiejętności ścisłych, czy z nauk, czy z umnictwa, niech się stara w zawodzie swoim posuwać do coraz większej doskonałości, bo nie dorywczem, sporadycznem tej lub owej gałęzi nauk oddawaniem się, ale tylko usilną i wytrwałą pracą zbiorową wyrabia się to, co stanowi duchową narodu potęgę: zmysł bystry w załatwianiu spraw społecznych, wytrawność naukowa i polityczna narodu dojrzałość.

W oświacie narodowej niepospolite miejsce zajmują dzieje ojczyste. Znać je jak najdokładniej i z przykładów dawnych pouczać się jest powinnością każdego rodaka. Dotychczasowe ich opracowania wiele jeszcze do życzenia zostawiają. Dla zrobienia w nich należytego postępu koniecznem okazało się zebranie przedewszystkiem dokładne ich pomników, jakie ocalały, objaśnienie ich i wydanie. Część ich jedną, obejmującą źródła od czasów najdawniejszych aż do XII wieku, wydałem przed parą laty; obecnie zajmują mię dalsze pomniki z wieku XII i następnych.

Krainy nadbałtyckie, w których dawniej krzyżactwo a dziś Prusacy z takiem urąganiem naszej narodowości rozpościerają się, były, jak wiadomo, dawniej rdzenną częścią naszej ojczyzny.

Pierwsi nasi królowie pod swe berło owych braci naszych zajmując starali się przedewszystkiem o ich oświatę, która się wówczas w religii chrześciańskiej i jej przedstawicielach koncentrowała: wysyłali więc ze swego dworu licznych w krainy owe nauczycieli i apostołów. W X wieku szedł tam Wojciech z bratem swoim Radymem i Boguszą, w XI Bruno, w XII Bernard i Otto. Żywoty tych świątobliwych mężów przez spółczesnych skreślone są zarazem ważnem źródłem dla ówczesnych naszych dziejów. To co dwoch pierwszych apostołów tyczy się, ogłosiłem już w tomie I Pomników Polski; tu pragnę zająć uwagę szanownej publiczności wiadomościami o dwoch ostatnich."

W tem miejscu odczytał mowca artykuł swój pod napisem: „Święty Otto i jego żywociarze", który będzie umieszczony w tomie drugim Pomników dziejowych Polski.

Po odczytaniu artykułu tego wystąpił pan Xawery Godebski, zastępca kustosza i zajął uwagę publiczności rosprawą swoją pod napisem: „Reformy społeczne w Polsce pod koniec XVIII wieku." W obszernej tej rosprawie autor założył sobie wykazać myśl główną, jaka przewodniczyła czynnościom czteroletniego sejmu. Zaczął od treściwego wyłuszczenia reform zaprowadzonych w skarbie i w edukacyi publicznej, przechodząc następnie do głównego swego założenia mówi między innemi: „Gdzie indziej, to jest wszędzie prawie za granicami Polski najbardziej zaś ku zachodowi masy zdobywały sobie przemocą prawo obywatelstwa, niwecząc stan jeden albo i stany, które je posiadały wyłącznie. We Francyi na przykład masa rzuca się na przywilej i maże go krwią kasty zamkniętej w sobie jak monada, warownej jak twierdza. W Polsce działo się przeciwnie: tu bowiem nie było muru chińskiego między szlachcicem a kmieciem; owszem z łatwością kmieć stawał się szlachcicem: przez zasługę w sprawie publicznej położoną nabywał on wszelkich praw z tym stanem połączonych. Szlachcic polski nie był to francuski, angielski, lub też niemiecki szlachcic. Tam do pojęcia szlachcica przywiązywało się znaczenie jakiegoś państwa; u nas szlachcicem był każdy

człowiek wolny, zajmujący się pracą i służbą publiczną. Byłto wyrób czysto polski, położeniem naszego kraju, koniecznością obrony jego utworzony. Indziej zasadą było: *noblesse oblige*, lecz sumieniu obywatela zostawiało się spełniać lub nie spełniać zasadę. W jednej Polsce szlachcic z obowiązku musiał być szlachetnym ciągle i poświęconym ojczyznie. W przeciwnym razie utracał szlachectwo i trzeba było je odnawiać, to jest dosługiwać się go na nowo. Z tego powodu mówi Wacław Potocki:

Trudno przeć, że tak stary statut postanowił,
Kto do czwartego herbu swego nie odnowił
Pokolenia, tracił go i już był ostatnim
Szlachcicem, ani się mógł herbem pisać bratnim."

Zestawiwszy w silnie narysowanych kontrastach różnice, jaka między szlachtą polską a szlachtą w innych krajach zachodziła, zwrócił autor uwagę na charakter naszego narodu: podniósł jako najpiękniejszy rys jego malujący się dobitnie w tem, że uznawszy potrzebę konieczną zmian w społeczeństwie, nie chwytał się środków gwałtownych prowadzących do celu z pokrzywdzeniem któregokolwiek stanu, nie wyzuwał szlachty z praw słusznie przez jej przodków lub przez nią samą nabytych: lecz przypuszczając zwolna coraz w większej liczbie do tychże samych praw mieszczaństwo i wieśniaków dążył drogą uczciwą do złączenia wszystkich stanów węzłem najściślejszego braterstwa.

Jakkolwiek czytanie rosprawy tej dość długo trwało, słuchała wszelako autora publiczność z jednakiem natężeniem, a w końcu obsypała rzęsnymi oklaskami.



SPOMNIENIE O KAROLU SZAJNOSZE.

Dnia 10 stycznia roku bieżącego umarł Karol Szajnocha, znakomity polski historyk. Urodzony roku 1818 w Komarnie, obwodzie samborskim z ojca Wacława i matki Maryi z Łozińskich uczęszczał od roku 1829 do szkół gimnazyalnych w Samborze, poźniej we Lwowie. W roku 1836 jako słuchacz 1 roku filozofii uwięziony z powodów politycznych i skazany przesiedział w więzieniu blisko dwoch lat. W roku 1853 mianowano go zastępcą kustosza w zakładzie narodowym imienia Ossolińskich. Przyjęte obowiązki pełnił z wzorową pilnością przez pięć następnych lat, aż z powodu zupełnego ociemnienia uwolniony został z dniem 1 lutego roku 1858 od tychże obowiązków z pozostawieniem mu połowy pensyi. Odtąd ciągle jeszcze w zawodzie dziejów ojczystych przy pomocy lektora i pisarza pracował, dopokąd mu sił starczyło. Pogrzeb jego odbył się dnia 13 stycznia. Przy bardzo licznie zebranej publiczności przyjaciele i wielbiciele zasług zmarłego nieśli trumnę aż na cmentarz łyczakowski. Nad grobem przemówił August Bielowski w te słowa: „Ziomkowie! Rodak, któremu w tej chwili ostatnią oddajemy posługę, przebył swój ziemski zawód po większej części w cierpieniach i goryczy, ale z gorącem zamiłowaniem sprawy ojczystej i z silną wiarą w lepszą przyszłość narodu. W siedmnastym roku życia swego już więzień stanu, nie znalazł u swoich sędziów tej pobłażliwej względności, na jaką młodociane, chłopięce lata jego zasługiwały, a kara, którą mu wymierzono, była dla niego tem dotkliw-

sza, że po uwolnieniu z kajdan zamknięta była przed nim droga do nauk w szkołach publicznych. Czując on mocno czem jest nauka dla nieszczęśliwego narodu: że tylko gruntowne wykształcenie we wszystkich warstwach społecznych do najwyższej potęgi podniesione dźwignąć nas może z niedoli obecnej, jął się wszystkiemi siłami studyów prywatnych, i starał się na tej twardej, mozolnej drodze osiągnąć to, co mu na daleko łatwiejszej drodze szkół publicznych osiągnąć było wzbronione. Mimo doskwierającego mu częstokroć niedostatku dążył z żelazną wytrwałością do raz obranego celu i nie spoczął, aż osiągnął to, co sobie zamierzył. Karol Szajnocha tedy wysiłkiem własnej pracy został jednym z najuczeńszych mężów w naszej ojczyznie. Nie będę tu wyliczał dzieł jego, znane są one nie tylko w całej rozległej Polsce, ale i daleko za jej granicami. Z roskoszą i zachwyceniem czytają je zarówno u nas, jak w wielkiem xięstwie poznańskiem, w królestwie kongresowem, na Litwie, Wołyniu i Ukrainie. Wiadomość o śmierci tego męża przeniknie do głębi wszystkie szlachetne serca bijące na tych rozległych przestrzeniach i wywoła uczucia wielkości straty odpowiednie. Ale w smutnem położeniu dzisiejszem naszej ojczyzny kordonami poprzedzielanej nie prędko wiadomość ta doleci aż do ostatnich jej krańców, a największej części naszych rodaków nie wolno będzie tych uczuć, jakie w nich wiadomość ta wywoła, okazać publicznie. Dziś te uczucia koncentrują się w tobie, ty je przedstawiasz szanowna tu zgromadzona publiczności, która mimo nieprzyjaznej pory roku dla oddania mu czci aż na miejsce ostatniego spoczynku za zwłokami jego pospieszyłaś. Tem uroczystsza więc dla nas jest ta chwila, i z tem głębszem uczuciem, z tem zupełniejszem uznaniem zasług zmarłego wołamy: Cześć Karolu twojej pamięci!“

ODEZWA DO ZIOMKÓW.

Odprowadziliśmy wczoraj do grobu jednego z najpierwszych pisarzów polskich. Idąc za trumną jego, czuliśmy wszyscy boleśnie, jaką stratę przez ten zgon ojczyzna nasza poniosła.

Ś. p. Karol Szajnocha był ozdobą, chlubą, prawdziwą sławą literatury naszej. Najpiękniejsze zalety historyka w nim się łączyły. Cześć dla przeszłości bez bałwochwalstwa, sprawiedliwość bez goryczy, miłość wszystkiego co nasze bez zaślepienia. Zanurzał się w zamglonych głębiach dziejowych, nie żeby dogadzać pociągom erudycyi, nie żeby hasłami dzisiejszych nawoływań mieszać pokój umarłych, lecz aby rozświecać lampą miłości i rozwagi te groby minionej wielkości naszej i przeszłością terazniejszość tłumaczyć, krzepiąc wiarę narodu w przyszłość.

Daleki od hołdowania doktrynom stronnictw, szukał zawsze w dziejach ojczystych tylko prawdy surowej. A umiał ją wypowiadać z takim wdziękiem artysty i z takiem ciepłem Polaka, że dzieła jego znalazły się w rękach całego narodu.

Jako człowiek i syn ojczyzny, żywotem całym złożył świadectwo, że słowa jego były u niego wiarą. Od lat najmłodszych wyrzekł się wszystkiego, co tylko człowiekowi dogadza i schlebia osobistej jego próżności. Poświęcenie dla rodziny, dla ojczyzny i dla nauki było treścią wszystkich jego postępków. I nie strąciły go z tej drogi ani gorycze więzienia, ani niedostatek, ani kalectwo, którem podobało się Bogu dotknąć go pod koniec życia.

Przez cały ten zawód ziemski przeszedł ś. p. Karol bez skazy, z chwałą dla siebie i dla społeczeństwa naszego, że jeszcze takich ludzi wydaje....

Im bardziej życie takiego męża było z tej strony grobu wzorem do naśladowania przez wszystkich, tem więcej za obowiązek publiczny poczytywać sobie należy, żeby pamięć takiej cnoty żyła w potomności. Naród nasz w najlepszych swoich czasach umiał cenić każdą prawdziwą zasługę. Okażmy, że i dzisiejsze pokolenie nie odbiegło od tego chlubnego przekazu przodków!

W poczuciu tegoto obowiązku i w przekonaniu, że słowa nasze okażą się wyrazem uczuć powszechnych, my podpisani pod odezwą niniejszą, zawiązawszy się w komitet i powziąwszy zamiar wprowadzenia w życie instytucyi, którą uważamy za najgodniejszy pomnik zmarłego brata naszego: wzywamy ziomków do poparcia myśli naszej darami, których rozmiar zostawiamy chęci i możności każdego, oświadczając, że przyjmiemy z wdzięcznością i najskromniejszy datek. Chodzi o zebranie funduszu, mającego pod zarządem wydziału krajowego na wieczne czasy trwać z nazwą „Fundacyi ś. p. Karola Szajnochy.“ Użytkować mają z corocznych prowizyj rzeczonego funduszu osoby, które pracując wytrwale na niwie ojczystej literatury z chwałą dla siebie, a z pożytkiem dla narodu, w braku środków przyzwoitego utrzymania z własnych zasobów, ujrzą się w konieczności korzystania ze skarbnicy tej szczodrobliwości publicznej. Przedewszystkiem zaś i nasamprzód ma z niej korzystać pozostała rodzina ś. p. Karola, to jest syn jego obecnie dziesięcioletni i wdowa, a to przez cały czas, dopóki im ta opieka kraju będzie potrzebna. Bliższe określenie zasad i warunków tej fundacyi tak względnie do rodziny zmarłego, jak i do innych na poźniej osób, orzecze akt fundacyjny, który ułożyć zastrzega sobie komitet w miarę kwoty, jaka się zbierze.

Gdyby ś. p. Karol Szajnocha był się poświęcił innemu zawodowi, wątpliwości nie podlega, że zdolność, pracowitość, statek i inne cenne przymioty, w które go tak sowicie uposażyła natura, byłyby mu prędzej czy poźniej zdobyły stanowisko niepoślednie i pod względem materyalnych korzyści. Zmarły nasz przeniósł nad wszystkie inne zawody skromne powołanie pisarza. Byłoby wstydem dla społeczeństwa naszego, gdyby teraz mógł kto powiedzieć: oto dla tego, iż życie Karola spłynęło na bezpośre-

dniej służbie około sprawy powszechnej, widzi się obecnie osierocona rodzina jego zagrożoną niedostatkiem....

I zkądinąd potrzeba fundacyi, o jakiej tu mówimy, dotkliwie w kraju naszym czuć się daje od dawna. W tak niefortunnych okolicznościach, jak nasze, praca umysłowa i pismiennicza nie uchyla od powołania literackiego tych trosk codziennych, które zdolne są skrzywić i złamać nawet wyższe zdolności. Jeżeli na rzecz stypendyów dla uczącej się młodzieży i na inne dobroczynne cele tyle już uczyniono w Galicyi: to dlaczegożby tylko w kierunku, który tu wskazujemy, nic kraj i nadal nie miał uczynić? Literatura stanowi jednę z najpotężniejszych dźwigni życia narodowego. Jeżeli co, to ta sprawa domaga się koniecznie opieki kraju.

Będziemy przyjmowali dary tak w gotowiznie, jak w papierach publicznych. Prosimy adresować przesyłki do rąk Wgo Szymona Krawczykiewicza, dyrektora galicyjskiej kasy oszczędności we Lwowie, który raczył oświadczyć gotowość swoją do odbierania takowych. Również upoważniamy redakcye wszystkich dzienników naszych do przyjmowania składek i przekazywania ich potem Wmu Krawczykiewiczowi. Równocześnie z tem upoważnieniem zanosimy prośbę do rzeczonych redakcyj, ażeby w kolumnach pism swoich raczyły powtórzyć niniejszą odezwę naszą, jako też sprawozdania z dalszego toku i każdoczesnego stanu tej składki, które zamierzamy od czasu do czasu wraz z szczegółowem wymienieniem nazwisk osób i wysokości kwot wniesionych podawać do wiadomości publicznej, i ażeby popierały wpływem swoim sprawę, której rzecznikami jesteśmy.

Lwów dnia 14 stycznia 1868.

Leon Sapieha.
Włodzimierz hr. Dzieduszycki.
Oktaw Pietruski.
August Bielowski.
Antoni Małecki.

Jako członkowie zamiejscowi przystąpili do komitetu:

Adam hr. Potocki.
Dr. Józef Majer
prezes Towarzystwa naukowego w Krakowie.

Sekretarz:
Bernard Kalicki.



Zaczęto drukować dnia 4 listopada 1867; skończono dnia 11 lutego 1868.
Pod bezpośr. zarządem uprzyw. dzierz. Alexandra Vogla.
Składali Józef Simon i Franciszek Kościuk.